



Kiedy mrok
przejmuje duszę...

KRZYSZTOF BEŚKA
**DUCHY RZEKI
PREGEL**



OFICYNKA
WYDAWNICTWO

KRZYSZTOF BEŚKA

**DUCHY RZĘKI
PREGEL**



OFICYNKA
WYDAWNICTWO

Copyright © Oficynka & Krzysztof Beśka, Gdańsk 2020

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2020

Redakcja: Bartosz Nawrocki

Korekta: zespół

Skład: Piotr Geisler

Projekt okładki: Studio Karandasz

Konwersja do EPUB/MOBI: InkPad.pl

Zdjęcia na okładce: © Adobe stock /autor: [Nejron Photo](#), [ValentinValkov](#)

ISBN 978-83-66613-89-8



www.oficynka.pl

email: oficynka@oficynka.pl



SPIS TREŚCI

Prolog

Księga pierwsza. Pod powierzchnią

Księga druga. W głębinie

Księga trzecia. Na dnie

Księga czwarta. Ku światłu

Epilog



Nad Półwyspem Sambijskim powoli zapadał zimowy zmierzch. Setki wron gęsto obsiadały drzewa rosnące wzdłuż drogi, czyniąc przy tym hałas nie do zniesienia. Tak było wczoraj, tak będzie i jutro. A może też pojutrze, kiedy przejadą tędy pierwsze tanki z czerwoną gwiazdą na wieżycze. Ptakom jest obojętne, w jakim języku mówi człowiek, nie mają narodowości ani paszportów.

Tak, krakały wyjątkowo głośno. Jedni słyszeli w tym drwiący śmiech, inni niekończące się połajanki, jeszcze inni zaś – ostrzeżenie. Wrony siedzą wysoko, widzą więcej.

- *Schneller!* - rozległ się schrypnięty, władczy głos.

Kolumna ludzkich cieni miała kilkaset metrów. Za nią ciągnęła kolejna. Jeszcze kilka dni temu każda z nich była dłuższa. Gdyby jednak każdą z nich zmierzyć kilka dni temu, bez trudu zauważyłoby się różnicę. O, właśnie przez takie wypadki ja ten: jeden z kroczących po ubitym śniegu cieni odłączył się od pozostałych. Powłóczył nogami, chwiał się, a jego ciało coraz bardziej pochylało się do przodu. Ale to nie był jeszcze ten moment. Ludzie w hełmach z dwiema białymi błyskawicami po bokach dobrze o tym wiedzieli. Samotny cień upadł, zarył głowę w wysoką zaspę. Czy to już? Nie, jeszcze mogli zaśmiać się na całe gardło, na tyle, na ile pozwalał zmarznięty na kamień pod brodą pasek hełmu. Splunąć z pogardą i zakląć.

Upadłszy w śnieżną zaspę, cień jęknął krótko i westchnął. A może zrobił to ten, który właśnie rzucił się z zamiarem pomocy leżącemu nieszczęśnikowi.

- *Halt!*

Krótkie, dobrze znane słowo, wzmocnione szczęknięciem odbezpieczanego empi, skutecznie powstrzymały te zamiary. Ktoś, w kim obudził się człowiek, wrócił pokornie na swoje miejsce. Rozległ się strzał. Kilka spłoszonych wron zerwało się z nagich gałęzi najbliższego drzewa, by po chwili obsiąć jeszcze ciepłe zwłoki.

- *Schneller!* - zawołał znów któryś z eskortujących, rękawem płaszcza w kolorze feldgrau wycierając sopel zwisający z nosa. Kolumna szła dalej.

Kiedy dwa dni temu, 29 stycznia 1945 roku, zakończyło się kopanie rowów przeciwczołgowych wokół Königsberga, wielu z tych, którzy wykonywali te prace, było pewnych, że to już koniec. Spędzono ich tutaj ze wszystkich kacetów założonych podczas wojny na terenie Regierungsbezirk Königsberg, a teraz w pośpiechu likwidowanych. Nie mógł pozostać po nich żaden ślad. Ubrane w brudne i poszarpane obozowe pasiaki przypominające szkielety istoty obojga płci stały w szeregu, a ich oczodoły zdawały się puste.

Wciąż jednak nikt do nich nie strzelał. Kolumna licząca grubo ponad dziesięć tysięcy więźniów i więźniarek, wśród których znajdowało się wielu pozostających jeszcze przy życiu Żydów, w eskorcie oddziałów Waffen-SS wspomaganym przez zupełnych już smarkaczy z Hitlerjugend, ruszyła w stronę zachodniego brzegu Sambii.

- Pani Köhler?

Głos kobiety musiał przedrzeć się przez zeszywniałe od mrozu i brudu warstwy, którymi obwiązana była twarz. Tam gdzie można było się spodziewać ust, bieleły się kryształki lodu. Wyżej, przez wąską szparę, spoglądała para ciemnych, młodych oczu.

- Pani Köhler. - Chwyciła za ramię drobną, przygarbioną kobietę, która coraz wolniej, z widocznym trudem szła obok. Przez moment nie mogła oprzeć się wrażeniu, że trzyma pusty rękaw.

- Jestem, panno Bronstein - odezwała się słabym głosem pani Köhler. - Jeszcze jestem...

- Słyszałam, że za chwilę będzie postój - wyszeptała młodsza.

- Postój?

- Tak. Już najwyższy czas. Proszę jeszcze trochę wytrzymać.

- I po co? I tak nas wszystkich...

- ...przeniosą! - dokończyła z mocą Bronstein, drugą ręką ściągając z twarzy zwoje szmat, którymi była szczelnie okryta. - Mamy być przeniesieni. Tak nam przecież powiedzieli, zanim ruszyliśmy w drogę, prawda?

- Prawda - potwierdziła głucho starsza pani.

Trzymały się razem od pierwszego dnia w obozie. Dzieliło je kilkadziesiąt lat, łączyło zaś to, że obie przyszły na świat w rodzinach, w których chodziło się do synagogi, świętowało Pesach i Chanukę, zapalało świece w siedmioramiennym świeczniku. Obie robiły to tak samo długo: młodsza przez całe życie, starsza tylko do chwili, gdy wyszła za goja. Nie uchroniło jej to jednak przed okrutnym losem i jak tysiące sióstr i braci pani Köhler trafiła do obozu. Ktoś doniósł, komu trzeba. Jej mąż, szanowany obywatel, już wtedy nie żył.

Przetrwały obóz, przetrwały wielodniowy, znaczony trupami marsz w stronę Königsberga, kiedy było już jasne, że potrzebny będzie cud albo Wunderwaffe, aby powstrzymać prąca na zachód Armię Czerwoną. Przetrwały też, głównie dzięki obrotności panny Bronstein, pracę przy budowaniu umocnień, które miały zatrzymać czołgi wroga, choć nie brakowało głosów, że oto w zamarznętej ziemi kopią sobie groby. Teraz szły dalej z nadzieją, że nie na zatracenie.

Przeczucie znów nie myliło panny Bronstein, po kilku minutach ogłoszono bowiem postój. Nad głowami eskortujących pojawiły się kłęby tytoniowego dymu. Któryś z więźniów spróbował usiąść albo położyć się na śniegu, ale od razu wyciągnęły się po niego ręce pozostałych. Wiedzieli dobrze, że kto usiądzie, może już nie wstać...

Przerwa minęła nie wiadomo kiedy. Kolumna ruszyła w dalszą drogę.

- *Schneller!* - krzyknął znów jeden z Waffen-SS, po czym pstryknął niedopałkiem papierosa, którego żar krótko zaszeptał w śniegu.

■

Późnym popołudniem 31 stycznia 1945 roku kilkutysięczna kolumna więźniów dotarła wreszcie na skraj półwyspu. Miejscowość nazywała się Palmnicken, o czym informowała częściowo zawiana śniegiem tablica. Nieliczni wiedzieli, że niewielka rybacka osada słynęła z kopalni bursztynu.

Po kilkunastu minutach od chwili, gdy oczom idących ukazała się wieża miejscowego kościoła, eskorta została wzmocniona przez kolejnych żołnierzy. Ich mundury wydawały się nowsze, jakby dopiero co wydano je z magazynu. Zaczęli pędzić więźniów wąską, wznoszącą się ku górze uliczką, pomagając im kolbami karabinów i kopniakami. Wrzaskom towarzyszyło dalekie szczekanie psów.

- *Raus!* - ryknął oficer w płaszczu z podniesionym kołnierzem i czapce naciśniętej na uszy. W rzeczywistości był to młokos o nerwowych ruchach, który pojawił się nie wiadomo skąd.

- Wszystko będzie dobrze, pani Köhler - uspokajała przyjaciółkę młoda Żydówka, nie mogła jednak zapanować nad drzeniem głosu. - Słyszałam... słyszałam, że będziemy pracować w jakiejś kopalni czy kamieniołomach.

Ledwo to powiedziała, padł strzał. Kości obłócone w skórę i szmaty gruchnęły na zlodowaciałą ziemię. Musieli uważać, żeby się o nie nie potknąć. Szli coraz szybciej. Pani Köhler skupiła się na tym, aby nie upaść; przeszła wiele kilometrów, była nieludzko zmęczona, wiek dawał się we znaki. Co chwila wpadała na tych przed nią, jednocześnie popychana przez tych za jej plecami.

- Panno Bronstein... - jęknęła z rozpaczą, rozglądając się za dziewczyną.

W pewnym momencie czyjaś ręka chwyciła ją za ramię. Ale nie była to ręka przyjaciółki. Szarpnięcie było tak gwałtowne, że straciła równowagę, a jednocześnie na tyle silne, że nie upadła na śnieg. Poczuli się, jakby siedziała na karuzelu. Przez chwilę nie mogła stwierdzić, gdzie było szare niebo, a gdzie ziemia. Przed oczami

przeleciały jej jakieś twarze, a w nozdrza uderzyła ostra woń machorki. Zamiast wstrzymać oddech, zacisnęła powieki.

Kiedy ponownie je otworzyła, stwierdziła z przerażeniem, że wraz z innymi stoi na skraju przepaści. Tylko krok dzielił ich od krawędzi kamieniołomu, najpewniej tego, o którym wspominała panna Bronstein. Starsza pani spojrzała przed siebie. Musiała znaleźć jakiś punkt zaczepienia, choć może już nie było warto. Przeciwległa krawędź wyrobiska ledwo rysowała się w gęstniejącej, wieczornej mgle.

Tak, to jest właśnie ten brzeg, który nam obiecywano – pomyślała z goryczą pani Köhler.

Mimo to na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu...



PROLOG

1

Ech, prawie zapomniała o tej przypadłości! Wstyd się było przyznać, chociaż ludzka i dość powszechna to rzecz. Wystarczyło, że wychyliła się przez balustradę i spojrzała w dół. Od razu zakręciło jej się w głowie, a przez plecy przebiegł lodowaty dreszcz.

- Spokojnie, tylko spokojnie - rzekła sama do siebie.

To powiedziawszy, bardzo powoli, jakby stąpała po kruchym lodzie, nie zaś kamiennej posadzce solidnej budowli, zrobiła krok do tyłu. Potem jeszcze trzy, aż wpadła na ścianę. Zaraz przyłgnęła do niej całym ciałem. Wypuściła powietrze. Dopiero teraz poczuła się trochę lepiej, choć nadal oddychała z trudem. Siedemnastoletnie serce wciąż podskakiwało jej w piersiach, mimo że podczas zakończonej kilka chwil wcześniej mozolnej wspinaczki na górę pracowało spokojnie. Jakby jego właścicielka leżała w tym momencie w łóżku i czytała książkę, a nie szybkim krokiem pokonywała kilkaset stromych schodów.

W tej samej chwili jej uszu dobiegł tupot kilku par nóg, stęknienia i stłumiony śmiech. Już miała unieść ręce w geście triumfu, jak na zwyciężczynię zawodów przystało, no a przede wszystkim w końcu otworzyć zaciśnięte powieki (nie, nie mogą się dowiedzieć, że ma lęk przestrzeni!), gdy do wcześniejszych dźwięków dołączył odgłos szamotania.

- „Niczym tobie wszelka przestrzeń. Lecisz, i znów w pętach tyłu...¹” - rozległ się męski głos, który brzmiał dostojnie nawet mimo zadyszki.

- „Aż spragniony światła, wreszcie tutaj spalasz się, motyłu!” - zawtórował mu drugi, nieco mniej przyjemny dla ucha, bo piskliwy.

- Puście mnie, do cholery! To nie jest wcale śmieszne...

Ostatnie słowa, wypowiedziane głosem ani dostojnym, ani piskliwym, za to na pewno drżącym, nie pochodziły już z *Błogiej tęsknoty* Goethego.

- „Lecisz, i znów w pętach tyłu...” - powtórzył ten pierwszy, tym razem jednak przez zaciśnięte zęby, po czym wybuchł zbiorowy, głośny śmiech.

Kiedy otworzyła oczy, ujrzała dwóch młodzieńców, a także zwisające z balustrady wierzgające nogi i wystający spod zadartej marynarki kawałek tyłka trzeciego.

- Dosyć tego, Helmut. Zostawcie go! - krzyknęła.

- No dobra, już dobra - powiedział właściciel dostojnego głosu, nazwany Helmutem, by zaraz rzucić do pomagiera stojącego przy drugim boku nieszczęśnika. - Wciągamy go.

- To nie polecisz? - zapytał filut.

- Może innym razem.

- No trudno...

Po chwili stali już we trzech oparci plecami o balustradę wieży kościoła zamkowego i jak gdyby nigdy nic, strzepywali pył z mundurków. Zarówno ten, którego chciano nastraszyć, jak i sprawcy psikusa, mieli czerwone z wysiłku twarze. Odpowiadała za to po części wspinaczka na galerię, po części wygłupy, które przerwała dopiero jedyna w towarzystwie dziewczyna.

- Nic ci nie jest, Lothar? - zwróciła się do tego, którego koledzy straszili zrzuconiem z wieży.

- Nie - burknął.

- Tylko się wygłupialiśmy, Agnes - zapiszczał drugi z ciemieżycieli, uśmiechając się niewinnie.

- Nie było to mądre, Henryku - skwitowała.

- Nie gniewaj się - rzucił do niej Helmut.

- W porządku.

Uznali to najwyraźniej za rozgrzeszenie, bo odwrócili się jednocześnie, zbliżyli do balustrady i oparli o nią łokcie.

- Tęskniłem za tym miastem, wiecie? - westchnął Helmut Steiner, zdjął na chwilę czapkę i pozwolił, by wiatr, który na tej wysokości wiał mocniej niż na dole, zmierzwił mu włosy. - Dobrze, że rok akademicki już się zaczyna.

- A ja tam wcale nie tęskniłem - rzekł na to Henryk Kozłowski.

- Naprawdę?

- Gdyby to ode mnie zależało, nie schodziłbym z konia. Ale ojciec z matką się uparli, żebym został lekarzem.

Trzeci z burszów, ten, którego uratowała Agnes, wciąż milczał. Może był obrażony na kolegów za to, co zrobili. Nie odwrócił się, by podziwiać panoramę Königsberga z wieży kościoła zamkowego, tylko od czasu do czasu rzucał spojrzenia w stronę dziewczyny.

- Nie pogratulowaliście mi jeszcze zwycięstwa w wyścigu, zaczkowie - zauważyła Agnes, ujmując się pod boki i marszcząc srogo brwi.

- Bo to był dopiero półmetek! - zawołał Steiner i rzucił się w kierunku drzwi, przez które wychodziło się na galerię.

Chwilę później klatkę schodową wypełnił na nowo tupot czterech par nóg.

Helmut Steiner, Henryk Kozłowski i Lothar Koschiniak poznali się dokładnie rok temu. Traf chciał, że wszyscy zamieszkali na stacji pani Lauder. Ta zaś miała córkę, a była nią właśnie Agnes, dwa lata młodsza od studentów uczennica gimnazjum żeńskiego. Szybko stworzyli zgraną i wesołą paczkę, która nie tylko przetrwała pierwszy, najtrudniejszy rok akademickiej nauki, ale również wakacje.

Wszyscy trzej przyjechali do miasta nad rzeką Pregel dzisiaj rano. Ile było opowieści, wspomnień i śmiechu! Steiner mógł się pochwalić przed resztą piękną opalenizną, pamiątką po wakacjach w Zoppot, Kozłowski zaś blizną, za którą mógł dziękować swojej ulubionej klaczy.

Spotkanie postanowili uczcić wyprawą do miasta. Miało to być ostatnie popołudnie i ostatni wieczór wolności przed ponownym wejściem w rytm uniwersyteckiego życia. Tym bardziej że profesor

matematyki i fizyki, Hermann Minkowski, jeszcze w czerwcu ostrzegął, że taryfa ulgowa się skończyła i tolerować nieuctwa nie zamierza!

Z Sackheim, gdzie mieściła się stacja, na Knipawę pojechali tramwajem, śmiejąc się i dowcipkując ku zgorszeniu współpasażerów, szczególnie dystyngowanych matron, częstokroć podróżujących z małymi dziećmi. Kiedy wreszcie wysiedli, Agnes Lauder wpadła na to, by odwiedzić zamek. Okazało się to świetnym pomysłem, bowiem żaden z trzech studentów, mimo iż, przypomnijmy, mieszkali w Königsbergu już od roku, a górującą nad miastem budowlę widzieli kilka razy dziennie, jeszcze jakoś tam nie trafił.

Od razu skierowali swe kroki do zamkowego kościoła. Agnes planowała opowiedzieć o kilku ważnych historycznych wydarzeniach, które się tam odbyły, z koronacją króla Fryderyka I na czele. Ledwo jednak przekroczyli próg świątyni, Helmut krzyknął: „Kto pierwszy na wieżę!”. Wszyscy trzej runęli w stronę wąskich drzwiczek. I zdziwili się. Kto wie, może ten głupi kawał z Lotharem Koschiniakiem trzymanym głową w dół z wieży, był czymś w rodzaju rewanżu za przegraną. Wiedzieli przecież bardzo dobrze, że panna Agnes to właśnie jego darzyła największymi względami.

- Wygrałem, wygrałem! - triumfował Kozłowski, kiedy cała czwórka na powrót znalazła się w kościele.

- A co to za krzyki w domu Bożym?! - dobiegło nagle od lewej nawy.

Zamarli. Usłyszeli złowróżbne, bo zwielokrotnione echem, kuśtykanie i po chwili ujrzeli zbliżającego w ich kierunku starucha z długimi, siwymi włosami, najpewniej kościelnego.

- Precz mi stąd!

- Chodu! - zaordynował błyskawicznie Lothar.

Śmiejąc się wesoło, depcząc się nawzajem i poszturchując, cała czwórka opuściła zamkowy kościół, odprowadzana przez gniewne, a może tylko udające gniew, fuknięcia kościelnego. Wybiegłszy na ulicę, przez chwilę zastanawiali się, w którym kierunku podążyć. Po

rzucenym przez Agnes pomysłem z zamkiem nikt jakoś nie wyrywał się z nowym. Pewne było, że napiją się piwa, choć nie wiedzieli jeszcze, którą wybiorą gospodę.

- Chodźmy nad staw - zaproponował Steiner. - Słyszałem, że w tym roku akademickim będą organizować wyścigi wioślarskie.

- Co ty opowiadasz?! - parsknął Kozłowski.

- No tak! Jak między uniwersytetami z Oxfordu i Cambridge na Tamizie - sprecyzował jego druh.

- Na tej kałuży?

- Tak mówią.

- Guzik prawda.

Mimo polemiki propozycję przyjęto. Czwórka przyjaciół ruszyła Krugstrasse na północ, skąd jesienny wiatr niósł zapach wodorostów. Parę minut później grupka podzieliła się, bowiem Kozłowski i Steiner skoczyli po piwo do Bałtyckiego Króla, ulubionego przez studencką brać szynku mieszczącego się niedaleko biblioteki uniwersyteckiej.

Schloss-Teich był to sporych rozmiarów akwen, rozciągający się od zamku ku północnemu zachodowi. Mniej więcej w jednej czwartej długości przecinał go mostek. To właśnie tam dotarli Agnes i Lothar. Przez całą drogę milczeli, tylko na przemian rzucali sobie ukradkowe spojrzenia.

Wreszcie chłopak zdobył się na odwagę i przerwał ciszę.

- Dziękuję - bąknął.

- Za co? - zapytała panna Lauder.

- Za to na wieży. Naprawdę się bałem. Mam lęk przestrzeni...

Powiedzieć mu, że ja też? - zastanawiała się, jednak koniec końców rzuciła lekko:

- Nie ma za co.

Oparli się o balustradę mostku i spojrzeli w dół. Z daleka doszły ich wesole okrzyki. Chłopcy wracali z Bałtyckiego Króla, niosąc po dwie butelki w każdej ręce. Agnes przyjęła wcześniejszą pozycję i wpatrywała się w wodę. Lothar znów na nią zezował. W pewnej chwili zauważył, że twarz dziewczyny zmienia się: czarne, wygięte

niczym tureckie szable brwi uniosła ku nasadzie włosów, wytrzeszczyła oczy, a usta otworzyła szeroko.

- Co... co to jest? - wyjęczała ledwo słyszalnie.

- Wodorosty - odrzekł student, niewiele myśląc. Dopiero potem spojrzał tam, gdzie dziewczyna.

- Nie. To nie są wodorosty, Lothar. Ja widzę włosy!

- Co ty opowiadasz?

- To... to są przecież kobiece włosy...

Kilkanaście minut wcześniej student nazwiskiem Koschiniak, chłopak ładny, ale trochę chuchro, nie potrafił wyswobodzić się z uścisku robiących sobie żarty kamratów. Na szczęście teraz zdążył w porę pochwycić tracącą przytomność Agnes. Zbliżający się już do mostku na Schloss-Teichu Kozłowski i Steiner aż zagwizdali z podziwem na ten widok. Ich kolega, choć wcześniej na wieży miał niezłego pietra, teraz najwyraźniej nie zasypiał gruszek w popiele!

¹ Przekład Mieczysław Jastrun.

2

Do trafiki mieszczącej się przy Victoriastrasse niedaleko Dworca Wschodniego wszedł kolejny klient. Stojący za drewnianym kontuarem Samuel Cohen, właściciel sklepu, lat około pięćdziesięciu, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że dzwonek u drzwi obwieścił przybycie gościa wyjątkowo głośno. I nerwowo.

Szczupły, czarniawy kupiec przełknął ślinę, przestąpił z nogi na nogę. Wciąż nie potrafił zapomnieć przykrego incydentu sprzed zaledwie paru tygodni, kiedy odwiedzili go dwaj mężczyźni. Bynajmniej nie po to, by zostawić u niego pieniądze, lecz by je zabrać! I kto wie, jak by się to wszystko skończyło, gdyby nie pomoc jednego z klientów, który nie bacząc na niebezpieczeństwo, rzucił się na rabusiów i zlał obu na kwaśne jabłko!

Ten osobnik nie wyglądał jednak na rzezimieszka. Wręcz przeciwnie: był to niezwykle elegancki, dystyngowany pan z podkreśconym, wypomadowanym wąsem, ubrany w paltot w zielono-czarną kratę. W ręku dzierżył laskę zakończoną srebrną, świerkową szyszką. Melonik na jego głowie wyglądał na nowy i leżał idealnie.

- Dzień dobry, szanownemu panu. - Cohen uklonił się nieco tylko później, niż gdyby do trafiki wszedł ktoś dobrze mu znany.

- Uszanowanie - rzucił przybysz, rozglądając się po półkach, na których prezentowano towar: kilkadziesiąt rodzajów fajek, akcesoria do tychże i popielniczki, tytoń, różnej wielkości pudełka z cygarami i najzwyczajniejszymi, najtańszymi papierosami.

- Mogę w czymś pomóc? - drążył z uśmiechem pan Samuel. - Może doradzić?

W odróżnieniu od swych braci, gotowych wcisnąć klientowi sto jeden rzeczy nie dość, że niepotrzebnych, to jeszcze niewartych swej

ceny, pan Cohen nigdy nie był nachalny. Służył radą i pomocą, ale dbał też o to, by klient czuł się w jego sklepie komfortowo.

- Tak - odparł przybysz, dotknąwszy machinalnie róna melonika.

- Szukam cygar.

- Jakiej marki?

- Palę tylko jedną i, uważa pan, w ostatnim czasie nie mogę jej nigdzie dostać. Szukałem wszędzie, dosłownie wszędzie!

Właściciel trafiki przy Victoriastrasse szeroko rozłożył ręce.

- Niestety, nie pomogę - rzekł, uśmiechając się przeprasząco.

Przez twarz eleganta przebiegł krótki skurcz.

- Nie? - jęknął żałośnie.

- Nie. Jeśli szanowny pan... nie powie mi, co to za marka.

Klient wykonał ruch ręką, jakby chciał klasnąć otwartą dłonią w czoło. Przed wykonaniem tego powszechnie znanego gestu wszystkich zapominalskich lub roztargnionych powstrzymał go tkwiący wciąż nienagannie na jego głowie melonik.

- Ma pan całkowitą rację - wysapał. - Oczywiście chodzi mi o El Rey del Mundo.

- El Rey del Mundo - powtórzył jak echo sklepikarz.

- Jeśli pan mnie nie uratuje, będę musiał chyba jechać aż do Berlina. Skończyły mi się zapasy. Myślałem, że dostanę w swojej trafice na Knipawie, a tam nic!

- Nic.

- Właściciel nie potrafił mi wytłumaczyć, co może być tego przyczyną. Przyznam panu, że pierwszy raz mi się coś takiego zdarzyło...

Znów rozległ się dzwonek u drzwi i do trafiki wszedł kolejny klient. Był to staruszek z długą siwą brodą i w surduciku pamiętającym z pewnością wojnę prusko-austriacką. Na głowie miał wyblakły mocno kapelusz myśliwski z rudym piórkiem. Bąknął pod nosem niewyraźne pozdrowienie, po czym jął z zainteresowaniem przyglądać się glinianym fajkom prezentowanym w oszklonej witrynie stojącej niedaleko drzwi.

- To jak? Ma pan te cygara? - W głosie eleganta wyraźnie zagrało zniecierpliwienie, choć na Samuela Cohena spojrział błagalnie.

- Ma pan dziś szczęście, po prostu wielkie szczęście! - rzekł z triumfem właściciel trafiki.

- Naprawdę?

- Owszem. Zostały mi dwa pudełka.

Cohen obrócił się, schylił, otworzył jakąś szafkę, by po chwil położyć na kontuarze dwa pudełka z postacią w koronie na głowie, siedzącą w powozie ciągniętym przez dzikie zwierzęta.

- Życie mi pan ratuje. - Człowiek w meloniku splótł przed sobą palce dłoni.

- To tylko moja praca - odrzekł na to Cohen, skromnie spuściwszy wzrok.

- A jednak zostanę przy swoim zdaniu. To dla mnie bardzo ważne.

- Zawsze do usług.

Kilka chwil później amator cygar marki El Rey del Mundo, kto wie, czy nie najszcześliwszy w tym momencie człowiek w mieście nad rzeką Pregel, a może nawet w całej rejencji, opuszczał niewielką trafikę przy Victoriastrasse ze swą zdobyczą, zapakowaną pięknie w papier przewiązany czerwonym sznurkiem. Przed wyjściem obiecał jeszcze Cohenowi, że odtąd będzie kupował tylko u niego.

- Zapraszam i miłego dnia życzę! - zawołał za nim handlarz.

Dzwonek u drzwi wybrzmiał i zrobiło się cicho. Spojrzenia Samuela i dziadka, który wciąż stał przy witrynie z glinianymi fajkami, spotkały się.

- Nareszcie - rzucił ten drugi głosem zupełnie niepasującym do aparycji, po czym zadziwiająco szparko jak na swój wiek skoczył do drzwi i wybiegł na ulicę.

- Niech pan na siebie uważa... - jęknął jeszcze Cohen, ale tamten nie mógł go już usłyszeć.

Klient w meloniku właśnie wsiadał do eleganckiego landa. Chwilę wcześniej ktoś, kto siedział w środku, odebrał od niego cenną paczuszkę. Widząc to, staruszek ruszył w stronę powozu,

najwyraźniej z zamiarem zajrzenia do środka. Ot, nazbyt ciekawski emeryt, znudzony bezczynnością. Nikt nie miałby mu chyba tego za złe, nawet gdyby uczynił to niezbyt dyskretnie.

Ale lando już ruszyło w stronę Kaiserstrasse i rzeki.

- Cholera - zaklął mężczyzna i zaczął bezradnie rozglądać się na boki.

Jednak tego dnia nie tylko palaczowi w meloniku sprzyjało szczęście. Oto bowiem z przeciwnej strony dobiegło znajome kląskanie. Od strony szpitala św. Jerzego zbliżała się dorożka. Posiadacz długiej, siwej brody podniósł rękę, by przywołać fiakra, i dla pewności gwizdnął, wprawiając tym w nie lada osłupienie parę przechodniów. Mężczyzna sięgnął aż po pince-nez, a towarzysząca mu dama mocniej zacisnęła dłoń na jego ramieniu.

- Za tamtym landem, byle szybko! - krzyknął staruszek, wskazując do dryndy.

Siedzący na koźle dorożkarz strzelił z bata nad głową karego perszerona, a dopiero potem splunął na bok flegmą z przezutym tytoniem i rzekł:

- Się wie, panie profesorze.

Żwawy staruszek zdjął z głowy myśliwski kapelusz i rękawem otarł pot z czoła. Szczęściem nikt go w tej chwili nie oglądał, bo widok nie należał ani do codziennych, ani do zbyt przyjemnych; wraz z nakryciem głowy osobnik mężczyzna ścisnął w dłoni... długie siwe pasma, powiewające w miejscu, gdzie wewnętrzna taśma łączyła się z rondkiem. Jego prawdziwe włosy miały kolor dojrzałego zboża.

- Są? - Wychylił się nieco, aby sprawdzić, czy pościg przebiega pomyślnie. Wyglądało to niewinnie, ot, jakby pasażer chciał tylko sprawdzić, czy nie widać już aby celu podróży i nie pora sięgać po pugilares.

- Są, profesorze - odrzekł półgębkiem mężczyzna siedzący na koźle i znów lekko smagnął biczykiem koński zad.

Wszystko wskazywało na to, że lando z amatorem cygar El Rey del Mundo, którym nie wiadomo dlaczego zainteresował się pasjonat

glinianych fajek, zmierza na północ, na wyspę o nazwie Knipawa. Oznaczało to, że jest tylko jedna rzecz, która może udaremnić pościg. Zwodzony Zielony Most. Wszystkie pojazdy poruszające się jedną z najważniejszych miejskich arterii, włącznie z od niedawna jeżdżącymi po Königsbergu tramwajami elektrycznymi, można było podzielić na dwie kategorie: te, którym udało się przejechać przed podniesieniem mostu, i te, które utknęły w kolejce.

Pasażer wychylił się tym razem na prawo, by spojrzeć mimo fiakra i konia. Niestety, w stronę portu w Piławie i morza zmierzał jakiś duży statek, więc lada chwila można było się spodziewać zamknięcia przeprawy...

- Daję pół marki, jeśli przeskoczmy! - zawołał.

Fiakrowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Pasażera aż rzuciło na oparcie siedzenia od nagłego wierzgnięcia, zaraz jednak znów się wychylił, bo nie mógł stracić landa z oczu.

Szaleniec albo Polak - pomyślał wozak.

Po chwili omal nie zdmuchnęli czapki z głowy człowieka, który stanął na skraju Zielonego Mostu z zamiarem zatrzymania ruchu. Kilka sekund później drynda jako ostatnia wjechała na wyspę.

- Dobra robota - pochwalił pasażer, nałożywszy na głowę swój dziwaczny kapelusz.

Jeszcze przez kilka minut jechali za landem, aż opuścili Knipawę. Wreszcie śledzony powóz zatrzymał się na trójkątnym placu Gesekusa.

- Niech pan tutaj stanie - polecił fiakrowi mężczyzna nazwany profesorem, po czym sięgnął w zanadrze, skąd wydobył pieniądze. - Dziękuję.

Dorożkarz przyjął zapłatę z nabożną powagą. Odprowadził wzrokiem dziwnego pasażera; dziwnego, bo jeszcze przed kilkunastoma minutami wskakiwał w biegu do dryndy, a teraz szedł powoli, zgarbiony, a nawet utykał!

Otworzyły się też drzwiczki landa. Na chodnik wyszedł amator cygar El Rey del Mundo. Spod budy zaś wysunęła się kobieca dłoń

w białej, koronkowej rękawiczce i podała mu cenną paczuszkę. On jednak nie zdołał jej chwycić. Wszystko przez przechodnia, który nieoczekiwanie wpadł na niego z impetem – pijany, a może tylko się zagapił? Szczęściem obu udało się zachować równowagę.

- O, przepraszam, bardzo pana przepraszam – powiedział kapcan starczym dyszkantem.

- Nic się nie stało. – Pan w meloniku ze stoickim spokojem zdjął z siebie ręce nieznajomego.

Ten jednak nie ustępował:

- Pokornie proszę o wybaczenie. Nie wiem, jak to się mogło stać. Starość nie radość... – biadolił i jednocześnie rzucał ciekawskie spojrzenia pod budę landa.

- To ja przepraszam – warknął mężczyzna, usiłując własnym ciałem zasłonić widok intruzowi.

Staruszek z gęstą siwą brodą, ubrany w stary surducik i wyblakły myśliwski kapelusz, ostatni raz skinął głową melonikowi z landa, po czym skierował kroki w stronę przestanku tramwajowego przy zamku. Już nie utykał.

3

Ludwig Schatzki patrzył w okno. Nic ciekawego za nim nie było, ten sam widok co wczoraj. Za nic jednak nie chciał spojrzeć na gazetę leżącą na długim dębowym stole, przy którym zawsze odbywały się narady. Już się naoglądał od rana. Podtykali mu ją pod nos wszyscy: począwszy od stróża kamienicy, w której mieszkał, skończywszy na chłopakach pełniących służbę w Prezydium policji na rogu Junkerstrasse i Münzstrasse. Jakby był jakimś pieprzonym aktorem albo politykiem, drugim Bismarckiem! Ech, że też dał się złapać dziennikarzom i temu człowiekowi z aparatem. Chwila nieuwagi. Przez dziesięć lat służby szczęśliwie udawało mu się tego uniknąć. Aż do wczoraj...

Wiedział bardzo dobrze, że egzemplarz „Königer Zeitung” zostawiono tutaj, w gabinecie szefa wydziału zabójstw policji, gdzie za chwilę miała się odbyć kolejna odprawa, nieprzypadkowo. Nie był tylko pewny, czy zrobił to sam gospodarz, inspektor Franz Winckler czy ktoś inny. Może nowy partner Schatzkiego?

O, ten właśnie wszedł. Ludwig był tego pewien, mimo że nie ruszył się z miejsca. Po nieco ponad tygodniu wspólnej służby potrafił rozpoznać nie tylko jego chód i charakterystyczne sapanie, lecz także zapach. Klaus Tyl, bo tak się ów nowy policjant, ściągnięty do Königsberga z Tylży, nazywał, używał wody kolońskiej z wyraźną nutą cedru. Pachnidło nie zawsze jednak było w stanie zamaskować mocną woń cebuli, którą Tyl jadał codziennie. Do nozdrzy Schatzkiego właśnie dotarła ta niepowtarzalna mieszanka zapachowa.

- Już jesteś? - rzucił od progu Klaus.

- Jak widać - odparł Schatzki, wciąż nie patrząc na przybysza. miłe to nie było, ale miał to gdzieś.

Nowy z ciężkim westchnięciem klapnął na krzesło obok. Schatzki bał się, że za chwilę nachyli się nad nim, jak często czynił, i zacznie perorę. Na przykład, że tramwaje nadto hałasują i budzą go przed czasem. W takich chwilach Ludwig tęsknił za człowiekiem, z którym pracował wcześniej. Niestety, Herbert Mischke zginął na służbie kilka miesięcy temu, kiedy rozwiązywali sprawę podwójnego zabójstwa w podziemiach gmachu giełdy. Pamiątką po tamtych wydarzeniach było kilka blizn na ciele Schatzkiego. A z przyjemniejszych rzeczy – awans. Polizeirat Ludwig Schatzki. To brzmiało dumnie!

Po chwili do gabinetu wkroczył inspektor Franz Winckler. Był to mężczyzna już dobrze po pięćdziesiątce, siwy, wąsaty, zawsze z fajką w ustach i pince-nez na nosie. Tym razem jednak dwaj policjanci zwrócili uwagę tylko na jedno – jego srogą minę!

Podnieśli się jak na komendę, zgodnie ze zwyczajem.

– Siadajcie – rozkazał Winckler.

Sam stanął przy biurku. Przez chwilę mierzył wzrokiem podwładnych, opierając się o biurko na wyprostowanych rękach i rozcapierzonych palcach. Zwiastowało to trudne pytanie.

– Czy udało wam się już ustalić, kim jest ofiara?

Jako że padło słowo „wam”, nowy poczuł się w obowiązku odpowiedzieć na pytanie przełożonego. Poruszył się na krzesło, odchrząknął i rzekł:

– Pracujemy nad tym, panie inspektorze.

Franz Winckler zasiadł wreszcie za solidnym dębowym biurkiem. Sięgnął po leżący na podorędziu kapciuch i w milczeniu zaczął nabijać fajkę. Po chwili ją zapalił. Ręka z zapałką jak zwykle się trzęsła. Ludwig Schatzki odetchnął z ulgą, bowiem dym skutecznie niwelował cebulową woń. Przede wszystkim jednak działał uspokajająco na szefa.

– Zawsze jest ktoś, kto znajdzie zwłoki – westchnął Winckler. – Jakiś pijaczek, ciekawskie dziecko, które weszło tam, gdzie nie powinno wleźć. Z tym się trzeba pogodzić...

Zgodzili się milcząco.

- Tylko jakim sposobem nad Schloss-Teichem tak szybko znaleźli się dziennikarze?! Ktoś mi to łaskawie wyjaśni? - zagrzemiał przełożony.

Żaden z podwładnych nie odpowiedział na pytanie. Obaj za to gorliwie wertowali kartki: Ludwig w swoim grubym służbowym notatniku, Klaus Tyl zaś - luźne arkusze podobnej wielkości, pokryte nie tylko odręcznymi notatkami, ale też jakimiś rysunkami. Schatzki wciąż uczył się swego nowego partnera, ale nauka szła mu dość opornie.

- W takim razie proszę mi łaskawie powiedzieć, co wiemy - poprosił inspektor.

Tym razem odezwał się starszy stopniem.

- Kobieta lat około dwudziestu, pięć i pół stopy wzrostu, brak cech szczególnych - referował Schatzki wypranym z emocji głosem. - Na ciele ofiary nie znaleziono żadnych ran, które mogły spowodować śmierć, ani śladów walki. Przyczyną śmierci mogło więc być utonięcie. Ciało znajdowało się dokładnie pod mostem przerzuconym przez akwen.

- Gwałt?

- Lekarz, który był na miejscu, jak już wspominałem, nie stwierdził śladów walki ani penetracji.

- Ładna?

- Co? - zapytali policjanci jednocześnie, jak na partnerów przystało.

Franz Winckler wypuścił z ust kolejną porcję dymu

- Ta topielica. Czy ładna była?

Minęła niemal doba, od kiedy czworo młodych ludzi znalazło ciało kobiety pod mostkiem na Schloss-Teichu, jedno z nich pobiegło na najbliższy posterunek, Ludwig Schatzki został sfotografowany i trafił na pierwszą stronę „Königer Zeitung”. Ale dopiero teraz serce policjanta ścisnął żal. Tak, dziewczyna, której życie dobiegło końca, ledwo się zaczęło, była ładna. Nawet bardzo.

- Tak. Myślę, że tak. - Chrząknął, by zamaskować zmieszanie.

Zaraz też uświadomił sobie, że jego szef nigdy wcześniej nie zadał takiego pytania, choć przecież wiele razy mieli do czynienia z trupami kobiet. Na szczęście stary nie drażył już tematu. Może uznał, że jest bez znaczenia dla śledztwa, albo postanowił, że sam sobie trupa obejrzy i oceni, a może myślni był już gdzie indziej. Włożył na nos pince-nez. Szkła błysnęły groźnie.

- Do roboty, panowie - rzekł tonem oficjalnym, jakby w gabinecie był ktoś jeszcze. Ktoś ważny.

- Tak jest - odpowiedział gorliwie Tyl, a Schatzki tylko nieznacznie skinął głową.

W tej samej chwili w fajce Wincklera zabulgotało.

- Oczekuję od was zdecydowanych działań - rzekł jeszcze, by dodać, nieco innym tonem: - Zresztą chyba nie tylko ja...

To powiedziawszy, spojrział na leżący na dębowym stole egzemplarz „Königer Zeitung”, a przez jego twarzy przemknął krótki ni to grymas, ni to uśmiezek. Ludwig Schatzki zacisnął zęby. Wiedział, że ten szczękościsk będzie go trzymał długo, uniemożliwiając rozmowy, dajmy na to z Klausem Tylem. Ale może i dobrze, choć stary wspomniął o zdecydowanych działaniach.

Na szczęście Schatzki wiedział też, jak sobie z tym poradzić.



KSIĘGA PIERWSZA

POD POWIERZCHNIĄ

1

W pierwszej chwili zamierzał plasnąć kopertą o blat biurka, jakby chciał zabić łązącą po nim muchę. Im głośniejszy, tym lepiej, a że coś by przy okazji sfrunęło na podłogę, to nic. Taki gest, po trosze knajacki, po trosze sarmacki, zawsze miał dwa zadania. Przede wszystkim utwierdzić zleceniodawcę w przekonaniu, że stoi przed nim fachowiec. W każdym calu! Człowiek pewny siebie, na którego można liczyć i który – po wtóre – wykonał właśnie swoją robotę. Rzucić tą nieszczęsną kopertą i nic przy tym nie mówić. W milczeniu i nie bez satysfakcji przypatrywać się reakcji człowieka siedzącego po drugiej stronie.

Kiedy jednak ujrzał jego twarz pełną bólu i cierpienia, usta pod siwiejącym wąsem zaciśnięte w wąską, siną kreskę i czoło poorane poziomymi, głębokimi bruzdami, a w jego oczach dostrzegł dziwne błyski – w jednej chwili i bez żalu porzucił swój zamiar.

– Czy to jest to, o czym myślę? – siedzący za biurkiem odezwał się jako pierwszy.

– Tak, panie Hoffmann – potwierdził przybysz.

Zleceniodawca pokiwał głową z uznaniem.

– Szybko – ocenił. – W tym, co o panu mówią, nie ma krzty przesady, panie Berg...

Przybysz nie odpowiedział. A jako że tamten nie wyciągał ręki po przesyłkę, położył ją wreszcie na blacie, między kałamarzem a dzisiejszym wydaniem „Königer Zeitung”.

– Mam nadzieję, że te dowody pozwolą panu szybko i z korzyścią dla siebie zakończyć tę przykrą sprawę – jednym tchem wyrzucił z siebie Stach.

Cofnął się o krok, jakby w obawie przed reakcją tamtego. Wiedział, że zdradzany mąż jest zdolny do wszystkiego, włącznie ze skierowaniem całego gniewu na posłańca. Hoffmann drgnął. Podniósł nieprzytomny wzrok na gościa, następnie wlepił spojrzenie w leżącą przed nim przesyłkę. Nie trzeba było być wielkim znawcą ludzkiej natury, by stwierdzić, że wolałby nie oglądać zawartości koperty.

Stanisław Berg chrząknął i rzekł:

- Pójdę już, panie konsulu. Jesteśmy rozliczeni, więc...

Wtedy Hoffmann niespodziewanie zerwał się z fotela.

- Nie. Proszę zostać. Niech pan siada! - Wskazał krzesło stojące przy biurku, które najpewniej zajmowali na co dzień współpracownicy bądź interesanci. - Być może będę miał jakieś pytania.

Nie ufa mi - skonkludował Berg.

- Napije się pan czegoś? - zapytał Hoffmann. - Kawy, herbaty, może czegoś mocniejszego? Na frasunek dobry trunek, jak to mówią. No tak, ale to przecie ja mam ambaras, a nie pan. Tylko że milej się pije w towarzystwie, prawda?

Chwilę jeszcze machał rękami niemal przed nosem gościa, jakby chciał przepędzić natrętne muchy, i uśmiechał się niezbyt rozumnie. Była to reakcja obronna, tak naprawdę bowiem człowiek ten znajdował się na krawędzi rozpacz.

- Poproszę o herbatę, jeśli to nie byłby wielki problem - rzekł ze spokojem Stanisław Berg, zajmując wskazane miejsce.

- Jak u siebie w Anglii? - Hoffmann zmusił się do uśmiechu.

- W rzeczy samej, panie konsulu. Jak w Anglii.

Kilka chwil później na biurku pojawiły się, wniesione na tacy przez służącą, dwie piękne, ręcznie malowane filiżanki. Obok nich stały dzbanek z herbatą i mniejszy - z mlekiem. Na talerzyku, który oczywiście nie mógł nie należeć do serwisu, pachniały apetycznie wyglądające ciasteczka. W ogóle wszystko w gabinecie konsula Georga Hoffmanna było ładne, z niezwykłą starannością skomponowane, począwszy od koloru zasłon w oknach, przez obicia mebli, po przedstawiające okręty sztychy wiszące na ścianach.

Takie też było do niedawna jego życie. Niestety, kilka miesięcy temu konsul zaczął podejrzewać, że jego żona, młodsza od niego o lat niemal piętnaście Eleonora, oddała się od niego. O tym, że nie jest mu wierna, jeszcze wtedy nie myślał. Właściwie to nawet bałby się to zrobić. Pochłonięty bez reszty interesami, nie za bardzo wiedział, jak się do sprawy zabrać. Za namową przyjaciół zaczął od prezentów. Najpierw podarował ukochanej przepiękny pierścionek ze szmaragdem, potem sznur pereł. Poprawa, owszem, była, ale na krótko. Eleonora znów zamykała się na całe dni w swoim pokoju, a gdy przyszło do spełniania małżeńskich powinności, coraz częściej wymawiała się niedyspozycją, z bólem głowy na czele.

„Nora przyprawia mi rogi, to pewne!” – wyrzucił z siebie któregoś wieczora, a stało się to po wypiciu sporej dawki koniaku w wąskim gronie zaufanych konsulów.

Wtedy z pomocą przyszedł konsul Heinrich Kastner, wszak od czego są dobrzy przyjaciele. Kastner zaledwie kilka tygodni wcześniej miał bardzo poważne kłopoty ze swoją córką, Leni. Sprawa była świeża, emocje jeszcze nie ostygły, łzy nie wyschły, a sińce nie zniknęły. Nie o wszystkim zresztą Kastner opowiedział i przypuszczali nawet, że nie robi tego nigdy, nawet w gronie tak bliskim.

„Jest jeden taki, który bardzo mi pomógł. Kto wie, może i na twój kłopot znajdzie jakieś rozwiązanie” – powiedział.

Wtedy Georg Hoffmann po raz pierwszy usłyszał o Stanisławie Bergu, prywatnym detektywie legitymującym się wystawioną w Londynie licencją numer sto trzydzieści pięć. Kastner radził jednak przyjacielowi, aby się pospieszył, bowiem człowiek ten po rozwiązaniu sprawy Leni miał wyjechać z miasta. Jeśli jeszcze tego nie zrobił.

Do trafiki przy Victoriastrasse, w której przyjmował detektyw – co, jak mówiono, nie było przypadkiem – Hoffmann jechał bez przekonania. Przeczucie go nie zawiodło, bowiem na dźwięk nazwiska „Berg” sklepikarz tylko bezradnie rozłożył ręce. Konsul zamierzał już wrócić do domu i palnąć sobie w łeb, co pewnie dawno zrobiłby na

jego miejscu niejeden rogacz, gdy w progu pojawił się rzeczony Stanisław Berg. Konsul, mimo że ujrzał w jego ręku sakwojaż, zapytał po prostu, czy przyjmie, tak w drodze wyjątku, jeszcze jedno zlecenie. Może zrobił to po to, by przy spotkaniu ze Stwórcą mieć czyste sumienie. A gdy Berg się zgodził, Hoffmann omal nie rzucił mu się na szyję. Taki był szczęśliwy!

A teraz leżały przed nim efekty pracy detektywa. Jeszcze zamknięte w kopercie, niegroźne niczym dzikie zwierzę, od którego oddzielają człowieka metalowe kraty. Georg Hoffmann podniósł do ust filiżankę, ale nie wypił ani łyka. Spojrzał na kopertę, potem na siedzącego naprzeciwko sympatycznego detektywa. Drżały mu ręce.

- Powinienem? - zapytał nieco enigmatycznie.

- To od pana zależy - odparł szybko Berg.

- W mojej rodzinie nigdy nie było rozwodów. Boże, ja naprawdę nie wiedziałem, że to się tak skończy...

- Tego nikt nie wie.

- Ale przecież ostrzegali mnie: ona jest młodsza, uważaj, bo nim się obejrzysz, znajdzie się przy niej jaki jurny byczek. A ja nie słuchałem. Może gdybyśmy mieli dzieci...

- To zależy tylko od pana - powtórzył z mocą detektyw, odstawiając filiżankę na spodek. Całość zaś odsunął przezornie jak najdalej od przyniesionych przez siebie materiałów; jakoś zawsze szkoda mu było rozbitej porcelany. - Możemy zrobić jeszcze inaczej.

- O czym pan mówi?

- Możemy... spalić tę kopertę bez otwierania.

- Co?

- Miejsca w pańskiej popielnicy, jak widzę, jest dość. Nie będzie znaku...

- Nie, to absolutnie nie wchodzi w grę! - Georg Hoffmann najwyraźniej się przestraszył, by zaraz sapnąć. - Dobra, raz kozie śmierć, jak to mówią.

Zdecydowanym gestem sięgnął po kopertę, otworzył ją, po czym wydobył z niej fotografie; ledwo jednak spojrział na pierwszą, wypuścił

ją z rąk, jakby papier już płonął i parzył.

- O Boże, Boże jedyny... - jęknął.

Najpierw posłał Stachowi nienawistne spojrzenie, a gdy ten nijak na to nie zareagował, ukrył twarz w dłoniach, na których zaczynały się już pojawiać plamki wątrobowe. Za chwilę można było się spodziewać stłumionego szlochu. O, to chyba to.

- Za co, Boże miłościwy, za co... - Dało się zrozumieć kolejną skargę do Najwyższego.

Stanisław Berg westchnął ciężko. Dobrze wiedział, że tak się to skończy. Potarł z zakłopotaniem policzek, zbierając przy okazji grudki kleju, który kilka godzin wcześniej trzymał na miejscu długą siwą brodę staruszka.

Zanim przyjął zlecenie, a stało się to dokładnie osiem dni temu, przeprowadził z konsulem Hoffmannem poważną rozmowę. Jak zwykle chciał się dowiedzieć możliwie najwięcej o istocie sprawy. Jednocześnie ostrzegał zleceniodawcę, że na tym etapie prawda może być dla niego bardzo przykra i bolesna. Konsul zdawał się jednak przekonany co do słuszności swych działań. A gdy przyszło do uzgadniania ceny za usługi, nawet nie mrugnął.

„Miarka się przebrała. Złap pan sukę i przyciągnij do mnie za włosy” - jak to ujął.

Stanisław Berg oczywiście daleki był od stosowania takich metod, przynajmniej na razie, ale działać zaczął. Pierwsze efekty pojawiły się, jak już wspomnieliśmy, po nieco ponad tygodniu. Przez cały ten czas nie kontaktował się ze zleceniodawcą. A kiedy już się to stało, konsul Hoffmann był szczerze zaskoczony i zszokowany - z początku tempem pracy detektywa, a następnie kompromitującymi fotografiami. Emocje zranionego małżonka szybko ustąpiły jednak miejsca zwykłej ludzkiej ciekawości.

- Ja nie muszę oglądać tych bezceństw, to sprawa dla sądu - burknął, energicznie odsuwając od siebie kopertę. Nieco łagodniejszym tonem poprosił: - Proszę mi lepiej o wszystkim opowiedzieć.

- O czym, panie konsulu?

- Jak się panu w ogóle udało do tego dojść? Jeśli to nie tajemnica...

- Właściwie to ma pan rację, tajemnica - odparł sucho detektyw.

Hoffmann był jednak nie w ciemię bity. Nie z takimi siadał do gry, a i na zaszczytny tytuł zasługiwał jak chyba mało który konsul w tym mieście.

- Może cygaro? - Sięgnął do szuflady biurka.

- Z przyjemnością.

Chwilę później głowy obu mężczyzn otoczyły chmury gęstego dymu.

- Znakomite - ocenił Stach, przyglądając się żarowi. - To Ramon Allones?

- Zgadza się - potwierdził Georg Hoffmann. - Innych nie palę.

- Wiedziałem o tym.

- Chyba już to panu mówiłem.

- Mówił pan. Podczas naszej pierwszej rozmowy u pana w domu. Dlatego zdziwiło mnie, kiedy wychodząc, w jednej z popielnic znalazłem niedopałek cygara. Całkiem długi. Ktoś musiał nagle przerwać palenie, w dodatku nie pozbył się opaski z nazwą marki.

- Co pan mówi...

- Wolałem jednak poczekać i sprawdzić, czy mój pomysł, *nomen omen*, wypali. Z tego, co wiem, cygara El Rey del Mundo to dość rzadka marka. Jak pan wie, współpracuję z handlarzem tytoniem.

- Tam przecież pana znalazłem, panie Berg.

- Z Samuelem Cohenem połączył nas przypadek i nie ma potrzeby szerzej o tym opowiadać. Ważne jest to, że kiedy zająłem się pańską sprawą, przyjaźń kogoś takiego okazała się niezwykle przydatna.

- Może pan mówić jaśniej, panie Berg?

- Oczywiście, właściwie to już kończę - uśmiechnął się detektyw.
- Wystarczyło, że udałem się do portu i znalazłem pewien statek, który właśnie do niego wpłynął, w jego ładowniach zaś kilka skrzynek El Rey del Mundo.

- Sprytne - ocenił konsul.

- Niestety, w wyniku nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, choć ze zrozumiałych względów nie chciałbym się tutaj wdawać w szczegóły, skrzynki nie dotarły tam, dokąd miały dotrzeć. Wcześniej wykupiliśmy cały zapas tych cygar ze wszystkich trafik w Königsbergu. Z kilkoma zaprzyjaźnionymi udało nam się dogadać, by przez jakiś czas zapomnieli, że mają tę markę w sprzedaży.

- Sprytne!

- Prawda? Wystarczyło poczekać, aż nałogowca przyprze. Oczywiście istniało ryzyko, że był to ktoś przyjezdny albo po prostu przypadkowy gość. Albo że rzezone El Rey del Mundo zapalił tylko raz. Ale dziś przed południem ptaszek wpadł w pułapkę, a konkretniej: do trafiki mojego przyjaciela. Pojechałem za podejrzanym. W powozie była pańska żona.

Skurcz przebiegł przez twarz Hoffmanna. Nic już jednak nie powiedział.

- Bez trudu udało mi się ustalić numer mieszkania, do którego weszli - ciągnął Stach. - Wtedy sprowadziłem zaprzyjaźnionego fotografa. Resztę już pan zna. Niestety, tylko takie zdjęcia udało nam się wykonać, z daleka, no i przez okno...

Konsul spojrzał smutno na kopertę z dowodami zdrady małżonki i westchnął ciężko. Wiedział już, że nie ucieknie od tematu.

- Jeśli jeszcze mógłbym czymś służyć, panie konsulu... - powiedział Stanisław Berg.

- Nie. To już wszystko. Dziękuję - sapnął z rezygnacją Hoffmann i ponownie sięgnął po kopertę; zrobił to jednak tak niezdarnie, że strącił na ziemię leżący na biurku świeży egzemplarz „Königer Zeitung”.

- O Boże, Boże jedyny... - jęknął znów konsul Georg Hoffmann, łapiąc się za głowę.

Stach podniósł gazetę. Zanim jednak odłożył ją na miejsce, omiótł jednym spojrzeniem pierwszą stronę. Jego wzrok zatrzymał się na fotografii przedstawiającej most nad wodą. I znajomą postać...

2

W szynku Alfonsa Wiedemanna Pod Tłustym Wieprzkiem, ulubionym miejscu spotkań miejscowych policjantów, było gwaro i duszno. Jak zwykle o tej porze, zbliżała się już bowiem siódma wieczorem. Nie obowiązywały tu szarże ani stanowiska, wszyscy siadywali przy jednym solidnym stole z kuflem piwa, czasem nawet po całym dniu o suchym pysku. A potem palili, co kto lubił: cygara, fajki czy papierosy.

Na banalne pytanie o to, jak minął dzień, odpowiadało się tu zawsze szczerze, bez skrępowania i większego zastanowienia. Jeśli do dupy, mówiono, że do dupy. Nikt nie rozliczał tutaj nikogo z rozwiązanych czy nierozwiązanych spraw, spisanych podejrzanych, zażegnanych awantur domowych czy skontrolowanych dziwek. Choć może szkoda? O ile znośniejsza byłaby to służba, gdyby o prowadzonym śledztwie można było dyskutować, jedząc i pijąc Pod Tłustym Wieprzkiem, a nie na odprawie w gabinecie inspektora Franza Wincklera.

Ludwig Schatzki bardzo lubił przesiadywać tu z Herbertem Mischkem, poprzednim partnerem. Gdy jego zabrakło, przychodził sam. Raz tylko, na samym początku współpracy, zaproponował to Tyłowi, jednak gdy ten odmówił, nie ponawiał propozycji. Nie musiał, bo nigdy nie czuł się w tym miejscu samotny.

- Dwa lagery! - zawołał zaraz po przekroczeniu progu lokalu w stronę szynkwasu, a że rządził tam sam Wiedemann, było pewne, że piwo zostanie dostarczone szybko i we właściwe miejsce.

Pojawienie się Schatzkiego przyjęto wesołymi okrzykami. Kto jeszcze nie zdążył pogratulować policjantowi awansu, skwapliwie

czynił to teraz. Niektórzy zapomnieli, że już to zrobili, ale przecie od przybytku głowa nie boli. A okazji do wypicia nikt nie lekceważył.

- Dziękuję, przyjacielu - odpowiedział właśnie na takie gratulacje Ludwig, by za chwilę, w reakcji na to samo, ale z innych ust, rzucić z uśmiechem: - Nie pierdol, Franz.

Gdy wreszcie usiadł, właściciel szynku, który miał miły zwyczaj obsługiwać najważniejszych klientów osobiście, postawił przed nim talerz z jego ulubionym daniem - parującymi frankfurterkami i ziemniakami, a także dwa półkwartowe kufelki lagera.

- Smacznego.

- Dziękuję! - Ludwig popatrzył z apetytem, był to bowiem jego pierwszy posiłek od wielu godzin.

Ledwo jednak zamoczył usta w piwnej pianie, przysiadł się do niego Albert Schäfer, zaprzyjaźniony policjant z dzielnicy Sackheim.

- Co dobrego? - zagadnął.

- Stara bieda - odparł szybko Schatzki, po czym przesunął drugie piwo w kierunku kolegi. - Częstuj się.

- A, dziękuję, dziękuję. Słyszałem, że znaleźliście jedną taką... nimfę wodną.

Ludwig przełknął. Mogłoby się wydawać, że nie spodobało mu się to określenie. Tak jednak nie było. Policjanci, nie tylko ci w Königsbergu, posługiwali się językiem, który czasami mógł być odebrany przez osoby postronne za co najmniej nieprzystojny. Z trupów po prostu żartowano, a znaną pod mostkiem martwą dziewczynę potrafiliby nazwać o wiele gorzej niż nimfa wodna czy topielica.

- Zgadza się - odpowiedział wreszcie Ludwig.

- Ciężko było?

- Dało się znieść.

Albert westchnął.

- Pomyśl o chłopakach z portu, którzy co tydzień muszą oglądać takie rzeczy - rzekł z powagą. - Ktoś po pijaku, w środku nocy idzie

po trapie na swój stateczek, stąpnie nie tak, jak trzeba, i nieszczęście gotowe. Znikąd ratunku.

- Albo narazi się, komu nie trzeba - wtrącił Schatzki.

- I chlup, do starej dobrej rzeki Pregel. Trupy bez głów, napoczęte już przez ryby, z wyżartymi kiszkami. Tutaj miałeś przynajmniej ładną pannę, świeć Panie nad jej niewinną duszą. Z tego, co wiem, nie leżała w wodzie za długo. Pewnie niejednemu z was stanął, co?

Ludwig Schatzki nie odpowiedział. Na szczęście słowa kolegi nie robiły na nim wrażenia, mógł dalej jeść spokojnie. Jedyne wspomnienie dziewczyny sprawiło, że serce znów ścisnął mu żal. Oczami wyobraźni zobaczył ciało wyciągnięte na trawę, szyję i dekolt, po którym ściekały niezliczone strużki wody.

- Najgorsze jest to - zmienił nieco temat - że stary zaczął nam wiercić dziurę w brzuchu dużo wcześniej niż zwykle. Nie wiem, z czym to się wiąże.

- Może dokądś się wybiera?

- Co masz na myśli? - Schatzki podniósł lewą brew.

- Choćby awansik, a co za tym idzie: przeprowadzkę. Może też być tak, że naciskają go dziennikarze. Tam zdaje się niedawno były jakieś awantury i personalne przetasowania. Komuś zależy na zwiększeniu sprzedaży.

- To prędzej. - Ludwig Schatzki sięgnął po kufel i pociągnął solidny łyk piwa. - Zaraz po tym, jak dotarliśmy na miejsce, zjawiała się tam ekipa z „Königer Zeitung”. Chodzili, węszyli. Czuli się wyjątkowo dobrze. Nawet zdjęcia zrobili!

- Tak, widziałem. Teraz na pierwszej stronie znalazłeś się ty, ale jutro może to być trup. Coraz mniej jest tematów tabu, a wydawcy gazet nie cofną się przed niczym.

Ludwig Schatzki skrzywił się na te słowa. Na szczęście gazeta żyła tylko jeden dzień, no, góra trzy. Za tydzień nikt nie będzie już o tym pamiętał.

- I jakie masz pomysły? - Chciał wiedzieć Albert Schäfer, mimo że Ludwig już wcześniej przyznał się do niemocy.

- Pytasz o gryzipiórków?

- Nie, pytam o sprawę.

Polizeirat Schatzki pokręcił głową. W tym miejscu i w towarzystwie tego człowieka mógł sobie na to pozwolić. Schäfer z kolei sięgnął w zanadrze po służbowy notes. Ludwig znał ów brulion bardzo dobrze. Czasami myślał sobie, że jeśli szatan istnieje, to musi mieć bardzo podobny, w którym skrupulatnie zapisuje wszystkie grzechy świata. Stary wyga, chwilę przewracał kartki zapisane drobnym, starannym pismem. Ludwig z uwagą śledził jego ruchy, kilka razy bowiem zdarzyło się, że to właśnie Schäfer podrzucał coś, co pomagało w śledztwie.

Ledwo jednak o tym pomyślał, policjant z dzielnicy Sackheim zamknął notatnik. Ludwig Schatzki spojrzał na kolegę po fachu niczym małe dziecko, któremu odebrano ulubioną zabawkę.

- Myślałem, że będziesz coś dla mnie miał - rzekł niegłośno.

W odpowiedzi Schäfer wyciągnął z kieszeni papierośnicę, otworzył wieczko i podsunął ją niemal pod nos młodego policjanta.

- Zapalisz?

Ludwig bez słowa sięgnął po papierosa. Trzasnęła zapałka.

- Niestety, nie mam nic, co mogłoby ci pomóc, przyjacielu - powiedział Schäfer, by po chwili dodać: - Ale ty jednak coś masz, przyznaj się.

Ludwig Schatzki tylko się skrzywił.

- Wiedziałem! - Albert aż klasnął w dłonie, po czym lekko podniósł się z ławy, podniósł rękę i zawołał: - Panie Alfonsie, jeszcze dwa lagery!

Ludwig Schatzki, co można było wywnioskować z samego nazwiska, był z pochodzenia Polakiem. W ciągu zaledwie dekady dosłużył się oficerskiego stopnia, a ostatnia sprawa, którą rozwiązał, jak już wspominaliśmy, dała mu kolejny awans. Krążyły opowieści, że zeznania potrafił wydobyć nawet od umarłych. Obecni na miejscu zbrodni policjanci nieraz widzieli, jak nisko pochyła się nad nieboszczykiem i słucha.

Co takiego zdradziła mu dziewczyna znaleziona pod mostkiem na Schloss-Teichu? Wszystko, co do tej pory powiedział zarówno Wincklerowi, jak i - mniej oficjalnie - siedzącemu obok Schäferowi, było prawdą. Ale o jednej rzeczy Schatzki nie wspomniał na odprawie, bo czekał na potwierdzenie od lekarza sądowego w raporcie, który najpewniej jutro rano miał wylądować na jego biurku.

- Chyba była w ciąży - rzekł cicho Schatzki.

- No to jesteś w domu! To upraszcza poszukiwania. A teraz pij, bracie, na zdrowie!

3

Były dwa rodzaje sklepów – prócz trafiki Cohena przy Victoriastrasse pod czwartym – do których Stanisław Berg zaglądał najczęściej podczas swego pobytu w mieście nad rzeką Pregel. Jednym z nich był skład Sandelowsky’ego, mieszczący się przy Langgasse pod dwudziestym piątym, na rogu Fleischbankenstrasse. Oferował okrycia, spodnie, koszule, kapelusze, buty, a także niezliczoną ilość dodatków, czyli wszystko, bez czego żaden mężczyzna tak elegancki jak detektyw, obejść się nie mógł. Drugą kategorię stanowiły miejsca, w których można było zaopatrzyć się w niezbędne do przeżycia wiktuały, a także ulubiony trunek Stacha – piwo. W Königsbergu oferowano kilkanaście rodzajów miejscowych browarów, wśród nich Ponarth, Wickbold i Schönbusch, a także znane już Bergowi te z Gdańska i Elbląga. Berg czuł się tu więc jak w raju.

- Czym mogę dzisiaj zainteresować szanownego pana? – przywitał Stacha znajomy subiekt, a było to około dziewiątej rano, nazajutrz po spotkaniu z konsulem i dwa dni przed planowanym wyjazdem Stanisława Berga z miasta i w ogóle Królestwa Prus.

- Dzisiaj przyszedłem po coś innego – rzekł z powagą, która natychmiast udzieliła się również sprzedawcy. - Chciałbym, żeby mi pan podpowiedział.

Stach nachylił się nieco nad kontuarem, rozejrzał się na boki i ściszył głos, aż wreszcie rzekł:

- Wybieram się w odwiedziny do szpitala i nie za bardzo wiem, co ze sobą zabrać.

- To zależy, kogo szanowny pan chciałby odwiedzić.

Do sklepu weszły dwie osoby. Berg wyprostował się machinalnie i odstąpił od lady na pół kroku. Nie potrafił zrozumieć swojego

zachowania. Nie prosił przecie w Aptece Dworskiej Hageny przy Junkerstrasse o pętlę domaciczną ani maść plemnikobójczą (znał takich, którym te słowa nie przeszłyby w ogóle przez gardło!), tylko o coś, co umili drugiej osobie czas spędzony w szpitalnej sali.

Przybyłymi klientami zajął się drugi subiekt. Niestety, ten, który obsługiwał Stacha, po swojemu zrozumiał zachowanie Berga. Szpital, zmieszanie – ani chybi chodzi o kochankę! Pytanie tylko, czy kobita była w lecznicy, bo miała rodzić, czy już urodziła? A może chirurdzy musieli nastawić jej to i owo po awanturze, a teraz czekała, aż zejda opuchlizna i siniaki? Różne typy chodziły po tym świecie. Bywało, że jeden z drugim nosił się elegancko, jak ten tutaj, a w domu robił inny użytek ze skórzanego pasa.

Tak czy inaczej, coś trzeba było powiedzieć.

– Myślę, że najlepiej widziane będą czekoladki. – Sprzedawca obrócił się i sięgnął na półkę. – Polecam Sprüngli & Sohn. Właśnie otrzymaliśmy dostawę ze Szwajcarii.

– Dobrze – zgodził się Stach, jakby odzyskując rezon. – Proszę jeszcze o dwa funty pomarańczy, będzie pan łaskaw wybrać najpiękniejsze.

– Oczywiście.

– I jeszcze jedno piwo.

– A jednak! – Subiekt nie krył satysfakcji.

Berg stał w oknie na ostatnim piętrze szpitala lipnickiego, zwanego dawniej Wielkim Szpitalem, i spoglądał w dół, gdzie szarzały wody rzeki. Był pogrążony w myślach. W stronę zatoki płynął właśnie brudny i odrapany luger; próżno było jednak dostrzec na jego pokładzie choćby jednego członka załogi. A przynajmniej Stach, jako szczur lądowy, tego nie potrafił.

W chwili gdy oderwał wzrok od krypy, na wieży niedalekiego klasztoru benedyktynek rozdzwoniła się sygnaturka, a za plecami

detektywa rozległy się czyjeś kroki. Odwrócił się dopiero, gdy usłyszał kobiecy głos.

- Proszę pana. - Stała przed nim pielęgniarka, drobna i sprawiająca wrażenie wystraszonej.

- Tak?

- Już można. Proszę za mną.

Sięgnął po paczkę, którą kwadrans wcześniej położył był na parapecie, i podążył w ślad za siostrą przez korytarz. Mimo że przebywał w lecznicy od przeszło pół godziny i już trzeci raz w ciągu nieco ponad tygodnia, wciąż drażniła go woń charakterystyczna chyba dla wszystkich szpitali świata: kreoliny, potu, nieuprzątniętych odchodów, medykamentów i gotowanych jarzyn.

Siostra zatrzymała się przed jedną z sal.

- Jeszcze raz przepraszam, że musiał pan czekać, panie Berg - powiedziała. - Ale obchód to u nas rzecz święta i profesor zawsze się gniewa, kiedy widzi w tym czasie na oddziale postronne osoby.

- Rozumiem - bąknął Stach.

Czy jednak rzeczywiście był osobą postronną? W chwili gdy sam sobie zadał to pytanie, powróciło wspomnienie nieodległego dnia, kiedy miał wyjechać z Königsberga. Kto wie, czy nie na zawsze. Siedział już w pociągu oczekującym na odjazd w kierunku miasta Allenstein, skąd przez Toruń miał plan dotrzeć do Łodzi. Pożegnał się z właścicielem trafiki, zamknął drzwi przedziału. Skład ruszył z miejsca i zaczynał powoli nabierać prędkości. Nie wyjechał jednak nawet spod zadaszenia peronu, kiedy wagonami gwałtownie szarpnęło. Ktoś pociągnął za hamulec bezpieczeństwa, a potem rozległ się przerażający krzyk kobiety.

Niewiele myśląc, wyskoczył wtedy ze swojego przedziału i skierował się w stronę, z której doszedł ów hałas. Przebiegł przez korytarz, mijając zaciekawione twarze podróżnych, by po kilku sekundach znaleźć się w sąsiednim wagonie. Pociąg już wtedy stał, lokomotywa sapała, coś brzęczało, jęczało, a z zewnątrz dochodziły podniesione głosy należące do wściekłych kolejarzy. Wtedy po raz

pierwszy zobaczył tę kobietę. Leżała na korytarzu, przy drzwiach drugiego albo trzeciego przedziału. W pierwszej chwili pomyślał, że pasażerka, a była to młodziutka dziewczyna, nie żyje. Dopadł jej w kilku susach, uklęknął, pochylił się. I kamień spadł mu z serca, bo dziewczyna na szczęście oddychała, choć niewiele dzieliło ją od utraty przytomności.

„Nic pani nie jest?” – zapytał.

Mamrotała coś. Jeszcze niżej pochylił się nad jej ustami, chyba nawet lekko nią wtedy potrząsnął. Poskutkowało, bo poszkodowana, ledwo słyszalnie, ale wyraźnie wyszeptała:

„Złodziej... Uciekł...”.

Stach był bezradny. Nie wiedział, czy powinien biec śladem napastnika, którego nawet nie widział, czy zostać przy poszkodowanej. Wybrał to drugie, bowiem dziewczyna, co stwierdził zaraz, miała dość poważne obrażenia, w tym chyba złamaną ręką. Poza tym nikt z podróżnych jakoś się nie kwapił, by przyjść mu z pomocą. Dopiero po dłuższej chwili przybiegł konduktor. Gdy na miejscu zjawili się wezwani na Dworzec Wschodni lekarz i dwaj sanitariusze, Stanisław Berg szybko wrócił do przedziału po swoje rzeczy. Pozwolili mu jechać z raną do szpitala. Wówczas to był w szpitalu lipnickim po raz pierwszy.

Drugi raz wstąpił następnego dnia, ale chora właśnie spała. Ukradkiem, przez szparę w drzwiach przyglądał się tylko gipsowi i owiniętej bandażami głowie. Na tym przyłapał go policjant, który przybył, aby przesłuchać ofiarę i wyjaśnić okoliczności zdarzenia na dworcu. Gdy wachtmeister dowiedział się, że rozmawia z innym świadkiem, nie posiadał się ze szczęścia. Detektyw złożył wyjaśnienia, dzięki czemu oszczędzono mu wizyty na posterunku. I dobrze, bo prowadził już wtedy sprawę konsula Hoffmanna i jego wiarołomnej żony.

- Do trzech razy sztuka - mruknął Stach, przekraczając próg szpitalnej sali dokładnie tydzień później, dużo głośniej zaś się przywitał: - Dzień dobry paniom.

Pojawienie się młodego, przystojnego człowieka nie mogło nie zrobić wrażenia. Tym bardziej na kobietach, tym bardziej takich, które od dłuższego czasu skazane były li tylko na swoje towarzystwo, a jedynymi mężczyznami, których oglądały, byli lekarze. Znaleźć w ich zacnym gronie kogoś przed czterdziestką było niezwykle trudno. Choć zdarzało się.

Ich oczom ukazał się dość wysoki blondyn, o ogorzałej – z powodu nadmorskiego słońca – twarzy. Ubrany wytwornie w szarą twinę, pod nią granatowy tużurek aksamitny i kamizelkę z szewiotu koloru burgunda oraz krawat w biało-niebieskie, ukośne pasy, w którym tkwiła szpilka z główką w kształcie chmielowej szyszki. Ten szczegół można było dostrzec dopiero przy bliższym kontakcie. Niżej uwagę zwracały szare spodnie w lekką kratę. W rękę trzymał nasz przybysz kapelusz kawurowski i rękawiczki paljowe, nie tak dawno kupione w sklepie Sandelowsky'ego.

Jednym słowem na progu ponurej szpitalnej sali stał prawdziwy dandy!

Leżały tu cztery pacjentki, ale jedynie trzy spojrzały na przybysza z zainteresowaniem. Nie było wśród nich tej, dla której przeznaczone były czekoladki Sprüngli & Sohn oraz pomarańcze. Dopiero kiedy stanął przy jej łóżku, łaskawie podniosła wzrok znad czytanej książki.

– Pan do mnie? – zapytała ze zdziwieniem.

Stanisław Berg liczył się i z taką możliwością. Kiedy się poznali, dziewczyna była przecież półprzytomna. Gdy jechali do szpitala, usiłował z nią rozmawiać. Po trosze też dlatego, by wyjaśnić, co właściwie stało się w tym wagonie. Przepytywani kolejarze i podróżni, którzy co prawda z półgodzinnym opóźnieniem (i nadzieją na jego odrobienie) wyjechali z Königsberga, ale wrócili po kilku dniach, nie przypominali sobie nikogo, kto oddalałby się wówczas z miejsca wypadku. No i jeszcze jedno: Berg wciąż nie wiedział, kto pociągnął za hamulec bezpieczeństwa...

– Tak. Ja do pani.

W głębi duszy miał nadzieję, że dziewczyna jednak coś pamięta. I nie przeliczył się! Chwilę tę poprzedziły zmiany w mimice chorej: od zaniepokojenia i zdziwienia, przez zamyślenie, aż do nieśmiałego uśmiechu.

- To przecież pan! - Wycelowała wreszcie palcem wskazującym lewej ręki (prawa wciąż była w gipsie) w pierś przybysza, zaraz jednak cofnęła dłoń, uznawszy pewnie, że taki gest jej nie przystoi.

- Tak, to ja - potwierdził detektyw. - Jak się pani czuje?

Zanim odpowiedziała, podniosła się nieco. Stach przytomnie sięgnął po poduszkę i poprawił ją, aby chora mogła się oprzeć. Wyszło to nawet zgrabnie. Miał wrażenie, że każdy jego ruch jest pilnie śledzony przez pozostałe trzy pacjentki.

Pomijając gips, kobieta wyglądała całkiem dobrze, a przynajmniej lepiej niż wtedy, kiedy widział ją po raz ostatni. Nie miała już obandażowanej głowy, tylko na policzku i skroni widniały zadrapania.

- Dziękuję, dobrze - powiedziała cicho.

Stach przypomniał sobie o prezencie.

- To dla pani. - Położył paczkę na kołdrze, tam gdzie znajdowały się kolana dziewczyny.

Kobieta rozdziawiła usta w zdumieniu, przez dobrą chwilę spoglądała w milczeniu to na paczuszkę, to na człowieka, którą ją przyniósł.

- Z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia - dodał jeszcze, po czym usiadł na okrągłym zydelku, który stał obok łóżka.

W tym samym momencie z korytarza dobiegły głosy, a po chwili w drzwiach sali pojawili się jacyś ludzie. Były wśród nich także dzieci w wieku szkolnym. Po chwili okazało się, że Berg nie jest jedynym, który tego przedpołudnia postanowił odwiedzić bliską osobę w lipnickim szpitalu. Wielce się z tego ucieszył, czuł bowiem, że zachowanie dziewczyny związane było z uważnymi spojrzeniami innych chorych. Teraz kiedy zrobił się rejwach, wreszcie mogli porozmawiać.

- Bardzo panu dziękuję za to, co pan dla mnie zrobił, panie... -
zawahała się.

- Nazywam się Stanisław Berg - skwapliwie przedstawił się
detektyw.

- Jest pan Polakiem z pochodzenia?

- Polakiem w ogóle - odparł z nieskrywaną dumą; jakoś nie
widział w półleżącej przed nim istocie wyznawczyni nauk żelaznego
kanclerza.

- Przepraszam... - zmieszała się.

- Nie szkodzi, panno... - teraz on zawiesił znacząco głos.

- Anne-Marie Fuchs.

Przy sąsiednich łóżkach robiło się coraz głośniej, przede
wszystkim za sprawą dzieci, które już zdążyły się przyzwyczaić do
nowego miejsca. Lada chwila można było się spodziewać interwencji
którejś z pielęgniarek. Odwiedziny odwiedzinami, ale porządek
musiał być, tym bardziej że nie do wszystkich przychodzili goście.

- Przepraszam, że o to pytam... - podjął Stach.

- Tak?

- Czy rozmawiali już z panią policjanci?

- Owszem, wczoraj - odparła panna Fuchs, dużo szybciej niż się
spodziewał. - Było dwóch, zajęło im to ponad pół godziny. Chodzi o to,
że ja niewiele pamiętam z tamtego dnia. Na szczęście zapamiętałam
pana. - Sięgnęła po czekoladkę, ale zaraz cofnęła rękę, przesunęła
pudełko po pościeli tak, by mógł się poczęstować także gość.

- Dziękuję. - Detektyw pokręcił odmownie głową, by zaraz
podnieść się z zydelka. - Niestety, na mnie już czas.

- Wyjeżdża pan? - W głosie Anne-Marie zabrzmiała wyraźna
nutka zawodu.

- Muszę dokończyć podróż, którą zacząłem tamtego dnia.

- A, no tak. To przecież przeze mnie wtedy pan nie pojechał. Nie
wiem, co powiedzieć...

- Nie ma problemu - rzekł z uśmiechem Stanisław Berg. - A
propos, K.P.St.E. okazały się bardzo solidną firmą, ponieważ bilety,

które wówczas nabyliśmy, nie straciły ważności. Trzeba je tylko podstemplować w kasie na dworcu.

- Nie wiedziałam o tym.

Stach miał wrażenie, jakby ta wiadomość nie zrobiła na dziewczynie wielkiego wrażenia. W sumie co się dziwić, pewnie musiała jeszcze spędzić w szpitalu kilka dni i nie w głowie były jej podróże. Przeciągnął palcami po krawędzi ronda kapelusza. Wyglądało, jakby się nad czymś zastanawiał. Wreszcie uklonił się i rzekł:

- Do widzenia.

Wyszedł z sali. Zaraz za drzwiami natknął się na przechodzącego korytarzem mężczyznę w lekarskim fartuchu.

- Morgen - mruknął tylko i przyspieszył kroku, bo chciał jak najszybciej opuścić szpital.

- Przepraszam pana! - zawołał za nim medyk.

Stach miał sekundę, aby spróbować ustalić intencje pytającego. W pierwszym odruchu chciał udać, że nie dosłyszał, jednak zmienił zdanie.

- Tak?

- Przepraszam, że niepokoję. Pamiętam, że był pan przy tej dziewczynie tamtego dnia, kiedy przywieźliśmy ją z Dworca Wschodniego.

- Zgadza się. W czym mogę panu pomóc?

- Chciałem zapytać, czy może wie pan o niej coś więcej. Pytam nie bez powodu, ponieważ przez ten cały czas ani razu nikt jej nie odwiedził. Oczywiście prócz pana...

- Może sierota. - Stanisław Berg wzruszył ramionami i rzekł: - Pan wybaczy, ale jestem już spóźniony...

- To ja przepraszam, że zabrałem cenny czas. Do widzenia.

- Do widzenia, doktorze. - Detektyw mocno uściśnął wyciągniętą w jego kierunku dłoń.

Stanisław podążył w stronę schodów. Jego krok nie był już jednak tak zdecydowany jak jeszcze przed chwilą, przed rozmową

z lekarzem. Jak często bywało w takich wypadkach, niesforne myśli
plątały mu się między nogami.

4

Ludwig Schatzki odprowadził wzrokiem mężczyznę, który szybkim krokiem, miarowo postukując laseczką o bruk, opuszczał teren szpitala na Lipniku. Przez chwilę wydawało mu się nawet, że to prywatny detektyw, z którym rozwiązali niedawno sprawę niebezpiecznego oszusta.

Tak, udało im się stworzyć całkiem zgrany i, co najważniejsze, bardzo skuteczny duet. Razem liczyli siniaki i zadrapania, wachali proch, razem też pili, w zależności od pory dnia, piwo i czarną kawę. Niestety, detektyw musiał wyjechać do Łodzi, a zatem osobnik, którego Ludwig przed chwilą widział, nie mógł być Bergiem. Swoje robiła pewnie odległość, a także fakt, że Schatzki wiele by dał, żeby to jednak był on. Jak niczego innego potrzebował bowiem w tej chwili komuś się wygadać. Poddychać świeżym powietrzem – to też, bez wątpienia, ale wylać wszystkie żale przede wszystkim.

A nagromadziło się tego całkiem sporo. Kilka chwil wcześniej zatrzasnął za sobą drzwi kostnicy. Przebywali tam z Klausem Tylem od bladego świtu. Był to chyba pierwszy przypadek, że Ludwigowi nie przeszkadzała woń cebuli, którą tradycyjnie wydzielał z siebie jego nowy współpracownik. Wolał ją niż smród trupiarni.

- Do widzenia - usłyszał obok siebie starczy głos.

Minęła go para staruszków. Byli to jedni z wielu ludzi, którzy w ostatnim czasie zgłosili w komisariatach na terenie Königsberga zaginięcie bliskiej osoby. Ci, którzy nie doczekali się powrotów – chcieli lub nie – musieli odwiedzić kostnicę, by sprawdzić, czy to na pewno nie ich spotkało nieszczęście. Kierowani na Lipnik przez policjantów ze swoich dzielnic, z duszą na ramieniu przekraczali próg

pomieszczenia; wyjątkowo o własnych siłach, bo wiadomo, jak wszyscy prędzej czy później trafimy do trupiarni.

- Tak, do widzenia... - mruknął w roztargnieniu Schatzki.

Staruszkowie coś między sobą poszeptali, a kobieta odwróciła się przez ramię i posłała policjantowi zimne spojrzenie. Ten zmełł w ustach przekleństwo. Bo przecież powinni być wielce radzi, że idą w tej chwili pod rękę. Że idą, że nie leżą na ten przykład na ziemi i nie próbuje się ich cucić solami trzeźwiącymi! Wreszcie, do cholery, że młoda kobieta, którą znaleziono pod mostkiem na Schloss-Teichu, nie była zaginioną wnuczką czy późną córką pary staruszków.

- Już lepiej? - dopytywał Tyl.

- Lepiej będzie, kiedy za osiem godzin usiądę nad stekiem w szynku - odparł Ludwig niegłośnie i bez złości. - Może i ty wreszcie się skusisz, co?

Zamiast odpowiedzieć, Tyl kopnął czubkiem buta jakiś niewielki kamyk, po czym splunął jego śladem.

- Nikt jej nie rozpoznał - mruknął, nie kryjąc niezadowolenia.

- To już wszyscy?

- Tak mi się wydaje.

- Dla tych ludzi to dobrze, bo chyba lepiej jeszcze trwać w niepewności niż szykować się do pogrzebu. Tak myślę. Dla nas trochę gorzej, bo to dodatkowa robota. - W Ludwigu odezwała się natura nauczyciela, którym zresztą pewnie by został, gdyby nie wybrał pracy w policji. Matka wolała widzieć w nim belfra, bo zawsze drżała o syna, ojcu do końca szczęśliwie udawało się zachować bezstronność. - Ciesz się. Po prostu się ciesz, bracie!

- A to niby z czego? - As z Tylży spojrzał pytająco na partnera.

- Choćby z tego, że nikt cię nie obrzygał. Że nie masz na sobie na pół przetrawionej jajecznicy. - Chciał jeszcze dodać „z cebulką”, ale zmilczał. Zamiast tego zaordynował: - A teraz wynośmy się stąd.

- A jeśli jednak ktoś jeszcze przyjdzie?

- Jeśli ktoś ją rozpozna, na co w głębi duszy liczę, to wachtmeister Hoffman nas powiadomi. Powiedziałeś mu, że ma

zostać, tak?

- Zaraz to zrobię. - Tyl nie wiadomo czemu nagle zaczął ostukiwać się po kieszeniach marynarki, jakby czegoś w nich szukał.

Dwie minuty później ze szpitalnego dziedzińca ruszyła czarna policyjna berlina.

„No to jesteś w domu” - siedzący w kącie powozu Ludwig Schatzki przypomniał sobie słowa, które wczoraj wieczorem wypowiedział w szynku Albert Schäfer.

Zabawili tam jeszcze przez jakiś czas, ale Ludwig jakoś stracił melodię do picia. Wiedział, co czeka go następnego ranka w kostnicy, gdzie lądowały wszystkie niezidentyfikowane trupy. Ale chociaż nikt nie rozpoznał zmarłej, Ludwig miał powody do zadowolenia. Intuicja znów go nie zawiodła: znaleziona w wodzie dziewczyna nosiła w sobie dziesięcioletni płód, co potwierdził raport patologa.

- Dokąd my właściwie jedziemy? - zapytał Klaus Tyl, bezceremonialnie przerywając Schatzkiemu jego rozmyślenia.

- Ty zdać relację staremu - odparł szybko oficer. - Oczywiście wcześniej musisz zebrać raporty od wszystkich chłopaków z terenu, którzy od wczoraj chodzili po dzielnicach sąsiadujących ze stawem i pokazywali ludziom fotografię topielicy. Może któremuś z nich udało się jednak czegoś dowiedzieć. A jutro będą mogli zacząć od nowa, tym razem jednak we wszystkich szemranych miejscach, gdzie można po cichu spędzić płód.

- Nie lepiej było pozwolić dziennikarzom, żeby opublikowali podobiznę w „Königer Zeitung”? Albo w jakiegokolwiek innej gazecie? - zachnął się nowy.

Ale Ludwig Schatzki nie odpowiedział. Przez kilka chwil wpatrywał się w krajobraz przesuwający się w okienku berlina. Gdyby ktoś go nie znał, ujrzałby w nim w tym momencie jednego z tych wielu trawionych przez dekadentyzm młodych ludzi, którzy

marnowali życie w artystycznych kawiarniach od Paryża aż po Kraków.

- Ty, a co z nią będzie, jak nikt nie zgłosi się po zwłoki? - zapytał Tyl.

Pytanie nie mogło dziwić, boć przecież człowiek ten mieszkał i pracował w wielkim mieście dopiero od niedawna, więc nie o wszystkich zwyczajach jeszcze wiedział.

- Najpierw trafi na uniwersytet - odrzekł półgębkiem Ludwig, niechętnie oderwawszy wzrok od okienka powozu.

- Nie rozumiem.

Ale Schatzki nie pociągnął tematu, nowy zresztą też wydawał się zbity z pantafelku. Jego czoło przez chwilę orały poziome zmarszczki.

- A ty dokąd się wybierasz? - Chciał wiedzieć.

- Mam spotkanie.

- Spotkanie?

- Ważne. Coś w rodzaju konsultacji.

- Konsultacji?

- Zgadza się. Spotkamy się w Prezydium po szóstej po południu. Mam nadzieję, że każdy z nas będzie miał w tym rozdaniu mocne karty.

5

Dwunastoletni Oskar Radtke zmienił się wręcz nie do poznania! Jeszcze nie tak dawno trudno mu było przejść na ulicy obojętnie obok zamysłonej paniusi, by... nie wyrwać jej z ręki torebki. A przynajmniej spróbować. Liczył się z tym, że baba zacznie go okładać parasolką po głowie, a może nawet razi boleśnie obcasem, bo i tak się zdarzało. Wszystko to jednak miał ten nasz Radtke, częsty bywalec komisariatów i aresztów, wliczone w koszt. Także ewentualność spotkania z policjantem, na przykład takim Schulzem. Była to wyjątkowa kanalia, bo nigdy nie patrzył, gdzie bije. Znali go do dobrze w całym Königsbergu - i to nie tylko ci, co mieli diabła za skórą.

Z innych, nieco lżejszych grzeszków Oskara należałoby wymienić handel przynoszonymi z portu towarami, które, jak to niewinnie określał, „były niepotrzebne”. Oczywiście odpowiadał tak tylko wtedy, gdy ktoś w ogóle zapytał. Nie pogardził chłopak niczym, co można było zamienić na żywą gotówkę. Nawet jeśli było to mięso, które już dostawało nóg. Było tylko schować do kieszeni marki od kucharza w restauracji.

Ale to już była przeszłość. Od niemal dwóch tygodni Oskar Radtke niczego nie ukradł, na nikogo nie wyskoczył z nienacka, nikogo nie doprowadził do łez ani do ciężkiego zatrucia pokarmowego. Trudno to było pojąć zarówno znajomym paserom, którzy czekali, aż przyniesie im kolejny łup, jak i policjantom, których świerbiły łapska. Ale fakt pozostawał faktem: chłopak porządniał z dnia na dzień. Zaczął się nawet czesać!

Tego dnia od rana dyżurował w porcie. Siedział na żeliwnym knechcie, który oplatała gruba jako jego własne ramię lina

cumownicza statku. Był gotowy na każde skinienie, każde wezwanie. O, choćby takie:

- Oskar! - rzucił znajomy szyper, Litwin.

Chłopak chyżo zeskoczył z knechta i w kilku susach zbliżył się do burty lugera.

- Jestem - zawołał ochoczo i podobnie się prezentował: stał wyprężony niczym żołnierz przed dowódcą.

- Potrzebna dodatkowa para rąk do rozładowania tej cholernej kropy. Gdzieś mi się bliźniaki zapodziały, a zaraz będzie transport.

- Da się załatwić!

- No to już.

To powiedziawszy, szyper sięgnął do kieszeni spodni i wyjął kilka monet. Nie rzucił ich jednak w stronę chłopaka, jak pewnie zrobiłby niejeden na jego miejscu, ale wręczył z nabożną wręcz powagą. Takie gesty, może dla innych nieważne albo po prostu niezauważalne, jeszcze bardziej utwierdzały dwunastolatka w przekonaniu, że jest na właściwej drodze. A nawet gdyby zdarzyło się, że ktoś zwróciłby się do niego jak kiedyś z lekceważeniem czy pogardą, Oskar Radtke nie dałby się sprowokować.

Zniknął w ładowni. Kiedy pół minuty później ponownie pojawił się na pokładzie z drewnianą skrzynią w rękach, przy nabrzeżu zatrzymał się furgon. Na jego malowanej na zielono burcie żółtą farbą wypisano nazwę restauracji albo innego hotelu. Oskar miał spory problem z czytaniem, ale i to zamierzał w najbliższym czasie zmienić.

- Dawaj tutaj, chłopcze. Dawaj! - Siedzący na koźle starszy mężczyzna ruchem głowy wskazał na tył powozu.

- Się wie, szefie! - rzucił Oskar wesoło i chwacko, mimo że ładunek, który dźwigał, do najbliższych nie należał i musiał wykazać się wielką siłą woli - i nie tylko - żeby nie stękać.

Chwilę później skrzynka stuknęła o dno furgonu. Sapnięcia chłopaka nie było słychać. Wyprostował się, obrócił i oparł plecami o krawędź podłogi. Spojrzał na port, przymrużył oczy. Wiedział, że nie może Leserować. Nie tylko dlatego, że wziął zapłatę z góry.

Zmierzając znów w stronę ładowni, minął podobnych jak dwie krople wody, trochę starszych od siebie chłopaków. Też nieśli skrzynki, więc byli to pewnie owi bliźniacy, o których wspominał szyper i którzy się odnaleźli. Czy na szczęście, tego Oskar nie był pewien. Bał się, czy nie potraktują go jak intruza, który wszedł im w paradę. Ale tak się nie stało. Jeden z braci mrugnął do niego okiem, a drugi się uśmiechnął. Gdy skończyli, usiedli na nabrzeżu. Pierwszy bliźniak wyjął paczkę papierosów i poczęstował Oskara, ten jednak zdecydowanie pokręcił głową.

- Nawet nie potrafię - skłamał, by nie robić mu przykrości.

- Jeszcze się nauczysz. - tamten nie cofał ręki.

- Nie namawiaj go - fuknął drugi i zaraz sam zapalił papierosa z gracją pruskiego grafa.

Przez chwilę milczeli, majtając nogami i obserwując z zaciekawieniem statki wchodzące i wychodzące z portu. Był to jeden z tych dni października, w których zapominało się, że lato minęło i wkrótce nadejdzie prawdziwa jesień, a po niej zima. Od zatoki wiał ciepły wiaterek, świeciło słońce.

- Na mieście mówią - ciszę przerwał jeden z bliźniaków, rzucając niedopałek do wody - że miałeś ty niedawno pewien wypadek.

- Ja? - zdziwił się Oskar Radtke.

- No przecie nie ja ani nie brat - zachnął się chłopak.

- Mówią - wtrącił się wspomniany - że ktoś cię wziął ze sobą na skok. I to nie byle gdzie, a na giełdę. Planowali ją wysadzić w powietrze, ale coś nie zagrało. Zamoczył się trotyl, a z tego, co zostało, było tylko małe bum. Ale miałeś pecha, byłeś najbliżej. Zostawili cię przysypanego kamieniami.

- A kiedy cię odkopali, znaleźli zupełnie innego człowieka. Prawda to? - chciał wiedzieć pierwszy z braci, spoglądając z ukosa na młodszego towarzysza.

Oskar przez dłuższą chwilę kręcił nieznacznie głową. Owszem, słyszał tu i ówdzie o tym, co wydarzyło się na giełdzie. Jednak wszystkie opowieści, jak to zwykle bywa, dalekie były od prawdy.

- Może tak, może nie... - rzekł wreszcie, nie chciał bowiem denerwować kamratów, bo zależało mu na tej znajomości. - Ważne, że jestem dzisiaj zupełnie inny. I że wiem, komu to zawdzięczam...

Nagle zamilkł. Siedzący po jego prawej i lewej stronie z początku nie zwrócili na to uwagi: jeden dopalał papierosa, drugi z pasją dłubał sobie brudnym paznokciem w zębach. Dopiero po dłuższej chwili cisza ich zaniepokoiła.

- Komu to zawdzięczasz? - zapytał ten, który palił wolniej i uważniej słuchał.

- Jemu - odparł głucho Oskar Radtke, wciąż spoglądając nieruchomo przed siebie. - To wszystko on sprawił...

Bracia spojrzeli na siebie ponad głową dwunastolatka, a potem, chcąc nie chcąc, także tam, gdzie on spoglądał. O kogo, do diaska, mogło chodzić? Czy o tego faceta podobnego do wieprza, którego wszystkie części garderoby uszyto z tego samego materiału w wielką, żółto-czarną kratę? A może tego małego, skośnookiego człowieczka w kapeluszu przypominającego garnek? Przybysze z dalekiej Azji bardzo często schodzili tu na ląd.

Jeden z bliźniaków już otwierał usta, by zażądać dodatkowych szczegółów, ale Radtke był szybszy: zerwał się z miejsca i pognął pędem wzdłuż nabrzeża, przeskakując przez napięte cumy statków. Była to szczególnie niebezpieczna zabawa, podczas której wielu młodych ludzi zostawiało zęby na brzegu. On jednak biegł dalej, w sobie tylko wiadomym kierunku. W pewnej chwili zatrzymał się, wsparł rękoma o kolana. W jego oczach pojawiły się łzy.

- Panie Berg! - wysapał z największym trudem, przeklinając wszystkie chwile, kiedy sięgał po papierosy. - Panie Stachu...

Pragnienie ujżenia człowieka, który całkowicie zmienił jego życie, człowieka, o którym Oskar myślał, że już nigdy go nie zobaczy, wygrało z niemocą. Chłopak rzucił się z impetem do przodu. Niestety, to samo pragnienie nie mogło wygrać z człowiekiem potężnej postury, który nieoczekiwanie wyrósł przed chłopakiem, ledwo ten wpadł

w jedną z portowych uliczek, gdzie, jak sądził, zniknął znajomy detektyw...

6

Ludwig Schatzki wysiadł z policyjnej berliny na Wagnerstrasse, kilkadziesiąt kroków za gmachem kliniki okulistycznej, nieopodal wejścia do Ogrodu Botanicznego. Począł, aż powóz odjedzie, wsunął ręce w kieszenie spodni i umiarkowanie szybkim krokiem ruszył na północ. Nie chciał, aby stangret znał dokładny adres, pod który się udał. W ostatnim czasie mało komu w Prezydium policji ufał. Właściwie po śmierci Mischkego nie ufał już nikomu.

Minutę później Schatzki obejrzał się za siebie i gwałtownie skoczył w bok. Wpadł w bramę kamienicy. Przeciął podwórko. Potem jeszcze jedno przejście i jeszcze jedno podwórko, tym razem węższe i podzielone przez sznury do suszenia prania. Na szczęście tylko na niektórych powieszono poszwy i prześcieradła, tudzież męskie koszule i ineksprymable. Tego dnia w tym kwartale ulicy dzielnicy Steindamm dominował kolor biały.

Schatzki minął przydomowe ogródki z drzewkami. Tu i ówdzie trzymały się jeszcze jabłka, które, mimo że dawno przejrzałe, nie spadły jeszcze na ziemię. Wreszcie zatrzymał się pod ścianą trzypiętrowej kamienicy. Schylił się i podniósł z ziemi niewielki kamyk, po czym rzucił nim w jedno z okien na pierwszym piętrze. Rozległo się brzęknięcie. Mężczyzna przygryzł wargi. Wyglądał jak sztubak, który planuje zrobić komuś kawał. Spojrzał na boki, czy nikt go nie widział.

- Ludwig? - dobiegło z góry. - Co ty tutaj robisz?

Z okna wychylała się jasnowłosa dziewczyna.

- Są? - zawołał stłumionym głosem.

- Nie. Siedzę sama.

- Mogę wejść?

Pół minuty później stał przed solidnymi, pomalowanymi na zielono drzwiami z wielką mosiężną trójką i wykonaną z tego samego materiału tabliczką. E. D. KOMOROWSKI - informował stylizowany, pełen niepotrzebnych zakrętów i zdobny w liście napis. Poprawił włosy i delikatnie zapukał.

- Piekło zamarzło? - Usłyszał dużo szybciej niż się spodziewał.

- Ciebie też miło widzieć, Elizo - powiedział, uśmiechając się do stojącej na progu mieszkania dziewczyny. - Mogę wejść?

- Powtarzasz się.

Za każdym razem, kiedy wchodził do tego mieszkania, czuł się podobnie. Może za sprawą zapachu zapastowanej podłogi, pomieszanego z waniliowym aromatem fajki, którą palił gospodarz, i świeżo upieczonego ciasta? Tak, w tym domu ciasta piekło się bez przerwy i nie zdarzyło się, by Ludwig podczas wizyty nie został poczęstowany. Do tego wszystkiego należało jeszcze doliczyć woń książek, bo to one zajmowały lwią część każdego pomieszczenia. No, może poza kuchnią i łazienką.

- Wszystko dobrze? Czego się napijesz? - dopytywała blondynka.

Była naprawdę ładna i kilka lat młodsza od Schatzkiego. Gość nie odpowiedział na pytanie, dziewczyna jednak zdała się tego nie zauważyć, bo niestrudzenie nagabywała dalej:

- A może jesteś głodny, co? Jest jeszcze trochę kury z obiadu...

- Nie przyszedłem do ciebie, aby jeść, Elizo - odpowiedział, starając się, aby wypadło to możliwie łagodnie i grzecznie.

Nie chciał jej w żaden sposób urazić. Był na straconej pozycji, długi czas rozważał, czy tutaj w ogóle przyjść. I wiele razy usiłował sobie wyobrazić ten moment, kiedy staje przed drzwiami z mosiężną trójką. Staje jak tyle razy wcześniej, a jednak inaczej. Co wówczas powie, jak się zachowa? I pewnie dalej scena ta odbywałaby się tylko w jego wyobraźni, gdyby nie zdarzenie sprzed dwóch dni...

- Ale herbaty się napijesz, prawda? - zapytał Eliza.

- Z przyjemnością - uśmiechnął się przybysz.

- Klementyna ma dzisiaj wychodne, ale to chyba jeszcze potrafię... - rzekła jakby do siebie, otwierając pierwszą z brzegu kuchenną szafkę w poszukiwaniu puszek ze wspomnianą herbatą.

- Co u Klementyny? - zapytał Schatzki, rad z nowego tematu, który można było pociągnąć choć przez chwilę.

- Wciąż nie do zdarcia. O, jest. Znalazłam! - Potrząsnęła z zadowoleniem blaszaną kolorową puszką niczym dziecięcą gruchawką.

Potem przyszedł czas na nastawienie wody. Pod kuchnią tlił się co prawda płomyk, ale dziewczyna nie potrafiła sobie poradzić z jego zwiększeniem. Klęczała przed otwartymi drzwiczkami i przez dłuższą chwilę uderzała pogrzebaczem o dno, było jednak jasne, że bez służącej, czyli wspomnianej Klementyny - bieda.

- Daj. Ja to zrobię. - Ludwig wyciągnął rękę, ale dziewczyna nie zareagowała.

Wtedy zrobił to, co winien zrobić każdy szanujący się mężczyzna: po prostu wyjął jej z dłoni narzędzie. Mógł chwycić za metal, ale chwycił wyżej, dotykając jej ręki. Eliza drgnęła. Spojrzała na Schatzkiego. Szybko odwróciła głowę. Był pewien, że w jej oczach pojawiły się łzy.

- Przepraszam - bąknął, prostując się.

Nic nie powiedziała. Sięgnęła po leżący w pojemniku na węgiel egzemplarz „Königer Zeitung”. Ludwig już wcześniej go dostrzegł i rozpoznał, mimo że gazeta była tak złożona, że jego fotografia znajdowała się w tym momencie gdzieś w środku. W tym momencie bardzo mu to odpowiadało, choć było mało prawdopodobne, żeby domownicy przeoczyli jego zdjęcie.

- To po co właściwie przyszedłeś? - zapytała, a jej słowom towarzyszył niezbyt przyjemny odgłos darcia papieru.

- Bo piekło zamarzło?

Kolejny pasek papieru trafił do pieca. Ujrzawszy, jak płomień trawi jego własną twarz, Ludwig Schatzki doznał dziwnego uczucia. Dotąd zawsze odpędzał od siebie myśli o przemijaniu. Ze śmiercią

stykał się na co dzień i ktoś mógłby pomyśleć, że jest z nią oswojony, podobnie jak lekarze medycyny sądowej, pracownicy kostnicy czy zakładu pogrzebowego. I chociaż podczas swej ponaddziesięcioletniej służby widział zarówno trupy starców, ludzi w sile wieku, jak i dzieci, jakoś nigdy nie pozwolił sobie myśleć o własnym końcu...

- No i się pali - rzekła z zadowoleniem Eliza, zamykając drzwiczki. Pohałasowała chwilę fajerkami, by wreszcie postawić na nich czajnik z wodą. - Tak, widziałam, czytałam. Jestem pewna, że i tym razem szybko znajdziesz zabójcę.

- Skąd wiesz, że to było morderstwo?

- Nie wiem. A nie?

Dziewczyna oparła się plecami o krawędź kuchennej komódki, splotła ręce na piersiach i zaśmiała się przesadnie głośno.

- Na pewno i z tym poradzi sobie as Prezydium policji w Königsbergu! - rozsądziła. - Nie trzeba mu tylko przeszkadzać, proszę państwa. Jest to co najmniej niewskazane. Musi być skupiony bez reszty na prowadzonym śledztwie. I nic, powtarzam, absolutnie nic nie powinno go od niej odciągać. A już na pewno nie życie rodzinne!

Wytrzymał do końca. Był na to przygotowany.

- Masz rację - mruknął.

Od czasu kiedy Eliza Komorowska i Ludwig Schatzki zerwali zaręczyny, minęło już niemal pół roku. Któregoś wieczoru usiedli w jej pokoju i zaczęli rozmawiać. Schatzki był właśnie w trakcie rozwiązywania sprawy podwójnego zabójstwa na Haberbergu, którą prowadził jeszcze z Mischkem. Nie potrafił sobie z nią poradzić, a bliskość ukochanej osoby, zamiast ukoić nerwy, przynieść spokój i ułatwić zebranie myśli, przeciwnie - tylko go drażniła! Co chwila spoglądał na zegarek, kilka razy nawet, co nie zdarzało się nigdy, wyjrzał przez okno. Nie potrafił się skupić na niczym, o czym mówiła Eliza.

A mówiła o rzeczach ważnych. Tego wieczoru mieli bowiem po raz pierwszy porozmawiać o szczegółach ich ślubu i wesela, które

zaplanowali na Boże Narodzenie 1895 roku. Należało się zastanowić nad listą gości, przypomnieć sobie, z kim się jest pokłóconym bardziej, a z kim trochę mniej. Kto pije za dużo, a kto wcale. I co na to wszystko ciotka Stefańska z Malborka. Komorowska na głos snuła plany, roztaczała wizje, jednocześnie coś notując. Za oknem mogłaby rozpętać się burza z piorunami albo strzelanina, a i tak nie było to w stanie przeszkodzić przyszłej pannie młodej. Wkrótce miało się przecież ziścić jej największe marzenie! Kiedy jednak Ludwig po raz drugi wyjrzał przez okno, dostrzegła, że z jej narzeczoną coś było nie tak. A może to był już trzeci raz?

„Czy ty w ogóle mnie słuchasz?” – zapytała wtedy.

„Tak. Oczywiście” – odparł Ludwig.

Niestety, nie zdołał się powstrzymać przed kolejnym zerknięciem na zegarek. I to był kamyk, który poruszył inne. Elizie nie trzeba było więcej. Z trzaskiem zamknęła kajecik, w którym robiła notatki. Lawina ruszyła.

„Obawiam się, że jest inaczej. Może ja cię nudzę, co?!” – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Słuchał z najwyższym zdziwieniem. Nigdy jej takiej nie widział. Najgorsze było jednak to, że nie potrafił wykrztusić z siebie słowa, co dla niej było kolejnym dowodem jego obojętności. Kajecik z marzeniami wylądował na podłodze, jego właścicielka zaś gwałtownie wstała z otomany. Nauczony grzeczności Ludwig Schatzki uczynił to samo. Podniósł się jednak zbyt sprężyście, w dodatku w tym samym momencie dziewczyna chciała się schylić po upuszczony w przypiływie złości zeszyt. Głowa narzeczonego trafiła prosto w jej nos.

„Boże!” – krzyknęła, łapiąc się oburącz za trafione miejsce.

Traf chciał, że korytarzem przechodziła akurat matka Elizy, Elżbieta. To ona była ową wielką literą „E” na tabliczce na drzwiach mieszkania państwa Komorowskich. Usłyszawszy krzyk córki, zdecydowanie nacisnęła klamkę drzwi jej pokoju. Zawsze pukała, nim

weszła, teraz jednak nie była zdolna do racjonalnego myślenia. Wtedy pomiędzy palcami Elizy dostrzegła krew.

Nic nie powiedziała. Nadeła się tylko i energicznym gestem pokazała już byłemu zięciowi drzwi. Wiedział, że tłumaczenia na nic się zdadzą. Po drodze zgarnął kapelusz i laskę. Eliza ocknęła się dopiero w chwili, gdy usłyszała trzaśnięcie drzwiami. Od tamtej pory się nie widzieli; no, może ze dwa razy wpadli na siebie na ulicy, pozdrowili się jak cywilizowani ludzie i rozeszli w przeciwnie strony. Schatzkiego bez reszty pochłonęły praca, kolejne sprawy, które należało rozwiązać, i przestępcy, których miał obowiązek wsadzić za kratki. Owszem, planował wyjaśnić nieporozumienie, ale jakoś się nie zabrał...

O tym wszystkim myślał Ludwig, pijąc herbatę, którą Elizie udało się w końcu szczęśliwie zaparzyć. Znow siedzieli w jej pokoju, w którym od tamtego pechowego wieczoru nie zmieniło się nic – oko gliniarza nie myliło Schatzkiego.

- Pyszna herbata – ocenił.

- Dziękuję.

Ostrożnie, aby nic nieprzewidzianego znow się nie stało, odstawił na stolik pełną do połowy filiżankę malowaną w róże. W głowie miał mętlik. Raz chciał przeproszać, by za chwilę odpędzać od siebie ten zamiar. Prawda była taka, że bez Elizy żyło mu się... jakoś. A skoro tak, to po kiego ślub, wesele i cała ta szopka dla rodziny?!

- Przepraszam, że nie zaglądałem do ciebie przez ten cały czas – powiedział. - Nawet nie wiem, kiedy to zleciało. Ale to nie powinno się tak skończyć. Na pewno nie! Wszystko przez tę psią służbę. Masz całkowitą rację, Elizo. Zrozumiałem to dwa dni temu...

- Czy to ma związek ze sprawą, o której pisano w gazecie? – zapytała Eliza.

- Tak.

- Ta dziewczyna... – Eliza się zawahała, ale tylko na chwilę. - Wydała ci się podobna do mnie, co?

Nie odpowiedział. Siedział sztywno ze wzrokiem wbitym w podłogę. Dokładnie tak samo jak kiedy był w tym pokoju po raz pierwszy jako konkurent, dwa lata temu. I pół roku temu, kiedy był po raz ostatni. Nie doczekawszy się odpowiedzi, Komorowska, zresztą nie po raz pierwszy tego popołudnia, sama sobie jej udzieliła:

- Tak. Przypomniała ci, że jest ktoś taki jak ja. Kto czeka i tęskni, a może już się pocieszył po tym, co się stało, kto wie! Jest chyba wiele racji w tym, co o tobie mówią.

- Że co?

- Że gadasz z nieboszczykami.

- Przesada.

- W tym przypadku, co prawda, nie dowiedziałeś się niczego, co mogłoby pchnąć do przodu twoje śledztwo, rzecz w tej chwili najważniejszą na świecie, ale... Cóż, szkoda tylko, że nie będę mogła jej za to podziękować...

Ludwig ukrył twarz w dłoniach i przez dłuższą chwilę kręcił głową.

- Nie mów tak - rzekł w końcu. - Po prostu nie mogłem odegnąć od siebie myśli, że... Że to mogłaś być ty. Wciąż nie wiem o tej sprawie prawie nic. Nie ustaliłem nawet, czy to było samobójstwo, czy morderstwo. Jeśli to drugie, sprawca wciąż jest na wolności i nie wiadomo, co mu chodzi po głowie. Może kolejne ataki na kobiety?

Wykrztusił to w końcu, mógł odetchnąć z ulgą. Niewiele go obchodziło, co powie na to wszystko Eliza. Najważniejsze, że widział ją całą i zdrową. To właśnie były te ważne konsultacje, o których powiedział Tyłowi. Konsultacje z samym sobą, z własnymi słabościami i chorymi wyobrażeniami.

- Przepraszam cię na chwilę. - Eliza podniosła się z otomany.

Ludwig Schatzki poderwał się również, zapinając machinalnie guzik surduta. Gdy dziewczyna opuściła pokój, otarł pot z czoła. Sięgnął po filiżankę i jednym haustem dopił wystudzoną już herbatę, bo zaschło mu w gardle. Przeraził się, kiedy spojrzał na zegarek (pierwszy raz od chwili, kiedy przekroczył próg mieszkania państwa

Komorowskich). Powinien być już w drodze do siedziby Prezydium policji! Nie cierpiał spóźniać się na spotkania, a tym bardziej nie mógł tego zrobić, gdy oczekiwał go nieopierzony partner...

Ruszył ku drzwiom. Zaraz za progiem pokoju zauważył Elizę.

- Wychodzisz? - zapytała pierwsza.

- Muszę. Czekają na mnie - powiedział, sięgając po paltot.

- Boisz się spotkać moich rodziców, przyznaj się.

Włożył kapelusz. To jakoś przydało mu animuszu.

- Nie. Chętnie się z nimi spotkam - rzekł, pociągając za przednią część ronda. - A teraz muszę iść. Odezwę się, obiecuję! - zawołał już zza progu mieszkania.

Eliza otworzyła usta, by coś powiedzieć, bo zawsze lubiła mieć ostatnie słowo; niechby i rzucone w mroczną czeluść klatki schodowej. Nie bała się reakcji sąsiadów. Ale w końcu zrezygnowała. Poczekała tylko, aż ucichną kroki zbiegającego po schodach Ludwiga, po czym wreszcie zamknęła drzwi.

Oparła się o nie plecami i zapłakała. Powody były dwa.

7

Ludwig Schatzki wyskoczył z pędzącej dorożki na rogu Münzstrasse i Junkerstrasse. Był już nieźle spóźniony, więc w myślach usiłował układać słowa wymówki. Nic sensownego nie przychodziło mu jednak do głowy.

- Panie Schatzki - Usłyszał sekundę po tym, jak w impetem wpadł do budynku.

Ledwo zdołał wyhamować przed pierwszym schodkiem, obejrzał się przez ramię.

- Co jest?

W jego kierunku zmierzał dyżurny policjant.

- Co się stało? - zapytał trochę bardziej przyjaźnie, kładąc spoconą dłoń na przyjemnie chłodnej poręczy i starając się uspokoić oddech.

- Ten nowy kazał panu przekazać, że musiał pojechać do szpitala.

- Ktoś rozpoznał zmarłą? - Palce Schatzkiego mocniej zacisnęły się na poręczy.

- Nie wiem. Ale coś się tam stało. Był telefon. Tyl wybiegł jak do pożaru.

Ludwig miał szczęście, bo drynda, którą przyjechał, stała jeszcze przy krawężniku, ledwo kilka kroków od głównego wejścia. Gdy fiaker ujrzał wskakującego do środka pasażera, tylko wzruszył ramionami.

- Jakbym was nie znał... - mruknął pod wąsem, sięgając po bacik, głośniejsz zaś zapytał: - Dokąd?

- Szpital lipnicki - rzucił półprzytomnie Ludwig, otarłszy rękawem pot z czoła.

Tym razem jechali dużo wolniej. Dotarli na miejsce w ciągu kwadransa.

- Poczekać? - chciał wiedzieć woźnica, a kiedy policjant pokręcił głową, znów mruknął sam do siebie: - I tak poczekam...

Ludwig wpadł na dziedziniec szpitala. Przed wejściem stało kilku umundurowanych policjantów w towarzystwie Tyla. Ujrawszy partnera, Klaus pomachał w jego kierunku.

- Co się stało? - zapytał Schatzki.

Spojrzenia wszystkich skupiły się na wachtmeistrze. Ten zrobił krok do przodu i zaszalutował i zameldował:

- Mamy podejrzanego! Po tym, jak panowie pojechaliście, były jeszcze dwie osoby, starsze kobiety. Jednak żadna z nich nie rozpoznała ofiary. Ale jakąś godzinę później pojawił się ten facet. Najpierw kręcił się po dziedzińcu, zerkał co raz na drzwi kostnicy. Nie podobał mi się, coś z nim było nie tak...

- Dalej... - fuknął Schatzki.

- Nie wszedł do środka. W pewnej chwili musiałem jednak iść do wychodka, pan rozumie, tyle godzin tu stoję.

- Dalej!

- No, a kiedy wróciłem, on właśnie wychodził z kostnicy. Właściwie to uciekał. Zawołałem za nim, ale nie zareagował. Tylko jeszcze bardziej przyspieszył. Myślał, że uda mu się czmychnąć, ale mnie nie docenił, kiep jebany. Capnąłem go za kołnierz zaraz za bramą. Nawet się nie wyrywał. Tylko prosił, żeby go puścić. Na kolana nawet padł...

- Masz go? - zapytał Ludwig.

- W składziku. Stróż był tak miły. Zaraz dam klucz... - Włożył prawą ręką do kieszeni mundurowych spodni.

Schatzki był już w drodze, ale nie do wspomnianego składziku, bo przecież nawet nie wiedział, gdzie to jest, ale do kostnicy. Gdy pozostali ruszyli za nim, polecił im zostać. Tyłowi, który miał się za lepszego, musiał powtórzyć dwa razy. Chwilę później stanął na progu pomieszczenia. Starał się oddychać płytko. Ujrzał leżące na

kamiennych stołach trzy ciała przykryte prześcieradłami, spod których wystawały tylko stopy. Zbliżył się do ostatniego. Od razu zauważył różnicę między stanem, w jakim zostawił trupa dziewczyny, a obecnym. Złapał za krawędź prześcieradła i odchylił je. Poczuł, jak krew uderza mu do głowy.

- Ty skurwysynu! - ryknął i zacisnąwszy dłonie w pięści, rzucił się z powrotem w stronę drzwi.

Kiedy chwilę później ponownie zjawił się na szpitalnym dziedzińcu, Tył i reszta mundurowych nie ujrzeli na jego twarzy najmniejszego śladu złości. Żaden z nich nie dał po sobie poznać, czy cokolwiek słyszał. O wybuchu sprzed zaledwie chwili świadczyły wciąż zaciśnięte pięści; oficer trzymał je jednak za plecami.

- Proszę. - Wachtmeister podał mu obiecany klucz i ruchem głowy wskazał na składzik, w którym zamknął tamtego człowieka.

Ludwig Schatzki kazał wszystkim się wynosić; tym razem Klausowi Tyłowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Gdy mężczyźni opuścili dziedziniec, Schatzki niespiesznym krokiem zbliżył się do drzwi. Stał przed nimi na szeroko rozstawionych nogach, rozejrzał się na boki i wyjął broń. Przekręcił klucz w zamku.

- Wyłaź! - rzucił w półmrok.

W środku coś stuknęło, zachrobotał miażdżony podeszwą buta kamyk. Chudy, zgarbiony mężczyzna miał lisią twarz, tłuste, ciemne włosy; zaczesana na bok grzywka lepiała się do czoła. Całości dopełniały zbyt duży, wyświechtany garnitur i niezbyt czysta koszula bez kołnierzyka. Człowiek ten trząsał się jak galareta.

- Szybciej - warknął Schatzki.

Mężczyzna wyszedł wreszcie ze składziku, zahaczywszy ramionami o wszystkie wiszące tam pajęczyny. Policjant rewolwerem wskazał mu drogę. Kiedy szli przez szpitalny podwórzec, podejrzany co raz oglądał się za siebie, słusznie obawiając się ciosu. Schatzki zdawał sobie jednak sprawę, że był obserwowany.

Wreszcie stanęli przed kostnicą.

- O co panu chodzi? - wymamrotał nieznajomy. Wciąż nie przestawał dygotać, do tego zaczął dziwnie przewracać oczami, podczas gdy twarz Ludwiga pozostawała nieruchoma niczym maska. - Ja... ja niczego nie zrobiłem!

Zamiast odpowiedzieć, Schatzki jeszcze raz rozejrzał się na boki i z całej siły pchnął tamtego do przodu. Mężczyzna jęczał i dyszał, ale policjant szarpał nim niczym szmacianą lalką, aż trzasnęły szwy jego liczej marynarki. Tak znaleźli się przy kamiennych stołach. Schatzki wetknął broń za pasek i szarpnął za jedno z prześcieradeł, ukazując sine ciało nagiego starca.

- Jezu! - krzyknął mężczyzna; próbował się wyswobodzić z uścisku, ale policjant trzymał mocno.

- Co „Jezu”? Nie podoba ci się?

To powiedziawszy, poprawił uchwyt na kołnierzu i szarpnął wyżej. A że miał teraz w garści także krawędź zapiętej na najwyższy guzik koszuli, mężczyzna musiał stanąć na palcach, by nie zacząć się dusić.

- Nie podoba ci się?! - powtórzył, tym razem jednak jego głos uderzył o niski sufit kostnicy.

- Co... co pan... - głos uwiązł tamtemu w gardle.

- Zrób to, skoro lubisz! No, chyba że naprawdę ci się nie podoba... - policjant przekonująco zamarkował zakłopotanie.

Pociągnął nieszczęśnika kawałek dalej. Wszystko odbyło się tak jak kilka chwil wcześniej, z tą małą różnicą, że na kamiennym stole zamiast dziadka leżała jeszcze starsza kobieta. Jej skóra przywodziła na myśl powierzchnię świecy. Siwe, poskręcane włosy porastały bujnie łono zmarłej niemal do pępka, a jej uda były rozchylone.

- A może ją chcesz? - Ludwig bezlitosnie kontynuował tortury. - Kobieta. Już lepiej, nie?

Odpowiedziało mu ciche rżenie.

- Ja, uważasz, również wolę kobitę - Ludwig Schatzki uśmiechnął się, ale trwało to z pół sekundy. - Możesz być spokojny: nie poskarży się, bo nie może.

To powiedziawszy, po raz trzeci szarpnął rozdygotanym ciałem mężczyzny i bez trudu pociągnął jeszcze kilka kroków dalej. Z leżącego na ostatnim stole ciała nie zerwał już jednak prześcieradła, odchylił jedynie tę część, która ukrywała twarz martwej dziewczyny.

- Tak jak ona nie mogła, kiedy zerznąłeś ją godzinę temu... - dokończył niemal szeptem.

Puścił wreszcie kołnierz i dewiant runął bezwładnie na podłogę. Od razu jednak przytomnie schował głowę w dłoniach, jakby w obawie, że rozsierdzony policjant zechce użyć nóg, by ostatecznie się z nim rozprawić. Zaczął cicho łkać. W tej samej chwili do kostnicy wbiegli Tyl i wachtmeister.

- Zabierzcie mi stąd to ścierwo - zaordynował schrypniętym głosem Schatzki.

Policjanci chwycili nekrofila pod ramiona i zaczęli wlec w stronę drzwi. Sekundę później Klaus Tyl rzucił jeszcze przez ramię:

- Ktoś do ciebie przyjechał. Czeka na ulicy.

Ludwig Schatzki skinął głową. Dopiero gdy został sam w kostnicy, pojął sens komunikatu partnera. Zaczął się zastanawiać, kto to mógł być. W pierwszej chwili przyszedł mu na myśl inspektor Winckler, tylko że wtedy Klaus na pewno powiedziałaby, że przyjechał stary. Względnie: szef. Nie pozostało nic innego, jak sprawdzić, kogo lichy niesie. Policjant pozbierał z podłogi prześcieradła i starannie nakrył nimi parę staruszków. Wciąż trzęsły mu się ręce.

- Przepraszam - szepnął, zakrywając ponownie twarz bezimiennej dziewczyny.

Schatzki przeciął pusty dziedziniec szybkim krokiem. Przed bramą szpitala lipnickiego stały dwa pojazdy konne. Do czarnej policyjnej berliny mundurowi wspomagani przez Tyla pakowali zatrzymanego; nekrofil widać odzyskał werwę i szarpał się z policjantami.

Wtedy Ludwig dostrzegł jakiś dziwny przedmiot wystający zza załomu muru. W chwili gdy uzmysłowił sobie, że to nic innego jak

aparat Eastmana, najprawdopodobniej w ręku reportera, wachtmeister zaaplikował aresztowanemu kilka ciosów w żołądek. Schatzki nie krzyknął jednak, co bankowo przyniosłoby kres zabawie, dostrzegł, kto siedział w drugim pojeździe, zwykłej dryndzie. Eliza.

Przypadł do dorożki w kilku susach.

- Co ty tutaj robisz? - zapytał.

- Musiałam cię zobaczyć - odpowiedziała panna Komorowska. - Tak, to nie jest odpowiednie miejsce dla mnie.

- Ale...

- Nic nie mów. Ważne, że chyba wiem, kim jest ta dziewczyna, którą znaleźliście pod mostkiem na Schloss-Teichu.

- Co?!

- Kiedy byłeś w pokoju, wyciągnęłam zdjęcie z kieszeni twojego płaszcza. Przepraszam cię, Ludwig. A teraz mnie posłuchaj...

8

Stanisław Berg zamknął za sobą drzwi trafiki. Splótł dłonie za plecami i przez dłuższą chwilę rozglądał się w milczeniu po półkach i szafkach, na których prezentowano towar. Zupełnie jakby był w tym miejscu po raz pierwszy. Na dłużej zatrzymał wzrok na wielkiej fajce umiejscowionej w rogu. Uśmiechnął się. Jako jeden z nielicznych wiedział, że to tylko ozdobna atrapa. Ale do obicia komuś gnatów chyba jeszcze by się zdała...

Stojący za kontuarem właściciel sklepu, Samuel Cohen, obserwował gościa spod oka. Również nic nie mówił.

- Wyjeżdżam, drogi panie Samuelu. - Zdjął z głowy kapelusz i westchnął ciężko.

- Skoro pan tak postanowił... - mruknął ledwo słyszalnie handlarz tytoniem.

Berg rozłożył szeroko ręce, uważając wszakże, by laską, którą trzymał w jednej z nich, nie poczynić szkód.

- Niestety. Kupiłem już bilet.

Samuel Cohen puścił tę informację mimo uszu i nagle stracił zainteresowanie gościem. Zdawało się, że w tej chwili zajmuje go tylko leżąca przed nim na blacie kontuaru wielka fajka z wrzośca. Miała imponującą główkę w kształcie łba buldoga, a pan Cohen przy pomocy niewielkiej, białej ściereczki dokładał wszelkich starań, by w załamaniach materii nie pozostał ani jedna drobina kurzu.

- Nowy nabytek? - Stach wskazał brodą na cacko, podszedłszy bliżej.

- Dzisiaj przyszła z Berlina - odparł sklepikarz, nie przerywając pracy.

- Droga?

- Wyjątkowo.

Berg chrząknął głośno, potarł palcem nos, wreszcie rzekł chrapliwie:

- Może byłbym zainteresowany.

- Już jest na nią kupiec. - Cohen kilkoma szybkimi ruchami przetarł do końca cybuch, by wyjąć spod lady pudełko wyściełane ładnie kawałkiem granatowego atłasu, gdzie następnie umieścił cacko. - A pan, panie Stanisławie, zdaje się, gustuje raczej w cygarach.

- Dzięki temu się poznaliśmy - westchnął Berg.

Trafika przy Victoriastrasse była w tej chwili pusta, lecz Polak modlił się w duchu, by ciszę przerwał dźwięk dzwonka u drzwi. Gdyby jeszcze nowy klient okazał się kapryśny, Cohen poświęciłby mu pełną uwagę. A Berg wszedłby wtedy na górę i dokończył pakowanie. Jak na złość akurat w tym momencie nikt nie przychodził.

- Kupiłem bilety, drogi panie Samuelu, i wyjeżdżam z Königsberga - wyrzucił z siebie Stach. - Nic mnie tu już nie trzyma, oczywiście prócz pańskiej przyjaźni. Niestety, życie nie składa się z samych przyjemności. Muszę wrócić do Łodzi i uregulować swoje sprawy.

Cisza. Berg znał tę minę: zaciśnięte wargi, brwi raz ściągnięte, a raz wysoko podniesione, jakby ich właściciel nagle się czemuś bardzo dziwił. Stach zastanawiał się, dlaczego Samuel Cohen właśnie teraz okazywał swoje niezadowolenie z powodu wyjazdu detektywa. Kiedy we wrześniu osobiście odprowadzał go na pociąg, zachowywał się przecież zupełnie inaczej. Żał był, bez wątpienia, ale była i serdeczność wielka. Sklepikarz machał nawet na pożegnanie białą chustką!

- Mówił pan, że kupił bilet. - Ciszę przerwał wreszcie głos sklepikarza, a Stachowi wydało się, że zabrzmiał neutralnie. - Kiedy ma pan ten pociąg?

- Wyjeżdżam jutro rano, panie Samuelu, ale nie pociągiem. Chyba... chyba mam jakiś uraz. Psychiczny. - Uniósł szybko w górę

obie ręce na wypadek, gdyby sklepikarz zapragnął sprawdzić własnoręcznie, czy aby nic mu nie dolega.

- Rozumiem - bąknął Cohen.

- Dlatego spróbuję się wydostać z tego miasta tak, jak się do niego dostałem: drogą morską. Popłynę statkiem do Gdańska, a potem będę się kierował na południe.

- Pan wybaczy, panie Stachu, ale tym razem nie mogę panu towarzyszyć. - Sklepikarz splótł przed sobą dłonie. - Nie przepadam za naszym portem, a szczególnie za jego zapachem.

- Przeżyję - uśmiechnął się Berg. - A teraz, jeśli pan pozwoli, skoczę na górę, żeby się trochę odświeżyć. Zostało mi jeszcze jedno spotkanie.

W tej samej chwili poniewczasie nadeszło wybawienie w postaci kolejnego klienta. Stach w kilku krokach dostał się na zaplecze, gdzie znajdowały się schody prowadzące na pięterko. Tam mieszkał Cohen wraz z żoną i dwójką dzieci, tam też od początku pobytu w mieście gościł Stanisław Berg. Nie licząc tych kilkudziesięciu godzin, które spędził w miejscowym areszcie.

Detektyw skorzystał z łazienki, potem się przebrał. Pół godziny później ponownie zszedł do sklepu. Pan Samuel z pasją tłumaczył coś kolejnemu klientowi, a na kontuarze leżało może z pół tuzina fajek różnej wielkości. Berg nie miał jednak czasu, by przyjrzeć im się dokładniej. Ani sprawdzić, czy jest wśród nich ta z głową buldoga.

- To jest, proszę szanownego pana, głóg, a to wiśnia - zdołał jeszcze usłyszeć, mimo hałasującego dzwoneczka, nim zamknął za sobą drzwi trafiki.

W tym momencie Samuel podniósł znad kontuaru wzrok pełen bólu. Prawda była taka, że przez tych kilka tygodni sklepikarz pokochał detektywa jak rodzzonego syna. Stach, Staś, jak o nim mówili z żoną, mógłby przecież spokojnie nim być. Poza tym to właśnie jemu subiekt zawdzięczał fakt, że jeszcze żył i mógł spokojnie handlować.

- Wezmę tę z wiśni - zdecydował klient, ale że sprzedawca nijak na tę deklarację nie zareagował, powtórzył głośniejszym głosem: - Niech będzie

wiśniowa, panie Cohen!

- Tak, tak! Doskonały wybór - ocenił machinalnie Żyd. - Już pakuję.

Minutę później zamknął kasę i westchnął ciężko. Znów był sam. Nie zdążył się tym przerazić, bowiem po chwili na szczycie schodków prowadzących do trafiki zamajaczyła jakaś postać, która po chwili zagrodziła całe wejście. Rozległ się dzwonek i w progu stanął jakiś mężczyzna.

Na jego widok zwyczajowe „Dzień dobry, czym mogę panu służyć” utknęło Samuelowi w gardle. Boleśnie przełknął ślinę. Nigdy nie widział tak wielkiego człowieka...

9

Zbliżała się piąta po południu, kiedy Berg wysiadł z dorożki niedaleko Nowego Rynku. Drogę dzielącą go od celu podróży planował pokonać spacerkiem. Kiedy jednak po chwili ujrzał człowieka, z którym był umówiony, przyspieszył kroku.

Człowiekiem tym był Mesut Çetin, Turek od niedawna mieszkający i pracujący w Königsbergu. Poznali się ze Stachem miesiąc temu, w przedziale pociągu jadącego z Warszawy na północ. O ile Çetin wiedział wówczas doskonale, dokąd się kieruje, Stach nie miał pojęcia. Prowadził śledztwo i po prostu szedł na wędch, jednocześnie starając się jak najbardziej oddalić od Łodzi, z której zmuszony był uciekać.

- Miło pana widzieć, Mesut! - Berg wyciągnął rękę do powitania.

- Cieszę się, że zdążyłem - powiedział Turek. W europejskim stroju mógł uchodzić za przedstawiciela którejkolwiek z południowych nacji; o tym, że był muzułmaninem, świadczył wyłącznie tasbih, sznur modlitewny, którego paciorki wciąż pracowicie przesuwiał palcami.

- Chyba nie potrafiłbym wyjechać bez pożegnania - rzekł z powagą detektyw. Zaraz jednak zmienił temat, by nie powtórzyła się sytuacja jak przed kilkunastoma minutami z Samuelem. - Jak pańskie interesy?

- Świetnie! - przyznał Çetin. - Nie chciałbym zapeszyć, ale muszę powiedzieć, że towary, które sprowadzam znad Bosforu, cieszą się tutaj naprawdę niezłym powodzeniem. Jak już być może kiedyś panu mówiłem, czuję, że ten kraj stanie się wkrótce drugą ojczyzną dla wielu moich rodaków.

- Kto wie, może do tego czasu mój naród odzyska swoją... - stwierdził Berg, patrząc w szare wody rzeki.

Turek klasnął w dłonie i zarządził:

- Dobra, nie stójmy tak, panie Berg. Jesień pod tą szerokością geograficzną nie jest zbyt łaskawa. Marzę o gorącej kąpiele.

- Oby tym razem nikt nam nie przeszkodził...

Skierowali kroki w stronę wejścia do łaźni. Stach nie był w tym miejscu od czasu awantury, kiedy wraz z Mesutem stanęli w obronie mężczyzny, którego wynajęte zbiry chciały nauczyć terminowego spłacania lichwiarskiego kredytu. Gustownie i nowocześnie urządzone wnętrze łaźni zrobiło na Stachu pozytywne wrażenie również teraz. Ściany wyłożono brązowymi i beżowymi kafelkami z motywem lilii, a wszędzie panowała czystość.

Otrzymawszy od łaźniennego prześcieradło, każdy z nich zniknął w oddzielnym pomieszczeniu, aby się przebrać. Pięć minut później Stanisław Berg i Mesut Çetin spotkali się na brzegu basenu. Prócz nich z dobrodziejstw tego miejsca korzystało w tym momencie około dziesięciu, może dwunastu panów w różnym wieku. Gdyby ktoś chciał, mógłby dostrzec pomiędzy nimi zarówno ważnych urzędników, jak i ich podwładnych, których ci pierwsi nawet nie zauważali. Na szczęście w tym miejscu nie obowiązywały tytuły ani szarże, a jedni rywalizowali z drugimi wyłącznie stylem pływania. Lub obwodem pasa.

Turek zanurzył się szybko. Przez kilka chwil znajdował się pod wodą, a kiedy na powrót wyłonił się na powierzchni, parsknął jak dzieciak.

- Harika, öyle değil mi?! - zawołał, a kiedy Berg zrobił zdziwioną minę, zaśmiał się w głos i powtórzył po angielsku: - Czyż to nie jest wspaniałe?

Stanisław Berg, który wciąż tylko siedział na krawędzi basenu i moczył nogi, przytaknął oszczędnie. Po raz kolejny rozejrzał się dokoła. To było silniejsze od niego, choć był tu prywatnie, nie

pracował. Nieraz łapał się na tym, że obserwuje ludzi. Ludzi i ich nieuczynne czyny, które popełniali albo tylko nosili się z takim zamiarem.

Jednak co złego można było zrobić w miejscu, w którym człowiek miał na sobie tylko prześcieradło? Prócz oczywiście niezgodnych z naturą skłonności seksualnych, które przecież nie wszyscy potępiali. Kradzież prześcieradła też była niemożliwa, chyba żeby zdjąć je ze śpiącego po lewej. Ale konia z rządem temu, kto zdołałby je wydobyć spod takiego grubasa. Istna góra sadła!

- Nie kąpie się pan? - Głos Turka wyrwał Stacha z zamyślenia.

Zamiast odpowiedzieć, detektyw po prostu wskoczył do basenu. Podobnie jak kupiec znad Bosforu szybko się zanurzył. Spędził pod wodą kilkanaście sekund, wsłuchując się z zaciekawieniem w dźwięki, które docierały do jego uszu.

Bardzo lubił takie chwile. Zdawało mu się, że świat zatrzymuje się wtedy niczym pociąg pod semaforem, w lesie albo w polu. W dodatku w środku nocy. Stukają jakieś części wagonów, unieruchomiona lokomotywa sapie, a do przedziału dochodzą pierwsze kroki. Na tych kilka chwil wszystko, czym dotąd żyliśmy, traci ważność. Trudno odróżnić, co jest jawą, a co snem. Czasami wracają wspomnienia miłych chwil, spaceru po zalanej słońcem ulicy wielkiego miasta, beztroski śmiech kobiet...

Kiedy jego głowa ponownie znalazła się w naturalnym - chociaż, trzeba to przyznać, nie zawsze ciekawym i nie zawsze przyjaznym - środowisku, Berg, zaczerpnąwszy potężny haust powietrza, stwierdził nieobecność towarzysza.

- Çetin! - zawołał niegłośno, ale jego głos stłumił plusk wody, gdy jakiś inny gość łaźni zanurzał się w basenie.

Berg wypęłzył na zewnątrz i usiadł na krawędzi zbiornika. Rozejrzał się ponownie. Gdy i z tej perspektywy nie dostrzegł znajomego, zaniepokojony wstał. Poprawił prześcieradło, które po wyjściu z basenu nieprzyjemnie lepilo mu się do ciała i nieco niezdarnym, kaczym krokiem podążył w kierunku przebieralni. W tej samej chwili dobiegł jego uszu pojedynczy krzyk.

Nie, to nie może być prawda... – przeszło mu przez myśl.

Z każdym krokiem nabierał jednak pewności, że za chwilę znów będzie musiał ratować kogoś z opresji. Zdziwił się więc, gdy na ławeczce przed drzwiami przebieralni ujrzał Mesuta Çetina. Obok Turka siedział jakiś mężczyzna. Głowę odchylił ku tyłowi, oparłszy ją o ścianę. Miał przymknięte oczy, oddychał ciężko. Czy to on krzyczał przed chwilą?

Stanisław Berg wciąż nie był pewny, czy za chwilę coś nie spadnie mu na kark, nie pozbawi równowagi, a potem przytomności.

- O, to pan! – uśmiechnął się Mesut.

- Zaniepokoiłem się – przyznał Stach.

- Przepraszam, ale musiałem wyjść. Jak się okazało, w samą porę.

- Turek spojrzał znacząco na nieznanego.

Detektyw zbliżył się powoli do ławki, na której siedzieli mężczyźni.

- Co się stało? – zapytał.

- Ten jegomość stracił przytomność – wyjaśnił Çetin. – Chyba od gorąca.

Detektyw poruszył ramionami. W tym miejscu nie było nawet ciepło.

- Na szczęście byłem w pobliżu – ciągnął Mesut. – Już jest chyba lepiej.

Słowa te potwierdził sam uszkodzony, kiwając nieznacznie głową, którą oderwał od ściany. Wciąż miał zamknięte oczy, a jego naga klatka piersiowa, porośnięta rzadkimi siwiejącymi włosami, poruszała się miarowo.

- Tak, tak. Już lepiej. Dzięk... dziękuję... – wymamrotał nieznanomy, po czym znów oparł ciemię o beżowy kafelek z motywem lilii.

- Na przeszłość trzeba uważać z ukropem. To nie każdemu służy!
- zaśmiał się Berg.

Gdy Turek nie zareagował, Stachowi zrobiło się głupio, bo chyba właśnie wyszedł na człowieka bez serca. Spojrzał na siedzących przed nim mężczyzn, którzy w prześcieradłach wyglądali jak greccy

filozofowie. I to tacy, dla których mowa jest srebrem, a milczenie złotem. Nie wytrzymał.

- Chyba muszę już iść - ogłosił, podniósłszy się z miejsca, zaraz jednak usłyszał:

- Nie!

Co najdziwniejsze, słowo to, wypowiedziane dość stanowczym tonem, padło jednocześnie z ust obu mężczyzn. Chwilę później Çetin machnął ręką z rezygnacją i rzekł:

- No dobra, nie ma co dłużej kombinować. To jest Joachim Steinhoff. Pracujemy razem od początku mojego pobytu w Königsbergu.

- Dzień dobry - wtrącił przedstawiony, a Turek ciągnął:

- Kilka dni temu Joachim zauważył, że jego żona jakoś dziwnie się zachowuje. Na domiar złego z kasetki, w której trzymał pieniądze, zniknęła pewna kwota. Był bezradny...

- Dlaczego? - zapytał Berg Turka, choć spoglądał w tym momencie na Steinhoffa.

- Jak to dlaczego? Przecież nie pójdzie na policję, aby donieść na własną żonę! - oburzył się Mesut Çetin, by zaraz dodać, uderzając się w piersi: - Nawet ja, Turek, to wiem. Choć pewnie wielu z was myśli sobie inaczej.

- To znaczy jak? - Chciał wiedzieć Stach, którego chyba coraz bardziej, mimo że właśnie odkrył spisek, bawiła ta sytuacja.

- Mniejsza z tym. Nie doniesie na własną żonę i kropka!

- Dlaczego? - powtórzył detektyw i wykonał gest, jakby chciał wsunąć ręce w kieszenie, a gdy to mu się nie udało, splótł je na piersiach.

Joachim Steinhoff przyjął z pokorą cynizm bijący z detektywa.

- Mówiłem, że niepotrzebna mi pomoc, ale to Çetin się uparł - rzekł. - Przecież to wszystko na pewno da się jakoś wytłumaczyć. Może pokojówka zabrała te pieniądze...

Stach, który wciąż przyglądał się mężczyznom z góry, zajął miejsce odrobinę dalej. Wbił wzrok w podłogę i mruknął:

- Tak, zawsze najłatwiej obwinić najsłabszego...

Stach powiedział to po polsku. Handlarz znad Bosforu po raz pierwszy słyszał w ustach znajomego tę dziwną mowę, nie była ona jednak niczym nowym dla Steinhoffa. Spotykał się z nią przecież we własnym domu, wsłuchując się w rozmowy, które prowadziły między sobą kucharki i służące. I wiedział już, że o podejrzaniach wobec nich musiał zapomnieć. Przynajmniej przy tym człowieku.

- No i wtedy pomyślałem - podjął po krótkiej chwili Çetin, prostując się przy tym - że może nasz pan Berg coś by na to poradził.

- Problem w tym, że wyjeżdżam z miasta - wtrącił błyskawicznie Stach.

- Na pewno zdąży pan przed wyjazdem - nie ustępował Turek.

- Za mało czasu.

- Wystarczy.

- Jestem poważnym detektywem. Przykro mi.

- Proszę tylko posłuchać. - Mesut wykonał gest, który ludziom pod tą szerokością geograficzną towarzyszył zwykle w modlitwie.

- Przecież już to zrobiłem, drogi panie Çetin. Nie mam pretensji, że zwabił mnie pan tutaj podstępem, bo przecież od dawna chciałem ponownie odwiedzić akurat tę łaźnię. Nie gniewam się też o to, że odegraliście komedię. Kiepsko, bo aktorzy z was żadni.

- Ale... - jęknął Turek.

- Wiem, co mówię. Kiedyś omal nie ożeniłem się z aktorką. A teraz naprawdę muszę stąd wyjechać. Kilka godzin temu byłem w porcie i kupiłem bilet na statek do Gdańska. To wszystko. Muszę już iść. Do widzenia.

Stanisław Berg wstał i krokiem na tyle zdecydowanym, na ile tylko pozwalało prześcieradło, pomaszerował w stronę drzwi przebieralni.

10

Ludwig Schatzki usiadł na łóżku i ostrożnie opuścił nogi na podłogę. Była stara, dawno nikt jej nie szorował, w dodatku poluzowane klepki hałasowały przy najlżejszym stąpieniu. On zaś nie chciał obudzić śpiącej dziewczyny. Potarł lepiałe się jeszcze oczy i przeciągnął palcami po włosach. Przez kilka chwil przyglądał się swym bosym stopom.

Podniósł lewą i strząsnął jakiś kamyk, który przykleił mu się do pięty. Mogła to być też pestka siemienia lnianego, choćby z jego ulubionych bułek, które kupował co rano w piekarni na rogu. Pewne było jedno – dawno nie sprzątał. Nie pozwalał też na to swojej gospodyni, bowiem wynajmowane przez niego maleńkie mieszanko służyło mu także za biuro. Wielu przestępców w tym mieście dałoby wiele za możliwość użyczenia im klucza, choćby na parę godzin. Policjant wolał więc, by nikt się po nim nie kręcił. Na szczęście gospodyni nie była osobą wścibską, poza tym czuła chyba respekt wobec stróża prawa. No a przede wszystkim regularnie płacił komorne, co w tej okolicy regułą, przynajmniej to, nie było.

– Jesteś, kochany? – zapytała dziewczyna. Nie był pewien, czy nie przez sen.

– Tak – odpowiedział. – Śpij.

– Wedle rozkazu.

Uśmiechnął się. Wciąż ciężko mu było uwierzyć w to, co stało się wczoraj wieczorem, kiedy dotarł tu wraz z Elizą. Wszystko odbyło się niemal dokładnie tak samo, jak za pierwszym razem. Włącznie z gryzieniem w szyję w okolicy tętnic. Ludwig udawał wtedy, że wypija krew niczym wampir z powieści Johna Polidoriego, a ofiara koniała wkrótce, wijąc się u jego stóp...

Zanim jednak do tego doszło, Schatzki wsiadł do dorożki, w której siedziała Eliza. Nie miał pojęcia, co się z nim dzieje. Wciąż nie potrafił się uspokoić po tym, co zaszło w szpitalu, a następnie na ulicy.

Przyjęcie do wiadomości informacji, które przyniosła Eliza, w każdym innym przypadku zajęłoby Schatzkiemu kilka minut. Najwyżej kwadrans, jeśli zechciałby robić notatki. A potem wypisać kwit do kasy, w której konfident odebrałby swoje trzydzieści srebrników. Teraz jednak było inaczej. Policjant chłonał każde słowo, które wypowiadała Komorowska, jakby to były imiona pewniaków w konnej gonitwie albo inne zaklęcia zdolne w krótkim czasie zapewnić fortunę. Właściwie to Eliza powtarzała w kółko to samo. Martwa dziewczyna, którą znaleziono pod mostkiem, była widywana na Albertynie, miejscowym uniwersytecie. Panna Komorowska na co dzień pracowała w sekretariacie dziekana wydziału medycyny i nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Ustalenie nazwiska było więc formalnością.

- Muszę iść do pracy - jęknęła rozbudzona Eliza.

Ludwig, który od kilku chwil trwał wciąż w tej samej pozycji, podniósł się z łóżka i poszedł w kierunku drzwi. Musiał koniecznie skorzystać z wychodka, ten zaś znajdował się na półpiętrze.

- Ja też. Ubieraj się - rzucił przez ramię, nim zamknął za sobą drzwi.

Kiedy wrócił, Eliza była już gotowa, a łóżko starannie zasłane. Nic nie powiedział ani na jedno, ani na drugie. Wszedł za parawan, gdzie nalał sobie wody do miski i umył się, a następnie również się ubrał.

- Zjemy śniadanie po drodze, co? - ni to zapytał, ni to stwierdził, wiążąc krawat przed lustrem. - Marzę o gorącej kawie i parówkach.

- Wolałabym wrócić jak najprędzej do domu - odpowiedziała.

Ten temat poruszyli jeszcze w nocy. Właściwie to Ludwig to zrobił. Eliza powiedziała, iż uprzedziła rodziców, że tę noc spędzi poza domem. Zaśmiał się wówczas w duchu, a potem znów poczuł, jak narasta w nim pożądanie.

Wyszedł zza parawanu i spojrzał na Elizę, ale ona pierwsza zadała mu pytanie:

- I co teraz będzie?

- Pojadę do Prezydium i powiem Wincklerowi, co mam. A kiedy odzyska przytomność, udam się na uniwersytet.

Komorowska nie spuszczała z niego wzroku. Zaczął się zastanawiać, czy był na zewnątrz wystarczająco długo, by zdążyła nie tylko się ubrać, ogarnąć łóżko, ale także pomyszkować w poszukiwaniu czegoś, co świadczyłoby, że bywały tu także inne kobiety.

- Miałam na myśli nas, Ludwig. - Sięgnęła po kapelusz, który wisiał na oparciu krzesła, jedyne w tym pokoju.

Skłamałby, gdyby powiedział, że się tego nie spodziewał. Pytanie musiało paść prędzej czy później. Tylko czy był gotów udzielić odpowiedzi? I to teraz, kiedy wysiłek ostatniej nocy czuł jeszcze wyraźnie w łądźwiach. W ciągu mniej niż doby w życiu jego i Elizy wydarzyło się więcej niż w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Owszem, chciał ją wczoraj zobaczyć i nie ukrywał, że zmusiło go do tego nieszczęście, z którym się spotkał. Ale tego, że dzięki Elizie pchnie do przodu swoje śledztwo, nie podejrzewał.

- Co ma być? - Wzruszył ramionami. - Wrócimy do starych pomysłów.

- Czyli?

- A choćby tych, co sobie wtedy zapisałaś w zeszycie. Mam nadzieję, że go nie wyrzuciłaś?

- Pamiętasz... Nie, nie wyrzuciłam.

- Pewnie, że pamiętam! Pamiętam bardzo dobrze wszystkie nasze pomysły i plany. Problem tylko w tym, czy twoi rodzice jeszcze... No, wiesz...

Zaśmiała się, kręcąc głową z politowaniem.

- Wy tłumaczyłam ci już wszystko. Ech, mężczyźni. Naprawdę jesteście jak dzieci, a wielki as policji Schatzki...

- Ani słowa więcej! - Ludwig zmarszczył brwi, a zaraz potem się uśmiechnął. - Nie psuj.

- Chodźmy wreszcie, bo zaczynam się robić naprawdę głodna.

Pół godziny później Eliza wysiadła z dorożki przy głównej bramie Ogrodu Botanicznego. Ludwig Schatzki, mimo zapewnień ukochanej, że jej najbliżsi nie żywią już urazy, a nawet o wszystkim zapomnieli (powtórzyła to dwukrotnie, ale za każdym razem w innej kolejności, więc nie był pewien, czy jest do końca szczerą), nie chciał ryzykować spotkania. A przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Odezwę się - powiedział, kiedy stała na chodniku.

- Oby szybciej niż ostatnio - rzekła z przekąsem.

- Może wpadnę do dziekanatu. Jeszcze raz dziękuję za pomoc.

- Mam nadzieję, że okaże się coś warta.

- Dowiem się za jakieś dwa kwadransy.

Dokładnie tyle zajęło mu dotarcie na róg Junkerstrasse i Münzstrasse. Niezatrzymywany tym razem przez nikogo dotarł do gabinetu inspektora Franza Wincklera. Już miał zapukać, kiedy usłyszał dochodzące ze środka podniesione głosy. Żaden z nich nie należał jednak do szefa wydziału zabójstw. W pierwszym odruchu chciał się cofnąć, ale nagle jeden z głosów zabrzmiał niebezpiecznie blisko. Pół sekundy później drzwi otworzyły się i stanął w nich zastępca naczelnika Prezydium policji w Königsbergu, Otto von Puttkamer.

- O, jest nasz bohater! - zawołał z satysfakcją, po czym otworzył drzwi gabinetu Wincklera na oścież. - Prosimy, prosimy, szanowny panie Schatzki.

Ludwig, który już wcześniej przybrał postawę zbliżoną do zasadniczej, skłonił się lekko, po czym posłusznie przekroczył próg pokoju.

- Dzień dobry - przywitał się.

Nikt mu jednak nie odpowiedział. Zaraz też dostrzegł inspektora Wincklera, który siedział w swoim fotelu z nieodłączną fajką w zębach. Miejsca, gdzie zwykle siadali jego podwładni, zajęte były

przez jakichś dwóch mężczyzn. Ludwig Schatzki ich nie znał. Czuł jednak przez skórę, że za chwilę się to zmieni...

11

Stanisław Berg zacisnął palce na relingu. Tylko tak mógł bowiem stawić opór kołysaniu. Wciągnął do płuc potężny haust powietrza i spojrzał przed siebie. Ilekroć był w tutejszym porcie, zawsze zachwycał go ten widok. Zachwycał, ale i niepokoił. Kilkadziesiąt, a może i kilkaset kliprów i szkunerów tworzyło istny las masztów różnej wysokości i grubości przetykany kołyszącymi się na wietrze kominami trawlerów.

Detektyw przymknął oczy i jeszcze przez kilka chwil wdychał chłodne powietrze październikowego poranka, przesycone słonym zapachem wodorostów i ryb. Następnie uniósł powieki i spojrzał w górę. Od strony Gdańska wiatr gonił ciężkie deszczowe chmury. Zapewne w tej chwili wielu ludzi tak jak on wpatrywało się w niebo z niepokojem, nieodłącznym towarzyszem każdej podróży. Ten i ów pierwszy po Bogu może zaraz zbeszta swych marynarzy, bo źle ustawili w ładowni krypy skrzynie z towarem, co podczas sztormu mogło stanowić śmiertelne zagrożenie. Może i w sercu Berga, urodzonego szczura lądowego, pojawiłby się strach. Na szczęście jedynym problemem, jaki miał w tej chwili nasz detektyw, był... potworny kac.

Ledwo o tym pomyślał, usłyszał kroki, które w jego obolałej głowie brzmiały jak stado koni. Był to jednak tylko mężczyzna w kelnerskiej kurcie. Niósł na tacy brązową butelkę piwa miejscowej marki Wickbold, na której błyszcząły kryształki lodu, wraz z kufelkiem z grubo rżniętego szkła.

- Dzień dobry panu - rzekł z uśmiechem, pokonawszy z gracją ostatni stromy stopień schodów prowadzących pod pokład.

Berg jeszcze mocniej zacisnął palce na relingu. Marker, czy może raczej steward, jednym ruchem zwolnił krachlę, przelał zawartość butelki do kufla.

- Proszę, to dla pana. Z ukłonami od pana Joachima Steinhoffa.

Stanisław Berg sięgnął po piwo, szybko podniósł do ust i wypił kilka solidnych łyków. Dopiero po chwili sapnął do mężczyzny, który oddalił się nieco, ale wciąż pozostawał w gotowości.

- Dziękuję.

- Jeszcze jedno? - zapytał zbawca.

- Nie. Na razie nie. Czy pan Steinhoff jest w... - zawahał się.

- W mesie - dokończył przytomnie steward. - Oczywiście. Pan Mesut Çetin również. Za chwilę podamy śniadanie. To właśnie miałem panu przekazać.

- Świetnie. Zaraz zejdem - rzekł Berg, podnosząc ponownie kufel do ust.

Tym razem dopił do końca. Poczul, jak wraca do życia. Kołysanie łajby nie było już tak uciążliwe, a i niebo nad Königsbergiem wydało mu się jakby jaśniejsze. Póki co jednak musiał pożegnać się z widokiem portu.

Przywitali go hałaśliwie. Turek na widok Stacha krzyknął coś w swoim języku, Niemiec zaś upuścił widelec na talerzyk. Śniadania rzeczywiście jeszcze nie podano, ale to nic, bo patrząc na stół, przy którym siedzieli współnicy, nie można było oprzeć się wrażeniu, że panowie nie skończyli jeszcze kolacji. Berg zostawił ich tak kilka godzin wcześniej, kiedy już nie mógł pić i walczył z sennością. Najważniejsze było jednak to, że przestał z nimi walczyć. Od kilku godzin Çetin i Steinhoff przekonywali Polaka, aby przyjął zlecenie i zajął się sprawą podejrzaną małżonki. Był skłonny uczynić to już wtedy, gdy w łaźni weszli za nim do przebieralni. Zastali go akurat w absolutnym negliżu, więc zgodziłby się choćby tylko dlatego, żeby poszli sobie precz. Ale to niepewny poczynania własnej żony konsul i jego egzotyczny współnik stropili się pierwsi i oddali pole...

Kiedy ostatecznie Stanisław Berg zmiękł? Detektyw nie ukrywał, że jednym z najważniejszych argumentów, by opuścić to miasto akurat następnego dnia wczesnym popołudniem, był bilet na statek do Gdańska. Zdobycie go nie było łatwe, podróż miała się bowiem odbyć nie jednostką pasażerską, ale na pokładzie frachtowca. Oddanie biletu z żądaniem zwrotu pieniędzy nie wchodziła więc w grę. Jak się okazało i na to był sposób.

- Jak się panu podoba moja krypa, panie Berg? - Chciał wiedzieć Steinhoff, ledwo Stach zabrał się za smarowanie kromki chleba masełkiem.

- Mam powtórzyć po raz dziesiąty? - uniósł oczy ku sufitowi mesy.

- Owszem, to podobno zwiększa bezpieczeństwo jednostki.

- Co pan powie...

- Tak. Statek jest jak żywa istota. Ja przynajmniej w to wierzę. Jeśli przemawiasz do konia, koń pojedzie, dokąd tylko będziesz chciał. Podobnie jest ze wszystkim, na czym pływa człowiek. Gdybym za każdym razem, kiedy moja ukochana przywiezie bezpiecznie towar do portu, nie podziękował jej za to, pewnie któregoś dnia, zakręcając na wysokości Helu, nie oparłaby się wysokiej fali. - Pan Joachim zakończył perorę uderzeniem łyżeczki w jajko na miękko.

- Wspaniały ma pan statek - rzekł przekonany po raz kolejny Stach, a każde słowo wypowiedział z przesadną starannością i tak głośno, że Turek aż ugiął szyję.

- Dziękuję - rzekł Steinhoff, by dodać. - Przekona się pan o tym, kiedy będzie pan płynął nią do Gdańska po zakończeniu sprawy...

- Nawet jutro? - Berg podniósł w górę prawą powiekę.

- Taki jest pan dobry? - zapytał chłodno właściciel jednostki.

- Każda sprawa jest inna, panie Steinhoff. Ale do rzeczy...

- No właśnie, może wróćmy do meritum - wtrącił Mesut Çetin.

A raczej zacznijmy na trzeźwo - sprostował w duchu detektyw.

Kupiec był mężczyzną przed czterdziestką, jego żona zaś, jak dowiedział się Stach już na samym początku rozmowy, skończyła w zeszłym tygodniu lat dwadzieścia pięć. Sprawa była więc bardzo

podobna do tej, którą Berg prowadził ostatnio. Ale tylko na pierwszy rzut oka. Już od pierwszej chwili wiedział wszak, jakie zamiary wobec małżonki miał konsul Hoffmann. Co z tego, że rozpaczał, kiedy mu dostarczono dowód zdrady małżeńskiej? Sięgnięcie po rewolwer, żeby sobie w łeb z honorem wypalić, też było starannie wyreżyserowane. Berg był jednak pewien, że kiedy tylko wyszedł z gabinetu, konsul zatarł dłonie z zadowoleniem. Może nawet gołnął sobie albo zapalił coś dobrego. Mógł spokojnie wykonać telefon do adwokata, wszcząć procedurę rozwodową i mieć pewność, że jego finanse nie tylko wyjdą z tego bez szwanku, ale jeszcze powiększą się o wiano żony.

Dlatego Berg się nie spieszył. Mógł śledzić kobietę, czyhać, aż powinie jej się noga, skorzystać z całego arsenału środków będącego chlebem powszednim detektywa. Poprzestał jednak na cierpliwym oczekiwaniu na palacza tego a nie innego gatunku cygar. Było to coś w rodzaju eksperymentu, który detektyw od dawna chciał przeprowadzić, ale nigdy nie wystarczało mu czasu ani energii. Teraz nadarzyła się okazja. Wreszcie po tym wszystkim, co wydarzyło się przed nieudanym wyjazdem Stacha z Königsberga, wpadł był on w jakąś prostrację: przestał odczuwać radość z życia, a także z pracy, jadł rzadko, za to pił dubeltowo.

Oczywiście, po cygara marki El Rey del Mundo mógł przyjść każdy, Berg i Cohen doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Tak też było. Kochanek żony konsula okazał się piątym miłośnikiem El Rey del Mundo, którego nałóg przygnał na Victoriastrasse. Wynik i tak całkiem niezły, a przeobrażenie się w staruszka za każdym razem zajmowało Bergowi coraz mniej czasu...

Steinhoffowie mieszkali w tej samej dzielnicy co konsul Hoffmann, tyle że bliżej rzeki i portu. Dziesięć minut jazdy powozem, jak sam kupiec zachwalał. Stach z nudów, ale i z wrodzonego sceptycyzmu, który nieraz ratował mu skórę, zaczął nawet mierzyć czas przejazdu broughama kupca. Wyszedł kwadrans z haczykiem, ale Polak nie wyrzucał tego klientowi. Czekał już zresztą z niecierpliwością, aż dane mu będzie obejrzeć mieszkanie,

w szczególności zaś prywatny apartament pani Steinhoff. Owszem, miała taki.

- Kto by tam kobiety zrozumiał. - Kupiec machnął ręką i zaśmiał się wymuszenie.

- Święte słowa - potwierdził Mesut, choć z tego, co Stach wiedział, nie miał żony.

- Czasem sobie myślę, że nasi przodkowie popełnili niewybaczalny błąd, przyjmując chrześcijaństwo - rzekł niegłęboko konsul Steinhoff. - O ile lepiej by się żyło, gdyby człowiek mógł mieć kilka żon. Tak jak ci, którzy mieszkali w tym miejscu przed nami. Nazywali się Sambowie i Natangowie, wierzyli w kilku bogów i nie mieli takich problemów jak my...

- Sam pan przed chwilą powiedział, że z kobietami kłopot, więc jak poradziłby pan sobie z kilkoma, skoro z jedną jest taki ambaras? - zapytał prowokująco Berg.

Ale Steinhoff tylko machnął ręką, co miało pewnie znaczyć: „Ja tam swoje wiem”.

Małżonkowie dzielili też jedną sypialnię, czego efektem było dwoje dzieci. Teraz miały być w szkole. Gdy panowie weszli do mieszkania, okazało się, że szczęście im sprzyja. Pani Steinhoff nie było bowiem w domu. Pojawiła się za to służąca, jednak kupiec z miejsca ją odprawił. Berg chciał zapytać, czy już jej nie podejrzewa i nie chce, aby specjalista wziął ją w obroty. Zmilczał to jednak. Poza tym służących mogło być więcej.

- Wie pan, gdzie jest w tej chwili pańska żona? - zapytał Stach, rozglądając się po ścianach; jego uwagę zwróciły liczne obrazy olejne przedstawiające sceny polowania.

- Podejrzewam, że u radczyni Grass - odrzekł kupiec.

- Kto to taki?

- To bliska przyjaciółka Heleny. Lubią pić razem pierwszą kawę. Ostatnio sprowadziłem... - przerwał w pół słowa, po tym jak Mesut uderzył go poufale, acz skutecznie łokciem w bok.

Potem Stach kazał sobie pokazać safes, z którego zniknęły pieniądze. Była tam również kobieca biżuteria, więc pytanie, czy Frau Steinhoff miała kluczyk, było zbędne. Obejrząwszy schowek, Berg w ogóle nic nie powiedział, mimo że wspólnicy śledzili każdy jego ruch.

Przyszła kolej na wspomniany pokój pani. Była to niewielka, a urządzone niezwykle gustownie izba. Dominującym kolorem był fiolet, materiałem zaś – satyna. Uszyto z niej zarówno zasłony na okna, z których było widać zamek, jak i narzuty na fotele i otomanę. W jednym rogu ustawiono donicę z fikusem, naprzeciwko zaś regalik z książkami. Stach omiół wzrokiem ich grzbiety. Dużo było autorów francuskich, między innymi Victor Hugo, ale też angielskich z Charlesem Dickensem na czele. Stach dostrzegł również Wichrowe wzgórze Emily Brontë, a także powieści Theodora Fontane'ego. Kobieta abonowała poza tym kilka czasopism.

- I co? - wyrwało się panu Steinhoffowi, który przez cały czas stał tuż za progiem, ale Mesut od razu pociągnął go za rękaw, żeby nie przeszkadzał w obserwacjach.

- Czy mają państwo jakiś instrument muzyczny? - zapytał Stach po chwili.

- Tak. Klawikord. Stoi w salonie.

- Żona gra?

- Pasjami. Bardzo to lubimy.

Ciekawe, czy ona też... - zapytał sam siebie Berg.

Zbliżył się do najważniejszego chyba mebla w osobistym pokoju pani - toaletki. Bardzo ładna, stylowa, mąż musiał wydać na nią sporą sumę. Lustro było czyste, ale poza tym panował tam nieład: porozrzucone grzebienie, szczotki, spinki i pędzelki do malowania, różnej wielkości przeznaczenia szczypczyki i pilniczki, tudzież flakoniki z wonnościami. Zupełnie jakby ich właścicielka opuściła to miejsce w pośpiechu.

Stach odwrócił się, a wtedy gospodarz wykonał gest, który bez trudu można było przetłumaczyć jako „kto by tam kobiety

zrozumiał!”. Detektyw uśmiechnął się, aby dodać mu otuchy, sytuacja mogła wydawać się śmieszna, ale dla kupca z pewnością takową nie była.

- Służące nie mają tu wstępu? - stwierdził bardziej niż zapytał detektyw.

- Jedyne na wyraźne polecenie Heleny - odparł błyskawicznie kupiec. - Dlaczego pan pyta?

Zwrócenie komuś, kogo darzy się jako takim szacunkiem, uwagi na brud w jego mieszkaniu, choćby najmniejszy, byłoby co najmniej nietaktowne. Poza tym zaczynał lubić Joachima Steinhoffa. Uważał, że jego intencje są naprawdę szczerze. Miał przed sobą ciężko pracującego, oddanego rodzinie człowieka. I z każdą chwilą przekonywał się do swego nowego zadania; chciał je wykonać jak najlepiej, a jednocześnie jak najdelikatniej. Nadeszła pierwsza próba.

- Dlaczego pytam? Po prostu muszę wiedzieć wszystko - odpowiedział wymijająco i uśmiechnął się.

Berg miał przed sobą płaski, cynowy talerzyk. Wypełniały go bilety wizytowe, ułożone równo, zupełnie tak samo jak układa się na półmiskach plasterki sera bądź szynki. Widać tak nakazywała gospodyni tego miejsca jej fantazja. Pokrywała je warstewka kurzu - powód pytania o służbę i jej obowiązki. Ale był to również ślad i to ślad niemal wymarzony. Jeden z biletów dalece różnił się od pozostałych: kurz nie zdążył na nim osiaść. Stanisław Berg chwycił delikatnie za róg wizytówki. Najpierw uniósł ją do nosa i powąchał.

- Woda różana i jaśmin - stwierdził, a dopiero potem przeczytał na głos: - SALON PIĘKNOŚCI VENUS. FLEISCHBANKENSTRASSE 8.

Wspólnicy znów spojrzeli po sobie. Mesut wzruszył ramionami.

- Tak, moja żona bardzo lubi odwiedzać takie miejsca - odezwał się po chwili i nieśmiało pan Joachim. - Nigdy nie szczędziłem na to grosza. Ładna, zadbana żona jest najlepszą wizytówką męża ...

...I prowokacją dla uwodzicieli - znów dokończył w duchu Berg.

- Ma nawet swojego fryzjera, niedaleko gimnazjum na Kneiphoffie - przypomniał sobie po chwili Steinhoff.

Berg nic nie mówił. Potem pomachał znów wizytówką i jeszcze raz pociągnął nosem.

- I co, panie Berg? - zapytał Mesut.

- Nic. Ładnie pachnie.

12

W szynku Pod Tłustym Wieprzkiem panował ruch i szum jak każdego wieczora. Markerzy dwoili się i troili, by jak najszybciej dostarczyć na stoły zamówione dania i napitki, a w drodze powrotnej nie zapomnieć o nowych żądaniach. Mało kto używał w tym miejscu ołówka i papieru, nie było na to czasu. Zresztą w niektórych rewirach można było spotkać tych samych gości, którzy zamawiali z reguły zawsze to samo. Mogła się tylko zmieniać kolejność.

Tego dnia, zaraz po tym, jak próg szynku przekroczył Ludwig Schatzki, a stało się to tuż po szóstej po południu, Alfons Wiedemann, właściciel przybytku, sam zaordynował, by nalano dwa lagery. To od nich zwykł zaczynać wieczór znajomy policjant. Szynkarz zrobił to, mimo że gość był wyraźnie nie w sosie: na wesołe powitanie ledwo odburknął, ręce miał wciśnięte głęboko w kieszenie spodni, a twarz zaciętą. Coś musiało go trapić. Tym jednak pan Alfons zdawał się nie martwić, wszak nie od dziś wiadomo, że na frasunek dobry trunek.

- Dwa lagery, tak. Szybko, szybko... - ponaglał pracownika napełniającego już pierwszy kufelek piwem z beczki.

Ludwig Schatzki zbliżył się do stolika, przy którym jak co wieczór biesiadowali jego koledzy po fachu. I znów na serdeczne pozdrowienia odpowiedział byle jakim mruknięciem, po czym usiadł ciężko za ławą, wtulił głowę między ramiona i wbił tępe spojrzenie w blat.

Pierwszym, który odważył się do niego zbliżyć, był Albert Schäfer.

- Co jest? - zapytał.

- Wypieprzą mnie - odparł ledwo słyszalnie Schatzki.

W tej samej chwili Wiedemann dostarczył piwo. Schäfer podziękował, po czym podsunął szkło w stronę młodszego kolegi

i rzekł:

- Przeplucz gardło, przyjacielu, bo chyba coś ci szwankuje. Jakieś jebane wiązadła głosowe, zawiasy szczęki czy coś w ten deseń. A potem powiedz jeszcze raz.

Ludwig Schatzki wykonał polecenie. Odstawił kufel na ławę chyba głośniejsze, niż zamierzał.

- „Königer Zeitung” - sapnął. - Przez tę szmatę mam kłopoty.

- Komuś się nie spodobało twoje zdjęcie na pierwszej stronie? - zaniepokoił się stary wyga.

- Nie kpij. Nie mam nastroju do żartów.

- To co takiego napisali?

- Na razie tylko tyle, co ostatnio. Ale ktoś im doniósł, że w szpitalu lipnickim będziemy mieli zwłoki tej dziewczyny do rozpoznania. Czatowali przez wiele godzin pod drzewem, ale niczego ciekawego się nie doczekali. Aż do...

Policjant opowiedział przyjacielowi o zatrzymanym przez podwładnych dziwnie zachowującym się człowieku, który wykorzystał nieobecność Hofmana, aby spółkować z trupem dziewczyny. Usłyszawszy to, Albert Schäfer, którego mało co już dziwiło i oburzało, złapał się za głowę. A potem zacisnął dłonie w pięści i potrząsnął nimi.

- Niechbym tylko dorwał w swoje ręce takiego skurwysyna - wycharczał.

- Chłopaki byli podobnego zdania. Przedstawili mu je, kiedy tylko zaczął stawiać opór przy wchodzeniu do powozu. Niestety, widział to również człowiek z aparatem, który miał zrobić z ukrycia zdjęcie dla „Königer Zeitung”.

- I rozumiem, że zrobił?

Kiedy Ludwig Schatzki potwierdził niemo, Schäfer spekulował dalej:

- Ale te zdjęcia nie ukażą się ani w jutrzejszym wydaniu, ani nawet za tydzień.

- Zgadza się, przyjacielu. Dopadłem gnoja, otworzyłem to jego magiczne pudełko. Wtedy rzucił się na mnie z pięściami i krzykiem. Niestety, nikt już nie sfotografował. Dostał w żołądek no i było po sprawie. Wsiadłem w dorożkę i pojechałem. Dostałem ważną informację, kto wie czy nie najważniejszą, jak dotąd, w tym śledztwie. Kiedy przyszedłem do Prezydium, aby się nią pochwalić Wincklerowi, już tam na mnie czekali.

- Tak szybko?

- Też się zdziwiłem.

- I co powiedzieli?

- Że będzie komisja dyscyplinarna.

- Odsunęli od sprawy?

- Jeszcze nie.

- W takim razie rób swoje. Sam dobrze wiesz, ile podobnych spraw rozchodziło się po kościach albo ginęło w cieniu postępów w śledztwie. A pismakami się nie zajmuj.

- Najgorsze jest to, że ktoś u nas najwyraźniej im sprzyja...

Taki to właśnie ambaras przyniósł tego wieczoru do szynku Pod Tłustym Wieprzkiem. I jak to bywało już wcześniej, znalazło się antidotum w postaci dobrej rady, ciepłego słowa i zimnego piwa. Kiedy skończyli pierwszą kolejkę, Albert, który nigdy nie pozostawał dłużny, zamówił następną. A kiedy ją dostarczono, co jak zwykle trwało krócej niż wizyta w tutejszym wychodku, zażądał nowych szczegółów sprawy, o których wspominał Ludwig.

- Tę dziewczynę widywano na Albertynie. Nie ustaliłem jeszcze, jak się nazywa, ale czuję, że to ona.

- Nie czuj, tylko działaj!

- Wiem. Miałem tam iść, żeby zacząć wypytywać, ale po tej historii z fotografem z „Königer Zeitung” odechciało mi się wszystkiego. Może spróbuję jutro.

- Ranek mądrzejszy od wieczora, jak mówią mądrzy ludzie. Chociaż o pewnych sprawach na pewno lepiej jest mówić po ciemku.

- To prawda - potwierdził Ludwig, ale zaraz westchnął ciężko. -
Chyba lepiej będzie, jak już pójdę.

- Nie poznaję cię, przyjacielu - mruknął Albert Schäfer.

- Ja coraz częściej sam siebie nie poznaję...

Wtedy stary wyga zatarł dłonie, jakby właśnie udał mu się jaki
interes.

- Odprowadzę cię kawałek, Ludwig - rzekł. - A może jeszcze
wstąpimy gdzie na jednego.

13

Bałtycki Król był jedną z ulubionych knajpek studentów. Nie tylko dlatego, że mieścił się niedaleko biblioteki uniwersyteckiej przy Krugstrasse. Bliskie sąsiedztwo Zamkowego Stawu pozwalało młodym biboszm na wybryki, których z pewnością nie tolerowano by w innych częściach miasta. Można było zatem dogorywać w wysokiej trawie bez obawy, że nie spodoba się to pilnującemu porządku stójkowemu. A tym samym nie prowokować złodziei, którym naiwnie zakładali, że skoro żak pije na umór, to przecie musi mieć pieniądze. Bywało, że ten i ów łądował dla kawału w zimnej wodzie, wrzucony doń przez rozochoconych kolegów, z którymi jeszcze przed chwilą biesiadował ramię w ramię.

Poza tym była to knajpa jak wszystkie, z markizą, szyldem i reklamami miejscowych browarów. Na ścianach w głównej sali, dość sporej, wisiały marynistyczne obrazy, do czego zobowiązywała nazwa przybytku. W kilka rzędach ustawiono solidne, dębowe ławy, przy których wieczorami biesiadowali studenci. Teraz jednak było cicho. Tu i ówdzie siedziały jedynie kilkuosobowe grupki młodych ludzi. Pili w spokoju, rozmawiali półgłosem.

Jeden ze stolików zajęli Helmut Steiner, Henryk Kozłowski i Lothar Koschiniak – trzech lokatorów stacji pani Lauder. Mimo że od chwili, kiedy pod mostkiem znaleźli trupa młodej dziewczyny, minęło już kilka dni, żaden z nich nie potrafił się z tego otrząsnąć. Zawsze skłonni do żartów i psikusów, chodzili milczący i osowiali. Ale było to nic w porównaniu z tym, jak za tamto wydarzenie i znalezisko zapłacała towarzyszka ich zabaw, córka pani Lauder, Agnes. Dziewczyna, młodsza od nich o kilka lat, leżała w tej chwili zmożona jakąś dziwną chorobą. Odmawiała jedzenia, nie odzywała się do

nikogo. Kiedy matce udało się namówić ją w końcu do zwierzeń, usłyszała jedynie, że życie nie ma sensu.

Jej stan był kolejnym powodem, dla którego trzej towarzysze spotkali się w knajpie. Agnes była dla nich niczym czwarty muszkieter z powieści Aleksandra Dumasa.

- Myślę, że powinniśmy ją zabrać z miasta - powiedział Helmut Steiner.

- Niby dokąd? - zapytał Lothar Koschiniak.

Steiner wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Gdzieś, gdzie mogłaby o wszystkim zapomnieć.

- Gdyby to były wakacje, sprawa byłaby o wiele łatwiejsza - odezwał się Henryk Kozłowski. - Szum morza, piasek wydm...

- Ale jest jesień - przerwał mu bezceremonialnie Helmut. - Prawie zima.

- No to może do ciebie. Twój rodzice mają przecież majątek - zauważył Kozłowski.

Helmut Steiner przewrócił tylko oczami.

- Sto dwadzieścia osiem mil stąd! - zachnął się. - Ja sam wybieram się tam dopiero na Boże Narodzenie.

- U mnie bida. - Rozłożył ręce Kozłowski, a Lothar Koschiniak skinął głową, chociaż nie wiadomo było, czy w ten sposób zgadza się z kompanem, czy może oznacza to, że u niego również się nie przelewa.

Na chwilę znów zapanowała cisza. Przerwał ją Henryk:

- Pójdę po kolejkę - mruknął.

Za wysokim, dębowym barem stał łysy osobnik. Lubił przerzucać sobie ukośnie przez pierś białą, długą ściereczkę, jak szarfę jakiego ważnego odznaczenia. Ci, którzy mieli czas, aby się nad tym zastanawiać, pewnie porównaliby ją do burszowskiej bandy. Przy czym należało jeszcze pomyśleć, czy barman robił to z szacunku dla tych, których obsługiwał, czy wręcz przeciwnie - pokazywał, że dumny symbol ich korporacji znaczył dla niego tyle co zwyczajna ściera.

Gdy Henryk zbliżył się do rzeźbionego kontuaru, łysy obrzucił go lekceważącym spojrzeniem. W przypadku barmana w Bałtyckim Królu szacunek zaczynał się bowiem dopiero od trzeciego roku studiów.

- Trzy pan będzie łaskaw - powiedział student roku dopiero drugiego, ułożony i zawsze do przesady grzeczny dla wszystkich, od wozaka po dziekana wydziału.

Barman zainkasował zapłatę, gratis zaś dorzucił radę:

- Lepiej wypijcie szybko, dzieci.

- Dlaczego? - zdziwił się student.

- A dlatego, że zaraz wpadnie tu Burschenschaft. Z tego, co mówili, chcą dzisiaj wieczorem oćwiczyć fuksów. Pan dekielka nie nosisz, więc łatwo o pomyłkę.

- Rozumiem. - Kozłowski boleśnie przełknął ślinę.

Barman z zaciekawieniem obserwował, jakie wrażenie wywołała wiadomość, którą przekazał. Nie żartował. O ósmej wieczorem w istocie miało się tu pojawić kilkudziesięciu burszów należących do studenckiej korporacji Burschenschaft, ażeby przyjąć w swe szeregi nowych członków. Czasem organizatorzy bardzo szybko tracili kontrolę nad taką zabawą i bywało, że dostawało się także tym, którzy wpadli do knajpy tylko na pogawędkę. Sam niezbyt się bał. Pod barem trzymał na takie okazje sporych rozmiarów lagę, która potrafiła odstraszyć nawet najbardziej krewkich żaków.

- O, już uciekają - mruknął do siebie, trzej lokatorzy stacji pani Lauder walczyli bowiem z rękawami płaszczy.

Odprowadziwszy ich wzrokiem, skupił się na polerowaniu świeżo umytego szkła. Za chwilę miało się przydać. Spotkania Burschenschaftu, jak i innych działających na Albertynie korporacji, były może i głośne, może i budzące grozę, może nawet i niebezpieczne, ale bez wątpienia opłacalne dla Bałtyckiego Króla. Burszowie zostawiali w kasie ciężko zarobione marki swoich rodziców, przeciw czemu nikt protestować nie zamierzał.

Od strony drzwi dobiegły jakieś podniesione głosy i już po chwili na progu pojawili się pierwsi młodzi mężczyźni w czerwonych,

przekrzywionych z fantazją dekielkach na głowach.

- Pić! - ryknął któryś sznapsbarytonem.

W tej samej chwili pod nogami łysego barmana pojawiły się dwie nowe beczki, przyturlane przez pomocników.

- Zapraszam! - zawołał barman z wymuszonym entuzjazmem i wesołością.

Po chwili dębowy bar otoczony był ciałami ludzkimi niczym mury średniowiecznego zamku przez zdobywców. Przekrzykiwali się, każdy chciał być obsłużony przed innymi. Podobnie rzecz się miała nieco dalej. Od tych korporantów, którzy tłumnie zaludnili długie ławy, zamówienia zbierali markerzy, co wymagało anielskiej cierpliwości i uwagi. Ale przecież nie był to pierwszy taki przypadek i można było mieć pewność, że prędzej czy później uda się, jak stało w świętych księgach, spragnionych napoić.

Po niecałej godzinie wzięto się za fuksów. Oj, nikt, kto tego wieczoru przypatrywał się wydarzeniom w Bałtyckim Królu, nie chciał być w skórze tych nieszczęśników. Wymyślono wszak dla nich wyjątkowe zadania, jak choćby poszukiwanie srebrnego pierścienia z godłem korporacji, ukrytego w wiadrze wypełnionym... odpadkami mięsa: wnętrznościami, pierzem zabitych kur i ich obciętymi głowami. Co raz to jeden z drugim musieli przerywać zdanie, by jak najszybciej opuścić salę i womitować. Kiedy więc wreszcie ktoś znalazł rzeczony pierścień, nagrodzono go rykiem z kilkudziesięciu gardeł.

- Arno! Arno! Arno! - skandowano przez dobrą minutę, tak bowiem miał na imię bohater wieczoru, nowy członek korporacji dumny właściciel dekła i bandy.

Okolo północy zaczęło się uspokajać. Łysy barman co prawda wciąż uwijał się jak w ukropie, ale czuło się wyraźnie, że zabawa, oczywiście w tym kształcie, miała się ku końcowi. Wiedział to też Franz Roberth, student trzeciego roku prawa i oddany działacz Burschenschaftu, mały grubasek o rumianych policzkach

porośniętych jasnym mezbkiem. Ceniono go w tym gronie - i to z wielu powodów. Szczególną estymą cieszył się właśnie z racji studiowania prawa. Chociaż nie zawsze wszystkie egzaminy udawało mu się zdać w terminie i nieczęsto bywał na wykładach, miał szeroką wiedzę praktyczną. Chodziły też słuchy, że pro bono pomagał maluczki i towarzyszą z korporacji, którzy popadli w kłopoty.

Franz Roberth siedział rozparty jak turecki pasza, bębnił palcami po stole w takt wykonanej burszowskiej pieśni i wodził wzrokiem po sali. Ten sam wzrok powędrował w dół, kiedy postawiono przed nim pełny kufel. Choć mogło się wydawać, że niewiele mu brakuje, by zapaść w sen, Franz był czujny. Nie mógł więc nie zauważyć, że ręka, która postawiła przed nim piwo, nie należała do kelnera. Przekręcił głowę. Siedział przed nim sympatyczny młody mężczyzna. Nie miał na sobie burszowskich atrybutów.

- Ktoś ty? - fuknął Franz.

- Dobry wieczór panu - uśmiechnął się nieznajomy, zupełnie niezrażony niezbyt uprzejmym przyjęciem.

Roberth nie spuszczał go z oka. Gdy wypił, przypomniał sobie, że jeszcze nie podziękował za fundę. Ale nie zrobił tego, uznał bowiem, że człowiek ten po prostu próbuje wkupić się w jego łaski. Pytanie tylko, czego chciał.

- Piękna impreza, prawda? - Nieznajomy skinął głową w stronę sali.

- Pan u nas pierwszy raz? - odpowiedział pytaniem na pytanie Roberth.

- Tak. Właśnie przeniosłem się z Jeny. Schuberth moje nazwisko.

- Roberth. Miło mi.

Zamiast podać sobie ręce, skinęli tylko głowami.

- Chyba długo pan studiuje, co? - powiedział Franz, bacznie przyglądając się rozmówcy. - Wygląda pan na więcej lat niż ci wszyscy.

Schuberth machnął lekceważąco ręką.

- Długo by opowiadać. Mam czas, nigdzie się nie spieszę. Wolę smakować życie, jak mawiają filozofowie.

- A to zupełnie tak jak ja! Studia nie zając, nie uciekną. Poza tym nie mam w ogródku drzew, na których rosną pieniądze, więc pracuję.

- To chwalebne. W sądzie?

Franz Roberth nie odpowiedział.

- Przystanie pan do naszego Burschenschaftu, panie Schuberth? - Zmienił temat jak na sprytnego prawnika in spe przystało.

- Chętnie. Jeżeli tylko...

- Ale, jak pan widział, los fuksów nie należy do najprzyjemniejszych.

- Chyba dam radę. Myślę, że warto. - Uśmiechnął się Schuberth.

- Na bursza zupełnie inaczej patrzą kobiety. Trochę szkoda, że nie ma tu żadnej, co?

Franz zmarszczył brwi. Pod takim spojrzeniem na pewno zmiękłby niejeden złoczyńca stojący przed sądem i niejeden sąd.

- Pan chyba nie z Jeny przyjechałeś, tylko z Księżycy! - sarknął.

- Nie rozumiem.

- Jakie kobiety? Na uniwersytecie? Kinder, Küche, Kirche, jak powiedział nasz władca Wilhelm II. Ja dodałbym do tego jeszcze jedno miejsce, mianowicie: burdel.

- Osobliwe podejście - ocenił przybysz. - Aż się boję zapytać, co by pan zrobił, gdyby na sali wykładowej nagle pojawiła się kobieta.

Twarz szarej eminencji korporacji Burschenschaft poczerwieniała niczym dojrzały pomidor. Zaraz jednak pojawił się na niej szeroki uśmiech.

- Tryb przypuszczający, czy jak się to zwie, jest tu całkowicie zbędny, drogi panie Schuberth - rzekł. - Całkowicie zbędny!

- Co pan ma na myśli?

- Nie wiem, jak w Jenie, ale w Königsbergu było już kilka takich, którym zamarzyła się medycyna albo prawo. Profesorowie się zgodzili.

- To przecie normalne w Europie...

- Ale Europa, szanowny panie, za chwilę zginie, udusi się w oparach absyntu. Przetrwają najsilniejsi. Poza tym Albertyna to studenci. Bez nich są tylko zimne mury i paru spedałonych dziwaków w togach. Szybko więc tego panny pożałowały, kiedyśmy z kolegami wygwizdali je na wykładzie. Bo chociaż był z anatomii, przyszedł cały Burschenschaft. Jedna, co próbowała gardłować, dostała nawet po głowie. - Beknął i dodał: - Takie jest moje zdanie: tylko burdel!

- To... to rzeczywiście bardzo poważna kwestia... - wydukał Schubert.

Wyglądał, jakby rzeczywiście zapędzono go w kozi róg. Wyszło bowiem na to, że chciał się wkraść się w łaski ważnej osoby, a zamiast tego tylko się skompromitował. I to przez co: przez kobiety! Wreszcie wbił wzrok w blat, zeszywniał. Nie śmiał spojrzeć na rozmówcę, nawet gdy ten już nieco spokojniej zapytał, czy Schubert też idzie się odlać. Nie szedł.

- A na mnie już pora, natury pan nie oszukasz - rzekł Franz Roberth, wstając z ławy zadziwiająco szparko. - Mam nadzieję, że jeszcze pana zastanę. Jest wiele spraw, o których powinien wiedzieć przysły członek naszej korporacji.

To powiedziawszy, odwrócił się i ruszył lekkim skosem przez największą salę. Był naprawdę ważną osobistością, bowiem tłoczący się pomiędzy stołami birbanci rozstępowali się przed nim, niektórzy nawet z ukłonami. Niestety, rozstąpić nie chciał się tłumek oczekujących przed wychodkiem. Nawet wówczas, gdy Franz Roberth chrząknął znacząco.

- A niech was wszyscy diabli, bando Żydów i polaczków! - warknął, obrócił się zamasyście i podążył w stronę wyjścia z knajpki.

Już po chwili poczuł na twarzy rześki podmuch od stawu. Wciągnął do płuc potężny haust nocnego powietrza, które po wielu godzinach w zadymionym pomieszczeniu smakowało wybornie. Na Krugstrasse jak na późną porę było dość tłoczno, podszedł więc jeszcze kilkanaście kroków w stronę brzegu. W tak intymnej sytuacji wolał być zupełnie sam; nigdy nie rozumiał żołnierzy, którzy potrafili

wyjąć fujary i łać na komendę, stojąc w szeregu. Parcie na pęcherz było coraz silniejsze, więc zatrzymał się na skraju niewielkiego zagajnika. Między pniami drzewi widać było połyskującą w świetle ulicznych latarni tafłę wody.

Franz Roberth rozpiął rozporek. Już miał się zabrać do guzików kalesonów, kiedy nagle coś zafurkotało w powietrzu. Nim wieczny student zdołał pomyśleć, czy to zapóźnione ptaszysko czy inny nietoperz, coś zważyło się na niego z impetem i przewróciło na ziemię...

14

- Ty, on się chyba złał - zabrzmiał męski głos; jego właściciel kilka razy znacząco pociągnął nosem.

- Co się dziwisz. Przerwałeś mu ważną czynność - wyjaśnił drugi.

- Bardzo przepraszam. Nie zdawałem sobie sprawy. - Pierwszy mężczyzna wydawał się szczerze skruszony. - Myślałem, że tylko czeka na jakąś kobitkę.

- On raczej nie przepada za kobietami.

- Co ty opowiadasz! - Szczery żal wyparło nie mniej szczere zdziwienie. - Taki jest?

- Tak myślę.

- Ohyda! - Mężczyzna splunął na ziemię.

- Trochę tolerancji, stary.

Franz Roberth otworzył oczy, jednak niczego ani nikogo nie udało mu się dostrzec. W pierwszej chwili przestraszył się, że może stracił wzrok, czego zawsze panicznie się bał. Znał bowiem kilku weteranów wojny 1871 roku, którzy nie widzieli, i bardzo im współczuł. Jednak gdy poruszył kilka razy powiekami, a także głową, dostrzegł w końcu blade światło. Do tego doszła charakterystyczna mysia woń, co potwierdziło domysły, że ktoś narzucił mu na łeb stary worek, a potem posadził na krześle. I jeszcze związał ręce z tyłu.

Kto? Co do tego Roberth nie miał wątpliwości: odpowiadała za to wraza korporacja albo ci, których z jakichś względów nie przyjęto do Burschenschaftu, więc postanowili się zemścić na jednym z najważniejszych działaczy. Okoliczności były wręcz wymarzone. Ech, łatwo dał się podejść. Może gdyby tyle nie pił...

- Panowie, skończmy z tymi żartami - powiedział zachrypniętym głosem.

- Ty, on mówi! - zdziwił się znów pierwszy głos. - A ja myślałem, że to troglodyta.

- Naprawdę łatwo się pomylić - rzekł z powagą drugi z oprawców, którego głos dopiero teraz wydał się Franzowi znajomy.

Wtedy dotarł do niego sens pierwszych słów, które usłyszał po odzyskaniu przytomności. Nie miał już potrzeby opróżnienia pęcherza, za to czuł wyraźnie, że jego spodnie są zimne i mokre. Pociągnął nosem, ale w odróżnieniu od tamtego człowieka nie poczuł woni uryny. Pewnie przez ten przeklęty worek na głowie.

- Panowie, porozmawiajmy poważnie - rzekł po chwili Franz Roberth. - Powiedzcie, ile to będzie kosztowało Burschenschaft, i rozejdziemy się do domów. Jest już naprawdę późno i...

- Burschenschaft? Chcesz zwalić własne winy na kolegów z korporacji? - odezwał się znajomy głos.

Grubasek niespokojnie poruszył się na krześle.

- Winy? Jakie winy?! Przecież ja niczego nie zrobiłem! To wszystko były tylko żarty, studencka tradycja. Nawet rektor się śmiał. Poza tym każdy fuks dobrze wie, na co się decyduje. Wy też to robicie na swoich spotkaniach...

Jeden chrząknął, drugi westchnął.

- Ty, on niczego nie rozumie.

- To zdejmij mu, kurwa, ten worek ze łba. Nie mam zamiaru tu siedzieć do pasterki...

Nic się jednak nie wydarzyło. Więzień znów zaczął wiercić się niespokojnie na chybotliwym krzeselku, które skrzypiało przy każdym ruchu. Wtem czyjaś ręka zdarła mu z głowy worek, jednak Franz Roberth nie dojrzał twarzy oprawców. W tym samym momencie coś ścisnęło mu boleśnie kostki i szarpnęło gwałtownie ku górze. Nie wiedział, co się z nim dzieje. Krzyknął krótko. Czuł, jak krew mu zaczyna rozsadzać czaszkę. Nic dziwnego - dyndał powieszony za nogi niczym wieprzek na chwilę przed rozpruciem brzucha.

- Co... co się dzieje? - wydyszał, kiedy jego ciało przestało się kołysać.

- Nic takiego - odparł jeden z mężczyzn.

- Próba dla fuksów! - zaśmiał się drugi.

- Ale myślę, że warto.

- Na bursza zupełnie inaczej patrzą kobiety.

Ostatni raz Roberth spoglądał na świat z tej perspektywy, kiedy jako kilkulatek bawił się z ojcem. Dawno to było, ale pamiętał. Starał się jednak skupić na teraźniejszości; na szczęście już wytrzeźwiał. Łzawiącymi oczami potoczył dokoła: znajdował się w jakimś pomieszczeniu gospodarczym z półkami, na których stały jakieś słoje, puszki i butelki. Spiżarnia? Piwnica? U sufitu, tuż obok haka, przez który przeciągnięto linę, świeciła goła, mocno zakurzona żarówka.

Ręce jednego z oprawców chwyciły go za ramiona i przekręciły, dzięki czemu biedny Franz mógł po raz pierwszy zobaczyć twarz dręczyciela. Do góry nogami, ale jednak. I omal nie krzyknął.

- Schuberth? Schuberth z Jeny?! - wykrztusił z trudem.

- Polizeirat Ludwig Schatzki, Prezydium policji w Königsbergu - przestawił się Ludwig, bo czas był już najwyższy. - A ten smutny gentleman to polizeikomissar Albert Schäfer. Smutny, bo głodny i chętnie położyłby się już spać. Mam przeto nadzieję, że szybko załatwimy naszą sprawę.

- Czego ode mnie chcecie?! - krzyknął student z ulgą, że to tylko gliny, a nie siepacze z konkurencyjnej korporacji.

- Pogadać - odparł niegłośnie Albert.

Stary wyga dobrze pamiętał tego gagatka. Dziewczyna, którą rok temu z okładem Roberth spoliczkował po wykładzie, zgłosiła się potem na policję. Traf chciał, że to komisarz Schäfer zajął się tą sprawą. A może raczej zająłby się, gdyby poszkodowana nie wycofała skargi. Pod wpływem nacisków, to nie ulegało wątpliwości. Na szczęście w papierach nic nie ginie. Kiedy więc Albert dowiedział się od Schatzkiego, że topielica była widywana na uniwersytecie, a pojawiała się tam najpewniej w charakterze hospitantki, postanowił wrócić do dawnej sprawy. Jak ustalił Schatzki, poglądy studenta na

rolę kobiet w społeczeństwie, a szczególnie jeśli chodzi o studia, nie zmieniły się ani trochę. Teraz należało przejść do kolejnych pytań.

- To jak to jest, Roberth, z tymi kobietami? - zapytał Schäfer. - Mój przyjaciel mówi, że nie za bardzo za nimi przepadasz...

W tym momencie w przesłuchiwanym, który za sprawą swej tuszy naprawdę przypominał świniaka, obudził się przyszły prawnik.

- Będziecie siedzieć! - wycharczał. - Już możecie sobie szukać nowej roboty, skurwysyny!

- Zdecyduj się, Roberth: pójdziemy do więzienia czy na bezrobocie? - sarknął Ludwig.

- Już nie żyjesz!

- Jeszcze lepiej. - Schäfer pokręcił głową z politowaniem.

- To przynajmniej rozwiązuje wszystkie problemy - zgodził się Schatzki. - Zanim jednak do tego dojdzie, chciałbym się dowiedzieć paru rzeczy. Rozumiesz, Roberth, będzie mi po prostu lżej. A kto wie, może święty Piotr w bramie nieba zapyta o moją ostatnią sprawę...

Nagle drzwi się otworzyły i stanął w nich jakiś człowiek. Ujrawszy wiszącego i dwóch innych mężczyzn, szybko zniknął. Mimo to Franz Roberth rozpoznał kurtę kelnera z Bałtyckiego Króla. Teraz przynajmniej wiedział, gdzie jest. Tylko co to zmieniało? Wisiał głową w dół, mogli z nim zrobić wszystko, co chcieli. A może powinien zacząć krzyczeć, wzywać pomocy? Ktoś na pewno by go usłyszał...

- Dobra, zacznijmy jeszcze raz, Roberth - westchnął Schäfer. - Jest naprawdę późno, rano muszę wstać jak inni. Powiedz nam więc łaskawie: lubisz kobiety czy nie lubisz?

Cisza. Niezrażony tym policjant mówił dalej.

- Jeśli nie lubisz, można po prostu obchodzić je z daleka.

I znów to samo.

- Chyba mu przyleję - warknął Albert.

- Nie trzeba. Mam lepszy pomysł - rzekł Schatzki.

Odwrócił się, odszedł kilka kroków i schylił się. Franz obserwował każdy jego ruch. Po chwili ujrzał w rękach policjanta jakieś wiaderko. W pierwszej chwili pomyślał, że jest w nim woda i że będą chcieli go

podtopić. No to się zdziwią! Roberth potrafił wytrzymać bez powietrza nawet kilka minut. Nieraz tego dowodził, kiedy całą kompanią bawili na mierzei. Byle tylko zdążyć zaczerpnąć powietrza. Gdy jednak Schatzki podszedł z wiadrem bliżej, wiszący natychmiast rozpoznał zwierzęce wnętrzności, pierze zabitych kur i obcięte łby.

- Coś wspominałeś o fuksach, Albercie? - uśmiechnął się Schatzki, a gdy stary wyga potwierdził, zbliżył wiadro do głowy wiszącego. - Widziałem, jak w tym świństwie zanurzali ręce, aby wydobyć jakiś głupi pierścień, a tym samym zadowolić podpitych braci z Burschenschaftu.

- Ohyda! - skrzywił się Albert.

- Zgadza się. Ale ciekaw jestem bardzo, czy stary wyjadacz jest w stanie zanurzyć w tym nie swoją delikatną rączkę, ale... łeb?

- Też jestem bardzo ciekaw.

- No to sprawdźmy.

Wtedy pod sufit wzbił się przerażający, spazmatyczny ryk więźnia.

- Będiesz gadał? - huknął Schatzki, potrząsając wiadrem.

- Taaaak!

- W takim razie zamieniamy się w słuch.

- Ja tylko miałem przytrzymać jej łeb pod wodą, żeby trochę skruszała... - wyjęczał na granicy płaczu Franz Roberth.

Schäfer i Schatzki spojrzeli na siebie. Rybka wpadła do sieci - zdało się mówić spojrzenie tego pierwszego. Tylko że niedoszły jurysta jeszcze nie skończył spowiedzi.

- I to nie ja to wszystko wymyśliłem!

- Każdy tak mówi - skomentował półgębkiem Schäfer.

- Nie kłamie! To on mi kazał... - krzyknął, po czym wybuchnął dziecięcym płaczem, który urwał się równie gwałtownie, jak się zaczął. Więzień stracił przytomność.

Dwie rybki lepsze niż jedna - mówiły oczy Ludwiga Schatzkiego.

15

Leni Kastner wyprostowała się i wyjęła ręce z ciepłej wody pachnącej różami i jaśminem. Położyła je na krawędziach wanny i zaczęła im się przyglądać z zaciekawieniem, jakby należały do kogoś innego. Lewy nadgarstek wciąż jeszcze szpeciła blizna po starym skalpelu, która miała już zawsze przypominać jej tamte niespokojne, nieodległe przecież dni. Zniknęły natomiast liczne siniaki na ramionach, pamiątka po oszuście, który o mały włos nie zgubił nie tylko biednej Leni, ale i całej rodziny konsula Kastnera.

Wzdrygnęła się na samo wspomnienie. Zanurzyła ręce w wodzie, aby za chwilę znów je wyjąć. Z zaciekawieniem patrzyła, jak gęsta piana spada z nich niczym czapy śniegu z okapów dachów w czas odwilży.

- Wszystko w porządku, panno Schmidt? - zza drzwi dobiegł kobiecy głos.

- W jak najlepszym - bez zająknięcia odpowiedziała Leni Kastner.

- Proszę wołać, gdy woda wystygnie albo coś będzie nie tak.

- Oczywiście. Dziękuję.

Nieco ponad godzinę temu panna Kastner alias Schmidt przekroczyła próg otwartego niedawno salonu piękności przy Fleischbankenstrasse pod numerem ósmym. Jeszcze miesiąc temu, góra dwa, mieścił się tutaj zakład krawiecki raczej niskiej kategorii. Ktoś miał pomysłu, żeby stworzyć w Königsbergu coś takiego - kilka głębokich wanien, w których kobiety mogły, tak jak ona teraz, zażywać relaksujących kąpeli. Nie bez znaczenia okazały się też niekrepujące przebieralnie. Było tu czysto i naprawdę miło. Starannie dobrane płytki na ścianach i terakota przywodziły na myśl czasy starożytnego Rzymu. W takich dekoracjach z pewnością spędzała

czas Kornelia Cynnilla, żona cezara. Było też cicho, jeśli nie liczyć głosów pracownic i klientek; od czasu do czasu dało się słyszeć chichot tych drugich, co w takim miejscu nikogo nie dziwiło. Całości dopełniało nastrojowe oświetlenie: wokół wanny, w której leżała Leni, ustawiono kilkanaście świec – a wszystko to za jedyne pięć marek za godzinę!

Leni pierwszy raz była w takim miejscu. Miała lat niespełna dziewiętnaście i nie potrzebowała jeszcze odmładzania, jeśli można tak rzec, na siłę. A dwa – wciąż wolała czytać książki Karla Maya o dzielnym Indianinie Winnetou, choć przecież o mały włos nie wyszłaby za mąż!

Gdy więc spytano o jej godność, spłoszona i zdziwiona skłamała. Może zrobiła to odruchowo, a może wciąż nie ufała ludziom po wszystkim, co ją niedawno spotkało...

Znów rozległo się pukanie do drzwi, a potem miły głos kobiety z obsługi oznajmił:

- Za chwilę seans Mezgera, panno Schmidt. Pan Zao już czeka.

Seans Mezgera? – pomyślała z niepokojem Leni. Przecież nie było o tym mowy! Co to w ogóle jest, do diaska!?

- Tak, już idę – powiedziała mimo to.

Wyszła z wanny i sięgnęła po ręcznik. Trochę było jej żal, bo woda jeszcze nie całkiem wystygła. Pomyślała jednak, że widać taki był rytuał. Wytarła się starannie, włożyła na siebie szlafrok, wzięła ranne pantofle (uprzedzona, zabrała te wszystkie rzeczy z domu) i opuściła gabinet. Zaraz za drzwiami czekała uśmiechnięta kobieta, która zajmowała się Leni od początku. Miała na sobie coś w rodzaju habitu z krótkimi, bufiastymi rękawami w kolorze ecru.

- Zapraszam. – Wskazała ręką na jakieś drzwi.

Kiedy jednak panna Kastner przez nie przeszła, okazało się, że czekało na nią trochę więcej osób niż rzeczony pan Zao (sądząc z nazwiska, musiał być to osobnik skośnooki i nieduży). W niewielkim korytarzyku stała inna klientka, obok niej kobieta z obsługi, ale jednak starsza niż ta, która zajmowała się Leni.

Zupełnie nie pasowała do tego obrazka piąta postać – mężczyzna lat około trzydziestu, wysoki, o dziobatej twarzy i srogim spojrzeniu wbitym w Leni. Właściwie to koso spoglądali na nią wszyscy.

- Panna Schmidt? – zapytała starsza kobieta.

- Tak – odparła Leni. – Co się stało?

- Pani pozwoli z nami.

Leni już otwierała usta, by zapytać, o co właściwie chodzi, bowiem ton tej kobiety coraz mniej jej się podobał. Ale zmilczała i z pokorą podreptała tam, gdzie jej kazano. Po chwili znaleźli się w przebieralni, Leni odruchowo sięgnęła do kieszeni szlafroka po kluczyk, który otrzymała na początku.

- Mogę wiedzieć, o co chodzi? – zapytała.

- Oczywiście – odparła pracownica salonu. – To jest pani Liebert. Pani Liebert twierdzi, że zginęła jej cenna biżuteria.

- Bardzo współczuję. Nie wiem tylko co...

- Proszę mi nie przerywać! – Kobieta podniosła głos. – Zginęła cenna biżuteria: pierścionek z brylantem i złota obrączka. Szukamy tych rzeczy. Nasz salon nie może sobie pozwolić na takie historie. Dlaczego poprosimy panią, by otworzyła swoją przebieralnię. To jest detektyw Saviscas. – Wskazała na dziobatego chudeusza. – Zadba, by wszystko odbyło się jak należy.

- Czeka mnie seans Mezgera, więc załatwmy to szybko. – Leni sięgnęła do kieszeni, wyciągnęła zeń klucz i otworzyła drzwi swojej przebieralni. – Proszę.

Do środka wszedł detektyw Saviscas, podczas gdy panna Kastner alias Schmidt, przyglądała się pozostałym kobietom. Kilka chwil później usłyszała za plecami głos tamtego człowieka.

- Czy rozpoznaje pani te rzeczy, Frau Liebert?

Leni drgnęła, odwróciła się gwałtownie. Mężczyzna trzymał na wyciągniętej dłoni pierścionek z brylantem i złotą obrączkę. I uśmiechał się z satysfakcją. Miał w garści nie tylko odzyskane precjoza, ale i podejrzaną o ich kradzież.

W pierwszym odruchu Leni parsknęła. Potem poczuła kilka niezwykle silnych uderzeń serca.

- Nie rozumiem... - powiedziała nieswoim głosem.

- Za to my wszystko rozumiemy - wycedziła przez zęby starsza pracownica.

Detektyw oddał biżuterię pani Liebert. Ta nie spuszczała jednak z Leni spojrzenia pełnego nienawiści i pogardy.

- Bardzo przepraszamy - powiedziała starsza pracownica salonu.

- To się u nas nie zdarza.

- Moja noga więcej tu nie postanie - fuknęła poszkodowana.

- Zapewniam panią, że winna kradzieży zostanie surowo ukarana

- rzekł Saviscas.

Ale pani Liebert już szła w kierunku swojej przebieralni. Zniknęła także opiekunka Leni. Dopiero wtedy panna Kastner odzyskała głos.

- To jakaś koszmarna pomyłka - powiedziała. - Przecież ja nigdy nie widziałam tych rzeczy!

- Nie sądzę - uciął detektyw. - Sprawa jest jasna: ukradłaś klejnoty i miałaś zamiar z nimi zbiec. Na szczęście ta biedna kobieta w porę się zorientowała. Pomijam swój udział w sprawie. Los chciał, że akurat przechodziłem obok i okazałem się przydatny.

Leni nie przestawała kręcić głową, ale nie była w stanie wydobyć z siebie słowa.

- Teraz tylko od pani zależy, jak ta sprawa się zakończy - rzekł po chwili detektyw Saviscas, splatając ręce na piersiach.

- To znaczy?

- Jako porządni obywatele mamy obowiązek iść na policję i zgłosić każdą kradzież - perorował mężczyzna. - Ale znamy życie i wiemy, że ludzie mają różne słabości, nad którymi nie zawsze są w stanie zapanować, panno Schmidt. Myślę, że okażesz się rozsądna. Zapewne jako osoba z towarzystwa nie chciałabyś, aby wybuchł skandal. To jak, dogadamy się? - Dziobaty klasnął w dłoń.

- Co pan ma na myśli? - Język Leni pracował z trudem.

- Pięć tysięcy marek i zapominamy o sprawie - powiedziała milcząca od dłuższego czasu starsza pracownica salonu.

- Co?!

- Płatne do jutra do północy. Albo idziesz do więzienia, a tam już zrobią ci taki salon piękności... - dokończyła tamta, oglądając z zainteresowaniem paznokcie; nie siliła się już na grzeczność, więc z łatwością można było rozpoznać w niej zwykłą praczkę.

Leni nawet nie zareagowała na to, że ci ludzie zwracali się do niej per „ty”. Spuściła głowę. Kobieta i detektyw spojrzeli na siebie. Nie, nie dadzą się wzruszyć, wziąć na lep takich tanich numerów. Wtedy jednak stało się coś bardzo dziwnego - oskarżona o kradzież, którą w innych kulturach karze się obcięciem dłoni, spojrzała prosto na nich. Na jej twarzy nie było widać ani jednej łzy, za to... gościł na niej uśmiech, który tłumiony, wstrząsnął jej ramionami.

- Chyba jednak chcesz siedzieć - wycedził przez zęby detektyw i rzucił do starej: - Biegnij na policję.

Ale Leni Kastner śmiała się już w głos. W tej samej chwili otworzyły się drzwi jednego z pomieszczeń i stanął w nich skośnooki osobnik z czarnymi warkoczykami, w okrągłej haftowanej czapeczce na głowie, ubrany w czerwoną, jedwabną koszulę i luźne porcięta, również jedwabne. Najpewniej był to ów pan Zao, który miał przeprowadzić seans Mezgera, jak w ofercie salonu górnołotnie nazwano zwykły masaż.

- Nie tak szybko - odezwał się Chińczyk bynajmniej nie po chińsku, wyjmując zza pleców rękę, w której trzymał broń. - Ręce do góry.

Kobieta i mężczyzna nie posłuchali od razu. Stało się to dopiero wtedy, kiedy złapana przed chwilą złodziejka również wycelowwała w nich rewolwer, dużo mniejszy, który wyciągnęła z kieszeni szlafroka, tak jak wcześniej klucz od przebieralni.

- Zabawa skończona, Saviscas, czy jak tam się naprawdę nazywasz - rzekł Zao, po czym zdjął z głowy czapeczkę wraz

z czarnymi włosami; teraz stał przed nimi blondyn, choć oczy wciąż miał skośne.

W tej samej chwili rozległ się tupot kilku par nóg i za plecami fałszywego masażysty pojawiły się kolejne osoby.

- To oni! - Młoda, ładna kobieta wycelowała oskarżycielski palec w Saviscasa i starą. - Wszystko odbyło się dokładnie tak samo: otworzyli przebieralnię, ukradli biżuterię, a potem ją podrzucili. A ja... Ja się bałam.

Kobieta się rozplakała. Na szczęście zaraz jakiś mężczyzna wziął ją w ramiona.

- Już dobrze, Heleno. Już po wszystkim - uspokajał żonę Joachim Steinhoff.

- Nie udowodnicie, że te kobiety nie kradły - wysyczał Saviscas.

- Ale z łatwością udowodnimy szantaż, zastraszanie i podobne przyjemności - rzekł Mesut Çetin, stając obok Stanisława Berga, który ani na cal nie upuścił rewolweru, podobnie zresztą jak Leni Kastner.

Wtem od strony wejścia dobiegły jakieś krzyki. Tym razem stukot obcasów był o wiele głośniejszy. Sekundę później do pomieszczenia wpadł ponad tuzin policjantów, część z obnażonymi szablami, część z karabinami.

- Policja! Nie ruszać się! Wszyscy pod ścianę! - pokrzykiwał jeden z nich, a kiedy ujrzał rewolwery w rękach Stacha i Leni, krzyknął: - Rzucić broń!

- Jestem detektywem... - próbował tłumaczyć Berg, całkowicie zaskoczony takim obrotem spraw. Jeden z policjantów wyrwał mu z ręki jego colta navy z 1850 roku.

I tak wszyscy, którzy nie mieli na sobie mundurów, znaleźli się pod ścianą. Wtedy do pomieszczenia niespiesznym krokiem wszedł człowiek w meloniku. Minę miał trochę srogą, trochę znudzoną, ręce splótł za plecami. Spojrzeniem myśliwego ogarnął wszystkich stojących. W pewnym momencie zatrzymał wzrok na jednym z nich.

- Berg? - rzucił niepewnie.

- Cześć, Schatzki - rzekł półgębkiem Stach. - Jak zwykle efektowne wejście.

- Czyli jednak wzrok mnie nie mylił. Niedawno widziałem cię w szpitalu lipnickim.

- Wszystko się zgadza - uśmiechnął się detektyw. - Mam tylko nadzieję, że teraz jakoś sprawiedliwie podzielimy się łupami.



KSIĘGA DRUGA

W GŁĘBINIE

1

Takiego spotkania nie można było nie uczcić. Przynajmniej dobrym obiadem. Przyjaciele wybrali restaurację Hansa Helmuta Wankego mieszczącą się przy Krönchenstrasse na Lipniku. Stach był tam honorowym gościem. Jakiś czas temu pozbył się bowiem raz na zawsze szantażysty, który nękał właściciela lokalu, załogę i klientów.

Na początek podano im zupę z raków, specjalność zakładu. Omawianie spraw zawodowych zaczęli od Saviscasa.

- Naprawdę jest prywatnym detektywem? - Chciał wiedzieć Berg, bo nie dawało mu to spokoju, odkąd tamten przedstawił się Leni.

- Był, owszem. Jeszcze rok temu - odparł Ludwig. - Ale najwyraźniej znudziła mu się uczciwa robota. Jak na niego wpadłeś?

Stach opowiedział policjantowi historię Joachima i Heleny Steinhoffów. Wizytówka, którą znalazł w pokoju kobiety, okazała się właściwym tropem. Wcześniej jednak musiał to sprawdzić. I działać szybko. Sam nie mógł udać się do salonu piękności dla pań, więc zmuszony był wysłać tam zaprzyjaźnioną kobietę. Pierwszą osobą, która przyszła mu do głowy, była Leni. Postanowił więc udać się na Theaterstrasse, gdzie mieszkał szanowny konsul Kastner. Miał Stach szczęście, bo akurat w domu była tylko ona. Kiedy dowiedziała się o zadaniu, a tym bardziej gdy Stach zastrzegł, iż może być ono niebezpieczne, aż podskoczyła z radości. Nudziła się bowiem setnie; dopiero na święta Bożego Narodzenia Kastnerowie mieli wybrać się do Łodzi, by poznać rodzinę przyszłego zięcia, Nicolasa Grossa.

Tak oto detektyw najął pomagierkę, ta zaś odegrała swoją rolę wręcz idealnie. Choć Stach obawiał się trochę, czy Leni nie za wcześnie sięgnie po pukawkę. Na szczęście udało jej się powstrzymać nerwy na wodzy. Sam bez trudu zaś wcielił się w rolę masażysty.

- Ciekaw jestem, ile kobiet w ten sposób załatwili - zastanawiał się Schatzki.

- Mam nadzieję, że teraz, kiedy szajka jest pod kluczem, zgłoszą się do was poszkodowane - powiedział Stanisław Berg. - Swoją drogą, całkiem niezły pomysł miał ten Saviscas i jego kobiety. Do salonu Venus nie chadzał przecież byle kto, tylko bogate panie.

- I do tego z dobrymi manierami, posłuszne - wtrącił Ludwig. - Wychowanie nie pozwalało im się postawić ani walczyć z oczywistym kłamstwem.

- Panna Kastner również nie zajrzała do przebieralni, gdy wszedł tam Saviscas. A przecież nie musiał wcale otwierać tych drzwi wcześniej, by podrzucić cudze błyskotki. Mógł po prostu na miejscu wyjąć je z kieszeni.

- Mam nadzieję, że o tym wszystkim już wkrótce ze szczegółami i z pasją nam opowie - uśmiechnął się Ludwig Schatzki.

Chwilę później kelner postawił przed nimi talerze z drugim daniem. Była to apetycznie wyglądająca i pachnąca pierś kurczęcia w sosie curry, podana ze smażonymi talarkami ziemniaków.

- Lubię, jak mnie rozpieszczają - rzekł policjant, zabierając się do jedzenia. - A wracając do Saviscasa, myślę, że rozmowa z tym panem będzie odrobinę dłuższa.

I opowiedział Bergowi o śledztwie w sprawie znalezionej w stawie dziewczyny w ciąży, które prowadził od kilku dni. Nie mógł nie wspomnieć o naciskach inspektora Franza Wincklera, o wtrącaniu się pismaków, o historii w kostnicy szpitala lipnickiego, a także o tym, co powiedziała mu jego ukochana (chyba znów mógł tak o niej mówić) Eliza Komorowska.

- Postanowiłem sprawdzić to nieoficjalnie. Że się tak wyrażę, od zakrystii - zaśmiał się krótko policjant. - I udało się. Wziąłem w obroty jednego takiego knurka. Oczywiście nie od razu zaczął śpiewać, hardy był. Dopiero gdyśmy go wzięli na hak...

- Tuszę, że to nie żadna przenośnia - mruknął Berg.

Schatzki popił kęs. Po chwili mówił dalej:

- Miałem sprawcę w ręku. Mało tego: miałem jego mocodawcę! Wystarczyło wziąć ludzi i przyjść po niego. No to przyszedłem.

- Nie rozumiem. Możesz mówić jaśniej?

Ludwig westchnął ciężko.

- Byłem pewien, że Franz Roberth, bo tak właśnie nazywał się ów knurek, którego zatrzymaliśmy z Schäferem, przyznał się do utopienia tej dziewczyny. W salonie piękności Venus miałem przyskrzynieć tego, który kazał mu to zrobić.

- Czyli Saviscasa?

- Tak. Okazało się, że Roberth od czasu do czasu pracuje tam jako łązienny. Taki bardziej do sprzątanía brudów, wyciągania kłaków z krutek odpływowych niż obsługiwania dystyngowanych klientek. Za mało ogłady, że tak powiem.

- Wierzę na słowo.

- Jakiś czas temu, kiedy jedna z szantażowanych kobiet zaczęła się buntować, grozić im mężem i sądem, Saviscas wezwał Franza. Kazał mu przytrzymać ją pod wodą, żeby zmiękła. I nasz Roberth myślał, że właśnie z powodu tej sprawy do niego przyszedliśmy.

- Jednym słowem: przyjechałeś ze swoją armią na Fleischbankenstrasse...

- ...przez pomyłkę - dokończył policjant, sięgając po wykałaczkę.

- Może za bardzo chciałem zakończyć tę sprawę...

Opuścił na chwilę wzrok. Zdawał sobie doskonale sprawę, kto był powodem jego pośpiechu. Tak, to Eliza. Chciał, by czuła się bezpieczna. I to podwójnie bezpieczna, bo raz, że do pracy na Albertynie chodziłaby bez strachu, że ktoś wyskoczy z krzaków z niecnymi zamiarami, a dwa, że on, Ludwig, miałby dla niej więcej czasu. Chyba...

- Ale, jak to mówią, nie ma tego złego - uśmiechnął się Stanisław Berg. - Ułatwiliście nam robotę, bo i tak musielibyśmy dostarczyć wam tę szajkę. Tak czy siak, sieć pełna rybek. Choć prawdę mówiąc, Steinhoff, mąż jednej z ofiar, miał co do nich trochę inne zamiary. A dokładnie jego żona.

- Mała zemsta?

- Znasz kobiety.

- Co planowała?

- Od chwili kiedy zrzuciła się z siebie ciężar i przyznała się do zabrania z domowego safe'u pieniędzy na opłacenie szantażystów, planowała zabrać swoich dręczycieli na statek handlowy męża i policzyć się z nimi na środku morza. - Stach wyciągnął z kieszeni surduta pudełko cygar H. Upmann i poczęstował kamrata, skończyli już bowiem jeść.

- Chętnie - rzekł Schatzki. - Dziękuję.

- I co teraz zamierzasz? - zapytał Stach, podając ogień przyjacielowi.

Ludwig wzruszył ramionami.

- Zacznę od nowa, ale tym razem po bożemu - rzekł, a kiedy Stach spojrzał na niego pytająco, dodał: - Żadna z bab, które zawodowo zajmują się spędzaniem niechcianych płodów, nie widziała tej dziewczyny. Muszę w to wierzyć, bo wysłałem do nich w odwiedziny najlepszych ludzi.

- Czyli najmniej przystojnych, miłych i sympatycznych - wtrącił Berg.

- Zgadza się, przyjacielu. Niestety, wciąż nie wiem, czy było to morderstwo czy samobójstwo. Może trzeba będzie znów wybrać się na otrzęsiny do Bałtyckiego Króla...

Wtem rozległ się odgłos kroków, inny zupełnie od tego, który zwiastował pojawienie się markera z kolejnym daniem czy napitkiem, inny też od tego należącego do właściciela restauracji, Hansa Helmuta Wankego. Prawe ręce obu panów jak na komendę powędrowały za pazuchy. Po chwili do niszy, w której biesiadowali Stanisław Berg i Ludwig Schatzki, wtoczył się umundurowany policjant, poczciwy wachtmeister Hoffman.

- Co się dzieje? - zapytał Ludwig.

- Ma pan jak najszybciej stawić się w Prezydium policji - wyrzucił z siebie jednym tchem mundurowy. - Powóz czeka - dodał, by

następnie odetchnąć jakby z ulgą.

Schatzki słuchał, jakby Hoffman mówił w jakimś obcym języku. Choćby po chińsku.

- Powóz czeka - powtórzył wachtmeister Hoffman, uosobienie cierpliwości, choć z pewnością nie potwierdziliby tego złodzieje, których złapał.

- A tak, już... - Ludwig Schatzki sprawiał wrażenie, jakby dopiero się obudził. - Idź już. Zaraz będę.

Kiedy policjant zgodnie z rozkazem upuścił niszę, Schatzki dźwignął się z krzesła. Stach opróżnił duszkiem szklanę i uczynił to samo.

- Dziękuję ci za spotkanie, przyjacielu - rzekł. - I za kolejną rozwiązana sprawę. Tym razem to chyba naprawdę ostatnie spotkanie i ostatnia sprawa.

- Tak, tak, wiem. Za chwilę odplywa twój statek, właściwie to już odcumował. W takim razie chyba trzeba cię podrzucić? Choć kawałek, co? - zapytał policjant.

Stanisław Berg zgodził się z uśmiechem. Wychodząc, zapłacił za posiłek, mimo że pan Wanke próbował protestować.

- Właśnie zarobiłem swoją dolę, ratując komuś skórę - wytłumaczył półgłosem detektyw, nachyliwszy się nad uchem restauratora.

- Tak jak kiedyś nas? - zapytał Hans Helmut Wanke, wyraźnie podekscytowany.

- Prawie. Na szczęście nikt nie strzelał - rzekł Stach zgodnie z prawdą.

- A to chwała Bogu.

Pożegnali się. Na progu restauracji oczekiwał Schatzki.

- Zaczęło padać, cholera - warknął, by dodać z uśmiechem: - Kolejny argument przemawiający za tym, żebyśmy spędzili razem jeszcze parę chwil. Odwiozę cię, dokąd zechcesz. Winckler może poczekać.

Szybkim krokiem, aby zmoknąć jak najmniej, przyjaciele ruszyli w stronę powozu stojącego po przeciwnej stronie Krönchenstrasse. Od jego drzwi, które już usłużnie otwierał Hoffman, dzieliło ich dziesięć, najwyżej dwanaście kroków, gdy jak spod ziemi wyrósł przed nimi ogromnych rozmiarów mężczyzna...

2

Eliza Komorowska oderwała wzrok od kartki wkręconej w wałek underwooda i spojrzała na szybę, po której spływało coraz więcej kropel deszczu. Pomyślała znów o Ludwigu i o nocy, którą spędzili razem. Zastanawiała się, jak powiedzieć rodzicom o tym, że znów się z nim zeszała. Bo chyba się zeszała...

Najgorsze było to, że skłamała, zapewniając go, że jej rodzice nie pamiętają już o tym, co wydarzyło się tamtego wieczora. Nie dość, że bardzo dobrze o wszystkim pamiętali, to jeszcze niewinne skądinąd zdarzenie, zwykle nieporozumienie tak naprawdę, przez ostatnie pół roku z każdą chwilą pogrążało w ich oczach Ludwiga. No i oczywiście nie bez znaczenia dla rodziny Komorowskich okazała się obecność Schatzkiego na pierwszej stronie miejscowej gazety. Ojciec mało nie porwał jej ze złości. Gdy już udało mu się nad sobą zapanować, nie szczędził gorzkich słów, nazywając Ludwiga karierowiczem, bawidamkiem – bo przecież nie podlegało kwestii, że się po Elizie szybko pocieszył – a nawet aktorem!

Drgnęła, gdy za ścianą odezwał się dzwonek. Na szczęście to nie do jej zadań należała dziś obsługa systemu Bella. Jakoś wciąż nie potrafiła się do niego przyzwyczaić, nie wierzyła, że ktoś, z kim rozmawia przez tubkę, naprawdę jest w tej chwili daleko od niej, a nie w sąsiednim pomieszczeniu. Pewnie dużo czasu minie, nim matka i ojciec, z natury sceptyczni, zafundują sobie coś takiego w domu.

– Tak, tak! Jest! – Głos Helgi było słychać wyraźnie przez ścianę. – Tak, oczywiście. Już idę, proszę chwilę poczekać.

W akompaniamencie żwawego tupotu obcasików i szelestu sukni Helga udała się do gabinetu dziekana. A ponieważ ten był oddalony

od pomieszczenia, w którym w tej chwili siedziała Eliza, nic więcej nie usłyszała. Pozostało czekać na głos profesora, który za chwilę rozpocznie rozmowę.

Eliza jeszcze raz spojrzała za szybę, już całkowicie pociętą smugami wody. Przeniosła wzrok na maszynę. Na papeterii z adresem dziekanatu zdążyła napisać tylko kilka linijek tekstu. Czeką ją jeszcze kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt, ale nie martwiła się tym. W przeciwieństwie do wynalazku pana Bella wynalazek pana Wagnera darzyła sympatią. Pisanie na maszynie przychodziło jej z łatwością. Miarowy stukot metalowych ramion z czcionkami skutecznie zagłuszał myśli, które huczały jej w głowie.

Znów napisała kilka zdań. Owszem, robiła to zawsze ze zrozumieniem, jednak wszystkie te wiadomości szybko ulatywały z jej głowy. W pewnej chwili wpadła w taki trans, że odgłos klawiszy underwooda odegrał jedno staccato z deszczem, który zacinając, uderzał w szybę.

- Tak, dzień dobry - usłyszała tubalny głos; to dziekan, którego znalazła Helga, może nawet wyciągnęła z wykładu, odezwał się do aparatu.

Już miała zebrać się w sobie, aby jak najszybciej dokończyć zadanie, gdy nagle ktoś zapukał do drzwi. Eliza podniosła głowę. Na progu jej pokoju stało dwoje starszych ludzi. Mogli być w wieku jej rodziców.

- Dzień dobry, pani - odezwał się mężczyzna, posiadacz imponujących siwych wąsów.

Eliza podniosła się z krzeselka.

- Dzień dobry.

- Moje nazwisko Krautter - przedstawił się mężczyzna, który nerwowo obracał trzymany w palcach melonik. - A to jest moja żona.

Wystarczyło, że na chwilę oderwał palce od rondka, żeby Komorowska zauważyła, jak bardzo się trzęsie jego lewa ręka.

- Czym mogę państwu służyć? - zapytała, splatając przed sobą dłonie, jak miała w zwyczaju na początku każdej rozmowy

z petentem.

Mężczyzna otworzył usta i nabrał powietrza, ale nic nie powiedział. Po chwili przyłożył melonik do piersi. W tym momencie inicjatywę przejęła kobieta.

- Szukamy córki, droga pani - oświadczyła mocnym głosem. - Ma na imię Monika. Monika Krautter. Chodziła tu na wykłady jako hospitantka...

Na te słowa serce Elizy uderzyło sześć razy zamiast dwóch, a jej twarz zapalała żywym ogniem. Oto w jednej chwili otrzymała odpowiedzi na pytania, które zadał jej Ludwig. Dziekanat nie dysponował fotografiami, tym bardziej młodych kobiet, które tylko przysłuchiwały się wykładom. Innych studentów Ludwig miał przesłuchać wczoraj, ale się nie pojawił. Boże, oby znów nie zniknął...

- Czy pani mnie słyszy? - Z zamyślenia wyrwał Elizę głos pani Krautter.

- Tak, oczywiście! - odpowiedziała Komorowska, dużo głośniejszym głosem niż zamierzała. - Niestety, pan dziekan jest w tej chwili zajęty. Może ja mogłabym pomóc?

- Szukamy córki. - Na czole pana Krauttera pojawiło się kilka kropelek potu. - Nie wróciła do domu na niedzielę. To się nigdy nie zdarzało. Mieszkamy w Insterburgu. Jechaliśmy pół dnia. - Kolejne zdania mężczyzna wyrzucał z siebie coraz ciszej i z coraz większym trudem.

Panna Komorowska bez słowa wskazała gościom krzesła stojące pod ścianą. Zajęli je skwapliwie, jednak ani na chwilę nie spuszczała oczu z pracownicy dziekanatu.

- Przepraszam - bąknęła po chwili i wyszła z pokoju.

W pierwszym odruchu chciała szukać ratunku u Helgi. Była starsza, pracowała tu dłużej, dzięki czemu skóra jej zgrubiała. Na nic zdawały się przy niej lamenty przychodzących po prośbie studentów, którzy zawalili egzamin albo chcieli złożyć dokumenty na długo po terminie. Na Helgę nie działały ich słodkie oczęta ani tym bardziej komplementy, którymi ją obdarzali, mimo że była to panna stara

i niezbyt ładna, z czego zdawała sobie sprawę. Kwiaty, owszem, przyjmowała, ale tylko po to, by po zakończeniu pracy zanieść je do nieodległej katedry.

Tak, Helga z pewnością znalazłaby jakąś radę i zajęła się rodzicami panny Krautter. Pech chciał jednak, że gdzieś zniknęła. Dziekan wydierał się do tubki aparatu Bella. Gdy ujrzał Elizę, uklonił się jej. Dygnęła, jak było w tym miejscu przyjęte. Bezwiednie posłyszała też kilka zdań prowadzonej rozmowy; ktoś umarł i profesor przekazywał wyrazy głębokiego współczucia, jednocześnie wyrzekając na podły świat.

- Niczym się nie różni śmierć od życia, jak mawiał nasz wielki poprzednik Immanuel Kant - rzekł uroczyście.

W ostatniej chwili powstrzymała się, aby nie zachichotać, mimo powagi sytuacji, tej i tamtej, od której właśnie uciekła. Wiedziała bowiem, że autorem tych słów jest Tales z Miletu, nie zaś dawno zmarły profesor filozofii i rektor Albertyny.

Wyszła z gabinetu, zatrzymała się na korytarzu i oparła plecami o ścianę.

Co robić? - zastanawiała się. Nie, przez gardło jej nie przejdą te słowa. Nie będzie aniołem śmierci, nie wyśle tych ludzi do szpitala lipnickiego, gdzie w kostnicy leżą zwłoki ich dziecka, być może jedyne. Nie, po stokroć nie, choćby dali jej teraz do ręki księgę z wszystkimi pocieszającymi sentencjami, które przez wieki wymyślili filozofowie. Na pewno jest taka w bibliotece przy Krugstrasse...

- Co się pani stało? - zapytał dziekan.

Nawet nie zauważyła, kiedy przy niej stanął. Mimo że mylił Kanta z Talesem i pewnie też Platona od Seneki Młodsze nie odróżniał - zresztą co się dziwić, skoro był profesorem medycyny - lubiła go bardzo. Wzięła więc głęboki wdech i wyrzuciła z siebie:

- Przyszli rodzice tej kobiety, którą niedawno znaleziono, pamięta pan dziekan... - zawiesiła głos i spojrzała wyczekująco na starszego mężczyznę.

Kilka chwil później dziekan zniknął w pokoju, w którym oczekiwali państwo Krautter z miasta Insterburg, na które ojciec Elizy często mówił Wystruć. Choć w pierwszej chwili poczuła ulgę, wcale nie była rada, że zrzuciła na barki profesora ten przykry obowiązek. Dziekan miał jednak swoje lata, niejedno widział i słyszał. Jako lekarz miał też do czynienia ze śmiercią w najczystszej postaci. Na pewno coś wymyśli. Może nawet znów posłuży się Kantem...

Wtedy uświadomiła sobie, że właśnie zyskała coś bardzo cennego. Nazwisko znalezionej w wodzie dziewczyny. Czyż nie na to właśnie czekał jej Ludwig?!

- Proszę o połączenie z Prezydium policji - powiedziała rychło do tubki, zapomniawszy o strachu, a kiedy uczyniono zadość jej prośbie, sprecyzowała żądanie: - Z Ludwigiem Schatzkim.

Radość z jej sercu, spowodowana rychłą rozmową z ukochanym, zgasła jednak równie szybko, jak się pojawiła.

3

Ten, którego nazwisko i imię niezrozumiałym wciąż dla wielu ludzi, szatańskim wręcz sposobem biegły po drutach łączących najważniejsze budynki w mieście, nawet gdyby chciał, nie mógł w tej chwili rozmawiać. Polizeirat Ludwig Schatzki leżał w tym czasie jak na marach. Nie ruszał się, oczy miał zamknięte.

- I coś ty narobił, człowieku? - Stanisław Berg kręcił głową.

Jego rozmówcą był spotkany na ulicy człowiek ogromnej postury. Wzbudzał nią respekt nawet teraz, kiedy siedział zgarbiony na krześle, w niszy restauracji Hansa Helmuta Wankego.

- Myślałem, że on pana aresztował - rzekł. - Nie mogłem na to pozwolić.

- Dobra, jedz Ciupa, nie pierdol - rzucił Berg, spojrzawszy po raz kolejny na wielką miche kaszy ze skwarkami, którą kilka chwil wcześniej marker postawił przed wielkoludem, a obok lewej nogi leżącego na stole policjanta.

- Ale naprawdę nic mu nie będzie?

- Nie. Twardy jest.

- Chwała Najwyższemu...

- Je dużo ryb. Jak każdy tutaj.

Roch Ciupa, były pielęgniarz w szpitalu psychiatrycznym przy ulicy Tkackiej w Łodzi, wziął do ręki łyżkę i zabrał się do jedzenia. Był niemal nieprzytomny z głodu i wyczerpania, co jednak nie przeszkodziło mu kwadrans wcześniej rzucić się na Schatzkiego, który wraz z detektywem zmierzał w kierunku policyjnej berliny. W istocie, mógł odnieść wrażenie, że Stach, jego szef z dawnych łódzkich czasów, napytał sobie biedy i za chwilę pojedzie do policyjnego aresztu w Königsbergu.

Wystarczył jeden precyzyjny cios, a Schatzki leżał na bruku. I tylko przytomności Berga policjant mógł zawdzięczać, że niegdysiejszy pomagier detektywa nie zaczął kopać go po żebrach, bo i do tego niechybnie by doszło. I pewnie olbrzym od razu zapłaciłby za to słono, bowiem stojący u drzwi berliny wachtmeister Hoffman, widząc co się dzieje, błyskawicznie dobył szablę z pochwy.

Kiedy już udało się zapanować nad sytuacją, podnieśli wspólnie nieprzytomnego Schatzkiego i zanieśli go do restauracji, nie zważając na klientów! Pan Wanke nawet się mocno nie zdziwił, widząc dziwny pochód. Od razu odpowiednio pokierował personelem, a gości wraz z poszkodowanym skierował do pomieszczenia, które wcześniej zajmowali. Wtedy też Roch Ciupa, zapewne za sprawą roznoszących się w tym miejscu smakowitych zapachów, zapytał, czy mógłby dostać coś do jedzenia. Cokolwiek. Mogą być zlewki, bo od kilku dni nic w ustach nie miał. Kiedy zaproponowano mu coś ze specjalności zakładu, po prostu zbaraniał. W jego imieniu Stanisław Berg zamówił wspomnianą kaszę ze skwarkami.

- Smakuje? - zapytał.

- Jak złoto, szefie - odpowiedział Ciupa z pełnymi ustami, wszak do osób subtelnych i przestrzegających zasad dobrego wychowania nie należał nigdy.

Przez chwilę Berg obserwował opychającego się osiłka, jakby to było jego własne dziecko głodujące gdzieś na stacji albo w koszarach. Roch był naprawdę głodny, nie było krztyny przesady w tym, co powiedział, jednak starał się jeść w miarę po ludzku. Nic z michy nie spadło na stół i to chyba nie tylko dlatego, że obok leżał nieprzytomny wciąż człowiek.

- Wypuścili cię czy dałeś drapaką? - zapytał detektyw, przypomniawszy sobie o wydarzeniach, które kazały mu jakiś czas temu uchronić z miasta Łodzi. Teraz mogli rozmawiać spokojnie, bo wachtmeister, upewniwszy się, że przełożonemu nic nie grozi, wrócił do berliny.

- Wypuścili - odrzekł były pielęgniarz z psychuszki.

- Dawno?

- Będą dwa tygodnie. Sędzia łyknął bajkę, którą wymyślił adwokat.

- Miałeś adwokata?! - zdziwił się Berg.

- Tak. Zawodziński, ten któremuśmy wtedy dupsko uratowali, wynajął anonimowo. Widać go ruszyły wyrzuty sumienia, kpa jebanego.

Stach zerknął niepewnie w bok, w stronę głównej sali. Choć Roch klął po polsku, nie gwarantowało to bezkarności.

- Ciszej mów - upomniał go półgłosem.

- A bo taka ładna była ta dziewczyna! - jęknął wielkolud. - A ten suczy syn pozwolił jej przedawkować to świństwo. Nawet nie wiedział, jak się nazywa. A potem: ratujta, ratujta, ja nie chcę iść siedzieć do tury! A szkoda, szkoda wielka. Może by się czegoś nauczył...

- Przyjdzie i na niego kolej - przerwał mu Stach, by zapytać: - Co takiego wymyślił ten adwokat?

- A że znalazłem zwłoki tej dziewczyny i jako niegdysiejszy pielęgniarz w klinice doktora Zahna nie mogłem spokojnie na nie patrzeć, więc zaniósłem do kostnicy. I ruski sędzia, jak mówię, łyknął tę bajkę.

- Skoro wszystko dobrze się skończyło, po jaką cholere żes tutaj przyjeżdżał taki kawał drogi, mój Rochu? Żeby jeszcze do Piotrkowa czy Koluszek, a nawet do Warszawy! Ale żes się pchał aż do Prus? Aż się boję zapytać, co cię tu przygnało...

Roch Ciupa z uwagą odłożył łyżkę na brzeg miski, w której niewiele już co prawda zostało, ale można było iść o zakład, że i resztkom nie daruje. Podniósł wzrok na swego niegdysiejszego chlebowodawcę. Stach znał to spojrzenie.

- Musiałem pana ostrzec - rzekł Ciupa.

- Przed czym?

- Ciężko mi to mówić, ale jeszcze nie może pan wracać do Łodzi, panie Berg.

- Chodzi o te pieniądze, które niby sobie przywłaszczyłem? Jestem w stanie udowodnić swoją niewinność. Każdy adwokat mnie wybroni. Ten knur Fromm przekazał przeze mnie łapówkę, a potem oskarżył o kradzież...

- Fromm nie żyje, panie Berg.

- Co się stało?

- Został zamordowany.

- Kurwa...

- A wcześniej napisał list, że obawia się o swoje życie. A dokładnie to obawia się pańskiej zemsty.

Wyrzuciwszy to z siebie, Roch Ciupa sapnął głucho. Było jasne, że wiedza ta bardzo mu ciążyła. Ponownie chwycił za łyżkę, aby dokończyć kaszę, ale tylko pogrzebał w talerzu.

- To właśnie chciałem panu przekazać. Stary Gross powiedział mi, gdzie pan jest, chociaż był trochę nieufny. Nie chciał jednak mówić o tym, co się tutaj wydarzyło, ale mogę się tylko domyślać, że niewiele brakowało, a przewróciłby pan to miasto do góry nogami...

Stanisław Berg wstał z krzesła, podszedł do okna, wsunął ręce w kieszeni spodni i spojrzał na Krönchenstrasse. Deszcz przestał padać i ulicę zalewało w tej chwili słoneczne światło.

- Königsberg to naprawdę piękne miasto. Chociaż my, Polacy, powinniśmy mówić: Królewiec. Zwiedziłeś trochę, Rochu? Przejechałeś się chociaż tramwajem?

- Od kilku dni nie spuszczałem pana z oka. Przyglądam się każdemu, kto się do pana zbliża. Tylko ten mały chłopak z portu trochę się rzucał, więc dostał prztyczka w ucho. Odwiedziłem też trafikę, w której pan mieszkał. Ale nic nie mówiłem. A teraz ten policjant. Naprawdę myślałem, że...

Przerwał, bo leżący na stole Schatzki poruszył głową i otworzył oczy.

- Co? Co się dzieje? - wyjęczał.

Berg szybko wrócił na swoje miejsce, Roch Ciupa zaś odruchowo odsunął michę.

- Wszystko w porządku - powiedział detektyw łagodnym głosem.
- Ktoś nas zaatakował? - Policjant podniósł głowę i jął rozglądać się na boki. Z tej perspektywy nie widział człowieka, który odpowiadał za jego stan.

Były pielęgniarz wstał z miejsca i ze spuszczoną niczym sztubak głową zaczął wyznawać swoje grzechy. Nie omieszkał wspomnieć, co łączy go z Bergiem, na koniec obiecał poprawę oraz, co zaskoczyło wszystkich, zaoferował swoje usługi, choć nie sprecyzował, o co dokładnie chodziło. A, i jeszcze dodał:

- Wszystkie kości ma pan całe.
- Skąd pan wie? - zapytał chrapliwie Ludwig.
- Bo przez wiele lat pracowałem jako pielęgniarz.
- W szpitalu?
- Zgadza się. Co prawda nie zawsze, a raczej rzadko leczyliśmy tam złamania, ale...

Berg uciszył starego przyjaciela znaczącym spojrzeniem. Ludwig Schatzki usiadł, opuścił nogi z blatu stołu, wreszcie przetarł oczy kostkami dłoni.

- Z tego, co pamiętam, miałem chyba pojechać do Prezydium - powiedział trochę niewyraźnie.

- Dobrze się czujesz? - upewniał się Stach, popatrując to na niego, to na sprawcę zamieszania, który wciąż stał ze zwieszoną głową.

- Dobrze.
- Cieszę się. Nie chcę, żeby mój przyjaciel miał jakieś kłopoty.
- Twoi przyjaciele są też moimi przyjaciółmi, jak mawiają Indianie. Czuję się więc dobrze, ale nie gwarantuję, że będzie tak, kiedy dotrę na miejsce. Jakieś wielkie świństwo wisi w powietrzu. Czuję to.

Usłyszawszy te słowa, Ciupa pociągnął kilka razy nosem. Kilka dni spędzonych w mieście sprawiły, że nie tylko zgłodniał był bardzo, ale też pachniał nie za pięknie. Stach nie chciał nawet dopytywać, gdzie spał.

- W takim razie musisz jechać. - Berg klasnął w dłonie i zatarł je z zadowoleniem; był rad, że sprawa właśnie w ten sposób się zakończyła.

- Tak, jedźmy - zgodził się policjant. - Oczywiście moja propozycja podwiezienia jest wciąż aktualna.

Stach uśmiechnął się i wskazał na Rocha.

- Problem w tym, że teraz jest nas dwóch - rzekł.

- Nasza berlina duża - skwitował Schatzki.

- I na pewno lepsza niż kubitka - dodał Roch.

Po chwili pokonali tę samą drogę, którą próbowali pokonać poprzednio. Różnica była taka, że wachtmeister Hoffman nie czekał z otwartymi drzwiami, bo akurat smarkał do rynsztoka, a Roch Ciupa nie atakował Schatzkiego, bo już wiedział, że to przyjaciel jego przyjaciela. Wreszcie deszcz nie padał im na głowy, co oczywiście nie oznaczało, że za chwilę nie zacnie.

Wsiedli wszyscy do środka berlina, która mocno rozchybotła się, gdy przyszła kolej Rocha. Woźnica cmoknął na konia. Kiedy ruszyli, Stanisław Berg, który wybrał miejsce z brzegu, zapatrzył się w okno powozu. Choć szybę pokrywały kropelki deszczu, można było podziwiać przez nią miasto.

Ech, czy po tym, co kilka chwil wcześniej powiedział mu dawny kompan, mógł powiedzieć o Königsbergu „moje miasto”? Kilka tygodni wystarczyło, by przestał gubić się w labiryncie jego uliczek, znał nazwy większości z nich, a także mostów. Pewnie poruszał się tramwajem i wiedział, kiedy dorożkarz bierze go za gościa i chce naciągnąć, skręcając nie tam, gdzie trzeba. Kilka razy tak się zdarzyło i fiakier dostał laską po karku. Nie za mocno, ale tak, żeby poczuł. Wiedział wreszcie, w którym składzie kupić swoje ulubione piwo, a w którym nowy krawat czy zapas bielizny, i gdzie dobrze zjeść.

Königsberg. Königsberg - powtarzał w myślach, a serce jego wtórowało: Królewiec. Królewiec...

4

Tego dnia Eliza Komorowska nie usiadła już przy swojej maszynie do pisania. Państwo Krautterowie nie dali się nabrać na gładkie słówka dziekana. Mimo to profesor do końca pozostał kulturalny. Po prostu na koniec wymówił się koniecznością powrotu na wykład, z którego został wyciągnięty, aby odebrać ważny telefon. Przeprosił i poszedł sobie.

Tak oto Eliza dostała tych dwoje z powrotem niczym odbitą na korcie tenisową piłkę. Zresztą nie było się co dziwić: Monika Krautter była jedynaczką, królową tatusia. Podobnie jak Eliza. Próbowwała sobie nawet wyobrazić, jak jej rodzice by się zachowali, gdyby zaginęła w wielkim mieście, dajmy na to w Hamburgu albo innym Berlinie. Ojciec poruszyłby niebo i ziemię, aby ją odnaleźć, nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Starła się być delikatna, a jednocześnie konkretna. Poprosiła, by starsi państwo usiedli. Gdy zajęli miejsca, na których zwykle wierzili się studenci, zaczęła szukać danych Moniki Krautter w dostępnych dokumentach. Zajęło jej to około dziesięciu minut.

- Jest! - ogłosiła z triumfem.

- Wiemy, droga pani. - Matka zaginionej zrobiła obrażoną minę. - Sami namawialiśmy do tego Monikę, choć wielu w naszym mieście stukało się w głowę. Uważamy, że miejsce kobiety jest nie tylko w kuchni.

- W stolicy rejencji też wielu myśli podobnie - dodał pan Krautter.

Eliza starała się zrobić wszystko, aby jakoś pomóc nieszczęśliwym ludziom, w rzeczywistości odwlekała jednak jak najbardziej chwilę, kiedy prawda miała wyjść na jaw. Ach, że też ją podkuśiło, aby sięgać do kieszeni płaszcz Ludwiga. Ledwo jednak przywołała w myślach

imię ukochanego, wpadła na pomysł: skoro nie udało jej się porozumieć z Schatzkim przez telefon, to może powinna... sama się nim stać. Ścisłej mówiąc: zacząć myśleć jak Schatzki.

Odłożyła na bok dokumenty Moniki Krautter i najłagodniej jak potrafiła zwróciła się do pary nieszczęśników:

- A czy byli już państwo na policji?

Pani Krautter skinęła głową, a pan Krautter pokręcił. Nawet najbardziej odporny na studencką dezynwolturę profesor szacownej Albertyny straciłby już cierpliwość. Ale Eliza wiedziała, że musi trzymać nerwy na wodzy.

- A w szpitalu? - zapytała i zrobiło jej się zimno, a pół sekundy później nieznośnie gorąco.

- Przyjechaliśmy od razu tutaj - westchnął ciężko pan Krautter. - Właściwie nawet nie wiem dlaczego. Córka, jak już mówiliśmy, nie wróciła do domu na niedzielę. Oczywiście byliśmy już na kwaterze, ale gospodyni jest chora, od kilku dni w ogóle nie wychodziła ze swojego pokoju, więc nic nie wie.

- Nie zaniepokoiła jej nieobecność lokatorki? - zdziwiła się panna Komorowska.

- To starsza osoba - wytłumaczyła pani Krautter.

Cisza. Co dalej?

Może znów spróbować wywołać rozmowę z policją? - zastanawiała się Eliza.

Ledwo o tym pomyślała, ozwał się dzwonek telefonu. Błyskawicznie podniosła się z miejsca, zaraz jednak usłyszała głos Helgi.

- Tak, tak... - zaczęła ta spokojnie, by za chwilę uderzyć w wyższe tony: - O Boże!

Wezwanie Najwyższego poderwało z siedzeń także i tych, którzy od pewnego czasu wznosili do niego swe gorące prośby. Eliza skierowała kroki do pomieszczenia, w którym zamontowano system Bella. Helga właśnie kończyła rozmowę.

- Dzwonili z policji - powiedziała, odwiesiwszy tubkę. - Nie uwierzysz, co się stało...

Mijał już kwadrans, odkąd Ludwig Schatzki opuścił berlinę przed Prezydium policji na rogu Münzstrasse i Junkerstrasse, a Stanisław Berg i Roch Ciupa siedzieli sami. Ten drugi wiercił się, aż trzeszczały resory powozu.

- To podstęp, panie Berg - tłumaczył, kiedy Stach pytał go, dlaczego jest taki niespokojny. - Za chwilę otoczą nas i aresztują.

- Mnie? A za co? - szelmowsko uśmiechnął się detektyw.

W odpowiedzi były pielęgniarkę wydał z siebie odgłos przypominający charkot dzika, po czym wlepił spojrzenie w okienko. Berg już dawno zauważył, że drzwiczki berliny od strony Ciupy są lekko uchylone. Oznaczało to, że Roch po prostu nie ufa miejscowemu stróżowi prawa. Po tym, co zrobił, raczej nikt nie powinien mu się dziwić.

Mimo to Berg tłumaczył jak dziecku:

- Obiecał, że nas zawiezie, dokąd będziemy chcieli, a jednocześnie się spieszył.

- Możemy jechać bez niego - zachnął się Roch.

- To byłoby nieeleganckie. Ćwicz cierpliwość.

- Staram się. Od dobrych kilku dni.

- A no właśnie, drogi mój Rochu. - Stach oderwał wzrok od przechodzącej akurat Junkerstrasse pani całkiem ładnej i całkiem młodej. - Dlaczego właściwie nie podszedłeś do mnie i nie powiedziałeś, że jesteś, tylko przez te wszystkie dni kryłeś się jak ten szczur, co?

Roch Ciupa westchnął ciężko, pokręcił głową i westchnął jeszcze raz.

- A czy pan, panie Berg, może powiedzieć, że dobrze mnie zna? - zapytał niegłośnie, nie odwróciwszy się.

Kto inny parsknąłby w tym momencie śmiechem pomieszany z oburzeniem. Potem udawałby, że go te słowa dotknęły do żywego. No bo jak to! Tyle lat ramię w ramię rozwiązywali trudne sprawy, narażając albo zdrowie, albo reputację. Z jednej miski żarli, mimo że Stach zwracał się do Ciupy per „ty”, Roch zaś wciąż Bergowi konsekwentnie panował. Nieraz próbowali to zmienić, ale jakoś im nie wychodziło.

Stanisław nie zaśmiał się jednak, tylko mocno się zafrasował. Berg dotąd właściwie nie wiedział, dlaczego pielęgniarz z łódzkiej psychuszki nagle stanął po jego stronie, kiedy Stach był jednym z pacjentów doktora Chrystiana Antoniego Zahna. Mało brakowało, a straciłby życie w wyniku eksperymentów, które dyrektor szpitala przeprowadzał nielegalnie i w tajemnicy w podziemnych pracowniach. Że tak się nie stało, Berg zawdzięczał właśnie Rochowi. Potem wiele razy korzystał z pomocy Ciupy, który jeśli nie wzbudził w kimś respektu swą posturą, to szybko robił to siłą i zwinnością. Częstokroć były to działania na granicy prawa, o czym, rzecz jasna, obaj wiedzieli. Zapraszam na stronę exsites.pl

Kilka miesięcy temu Rochowi powinęła się noga. Teraz wrócił. Ale czy był to wciąż ten sam bezgranicznie lojalny Roch Ciupa? Tego Stach nie potrafił stwierdzić.

- Dawno się nie widzieliśmy - odparł wreszcie.

- To prawda. Dlatego nie byłem pewien, jak pan zareaguje na moje pojawienie się w tym mieście. A nuż znalazł pan już sobie nowego pracownika, nowego Rocha. Choćby jakiego Litwina, o głowę wyższego ode mnie, co jeszcze rok temu walczył z niedźwiedziami.

- Nie wiem, czy są tutaj niedźwiedzie.

- A jeśli nawet nie, to ani pan, ani ja nie wiemy, czy nie przyciągnąłbym tu aby za sobą ogona. Staralem się być ostrożny, tak jak mnie pan uczył. Ale rosyjska policja i Ochrona nie śpią. Mogli za mną posłać całą armię filerów...

- Rozumiem, że nie chciałeś się do mnie zbliżyć, póki nie rozgnieciesz ostatniego jak pchły - zaśmiał się Stach.

- Panu wesoło, a mnie już szyja boli od ciągłego rozglądania się na boki - mruknął Roch Ciupa, nie kryjąc niezadowolenia.

Berg postanowił zakończyć temat.

- Jak widzisz, drogi Rochu, nie mam Litwina, który walczył z niedźwiedziami - rzekł. - Jest tylko pan Schatzki, który nie dorasta ci do ramienia, choć udało nam się niedawno rozwiązać jedną sprawę. O, o wilku mowa...

Ludwig zbliżał się szybko. Ręce wbił w kieszenie spodni, twarz poczerwieniała z gniewu. Stach wysiadł z powozu.

- Szlag by to trafił! - zaklął Schatzki.

- Co się stało?

Policjant oparł się plecami o bok powozu i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w lśniące od deszczu brukowe kamienie.

- To koniec, Stachu - rzekł wreszcie.

- Co masz na myśli?

- Nie będzie śledztwa. Nic nie będzie, kurwa!

Schatzki sięgnął do kieszeni. Odgryzł nieprzystojnie koniec cygara i wetknął je sobie do ust. Ogień podał mu Ciupa, który również nie wiadomo kiedy opuścił policyjny powóz. Głowa policjanta na krótką chwilę zniknęła w dymie.

- Kilka dni temu „Königer Zeitung” dał moje zdjęcie na pierwszej stronie... - zaczął Schatzki, nieco już spokojniejszy.

- Powinszować! - wypalił Roch bez głębszego namysłu.

- ...a dzisiaj złożył na mnie oficjalną skargę. Za to, że nie dopuściłem, by hiena z aparatem zrobiła zdjęcie policjantom i podejrzanemu. Ale widać pismaki ważniejsze. Od początku czułem, że coś tu nie gra. Teraz już wiem...

- Co chcą ci zrobić? - chciał wiedzieć Stanisław Berg.

- Dali do wyboru: zwolnienie ze służby ze skutkiem natychmiastowym albo zesłanie do Tylży. Czyli dokładnie tam, skąd przyjechał mój nowy partner. Kurwa, po prostu nie wierzę!

Zza rogu ulicy wyjechała dorożka z postawionym dachem, która zatrzymała się przy berlinie. Stach odruchowo sięgnął za pazuchę

i spojrzął na Rocha. Wtedy z dryndy wyskoczyła młoda, ładna dziewczyna.

- Ludwig! - zawołała, rzucając się na policjanta. - Jesteś. Tyle razy do ciebie dzwoniłam...

Schatzki podniósł głowę, szepnął coś, dotknął ręką włosów Elizy.

- Czekam na ciebie od wczoraj - trąkotała panna Komorowska coraz głośniej i z coraz większym zapałem. - To są państwo Krautter z Insterburga. - Wskazała ruchem głowy na starszego pana i starszą panią, którzy wyglądali spod daszka dorożki.

- Kto? - zapytał Schatzki niezbyt przytomnie.

- Szukają córki, Moniki. Byli u mnie w dziekanacie, ale nie potrafiłam im pomóc. Pomyślałam - ściszyła głos - że to rodzice tej dziewczyny, która znalazłeś w stawie. Dzwoniłam do Prezydium, ale nie mogłam cię złapać. Wtedy pojechaliśmy do mnie i pokazałam im jej zdjęcie. Pomyślałam, że niepewność boli bardziej...

- Nie zawsze tak jest, kochanie. Nie zawsze... - westchnął Ludwig, dotykając wierzchem dłoni policzka Elizy.

- Być może, ale teraz wiem, że zrobiłam dobrze.

- Dlaczego?

- Bo to nie Monikę Krautter znalazłeś pod mostkiem. Nie. Rodzice nie rozpoznali córki, ale, uważaj, znają nazwisko zmarłej! To właśnie chciałam ci powiedzieć...

- Tylko że to już nie ma znaczenia, Elizo.

Stanisław Berg, który jak dotąd z uwagą przyglądał się tej scenie, uznał, że wystarczy. Skinął na Rocha, ten zaś w lot pojął, o co chodzi. Odeszli kilka kroków i stanęli pod ścianą jednej z kamienic. Detektyw wzorem przyjaciela sięgnął po cygaro, a Ciupa podał mu ogień.

- Ciężka sprawa, co? - mruknął, wymachując zapałką.

- Ale za to dziewczyna ładna - skwitował Stanisław Berg. - Ciekawe, czy pojedzie ze swoim lubym na zesłanie?

- Nasze na Sybir jeździły. No, chyba że nie przyjmie propozycji i teraz zostanie detektywem jak pan.

- To nie byłoby wcale takie głupie.

- A daleko w ogóle ta Tylża?
- Jak z Łodzi do Warszawy.
- Chyba się rozplącę.

I Roch gwizdnął przeciągle, czego detektyw nie skomentował. Bardziej interesowało go bowiem to, co działo się kilka kroków dalej. Eliza co chwila łapała się za głowę, kręciła nią. Chyba Schatzki powiedział jej już, co się stało. Tymczasem w stronę zaimprovizowanej sceny od strony gmachu Prezydium policji zmierzały dwie kolejne postacie. Jedną z nich był znany już Bergowi i Ciupie poczciwy wachtmeister Hoffman. Towarzyszył mu młodszy i wyższy niemal o głowę policjant. Obaj dźwigali drewniane skrzynki: z jednej wystawały jakieś zrolowane papiery, być może mapy. Postawili je na ziemi, po czym zasalutowali sprężysto. Na ulicy wyglądało to trochę śmiesznie i trochę żałośnie.

Jeden z najlepszych oficerów policji w Königsbergu zmuszony był oddać pole. Stach nie wiedział jednak, którą ostatecznie możliwość wybrał przyjaciel: złą czy beznadziejną. Nie pozostawało mu więc nic innego, jak ponownie włączyć się do akcji. Poprawił kapelusz i swobodnym krokiem podszedł do berliny w towarzystwie Rocha.

- Dzień dobry. - Berg uchylił kapelusza i posłał uśmiech Elizie.

- Wyjeżdżamy razem do Tylży. Klimat zalewu dobrze zrobi nam obojgu - ogłosił Schatzki, uśmiechając się blado. Zacisnął dłoń w pięść i pogroził komuś w gmachu Prezydium policji. - Jeszcze Winckler będzie mnie prosił, żebym wrócił. Jeszcze będzie skamlał!

Wtedy z dryndy, którą przyjechała Eliza, jęli gramolić się państwo Krautterowie. Nie przyszło im to łatwo, długotrwała udręka i niepewność co do losu ukochanej jedynaczki przyniosły owoce. Na szczęście to nie ją znaleziono kilka dni temu pod mostkiem na Schloss-Teichu i to nie jej martwe i zimne ciało zbezczeszczył lubieżnik w kostnicy szpitala lipnickiego. Najgorsze było to, że za ten ostatni postępek w pewnym sensie zapłacił właśnie Ludwig Schatzki...

- A co będzie z nami, proszę państwa? - zapytała pani Krautter.
- Co z naszą córką? - przyszedł jej w sukurs mąż.

- Proszę zgłosić oficjalnie sprawę w tamtym budynku - rzekł Schatzki. - Nie oznacza to jednak, z całym szacunkiem dla wielu wartościowych ludzi, którzy tam pracują... - omiół spojrzeniem mundurowych, którzy przynieśli jego rzeczy - ...że zostaniecie państwo potraktowani poważnie.

- To co mamy zrobić? - jęknęła starsza pani.

Wtedy Ludwig Schatzki spojrzał na Stacha.

- Ten pan jest prywatnym detektywem - rzekł dobitnie. - Najlepszym, jakiego znam. Myślę, że nie odmówi państwu pomocy.

Krautterowie zaczęli szeptać coś między sobą, być może naradzali się, co zrobić z propozycją, którą nieoczekiwanie dostali. I czy stać ich, by skorzystać z usług. A może było na to jeszcze za wcześnie? Stanisław Berg pogodził się już z tym, że prawdopodobnie znów nic nie wyjdzie z jego planów opuszczenia miasta. Nie wiedział jednak, że powodów będzie więcej niż jeden.

Nie zaniepokoiło go to, że podobnie jak rodzice zaginionej dziewczyny szepotali ze sobą wachtmeister i ów drugi policjant. W pewnej chwili wysoki wy dobył szablę z pochwy i ruszył w kierunku Berga. Ten nie zdążył nawet pomyśleć, co powinien uczynić, gdy policjant minął go, jakby był powietrzem, stanął na szeroko rozstawionych nogach przed Rochem, wycelował szablę w jego pierś i zawołał:

- Aresztuję cię w imieniu Najjaśniejszego Pana!

5

Jak zwykle przed trzecią po południu w redakcji „Königer Zeitung” panował wielki ruch i rwetes. Cóż, w kilkudziesięciu innych gmachach tego miasta, które mieściły rozmaite urzędy czy kancelarie, powoli myślano już o wszystkim, co przyniesie nadchodzący wieczór. Nie tutaj. W każdej chwili do głównej hali redakcji mógł wszak wpaść zadyszany goniec z hiobową wieścią, a przecie nie od dziś było wiadomo, że dobra wiadomość to wiadomość zła. Oczywiście najlepsze pod tym względem były zawsze poranki. To one odkrywały wszystkie ciemne sprawy portowego miasta. Idący do pracy potykali się o stygnącego trupa, ktoś stwierdzał z rozpaczą brak powozu i koni w stajni, inny zaś – tylko pugilaresu, który zniknął najpewniej wraz z przygodnie poznaną wieczorem na ulicy czy w szynku blond pięknoscią.

W portowej knajpie o każdej porze łatwo było o kosę pod żebro. Sprzeczkom między marynarzami o różnych kolorach skóry posługującymi się różnymi językami mogło towarzyszyć tak dzwony na Anioł Pański, jak i wieczorne postukiwanie garnków w mieszkaniach kamienic przy Pregelstrasse. Bywało, że do nieporozumień dochodziło również między kupcami podczas rozładunku towarów, a niesnaski te wcale nie musiały się różnić od tych w zadymionych wnętrzach mordowni.

Nie było dnia, by coś się nie wydarzyło. Ku udręce oszukanych przez lichwiarza, potrąconych przez tramwaj czy dorożkę, ku rozpaczom pogryzionych, okradzionych i zgwałconych od zmiernych do świtu i od świtu do zmiernych. I ku zadowoleniu tych, którzy mieli o tym napisać.

Jeden z nich właśnie rozmawiał przez telefon, nieocenione w ich fachu narzędzie.

- Tramwaj? Gdzie? Na Zielonym Moście? Kiedy to się stało? Kwadrans temu? - dopytywał, a potem przez chwilę zapisywał coś na kartce. - Ile osób? Dwie, aha. Obcięta noga, mówisz? Coś strasznego...

Ostatnie słowa większość ludzi zrozumiałaby jako wyraz ogromnego poruszenia słuchacza, który dowiaduje się o nieszczęściu. Jednak pracownicy redakcji „Königer Zeitung” wiedzieli, że straszne było coś innego - mianowicie to, że w okolicy nie mieli w tym momencie nikogo, kto mógłby ową obciętą przez tramwajowe koło nogę i jej byłego właściciela człowieka, do którego jeszcze niedawno należała, sfotografować!

- Dobrze, dziękuję. Zaraz wyślę któregoś z młodych, niech popatrzy sobie przed obiadem - zakończył rozmowę i z zapisanym świstkiem popędził do pomieszczenia, które od reszty sali dzieliła szklana ściana.

W tym samym czasie, kilka kroków dalej, do stolika przy oknie zbliżał się mężczyzna w średnim wieku. Wysoki, starannie ogolony, miał na sobie płaszcz, a w ręku melonik. Kierował się do miejsca, w którym przyjmowano ogłoszenia, ani chybi był to więc petent.

Herb Belenky, pracownik gazety w czarnych zarękwach, swoim zwyczajem spojrzął na przybysza znad szkieł okularów.

- Słucham szanownego pana - odezwał się głosem grzecznym, choć wypranym z emocji.

- Dzień dobry. Chciałem zamieścić ogłoszenie.

- Kupno, sprzedaż? A może matrymonialne? - Stary mrugnął filuternie okiem.

Zdało mu się, że na twarzy klienta na krótką chwilę zagościł wyraz wstrętu. Sam Belenky zbeształ się w duchu. Zawsze przecież zachowywał dystans wobec klientów, mierząc ich tylko wzrokiem od pasa po czubek głowy (tylko tyle był w stanie zobaczyć, kiedy stali przed biurkiem).

- Na początek nekrolog - usłyszał po chwili.

Uśmiech momentalnie zniknął z twarzy pracownika. Lekko się podniósł z krzeselka i skinął głową z szacunkiem i rzekł:

- Proszę przyjąć najszczerze wyrazy współczucia.

- Dziękuję. - Petent sięgnął w zanadrze, skąd wydobył niewielką karteczkę. - Tutaj jest wszystko napisane.

Herb Belenky przebiegł wzrokiem po tekście.

- Co za nieszczęście! - Dramatycznym gestem zdjął okulary o zapotniałych szklach.

- Tak. To rzeczywiście niebywałe nieszczęście. Byli ledwie kilka tygodni po ślubie. Świat jest okrutny. - Przybysz pociągnął nosem i nie wiedzieć czemu, rozejrzał się po sali, jakby kogoś szukał.

Przez kilka chwil panowała cisza, jeśli nie liczyć chrobotu pióra na papierze druczka, który wypełniał Belenky. Pracownik gazety podał cenę za zamieszczenie nekrologu. Zabrzęczało kilka rzucanych na stół drobnych monet. Zleceniodawca uklonił się, umieścił na głowie melonik i skierował się ku drzwiom. Mało brakowało, a zderzyłby się w nich z młodym mężczyzną, który z rozwianym włosiem i sapką wpadł do redakcji „Königer Zeitung”.

- Prze... przepraszam pana... - wydyszał.

Otarli się jedynie ramionami, ale bardzo się nie spodobało temu, który wychodził.

- Uważaj jak chodzisz, kpie - warknął.

W innych okolicznościach pewnie skończyłoby się inaczej. Ten, który właśnie przybył z miasta, nie należał bowiem do osób, które pozwalają sobie ubliżać. A jednak to zmilczał. Co innego było teraz ważniejsze. Szybkim krokiem poszedł w kierunku gabinetu w głębi sali. Drzwi były otwarte. Mimo to zapukał w futrynę, a potem powiedział:

- Jestem, szefie.

Siedzący za wielkim biurkiem człowiek podniósł głowę i zmrużył oczy dymu.

- Adalbert? Wskakuj. Co przyniosłeś? - dopytywał.

- To, na co pan czeka, panie Kluge.
- Mów.
- Załatwione!

Godzinę później w tym samym pokoju kończono układać makietę pierwszej strony jutrzejszego wydania „Königer Zeitung”. Można było być pewnym, że gdyby u wejścia do portu rozbił się ogromny frachtowiec, krzyżacki zamek niespodziewanie się zawalił albo do miasta dotarła epidemia dżumy, fotografia człowieka na pierwszej stronie gazety nie zostałaby zmieniona.

Tym razem nikt się nie martwił, skąd ją wziąć. Została zrobiona kilka dni temu i już raz zdobiła pierwszą stronę dziennika. Wtedy jednak przedstawiony na niej człowiek był bohaterem. Albo przynajmniej kandydatem na tegoż. Dziś – wręcz przeciwnie.

- Jaki dajemy tytuł? – Pytanie redaktora Klugego, powtarzane każdego dnia, nawet po kilka razy dziennie, zawisło w gęstym, przesyconym tytoniowym dymem powietrzu.

Tym razem jego podwładni byli jednomyślni. Któryś z nich wydał wyrok mocnym, wyraźnym głosem:

- „Ludwig Schatzki. Upadek legendy”.

6

Stanisław Berg odsunął od siebie talerz z resztką zupy grzybowej i wytarł usta chusteczką.

- Nie smakowała panu? - zaniepokoił się Samuel Cohen siedzący po drugiej stronie stołu nad taką samą zupą.

- Przepyszna, jak zawsze - pochwalił detektyw. - Proszę podziękować żonie.

- Coś bez przekonania pan to mówi...

- Ależ skąd! Po prostu zjadłem dziś obfity obiad u Wankego.

Sklepikarz nic nie powiedział. Odkąd pół godziny temu Berg przekroczył próg jego trafiki, od razu wiedział, że podczas dość długiej nieobecności detektywa coś się musiało wydarzyć. Nie naciskał jednak, choć ciekawość jak zwykle go zżerała. Na szczęście zbliżała się pora kolacji, na którą Berg dał się bez problemu zaprosić.

- Był tu jeden taki i pytał o pana - przypomniał sobie Cohen, sprzątając talerze ze stołu.

- Przestraszył pana?

- A skąd pan wie?

- Każdy by się przestraszył - mruknął Stach, by zaraz się uśmiechnąć. - Ale bez obaw. To mój stary współpracownik z Łodzi. Szukał mnie od kilku dni, tylko, jakby to powiedzieć, nie miał śmiałości podejść...

- Czyżby nabroił coś w tej Łodzi?

- Owszem. Niestety, nie tylko tam.

Nie, nie była to pomyłka ani też zemsta wachtmeistra za atak na Schatzkiego przed restauracją. Roch Ciupa został rozpoznany przez policjanta, który dokonał aresztowania w imieniu cesarza, jako ten, który kilka dni wcześniej ukradł bochenek chleba w jednej z piekarni

na Knipawie. Traf chciał, że wtedy w pobliżu pełnił akurat służbę rzeczony funkcjonariusz. Nie udało mu się co prawda złapać Rocha, mimo groźnych pokrzykiwań, ale zapamiętać – i owszem. Niepodobna zresztą było zapomnieć kogoś takiej postury. Przyskrzynienie olbrzyma było więc tylko kwestią czasu.

- Wybrał się do Königsberga na zupełnego wariata – westchnął Berg. – Pieniądze szybko mu się skończyły, więc musiał kraść, żeby nie paść głodem. Jean Valjean dostał za to pięć lat, ale rzecz się dzieła we Francji. W dodatku prawie sto lat temu...

- Gdybym wiedział, zatrzymałbym go – rzekł ze smutkiem Samuel Cohen. – Może nie zrobiłby tych głupstw.

- Ukradł ten chleb, zanim dotarł na Victoriastrasse. Cholera, gdyby nie on, pewnie już bym się pakował do drogi. – Berg gwałtownie wstał od stołu i podszedł do okna mieszkania, mieszczącego się nad trafiką.

Tak, był wolny. Mimo referencji, które wystawił mu Ludwig Schatzki, państwo Krautter nie zdecydowali się na skorzystanie z usług prywatnego detektywa. Po prostu bez słowa poszli w kierunku gmachu Prezydium policji, w którym parę chwil wcześniej zniknął nieszczęsny Roch. Eliza i zupełnie zagadany przez nią, Schatzki, który wciąż nie potrafił uwierzyć w to, co się stało, odjechali dorożką. Stanisław Berg został zupełnie sam na rogu ulic. Stał jak ten kołek dobrych kilka minut, jakby jeszcze miał nadzieję, że ktoś z Prezydium jednak po niego wróci. Wiedział, że ze sprawą Ciupy prędzej czy później będzie musiał coś zrobić; przecież nie mógł zostawić przyjaciela w potrzebie, tak jak i on nigdy go nie zostawił. Okazji było wiele. Gorzej, że wraz z przeniesieniem Schatzkiego do prowincjonalnej Tylży detektyw stracił jedyne dojsście w miejscowej policji.

- Coś się wymyśli – pocieszał go sklepikarz.

- Z pewnością – zgodził się Berg, nie odrywając spojrzenia od jakiegoś punktu za oknem. – Nie może być inaczej, panie Samuelu.

Jak na ironię, z niedalekiego Dworca Wschodniego dobiegł ich gwizd lokomotywy. Stach wzdrygnął się aż na myśl o życiu, które przyszło mu porzucić.

Kiedy się ocknął, Cohena nie było. Najpewniej zszedł do sklepu, bo o tej porze można się spodziewać odwiedzin wielu klientów. Stach zastanawiał się przez chwilę, co dalej ze sobą począć. Czuł senność. Wypadki dnia, który miał się ku końcowi, nie mogły zrodzić innego owocu. Idąc w stronę pokoju, usłyszał znajome głosy dochodzące z dołu. Pierwszy należał rzecz jasna do właściciela sklepiku, drugi zaś...

- Oskar! - zawołał Berg, zatrzymawszy się u podnóża schodów.

- Dzień dobry, panie Berg - przywitał się ulicznik.

- Oskar właśnie opowiadał mi o jednym takim, który kilka dni temu niezłe nastraszył go w naszym porcie - powiedział z lekkim przekąsem Samuel Cohen. - Chyba nie muszę wymieniać jego nazwiska, prawda?

- Mało brakowało, a popuściłbym w spodnie - przyznał chłopak.

- Ty? Taki chojrak? - zaśmiał się Stach.

- Żeby pan wiedział! Codziennie schodzi w naszym porcie na ład różnokolorowa banda, niektórzy to nawet na wpół dzicy. Ale dać im wypić, zjeść, panienkę podsunąć i już inny chłop. Ten jednak czemuś naprawdę mnie przeraził. Może dlatego, że pytał o pana.

- O, to dziwne, bo u mnie tylko udawał, że ogląda fajki - zachnął się Cohen.

- Widać nie wzbudza pan zaufania - odciął się chłopak i mrugnął do Stacha.

Sklepikarz zamierzył się na Oskara, ten jednak w porę zdołał się usunąć.

- Chyba dawno nikt nie wytargał cię porządnie za uszy!

- Miło się gada, ale chciałbym wreszcie zzuć buty - powiedział po chwili detektyw. - Powiesz wreszcie, co cię sprowadza, młody przyjacielu? Ostrzegam tylko, że jeśli przyszedłeś kupić papierosy, to

nic z tego. Pan Cohen nie sprzeda ci nawet jednego łąta tytoniu - zakończył z naprawdę srogą miną.

Oskar Radtke tylko wzruszył ramionami.

- Bez obaw, panie Berg - rzekł półgębkiem. - A przyszedłem, ponieważ poprosił mnie o to nasz wspólny przyjaciel, Ludwig Schatzki.

Brwi Stacha powędrowały w stronę nasady włosów.

- Co się stało? - zapytał drżącym głosem.

- Po tym, jak go kopnięto w dupę, to nic. Ale godzinę temu polecił mi, abym przekazał panu jego dokumenty.

- Jakie dokumenty, do kroćset?!

- Dotyczące sprawy, którą prowadził, zanim go... No, wie pan. Chodzi o tę topielicę z Zamkowego Stawu. Pan Schatzki nie chce, aby ktoś inny z nich skorzystał, dlatego przeze mnie przekazuje je panu.

To powiedziawszy, wyjął zza pazuchy przewiązany czerwoną tasiemką plik dokumentów i położył na sklepowym kontuarze.

Chyba nie pośpię - pomyślał z rezygnacją Berg, na głos zaś zapytał:

- Nie będzie miał przez to żadnych kłopotów?

- A co mu mogą teraz zrobić? - Chłopak rozłożył ręce.

Gdy Oskar, rzecz jasna, nagrodzony kilkoma monetami, poszedł sobie, a pan Cohen zajął się klientami, którzy przed wieczorem chcieli uzupełnić zapasy, Stach udał się z przesyłką na górę, do - na powrót - jego pokoju.

Pośród napisanych starannym pismem raportów i notatek, a także planów sytuacyjnych jakichś miejsc, detektyw znalazł także list adresowany do siebie. Napisany był po polsku.

Drogi Stachu!

Wybacz, że się nie pożegnałem, ale wszystko wydarzyło się tak szybko. Jak sam widziałeś, zdążyłem tylko spakować rzeczy osobiste i wyjść z budynku. Nie chciałem patrzeć ludziom w oczy, chociaż jestem niewinny. I jeszcze to udowodnię. Tak właśnie

podziękowano mi za dziesięć lat wiernej służby temu państwu i miastu. Nie chcę się jednak nad tym rozwodzić. Tuszę, że jeszcze przyjdzie mój czas, wrócę tu, a ci, który mnie poniżali, będą mi się kłaniać. Może nie w pas, ale przynajmniej z szacunkiem.

Jak pewnie powiedział Ci nasz młody przyjaciel Oskar Radtke, chciałabym przekazać na Twoje ręce wszelkie dokumenty, które sporządziłem w czasie, gdy zajmowałem się sprawą topielicy. Jeszcze wczoraj tak bym ją nazwał, nieprzystojnie może i nie po ludzku, ale sam wiesz, że w naszym fachu nie ma miejsca na sentymenty i delikatność. Nie jesteśmy od tego. My musimy znaleźć winnych. Dzięki mojej Elizie wiem, że dziewczyna znaleziona pod mostkiem na Schloss-Teichu nazywa się, a może raczej nazywała Eva Peters i miała dwadzieścia jeden lat. Rodzice zaginionej Moniki Krautter rozpoznali ją na zdjęciu, które pokazała im moja narzeczona, aby zakończyć ich mękę. Nie zakończyła, ale posunęła niechcący śledztwo o krok dalej. Udało mi się również ustalić jej adres.

Niestety, to już nie moje śledztwo. Zapewne mój były partner nazwiskiem Tyl (nie poznałeś go, czego nie powinieneś żałować) będzie je kontynuował. Nie wierzę jednak, żeby udało mu się cokolwiek zdziałać, chociaż mogę się mylić.

Pewnie zastanawiasz się, dlaczego obarczam Cię tym kłopotem. Wiem, że to kłopot, bo już dawno miałeś opuścić miasto i wrócić do Rosji. Ale życie jest nieprzewidywalne, nie zaprzeczysz chyba? Kwadrans temu przyszedł do mnie życzliwy wachtmeister Hoffman i powiedział parę słów o Twoim przyjacielu nazwiskiem Ciupa. Niestety, nie wygląda to najlepiej. Roch trafił bowiem na Twego starego znajomego, Schultza. Znasz go i wiesz, jaki to człowiek. Szczęście w nieszczęściu, że nie odważył się zrobić tego, co zrobiłby pewnie w każdym innym przypadku - nie spoliczkował aresztowanego. Musiałby podskoczyć.

Twój przyjaciel stanie przed sądem. Nie wiem, czy za kilka dni, czy za kilka tygodni. Wymiar sprawiedliwości w tym kraju pracuje naprawdę różnie. Wiem za to, że piekarz nie ustąpi. Nie lubi Polaków (Rosjan zresztą też nie). Jednak do rzeczy. Myślę, że gdyby udało Ci się, Stachu, wpaść na jakiś trop zabójcy Ewy Peters, poprawiłoby to, a może nawet całkowicie odmieniło niewesołą sytuację Twojego przyjaciela. W Prezydium policji zapomnieliby o kradzieży chleba w piekarni na Kneiphofie.

Próbuj, Bracie. Niech Ci los i to miasto sprzyjają. Myślę, że jeszcze się zobaczymy. I nastąpi to szybciej, niż nam się obu wydaje.

Twój Ludwig

7

Ostatni tramwaj z Dworca Wschodniego zjechał z Zielonego Mostu i zaczął przyspieszać na Kneiphofsche Langgasse. W rozświetlonym wnętrzu wagonu siedziało kilku pasażerów, niektórzy z nich drzemali. Być może kilka chwil wcześniej wrócili do Königsberga jednym z ostatnich pociągów. Gdzieś tam czekały na nich rodziny ciekawe wieści lub drżące o pomyślność spraw, które wyгнаły z miasta ich bliskich.

Młoda kobieta odprowadziła wzrokiem światełka pojazdu i przechyliła się przez barierkę mostu. Dłuższą chwilę patrzyła w pomarszczoną wiatrem taflę rzeki Pregel, w której odbijały się latarnie stojące wzdłuż bulwaru na południowym brzegu wyspy. Jej ciałem wstrząsnęło kilka spazmów. Nie uroniła jednak żadnej łzy.

Może już ich nie mam – pomyślała.

- Halo! - zawołał raptem jakiś mężczyzna.

Drgnęła. Podniosła głowę. Człowiek, który pracował przy podnoszeniu i opuszczaniu mostu, wyszedł ze swojej budki, by zaczerpnąć powietrza; żaden statek nie zbliżał się do Zielonego Mostu.

- Wszystko w porządku?

- Tak.

Odwróciła się szybko i skierowała kroki w stronę Knipawy. Nie chciała, aby zobaczył jej twarz. W ogóle nikogo nie chciała spotkać. To dlatego wyszła z domu o tak późnej porze.

Stukot jej butów odbił się echem między ścianami kamienic, zaraz jednak stopił się w jedno z odgłosami przejeżdżającego powozu. Kobieta miała wrażenie, że pojazd zwolnił, kiedy ją mijał, a w okienku mignęła czyjaś twarz. Po chwili widziała już tylko fanar kołyszący się

na tyle powozu. Przyspieszyła kroku. Jeszcze kilka minut i znajdzie się przed drzwiami... Słowo „dom” nie przechodziło jej przez gardło. W domu ludzie powinni się kochać, szanować, a tam?

- Proszę pani! - usłyszała znów wołanie jakiegoś mężczyzny. Ten głos pozbawiony był jednak troski. - Hej, moja piękna! Poczekaj chwilę.

- Dokąd tak ci spieszo, ptaszyno? - zawtórował mu drugi facet i obaj zarechotali.

Zatrzymała się, co było prawdopodobnie najgorszą w tym momencie decyzją. Gdzieś trzasnęło zamykane gwałtownie okno. Bliżej, dużo bliżej zachrząścił kawałek szkła miażdżony na brukowym kamieniu przez twardą podeszwę buta.

- Może pogadamy? „Jeszcze ranek nie tak bliski...¹” - Dobięło z ciemnego zaułka, przez który wiodła jej jedyna droga.

Nagle usłyszała kroki za sobą.

- Widzę, że panowie lubią Szekspira.

- A co? Coś ci się nie podoba, ojczulku?! - Na tle nikłego światła zamajaczyły dwie męskie sylwetki.

- Skąd! Wręcz przeciwnie. Miło spotkać ludzi, którzy mają takie same pasje. Tym bardziej o tak późnej porze.

- My nie gustujem - zastrzegł drugi i splunął z pogardą. - Idź pan szukać szczęścia gdzie indziej.

- Jak sobie panowie życzą. Pani pozwoli. - Podał kobiecie ramię, podczas gdy laseczka trzymana w drugiej ręce stuknęła w spoiwo między kamieniami.

Dwie pary podeszew niezbyt dobrze trzymających się butów zaszurały nierówno po bruku. Dystans między czytelnikami *Romea i Julii* a mężczyzną oraz jego towarzyszką zmniejszył się nagle tak bardzo, że kobieta poczuła wyraźny smród podłej machorki, trawionego alkoholu, dawno niemytych ciał i niepranych ubrań. Laska w rękę stojącego obok niej mężczyzny uniosła się raptownie, wywinęła szybkiego młynka, po czym trafiła precyzyjnie jednego z adwersarzy pomiędzy nogi.

- „Słowik to...” - syknął człowiek nazwany, by równie błyskawicznym ruchem razić dokładnie to samo miejsce drugiego rzezimieszka. - „...a nie skowronek się zrywa”²!

W chwili gdy napastnicy kulili się z bólu, mężczyzna spojrzął na kobietę, uchylił z galanterią kapelusza i rzekł:

- Już nie będą pani zaczepiać. Zbyt są zajęci ptakami. I jajami. Odtąd pani jedynym problemem... jestem znów ja. - Na chwilę zamilkł, by dodać zupełnie innym tonem: - A teraz chodź do domu, wywołoko. Szukam cię od godziny. Miałaś wyjść tylko po zapałki...

- Przepraszam - odpowiedziała młoda kobieta. - Tak naprawdę to...

- Co?

- Chciałam się utopić. Tylko że zabrakło mi odwagi.

- Jeszcze zdążysz.

Chwilę potem dziwna para rozplynęła się w mroku.

¹ Przekład Józef Paszkowski.

² Przekład Józef Paszkowski.

8

Następnego dnia Stanisław Berg obudził się kilka minut przed ósmą rano, rześki i wypoczęty. Dziwił się temu wielce, bowiem nad dokumentami, które zostawił mu w spadku Schatzki, ślęczał jeszcze dobrze po północy.

- Może mi pan sprawdzić, o której odchodzi najbliższy pociąg do miejscowości Zinten? - poprosił Berg przy śniadaniu swego gospodarza.

Samuel Cohen był w posiadaniu aktualnego rozkładu jazdy pociągów. Skorzystał już nawet z niego, gdy detektyw próbował wydostać się z Königsberga za pierwszym razem. Teraz jednak nie ruszył się z miejsca, tylko dalej, bez pośpiechu smarował masłem kromkę chleba.

- A jaki pan ma interes... za granicą, panie Berg? - zapytał.

- Nie rozumiem. O jakiej zagranicy pan mówi? - Stach ściągnął brwi w zamyśleniu. - Z tego, co wiem, Zinten leży na terenie Królestwa Prus...

- I leży - uśmiechnął się Żyd.

- A więc?

- To stara historia. Jeszcze sto lat temu istniał przepis, że protestanci, którzy mieszkają na Warmii, a ta, jak pan wie, jest katolicka, mogą tam przebywać tylko przez rok. Ale sprytny ludek z miasta Braunsbergi znalazł na to sposób: co rok, na jeden dzień, każdy człowiek wierny naukom Marcina Lutra, przenosił się na jeden dzień właśnie do Zinten. Dlatego wielu ludzi wciąż nazywa je zagranicą.

- Rzeczywiście, bardzo sprytne - ocenił Berg, by dodać przytomnie: - Chociaż ani ja, ani pan nie mieszkamy w Braunsberdze,

a to ona jest zagranicą, jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że...

- Tak mi się po prostu powiedziało - przerwał mu z niezmałym uśmiechem sklepikarz.

Spokojnie dojadł śniadanie, po czym wstał, by spełnić prośbę gościa. Przez dłuższą chwilę wertował rozkład, sporej grubości książkę.

- Linia 136 e - rzekł wreszcie. - Może pan nią dojechać aż do Allenstein. Ironia losu, co? Stamtąd łatwa droga do Torunia, a potem...

Stanisław Berg przewrócił oczami.

- O której odchodzi najbliższy pociąg do Zinten, drogi panie Cohen? - powtórzył z mocą.

Sklepikarz zrobił obrażoną minę, po czym ponownie wlepił wzrok w tabelki rozkładu.

- Dziesiąta siedem. Schnellzug - poinformował wreszcie tonem niemal uroczystym.

- Dziękuję - uśmiechnął się Stanisław Berg. - Niech pan nie czeka z kolacją.

- A pan niech na siebie uważa. Choć wiem, że to głos wołającego na puszczy.

Niespełna pół godziny zajęło mu przygotowanie się do podróży i dotarcie piechotą na dworzec. W rękę niósł jedynie niewielki kuferek, w którym umieścił przybory toaletowe i zmianę bielizny, na wypadek gdyby musiał spędzić noc na prowincji. Nocna koszula otulała czule rewolwer colt navy z 1850 roku wraz z zapasem amunicji. Wziął też Berg nieco cygar, pomny wcześniejszych wydarzeń, kiedy podobne zaniechanie kosztowało go wiele nerwów i siniaków. W niewielkim bagażu znalazło się także miejsce na wszystkie dokumenty, które przekazał mu Ludwig Schatzki, a także niezbędne przybory do pisania. Tak wyekwipowany Stach wszedł do hali Dworca Wschodniego. Nie myślał już o tamtym dniu, kiedy

w pociągu ratował nieszczęsną dziewczynę. Owszem, miał Samuel Cohen całkowitą rację: przez Zinten, po polsku Cynty, jechało się do Allenstein, skąd dalej można się było dostać w rejony, gdzie jest trochę bardziej płasko, trochę mniej lesiście, a ludzie posługują się nie tak twardą mową.

Do odjazdu schnellzugu zostało jeszcze sporo czasu, więc Stach, zaraz po zakupie biletu w dworcowej kasie, skierował kroki w stronę stoiska z artykułami tytoniowymi i gazetami. Tymi pierwszymi nie był już za interesowany (byłby to zresztą afront wobec pana Samuela!), tymi drugimi jednak – jak najbardziej. Tym bardziej że na pierwszej stronie widniała fotografia znajomego mu człowieka.

– „Ludwig Schatzki. Upadek legendy”... – przeczytał pod nosem i jakaś niewidzialna igielka zakłuła go w serce.

– „Königer Zeitung” dla szanownego pana? – Sprzedawca doskonale wyczuł intencje stojącego przed nim eleganckiego mężczyzny.

– Poproszę.

– Może cygara do tego? Mam Ramon Allones. Gwarantuję, że podróż będzie dużo przyjemniejsza.

Stanisław Berg pokręcił stanowczo głową. Zapłacił za gazetę i oddalił się czym prędzej. Chciał w spokoju, możliwie bez świadków, z należytą powagą i uwagą przeczytać artykuł o przyjacielu. Czuł jednak, że dziennik wysmażył niezły paszkwil. Po chwili wszedł do poczekalni i usiadł w kącie dziesięć kroków dalej od najbliższego człowieka, który zresztą drzemał. Jeszcze raz spojrział na pierwszą stronę. Zdjęcie Ludwiga nie było największe, a wstęp do artykułu o nim ustępował miejsca informacji o zderzeniu dwóch statków w Cieśninie Piławskiej. Kiedy przewracał kolejne strony, drżały mu ręce. Wreszcie znalazł artykuł. Znajdował się on pod koniec gazety, tuż przed działem nekrologów i ogłoszeń. To pewnie też miało na celu do końca upokorzyć policjanta, wskazując mu jego miejsce w szeregu. Artykuł był krótki i opisywał wszystko to, o czym Ludwig Schatzki już opowiedział Bergowi.

- Jeszcze ich dopadniesz, przyjacielu... - mruknął.

Odetchnął i przejrzał resztę dzisiejszego wydania „Königer Zeitung”, skoro już za dziennik zapłacił. Nie chciał jednak pochłonąć wszystkiego od razu, czekała go bowiem kilkugodzinna podróż.

Za dawnych czasów poranną lekturę gazet, choćby „Dziennika Łódzkiego”, często zaczynał od nekrologów. Ktoś pewnie by się temu dziwił, ale w fachu Stanisława Berga, szczególnie w ostatnim czasie, miało to swoje uzasadnienie. Wiele razy zdarzało się bowiem, że po kilku dniach od śmierci bliskiego zgłaszali się do niego ludzie pogrążeni w żałobie. Krepa i łzy nie przeszkadzały im żądać, by pomógł im w... obaleniu testamentu nieboszczyka, którego leżące na marach ciało dobrze jeszcze nie ostygło.

Największy nekrolog w dzisiejszym „Königer Zeitung” obwieszczał nagłą śmierć żony doktora Johanna C. Webera, wybitnego członka tutejszej palestry. Kobieta imieniem Gertruda odeszła z tego świata w swoim rodzinnym majątku nieopodal miasta Gerdauen. Pogrzeb odbędzie się jednak w Königsbergu, jutro.

Detektyw przerzucił stronę i zaczął lekturę ogłoszeń. Ktoś wystawiał na sprzedaż place, inny zaś stojące już na nich nieruchomości. Pozbywano się, choć nie bezmyślnie, powozów i koni, a także mebli i innego wyposażenia domów. Swe usługi reklamowali fryzjerzy, krawcy, szewcy, kowale, cieśle, rymarze, restauratorzy, a nawet wróżki. Były anonse, w których oferowano szczenięta rasowe. Zdaniem ogłaszającego lepiej chowały się przy nich dzieci. Oddzielną kategorię stanowiły oferty pracy. Część domów potrzebowała guwernantek, bon i pomocy kuchennej, część guwernantek, bon i pomocy domowej – domów.

W społecznościach mniejszych niż ta, z którą miał Stach do czynienia, takie sprawy z pewnością załatwiono bez pośrednictwa miejscowego dziennika. W zaufaniu. I za darmo. Choć oczywiście zobaczenie w druku swojego nazwiska mogło rekompensować niektórym tę ostatnią niedogodność.

Już chciał złożyć gazetę i schować ją do bocznej kieszeni surduta, gdy oko jego zatrzymało się na jeszcze jednym anonsie. Zbliżył płachtę do twarzy tak blisko, że aż poczuł zapach farby drukarskiej. Musiał przeczytać treść na głos. Ale petit nie kłamał.

- Zgubiłem cenną rzecz na moście na Schloss-Teichu... - powtórzył jeszcze dwa razy, po czym szybkim ruchem sięgnął do kuferka, skąd wydobył dokumenty ze sprawy Schatzkiego.

Po chwili już nie miał wątpliwości. Chodziło dokładnie o noc poprzedzającą znalezienie w wodach stawu zwłok Ewy Peters. Kto mógł dać takie ogłoszenie i po co? Dziennikarze „Königer Zeitung”, którzy zamierzali dalej pisać o sprawie, pewnie też dlatego, żeby jeszcze bardziej pognębić Ludwiga? A może ktoś, komu zależało na rozwiązaniu zagadki? Ktoś z bliskich zmarłej? Tylko czemu, do diaska, dotąd nie zgłosił się po ciało?!

Stach ponownie przeczytał ostatnie trzy zdania. „Tylko poważne informacje przekazywać na poste restante. Skontaktujemy się. Wysoka nagroda”.

Zapowiedziano odjazd pociągu, więc poderwał się z ławki, chwycił za bagaż i szybkim krokiem udał się na peron. Tak jak kilka tygodni wcześniej zajął miejsce w pustym przedziale wagonu klasy pierwszej. Teraz był jednak pewien, że żadna siła nie oderwałaby go od miękkiego siedzenia. Modlił się w duchu, by zawiadowca stacji wreszcie dał sygnał do odjazdu.

Wreszcie wysłuchano jego próśb.

Podróż minęła szybko. Ledwo zdołał przeczytać artykuł o problemach rybaków z Kurische Nehrung. Fakt, niespecjalnie mu ta lektura szła, co chwila odrywał wzrok od szpalt i spoglądał za okno. I myślał. Jaka myśl przyświecała nadawcy dziwnego ogłoszenia? Czy policja o nich wiedziała? A może to ich anons?

- Zinten! - rozmyślenia przerwał mu donośny głos konduktora.

Pociąg zaczął zwalniać. Berg spojrzął przez okno na dachy stłoczonych blisko siebie domów, ponad którymi górowały trzy czerwone, strzeliste wieże. Niespiesznym ruchem założył i umodelował kapelusz na głowie, a dopiero potem spojrzął w lusterko na ścianie przedziału. Uśmiechnął się do kilkuletniej dziewczynki, która wraz z matką, zresztą bardzo ładną, dosiadła się na poprzedniej stacji.

- Do widzenia. Miłej podróży - rzucił po polsku, tamte rozmawiały bowiem między sobą w jego ojczystym języku, po czym opuścił przedział. Zdążył jeszcze pomyśleć, że Eva Peters, kobieta, przez którą znalazł się właśnie tutaj, też była kiedyś taką dziewczynką i - jak wynikało z zapisków Schatzkiego - miała zostać matką.

Z pociągu wysiadło razem z nimi może z pięcioro pasażerów. Stach rozejrzał się po peronie, stuknął laseczką w kolumnę latarni i skierował kroki ku miastu.

9

Gruby, łysy, nie najmłodszy już kelner przerzucił ściereczkę przez lewe ramię i oparł się łokciem o kontuar szynkwasu. Zmęczonym wzrokiem potoczył po sali. Tylko dwa z niemal tuzina stolików były zajęte. Mimo to czuł się, jakby przy każdym siedział komplet wygłodniałych żołnierzy! Dyszał ciężko, a na skroniach perlił mu się pot.

- Do niczego jestem - mruknął. - Dzień jeszcze nie dobiegł połowy, a ja już najchętniej położyłbym się spać. I żebym jeszcze wypił co wczoraj. A przecie nic! Ani kropelki, bo po tej żóltaczce doktor zabronił. Co za życie...

- Przecież i tak go nie słuchasz i pijesz, Kurt - zaskrzeczała jakaś kobieta, która nieoczekiwanie wychynęła zza kontuaru; była to pani otyła, w latach, ale o przyjemnym wyrazie twarzy, który nijak nie pasowało do jej głosu.

- Nic o tym nie wiem. - Kelner zrobił obrażoną minę. - Zresztą jeśli nawet, to nie będzie mi lewatywa mówił, jak mam żyć. Nie przeżył tylu sztormów co ja!

Do niewielkiej restauracji mieszczącej się przy Bahnhofstrasse w Zinten wszedł nowy klient. Kelner wzniosł oczy ku sufitowi, kobieta za szynkwasem wzruszyła ramionami. Żadne z nich nie wykonało jednak innego gestu ani tym bardziej nie ruszyło się z miejsca. Znali swój fach i znali życie; ani myśleli nadskakiwać przybyszowi, który mógł się omylić i odejść. Samych zaglądających trafiało się wielu, lokal ten był bowiem pierwszy na drodze z dworca na kwadratowy rynek w centrum miasta. Dla kogoś było tu za jasno, dla kogoś innego za ciemno. Jeden rezygnował i wychodził, bo za dużo stolików

było zajętych, a on tłumowi nie lubi, inny zaś – bo za mało, więc pewnie karmią podle.

Kiedy jednak gość zdjął kapelusz i postawił walizeczkę na krześle, nie było rady.

– Dzień dobry – przywitał się Kurt i wyrecytował beznamiętnie: – Czym mogę panu służyć? Dziś na obiad polecamy zupę jarzynową, na drugie jagnięcinę, na deser zaś jabłecznik.

Wszystkie te informacje wyrzucił z siebie na jednym wydechu. Lata praktyki. Następnie poślinił ołówek i naszykował bloczek, na którym swoimi hieroglifami zamierzał nabazgrać zamówienie. Lata praktyki.

– Wody selcerskiej poproszę – rzekł na to przybysz. – Strasznie mi, uważa pan, zaschło w gardle podczas podróży.

– A szanowny pan pewnie z rejencji, co? Pociąg szedł, a my tu wszystko wiemy – zaśmiał się rubasznie kelner i dłonią, tą z ołówkiem, przesunął po łysinie.

– Wszystko? – Mężczyzna podniósł znacząco lewą brew.

Kurt zerknął szybko w stronę szynkwasu, gdzie kobieta już otwierała butelkę. Ponownie skupił się na siedzącym przy stoliku mężczyźnie, ale nie zdążył nic powiedzieć. Ten bowiem odezwał się pierwszy:

– Skoro pan tak wie wszystko, panie Slowik, to jestem pewien, że szybko się dogadamy. Żona zaraz doniesie wodę, a pan niech sobie tutaj wygodnie siada. – Wskazał mu krzeselko naprzeciwko.

– Tak. Słucham pana – rzekł głucho kelner, wykonując skwapliwie polecenie nieznanego i nie spuszczać z niego wzroku.

– Przyjechałem z rejencji. Ma pan rację. W sprawie Evy Peters – rzekł przybysz, również utkwivszy spojrzenie w rozmówcy.

Na te słowa głośniejsze niż powinno zadzwoniło szkło w rękach barmanki, łysa czaszka Kurta Slowika zaś w jednej chwili pokryła się rumieńcem, by po chwili zblednąć chorobliwie.

– Co znów zmalowała ta niewdzięcznica? – rzekł przez ściśnięte gardło kelner, co oznaczało, że gra wstępna była już za nimi.

- Miała tu miejsce? - zapytał rzeczowo mężczyzna, choć pewnie dobrze wiedział, że tak.

- Prawie rok. Przyjęliśmy ją z żoną, bo sierota. Nikogo nie miała. Najpierw pracowała u nas jako pomoc kuchenna, potem została kelnerką. Klienci ją lubili, panie komisarzu...

- Nie jestem komisarzem. W ogóle nie pracuję w policji, proszę się nie obawiać. Ale skoro już o tym mówimy, to niech mi pan łaskawie powie, dlaczego miałyby o nią pytać policja?

Choć mężczyzna przed chwilą sam gadał jak na spowiedzi, wzmianka o policji zbiła go z pantałyku. Tylko wzruszył ramionami.

- Ta dziewczyna zostawiła nas z dnia na dzień - powiedziała pani Slowikowa, wcale nieskręklwie jak dotąd. - Mąż mówi, jak było. Przyjęliśmy ją do siebie, traktowali jak swoją. Przez prawie rok nie było z nią większych kłopotów. Tyle że ciągle książki czytała...

- Panie! - zawołał ktoś z siedzących przy jednym z dwóch zajętych stolików, najpewniej domagając się albo dalszej obsługi, albo rachunku.

Żadne ze Slowików nie zareagowało. Kurt wbił tępy wzrok w podłogę i milczał, ale jego żona najwyraźniej się rozkręcała.

- Wszystko było dobrze, jak mówię. Każdy to panu powie, bo nas tutaj wszyscy znają i szanują. Ale pewnego dnia przyszedł tu jeden taki, niech go piekło pochłonie. Zamiejscowy, mieszkał w Zentrallu, znaczy w naszym hotelu, dwa kroki stąd. To on zawrócił tej dziewczynie w głowie. Coś szeptał, uśmiechał się, kiedy go obsługiwała. Napiwek dał duży. Potem jeszcze dwa razy zachodził. A następnego dnia już jej nie było.

- Uciekła z nim? - zapytał cicho przybysz.

- Tak.

- Kiedy to było?

- Ze cztery miesiące temu - odezwał się znów Kurt Slowik. - Już trwało lato, w każdym razie ciepło...

- Co to za człowiek?

- Nie wiem. Jakiś powsinoga, choć ubrany porządnie. Jak pan...

Uświadomił sobie, że palnął gafę, ale było już za późno. Tylko pociągnął nosem. Ale wtedy znów wtrąciła się jego żona.

- Powie nam pan, co się dzieje z Evą? - zapytała. - Mimo wszystko się martwimy. Nie odzywała się tak długo. To naprawdę nie była zła dziewczyna...

- Ona nie żyje. Znaleziono ją kilka dni temu w Königsbergu - odrzekł nieznajomy.

Kobieta zaszlochała głośno, a kelner zwinął palce w pięść i huknął nią w stół. Oboje pobledli.

- Jak to się stało? Czy to on... ten człowiek? - zapytał drżącym głosem.

Ale mężczyzna wstał od stołu, rzucił kilka monet tytułem zapłaty i włożył kapelusz.

- Niestety, nie jestem upoważniony do tego, by ze szczegółami opowiadać o tej sprawie - rzekł z mocą. - Pewnie niedługo przyjedzie do państwa policja ze stolicy rejencji.

- Policja? - jęknęli oboje jak na komendę

- Tak, oficjalne śledztwo prowadzi Prezydium policji. Ich pytajcie. Z mojej strony to wszystko. Proszę przyjąć szczere kondolencje.

- A pan może z ubezpieczalni? - dogonił go jeszcze głos przytomnej Slowikowej, kiedy już zamykał za sobą drzwi restauracji.

Znalazłszy się ponownie na Bahnhofstrasse, Stanisław Berg zdjął ponownie kapelusz i perkalową chustką z monogramem wytarł pot z czoła. Żał mu było trochę wody, której nie wypił, jednak dalsze przebywanie w tym miejscu niosło ze sobą zbyt wielkie ryzyko. Nie chciał podawać się za policjanta, co, owszem, wcześniej mu się zdarzało. Ale teraz, kiedy nie było Schatzkiego, nie mógł sobie na to pozwolić. Co miał wyciągnąć od tych ludzi, wyciągnął, choć niedosyt pozostał.

Po kilku chwilach przestąpił próg hotelu Zentrall. Przez chwilę przyzwyczajał wzrok do panującego w środku półmroku. Hotelowy

westybul był skromnie urządzone, ale schludny. Jeśli Stach miałby się zatrzymać w Zinten na noc, to mógł to zrobić tutaj, choć na razie szło mu nie najgorzej i wiele wskazywało na to, że jeszcze tego samego dnia zdoła wrócić do Königsberga.

- Już idę, idę. - Dobiegło z oddali.

Berg wsunął laseczkę pod pachę i przełożył walizkę z lewej ręki do prawej. Kilka chwil później nad wysokim kontuarem portierni pojawiła się siwa głowa. Z powodu lichego oświetlenia Stach nie był pewien, czy ma do czynienia z mężczyzną, czy z kobietą. Postąpił jeszcze dwa kroki w stronę drewnianej konstrukcji i wyteńczył wzrok.

- Pokoik dla pana? - Jednak portier okazał się szybszy.

- Dzień dobry - powiedział detektyw.

Starszy mężczyzna włożył okulary i marszcząc nos, przez chwilę przypatrywał się przybyszowi, daj Boże klientowi in spe.

- Szanowny pan życzy?

- Paczkę papierosów. - Berg wskazał na boczną półeczkę, gdzie prezentowano asortyment dostępny na portierni; zwykle korzystali z niego goście, którzy na czas nie zdołali uzupełnić zapasów i którym nie chciało się w tym celu opuszczać hotelu.

Samuel Cohen, spojrzalby na to krzywo. Ale tylko w pierwszym odruchu. Potem zrozumiałby, że takie działanie miało ukryty cel. Ktoś, kto wchodził z ulicy do hotelu, by tam kupić coś, co mógłby dostać w każdym innym miejscu i to taniej, musiał coś planować.

- Będzie marka czterdzieści. - Portier niespiesznym ruchem sięgnął po pudełko i położył je na blacie.

Czy tyle miało wystarczyć, aby zawiązała się między nimi nic porozumienia? Przybysz nie sprecyzował, o którą markę papierosów z ośmiu dostępnych sobie życzy. Nie zaprotestował też, kiedy zaproponowano mu najdroższą.

- Ładne miasto - rzekł Stach.

- A ładne, ładne. Szkoda, że nie było pana u nas latem. O, wtedy to dopiero jest pięknie. Aż się nie chce wyjeżdżać.

- Tak, słyshałem. Jeden z moich znajomych był u was niedawno, chyba właśnie latem. I bardzo sobie chwalił. Cisza, spokój. Nie to co w wielkim mieście. Nawet, zdaje się, mieszkał w tym hotelu. - Stanisław Berg ogarnął wzrokiem westybul z taką miną, jakby miał przed sobą co najmniej wewnątrz Kaplicy Sykstyńskiej.

- A pan może z rejencji? - zaciekaWił się portier.

Zaczynam kochać ten refren - pomyślał detektyw.

- Tak. Właśnie przyjechałem w interesach. Proszę mi powiedzieć, czy byłoby wielką fanaberią, gdybym poprosił o ten sam pokój, w którym mieszkał mój znajomy? Powiem panu w tajemnicy, że to taka nasza wspólna gra. Nawet ubieramy się podobnie...

Widząc, jak portier zaczyna otwierać usta ze zdumienia, podniósł rękę i rzekł z powagą:

- Oczywiście wszystko w granicach przyzwoitości, jeśli pan wie, co mam na myśli.

- A wiem, wiem.

- To dobrze.

- I chyba nawet się domyślam, o kogo szanownemu panu chodzi...

10

Metalowa zasuwka zazgrzytała głośno i przeraźliwie, jakby kto otwierał zamknięte od wieków bramy piekieł. Leżący na pryczy kształt poruszył się niespokojnie. Nie, nie spał. Zasnąć w takim miejscu było niepodobna, zwłaszcza w pierwszych dniach, póki się człowiek nie przyzwyczaił. I nie chodziło tylko o to, że w celi nawet w nocy paliło się światło. Słabe, ale jednak. Przede wszystkim dokuczala niepewność. Ile jeszcze będzie takich nocy?

- Ttschiuppa! - rozległ się głos strażnika.

Roch podniósł się na pryczy. Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy to o niego chodzi. Jak długo chodził po tym świecie, nigdy wszak nie słyszał, żeby ktoś w ten sposób wypowiadał jego nazwisko. A przecie z różnymi ludźmi przestawał, szczególnie w Łodzi. Inaczej wołali na niego Rosjanie, inaczej Niemcy, a jeszcze inaczej Żydzi. I jeszcze te dziwne dwa „p”. Jak grappa. Raz hrabia Henryk Wierzbowski, stary przyjaciel Berga, poczęstował go tym specjałem przywiezionym z Włoch. Ech, napiłby się Roch czegoś mocniejszego, napił...

- Ttschiupa! - powtórzył strażnik, może nie głośniejszy, ale na pewno bardziej gniewnie; no i jedno „p” gdzieś zniknęło.

Jako że nikogo prócz Polaka w celi nie było, nie pozostało nic innego, jak grzecznie się odezwać.

- Jestem - rzekł głosem równie mocnym co ten, który domagał się odpowiedzi.

- Wstać!

Aresztant uczynił zadość poleceniu. Po chwili tkwił bez ruchu obok pryczy, na której ledwo się mieścił, i spoglądał przed siebie. Starał się uniknąć kontaktu wzrokowego ze strażnikiem. Kilka

nieodległych tygodni spędzonych w rosyjskim więzieniu, okrytej złą sławą Łódzińskiej Tiurmie przy ulicy Długiej, nauczyło go, że tak należy. A przynajmniej nie zaszkodzi.

Po krótkiej chwili w drzwiach pojawiła się jeszcze jedna postać w mundurze. Leniwym, lekko rozkołysanym krokiem, trzymając ręce splecione na plecach, co znamionowało kogoś ważnego, osobnik ów wszedł do celi. Znalazłszy się na środku, kilka razy znacząco pociągnął nosem. Dokładnie tak samo jak Roch Ciupa w chwili, kiedy go tu przyprowadzono.

- Raus! - rzucił ważny strażnik do podwładnego, obrócił się na fleku i szybkim krokiem, jakby chciał strząsnąć z siebie smród celi, wyszedł na więzienny korytarz.

Roch wyciągnął ręce przed siebie, aby go skuto. Nosił kajdany przez większość wczorajszego dnia, więc nie sądził, że teraz, w drodze na przesłuchanie (miał nadzieję, że w końcu ktoś zamieni z nim łaskawie kilka słów), będzie inaczej. Ale nic nie zabrzęczało, a strażnik pokręcił głową, by następnie wskazać drzwi. Gdy aresztant wyszedł, wy dobył z pochwy szablę. To była jego gwarancja.

Roch Ciupa opuszczał celę po raz pierwszy od chwili, kiedy zamknięto za nim jej drzwi i złowroźnie zachrobotła ta cholerna zasuwka. Odkąd został rozpoznany i zatrzymany na ulicy, a następnie doprowadzony do aresztu, nikt z nim nie rozmawiał, nie stawiał oficjalnych zarzutów. Nawet nie uderzył, chociaż Roch spodziewał się, że od tego zaczną.

Chodziło rzeczywiście o ten nieszczęsny bochenek chleba. Gdy go zjadł, siedząc nad rzeką, przez chwilę gotów był nawet wrócić do piekarni, przyznać się do kradzieży i z pokorą poczekać na przybycie policji. Nie zrobił tego jednak, bowiem poczucie misji, z którą przybył do tego miasta, okazało się silniejsze.

Aresztowany przesiedział kilka godzin sam w pomieszczeniu bez okien. Potem pozwolili mu skorzystać z wychodka i dali jakąś cienką zupę. I znów czekał. Dopiero po paru godzinach zaprowadzili go do celi i zdjęli z rąk bransoletki. Teraz już dobrych kilka minut były

pielęgniarski i eskortujący go strażnik szli cuchnącymi stęchlizną korytarzami aresztu i pogrążonymi w półmroku schodami. Kilka razy zza mijanych drzwi uszu więźnia dochodziły rozpaczliwie krzyki. Co tam robiono, nie miał pojęcia, ale wyobrażenia od razu podpowiadała swoje. Pewne było, że robiono to bezkarnie.

Wreszcie dotarli przed jakieś drzwi. Strażnik zapukał. Mimo że Roch nie dosłyszał z drugiej strony przyzwolenia, eskortujący go człowiek nacisnął klamkę.

- Wchodzić.

Roch posłusznie przestąpił próg pomieszczenia, uważając, by nie nabić sobie guza. Zamknięte gwałtownie drzwi dmuchnęły mu w plecy i kark. W pokoju nie było nikogo. Na całe wyposażenie składały się stół i dwa krzesła, jedno okno, a w nim solidne kraty. Dzień był słoneczny, tyle tylko udało mu się stwierdzić, ponieważ zaraz otworzono boczne drzwi i do pomieszczenia wszedł mężczyzna w policyjnym mundurze. Rzucił na blat jakieś papiery, obrzucił aresztowanego ciężkim spojrzeniem, wreszcie wycodził przez zęby:

- Odechce ci się raz na zawsze kraść, skurwysynu! Zgnijesz w mamrze, śmieciu! - Nerwowy policjant odsunął głośno jedno z dwóch krzesełek i usiadł za stołem.

Gdyby tylko Stach zdołał ostrzec przyjaciela przed wyjątkową kanalią, jak zgodnie powtarzała ulica, czyli stójkowym Schulzem. Był to człowiek, który miał w zwyczaju najpierw zadawać cios w twarz, a dopiero potem pytanie. Niestety, Roch musiał przekonać się o tym na własnej skórze. Wciąż stał na środku pomieszczenia, bo nikt nie prosił, aby zajął wolne, zapewne przeznaczone dla niego miejsce. A skoro stał, to spoglądał na siedzącego policjanta ze znacznej wysokości. Większej, niżli statystyczny więzień, powiedzmy to jasno. Do tego zszokowany manierami policjanta zapomniał o tym, czego go uczono. Unikaj kontaktu wzrokowego.

- Co się gapisz? - warknął Schulz.

- Przepraszam.

- Sadzaj dupę.

Polak klapnął. Przez chwilę policjant przerzucał leżące przed nim dokumenty, potem znów podniósł głowę i spojrzał koso na aresztowanego.

- Trzeba ci wiedzieć - zaczął - że zaszczytną służbę dla cesarza do niedawna pełniłem na ulicach tego miasta. Szlifowałem krawężniki, jak to się mówi. Ale dzięki temu zdołałem poznać bardzo dobrze wszystkie wasze sztuczki. Nie próbuj więc kręcić, człowieczku, bo i tak wszystko wyczytam ci z głowy. Wszystko! Czy będziesz tego chciał, czy nie. Więc lepiej od razu mów. Jak u księdza na spowiedzi.

Wysłuchawszy tych słów, Roch Ciupa spuścił głowę.

- Jak u księdza na spowiedzi - powtórzył Schulz i zapytał: - Kiedy byłeś ostatnio u spowiedzi, co?

- Nie pamiętam. Dawno. Może z miesiąc temu będzie - odrzekł Roch słabym głosem, właściwie był to szept.

- Masz kłopot, bo u nas nie ma... cerkwi.

Ciupa podniósł wysoko brwi, ale nic nie powiedział. Tymczasem niedawny postrach uliczników najwyraźniej się rozkręcał. Podniósł z blatu jeden z dokumentów i jeszcze raz spojrzał na siedzącego przed nim przestępcę.

- Czy to ciężki grzech ukraść chleb? - zapytał. - Jak to jest u was?

- U nas, czyli u kogo? - chciał wiedzieć Roch.

- U Rosjan.

- Nie wiem. Musiałby pan jakiegoś zapytać.

Dopiero gdy usłyszał własne słowa, pojął ich sens i wydźwięk. W ułamku sekundy oblał go zimny pot, zaschło mu w gardle. Nie pomylił się - wzbudził gniew. Schulz huknął pięścią w stół i poczerwieniał na twarzy.

- A co to jest, do kurwy nędzy?! - Uniósł sporą książeczkę z dwugłowym ptaszyskiem na mocno spłowiałej okładce. - Bajki braci Grimm?!

- To... to jest paszport - wydukał Ciupa.

- Japoński?!

- Nie. To, miłościwy panie, paszport Imperium Rosyjskiego.

- Więc kimże, do diaska, jesteś, Ciupa?!

Roch już miał coś powiedzieć, by uspokoić człowieka w obcym mundurze, kiedy otworzyły się drzwi. Nie te, przez które do pokoju wkroczył policjant, ale te, przez które wpuszczono więźnia. Siedzący tyłem do wejścia Ciupa nie widział więc stojącej w nich postaci.

- Dość, Schulz. Wystarczy. To tylko jeden bochenek chleba - rzekł przybysz twardo, by po chwili, która wystarczyła przesłuchującemu na podniesienie się z krzesła i przyjęcie postawy zasadniczej, całkowicie zmienić ton. - „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj”. Czy nie tak mówią słowa modlitwy?

- Tak jest! - potwierdził służbista, choć nie z takim zapałem jak kiedyś; musiał mu chyba we łbie dźwięczeć ten „miłościwy pan”.

- Dalej jest chyba coś o przebaczeniu... Tak, Schulz?

- Tak jest!

- A kiedy my komuś przebaczymy - ciągnął tajemniczy gość - ten ktoś nam również przebaczy.

Ostatnie dwa zdania Roch usłyszał tuż nad swoim prawym uchem. Poczł woń tytoniu, wyraźną i wcale przyjemną.

- Dziękuję, Schulz. To wszystko.

Policjant sprężystym krokiem opuścił pokój przesłuchań. Nie wyglądał na najszczęśliwszego, ale przełożonemu, wszak nie mógł to być nikt inny, winny był szacunek i posłuszeństwo. Zostali sami, choć ten, który przyszedł, wciąż stał za plecami aresztowanego, ten zaś nie śmiał się poruszyć.

- Tak jak powiedziałem: coś za coś - rzekł nieznajomy; sądząc po głosie, był to osobnik niezbyt młody. - Zapomnimy o skradzionym chlebie, panie Ciupa...

- W zamian za?

11

Pastor zamknął świętą księgę i uczynił znak krzyża. Zrobił to bardzo powoli, jakby każdy ruch sprawiał mu wysiłek i ból, jakby chciał w ten sposób dokonać cudu. Nie brakowało takich, którzy za taki cud daliby wiele. Żeby to wszystko okazało się tylko złym, koszmarnym snem. Bo wciąż nie mogli uwierzyć w to, co się stało...

Następnie duchowny cofnął się trzy kroki od katafalku, na którym ustawiono trumnę. Przez cały czas mamrotał coś pod nosem, choć nie można było mieć pewności, czy to jeszcze słowa modlitwy za zmarłych. Pastor był człowiekiem wiekowym, często gadał do siebie, do czego już się w okolicy przyzwyczajono.

- Zamykać - zaordynował najstarszy z żałobników, wskazawszy na dębowe wieko trumny z wielkim krzyżem, które stało kilka kroków dalej oparte o ścianę nawy.

Dwóch z czterech mężczyzn ubranych jednakowo w czarne peleryny ze złotym oblamowaniem ruszyło, aby uczynić zadość poleceniu pryncypała. Zaraz jednak powstrzymał ich inny głos.

- Nie. Jeszcze chwilę.

Głos ów, mimo że zdławiony rozpaczą, był wyraźny i mocny. Musiał taki być, należał bowiem nie do kogo innego, jak do jednego z najlepszych prawników w Königsbergu, doktora Johanna C. Webera. Człowiek ten na salach sądowych całej rejencji zapędzał w kozi róg przeciwników, przekonywał do swoich racji sędziów, zyskiwał sobie aprobatę zgromadzonej publiczności i uznanie klientów. W tej chwili jednak milczał i żadne słowa nie mogły należycie oddać tego, co działo się w jego głowie. Wyrok, od którego nie było żadnego odwołania, został już wydany. Ten, który go wydał, słucha nielicznych. Zaś ta, której wyrok dotyczył, leżała w tej chwili w trumnie.

Mężczyzna z czarną opaską na ramieniu szybkim krokiem zbliżył się do trumny i pochylił nad głową zmarłej. Przez chwilę szeptał coś żarliwie. Ktoś zapłakał. Wdowiec jeszcze niżej pochylił się nad nieboszczką. Najstarszy z żałobników wyjął zegarek z dewizką, sprawdził czas i spojrzał na pastora, szukając sojusznika. Duchowny jednak oczy miał zamknięte.

Było to jednak prawo człowieka, który kilka dni temu poniósł stratę największą. Po krótkiej chorobie zmarła żona doktora Johanna C. Webera, Gertruda. Najbardziej bolesne było to, że para wzięła ślub ledwo przed miesiącem.

Co myślał i czuł człowiek, który pochylał się nad jakby z wosku ulepioną twarzą? Może ktoś, kto przyglądał się tej scenie, wzdrygnął się w tej chwili. Może pomyślał, że nigdy by się nie odważył na taką bliskość z trupem. To akurat nie byłoby bezzasadne, bo wciąż nie podano oficjalnie przyczyny śmierci hrabiny, a ponoć w okolicy zdarzyły się przypadki cholery...

Weber odstąpił od trumny i katafalku, szybkim ruchem zebrał chustką łzy, które nabiegły mu do oczu.

- Zamykajcie.

Gdyby teraz widzieli go przeciwnicy z sali sądowej! Zawsze wydawało się, że to człowiek, którego nic nie jest w stanie złamać. Za nic miał łzy innych, bo wiedział bardzo dobrze, że w większości przypadków nie były to łzy szczerze. Dzięki temu wygrywał. Ale nikogo z palestry Königsberga nie było w tym momencie w Gerdaunen. Może nawet lepiej. Przyjdą jutro, na pogrzeb, który odbędzie się w stolicy rejencji. Będą dodawać otuchy nieszczęśnikowi, składać kondolencje i kwiaty na grobie. Na chwilę zapomną o tym, co było. Oczywiście na cmentarzu na Haberbergu mieli pojawić się również i tacy, którzy przyszli z czystej ciekawości i dla rozrywki.

Zamknięto trumnę. Echo zwielokrotniło stukot młotków, który rozległ się po chwili. Ktoś załkał znowu. Inny szybko się przeżegnał, spojrzał na rozpiętego na krzyżu i gwoździe, które tkwiły w jego

rękach i nogach. Duchowny ocknął się z letargu, przestał nawet poruszać wargami. Odchrząknął i zaintonował żałobną pieśń.

Żałobnicy w czarnych pelerynach, tym razem już wszyscy czterej, zdjęli trumnę z katafalku, z wprawą założyli ją sobie na ramiona i równym krokiem ruszyli za pastorem, w stronę wyjścia z kościoła. Za nimi kroczył samotnie wdowiec, ściskając przed sobą w splecionych dłoniach kapelusz, śladem mężczyzny zaś, nieśmiało, podążała reszta zgromadzonych.

- Żegnaj, Gerti - mruknął ktoś w tłumie.

Na brukowanym dziedzińcu stał zaprzęgnięty karawan. Cztery konie nie miały jednak zwyczajowych kit na łbach, sam powóz pozbawiony był zaś jakichkolwiek ozdób. Jego zadaniem było przetransportowanie zwłok do Königsberga, co miało zająć całe popołudnie i wieczór. Tak sobie jednak życzył wdowiec. Nikt nie odważył się z nim dyskutować ani przekonywać do swoich racji, wskazywać miejsca na tutejszym cmentarzu, gdzie wieczny spoczynek znaleźli przed wielu laty rodzice zmarłej. Można było przetransportować trumnę pociągiem, ale Weber się uparł. Kiedy dotrą na miejsce, pewnie będzie już ciemno. Z tyłu powozu wisiał już fanar; za godzinę, półtorej trzeba będzie się zatrzymać, aby go zapalić.

Po chwili trumnę umieszczono wewnątrz karawanu. Pastor przerwał śpiew w pół taktu. Weber zajął miejsce. Jego twarz sprawiała wrażenie wykutej w kamieniu. Tylko oczu nie było widać, bo ocieniało je szerokie rondo kapelusza. I dobrze, bo ludzie stojący na dziedzińcu nie ujrzeliby w nich ani jednej łzy. Woźnica strzelił z bata nad głowami koni. Pastor po raz ostatni uczynił znak krzyża. Karawan opuścił plac przez kościołem w Gerdauen.

12

Vladas Smetona zamknął pugilares i starannie umieścił go w wewnętrznej kieszeni surduta sprawionej specjalnie w tym celu. Pieniądze zabezpieczały dwa guziczki, a pomiędzy nimi spora haftka. Pugilares był grubszy niż jeszcze przed godziną, podobnie jak sam Vladas, co nikogo nie dziwiło, ponieważ przed chwilą zjadł obfitą kolację. Była nie tylko obfita, ale też droga, ponieważ lokal należał do najbardziej eleganckich i jednocześnie najdroższych w Königsbergu. Byle kogo tu nie wpuszczali.

Ktoś, kto znałby Vladasa Smetonę, nie miałby problemu z wyjaśnieniem tego paradoksu. Ten przystojny, ujmujący w obyciu i dobrze ubrany trzydziestokilkulatek ubił przed kilkoma minutami – jak to często mu się zdarzało – świetny interes. Właściwie można powiedzieć, że był pewny swego, zanim na stole pojawił się deser, szarlotka z lodami waniliowymi.

– Kiedy mogę się spodziewać dostawy, panie Smetona? – zapytał siedzący naprzeciwko kontrahent, człowieczek niemłody, niegruby i niemrawy.

– Na początku przyszłego tygodnia – odparł szybko Vladas, ruchem łokcia machinalnie sprawdzając zgrubienie po lewej stronie. – Bez obaw, drogi panie Weinberg. Wszystko będzie jak należy. Przecież się znamy.

– W takim razie bardzo się cieszę – powiedział starszy mężczyzna, odsuwając od siebie filiżankę z resztką czarnej kawy. – Niestety, na mnie już pora.

– Och, jaka szkoda. – Smetona udanie zamarkował smutek.

– Też żałuję. Niestety, żona ostatnio trochę niedomaga.

– Coś poważnego?

- Mam nadzieję, że nie...

Weinberg wstał z krzesła, więc Vladas Smetona zrobił to samo, choć o wiele wolniej. Dopiero teraz można było też zauważyć, że przerasta wychodzącego niemal o głowę.

- Proszę przekazać małżonce życzenia szybkiego powrotu do zdrowia - powiedział Smetona z pokrzepiającym uśmiechem.

- Dziękuję.

Pożegnali się, choć niezbyt wylewnie; nie spotkali się tu przecież w celach towarzyskich. Pan Weinberg trochę niezdarnym krokiem, utykał bowiem na jedną nogę, podreptał w stronę wyjścia. Vladas Smetona odprowadził go spojrzeniem. Już się nie uśmiechał. Nie było potrzeby. Dopiero gdy tamten zniknął z pola widzenia, usiadł z powrotem do stołu. Nie dokończył jeszcze deseru, choć lody już niemal całkiem się roztopiły. Dla niego nie miało to jednak wielkiego znaczenia.

Zanim jednak sięgnął po łyżeczkę, by pracownicy zebrać z talerzyka breję, w której tonęły okruchy ciasta, sięgnął w zanadrze i po raz nie wiadomo już który namacał pugilares. Jakby wciąż jeszcze nie wierzył, że wszystko to dzieje się naprawdę. Kieszeni nie zapinał jeszcze na dwa guziki i haftkę, bo na razie nigdzie się nie ruszał. Miejsce to było dla niego nie tylko restauracją, ale też czymś w rodzaju biura. Osobnik nazwiskiem Smetona, z urodzenia Litwin z niedalekiej Kłajpedy, załatwiał tutaj interesy, a Weinberg nie był jedynym, który tego wieczora przybył, aby złożyć zamówienie.

Chyba właśnie nadchodził kolejny, też kulejący; miał dzisiaj Vladas szczęście do kuternóg. Ale to przecież nieważne - byle nie mylił się przy liczeniu pieniędzy i żeby mu z mordy nie śmierdziało, bo tego Smetona znieść nie potrafił. A zdarzali się naprawdę różni.

- Dobry wieczór - przywitał się przybysz.

Był to mężczyzna w średnim wieku, obdarzony długą, sięgającą niemal piersi i kruczoczną brodą, która trochę nie pasowała do jasnych włosów. Może już siewiały, w tym świetle ciężko było ocenić.

Ale, jak to mówią, broda od czupryny młodsza. Miał też spory kałdun, a na świat spoglądał przez monokl.

- Proszę, niech pan siada. - Vladas Smetona wskazał mu miejsce, najpewniej jeszcze ciepłe po tyłku Weinberga. Na szczęście marker zdążył już sprzątnąć brudne nakrycie i przynieść nowe.

Ale gość wciąż stał.

- Czy pan Vladas Smetona? - zapytał niepewnie.

- Tak. Jak mogę pomóc?

Brodacz przestąpił z nogi na nogę. Wyglądał na mocno stremowanego.

- Proszę o wybaczenie, ale jeszcze nie mieliśmy przyjemności - rzekł cicho.

- Nie ma problemu. Zawsze musi być ten pierwszy raz. Najważniejsze, że dobrze pan trafił, a lokal, jak pan sam widzi, dosyć spory. - Potoczył wzrokiem po stolikach i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - No, niech pan tak nie stoi, panie...

- Schmidt - przedstawił się brodaczu.

Nie podali sobie rąk, ponieważ Litwin już trzymał w nich nóż i widelec, którymi zabierał się do... śledzia w śmietanie. Najwyraźniej zupełnie mu nie przeszkadzało, że jeszcze przed chwilą jadł słodkie.

- Słucham. Co pana do mnie sprowadza? - zapytał, pół sekundy później podniósł jednak energicznie rękę, na szczęście już bez noża, i rzucił: - Psst, proszę nic nie mówić. Postaram się sam zgadnąć...

Brodacz z zakłopotaniem rozejrzał się na boki, jakby oczekiwał ratunku, Vladas zaś przymknął oczy, bezgłośnie poruszając wargami. Rękę wciąż trzymał w tym samym miejscu, wyglądał więc jak jakiś rzucający zaklęcie mag albo ksiądz egzorcysta, którego zadaniem jest wypędzenie diabła z osoby obłąkanej. Oczywiście nie uszło to uwadze wielu gości lokalu. Przy najbliższych stolikach przerwano rozmowy, a siedzący przy nich goście dyskretnie przyglądali się tej dziwacznej scenie. Ale byli też i tacy, którzy tylko wzruszali ramionami. Wiele razy widzieli Smetonę w podobnej sytuacji.

Ciszę, którą zawisła nad stolikiem, wykorzystał kelner. Podszedł do brodacza i zapytał, czy mógłby przyjąć już zamówienie. Zrobił to szeptem, przyzwyczajony do takich obrazków. Gość również szeptem odpowiedział, że chętnie napiłby się czerwonego wina. Nie, nie cała karafka. Wystarczy jeden kieliszek.

- Już wiem. - Vladas Smetona szeroko otworzył oczy.

- Tak?

- Chciałby pan ode mnie dwadzieścia łokci francuskiej lamy. Kolor? Myślę, że zadowoliliby szanownego pana, hmmm... Chwileczkę.

- Smetona znów przymknął oczy. - Tak! Na pewno jest pan miłośnikiem burgunda. Nie! Wiem! Rózu pompejańskiego. Mam rację?

Mężczyzna, przed którym właśnie postawiono zamówione wino, nie zareagował, tylko uśmiechnął się wąsko. Sięgnął po swój kieliszek, upił łyczek. Chwilę przypatrywał się alkoholowi w szkle. Może zastanawiał się nad fachową nazwą koloru wina.

- Widzę, że to prawda, co o panu mówią, panie Smetona - rzekł, odstawivszy szkło na blat.

- A co takiego mówią? - chciał wiedzieć Vladas.

- Że jest pan wybitnym specjalistą w swoim fachu, a współpraca z panem to sama przyjemność.

- Dziękuję.

- Właśnie się o tym przekonuję, choć, trudno mi to będzie powiedzieć, szukam zupełnie innego materiału, a wszelkie odcienie czerwieni są dla mnie, jakby to powiedzieć, zbyt krzykliwe.

- W takim razie co pana do mnie sprowadza? - Vladas Smetona bez mrugnięcia okiem powtórzył pytanie sprzed kilku minut, by dodać: - W cichości.

Brodacz z zakłopotaniem podrapał się po głowie.

- Przyjechałem przed dwoma dniami z Gdańska - powiedział po krótkiej chwili. - Mam tam, konkretnie w Langfuhr, niewielką pracownię tapicerską. Tydzień temu zwrócił się do mnie z prośbą pewien miejscowy konsul.

- Konsul?

- Owszem. Jego nazwisko pozwolę sobie zostawić w tajemnicy, gdyż człowiek ten z pewnością nie chciałby, aby o sprawie mówiono. Nawet po drugiej stronie zatoki. A przynajmniej nie teraz...

- Dobrze. Czego sobie zażyczył ów tajemniczy pan konsul? - Smetona zerknął na zegar stojący w rogu sali. Wskazówki informowały, że zbliża się ósma wieczorem.

- Już mówię, już... - Brodacz uśmiechnął się nerwowo. - Otóż człowiek ten niedawno się ożenił. Powtórnie. Żona, dużo młodsza od niego, szybko zaczęła wprowadzać w domu nowe porządki. Na początku wzięła się do zmiany wystroju wnętrza...

Ostatni kawałek śledzia w śmietanie zniknął w ustach handlarza tkanin. Potem mężczyzna jął się rozglądać za kelnerem, jednak jak na złość akurat żadnego nie było w pobliżu.

- Wymieniła tapety i story w oknach - ciągnął tapicer. - A teraz planuje zabrać się do obicia wszystkich mebli.

- O jakim kolorze mówimy? - zapytał Litwin, jednocześnie machając na kelnera, który wreszcie pojawił się w jego polu widzenia.

- Żółtym.

Vladas Smetona kazał kelnerowi przynieść sobie golonkę z dużą ilością musztardy i pół kwarty piwa. A potem się zamyślił.

- Stary ten konsul? - zapytał.

- Nie wiem, nie sprawdzałem. Ale myślę, że może mieć jakieś pięćdziesiąt... góra pięćdziesiąt cztery lata.

- A ona?

- Około dwudziestu pięciu.

- Ich dom duży?

- Dwupiętrowa kamienica na Głównym Mieście.

Handlarz uśmiechnął się.

- Niedaleko kościoła Najświętszej Marii Panny - sprecyzował klient.

Smetona uśmiechnął się ponownie. Bardzo mu to pasowało, mimo że osobnik z dziwną brodą był jakiś niewydarzony. No, ale co się

dziwić, zwykły wyrobnik, któremu spadło z nieba intratne zlecenie. Ech, Smetona wiedziałaby, co z tym zrobić. Gdyby rzecz działa się gdzieś bliżej, sam by tam pojechał i zajął się sprawą. Ten dłubacz nawet nie zdążyłby mrugnąć okiem. Nieraz już tak bywało. Kto pierwszy, ten lepszy. Może nawet świeżo upieczona pani konsulowa zechciałaby mu osobiście służyć swymi uwagami? Musiałby jej wtedy wysłuchać. Niestety, im większymi krokami zbliżała się zima, tym mniej chciało się Vladasowi opuszczać Königsberg.

- No to niezła robótka się panu szykuje. - Zmrużył oczy i pogładził się po policzku.

- Myślę, że pan też nie będzie narzekał - rzekł tapicer, który najwyraźniej odzyskał kontenans.

- Też mam taką nadzieję. Wracając do różnicy wieku, która dzieli czcigodnych małżonków, zakładam, że kolejna taka fucha trafi się panu całkiem niedługo.

Brodacz zmarszczył brwi.

- Co pan ma na myśli?

- Bynajmniej nie to, że materiały, które panu dostarczę, są słabej jakości - rzekł z przekąsem Vladas Smetona. - Zresztą nieważne. Proszę mi powiedzieć, o jakie meble chodzi.

- Biedermeier.

- Słusznie, słusznie.

- Dziesięć krzeseł, dwie sofy, kilka siedzisk.

Teraz Smetona się zafrasował.

- Musiałbym najpierw rzucić okiem na te cuda - mruknął, by dodać: - Jeśli miałbym dobrać dla pana coś naprawdę specjalnego. A mam akurat na składzie szafranową panorę i kanaus w kolorze starego złota. To piękne materiały, nie dla byle Żydka...

Rzemieślnik duszkiem wypił swoje wino i rzekł z uśmiechem:

- Może pana to zdziwi, ale to będzie możliwe. Akurat mam ze sobą jedno krzesło i siedzisko. Sofy już, niestety, nie dałem rady zabrać...

Zaśmiali się obaj.

- Gdzie są te meble? - zapytał Vlas Smetona.
- W powozie. Stoi przed restauracją.
- Pozwoli pan tylko, że dokończę kolację. Przepadam wręcz za taką golonką. Szczególnie po szarlotce z lodami.
- Oczywiście. Ja chyba też zamówię sobie jeszcze jedno wino.

13

W szpitalu lipnickim powoli gasły światła. Człowiek, który stał w załomie murów po drugiej stronie ulicy i obserwował budynek, wiedział, które okno należało do której sali. O, na przykład tam, na pierwszym piętrze, blisko szczytu, znajdowała się porodówka. A dokładnie nad nią oddział, na którym pacjenci czekali, aż zrosną im się ręce i nogi. Jeszcze nie było ich wielu - z kilkunastu okien przez cały wieczór światło paliło się tylko w dwóch. Ale zimą to się zmienia. Ślizgawka sprawiała, że przybywało połamanych kości.

Przeniósł wzrok z powrotem piętro niżej, tam gdzie kobiety rodziły dzieci. Usiłował wyobrazić sobie taki moment, rozłożone szeroko nogi, piersi nabrzmiące od mleka. Po kilku chwilach poczuł, że zaczyna mu twardnieć członek. Pogładził się po przyrodzeniu napierającym na materiał ineksprymabli i spodni.

- Jeszcze nie, jeszcze chwilę - mruknął.

Od strony rzeki Pregel powiał silny, chłodny wiatr. Franz Katschmarek postawił kołnierz marynarskiej kurty i wsunął obie ręce do kieszeni. Palcami zaczął przerzucać jakieś śmieci, żeby się uspokoić.

Katschmarka wciąż bolały plecy. Wszystko przez siepacza w policyjnym mundurze, który zdzielił go przez nie drewnianą pałką. Wcześniej nakrył Franza w kostnicy. Wszystko może i dobrze by się skończyło, gdyby nie napatoczył się ten młody oficerek. To on poznał jego tajemnicę. Ale już go nie ma. Nie ma! Franz czytał o nim w „Königer Zeitung”. Jest jeszcze sprawiedliwość na tym świecie.

- Obyś zczezł, Schatzki. Psie! - wysyczał.

Rozległ się tętent kopyt. Uliczką od strony dzielnicy Sackheim zbliżał się powóz. Był zaprzężony w cztery konie, więc pewnie

podróżował nim nie byle kto. Dopiero gdy pojazd się zbliżył, mężczyzna skonstatował, że to karawan. Cofnął się w głąb niszy, która nie od dzisiaj była mu schronieniem. To stąd zazwyczaj obserwował okolicę, wypatrując dogodnego momentu. Prawie zawsze czekał, aż zrobi się ciemno. Wtedy wychodził. Co mu strzeliło do głowy, że wtedy wychynał w biały dzień? Ale wszystko dobrze się skończyło. Z aresztu wypuszczono go następnego dnia. Nie siedział nawet doby. Potem wrócił pod szpital.

Było to jedno z niewielu miejsc, gdzie mógł zaspokoić swoje żądze. Kiedyś odwiedzał lekarzy, którzy w zaciszu swych pracowni eksperymentowali na ciałach wypożyczanych za kilka marek na kilkanaście godzin. Znalazło się w nich zawsze parę minut także dla Franza. Ci medycy jako jedyni potrafili zrozumieć jego słabość. Przyjął do wiadomości, że nigdy nie dane mu było obcować z kobietą w żaden inny sposób. Że, owszem, doznawał erekcji na widok antycznych rzeźb, olejnych obrazów przedstawiających nagie kobiety czy fotografii, które nastoletni chłopcy przekazywali sobie w sekrecie. Jednak nie tylko nigdy się nie ożenił, ale też ani razu nie odwiedził burdelu. Taki po prostu był Franz Katschmarek, kawaler mieszkający samotnie w północnej części miasta, w kamienicy niedaleko byłych koszar kirasjerów.

Niedawno jednak „szarlatanów” aresztowano. Zaczęło się od jednego, ale ponieważ znali się wzajemnie, któryś zaczął sypać. Katschmarkowi zostały tylko miejskie kostnice. Ta przy szpitalu lipnickim od razu stała się jedną z jego ulubionych.

Czyżby los znów podsycił mu okazję? Nieraz już tak bywało. Wieczorem przywozili zmarłych, których z takich czy innych powodów nie można było dostarczyć do kostnicy za dnia. Samobójczynie na przykład. Ale nie było to regułą. Te odpowiadały mu najbardziej, jeśli w łagodny sposób potraktowały swoje ciała, dajmy na to podcięły sobie żyły. Albo topielice, jak ta ostatnia... Z ofiarami zabójstw było już trochę inaczej. Nie mógł patrzeć na poderżnięte gardła. Musiał je czymś zakrywać.

Kogo przywieźli dzisiaj? Karawan nie był opisany ani nazwiskiem, ani datami urodzenia i śmierci denata. Nie dowie się więc niczego, póki stąd nie wyjdzie, nie zakradnie się do kostnicy i nie otworzy jej sekretnie dorobionym kluczem. Na szczęście ostatnio go nie znaleźli...

Tymczasem powóz ciągnięty przez dwie pary koni zniknął za bramą. Franz Katschmarek znów poczuł, że mu staje. Sięgnął do kieszeni portek, jednak nie po to, by pogłodzić się po sztywnym członku, ale by sprawdzić, czy klucz od kostnicy jest na miejscu. Był.

Kwadrans później karawan wyjechał z dziedzińca szpitala. Widać było jeszcze kołyszącą się latarnię, gdy Katschmarek opuścił bezpieczną kryjówkę i skierował kroki w stronę kostnicy. Oddychał coraz szybciej. Oliwa, nieodzowna towarzysząca takich wypraw, bulgotała cicho w niewielkiej, ukrytej w kieszeni marynarskiej kurty buteleczce.

- Już, zaraz, jeszcze chwilę - przemawiał sam do siebie. Może to dusza zwracała się do ciała? Nie wiedział, które z nich było bardziej chore.

Chyłkiem przeciął dziedziniec. Nie spoglądał już w okna budynku. Gdyby to zrobił, ujrzałby w jednym z nich, dokładnie na drugim piętrze, nikły cień. I wiedziałby, że ktoś śledzi każdy jego ruch...

14

Gdyby w chwili, gdy Vladas Smetona jadł ze smakiem golonkę, ktoś zapytał go, czy wie, jak wyglądał ów przysmak ledwie kilka dni wcześniej, pewnie tylko wzruszyłyby ramionami. A może nawet zaśmiał się w głos. Co to mogło kogo obchodzić? Że biegało, taplało się w błocku, wesoło chrumkając? Że wiejskie dzieci nadały mu jakieś imię? Najważniejsze, że znalazło się na jego talerzu, odpowiednio przyrządzone i doprawione. To dlatego wybierał tę restaurację, a nie inną.

Paniczykiem też nie był, widział wiele razy, jak bito świnie. Jako mały chłopiec odwiedzał rodzinę ojca na wsi, niedaleko Kretynki. Raz się tylko porzygał, kiedy gospodarz, odziany w długi fartuch, jednym fachowym pociągnięciem rozciął brzuch wiszącego na haku martwego już knura, a ze środka wylały się wnętrzności. Zupełnie jak drobne elementy garderoby upchane w szafie, której drzwi gwałtownie otworzono.

Tylko co to wszystko miało wspólnego z handlarzem tkanin? A to, że Litwin... wisiał teraz głową w dół, na haku wystającym z sufitu, w jakiejś cuchnącej, źle oświetlonej norze. Jak świnia. Gdzieś kapłała woda.

Jak się tam znalazł? Wyszedł z brodatym mężczyzną z restauracji, żeby obejrzyć meble, które miały otrzymać nową tapicerkę. Czy w ogóle je zobaczył? Nie, chyba nie... Ktoś musiał ich napaść, pozbawić przytomności. Nic nie pamięta, do kroćset!

- Pobudka, Smetona - usłyszał męski głos.

Wiszący musiałby okręcić się wokół własnej osi, by dostrzec twarz mówiącego. Ale jak? Nigdy wcześniej nie dane mu było próbować podobnej sztuczki. Po chwili okazało się to jednak

zbyteczne. Oprawca sam poruszył Litwinem. Mimo kiepskiego oświetlenia i faktu, że widział wszystko do góry nogami, kupiec bez trudu rozpoznał gdańskiego tapicera. A raczej bandytę, który się za niego podawał, by zdobyć zaufanie Vladasa Smetony. Po co? Pewnie za chwilę stanie się to jasne...

- Kim jesteś? Czego ode mnie chcesz? - wysapała ofiara.

- Moje nazwisko nic ci nie powie - odparł ze spokojem mężczyzna. - A chciałem z tobą po prostu pogadać. Długo czy krótko i w jakiej pozycji, zależy tylko od ciebie, Smetona.

- O czym chcesz gadać?!

- O wspólnych znajomych.

W pierwszym odruchu Litwin szarpnął się, jakby chciał ugryźć swego ciemniźcyela. Ale jedyne, co zdołał zrobić, to wydobyć z siebie zwierzęcy charkot. Brodacz się zaśmiał. Wtedy Vladas Smetona dostrzegł coś dziwnego na twarzy fałszywego tapicera. Lewa część jego bujnej brody, a może to była prawa, w tej pozycji nie był w stanie tego stwierdzić, zwisała luźno, jak oderwana od policzka! Wyglądało to makabrycznie, jakby ktoś uciął ostrym nożem zarost wraz ze skórą...

Stanisław Berg podrapał się po swędzącej twarzy. Widząc przerażoną minę więźnia, wzruszył ramionami. Zerwał brodę do końca. Nie była mu już potrzebna.

- Dla kogo pracujesz? - sarknął Vladas. - Dla Jacobsona, który głupim babom wciska najgorszy jedwab, co?! Zawsze kłuł ich w oczy mój fart w interesach. Rzeźnicy! No, mów! Który chuj cię nasłał?

Stach oddalił się o krok, ale tylko po to, by kopnąć wiszącego. Nie chodziło o to, by zadać mu ból, ale by wprawić ciało w kołysanie. Nie pamiętał już, kiedy z Schatzkim odkryli, że to najskuteczniejszy sposób na przesłuchanie. Dyndający głową w dół delikwent szybko zdawał sobie sprawę ze swego nie najlepszego położenia. Poza tym mózg był w tej pozycji dobrze ukrwiony. Tak twierdził Ludwig. Co prawda teraz sporo wysiłku kosztowało go ogarnięcie wszystkiego w pojedynkę, ale Berg jakoś dał radę.

Kiedyś mu o tym opowiem – obiecał sobie w duchu.

Jeśli więzień okazywał się hardy, wtedy trzeba było zastosować inne środki. Było to jednak nic w porównaniu z wysiłkiem, który detektyw musiał włożyć, by zawlec Smetonę na miejsce, a przede wszystkim zawiesić u sufitu. Vladas wykonał jeszcze kilka wahadłowych ruchów, a wtedy Stach chwycił go za ramiona i zakręcił. Lina, na której wisiało ciało, jęła się kurczyć, a gdy doszła do krytycznego momentu, rozwinęła się błyskawicznie.

Na efekty nie trzeba było długo czekać – z ust handlarza chlusnęły wymiociny. Na podłodze można było podziwiać całą kolację, którą kilkadziesiąt minut temu ze smakiem spożył Litwin. Trudno było już jednak odróżnić szarlotkę z lodami od golonki. Chwilę później coś pacnęło w sam środek rzygowin. Był to pugilares Vladasa, którego w wewnętrznej kieszeni nie zdołały zatrzymać specjalne dwa guziki ani haftka.

- Dość... dooość! – wyjęczał nieszczęśnik.

- Pogadamy? – zapytał Berg na tyle głośno, by nie musieć zbliżać swojej twarzy do śmierdzącej sokami trawiennymi gęby Vladasa.

- Tak.

Stanisław Berg wyprostował się, zrobił kilka kroków po zaaranżowanej naprędce katowni. Musiał zebrać myśli, musiał działać szybko. Przesłuchiwany mógł w każdej chwili stracić przytomność. Miejsca Stach też nie był za bardzo pewien.

- Co zrobiłeś z Evą Peters? – zapytał.

- Z kim?

- Z Evą Peters, dziewczyną z Zinten.

- Skąd?

Zamiast powtórzyć, Stach jeszcze raz zakręcił ciałem. Tylko tak mógł poradzić sobie z gniewem, który ogarnął go w ciągu sekundy. Vladas Smetona zaczął znów jęczeć, nawet krzyknął. Wtedy detektyw chwycił go za ramiona, zatrzymał i rzekł:

- Słucham cię, Smetona. Nie spiesz się. Mamy czas. Właściwie to nawet całą noc.

Przypomniał sobie wcale nie tak odlege, odzkie historie, kiedy w ten wasnie niezbyt elegancki i niezbyt cywilizowany sposb wymusza informacji od roznych ludzi. Robi to najcześciej wtedy, gdy inne metody zawiody. I wowczas, gdy mia do czynienia z kim, kto nie zawahaby sie zrobi tego samego z Bergiem. Czu wyrzuty sumienia za kadym razem, kiedy delikwenta odcinano, koczc jego mek. Co wicej: obiecywa sobie, e by to ju ostatni raz. Ale potem pojawiao sie nowe zlecenie, a wraz z nim koniecznoc uzyskania informacji.

Kupiec rzei przez chwil. Potem nagle zamilk. Berg przestraszy sie, e co mu sie stao. Starajc sie przemoc uczucie wstretu, zbliy twarz do wiszcego. Usyszawszy miarowy, choc pytki oddech kupca, uderzy go niezbyt mocno w policzek.

- Co?! Co sie dzieje? - wyrzuci z siebie Vladas.

- Jeszcze nic. Ale zaczne sie, jeli nie powiesz mi, co zrobie z Ev Peters.

- A, z t Ev...

Czyli byo ich wicej - skonstatowa szybko Berg.

- Pamitam - cign Litwin - przyczepia sie jedna taka, kiedy jedziem z materiaami po miasteczkach rejencji. Czasami tak robi, eby nie wyjc z wprawy. Kiedy byem zwykym komiwojaerem. Nawet adna bya. Chciaa, ebym ja stamtd zabra, z tego grajdou. Tak, adna. Tylko czu od niej byo przypalonym tuszczem...

Stach zacisn obie donie w pieci. Tym razem udao mu sie nad sob zapanowac.

- Co dalej? Skup sie, Vladas.mierdziaa przypalonym tuszczem i co dalej?!

Ale kupiec milcza. By przytomny, Berg mia co do tego tego pewnoc, ale z jakiego powodu dopada go afazja. Ale i na to jego oprawca sie przygotowa. Detektyw schyli sie i zapa za kabk stojcego na podpordziu cebrzyka wypenionego wod. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Pyn zaszepa cicho w naczyniu.

- Co dalej, Vladas? - powtórzył, by być w zgodzie z własnym sumieniem; wciąż je miał, mimo wszystko. - Mów, co się stało z Evą Peters? Co z nią zrobiłeś?

Ale Smetona nie odpowiadał. Wtedy Stanisław Berg uznał, że nadszedł czas, aby przystąpić do kolejnej próby.

15

Doktor Johann C. Weber stał przed lustrem i wiązał krawat. Krawat był czarny, podobnie jak surduty, spodnie i kamizelka oraz wiszący w szafie płaszcz. Wszystko to składało się na odzienie pogrążonego w bólu wdowca, który jeszcze dzisiaj odprowadzi zmarłą żonę na cmentarz na Haberbergu.

Osobista tragedia nie zwalniała jednak od codziennych obowiązków, także zawodowych. Przez kilkanaście minut siedział przy biurku w swoim gabinecie i przeglądał dokumenty dotyczące prowadzonych spraw. Przeprowadził dwie rozmowy telefoniczne, co tych, do których dzwonił, doprowadzić musiało albo do szewskiej pasji, albo do łez. Była szósta rano! Nikt jednak nie protestował. Nie ośmieliliby się skarżyć, kiedy w słuchawce rozbrzmiewał głos samego Johanna C. Webera!

Kiedy wreszcie zawiązał krawat, ponownie usiadł za biurkiem.

- Śniadanie czeka, proszę pana - ogłosił parę chwilę później służący prawnika, stanąwszy w progu gabinetu.

- Nie będę dzisiaj jadł - odpowiedział Weber, nie podnosząc wzroku znad jakiegoś dokumentu, w którym pracowicie dziobał ołówkiem.

- Musi pan coś zjeść. Jeśli nie ma pan czasu, to mogę przynieść do gabinetu. Tak jak dwa dni temu...

Weber spojrział na famulusa. Oczywiście wdowca były podkrążone, prawdopodobnie przespał tej nocy zaledwie parę godzin, a może nawet nie zasnął w ogóle. Nic dziwnego. Już niedługo miał towarzyszyć zmarłej żonie w jej ostatniej drodze. Że też potrafił jeszcze wykrzesać z siebie tyle sił, by pracować...

- Nie. To nie o to chodzi - westchnął ciężko. - Po prostu będę dzisiaj pościł. Na znak żałoby.

Służący przełknął ślinę. Po chwili zaś zapytał przytomnie:

- A jutro? Też będzie pan pościł?

- Jeszcze się zastanowię.

- Tuszę, że pańska małżonka tego właśnie by chciała.

- Żebym nic nie jadł?

- Przeciwnie, żeby pan żył normalnie.

- Być może.

- A może chociaż kawy pan się napije?

- Podaj od razu dwie - usłyszał naraz za plecami.

Do środka tarabanił się jeden ze współpracowników Johanna C. Webera nazwiskiem Kosinski. W jednej ręce trzymał cylinder, w drugiej laskę i zwiniętą w rulon gazetę. Ubrany był, podobnie jak jego przełożony, na czarno. Weber skinął głową. Można było ów gest odczytać w dwojako, jako powitanie gościa i życzenie wypicia kawy, a nawet trojako, jeśli dodać do tego życzenie, by i gość się poczęstował. Służącemu nie pozostało nic innego, jak tylko odwrócić się i podążyć w stronę kuchni. Po pięciu minutach wniósł do gabinetu tacę z dwiema niebiesko-białymi porcelanowymi filiżankami Tielscha, a także należącymi do tej samej zastawy dzbankiem z kawą i mniejszym, do którego jak zwykle wlał podgrzaną, spienioną śmietankę.

Przy biurku trwała wytężona praca.

- Tę sprawę musimy potraktować bardzo rzetelnie. - Johann C. Weber podał podwładnemu kopertę. - Przejrzyj to.

- Dobrze, szefie - odpowiedział Kosinski, chowając papiery w zanadrze.

- Nie muszę chyba dodawać, że mamy mało czasu.

- Tak jest. Nie sądzę jednak, żeby się zorientował.

- To prawda. Musiałby najpierw wytrzeźwieć...

Kosinski sięgnął po filiżankę i mimo że napój był bardzo gorący, upił kilka łyków. Też niewiele spał tej nocy, ale z zupełnie innych

powodów niż jego pryncypał. Czuć było od niego przetrawionym alkoholem i tytoniowym dymem.

- Ogłoszenie zamieścili? - Weber spojrział na przyniesioną gazetę.

- Tak jest - odparł Kosinski.

- Sam zaniósłeś?

- Owszem.

- Teraz możesz przekazać te obowiązki, wiesz komu.

O czymś jeszcze przez kilka chwil szeptali, szeleściły kartki. Kilka spadło nawet na ziemię, jednak nikt się po nie nie schylał. Pewnie będzie musiał to zrobić służący, ale dopiero po pogrzebie. Wszyscy już bowiem wychodzili. Mieli odebrać trumnę ze szpitala lipnickiego, a stamtąd przewieźć ją do kościoła Świętej Trójcy. Zwykle zajmowała się tym firma pogrzebowa, ale doktor Weber postanowił, że robi to osobiście. I tym razem nikt nie oponował.

- Jak pan się czuje, szefie? - chciał wiedzieć Kosinski, kiedy obaj w westybulu zakładali cylindry.

- A jak mam się czuć... - odparł Weber, niemal nie otwierając przy tym ust.

Kosinski pomyślał jeszcze, że nie są to słowa, które licowałyby ze sławą takiego prawnika jak Weber. I że każdy sędzia na podobne dictum co najmniej zgromiłby stronę wzrokiem.

Zbliżała się siódma rano, kiedy ich powóz zatrzymał się na dziedzińcu szpitala. Karawan bez ozdób, którym przewieziono Gertrudę Weber z Gerdauen do Königsberga, już czekał. Cztery konie, tak jak wczoraj, nie miały na łbach czarnych kit. Na koźle brakowało stangreta; pewnie oczekiwał w środku. W nocy trumnę wnieśli do kostnicy opłaceni specjalnie pracownicy szpitala. Teraz mieli ją wynieść.

- Jak chcesz, możesz zostać - rzucił Johann C. Weber do pomagiera.

Kosinski poczuł, jak półcietnarowy kamień spadł mu z serca.

- Dziękuję.

Prawnik szparko zeskoczył na ziemię i pomaszerował w kierunku drzwi kostnicy. Dzieliło go od nich ledwo kilka kroków, gdy na progu pojawiła się postać w czerni. Weber rozpoznał stangreta. Mężczyzna był trupio blady. Na chwilę przed tym, jak ich spojrzenia się spotkały, rękawem otarł pot z czoła.

- Dzień dobry - przywitał się Johann.

Ale tamten nie odpowiedział. Spoglądał na idącego w jego kierunku człowieka, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

- Co się dzieje?! - zapytał prawnik.

To w mgnieniu oka otrzeźwiło wozaka. Wzdrygnął się, otworzył usta, jednak nie dobiegł z nich żaden dźwięk. Cofnął się o krok. Doktor zdjął z głowy cylinder, odsłaniając srogiego marsa na czole. Nie miał już wątpliwości, że wydarzyło się coś niespodziewanego. Może uszkodzili trumnę? Niby dębowa, solidna, robota najlepszego stolarza w Gerdauen, który wykonał trumny jeszcze dla rodziców Gerti. Ale przecież dla chcącego nic trudnego. Zwłaszcza dla polaczków.

Choć tak naprawdę nie sądził, żeby stało się coś, co mogłoby w jakikolwiek sposób zakłócić czy wręcz uniemożliwić zbliżającą się uroczystość pogrzebową, Johann C. Weber nie spuszczał ciężkiego spojrzenia ze stangreta. Efekt tego był taki, że twarz wozaka, jeszcze przed chwilą blada, teraz powoli zaczynała... zielenieć.

- Mów! - huknął prawnik.

- Pańska... pańska żona... - zdołał tylko powiedzieć, potem bowiem już tylko łapał powietrze, jakby go po długiej chwili wyciągnięto z wody.

Weber poczuł lodowaty dreszcz na plecach. Chwycił stangreta za klapy.

- Co się stało? - wycharczał. - Gadaj, kurwa!

- Nie wiem, nie wiem, jak to się mogło stać... - mężczyzna znów odzyskał dar mowy.

- Pańska żona zniknęła - z półmroku kostnicy dobiegł inny głos.

Prawnik odepchnął na bok wozaka i runął w chłodną czeluść. Z ciemnego przedsionka wypadł do głównego pomieszczenia, które było lepiej oświetlone. Zanim ujrzał tego, który przekazał mu hiobową, a jednocześnie nedorzeczną wieść, jego wzrok padł na trumnę. Leżała w tym samym miejscu, w którym umieszczono ją kilka godzin wcześniej, na kamiennym stole, po prawej stronie, blisko wejścia. Wieko, które wczoraj na oczach kilkunastu ludzi żałobnicy zabili gwoździami w kościele w Gerdauen, stało oparte o ścianę. Trumna była pusta.

Nie, coś takiego nie mogło się przecież wydarzyć. Może jeszcze śni, może to wszystko, włącznie z nagłą śmiercią Gertrudy jest tylko snem? Johann dałby wiele, żeby tak właśnie było. Żeby za chwilę obudził się z krzykiem, niechby i nawet zaszczaną koszulą...

- Wszystko zastałem właśnie tak, gdy przyszedłem tutaj o szóstej - powiedział pracownik szpitala, który wpuścił ich tutaj wczoraj w nocy za specjalną opłatą. Chyba nazywał się Blumke.

W pierwszym odruchu Johann C. Weber chciał go zabić. Po prostu. Gołymi pięściami. Może nawet od razu rzuciłby ścierwo na jeden z tych stołów, choć to i tak byłoby za dobre miejsce. Szybko się jednak opanował, przypomniał sobie, kim jest. Nie warto.

- Nie wyjdiesz pan z mamra do usranej śmierci, obiecuję - powiedział drżącym głosem, celując główką laski w pierś Blumkego.

Wydawało się, że nic bardziej przerażającego nie może się już stać. A jednak! Oto rozległo się ciche stęknienie. Po nim drugie, sporo głośniejsze. Jasne było, że dźwięku tego nie wydał ani Weber, ani tym bardziej pracownik szpitala, który bał się nawet oddychać. Nie był to też stangret karawanu, ów przeżywał bowiem w tej chwili katusze, zdając relację z wydarzeń Kosinskiemu na dziedzińcu szpitala.

Po chwili poznali źródło dźwięków, dwóch westchnień, a także... głośniego pierdnięcia. Jeden z kształtów na kamiennym stole poruszył się. Nie, wzrok ich nie mylił - ciało przykryte prześcieradłem nagle ożyło! Wtedy Blumke przyszedł do siebie. W kilku krokach zbliżył się do stołu i gwałtownie szarpnął za róg materiału. Oczom obecnych

ukazał się kompletnie ubrany i, co najdziwniejsze, żywy, choć niezbyt świeżo wyglądający osobnik.

- To teraz ciebie dymają, Katschmarek? - Blumke aż chwycił się za głowę.

16

Stanisław Berg dałby wiele za małą filiżankę czarnej kawy. W ciągu nocy, która właśnie przeszła do historii, spał może z kwadrans. I to nie w łóżku, ale na jakimś cuchnącym worku, o którego zawartości wolał nie myśleć. Zdrzemnął się zresztą przypadkiem; po prostu przyłożył głowę do twardej ściany i na kilka chwil stracił świadomość. Mogli go wtedy pokroić na plasterki.

Nie żałował jednak straconej nocy, nie żałował ani jednej chwili. Berg miał bowiem złoczyńcę. Vladas Smetona przyznał się do winy. I to do o wiele gorszych rzeczy, niż Stach podejrzewał. Nie spodziewał się, że włoży do cebrzyka z zimną wodą głowę człowieka, który mógł mieć na sumieniu Evę Peters, potrzyma przez chwil parę, aż wiszące ciało zacznie lekko drżeć, a wyjmie... No właśnie.

Za pięć szósta rano wysiadł z dorożki przed gmachem Prezydium policji.

- Niech pan poczeka - rzucił przez ramię do fiakra.

- Nigdzie mi się nie spieszy - odrzekł wozak, by ciszej dodać: - Szczególnie z takim pakunkiem...

Stach wszedł do środka i skierował kroki w stronę okienka, za którym dyżurował policjant. Widział go po raz pierwszy.

- Dzień dobry - przywitał się, odchrząknawszy.

Wcześniej wiele razy wyobrażał sobie tę chwilę, zastanawiał się, jak powinna wyglądać. Układał w duchu kolejne zdania, które wypowie, by zostać szybko zrozumianym. I bezbłędnie. Wiedział, że mogą go wziąć za wariata, w pogotowiu trzymał więc licencję prywatnego detektywa. Zastanawiał się też, czy nie poprosić od razu o wezwanie kogoś wyższego stopniem, oficera, może nawet samego inspektora Wincklera, byłego przełożonego Schatzkiego. To, co miał

do przekazania, nie było wszak ani skargą na pogryzienie przez agresywnego psa, ani doniesieniem na sąsiada, który hałasuje po nocach, ani nawet zgłoszeniem zaginięcia bliskiej osoby.

Dyżurny policjant nie zdążył odpowiedzieć na pozdrowienie, bowiem w tym momencie odezwał się telefon. Mundurowy, zapewne też półprzytomny po nocce, odgiął tubkę, mruknął coś, pociągnął nosem, a następnie przez dłuższą chwilę słuchał, co ma do powiedzenia osoba po drugiej stronie.

Stanisław Berg potarł piekące oczy.

Jeszcze raz przywołał w duchu chwilę, kiedy usłyszał confiteor. Nie, nie przyśniło mu się to. Vladas Smetona sprzedawał nie tylko jedwab z Francji, Włoch i dalekich Chin, wciskał babom w okolicznych wsiach i miasteczkach perkal i bawełnę. Dostrzegł również źródło zarobku w tych, których ciała okrywały sprzedawane przez niego tkaniny. Był to proceder stary jak świat...

Vladas Smetona handlował żywym towarem.

Zauroczone przystojnym i obrotnym kupcem młode kobiety, które poznawał na prowincji, wyjeżdżały z nim, porzucając dotychczasowe życie, bliskich i codzienne obowiązki. Nie wiadomo, co im obiecywał ani ile ich było. Wyciągnięcie tego ze Smetony było już zadaniem tutejszych śledczych, nie Berga. Za kratki powinno też trafić więcej osób, które stręczyły młode, nieświadome niczego dziewczyny. Na niektórych członków szajki trzeba było poczekać. Statki, na których pływali, prędzej czy później zawiną jednak do tutejszego portu. Kobiety opuszczały Königsberg drogą morską.

Dokąd docierały? Vladas Smetona klął się na wszystkie świętości, że nie wiedział. I że jego rola kończyła się, kiedy otumaniona od alkoholu i opiatów dziewczyna prowadzona była po trapie na statek. Czy towar należał do cennych? Stach mógł sobie tylko wyobrażać, nigdy wcześniej nie spotkał się bowiem z tematem handlu kobietami.

No i pozostała jeszcze najważniejsza sprawa. Eva Peters. Dlaczego zginęła? Czy zdołała przejrzeć prawdziwe zamiary człowieka, któremu zaufała i dla którego porzuciła wcześniejsze

życie? Jeśli tak, to Vladas zabił ją, żeby nie doniosła na niego policji. Logiczne. A jeśli stało się to przypadkiem? I gdzie? Nad Zamkowym Stawem czy na jednym ze statków? Potem ciało zatopiono gdzie indziej, aby odciągnąć uwagę od portu...

- Tak, tak. Rozumiem. Zaraz wyślemy ludzi - mówił tymczasem do tubki policjant; na początku jeszcze rzucał w stronę oczekującego interesanta spojrzenia pod tytułem „Nie poradzę, panie kochany, nie rozdwoję się”, ale potem poświęcił już całą uwagę rozmowie.

Stanisław Berg odszedł kilka kroków od dyżurki. Westybul był o tej porze niemal pusty, jedynie z górnych pięter dochodziły jakieś głosy. Zbliżył się do okienka, które wychodziło na ulicę. Wtedy serce zatrzymało mu się w piersiach. Dorożka, którą przywiózł tu związanego jak baleron złoczyńcę, odjeżdżała. Można było wręcz powiedzieć, że uciekała. Wozak stał na koźle, okładał zad konia batem, wykrzykiwał, a przede wszystkim co raz oglądał się przez ramię.

- Zabiję cię! - sapnął Stach, rzucając się w stronę drzwi wyjściowych.

Zaraz za progiem omal nie potknął się o leżący na ziemi kształt. Smetona. Wyglądało na to, że dorożkarz po prostu nie wytrzymał napięcia i postanowił pozbyć się kłopotu, nawet za cenę utraty pieniędzy za kurs i kilkuminutowy postój. Nad leżącym pochylali się już dwaj umundurowani policjanci, którzy dopiero wchodzili do budynku. W jednej chwili ich spojrzenia skupiły się na Bergu. Ten w ułamku sekundy zdał sobie sprawę ze swojego położenia. Smetona miał jeszcze mokre włosy po niedawnej i niechcianej kąpieli. Torturze. Na szczęście miał też w gębie knebel, choć w każdej chwili któryś z mundurowych mógł mu go wyjąć. A potem sięgnąć po szablę...

- Nazywam się Berg, jestem prywatnym detektywem. Ująłem tego człowieka. Przyznał się do zbrodni - wyrzucił z siebie z szybkością maszyny do szycia.

Na szczęście to i okazanie dokumentów wystarczyło. We trzech zawlekli związanego Smetonę do środka. W tym samym momencie po

schodach zszedł sam inspektor Franz Winckler. Berg czuł, że jest blisko sukcesu.

- Nazywam się... - zaczął, ale zaraz przerwał.

Były szef Schatzkiego zdawał się nie widzieć tego, co się dzieje. Podszedł szybkim krokiem do dyżurnego, który na jego widok poderwał się z siedzenia.

- Musimy zebrać ludzi! - wyrzucili z siebie obydwaj jednocześnie.

- Już pan wie? - zdziwił się Winckler. - Przecież dopiero co do mnie dzwoniło.

- Ja też miałem przed chwilą zgłoszenie, panie inspektorze - wyjaśnił dyżurny.

- O ukradzionym z kostnicy ciele.

- Jakim ciele?

- Żony Webera.

- Nie. Wiem za to o kolejnym trupie znalezionym w wodzie.

Ostatnie zdanie spowodowało, że pod Bergiem ugięły się nogi. Gdzieś w oddali rozległ się huk. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że zatrzaśnięto drzwi celi gdzieś w kazamatach tego ponurego gmachu. Spojrzał na leżącego u jego stóp Smetonę. W tej samej chwili zauważył go Winckler.

- Kim jesteście? - zapytał.

Pewność siebie, która nie opuszczała Stacha od kilku godzin, ulotniła się w ciągu jednej chwili. W pewnym momencie pomyślał nawet, że może lepiej by było, gdyby to on leżał teraz na zimnej posadzce, skrępowany jak wieprz, z kneblem w gębie.

Ale stary policjant nie powtórzył pytania. W ogóle chyba stracił zainteresowanie dziwną parą nieznanymi. W jednej chwili wokół nich zaroilo się od ludzi. Z góry zbiegali policjanci w mundurach i mężczyźni w przyciasnych marynarkach i melonikach, ani chybi tajniacy. Słyszał tupanie buciorów i pokrzykiwania. Brzęczały szable. Ktoś wydawał komendy, co przypominało szczekanie psa. Winckler podpisywał jakieś papiery, które podsuwano mu w biegu,

półgłosem rozmawiał z jakimiś ludźmi. Całe zamieszanie nie trwało nawet minuty.

W pewnej chwili inspektor spojrział pod nogi, gdzie wciąż leżał, niczym myśliwskie trofeum, Vladas Smetona. W przeciwieństwie do odstrzelonego jelenia czy dzika żył jeszcze, choć kilka godzin wcześniej niewiele brakowało, a Berg nie opuściłby cebrzyka z wodą. Wcale nie przez niewyspanie.

- Do celi z nim - zakomenderował Winckler i żeby wszystko było jasne, wskazał na handlarza.

Następnie posłał Stachowi pocrzepiające spojrzenie i rzekł:

- Pogadamy później, mój panie. Teraz, jak pan widzi, mamy tu niezłą kapiel.

Berg skinął głową. I tak nie śmiałyby w tej chwili spytać tego człowieka, czy Roch Ciupa, złodziej chleba, jest mu naprawdę niezbędny.

17

Wieść, że pod Mostem Drewnianym, położonym na wschód od Knipawy, zauważono topielicę, szybko rozniosła się po okolicy. Kto nie był w tym momencie zajęty albo nie walczył z kacem, kierował kroki nad rzekę, by na własne oczy przekonać się, czy to prawda. Niestraszny był nikomu ani chłód, ani wczesna pora. Być może nawet poczyniono w tym temacie kilka zakładów. Funkcjonariusze, którzy kilkanaście minut wcześniej zebrali się tłumnie w Prezydium policji, mieli więc aż nadto roboty.

- Nie pchać się! Krok w tył, bo pójdziecie do kozy! - powtarzali niezmordowanie.

Ale prośby i groźby działały krótko. Każdy chciał zobaczyć, co dzieje się niżej, w cieniu mostu. Ujrzeć ten moment, kiedy na jedną z dwóch łódek, które znajdowały się na wodzie, siedzący w nich mężczyźni wciągną ciało. I czy będzie nagie, co najbardziej chyba interesowało zgromadzonych w kilku grupkach uczniów pobliskiego gimnazjum realnego, ubranych w granatowe mundurki i okrągłe czapki.

Oddzielną grupkę stanowili mężczyźni ze znudzonymi minami. Jakby nic na tym świecie nie było już w stanie ich zdziwić, poruszyć czy zachwycić. Trzymali w rękach notatniki i coś pisali. Wymieniali między sobą uwagi. Któryś się nawet zaśmiał. Obok ustawiono na trójnogu aparat fotograficzny; młody mężczyzna w kapeluszu zsuniętym na tył głowy grzebał w drewnianym pudełku. Było jasne, że jutro mieszkańcy miasta dowiedzą o wszystkim z miejscowych gazet. A może nawet doniesie o znalezisku któraś z popołudniówek.

- Rozejść się, ale już! Nie będę dwa razy powtarzał! - gardłował Schulz, który właśnie przybył na miejsce zdarzenia i jął zaprowadzać

swoje porządki; w ostatnim czasie bardzo brakowało mu tego zajęcia.

I rzeczywiście, kilka osób, które wiedziały, do czego jest zdolny, wycofało się rakiem. Byli i tacy, którzy w ogóle odeszli. Bo i czy rzeka Pregel, pradawna Vatrulia, ciągle nie pochłaniała istnień ludzkich? Raz był to zapijaczony marynarz, który nie zdołał wrócić na swój statek, kiedy indziej ktoś, kto nie chciał lub nie zdążył oddać długu zaciągniętego u nieodpowiednich ludzi Martwych kotów i psów nie liczył już nikt.

Rad z siły perswazji, jaką miał, Schulz wkroczył na most, na którym wstrzymano ruch, i wychylił się przez balustradę. Stojący na bulwarze ludzie nie chcieli już oglądać trupa; marzyło im się za to, by znany z nadgorliwości stróż porządku... wychylił się za bardzo i runął do wody zakutym łbem do przodu. Najlepiej, żeby na jaki kamień trafił. Byłoby co opowiadać przy wigilijnym stole!

- Co pan o tym sądzi? - Schulz usłyszał nad sobą głos Klause Tyla.

Na palcach jednej ręki można było policzyć wypadki, kiedy ci dwaj zamienili ze sobą więcej niż jedno zdanie. Schulz miał Tyla za wieśniaka, bez pojęcia o wielkim mieście, który swoje przeniesienie zawdzięczał cudzej protekcji. Z kolei Tyl, mimo że w Prezydium pracował krótko, zdążył już usłyszeć to i owo na temat tępego służbisty o ciężkiej ręce. Teraz jednak wszystko to było nieważne, wyglądało bowiem na to, że będą musieli razem pracować. Przynajmniej chwilowo.

- Na moje to samobójstwo - rzekł Schulz. - Porzucona kobieta zorientowała się, że jest w ciąży. Wolą umrzeć niż spędzić płód, zapomnieć o kochanku i zacząć życie od nowa. Znam ja wiele takich przypadków.

- Uhm... - mruknął Klaus.

Schulz wziął to za zachętę i dalej snuł swe teorie.

- Rzuciła się do wody, może nawet na wysokości Sackheim, a nurt poniósł ciało aż tutaj. Mogło się zatrzymać na izbicach. - Wskazał wystające z wody, drewniane konstrukcje, których zadaniem była

ochrona mostu przed krą. - Pamiętam nawet jeden taki przypadek. Topielec wyglądał, jakby go ukrzyżowano. Słowo daję!

Tyl nijak tego nie skomentował.

- A pan co uważa? - Schulz spojrział zezem na nowego.

- Że to kolejna ofiara szaleńca, który utopił Evę Peters w Zamkowym Stawie - odparł bez namysłu Tyl, oblizując wargi.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- Czuję to.

Ja za to czuję cebulę - pomyślał Schulz, krzywiąc się.

- Słyszałem, że to też było samobójstwo - rzekł po chwili.

- Jeszcze nad tym pracujemy.

Przez chwilę milczeli. Policjanci na łódkach nadal walczyli z nurtem rzeki. Nie było widać zwłok. Może wysliznęły się spod przęsła i popłynęły dalej?

- Kto ją w ogóle znalazł? - zapytał Schulz.

- Rybak, który wcześniej rano płynął na morze - odrzekł Tyl. - W pierwszej chwili coś mu tylko błysnęło. Coś dużego i czarno-białego. Myślał nawet, że to jakiś spora ryba, ale ostatniej chwili dostrzegł ludzką głowę. Rozpoznał kobietę.

- Ciekawym, jak mu się to udało w tak krótkim czasie... - mruknął z przekąsem Schulz, ale nowy puścił tę uwagę mimo uszu.

- Zatrzymał się na chwilę w porcie, gdzie powiedział o swoich obawach, a pracownicy portu powiadomili nas. Myślę, że za chwilę będziemy wiedzieć więcej - dokończył Tyl.

Jakby na potwierdzenie jego słów spod mostu dobiegły ich nawoływania. Policjanci wychylili się przez balustradę. A potem, również w tej samej chwili, spojrzeli po sobie. Każdy rad był w tym momencie zobaczyć głupią minę drugiego. Choć przecie o nic się nie zakładali, tym razem jednak można było bez wątpienia mówić o remisie.

18

Gdy Schulz i Tyl śledzili z uwagą, jak z rzeki wydobywane są zwłoki, ich starszy kolega po fachu, poczciwy wachtmeister Hoffman, liczył, ile miesięcy zostało mu jeszcze do dnia, kiedy będzie mógł przejść w stan spoczynku. Dobrze wiedział, co będzie robił po tym, jak zdejmie mundur i odwiesi na gwóźdź szablę, swą wierną towarzyszkę, która zawsze dodawała mu animuszu i splendoru. Przede wszystkim zajmie się wnukiem, którym przed niespełną miesiącem obdarzyła go jedyna córka. Cieszył się, że urodził się chłopak, miał bowiem jeszcze wystarczająco sił, by wiele go nauczyć. Świetnie czuł się w roli dziadka. Drugą rzeczą, której planował oddać się po zakończeniu służby, była ukochana hodowla pszczoł. Miał w ogrodzie przy domu pięć uli, którymi opiekował się z pasją; ich liczbę pragnął wkrótce podwoić.

Dzięki tym myślom wachtmeister Hoffman potrafił trzymać nerwy na wodzy. Inny na jego miejscu pewnie już dawno by wybuchnął, może nawet rzucił czapkę o ziemię, klnąc przy tym na czym świat stoi.

Kurwa mać! – Choć zrobił to tylko w duchu, to na chwilę, krótką, bo krótką, ale przyniosło mu to ulgę.

Oto bowiem po raz drugi w ciągu krótkiego czasu Hoffman został wysłany do szpitala lipnickiego. Nie po to, by asystować przy transporcie zwłok do lub z kostnicy, ale dlatego, że wydarzyło się tam coś nietypowego. Po raz kolejny spotkał tam nekrofila nazwiskiem Katschmarek. Tym razem jednak wszystko wyglądało zupełnie inaczej, niż można by było przypuszczać.

– Jeszcze raz, Katschmarek, tylko spokojnie. – Policjant kilka razy postukał ołówkiem w notes, choć wolałby w tej chwili trzymać

w palcach papierosa. – Jak to było? Otworzyłeś w nocy drzwi kostnicy, wszedłeś do środka i...

Franz Katschmarek siedział na ziemi, oparty plecami o mur kostnicy. Trząsł się cały, jakby go przed chwilę polano zimną wodą.

– No wszedłem, przecież mówiłem... – wysapał.

– Zrobiłeś to, mimo że już raz cię złapaliśmy – Hoffman nie zdołał się powstrzymać i uderzył w moralizujący ton.

Nekrofil wzdrygnął się, jakby znów chluśnięto mu w twarz. Z trudem łapał powietrze. Hoffman nie był pewien, ile w tym wystudiuowanej pozy, a ile prawdziwych emocji.

– Oddaj klucz. – Wyciągnął rękę.

– Nie mam. Zabrali mi.

– Kto?

– Ci, co na mnie napadli, zaraz po tym, jak wszedłem do środka.

– Skąd wiesz, że było ich kilku?

– Nie wiem. Musiało być, bo przecież położyli mnie nieprzytomnego na stole.

Wachtmeister Hoffman westchnął ciężko. Wypadałoby przeszukać tego gagatka, żeby sprawdzić, czy nie kłamie w sprawie klucza. Sam jednak tego nie robi. Brzydził się. Każe podwładnemu, kiedy tylko nadejdą posiłki – sprawa Franza Katschmarka nie była jedyną, która ściągnęła go tego przedpołudnia do szpitala.

Drugą, o wiele poważniejszą, było zniknięcie ciała. W nocy ktoś wyciągnął je z trumny zabitej gwoździami i pozostawionej w kostnicy tylko na kilka godzin. Najgorsze było jednak to, że było to ciało żony doktora Johanna C. Webera, wybitnego członka tutejszej palestry. Wachtmeister podczas swojej wieloletniej pracy w policji słyszał o tym człowieku wiele razy. Nigdy jednak nie spotkał go osobiście. Aż do dzisiaj. Że też stało się to akurat teraz, kiedy Hoffman już powoli szykował się do przejścia na zasłużoną emeryturę...

Wiedział, że w tym przypadku policja nie ponosi za nic winy, ale zdawał sobie sprawę, że musi się mieć na baczności. Ważyć każde słowo w rozmowie, która z pewnością go czeka. Każde! Mimo że

Weber nie zaszczycił go jak na razie nawet prostym, zwyczajowym „Dzień dobry”.

Mniej więcej kwadrans temu minęli się w drzwiach kostnicy. Właściwie to niemal otarli się ramionami. Znany prawnik miał twarz czerwoną z gniewu. A może od płaczu? Coś takiego mogło złamać najtwardszych. Szybkim krokiem, pochylony, przemierzył szpitalny dziedziniec i wszedł do powozu. Huknęły zamykane drzwiczki, aż konie nerwowo zastukały kopytami o bruk dziedzińca. Od tego czasu stamtąd nie wychodził.

- Posłuchaj mnie, Katschmarek - zaczął naciskać policjant po krótkiej przerwie. - Czy trumna była otwarta, gdy w nocy wszedłeś do kostnicy?

- Co? - Nekrofil zdawał się wyrwany ze snu; nie było zresztą wykluczone, że mu się przysnęło, miał wszak za sobą bardzo ciężką noc.

Hoffman zmełł w ustach kolejne ciężkie przekleństwo i przewrócił oczami. Westchnął. Pomyślał o wnuczku. Już zbierał się w sobie, by powtórzyć pytanie spokojnym głosem, gdy nagle Katschmarek poderwał się z ziemi.

- Nie! Była zamknięta! - zawołał. - Myślałem, że jest pusta, że dopiero rano kogoś do niej włożą. Może tę osobę, którą przywieźli wieczorem. Zacząłem jej szukać. Ale wtedy coś ciężkiego nagle spadło mi na głowę. Kiedy ocknąłem się na stole, było już jasno. Nic więcej nie pamiętam, jak mi Bóg miły! Ja niczego złego nie zrobiłem.

- Ale chciałeś.

- Ale nie zrobiłem. Niech mnie pan nie zamyka, proszę...

Wachtmeister Hoffman zawsze w jednaki sposób reagował na takie czy podobne prośby - ściągał srogo brwi, wypinał do przodu pierś, a czasami także kładł powoli prawą dłoń na głównej szabli. Nie miało to wpływu na to, co później powiedział: mógł zarówno wrzucić złapanego na ulicy opryszka do więziennej karetki, jak i puścić go wolno, zastrzegając, że to już ostatni raz. Bywało, że decyzję

podejmował w ostatniej chwili, pod wpływem impulsu. Ale zboczeńca planował zamknąć. Drugiej szansy nie zmarnuje.

Na szpitalny dziedziniec wjechał bowiem powóz. W pierwszej chwili wachtmeister pomyślał, że to obiecane posiłki, a wśród nich ów nieszczęśnik, który dostanie rozkaz obmacania Katschmarka w poszukiwaniu klucza do kostnicy. Ale to nie były posiłki. Z kozła zeskoczyło chyżo dwóch ubranych na czarno mężczyzn. Szybko znaleźli się przy tylnej części pojazdu.

- Kolejna? - jęknął Blumke, który pojawił się w drzwiach kostnicy.

Hoffman przypomniał sobie o drugiej sprawie, którą tego poranka i przedpołudnia zajmowali się stróże prawa: sprawie topielicy. Jego domysły potwierdziły się po chwili. Na dziedzińcu pojawił się Klaus Tyl; najwyraźniej policyjna berlina, którą się poruszał, została na ulicy.

Na widok starszego stopniem, choć tak naprawdę żółtodzioba, który dopiero zaczynał poznawać miasto, zasalutował. Tyl skinął mu głową i skierował kroki w stronę powozu, z którego właśnie wyciągano nosze. Leżący na nich kształt przykryto białym prześcieradłem. Całkiem zwyczajny obrazek w miejscu takim jak to.

- Ostrożnie, panowie - apelował Klaus Tyl, wyraźnie przejęty.

Ruszyli z noszami przez plac. Gdy mijali powóz, w którym od dłuższego czasu siedział Johann C. Weber, spod prześcieradła wysunęła się ręka zmarłej. W pierwszym odruchu Tyl chciał ją umieścić z powrotem na swoim miejscu, ale się cofnął. Zrobił to dopiero Blumke, który spokojnie oczekiwał zwłok. Jeszcze, bo po tym, co stało się minionej nocy, nie miał już złudzeń, jaki czekał go los.

- Połóżcie tam tę nieszczęsną istotę. - Wskazał na wolny stół, pierwszy po lewej.

Gdy uczynili zadość poleceniu, zbliżył się do zwłok. Za nim stanęli Klaus Tyl i Hoffman. Obaj zdjęli nakrycia głowy.

- To kobieta wyłowiona pod Drewnianym Mostem - poinformował ten pierwszy niemalże uroczystym tonem.

Za policjantami czał się już Franz Katschmarek, który zamiast skorzystać z okazji i dać drapaka, znów został pokonany przez swe ciągoty; za nim zaś ci dwaj, którzy przynieśli nosze. Wszyscy zerkali na Blumkego, który wciąż był najbliżej ciała. Ten zaś, zamiast przegonić ich wszystkich, a przynajmniej połowę, zbliżył dłonie do miejsca, gdzie biała górka płótna była największa, chwycił za krawędź i powoli pociągnął. Oczom obecnych, niektórym po raz kolejny, ukazała się twarz zmarłej. Skóra miała woskowy kolor. W kącikach między zamkniętymi powiekami a oczodołami lśniły, niczym łyzy, kropelki wody. Widać było nagie ramiona z wystającymi kośćmi i część dekoltu.

I nie wiadomo, jak długo Blumke stałby tam jeszcze, gdyby nagle coś nie spadło mu na kark. Nie był to jednak zniecierpliwiony Tyl, któremu spieszyło się do pisania raportów, ani Franz Katschmarek, który poczuł się zazdrosny. Nie. W mgnieniu oka przepchała się bowiem przez ciżbę jeszcze jedna osoba dramatu. Doktor Johann C. Weber.

- Łapy precz! - ryknął, odsuwając gospodarza kostnicy z takim impetem, że ten zatrzymał się na sąsiednim stole. Szczęściem nie upadł.

- Co pan?! - zawołał Blumke, w jednej chwili odzyskawszy kontenans.

- Łapy precz, powiedziałem - wycedził prawnik przez zaciśnięte zęby i powoli, niemal z pietyzmem zakrył prześcieradłem twarz kobiety.

Wariat jakiś - przeszło przez myśl Blumkemu.

Wtedy Johann C. Weber wypowiedział pięć krótkich słów, na które wszyscy zgromadzeni w kostnicy nieświadomie czekali.

- To jest przecież moja żona...

19

O części wydarzeń, do których doszło tego październikowego przedpołudnia, Stanisław Berg dowiedział się, wertując nazajutrz strony „Königer Zeitung”. Czego zaś nie opisali i złośliwie nie skomentowali dziennikarze, dopowiedzieli klienci trafiki Samuela Cohena. Na ulicę i ludzkie języki zawsze można było liczyć, a że każdy zawsze coś od siebie dodał, to już co innego. Gdyby jeszcze żyli, lubujący się w okropnościach bracia Grimm mogliby się wiele nauczyć.

- Na moje to ktoś odegrał się na Weberze - spekulował starszy pan, amator tytoniu śliwkowego, którego Berg widywał zawsze we wtorki i piątki.

- To znaczy?

Stali oparci nonszalancko o sklepowy kontuar, za którym jak zwykle krzątał się właściciel sklepu, od czasu do czasu dorzucając jakąś gorzką uwagę. Tego dnia przeważały gorzkie. Cohen nie mógł się pogodzić, że jego ukochane miasto staje się widownią takich rzeczy. Żeby wykraść z kostnicy ciało kobiety i rzucić je do rzeki? Toż to się nie mieści w głowie!

- Sodoma i Gomora. Sodoma i Gomora - mamrotał pod nosem.

Tymczasem amator śliwkowego tytoniu snuł swoje teorie.

- A mało to spraw w sądzie wygrał ten Weber? Mało placów, kamienic, spichrzów czy statków odzyskał, mało testamentów obalił, co? Niewiele trzeba, żeby się w tym mieście złym ludziom narazić.

Inny klient, który pracował w miejskim ratuszu i który na Victoriastrasse wstępował z kolei po cygara, zdał drobiazgową relację z tego, co wydarzyło się, kiedy Johann C. Weber zdołał się opanować. Otóż znany prawnik najpierw wyrzucił wszystkich z kostnicy, nawet

policjantów, po czym posłał służącego do sklepu po suknię. Ta bowiem, w którą Gertrudę ubrano jeszcze w Gardeuden, do niczego się nie nadawała.

- Gdy mu już suknię dostarczono - ciągnął ze swadą palacz cygar - uświadomił sobie, że zmarła nie ma rajstop ani butów, więc umyślny pobiegł i po to. A jak już to wszystko dostał, okazało się, że nie jest w stanie sam ubrać sztywnego trupa. Spieszył się, bo przecież w kościele Świętej Trójcy czekał już ksiądz i żałobnicy. Chcąc nie chcąc, musiał prosić o pomoc pracowników kostnicy, którzy mieli wprawę i swoje sposoby.

- Pewnie łamią gnaty. - Czarne myśli nie opuszczały Samuela Cohena.

- Co też pan opowiada - rzekł niegłęboko Berg.

- Jestem tego pewien! Ja tam bym w życiu nie oddał mojej żony, żeby ją kto obcy ubierał po śmierci - zachnął się.

Co do jednego byli zgodni: historia, która spotkała Johanna C. Webera, nie mieściła się w żadnych kategoriach. Ktoś wycelował w czuły punkt i uderzył ze wszystkich sił.

- Ledwo jednak prawnikowi udało się uporać z ponownym ubraniem nieboszczki, do kostnicy weszła policja - perorował dalej miłośnik cygar. - Okazało się bowiem, że konieczne są dalsze czynności śledcze, włącznie z sekcją zwłok. Na te słowa Webera ponoć omal nie rozsadziło od środka. Mało brakowało, a rzuciłby się z pięściami na mundurowych. Na szczęście do szpitala lipnickiego dotarł inspektor Winckler, który zakończył spór. Pogrzeb odbył się tylko z dwugodzinnym opóźnieniem. Ludzi przyszło tyle, że nie zmieścili się w kościele. Gdy trumna była już przy grobowcu, koniec konduktu ciągnął się jeszcze na ulicy!

- Jak to? - zdziwił się Cohen, który ścierał kurz z fajek.

- To proste. Każdy był wielce ciekaw, jak wygląda człowiek, któremu zrobiono taki szmonces! - wyjaśnił ze spokojem miłośnik cygar.

- Sodoma i Gomora. Sodoma i Gomora...

Gdy urzędnik sobie poszedł, zostali sami. Wspomnienie nazwiska szefa wydziału zabójstw policji sprawiło, że Stach wrócił myślami do swojej sprawy. Owszem, nieoczekiwany podarunek w postaci związanego i półprzytomnego ze zmęczenia i strachu Vladasa Smetony policja przyjęła z wdzięcznością. Handlarz tkanin został zaprowadzony do celi. Stanisław Berg podążył zaś za policjantem, by zeznawać. Właściwie to powlókł się z niechęcią. Smetona nie mógł przecież tej nocy utopić nikogo w rzece, bo sam był topiony. W cebrzyku. Oczywiście Stach nie przyznał się, w jaki sposób wydobył zeznania. Zapytany o to, odrzekł, że stało się to po kilku głębszych, on zaś nie mógł przejść nad tym do porządku dziennego. Dlatego gdy Vladas miał chwilę słabości, Berg pojmał go, by o brzasku oddać w ręce sprawiedliwości.

Policjant sumiennie wszystko zanotował, następnie podsunął Stachowi do podpisu. Tyle. I jeszcze podziękował za obywatelską postawę, mimo że Berg był obcokrajowcem, poddanym cara, a nie cesarza Wilhelma II. A Stach bił się z myślami. Wiedział, że to nie koniec. Że nie po to szarpał się ze Smetoną, aby wracać z pustymi rękami.

- Chodziło o to, by zapytać o zdrowie dobrego znajomego, który przebywał pod kluczem od dwóch dni przez głupotę. Po prostu zabrakło mu paru fenigów na bochenek chleba - rzekł Stach do Cohena.

- Ładnie pan to ujął - ocenił sklepikarz.

Berg westchnął.

- Tylko co z tego? Policjant kazał mi poczekać, wbiegł po schodach na górę. Pięć, może sześć minut później ujrzałem człowieka, który miał mi pomóc. Próbowałem wyczytać cokolwiek z wyrazu jego twarzy. Na pierwszy rzut oka uznałem, że jest nieźle!

- Tuszę, że jednak nie było...

- Tylko rozłożył ręce i powiedział: „Nie mogę panu pomóc, bo... nikogo takiego u nas nie ma. Jestem pewien, sprawdzałem dwa razy

i pytałem kolegów. Musiało się panu coś pomylić. Jeszcze raz dziękuję więc za współpracę i do widzenia”.

- Może znajdzie pan sobie nowego pomocnika - rzekł nieśmiało Cohen, przypatrując się pod światło trzymanej w ręku popielnicy ze rżniętego grubo szkła.

- Żadnego nie miałem prócz tego jednego.

- A ten mały Oskar?

- Dzieci nie liczę. Poza tym one powinny się uczyć, a nie taplać w brudach dorosłych.

Na dłuższą chwilę zapanowało milczenie. Przerwał je dopiero dźwięk dzwonka przy drzwiach. Do trafiki weszli kobieta i mężczyzna. Nieczęsto się zdarzało, aby próg tego przybytku przekraczała niewiasta. Jeśli już, to najczęściej w okolicach świąt Bożego Narodzenia, kiedy trzeba było pomyśleć o prezentach dla bliskich. Zapracowane gospodynie domowe, które w porę o to nie zadbały, wpadały wówczas w popłoch. W takich wypadkach najlepszym wyjściem było odwiedzić właśnie trafikę, by tam kupić coś słubnemu. No, chyba że nie palił.

Widok pary zdarzał się w tym miejscu jeszcze rzadziej. Każdy mężczyzna potrafił wszak sam trafić na Victoriastrasse czy w każde inne miejsce, w którym oferowano podobny towar. Nie potrzebował niańki.

- Dzień dobry, słucham państwa? - odezwał się Samuel Cohen, odłożywszy ostrożnie popielnicę na półkę.

Stach obrzucił tych dwoje spojrzeniem. Miał wrażenie, że już ich gdzieś widział. I to całkiem niedawno. Że tak jest, potwierdziło słowa mężczyzny.

- Dzień dobry. Ale my do pana detektywa - rzekł z przepaszającym uśmiechem mężczyzna.

Stach wyprostował się i zdjął łokieć z kontuaru.

- Słucham państwa?

- Moje nazwisko Krautter, przyjechaliśmy z żoną z Insterburga. Widzieliśmy się niedawno przed gmachem Prezydium policji. Może

pan sobie przypomina... - zawiesił głos.

Chwilę później w sukurs przyszła mu żona:

- Chcielibyśmy prosić, aby pomógł nam pan odszukać córkę.



KSIĘGA TRZECIA

NA DNIĘ

1

Oskar Radtke niespiesznym krokiem zbliżył się do okna i odchylił portierę. Za dawno niemytą, pokrytą liszczami szybą widać było zakole rzeki, statki różnej wielkości, powozy na nabrzeżu i uwijających się wszędzie ludzi, którzy z tej odległości przypominali mrówki. Przygięci do ziemi pod ciężarem worków, stąpali po wąskich, rozchybotanych trapach, Oskar przyglądał się temu wszystkiemu z góry. Mógł się śmiać głośno, szydzić. Jego jednak naszło na refleksje.

Czy tak właśnie spogląda na nas Pan Bóg? – przeszło mu przez myśl w pewnej chwili. Jeśli tak nas widzi, to musi mieć wielką lunetę, jest wszak bardzo wysoko w niebie. Jeśli zaś jej nie ma, to nie dziwota, że pozwala na to, co jest. Że pozwala jemu, Oskarowi Radtkemu, by prowadził takie życie, jakie prowadzi. Chociaż nie, to się już przecież zmieniło. Najlepszym tego dowodem jest to, że był teraz tutaj, nie zaś na nabrzeżu, na dżdżystym chłodzie. Albo nawet w areszcie...

Swoją drogą, chyba jeszcze nigdy w jego dwunastoletnim życiu nie dane mu było spoglądać na port w Königsbergu z takiej perspektywy. No, może raz jeden wdrapał się na dach którejś z kamienic przy Kohlmarkt, niedaleko stąd. Zawsze był na dole, maluczki, popychany i lżony przez szyprów, którzy uważali, że pracuje za wolno. Dlatego coraz rzadziej podejmował się nasz Oskar roboty przy rozładunku czy załadunku statków.

– Podoba ci się widok za oknem? – rozważania te przerwał mu kobiecy głos.

Zamiast odpowiedzieć, szybko zasunął portierę i odwrócił się od okna. Przygryzł wargę i wsunął ręce do kieszeni przykrótkich portek.

Pewnie wiedziała, co sobie pomyślał, kiedy oboje weszli tu jakiś kwadrans temu. Znała go może nie doskonale, ale wystarczająco. Poczuł, że zaczyna się czerwienić. Jakby rzeczywiście zdążył już ukryć w kieszeniach jakieś cenne fanty, które rychło spienięży.

Na szczęście Agnes Lauder już mu się nie przypatrywała. Zamknęła za sobą drzwi, podeszła na środek pomieszczenia, gdzie stał okrągły stół, i oparła o blat dwie miotły.

- Chwytajcie za oręż, żołnierzu! - zawołała z uśmiechem. - Nie mamy czasu.

Chłopak podjął grę.

- Rozkaz! - zawołał.

Lubił ją bardzo, choć na pierwszy rzut oka dzieliło ich wszystko. Agnes Lauder była córką pani Lauder, która wynajmowała pokoje studentom, Oskar Radtke - dzieckiem ulicy. Agnes była Żydówką, Oskar zaś - Niemcem i protestantem. Tak mu się przynajmniej wydawało, bo jego wycieczki do kościoła można było policzyć na palcach jednej ręki. Ona miała lat siedemnaście, on był od niej młodszy o pół dekady. Była wreszcie panna Lauder uczennicą gimnazjum żeńskiego, podczas gdy jej towarzysz za jedyną nauczycielkę miał samo życie.

Poznali się kilka miesięcy temu, kiedy matka dziewczyny najęła dłubiącego w nosie chłopaka, aby pomógł jej przetransportować jakieś przywiezione na statku towary. Nikt już nie pamiętał, co to było, ale sympatia została. Wiele razy bywało też, że właścicielka pensji ręczyła słowem za łobuziaka, kiedy mu się noga powinęła albo skusiła go na Starym Mieście jakaś damska torebka czy wystający z kieszeni pugilares.

Mimo wyrażonej ochoty Radtke z niechęcią spojrzął na miotłę. Agnes zauważyła tę minę. Ujęła się pod boki i rzuciła chłopakowi groźne spojrzenie. Chyba pomogło, bo westchnął ciężko.

- Ale robię to tylko ze względu na pana Berga - mruknął, chwytając za drewniany, pociemniały ze starości trzonek.

- Zanim przyjdzie, musimy to wszystko jakoś ogarnąć - zauważyła dziewczyna.

- Inaczej będzie krewa?

- Owszem. Nie znam twojego pryncypała, Oskarze, ale nie wydaje mi się, żeby lubił kurz.

- To raczej aligancki gość.

- Dlatego dość gadania. Bierzemy się za robotę!

- Się wie.

Lokal mieścił się na ostatnim piętrze w jednej z kamienic na nabrzeżu Kai, ciągnącym się wzdłuż zachodniego brzegu Knipawy. Z okien widać było, prócz rzeki, także południową część dzielnicy Steindamm i Dworzec Piławski. To, w jaki sposób pani Lauder weszła w jego posiadanie, nie ma znaczenia dla tej opowieści. Podobnie jak to, w jaki był użytkowany. Dość wspomnieć, że kobieta przez pewien czas również wynajmowała go studentom, ale takim, którzy zgłaszali się dzięki anonsom zamieszczanym w gazetach. Zaufanym, ale trochę mniej. Na szczęście tego niewielkiego zaufania nigdy nie zawiedli i kamienica stała nadal na swoim miejscu. Przez inne pół roku mieściły się tutaj biura niderlandzkiej firmy spedycyjnej. Świadczyła o tym blaszana tabliczka na murze, tuż przy wejściu, której Holendrzy zapomnieli ze sobą zabrać.

- Pięknie... - mruknął pod nosem Stanisław Berg, zarzuciwszy próbę zrozumienia czegokolwiek, po czym cofnął się dwa kroki, zadarł głowę i spojrzał na górę.

Nie była to co prawda słynna kamienica scheiblerowska, w której mieszkał w Łodzi, ale widać było, że to wielce solidna budowla. Z jednego z otwartych okien na pierwszym piętrze dobiegły jego uszu dźwięki fortepianu. Ktoś grał wcale ładnie Mondscheinsonate Beethovena, co z miejsca nastroiło Stacha pozytywnie. Jedynym minusem było to, że lokum znajdowało się dość wysoko. Ale czyż w mieście Łodzi nie było tak samo? Może nawet wyżej! No

i najważniejsze: było to ściśle centrum Königsberga, dotrzeć tutaj mógł więc każdy. A jeśli z jakichś powodów nie mógł wdrapać się na górę, można było usiąść i porozmawiać w jednym z szynków, od których aż roiło się na wyspie.

- No to zobaczymy to cudo - odezwał się znów sam do siebie i swoim zwyczajem stuknął końcem laski w brukowy kamień.

Kiedy wczoraj przyjął od państwa Krautter zlecenie odszukania ich zaginionej córki Moniki, zrozumiał, że nie może już dłużej pracować i mieszkać w trafice Samuela Cohena przy Victoriastrasse. Potrzebował biura z prawdziwego zdarzenia. Traf chciał, że chwilę po tym, jak pogrążeni w rozpacz, ale odrobinę pokrzepieni rodzice zaginionej dziewczyny opuścili sklep, do środka wpadł zadyszany Oskar Radtke. Nie miał do Stacha konkretnej sprawy, więc prawdopodobnie przed kimś uciekał. Oczywiście się do tego nie przyznał, chociaż nie spuszczał wzroku z drzwi wejściowych, gotów w każdej chwili rzucić się na zaplecze. Kiedy było już jasne, że nic złego się nie wydarzy, i kiedy chłopak dowiedział się o planach detektywa, przypomniał sobie o wolnym lokalu pani Lauder.

Berg postanowił obejrzeć to miejsce. Radtke znów posłużył za dwunożną namiastkę systemu Bella. Wieczorem wszystko było ugadane. Umówili się nazajutrz, o dziesiątej rano. Stach miał odwiedzić biuro, które być może stanie jego wizytówką.

- Swój! - zawołał wesoło, kiedy zza drzwi dobiegło wypowiedziane dziewczęcym, trochę niepewnym głosem „Kto tam?”.

Po chwili klucz zazgrzytał w zamku i oczom przybysza ukazała się czarnowłosa, drobna osóbką. Przybysz zdjął kapelusz i ukłonił się.

- Panna Lauder, jak mniemam?

- Dzień dobry.

- Moje nazwisko Berg. Byliśmy umówieni,

- Bardzo mi miło. - Agnes dygnęła, jak ją nauczono, po czym otworzyła szerzej drzwi. - Zapraszam do środka.

Jeszcze długo przywoływał Stach w myślach pierwsze chwile po przekroczeniu progu tego miejsca. Zrobiło na nim dobre wrażenie,

ale z natury sceptyczny, starał się mieć oczy i uszy otwarte. I nos. Jakby nie było, wciąż znajdował się przecież na wyspie...

- Oskar, byłbym wdzięczny, gdybyś nastawił wodę na herbatę - powiedział nieco ponad kwadrans później, kiedy wraz z Agnes siedzieli przy okrągłym stole.

- Może ja to zrobię. - Dziewczyna ochoczo uniosła się z krzesła, ale Stanisław Berg pokręcił z uśmiechem głową i rzekł:

- Z panią chciałbym porozmawiać o interesach.

- Ze mną?

- Chyba mogę?

- Właściwie tak. Mama mi ufa - rzekła Agnes nie bez dumy.

- To wspaniale.

Był zdecydowany. Lokal miał dwie izby. Ta, w której się w tej chwili znajdowali, większa, nadawała się na gabinet. Mniejsza zaś mogła pełnić funkcję sekretariatu (oczywiście dopiero wówczas, gdyby detektyw dorobił się sekretarki), a na razie - poczekalni. Była jeszcze niewielka, w pełni wyposażona kuchenka, gdzie Radtke właśnie podzwaniał naczyniami, a także wychodek.

Ale to nie wszystko. Zmyślny architekt kamienicy przypisał lokalowi jeszcze jedno pomieszczenie. Znajdowało się ono dokładnie nad gabinetem, a można było tam dotrzeć przez kuchnię i dalej w górę, spiralnymi, metalowymi schodami. Dziupła, bo właśnie takie określenie z miejsca pojawiło się w głowie Berga, nie była niczym innym jak przepiękną, gotycką wieżyczką, która wieńczyła fronton kamienicy. W izbie spokojnie zmieściłoby się łóżko, stolik i krzesło, może nawet niewielki regał na książki. Najpiękniejszy był jednak widok, który roztaczał się z okien: już nie tylko na Steindamm i Dworzec Piławski, ale też na Stare Miasto i Zamek! Wystarczyło przetrzeć szyby.

- Ależ oczywiście - powiedziała Agnes.

- Nie rozumiem. - Berg potrząsnął głową.

- Wszystkie okna zostaną jeszcze dziś umyte. Po prostu lokal długo stał pusty...

- Wspaniale - bąknął zmieszany detektyw i uśmiechnął się po chwili. Ostatnie słowa musiał wypowiedzieć na głos.

Miał za sobą noc, której znakomitą część strawił na zastanawianiu się, w jaki sposób zabrać się do powierzonej mu sprawy i jak połączyć ją z pozostałymi, aby odbyło się to bez szkody dla którejkolwiek z nich. Może ktoś inny na jego miejscu nie miałby problemu z wyborem tej, które należałoby nadać priorytet, wszak państwo Krautter płacili gotówką. A nie byli to ludzie biedni. Ale było jeszcze coś takiego jak przyjaźń i dane słowo.

Z takim samym wyrazem twarzy przeszedł do kolejnego punktu - ceny za wynajem. Był gotowy na rozmowę z panią Lauder, ale znów okazało się, że Agnes była tam nieprzypadkowo.

Kiedy podała cenę, od razu na nią przystał. Nie zamierzał się targować. Miał jeszcze pieniądze, które konsul Hoffmann zapłacił mu za dowiedzenie niewierności żony. W chwili kiedy Stach na znak przypieczętowania interesu ścisnął nad stołem wąską i zimną dłoń dziewczęcia, do pokoju wkroczył Oskar.

- Herbata wedle życzenia - zaanonsował.

- Brawo! Widzę, że nadajesz się do tej roli - ocenił Berg.

Choć zrobił to bez złośliwości, chłopak spojrzał na niego koso. Stukot filiżanek, które po chwili postawił na blacie, był bez wątpienia dużo głośniejszy niż powinien. Dziewczyna zaraz zerwała się z krzesła, by pomóc młodszemu towarzyszowi.

- Przecież pan wie, że nie do tego jestem stworzony - burknął wreszcie Oskar, kiedy już napar został nalany do filiżanek.

- Wiem. Twoje usługi są nieocenione - potwierdził Berg, by udobruchać wiernego pomocnika, który nieraz już wykonywał ważne misje, nawet z narażeniem życia.

Jednak to, co Stach usłyszał po chwili, tyleż go zdziwiło, co zaniepokoiło.

- Ja też chciałbym pomóc - oświadczyła z mocą Agnes Lauder.

W pierwszym odruchu Berg zmarszczył srogo czoło i chrząknął.

- Nie powinnaś być czasem w tej chwili w szkole, młoda damo? - zapytał.

Dziewczyna uniosła wysoko brwi, a przed parsknięciem śmiechem powstrzymało ją pewnie tylko dobre wychowanie. Zamiast tego zapytała jedynie:

- A niby co miałabym tam robić... w niedzielę?

Berg nie odpowiedział. Coraz częściej łapał się na tym, że nie wiedział, jaki jest dzień tygodnia, mimo że nie był w tym okresie aż tak bardzo zajęty. Może to kwestia wieku? A może gdyby miał gdzieś stałe miejsce i pracował w określonych godzinach, wszystko wyglądałoby inaczej?

Przez chwilę zbierał myśli. Wreszcie oświadczył:

- To nie jest zajęcie dla panien z porządnego domu.

Oskar Radtke już otwierał usta, aby wstawić się za Agnes. Ale w końcu tylko ręką machnął. Może i dobrze, bo siedemnastolatka najwyraźniej nie miała zamiaru dać się zbić z pantałyku.

- Jak pan widział, całkiem nieźle sobie radzę z administrowaniem - powiedziała. - Mama ma do mnie pełne zaufanie, to też już wiemy. Pieniądze na pewno trafią do jej rąk, nie wydam ich na karmelki ani wstążki, proszę się nie obawiać.

- Obawiałbym się dopiero wtedy, gdybyś poszła do trafiki Cohena.

- Trzeba panu wiedzieć, że to nie pierwszy przypadek, że pokazuję komuś lokal do wynajęcia. Prawdopodobnie kiedyś przejmę po mamie schedę.

- I słusznie.

- Wracając do naszych spraw, w szkole mam dobre i bardzo dobre stopnie, więc nauka z pewnością nie ucierpi. Nie zniosę nudy. Przyjaźnię się ze studentami, którzy mieszkają u nas na pensji, ale oni mają coraz więcej nauki.

- Zła nauka! Fuj! - zaśmiał się Berg.

Ale dziewczyna była wciąż poważna. Po chwili zrozumiał, z jakiego powodu.

- Chciałabym w jakiś sposób włączyć się w śledztwo - powiedziała cicho. - Wiem, że zajmuje się pan sprawą śmierci Ewy Peters. To ja znalazłam jej zwłoki...

2

Tego dnia Klaus Tyl postanowił po raz pierwszy od przyjazdu do stolicy rejencji spędzić wieczór w szynku Pod Tłustym Wieprzkiem. Zbliżała się siódma wieczorem, kiedy niepewnie przekroczył próg lokalu. Ledwo to zrobił, niemal odbił się od ściany tytoniowego dymu i hałasu. Nie wiedział, czy to codzienność, czy bywało tak tylko w niedzielę. Właściwie nie potrafił odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego wcześniej nie uległ namowom Schatzkiego i nie przyszedł tutaj z nim. Na pewno byłoby mu teraz łatwiej. No ale, jak to się mówi, lepiej późno niż wcale.

- Uszanowanie panu - przywitał go przechodzący obok kelner, który niósł przed sobą tacę zastawioną kuflami piwa.

- Dobry wieczór - bąknął przybysz, po czym jął rozglądać się naokoło w poszukiwaniu znajomych twarzy; rad był ujrzeć nawet jedną, niechby i należała do zwykłego stójkowego.

Być może i teraz by tu nie trafił, gdyby nie wypadki ostatnich kilkadziesiąt godzin. Jak dotąd tak się bowiem szczęśliwie składało, że w sobotę wieczorem Tyl mógł zakręcić wieczne pióro, zamknąć służbowy notes, zmoczyć dłonie ulubioną wodą kolońską o zapachu cedru i udać się na Dworzec Wschodni, skąd odjeżdżał pociąg do Tylży. Tam wciąż mieszkała przecież rodzina policjanta: żona, dwoje dzieci, a także jego rodzice. Rozłąkę z najbliższymi przeżywał bardzo, ale wciąż nie był pewien, czy w stolicy rejencji zabawi długo - dlatego o przeprowadzce mowy na razie nie było.

Przez topielicę, którą musieli wyciągnąć spod Drewnianego Mostu, wszystkie plany wzięły w łeb. Kiedy stało się jasne, że żadnej sprawy nie będzie, było już za późno na wyjazd z miasta. Wyspał się więc przednio, zjadł dobrze, a nawet poszedł do kościoła. Kryzys

związany z beczynnością przyszedł chwilę po obiedzie, ale na szczęście policjant przypomniał sobie wtedy o szynku.

Oto jestem. Co dalej? – zastanawiał się. Chyba trzeba będzie zaraz gdzieś usiąść i zamówić coś do picia.

Zaczął się rozglądać za wolnym stolikiem i usłyszał, że ktoś go woła. Spojrzał w kierunku, skąd dochodził głos. W gęstym тумanie, do którego on, człowiek niepalący, wciąż nie potrafił się przyzwyczaić, ktoś do niego machał. Wystarczyło kilka kroków, aby Klaus Tyl rozpoznał jednego ze starych wiarusów, z którym często mijał się na korytarzach gmachu Prezydium policji.

– Niech pan siada. – Stary policjant zrobił Tyłowi miejsce obok siebie. – Piwko?

– Na razie jedno małe – zastrzegł nowy.

– Jasne, rozgrzewka musi być. Garson!

Siedzieli w dość sporej kompanii. Jedli, pili, opowiadali historie, które im się przydarzyły, żartowali. Od czasu do czasu ktoś poważniał i pytał o coś drugiego. Bywało, że po chwili na ławie lądował służbowy notes. W rozmowach pojawiały się nazwy dzielnic i ulic, często też nazwiska i daty. Można było śmiało rzec, że praca wrzała.

Klaus Tyl dokończył piwo, które mu przyniesiono. Potem zamówił następnie, a do tego talerz frankfurterek z najostrzejszą musztardą, jaką mieli, i smażonymi ziemniakami, bo właśnie to najczęściej jedli biesiadujący u Alfonsa Wiedemanna policjanci. Chciał się jeszcze dowiedzieć, czy mógłby dostać do tego cebuli, ale kelner szybko zniknął. Trudno. Potem poczuł parcie na pęcherz. Skinął głową wiarusowi i wstał od stołu. Nie miał problemu ze znalezieniem drogi do wychodka.

Kiedy już było po wszystkim, poczuł się głodny. Może kiełbaski już na niego czekały?

– Pan Tyl? – usłyszał naraz gdzieś z boku, spod tregry podtrzymującej strop, choć Klaus był przekonany, że wystarczyłby do tego dym.

– Tak – potwierdził szybciej, niż pomyślał.

Głos należał do szczupłego, dobrze ubranego mężczyzny z siwą czupryną. Nosił okulary i miał miły uśmiech. A także, o czym Klaus przekonał się po chwili, mocny uścisk dłoni.

- Znamy się? - zapytał policjant.

- Jeszcze nie - odparł mężczyzna. - Przepraszam, to się oczywiście powinno odbyć zupełnie inaczej, a na pewno gdzie indziej. Ale zawsze staram się podążać pod prąd.

- Wciąż nie za bardzo rozumiem...

- Pan pozwoli, że się przedstawię. Jestem Hans Lange. Polizeirat Hans Lange.

Usłyszawszy stopień, Tyl poczuł się pewniej. Oto stał przed nim jeszcze jeden z nowych kolegów, których przybysz z Tylży jeszcze nie zdążył poznać. Schlebiało mu jednak wielce, że Lange znał jego. Może widział go wychodzącego z pokoju inspektora Wincklera po jakiejś naradzie, a może wczoraj na moście?

Prawda okazała się jednak zupełnie inna. W dodatku o wiele lepsza.

- Dzisiaj w południe przyjechałem z Danzig, a wcześniej pracowałem w mieście Stolp. To na zachód, jak pewnie pan wie, ale nieco dalej do morza. A ja morze kocham. Jestem pańskim nowym partnerem - dokończył prezentację Lange.

- Bardzo mi miło! - Klaus był naprawdę zadowolony, człowiek ten wydał mu się bowiem bardzo sympatyczny, zupełne przeciwieństwo Schatzkiego. No i najważniejsze: to Tyl miał teraz wystąpić w roli gospodarza.

- W takim razie zapraszam na piwo. - Hans Lange skierował się nie w stronę ławy, którą jak zwykle gęsto obsiedli policjanci, ale w przeciwny kąt szynku, można by rzec: zwyczajny i cywilny.

Tyl się zawahał. Przesząpił z nogi na nogę, jakby kilka chwil wcześniej nie udało mu się zaspokoić potrzeby. Wreszcie wykrztusił:

- Przepraszam, ale ja właśnie zamówiłem frankfurterki...

- A ja pozwoliłem sobie skorygować zamówienie.

- To znaczy?

- To znaczy, że czekają na pana na moim stoliku.

Uśmiechał się i żartował, jak w takim miejscu powinno się żartować. Poza tym Hans Lange wypytywał Klause Tyla o wszystko, co wiązało się z jego przeniesieniem, o nowych przełożonych i stosunki panujące w tutejszym Prezydium policji. Wolał się tego wszystkie wywiedzieć, zanim na dobre zacznie pracę, a miało to nastąpić już w poniedziałek. Tyl zaś, który przestał być nowym, bo miał przed sobą kogoś jeszcze nowszego, cierpliwie wszystko tłumaczył. Zajadał przy tym swoje kiełbaski i obficie zapijał je Schönbuschem, którego stawiał zdecydowanie nad Wickboldem.

- Słyszałem, że wczoraj mieliście niezłą chryję - powiedział w pewnej chwili Lange.

- Żeby pan wiedział - zachnął się Tyl.

- Skończmy już z tym panowaniem. Hans jestem.

- Klaus.

Stuknęli się kuflami.

- To jak tam wczoraj było? - chciał wiedzieć policjant z miasta Stolp.

Klaus Tyl opowiedział o zagadkowej kradzieży zwłok Getрудy Weber z kostnicy szpitala lipnickiego, które następnie ktoś wrzucił do rzeki, najprawdopodobniej kilka kroków dalej. Doktorowi Johannowi C. Weberowi zależało przede wszystkim na tym, by wieść się nie rozniosła. Gawiedź, która zgromadziła się w okolicach Drewnianego Mostu, nie musiała przecież wiedzieć, kogo wyciągnięto z wody. Weber chciał tylko, by zmarła jak najszybciej odzyskała spokój. I tak się stało. Owszem, po pogrzebie spotkał się jeszcze raz z Wincklerem, by porozmawiać o sprawie. Coś trzeba było przecież wpisać do raportów. Zbyt wielu było świadków i zbyt duże były policyjne siły zaangażowane w operację, by nie pozostał po niej żaden ślad.

- I na czym stanęło? - zapytał Hans Lange.

- Że to była zemsta pewnej zagranicznej kompanii handlowej, której Weber swego czasu pomieszał szyki. Nie wiem tego na pewno, ale chyba chodziło o to, że chcieli spekulować na rynku zbożowym.

- A to ciekawe.

- Doszło nawet do próby podpalenia spichlerzy, choć akurat tego nie udało im się udowodnić. Weber wygrał sprawę, a tamci zmuszeni zostali do wycofania się z Prus. A potem, kiedy nieco przyszło, zemścili się. - Tyl przerwał, przez chwilę wpatrywał się w szkło. - Szkoda, bo myślałem, że ta kobieta jest kolejną ofiarą....

- Jaką kolejną ofiarą?

Klaus opowiedział nowemu partnerowi o zagadkowej sprawie Evy Peters, kobiety znalezionej w stawie w pobliżu zamku. Nie mógł oczywiście nie wspomnieć przy tym o nieregulaminowych, a wręcz podłych działaniach swego byłego partnera Schatzkiego - torturowanym przez niego studencie prawa Albertyny i najeździe na salon piękności, dzięki któremu rozwiązano sprawę. Ale nie tę.

- A wczoraj odbył się pogrzeb tej nieszczęsnej dziewczyny - westchnął, jakby to on stracił bliską osobę. - Niestety, nikt jej nie rozpoznał, więc zanim ją pochowano, trafiła na uniwersytet. Na zajęcia z anatomii. Wiesz, co mam na myśli?

Gdy nowy potwierdził, Tyl sięgnął w zanadrze po, jak można się było spodziewać, chustkę do nosa. Jednak po chwili zamiast perkalu trzymał w rękach... plik fotografii, które położył na stole gestem pokerzysty, któremu trafił się full decydujący o wyniku gry.

- Co to jest? - zainteresował się Lange.

- Wysłaliśmy na cmentarz wywiadowcę, żeby przyjrzał się ludziom, którzy przyjdą pożegnać Evę. To stary sposób. - Tyl zrobił mądrą minę. - Zrobił im kilka zdjęć z ukrycia. Nadal mało wiemy na temat tej sprawy i chwytny się wszystkiego. To był akurat mój pomysł - zakończył nie bez dumy.

- Zdjęcia niezłe, robota dobra. Ale, Niestety, niewielu chyba miała przyjaciół. - Nowy rozgarnął palcami fotografie, omiół je jednym, zdawało się, pobieżnym spojrzeniem.

Klaus wspomniał jeszcze o doprowadzonym na policję przez pewnego prywatnego detektywa handlarzu tkaninami, niejakim Vladasie Smetonie. Człowiek ten również mógł mieć coś wspólnego ze śmiercią Evy Peters.

- Chyba coś słyszałem. - Hans Lange podrapał się po głowie.

- Nawet w Stolp o tym mówili? - zdziwił się Tyl.

- Nie. W Danzig. I co? Przyznał się do jej zabicia?

- Z tego, co wiem, to jeszcze nie. Chyba nie.

- Chyba?

- Od wczoraj nie zaglądałem do Prezydium, a dzisiaj dzień święty święcę.

- Jak każdy porządny człowiek - zauważył Lange.

- Ale myślę, że powoli kruszeje. I skruszeje. Mamy świetne metody, mój drogi Hansie - rzekł serdecznie, po czym poklepał nowego partnera po ramieniu, jakby znali się od lat.

Przybysz z miasta Stolp tylko się uśmiechnął.

3

Vladas Smetona nie mógł oczywiście słyszeć rozmowy na swój temat. Celę, w której siedział, dzielił wszak od wesołego szynku kawał drogi. Nie słyszał nawet, co i czy w ogóle mówiono o nim za ścianą. Ta była bowiem, jak to w pruskich kazamatach pamiętających czasy krzyżackie, bardzo gruba. Jego uszu dobiegało jedynie skrobanie myszy lub szczurów, jedynych wolnych w tym miejscu istotach, a także jego oddech oraz bicie serca. Tak, to ostatnie słyszał aż nazbyt wyraźnie. Były chwile, że zdawało mu się, że uwięziony w klatce piersiowej organ rozsadzi ją, rozerwie kości i wyskoczy z ciała.

Kłopot z głowy - pomyślał.

Nie pierwszy raz siedział pod kluczem. Zjeździł pół Europy, a przy takiej pracy i trybie życia nietrudno było, by powinęła mu się noga. Kilka razy wystarczyło, że panna, którą miał na oku, przejrząwszy go, krzyknęła głośno. Zaraz zjawiał się policjant i nie było tłumaczenia - Vladas lądował w pierdłu. Nie przejmował się tym jednak zbytnio, leżał sobie na pryczy z rękoma pod głową, a nawet pogwizdywał. Postawa ta była ze wszech miar słuszna, szybko bowiem wychodził na wolność. Albo panna wycofywała oskarżenie, albo policjanci nie za bardzo wiedzieli, co zrobić z obcokrajowcem, który zanadto sobie wypił i poczuł twardość w portkach. W takich Włoszech musiałyby być chyba specjalnie budowane więzienia, by pomieścić wszystkich rozochoconych!

Nigdy jednak kupiec nie znalazł się w takim położeniu. Co z nim zrobić? Powinien się przecież skontaktować z adwokatem. Weźmie chyba Jurgutisa, bo dobry był, a przy tym niedrogi, no i przede wszystkim krajan. Wspólnie załatwią tego, który go podstępem

uwięził i torturował, by wymusić zeznania. Tak, załatwią go bez trudu!

Coś stuknęło. Chyba przy drzwiach. Mężczyzna podniósł głowę z łokcia, który mu służył mu za poduszkę. Na tę, którą mu dali, brzydził się nawet spojrzeć.

- Kto tam? - zapytał bezwiednie, jakby w jednej chwili zapomniał, gdzie jest. Właściwie to nawet głupio, wszak tak naprawdę mogło to być wszystko: od innego więźnia po wielkiego, spasionego szczura.

W odpowiedzi rozległ się chrobot klucza w zamku. Po chwili drzwi celi się otworzyły. Vladas Smetona szybko położył głowę w poprzednie miejsce, zamknął oczy. Udawał, że śpi, licząc, że nikt nie słyszał jego pytania. Może sobie pójdą, dadzą spokój. Nie miał ochoty na rozmowy z kimkolwiek. Poza tym, jak to mówią, ranek mądrzejszy od wieczoru.

Ale ktoś miał najwyraźniej inne zdanie.

- Wstawaj, Smetona!

Nawet nie drgnął. Wiedział, że mógł tym sprowokować gniew cerberów, ale to, co się wydarzyło, a szczególnie tortury, jakie mu zadano, sprawiły, że zhardział. W każdym razie nie złamie go już byle co.

- Wiem, że nie śpisz - dodał ten sam głos, a chwilę potem przybysz zamknął za sobą cicho drzwi celi. - Musimy pogadać.

Głos był spokojny, niski. Można by nawet powiedzieć: rzeczowy. I wzbudzał zaufanie. Któż to, do diaska, przyszedł do celi o tak późnej porze?

- Kim pan jest? - zapytał więzień, uniósłszy głowę na dwa cale.

Najpierw usłyszał kroki. Pomyślał, że podeszwy butów, które nosił przybysz, musiały być bardzo twarde, bowiem bezlitośnie miażdżyły wszystko, co walało się po podłodze: kamyki, drobiny zeschniętego chleba, a nawet kawałki szkła. Biada temu, kto zechciałby przejść po celi na bosaka. Na szczęście Vladas miał buty, choć bez sznurówek, które tradycyjnie, wraz z paskiem, zarekwirowano mu zaraz po aresztowaniu, żeby nie mógł zrobić z nich ostatecznego użytku.

- Moje nazwisko nic panu nie powie - rzekł mężczyzna. - Nie znamie pan, ale ja znam pana. Do tej pory ze słyszenia.

- W innej sytuacji pewnie powiedziałbym, że mi miło - mruknął z goryczą więzień.

Cisza. Jeśli nie liczyć krótkiej serii rozpaczliwych krzyków, które dobiegły nie wiadomo skąd. Nikt raczej nie wołał przez sen. Człowieka mogli bić zarówno w sąsiedniej celi, jak i piętro wyżej. Strażnicy albo współwięźniowie. Vladas Smetona miał ten luksus, że był w zamknięciu zupełnie sam. Żadnych nieporozumień, proszenia o cokolwiek, nie wspominając już o chrapaniu w nocy. Miał dopiero jednak pożałować, że tak się stało.

Na razie był bowiem wielce rad, mimo ogólnie niekomfortowej sytuacji. Coraz bardziej ciekawił go też tajemniczy człowiek, który go odwiedził. Wciąż nie widział jego twarzy. Stuknęły nogi drewnianego zydelka, który nieznajomy ustawił dwa kroki od pryczy, by usiąść.

- Zapali pan? - zapytał po chwili.

- Nie. Dziękuję - odparł bez namysłu kupiec.

Pytanie było niewinne. Przybysz rzeczywiście miał papierosy i zaraz z jednego zrobił użytek. Vladas usiłował przyjrzeć się twarzy, którą na chwilę oświetlił płomień zapalniczki, ale przybysz odwrócił się, przypadkowo albo umyślnie. Dym przyjemnie przytłumił smród celi. Tylko że we Vladasie obudziła się nieufność. Właściwie to nie powinna w ogóle zasypiać. Po tym, co się stało, nie miała prawa. Dał się podejść, a potem spętać i powiesić jak rzeźna świnia!

- Tak jak mówiłem - podjął przybysz - wiele o panu słyszałem, panie Smetona. Także od naszej wspólnej znajomej.

- Wspólnej znajomej?

- Pewnie pamięta pan Evę Peters.

Zimny dreszcz przebiegł Vladasowi po plecach.

- Ja... ja nic jej nie zrobiłem... - Słowa z trudem przeszły przez zaciśnięte gardło. - Ona... ona ode mnie uciekła.

- Uciekła - ni to stwierdził, ni to zapytał tamten.

- Zgadza się. Była zbyt sprytna, żeby się dać zaprowadzić na statek jak inne. Nic więcej nie wiem! Kim pan jest?!

- Już mówiłem, że moje nazwisko nic panu nie powie. Ale Eva Peters opowiedziała mi o panu dużo ciekawych rzeczy. Bardzo ciekawych.

- Jest pan prokuratorem?

W chwili gdy Vladas zadał to pytanie, uświadomił sobie jego absurdalność. Ten człowiek musiałby przecież rozmawiać z duchem! No, chyba że Peters zdążyła o wszystkim opowiedzieć, kiedy jeszcze żyła. Miała długi język. Tylko dlaczego aż tak długo zwlekali, zanim go zwinęli? I zrobił to cywil, w dodatku podstępem, nie zaś policja uzbrojona w stosowne dokumenty i szable? Vladas Smetona nic już z tego nie rozumiał. Jednocześnie obawiał się, że czasu na zrozumienie z każdą chwilą ubywa...

- Nie, nie jestem prokuratorem. Nigdy nie miałem takich ambicji. Wolę pomagać ludziom. Pomogłem między innymi Evie, kiedy została sama w tym mieście.

Nieznajomy rzucił pod nogi niedopałek papierosa i przydeptał go. Właściwie to roztarł go na proch. Na ten dźwięk Smetonie zaschło w gardle...

4

Ostatni tramwaj, który przejechał przez Knipawę w kierunku Dworca Wschodniego, od godziny był już tylko wspomnieniem, a w domach wzdłuż Kneiphofsche Langgasse zegary zaczęły pracownie wydzwaniać północ.

Wtedy zdecydowała się wyjść na ulicę. Miała nadzieję, że o tej porze nie zastanie na niej nikogo, kto zdołałby jej przeszkodzić lub odwieść ją od powziętego zamiaru. Pijaczkowie, bezdomni czy inne lumpy się nie liczyli. Przeciwnie – ewentualne spotkanie z nimi, a tym bardziej rozmowa tylko utwierdziłyby ją w przekonaniu, że nic tu po niej.

Stukot obcasów butów młodej kobiety odbił się echem między ścianami kamienic Fleischbankenstrasse. Przystanęła na chwilę, jakby speszył ją hałas, który mimowolnie robiła. Przez chwilę rozważała nawet, czy nie powinna iść dalej na bosaka. Było zimno i mokro, październik w pełni, więc skończyłoby się w najlepszym razie katarem. Ale przecież nie powinien przejmować się tym ktoś, kto o północy, niekompletnie ubrany idzie, aby ze sobą skończyć...

– Zrobię to. Zrobię to – powtarzała pod nosem w takt stukotu obcasów.

W Kneiphofsche Langgasse skręciła dorożka. Fiakier zdawał się drzemać na koźle, w nie lepszym stanie był koń. Kobieta usunęła się pod ścianę, by jej nie dostrzeżono. Ktoś na pewno zwróciłby uwagę na jej ubiór i rozwiane włosy. Oczywiście pod warunkiem, że byłby trzeźwy. Gdy drynda ją mijała, spod podniesionego dachu dobiegł jej uszu perlisty kobiecy śmiech.

Śmiej się, śmiej. Jeszcze sobie zapłaczesz, wywłoko – pomyślała.

Gdy dorożka zniknęła za kolejnym zakrętem, kobieta opuściła zaułek i szła dalej. Im bliżej była miejsca, do którego zamierzała dotrzeć, tym szybciej szła. Nikt jej nie gonił. Człowiek, który mógł jej przeszkodzić, był w tej chwili daleko.

Jak on to wtedy powiedział? „Jeszcze zdążysz się utopić?” – usiłowała sobie przypomnieć.

Dziś wykorzystała moment i wymknęła się z domu, dokładnie jak za pierwszym razem, kilka dni temu. Wtedy jednak szyki pokrzyżowali jej podchmieleni miłośnicy Szekspira.

Wreszcie – Most Zielony, łączący wyspę z południowymi dzielnicami. To się stanie tutaj. Rzeka jest w tym miejscu ponoć najgłębsza. Przyjmie ją, mimo braku obciążenia w kieszeniach płaszcza, kamieni, których nie zdążyła zebrać.

Upewniwszy się, że człowiek, który pracował przy podnoszeniu i opuszczaniu przeprawy, siedzi zamknięty w małej drewnianej budce, podeszła do barierki. Położyła dłonie na zimnym metalu i z całej siły zacisnęła palce. Przechyliła się przez balustradę i spojrzała w wodę rzeki Pregel, w której odbijały się światła latarni. Zupełnie jakby istniał tam podobny świat.

– A może to tamten jest prawdziwy? – zapytała samą siebie na głos, po czym zgrabnie, niczym cyrkówka, przeszła przez barierkę

W tej samej chwili skrzypnęły drzwi budki, na tle rozświetlonego wnętrza zamajaczyła ludzka postać.

– Boże, zmiłuj się nade mną. I wybacz...

– Jest tam kto? – zawołał mechanik.

Odpowiedział mu plusk wody.

5

Niezbyt przyjemnie zaczął się dla Klause Tyla pierwszy poniedziałek po pierwszej niedzieli spędzonej w Königsbergu. Obudziły go jakieś wrzaski za oknem - i to chwilę po piątej nad ranem, czyli niemal godzinę wcześniej, niż zwykł wstawać. Hałas skończył się równie szybko, jak zaczął, ale policjant już zasnąć nie mógł. Po wieczorze spędzonym w szynku Pod Tłustym Wieprzkiem bolała go głowa. Bardziej od tytoniowego dymu niżli wypitego piwa, skończył był bowiem na kufelkach trzech, do tego jadł dużo i tłusto.

Nigdy więcej niedzieli poza domem - postanowił.

Chwilę jeszcze poleżał, potem wstał i zaczął się przygotowywać do wyjścia. Ogolił się dokładnie, zostawiając tylko czarne wąsy, które w jego rodzinie nosili wszyscy mężczyźni, następnie spryskał się wodą kolońską o zapachu cedru. Zjadł śniadanie, jak zwykle z dużą ilością cebulki, wreszcie zaczął się ubierać.

I wtedy uświadomił sobie jeszcze jeden minus tego, że nie odwiedził rodzinnej Tylży. Klaus planował przywieźć z domu więcej ciepłych rzeczy, robiło się już bowiem coraz chłodniej, a wiatr od morza był coraz mniej przyjemny. Jesienny paltocik należało koniecznie wymienić na ciepły, długi, podszyty futrem płaszcz, melonik zaś zastąpić porządną futrzaną czapką, którą można by w razie potrzeby naciągnąć na uszy. Ale chyba tydzień jakoś powinien wytrzymać. Z tym mocnym postanowieniem Klaus Tyl wyszedł z domu. Nie pamiętał już o przykrym i zbyt wczesnym przebudzeniu.

Do pracy miał dość spory kawałek, ale nigdy nie brał dorożki, bo poranny spacer pozwalał mu uporządkować myśli. Poza tym starał się oszczędzać każdy grosz. Z tego powodu właściwie wyrzucał sobie nawet wczorajszą biesiadę.

Zastanawiał się, jak będzie układała się współpraca z nowym partnerem. Hans Lange z miasta Stolp wydał mu się bardzo sympatyczny. Ale rozmawiali nieoficjalnie, po godzinach. Ludzie potrafią być inni prywatnie, a zupełnie inni w pracy. Poza tym Lange sprawiał wrażenie starego wyjadacza, wypytywał o prowadzone sprawy, często domagał się szczegółów. Czy okaże się nadgorliwcem? A może spróbuje wygryźć Tyla, by na jego miejsce sprowadzić jakiegoś swojego znajomka? Tę ostatnią myśl Klaus jak najszybciej od siebie odgonił. Jeszcze bardziej przyspieszył kroku. Nie tylko dlatego, żeby się rozgrzać.

Zegar w gabinecie Franza Wincklera wybijał ósmą, kiedy Klaus Tyl zajmował miejsce przy stole. Oprócz niego i inspektora nie było nikogo, a to oznaczało jedno: nowy się spóźnia.

Nieładnie, jak na pierwszy dzień w robocie. Może przesadził wczoraj w szynku? – pomyślał Klaus i, niestety, poczuł przy tym lekką, leciutką, ale jednak satysfakcję.

Tymczasem inspektor w spokoju czytał najświeższe wydanie „Königer Zeitung”. Zza płachty gazety co raz dochodziły pochrząkiwania i bulgot z palonej fajki. Klaus Tyl wiedział, że to rytuał, nie śmiał więc go przerywać. Poza tym nigdzie mu się nie spieszyło. Wolał siedzieć w cieple i milczeć, niż moknąć na ulicy.

– Dobra, możemy zaczynać. – Inspektor odłożył na bok gazetę.

Tyl skinął głową w milczeniu. Inspektor podrapał się z zakłopotaniem, po czym rzekł oficjalnym tonem:

– Miałem panu dziś przedstawić nowego partnera, ale, niestety, sprawa jego przeniesienia trochę się przeciąga.

Klaus zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział.

– Nie wiedziałem, że w Elbing tacy biurokraci – dodał po chwili inspektor, grzebiąc w fajce szpikulcem niezbędnika.

Młody policjant poczuł, że robi mu się nieznośnie gorąco.

– W Elbing?

- A tak. Stamtąd przyjedzie do nas nowy człowiek. Platzeł jego nazwisko. Może pan słyłzał? Podobno niezły...

Ale Klaus Tyl nie słyłzał. Docierało do niego coraz mniej słów przełożonego. Czuł, że się dusi. Miał wrażenie, że za chwilę sufit runie mu na głowę. To zresztą byłoby chyba najlepsze, co mogło go teraz spotkać.

Kim był człowiek, któremu wszystko wczoraj opowiedziałem? Co się ze mną stanie, gdy to się wyda? - zastanawiał się. Czuł przy tym, że ogarnia go coraz większe przerażenie.

Po chwili okazało się jednak, że Hansowi Langemu (czy jak się tam naprawdę nazywał ów oszust!) Klaus Tyl nie powiedział o wszystkim. Nie o wszystkim wszak wiedział. Do gabinetu szefa wydziału zabójstw wszedł umundurowany policjant i zameldował o tym, co wydarzyło się tej nocy.

6

Stanisław Berg nie mógł nie uśmiechnąć się na myśl o wczorajszym wieczorze spędzonym w szynku Pod Tłustym Wieprzkiem. Z jednej strony Ludwig Schatzki miał sporo racji, opisując swojego partnera. Tępy i naiwny. Z drugiej jednak Berg nie do końca zgadzał się z oceną przyjaciela. Klaus Tyl wydał mu się nawet miły, a jego dezorientację składał na karb zagubienia w wielkim mieście. Stachowi nie przeszkadzała nawet mocno woń cebuli. Tak czy inaczej dał się podejść bez większego problemu. Wyśpiewał wszystko, co interesowało Berga. O jedno tylko Stach nie zapytał. O Rocha.

Teraz siedział w przedziale pociągu, który punktualnie o dziewiątej dziesięć rano wyjechał w kierunku wschodnim. Naprzeciwko niego siedzieli państwo Krautter. On czytał gazetę, której winietę detektyw widział po raz pierwszy, ona zaś – niewielką książeczkę oprawioną w skórę. Nie było na niej wytłoczonego tytułu ani nazwiska autora. Mógł to więc być zarówno francuski romans, jak i modlitewnik.

Pociąg wjechał do głębokiego parowu, gdy Stach wyciągnął z wewnętrznej kieszeni surduta plik fotografii, które poprzedniego wieczora „zapomniał” oddać Klausowi Tyłowi. Zaczął je przeglądać, oczywiście nie po raz pierwszy. Tak, Eva Peters miała smutny pochówek. Każdy jest, rzecz jasna, smutny, ale ten był taki z powodu niewielkiej liczby osób, która przyszła pożegnać nieszczęsną. Stach znał co prawda takich, którzy odgrażali się, że nie wyobrażają sobie innego pogrzebu niż tylko w gronie najbliższych. I bez klechy. Co z tych planów wychodziło, to już inna sprawa. Najważniejsze było jednak pytanie, czy wśród uczestników uroczystości pojawił się ktoś, kto miał coś wspólnego ze śmiercią Peters.

- Znają państwo tego mężczyznę? - Wręczył jedną z fotografii Krautterowi.

Ojciec zaginionej przez chwilę przyglądał się zdjęciu, potem pokręcił głową i przekazał je żonie.

- To pogrzeb tej dziewczyny... - ni to zapytała, ni to stwierdziła kobieta.

- Zgadza się - rzekł detektyw.

- Straszne.

Oddała zdjęcie. Pozostałych, na których uwieczniono księdza, a także grabarzy i samego Klause Tyla, bo i on zjawiał się na cmentarzu, oczywiście służbowo, Stach już Krautterom nie dawał. Po trosze żałował nawet, że pokazał to jedno, bo jeszcze bardziej pognębił tym rodziców dziewczyny, o której losie wciąż nic nie wiedzieli.

A co Berg wiedział o Monice Krautter? Z tego, co zdążyli zrelacjonować jej najbliżsi podczas pierwszego spotkania, przy ich córce kręcił się jakiś absztyfikant. Panna Krautter mogła więc uciec z nim, a w takim przypadku nie pozostało im nic innego, jak tylko cierpliwie czekać, aż się odkocha. Albo przeciwnie - wróci, by prosić najpierw o przebaczenie, a potem na ślub. Mogło ją też spotkać jakieś nieszczęście, a wtedy pomoc mogła jedynie żarliwa modlitwa. Stach wzruszył ramionami do swoich myśli. Nigdy nie był zbyt religijny i nie zapowiadało się, by miało się to kiedyś zmienić.

- Ech, co też się dzieje na tym świecie! - burknął starszy pan, przewracając stronę gazety, na co jego żona na chwilę uniosła wzrok znad książki i ciężko westchnęła.

- Co pan tam wyczytał, panie Krautter? - zapytał Berg; nie interesowało go to zupełnie, chciał tylko wykorzystać okazję do podjęcia rozmowy, cisza zaczynała bowiem już trochę go krępować.

- A nic, nic... - Mężczyzna wycofał się, co jego żona skwitowała kolejnym westchnięciem, chyba jeszcze głośniejszym.

Albo wciąż nie ufali Bergowi, albo tylko za mało się znali. Kto wie, może inaczej będzie po wspólnej podróży. Jechali do Insterburga, bo

Stach chciał rozejrzeć się w mieszkaniu Krautterów, w szczególności zaś w pokoju zaginionej. Liczył na to, że znajdzie tam coś, co może naprowadzić go na jej trop.

Konduktor przyszedł, by sprawdzić bilety. Podał mu je pan Krautter; za podróż uparli się zapłacić klienci, mimo że detektyw otrzymał już część swego wynagrodzenia.

- Nie mamy opóźnienia. Za pięćdziesiąt minut będą państwo w Insterburgu - poinformował uprzejmie pracownik kolei, oddając bilety Krautterowi.

Stach postanowił podjąć jeszcze jedną próbę.

- Sporo w życiu podróżowałem koleją, ale wasza wydaje mi się najlepsza - rzekł z mocą.

- Że punktualna? - podchwyciła pani Krautter, nawiązując do niedawnej wizyty konduktora i jego słów.

- W rzeczy samej. Godna podziwu jest też cała sieć połączeń.

Dużo by jeszcze mógł opowiadać, miał bowiem w zanadrzu wiele niewiarygodnych kolejowych historii. Niektóre były zasłyszane, parę sam przeżył, jak choćby niedawny nieudany wyjazd z Königsberga, kiedy to uratował Anne-Marie Fuchs poturbowaną przez złodzieja. Oczywiście ograniczyłyby swoją rolę do minimum, bo nie ma nic gorszego niż przechwalający się prywatny detektyw. Tym bardziej taki, który właściwie jeszcze niczego w nowym śledztwie nie dokonał.

Niestety, i ta przynęta okazała się zbyt słaba. Po tym, jak wypowiedział ostatnie zdanie, państwo Krautter tylko życzliwie się uśmiechnęli. Potem każde wróciło do swej lektury.

Trudno się dziwić, że nie chcą gadać, skoro oboje mają taki ambaras - tłumaczył sam sobie w duchu Berg.

Zaraz też dopadło go uczucie smutku i pustki. Spojrzał za okno na przesuwany się jesienny krajobraz. Ujrzał chatynkę bielącą się pruskim murem na tle szarej ściany lasu. Z komina unosiła się smużka dymu. Usiłował wyobrazić sobie ludzi, którzy tam mieszkali, ich codzienne problemy, które jemu pewnie wydałyby się śmieszne.

Problem w tym, że Stach własnego domu wciąż nie posiadał. Lat miał trzydzieści dwa, jego rówieśnicy uczyli już synów jeździć konno, strugać patyki czy grać w szachy. Dumni byli z córek, być może nawet wypatrując już dla nich w okolicy jakiejś dobrej partii. Pomnażali majątki, kupowali ładne meble i obrazy, konie i powozy. A on? Mimo coraz liczniejszych siwych nitek we włosach i coraz dłuższego czasu, którego potrzebował, by rano wstać z łóżka, wciąż jakoś dorosnąć nie potrafił.

Miasteczko Insterburg powitało ich słońcem, które śmiało przedarło się pomiędzy chmurami. Przed dworcem kolejowym pan Krautter zawołał dorożkę. Dziesięć minut później zatrzymali się przed ładną, piętrową kamieniczką przy Königsbergerstrasse, obok cukierni.

- Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej - westchnęła pani Krautter zaraz po tym, jak stanęła ponownie na chodniku.

- Szkoda tylko, że wracamy sami - skwitował jej mąż pod nosem.

Stach, który był dwa kroki od niego i rozglądał się z zaciekawieniem dookoła, usłyszał wszystko dokładnie.

- Zapraszamy, panie Berg - powiedział już głośniejszy starszy pan.

Rodzice zaginionej Moniki zajmowali mieszkałi na pierwszym piętrze. Były to trzy niewielkie, ale schludne i gustownie urządzone pokoiki. Pan Krautter pracował na co dzień jako urzędnik w magistracie. Musiała to być dość intratna posada, bo jego żona zajmowała się domem. Do tego jeszcze studia córki.

- Czego się pan napije? - W kobietę, która znalazła się w dobrze znanych i bezpiecznych dekoracjach, jakby powoli na nowo wstępowało życie. - Za godzinę postaram się podać obiad.

- Najpierw wolałbym się trochę rozejrzeć - odparł Stach. - Czy może mnie pani zaprowadzić do pokoju córki?

- Ja to zrobię - odezwał się Krautter.

Zdażył się już przebrać w zieloną bonzurkę, na nogi włożył zaś miękkie, skórzane bambosze.

- Żona nie wchodzi tam od czasu zaginięcia Moniki - wytłumaczył półgłosem, kiedy zmierzali w stronę izby.

- Rozumiem.

Pokój Moniki Krautter znajdował się na końcu krótkiego i wąskiego korytarzyka. Starszy pan pchnął drzwi i przepuścił gościa. Pierwsze, co uderzyło Stacha, to panujący w tym miejscu porządek. Na stoliku pod oknem nie było nic prócz haftowanej w czerwone różyczki serwetki. Wąskie łóżko było zasłane, a leżący na wierzchu kocyk wygładzony tak, jakby też okrywał stół, nie zaś kołdrę. Gdyby nie książki ustawione w równym rzędzie na podwójnej półce wiszącej na ścianie, można by było odnieść wrażenie, że pokój czeka, aż go ktoś wynajmie.

Stach jeszcze raz przebiegł wzrokiem po grzbietach książek. Z Brontë i Fontane'em na półce Monika Krautter niewiele różniła się od żony konsula Steinhoffa, jeśli zapytać o literackie gusta. Brakowało jednak jakiegokolwiek literatury fachowej, a przecież Monika, jak podkreślali jej rodzice, studiowała na Albertynie medycynę.

- Nie widzę tu żadnych atlasów ani podręczników anatomii. - Stanisław Berg spojrział na pana Krauttera.

- Zgadza się. Wszystkie książki miała ze sobą, na stacji w Königsbergu. To była jej wielka pasja. To znaczy jest. - Chrząknął. - Myślę, że postanowiła zostać lekarzem, kiedy zachorowała jej babcia Gudrun.

- Babcia?

- Matka mojej żony. Niestety, nie udało się jej uratować.

- Kiedy to było?

- Dwa lata temu. Suchoty. - Mężczyzna pociągnął nosem.

- Przykro mi.

Berg znów przez dłuższą chwilę rozglądał się po pokoju. Podszedł do okna, odchylił firankę i wyjrzał na ulicę. Akurat przejeżdżała nią chłopska furka wypełniona kopiaście ziemniakami. Tak, ludzie już

gorączkowo zaopatrywali się na zimę. Na tę myśl znów zrobiło mu się nieswojo.

Niczego tutaj nie znajdę – pomyślał z rezygnacją.

– Proszę mi powiedzieć, panie Krautter, w jakich okolicznościach i kiedy poznał pan Evę Peters? – zapytał.

Zdało mu się, że starszy pan jest zaskoczony pytaniem. Urzędnik uniósł brwi i ściągnął je po chwili. Nie odpowiedział też od razu, z czego jednak zaraz się wytłumaczył:

– Wie pan, aż musiałem pomyśleć. Tyle tego wszystkiego zważyło nam się na głowy w ostatnim czasie... Serce mi zamarło, kiedy tamtego dnia pokazano nam jej fotografię na uniwersytecie. Od razu ją poznałem, mimo że było to zdjęcie... Jak by to powiedzieć...

– Trupa – dokończył ze spokojem Stach, choć mógł powiedzieć „nieboszczki”.

Starszy pan aż się wzdrygnął. Chyba nie był jednym z tych chłopaków, którzy ćwierć wieku temu szli z bagnetami na Paryż.

– Tak. Trupa.

– Gdzie i kiedy widział ją pan wcześniej? – Berg spokojnie powtórzył pytanie.

– Latem. Chyba to było w lipcu. Monika wyjechała z przyjaciółmi nad otwarte morze. Z początku myślałem, że wybiera się tam z koleżankami z Insterburga. Miała kilka od serca, z dobrych domów, jeszcze z czasów szkolnych. Ale potem okazało się, że to inne, zupełnie nowe towarzystwo. Widziałem tylko powóz z okna. No i pannę Peters. Źle się poczuła i Monika przyprowadziła ją na górę, żeby trochę wydobrzała.

– I wydobrzała?

– Tak. Spieszyły się. W tym powozie ktoś na nie czekał.

– Kto?

– Znajomi.

– Nie widzieli ich państwo?

– Nie.

– I nie bali się państwo o córkę? Wyjeżdżała przecież z obcymi.

- Oczywiście, że się baliśmy. Szczególnie żona. Ale Monika jest przecież dorosła! Poza tym zawsze lubi postawić na swoim. - Tym razem pan Krautter bez zająknięcia używał czasu teraźniejszego. - Nie mówiąc już o tym dziwnym tworze, który miesza kobietom w głowach, czyli emancypacji. Monika przyjechała zresztą do domu tydzień później, cała i zdrowa. Gdyby nie wróciła z kurortu, pewnie szukalibyśmy tam, a nie w stolicy. Prawda?

- Prawdopodobnie - mruknął detektyw. - A widział pan jeszcze potem ten powóz?

- Nie. Evy Peters też nie.

Stanisław Berg podrapał się po policzku. Próbował zebrać myśli. Teraz powinien zapytać o tego absztyfikanta, który kręcił się przy panie Krautter. Zamiast tego zapytał jednak o kilka innych rzeczy. Następnie podszedł do okna i ponownie wyjrzał na ulicę. Zamiast fury z ziemniakami ujrzał młodego mężczyznę. Mimo jesieni, nie miał na sobie palta ani kapelusza. Jedynie szyję owinął wysoko szalikiem, a ręce trzymał w kieszeniach. Wyglądał jak ktoś, kto na chwilę tylko wybiegł z domu po gazetę albo papierosy. Osobnik ów stał na chodniku, po drugiej stronie Königsbergerstrasse, przed wejściem do kamienicy, w której znajdowało się mieszkanie Krautterów. I spoglądał dokładnie w ich okna!

Kiedy Stach gwałtownie odchylił firankę, mężczyzna drgnął i odwrócił głowę. Sekundę później wtulił ją w ramiona, jeszcze głębiej wsunął dłonie do kieszeni i gibnął się w lewo.

Może jednak nie wrócę z niczym - pomyślał Berg i wybiegł z pokoju zaginionej, zostawiając w nim osłupiałego zupełnie pana Krauttera.

7

Znalazłszy się na Königsbergerstrasse, zrazu nie wiedział, w którą stronę powinien skierować kroki. Tamten mógł jednak, wykorzystując tych kilka, kilkanaście sekund, kiedy nie był obserwowany, zawrócić i podążyć w przeciwnym kierunku czy też skrócić gwałtownie w pierwsze lepsze podwórko, a wtedy szukaj wiatru w polu! Był w swoim mieście, które Berg odwiedzał po raz pierwszy. Oczywiście w ten sposób uciekinier pokazał, że ma coś na sumieniu, ale marna to była pociecha dla kogoś, kto potrzebował szybkich odpowiedzi...

Stach uspokoił oddech. Stanąwszy na krawędzi chodnika, jeszcze raz ogarnął spojrzeniem ulicę. Ruch nijak się miał do tego w Königsbergu, nie mówiąc już o Łodzi. Ale miasto nie było też wyludnione: oto jakiś starszy pan wychodził właśnie z cukierni ze słodkim niechybnie pakunkiem, kilka kroków dalej dwoje dzieci bawiło się w corso. Fura z ziemniakami, którą Berg widział wcześniej, jechała teraz w przeciwnym kierunku. Daj Boże, nieco lżejsza...

Przymknął powieki, wstrzymał oddech i wyteżył słuch.

- Uważaj pan, jak chodzisz! - Z lewej strony, czyli stamtąd, skąd przyjechał dorożką z Krautterami, dobiegł jego uszu podniesiony głos kobiety.

Otworzył oczy. Kilkanaście kroków dalej jakaś wiejska baba z koszem wygrażała komuś pięścią. Wtedy go zobaczył: młodego, niekompletnie ubranego człowieka, który, zapewne potrąciwszy przekupkę, oddalał się teraz szybkim krokiem.

- Stój! - zawołał Berg.

Ale tamten ani myślał słuchać. Stach ujrzał tylko zdarte do białości podeszwy butów. Runął do przodu, tuż przed chrapami chabety, która z mozołem ciągnęła wóz. Zdążył tylko usłyszeć

przekleństwo wozaka. Szerokim łukiem minął za to wieśniaczkę z koszem. Wylądowanie głową w mendlu jaj było mu w tej chwili najmniej potrzebne. Mimo to przekupa coś za nim krzyknęła, w dziwnym jakimś dialekcie, ale bez wątpienia nie dziękowała za ostrożność. Nie zważał jednak na to, tym bardziej że tamten znów zniknął mu z pola widzenia. Stach dostrzegł skrzyżowanie ulic. Gdy mijał bramę przedostatniej kamienicy, usłyszał szczekanie psa. Zatrzymał się tak gwałtownie, że idąca z przeciwka para w wieku Krautterów uskoczyła w bok, niemal na ulicę, jakby byli pewni, że chce ich zaatakować z żądaniem oddania pieniędzy.

- Przepraszam! - Uchylił uprzejmie kapelusza i już był w bramie, ścigany przez spojrzenia zdenerwowanych przechodniów.

Pies szczekał coraz głośniej. Po chwili Stach zobaczył kundelka. Ponoć czyste rasy mogły zazdrościć mieszañcom inteligencji - oraz, jak się okazało, także czujności. Piesek uporczywie ostrzegał domowników, że w pobliżu znalazł się intruz. Przy czym na nowego gościa na podwórku jakoś nie zwracał uwagi.

- Co tam za hałasy?! - Dobiegło z któregoś z otwartych okien na parterze.

Wiedział, że musi się spieszyć. Spojrzał w kierunku, który bez chwili przerwy obszczekiwał piesek. Uciekinier ukrył się w niewielkiej, drewnianej komórce, znajdującej się w rogu podwórka, w załomie muru oddzielającego jedną posesję od drugiej. Stanisław Berg sięgnął w zanadrze po swojego colta i ostrożnie ruszył w stronę kryjówki. W każdej chwili mogło się okazać, że się myli i że człowiek bez palta i kapelusza czai się gdzie indziej. Minąwszy psa, odwrócił się i spojrzał w dół. Położył palec na ustach.

- Pssst. Już. Dość.

Ktoś, kto byłby świadkiem tej sceny, otworzyłby w tym momencie usta ze zdumienia. Kundelek nie tylko bowiem natychmiast przestał ujadać, ale też położył uszy po sobie. Po chwili nawet ugiął łapy. Berg w kilku krokach zbliżył się do drzwi komórki. Stał obok.

- Koniec zabawy - zawołał niegłośno.

Cisza. Detektyw stuknął w drzwi lufą rewolweru.

- Wiem, że tam jesteś. Wyłaź!

W tej samej chwili potwierdziły się obawy Stacha, szczekanie psa ściągnęło jeszcze kogoś. Trzasnęły drzwi klatki schodowej, potem rozległ się odgłos kroków i sapanie.

- Co tam za hałasy?! - Zabrzmiało tym razem o wiele głośniej i groźniej.

Niewiele myśląc, Berg pchnął mocno drzwi. Wysiłek był całkowicie zbędny, bowiem uciekinier zdążył zdjąć skobel i odsunąć się od drzwi komórki. Tak czy inaczej Stanisław Berg znalazł się w środku. Nie był pewien, czy mieszkaniec kamienicy zdążył go dostrzec.

Od razu zobaczył mężczyznę, którego ścigał: stał pod przeciwległą ścianą, na jego twarzy widniał wąski promień światła wpa-dającego przez jedyne okienko. Na oko był młodszy od Berga, przynajmniej dziesięć lat. Z przerażeniem wpatrywał się w lufę wycelowaną w jego pierś.

- Cze... czego pan ode mnie chce? - wyjąkał.

Stach nakazał mu milczenie, takim samym ruchem jak przed chwilą kundelkowi. Kiedy osaczony potwierdził niemo, znów przybliżył ucho do drzwi.

- Czego szczeka, czego szczeka? - odezwał się lokator i najprawdopodobniej jednocześnie właściciel czworonoga. - Przecie widzi, że nikogo tu nie ma. Chodź do domu, Rex. Pani ma dla ciebie jeszcze ciepłe kosteczki z rosółu.

Detektyw czuł, jak uchodzi z niego powietrze. Nie wiedział, co zrobiłby, gdyby tamten zdecydował się wejść do środka. Pewnie doszłoby do awantury, może nawet lokator rzuciłby się na niego, biorąc za złodzieja. Na nic zdałyby się tłumaczenia. Nic się jednak nie stało, a ważniejsze było, by dowiedzieć się czegoś od człowieka z komórki. Rewolweru na wszelki wypadek postanowił jeszcze nie chować.

- Dlaczego pan uciekał? - zapytał Stach.

- Bo pan mnie gonił - odrzekł błyskawicznie nieznajomy.

- Nie, nie. Wyjaśnijmy to sobie. Jeszcze nie zacząłem, kiedy pan już czmychnął spod kamienicy Krautterów...

- Znikąd nie czmychnąłem.

- Tylko co?

- Po prostu spieszyłem się do pracy. Właściwie już powinienem tam być, jeśli nie chcę kłopotów. - Zrobił krok do przodu, ale równie szybko się cofnął.

Stach westchnął głęboko.

- W takim razie proszę mi łaskawie wytłumaczyć, dlaczego pan tam stał.

Brak odpowiedzi. Ręka z coltem lekko się uniosła.

- Bo... bo myślałem, że... że Monika wróciła do domu. - Tamten znów zaczął się jękać.

Czyżby to był właśnie ów narzeczony, o którym na początku wspominali mimochodem rodzice dziewczyny? - pomyślał detektyw.

Mimo to postanowił z nim pograć. Zrobił groźną minę.

- Niby skąd miałyby wrócić? - zapytał.

- Nie wiem. Wyjechała jak zwykle do Königsberga, ale potem nie przyjechała na niedzielę do domu. Martwię się tak samo jak oni. Może nawet bardziej...

- Dlaczego? Kim jest dla pana Monika Krautter?

Cisza.

- Narzeczoną?

Na te słowa młody mężczyzna mruknął coś i spojrzał bykiem na Stacha.

- A dla pana? - zapytał hardo po chwili.

W tym momencie wielu na miejscu naszego przyjaciela prawdopodobnie straciłoby cierpliwość. On jednak miał jej jeszcze sporo w zapasie. Uznał za stosowne wyjaśnić, z jakich powodów przebywał w mieszkaniu Krautterów, a potem ścigał tego mężczyznę z bronią w ręku. Wiele przemawiało za tym, że ma przed sobą raczej sprzymierzeńca niżli wroga. Liczył, że intuicja go nie zawiedzie.

Dotknął róna kapelusza i nieznacznie skinął głow.

- Moje nazwisko Berg. Jestem prywatnym detektywem z Königsberga, wynajtym przez rodziców Moniki - powiedzia szybko, mocnym głosem.

- Andreas Beck - przedstawi si mody mezczyzna, kilka razy zakasa. - Pracuj na poczcie w Insterburgu. Bardzo kochaem Monik... To znaczy nadal j kocham - szybko si poprawi. - I, niestety, nie bya moj narzeczon.

8

Kwadrans później siedzieli w gospodzie nieopodal Starego Rynku. Stach był głodny, miał wszak za sobą podróż pociągiem i pogoń za podejrzanym, ale z jedzeniem postanowił poczekać. Obiecano mu wszak posiłek u Krautterów, z którego nie zamierzał rezygnować, choć pewnie jego pracodawcy zachodzili w tej chwili w głowę, dlaczego tak nagle i bez słowa wyjaśnienia opuścił ich mieszkanie. Miał nadzieję, że obiad pozwoli mu wyciągnąć z nich informacje, których prawdopodobnie nie zdobyłby „na głodniaka”. Posiłek przy wspólnym stole był niezwykle istotny dla dobra śledztwa. Przekonał się o tym wielokrotnie.

Teraz miał zamiar wyciągnąć jak najwięcej od Andreasa Becka. Młody mężczyzna jakoś już się nie spieszył do pracy. Kiedy mijali budynek poczty, nawet nie spojrzał w jego kierunku. To też należało koniecznie wyjaśnić. Może nawet już teraz.

- Powiedział pan, że pracuje na poczcie - zagadnął Berg.

- Zgadza się. Ale tej przy dworcu kolejowym. To zawsze rodziło okazję, by spotykać Monikę, kiedy wracała z Königsberga. Bo kiedy wyjeżdżała, urząd był jeszcze nieczynny.

- Rozumiem. Dawno się znacie?

- Jeszcze z czasów szkolnych, zawsze była bliska mojemu sercu. Chyba ona myślała o mnie tak samo. Niestety, nie pochodzę z bogatej rodziny, ledwo udało mi się dostać miejsce na poczcie. Krautterowie nawet nie chcieli słyszeć o naszym małżeństwie...

- Prosił pan?

- Aż dwa razy. Niestety, za każdym razem mi odmawiano. Kulturalnie, ale stanowczo.

Stach pokiwał głową. Po części również po to, by wyrazić szacunek dla tego człowieka. Był starszy od Becka, a jakoś nigdy jeszcze nie zdobył się na taki czyn. Owszem, potrafił kłamać, używać podstępów, podawać się za kogoś innego, nierzadko więzić podstępem i zadawać ból – wszystko to, mimo że czynione w słusznej sprawie, nie było niczym innym jak kłamstwem, podstępem i zadawaniem bólu drugiemu człowiekowi. Ale poprosić o rękę kobiety? Nie, aż tak odważny Stanisław Berg nie był...

- Przykro mi, panie Beck – bąknął jeszcze. - Mam jednak nadzieję, że mimo tego afrontu pomoże mi pan odnaleźć Monikę Krautter.

- W jaki sposób miałbym to zrobić?

- Wiem, że to będzie dla pana przykre, ale musi mi pan powiedzieć jedną rzecz.

To powiedziawszy, Stach pochylił się nad blatem. Niedoszły ukochany panny Krautter uczynił to samo.

- Słucham.

- Skoro nie pan jest narzeczonym Moniki, to kto nim jest?

Był przygotowany, że jego pytanie spowoduje różne reakcje. Chłopak mógł bez słowa wstać z miejsca i wyjść. Mógł też wszcząć awanturę lub huknąć pięścią w stół i zakląć szpetnie. Wszak to nic przyjemnego dostać czarną polewkę. Dlatego zachowanie Andreasa Becka bardzo zdziwiło detektywa. Człowiek, którego miłością wzgardzono, zaczął się śmiać. Zrazu cicho, pod nosem, po chwili coraz głośniej. Wreszcie rechotał na całe gardło. Siedzący po sąsiedzku goście przerwali rozmowy. Ktoś nawet narysował sobie palcem kółko na skroni.

- Niech się pan uspokoi, panie Beck – warknął Stach, spozierając ukradkiem na boki.

W odpowiedzi pracownik poczty aż klepnął się dłońmi w uda. Dwaj kelnerzy, którzy stali przy szynkwasiu, wymieniali między sobą uwagi na ich temat. Beck zamilkł tak niespodziewanie, że do

kilkunastu par uszu bez problemu dotarły słowa jednego z biesiadników:

- Musi wariat!

Andreas spojrział koso w tamtym kierunku i warknął głośno:

- Uważaj na słowa, Schwarz, bo następnym razem zamiast liściku do twojej nowej kurwy w Trempen podstempluję twoją mordę.

Nogi krzesła zazgrzytały nieprzyjemnie o podłogę. Człowiek nazwiskiem Schwarz zerwał się z siedzenia, ale zatrzymały go ręce. Na szczęście na tym się skończyło, choć Berg zdążył już odchylić połę surduta, by mieć szybszy dostęp do broni. Po chwili w gospodzie znów panował wcześniejszy gwar.

- Przepraszam - powiedział Andreas. - Ale nie mogłem się powstrzymać. Ilekroć pomyślę sobie o tym starym kapciu, chce mi się śmiać. Choć powinienem płakać. Ale już się wypłakałem za wszystkie czasy. Proszę mi wierzyć.

- Próbuję.

Berg wciąż czuł narastający głód. Nie był też pewien, czy są tu bezpieczni. Zdecydowanie należało kończyć spotkanie.

- Co to za kapeć? - zapytał.

- Krautterowie panu nie mówili? - zdziwił się Andreas.

- Proszę odpowiedzieć.

- Nazywa się Dieter Hahn.

- Kim jest?

- Ma aptekę niedaleko stąd, dosłownie dwa kroki. Zaprowadzę pana. Tylko niech mnie pan nie prosi, żeby wchodził do środka.

- Rozumiem. Nie chce pan, by uszczupliły się zapasy środków opatrunkowych.

Andreas Beck miał rację: apteka Dietera Hahna znajdowała się niespełna minutę drogi od gospody. „Pod Łabędziem” głosił napis pod pasiastą markizą, której, mimo że jesień była w pełni, jeszcze nie zdjęto.

Berg stał przez chwilę na chodniku. Było stąd widać wysoki hełm wieży kościoła na Starym Rynku. Spojrzał w drugą stronę, gdzie spodziewał się ujrzeć swego cicerona. Ale Andreas Beck zniknął. Być może gdzieś się ukrył, ciekaw, co z tego wszystkiego wyniknie. Pewnie dałby wiele, by detektyw z Königsberga wyręczył go w zemście i oćwiczył człowieka, który okazał się bardziej godnym ręki panny Krautter. Przynajmniej w ocenie jej rodziców.

Dzwonek u drzwi obwieścił przybycie nowego klienta. Wnętrze apteki było puste i ciemne – nie tylko za sprawą niewłaczonych lamp, ale też mebli, głównie wysokich, rzeźbionych kredensów.

– Dzień dobry – rzucił Stach głośniejszym głosem niżliby to zrobił w sklepie z subiektem za ladą.

– Uszanowanie. Już idę – dobiegł z głębi apteki męski, zachrypnięty głos.

Ile trzeba mieć lat, by mówili o tobie per „stary kapeć”? – zastanawiał się Berg, usiłując wyobrazić sobie tego człowieka.

Po chwili stanął przed nim osobnik mocno po pięćdziesiątce, przygarbiony. Jego czaszkę o dziwnym, zbliżonym do sześcianu kształcie pokrywały rzadkie włosy. Ich kolor skojarzył się Stachowi z piórami – o ironio! – łabędzia. Ten człowiek jednak młody nie był. Panowie w latach nieraz brali za żony młódki, zazwyczaj bardzo posażne. Bywało, że nawet cieszyli się potomstwem! Berg znał jednak również takie przypadki, że kobieta buntowała się przeciw konwenansom. Czyżby i panna Krautter po prostu uciekła przed starcem, za którego niechętnie chciano ją wydać?

– Czym mogę panu służyć? – zapytał Dieter Hahn. – Pewnie potrzebuje pan czegoś na katar, bo to ten czas. Co?

– Nie, nie na katar – odparł Stach i zmotywowany przez ssanie w żołądku, natychmiast przystąpił do rzeczy: – Jestem prywatnym detektywem i przyjechałem do Insterburga w sprawie zaginięcia Moniki Krautter. To jest, zdaje się, pańska narzeczona.

– Była narzeczona – sprostował szybko Hahn.

– Czyżby?

- Owszem. Ktoś wprowadził pana w błąd, panie...

- Berg.

Aptekarz chrząknął głośno. Stach zauważył, że staremu trzęsą się ręce.

- Nie mam nic wspólnego z rodziną tych oszustów - powiedział wreszcie.

- Dlaczego pan tak mówi o państwu Krautterach? - zapytał detektyw.

Dieter Hahn zrobił krok w bok i otworzył szufladę. Wyjął z niej jakąś buteleczkę z brązowego szkła, wysypał na dłoń dwie tabletki (lata praktyki!). W innych okolicznościach, gdyby człowiek ten byłby o coś podejrzany, detektyw niechybnie rzuciłby się w jego kierunku i wytrącił z ręki najpewniej truciznę. Teraz jednak przyglądał się poczynaniom starca ze spokojem. Musiały to być leki na uspokojenie czy coś w tym rodzaju, bo niedługo po tym, jak Hahn połknął pastylki, jego ręce przestały drżeć, sylwetka jakby lekko się wyprostowała, a ruchy stały się bardziej wyważone. Aż chciałoby się poprosić o to samo!

- A jak mam o nich mówić?! - zaperzył się aptekarz. - Zapytaj pan w naszym ratuszu, gdzie pracuje mój niedoszły teść, o zamówienia na drewno. Zapytaj pan o to, dlaczego kupiono je akurat tam, gdzie kupiono.

Stach poczuł strużkę potu spływającą mu wzdłuż kręgosłupa, mimo że w aptece nie było gorąco. Jej właściciel zamknął ze złością szufladę i mówił dalej:

- O sprawie było głośno kilka tygodni temu, więc nikt nie będzie mówił, że ma kłopoty z pamięcią. Ja, panie szanowny, przez całe życie uczciwie pracowałem, nie szedłem na skróty. Tę aptekę założył mój ojciec. Chciałem ją przekazać swoim dzieciom.

To co robiłeś przez czterdzieści lat? - zapytał go w myślach Berg. Głośno zaś rzekł:

- Nie chce mi się chodzić do ratusza. Boli mnie noga. Ma pan może jakąś maść?

Po chwili na kontuarze pojawił się niewielki słoiczek, a obok kilka monet, które z powagą położył Stach.

- To jak się zakończyła ta sprawa z drewnem? - zapytał.

- A jak się miała zakończyć? Nic mu nie zrobili.

- Naprawdę?

- Znalazł się taki, co przejrzał papiery, a potem pomachał swoimi. I tyle. Tylko jakichś dwóch Bogu ducha winnych robotników leśnych dostało grzywnę i tydzień aresztu.

Zabrzmiał dzwonek u drzwi i do apteki weszła kobieta. Zaaferowana, tłumaczyła coś spieszenie w jakimś dziwnym narzeczu, Dieter Hahn kiwał zaś kwadratową głową. Potem odwrócił się i z jednej z półek zdjął słoik, z którego wysypał na wagę nieco szarych pastylek. Następnie zapakował je do papierowej tubki, którą na koniec podał kobiecie.

Stach nie zauważył, by aptekarz wziął pieniądze. W gruncie rzeczy miał przed sobą nieszczęśliwego człowieka, który najprawdopodobniej przez całe życie odmierzał tabletki na wagę, ubijał jakieś proszki w moździerz, przelewał płyny z kolby do menzurki. A na starość pomyślał o ożenku. Może ktoś inny machnąłby ręką na to, że przyszyły teść był na bakier z prawem, a może nawet przeciwnie - zacierałby ręce z zadowolenia, bo mogło to oznaczać większy posag. Ale najwyraźniej nie Dieter Hahn z apteki Pod Łabędziem.

9

Chwilę później Stach, zapytawszy o drogę na Königsbergerstrasse jakiegoś chłopca w wieku Oskara, szybkim krokiem maszerował w kierunku domu Krautterów. W głowie układał już sobie scenariusz rozmowy i kolejność pytań. To, czego się dowiedział w ciągu nieco ponad godziny od dwóch mężczyzn, z których każdy był na swój sposób związany z zaginioną Moniką, wymagało weryfikacji. Wstrzymywał się też z osądem starego Krauttera, póki nie wysłucha jego racji. Przede wszystkim jednak zastanawiał się, czy afera, o której mówił wzburzony aptekarz, miała jakiś związek z zaginięciem Moniki.

Stanisław Berg już widział szyld cukierni. Odruchowo przyspieszył kroku, w czym być może pomógł mu zapach karmelu. Już wcześniej jednak zdecydował, że najpierw zje, a potem zada kilka kłopotliwych pytań. Czyste wyrachowanie? Ależ oczywiście, że tak!

Szparko wbiegł na piętro i zapukał. Ale nikt mu nie otwierał. Po chwili ponowił próbę, trochę głośniej. Przystawił ucho do drzwi.

- A Krautterów to nie ma.

Odwrócił się. Na progu mieszkania naprzeciwko stała jejmość w koronkowym czepku. Dlaczego nie usłyszał odgłosu otwierania drzwi?

- Dzień dobry. - Uprzejmie uchylił kapelusza. - Ja jestem znajomym...

- No przecie mówię, że nie ma. Wyjechali.

- Ale kiedy? Dokąd?

- Godzina będzie, jak schodzili z walizką. Spieszyli się, on co chwila poganiał żonę, choć zwykle bywało odwrotnie. A dokąd, to ja już nie pytała. Nie moja rzecz.

Gdyby nagle przez okno na półpiętrze wpadł piorun i zaczął chlastać drewniane schody, pewnie nie spowodowałby większego wstrząsu niż słowa tej kobiety. Co się stało? Jak to wyjechali? Gdyby tylko stary wybiegł z mieszkania, oznaczałoby to, że poszedł szukać detektywa. Ale że oboje? W dodatku, jak powiedziała ta stara, z walizką. Jakie szczęście, że sam jej nie miał.

- Tak... tak... Dziękuję pani - wymamrotał Stach.

- A proszę, proszę.

Trzasnęły zamykane drzwi. Tym razem Stach usłyszał je bardzo dobrze. Od dobrych kilkunastu sekund w jego głowie burzliwie kotłowały się myśli. W pewnej chwili nawet jakby błysnęło pod czaszką.

- Na dworzec! - zawołał, po czym z potwornym hałasem zbiegł po schodach.

Wybiegłszy na Königsbergerstrasse, wezwał przejeżdżającą akurat ulicą dorożkę. Miał szczęście. Wskoczył do niej w biegu i przekazał fiakrowi żądanie. Usiłował jeszcze wszystko sobie poukładać. Jeśli ci ludzie dokądś nagle wyjechali, to niechybnie do Königsberga.

- Zna pan może Krautterów? - zapytał fiakra.

- To małe miasto - odparł mężczyzna.

- Wiózł ich pan może niedawno?

- Niedawno to znaczy?

- Godzinę temu.

- Nie. Dopiero kwadrans temu wyjechałem ze stajni. - Dorożkarz wzruszył dziwnie szpiczastymi ramionami.

- Rozumiem. Dziękuję.

Gdy niemal dwie godziny temu przyjechali do Insterburga, nie sprawdził powrotnego połączenia. Właściwie nie wiedział dlaczego. Może podświadomie czuł, że zabawi tu dłużej, mimo że nie zabrał ze sobą przyborów toaletowych ani zmiany bielizny. To jednak nie był nigdy problem, bo wszystko mógł kupić na miejscu.

Teraz jednak Stach żywił nadzieję, że na wszystko znajdzie się wytłumaczenie, a sprawa okaże się śmiesznie prosta. Spotka na peronie Krautterów oczekujących na pociąg do stolicy rejencji. Ledwo o tym pomyślał, zdjął go strach. A może podczas gdy on ganiał po ulicach i podwórkach za Andreasem Beckiem, a potem wysłuchiwał utyskiwań Dietera Hahna, nieszczęśni rodzice otrzymali depezę z Königsberga, która zawiadamiała ich o znalezieniu zwłok córki? Nie mógł pozbyć się myśli, że Monikę Krautter spotkał ten sam los co Evę Peters. A sprawca siedział w powozie, którym latem obie udały się nad otwarte morze...

- Dworzec, szanowny panie - niczym ze zdradzieckich mokradel wyciągnął go z zamyślenia głos dorożkarza.

- Dziękuję. - Stach sięgnął po pieniądze.

Rozległ się gwizd lokomotywy.

- Czy teraz odchodzi pociąg do Königsberga? - zapytał fiakra.

- Tak jest, szanowny panie. Przedostatni.

Stanisław Berg ruszył w stronę wejścia do budynku stacji. W hallu kasowym przez chwilę bił się z myślami, czy powinien kupić bilet. Zapowiedziano przyjazd pociągu. Skład zbliżał się w tumanie pary, zgrzytając już hamulcami. Berg przyglądał się ludziom, starając się wyłuskać spośród nich dwie znajome twarze. W pewnej chwili znecierpliwiony wskoczył nawet na drewnianą ławkę, jakby miał dwadzieścia lat mniej. To nie spodobało się jakiemuś kolejarzowi.

- Przepraszam - zmitygował się Berg.

Wreszcie pociąg się zatrzymał. Słysząc było pokrzykiwania bagażowych, wołanie ludzi, którzy dawno się nie widzieli, ale i płacz dzieci. Drzwi wagonów, niczym karabiny obłożonej armii, trzaskały coraz rzadziej.

Krautterów nigdzie nie było.

- Wsiada pan? - zapytał konduktor.

10

Mesut Çetin nie miał wątpliwości, że dzień, który właśnie chylił się ku końcowi, był jednym z najgorszych podczas jego pobytu w Prusach. A kto wie, może nawet w życiu. Wiele by dał, żeby okazał się tylko złym snem. Na nic jednak było szczypanie się po rękach, okładanie knykciami po czaszce czy zaciskanie do bólu powiek. Nic się nie chciało zmienić.

Cały transport towarów, który około południa przybył z Turcji do portu w Königsbergu na pokładzie szkunera o wdzięcznej nazwie Ayşegül, co oznaczało „szczęśliwie żyjąca wśród róż”, wciąż pozostawał w ładowniach. Çetin martwił się bardzo, bo prócz dywanów, tkanin czy naczyń kuchennych było tam również sporo żywności, głównie przypraw i herbaty, które od dłuższego czasu z dużym zyskiem sprzedawał sklepom kolonialnym. I nie chodziło o to, aby jak najszybciej dostać za to wszystko pieniądze, ale by, jak to określali z zaprzyjaźnionymi miejscowymi kupcami, wszystko zanadto „nie przeszło śladem”.

- A siktir! - zaklął szpetnie, ale na szczęście zupełnie niezrozumiale w mieście, które niedawno wybrał sobie do życia i pracy.

Niejeden na miejscu Mesuta Çetina robiłby w tej chwili o wiele gorsze rzeczy. Ledwo bowiem Ayşegül dotknęła burtą obitego drewnem nabrzeża, nie wiadomo skąd pojawiło się na tam kilkunastu policjantów. Nie była to standardowa akcja czyszczenia portu z wszelkiego rodzaju szumowin, dziwek obojga płci, większych czy mniejszych złodziejasków, co działo się najczęściej wtedy, kiedy do miasta drogą morską miał zawitać ktoś z wielkim brzuchem i „von” przed nazwiskiem. Celem był szkuner Mesuta, a na trapie, zamiast

robotników portowych z workami i skrzynkami na ramionach, znaleźli się groźnie wyglądający ludzie w mundurach i z obnażonymi szablami. Do Çetina, który przybył do portu, aby osobiście dopilnować rozładunku, podszedł jakiś cywil niskiego wzrostu i wręczył mu pismo pełne pieczęci.

„Co to jest?” – zapytał Turek, spoglądając z przerażeniem to na swój statek, to na niedużego człowieka.

„Rozkaz przeszukania pańskiego szkunera” – odparł tamten.

Ale Mesut Çetin był nie w ciemną bity. Oddał uprzejmie rozkaz i sięgnął do teczki, w której trzymał swoje dokumenty. Znajdowały się wśród nich także te, które tyczyły tego transportu. Wszystko było bez zarzutów, waga musiała zgadzać się co do funta. Cywil, rzuciwszy okiem na papiery tureckiego kupca, oddał je, a potem równie grzecznie rzekł:

„Nie interesuje nas pańska harissa, panie Çetin. Szukamy handlarzy kobiet”.

Sympatyczny, wiecznie uśmiechnięty kupiec spodziewałby się, że prędzej wpłynie do portu cała osmańska flota. Handlarze kobiet? Na jego statku?! Może coś źle zrozumiał, jego niemiecki nie był jeszcze doskonały, choć na naukę poświęcał po kilka godzin dziennie. Nie mówiąc już o praktyce, która jest przecież nauczycielką najlepszą.

Ale nie prosił o powtórzenie, bo na własne oczy mógł się przekonać, o co chodziło. Ludzie w mundurach i okrągłych czapkach prowadzili po trapie jednego z członków załogi Ayşegül. Mężczyzna był związany, głowę zwiesił bezradnie. Ponieważ człowiek ten pływał od niedawna, Çetin nie pamiętał jego nazwiska; nie znał jeszcze wszystkich personaliów ludzi, którzy dla niego pracowali, ale zamierzał te braki nadrobić. Nie spodziewał się jednak nawet w najgorszych snach, że dowie się tego... z gazet!

Oto bowiem na nabrzeżu stało kilku ludzi, których profesji nietrudno się było domyślić. Dziennikarze mieli ze sobą fotografów, ci zaś bynajmniej nie próżnowali. Nim Çetin zdążył cokolwiek zrobić, jeden z nich znalazł się tuż przed nim. Błysnęła spalana magnezja.

Niewielki wzrostem policjant udawał srogiego, machając rękami przed obiektywem. Tak naprawdę jednak przepełniała go duma z udanych łowów. Chyba nawet przybył mu cal, a może i dwa. Turek nie powiedział już nic więcej. Jakby nagle odjęto mu mowę. Nie otworzył ust nawet wtedy, kiedy drzwi do ładowni szkunera zapieczętowano, a na nabrzeżu postawiono wartowników. Doszedł do siebie dopiero w domu konsula Joachima Steinhoffa. Siedzieli w salonie, służąca przed chwilą podała herbatę. Mesut nie pił. Tępy wzrokiem wpatrywał się w okno, za którym powoli gasł dzień.

- A siktir! - zaklął znów pod nosem Turek.

- Co to znaczy? - zainteresował się Steinhoff, który, tak jak Mesut niemieckiego, chciał nauczyć się jak najwięcej tureckiego.

- Kiedyś ci powiem. Obyś jak najrzadziej musiał używać tego słowa. Choć widzisz to coś kilka razy dziennie.

- Chyba się domyślam - Joachim Steinhoff nie mógł się nie uśmiechnąć.

Mesut Çetin wstał z głębokiego, skórzanego fotela i zrobił kilka kroków po salonie.

- Spokojnie, przyjacielu - rzekł do niego konsul. - Przecież mówiłeś, że policja nic do nas nie ma. Ten człowiek... Jak on się nazywa? - Steinhoff sięgnął po popołudniową gazetę, w której zdążono już opisać sprawę, nie zapominając o pięknych fotografiach Ayşegül, Mesuta, no i oczywiście podejrzanego. - Paknys. Jonas Paknys...

- Wiem, wiem - przerwał mu Turek, nie odwracając się. - Pływał wcześniej dla Rosjan. Ale co z tego? Zatrzymali go na naszym statku. Nie ma możliwości, żeby nie odbiło się to na interesach. Pal licha to, co w tej chwili leży w ładowniach Ayşegül. Chodzi o to, że może nikt nie będzie już chciał z nami handlować.

- Chyba jeszcze dobrze nie znasz tutejszych - odparł konsul.

Çetin wzruszył ramionami.

- Może masz rację. Obym się mylił.

Joachim Steinhoff podszedł do współnika i rzekł:

- Gdy smród zacznie nam za bardzo doskwierać, założymy nową spółkę. Nie pierwszy to raz i pewnie nie ostatni.

- Może masz rację. Ale po tym portreciku w gazecie będzie chyba lepiej, jak nie będę się przez jakiś czas pokazywał w towarzystwie.

- Znam ja takich, którzy wiele by dali, aby mieć taki portrecik. Wierz mi. - Konsul Steinhoff poklepał współnika serdecznie po ramieniu.

- Schatzkiemu jakoś się nie przysłużył - mruknął na to Turek, przypomniawszy sobie o tym, co całkiem niedawno spotkało znajomego policjanta.

Po chwili obaj ze Steinhoffem usiedli i w milczeniu pili herbatę. Do salonu wpadła żona konsula. Od czasu afery z salonem piękności w małżeństwie wiele się zmieniło. Nie było już ani jednej rzeczy, o której Helena nie powiedziała by mężowi. Od zakupu nowej sukni począwszy, na wzruszeniach, które spowodowała lektura Dumy i uprzedzenia Jane Austen (w oryginale), skończywszy. Bywało, że Joachim był tym wszystkim po prostu zmęczony, a czasami wręcz tęsknił do czasów, kiedy jego luba miała przed nim sekrety.

Helena Steinhoff była cała w skowronkach. Przyniosła bukiet chryzantem, które umieściła w kryształowym wazonie. Szczebotała o jakichś spotkaniach muzycznych, które niedługo mają zacząć się w domu jej najbliższej przyjaciółki.

- Chciałabym, żebyśmy poszli tam razem - zwróciła się do męża.

- Przecież wiesz, że nie przepadam za takimi rzeczami - skrzywił się Joachim.

Helena błagalnie złożyła ręce.

- Tylko jeden raz, proszę...

- Dobrze, niech ci będzie - sapnął zrezygowany konsul, za co został nagrodzony buziakiem w policzek.

Mesut Çetin nie za bardzo lubił patrzeć na czyjeś amory. Ale mimo że czuł się źle, nadal był uśmiechnięty. Dokończył w milczeniu herbatę.

- Na mnie już czas - obwieścił, podnosząc się z miejsca.

- Zaraz zadzwonię do kilku przyjaciół i zapytam, ile to jeszcze może potrwać - zadeklarował się Joachim Steinhoff, kiedy stali już przy drzwiach wyjściowych. - Też chcę, żeby twoja Ayşegül była jak najszybciej wolna. Każdy statek to przecież żywa istota.

- Dziękuję. - Turek uściśnął mocno dłoń konsula.

Minutę później kupiec jechał w stronę Knipawy. Jego lekki, dwukołowy cab, zakupiony przed miesiącem, wciąż cieszył go niezmiernie. Często, żeby zagłuszyć złe myśli, Çetin wybierał się na przejażdżkę za miasto. Teraz miał jednak konkretny cel. Wiedział już, gdzie szukać pociechy. Miał wszak w Königsbergu dwóch wiernych przyjaciół! Kwadrans później cab zatrzymał się przed jedną z kamienic na nabrzeżu Kai. Turek zawiązał lejce i zadarł głowę. W oknach na ostatnim piętrze paliły się światła, co było obietnicą ukojenia.

- Kto tam? - usłyszał kilka chwil później zza drzwi, do których zapukał.

- Swój - odpowiedział z uśmiechem, rozpoznał bowiem głos Oskara Radtkego.

Drzwi uchylił się na cal.

- A, to pan - rzucił chłopak z widoczną niechęcią, po czym pociągnął za klamkę.

Gość wszedł do środka.

- Też się cieszę, że cię widzę w dobrym zdrowiu. Twój chlebodawca jest?

- Gdzieś na pewno.

W kilku zdaniach opowiedział Mesutowi o sprawie, którą przyjął Stanisław Berg i o jego wyprawie do Insterburga. Wysłuchawszy relacji, przybysz sięgnął po zegarek. Zbliżała się ósma wieczorem.

- Jak pan do nas trafił? - chciał wiedzieć dwunastolatek.

- A tak. - Çetin pacnął go lekko w potylicę zwiniętą w rulon gazetą.

Chłopak zrobił to samo otwartą dłonią, ale z drugiej strony, w czoło. Przecież sam zaniósł ogłoszenie do redakcji! Początkowo cerber nie chciał wpuścić go do budynku. Ustąpił dopiero wówczas, gdy Radtke pokazał, że ma pieniądze na opłacenie anonsu.

- Ale nie jest pan naszym klientem?

Çetin nie odpowiedział.

A może powinienem wrócić do portu i próbować coś wskórać, zamiast szukać kolejnych ludzi, którym można się wyplakać w rękaw - pomyślał samokrytycznie.

- Chce pan obejrzyć nasze nowe biuro? - zapytał Oskar.

- Skoro już tu trafiłem, to prowadź, młody przyjacielu!

Ledwo jednak zrobili dwa kroki, drzwi otworzyły się i stanął w nich Stanisław Berg we własnej osobie. Ujrzawszy gościa, tylko nieznacznie skinął głową, zupełnie jakby dopiero się widzieli.

- İyi akşamlar - przywitał się Mesut.

Na widok Berga Oskar Radtke przewrócił oczami, a potem podniósł obie ręce do góry i zasłonił twarz dłońmi.

- Rozumiem, niech pan nic nie mówi. Już nastawiam imbryk.

11

Cisza, która zaległa nad biurkiem detektywa, niezdolnie się przedłużała. Stanisław Berg trzymał przed sobą rozpostartą popołudniówkę i przebiegał wzrokiem po gazetowym peticie. Czy Stach odgradzał się w ten sposób od siedzącego po drugiej stronie Mesuta Çetina? Może i tak, może potrzebował intymności, czytając o sprawach, które wydarzyły się w mieście, podczas gdy on, najprawdopodobniej na darmo, bawił na prowincji. Krautterów nie było w pociągu, mimo że w ich poszukiwaniu przemierzał cały skład, w tę i z powrotem, co w pewnym momencie wzbudziło nawet podejrzliwość konduktora.

Co dalej ze śledztwem w sprawie zaginionej Moniki? Nie miał pojęcia. Choć zniknięcie jej rodziców było zagadkowe, nie zwalniało go z obowiązku. Zdążył wszak już wziąć od tych ludzi zaliczkę. Ze swoimi wątpliwościami boksował się aż do stacji końcowej i później, kiedy jechał tramwajem do swej nowej przystani na nabrzeżu Kai. A także wtedy, gdy pił pierwszy łyk herbaty podanej przez Oskara. Wszystko jednak zmieniło się w chwili, kiedy otworzył przyniesioną przez Mesuta Çetina gazetę. Kupiec, miał opowiedzieć, co go gnębiło i co przygnało go o dość późnej porze, poprosił Stacha o jej przeczytanie.

- Mam nadzieję, że nie patrzy się pan przez cały czas na moją głupią minę - odezwał się Turek, zniecierpliwiony i skonfundowany ciszą przedłużającą się ponad miarę.

- Całkiem niezłe się pan prezentuje jak na kogoś, kogo postawiono w tak niekomfortowej sytuacji - ocenił detektyw.

- Naprawdę?

- Wiem, co mówię. Najważniejsze to... mieć na sobie spodnie. Reszta się nie liczy.

Kupiec zaśmiał się głośno, a zaciekawiony Oskar wetknął głowę między drzwi a futrynę. Stach tylko uśmiechnął się blado. Nie mógł sobie pozwolić na wesołość. Nie po tym, co przed chwilą przeczytał.

To, co wydarzyło się na szkunerze Ayşegül, było tylko częścią wielkiej akcji, którą tego dnia przeprowadzono w Königsbergu i okolicach. W ciągu zaledwie czterech godzin aresztowano tuzin osób zamieszanych w handel żywym towarem. Wśród zatrzymanych jedną trzecią stanowili sprzedawcy jedwabiu i perkalu, taką samą część ludzie związani z transportem morskim, w tym pracujący dla Çetina Jonas Paknys.

Skąd policja miała nazwiska i adresy tych ludzi? Pewnie, jak to często bywało, od kogoś, kto jeszcze wczoraj był im bratem, ale wobec perspektywy długoletniego więzienia, może nawet stryczka, przypiekania żywym ogniem czy też ponownego podtapiania, zaczął sypać. Tym kimś był, co nie było dla Stacha żadnym zaskoczeniem, własnoręcznie pojmany przez niego Vladas Smetona.

W tej chwili Berg mógł zamknąć popołudniówkę z poczuciem satysfakcji. Gdyby nie ostatnie zdanie artykułu, zakrzyknęłyby wzorem pana Zagłoby: „Jam to, nie chwaląc się, sprawił!”.

- „Vladas Smetona, najprawdopodobniej dręczony wyrzutami sumienia, powiesił się ostatniej nocy w swojej celi”.

- Evet - mruknął Çetin, pochyliwszy głowę.

Przez chwilę słychać było tylko odgłosy krzątania dochodzące z sąsiednich pomieszczeń. Biuro nie było jeszcze całkowicie gotowe do przyjęcia interesantów, więc Radtke, w którym drzemała niespożyta energia, postanowił widać jeszcze tego wieczoru poprzestawiać to i owo. Może właśnie to swoiste requiem sprawiło, że Stanisław Berg poczuł nagłą potrzebę zrzucenia z siebie ciężaru. Siedział wszak z jednym z najbliższych sobie ludzi w mieście. Wiedział, że Mesut myślał o nim to samo, mimo że wciąż byli na „pan”.

Rozlał do filiżanek resztę herbaty z dzbanka, by opowiedzieć Turkowi o wszystkim, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dni. Przypadki te zamykały się w swoistej klamrze dwóch wyjazdów z Königsberga: pierwszego do Zinten, drugiego do Insterburga. Oczywiście pominął kwestię tego, w jaki sposób wydobył od Smetony przyznanie się do handlu kobietami, Turek zaś nie domagał się szczegółów. Kiedy Stach zamilkł, wypił jednym haustem zimną już zupełnie herbatę i skwitował:

- Wygląda na to, że sprawa została zakończona, panie Berg.

Detektyw tylko wzruszył ramionami. Jedyne, czego był w tej chwili pewien, to to, że chce wypić bruderschaft z Mesutem Çetinem. Właśnie zastanawiał się, co najlepiej nadałoby się do tego rytuału, kiedy nagle zza drzwi dobiegł krzyk Oskara. Stach od razu pomyślał, że smarkacz upuścił sobie coś na stopę. Zwlekałby z wyjściem z gabinetu, gdyby nie kolejny krzyk chłopaka.

- Puść mnie!

Zerwali się z Çetinem w jednej chwili, aż porcelanowy serwis zabrzączał na trwogę. Stach jednym ruchem wyrwał z zanadru colta. W tej samej chwili ktoś kopniakiem otworzył od zewnątrz drzwi pomieszczenia, w którym siedzieli. Na progu stanął osobnik ubrany na czarno, w masce tego samego koloru na twarzy. Jedną ręką trzymał struchlałego chłopaka, w drugiej miał nóż, którego długie, zagięte ostrze przykładał Oskarowi do szyi.

- Puść go! - krzyknął Berg.

- Odłóż rewolwer - odpowiedział intruz. - Albo twój chłopaczek straci głowę.

- Dobrze. Tylko spokojnie. - Stach uczynił zadość żądaniu, kładąc broń na stole, tuż obok pustego dzbanka. - Czego chcesz?

Zamiast odpowiedzieć, napastnik przesunął się na bok, nie odrywając ostrza od tętnicy Oskara. Po chwili rozległ się tupot i do środka wpadło dwóch bardzo podobnie ubranych, zamaskowanych i niezwykle żwawych osobników. Każdy z nich trzymał w rękach po

dwie butle. Mimo że nie miały etykiet i były jeszcze zamknięte, Berg poczuł zapach nafty.

- Nie wiem, czego chcecie, panowie, ale mam wrażenie, że doszło do jakiejś żałosnej pomyłki - powiedział, siląc się na uśmiech.

- Morda w kubel! I ani drgnij - sarknął ten z nożem, ani chybi herszt bandy.

Tymczasem dwaj pozostali odstawili butelki i zabrali się do przetrząsania mebli, które znajdowały się w niewykończonym jeszcze gabinecie Stacha. Jeden zajął się kredensem, drugi hałasował szufladami w komodzie. Na podłogę zaczęły sfruwać pojedyncze kartki.

- Czego panowie szukają? - zapytał półgębkiem gospodarz. - Może ja w czymś pomogę?

Nikt mu nie odpowiedział. Mesut Çetin i Oskar Radtke z przerażeniem przyglądali się poczynaniom nieproszonych gości, podczas gdy twarz Stacha wyglądała jak wykuta z kamienia. Ale w jego głowie trwała istna gonitwa myśli.

W pewnej chwili wzrok jednego z przeszukujących gabinet padł na colta, który wciąż leżał na stole. Wyciągnął rękę po zdobycz. Tego było już za wiele - Berg również się ruszył, tamten był jednak szybszy. Chwyciwszy za kolbę, podniósł broń, wyprostował rękę i wycelował w głowę detektywa. Jedyne, co mógł w tym momencie uczynić Stach, to podnieść ręce do góry. Herszt bandy rzucił kilka słów w jakimś niezrozumiałym dialekcie, a wtedy jego dwaj pomagierzy jęli z wprawą otwierać butelki i wylewać zawartość na podłogę i meble. Ostra woń nafty w jednej chwili wypełniła gabinet. Wszystko trwało sekundy. I nie było już chyba nikogo, kto by nie wiedział, jaki cel ma ta wizyta.

- To cię nauczy raz na zawsze, żeby nie wtrącać się w nieswoje sprawy - wycedził przez zęby szef napastników, kiedy już wszystkie butelki były puste.

Po tych słowach oddalił ostrze noża od szyi biednego Oskara. Musiał to zrobić, aby sięgnąć do kieszeni po zapalniczkę. Wyrok

został wydany. Dwaj pomagierzy znaleźli się przy drzwiach, które lada moment chcieli zamknąć od zewnątrz i zablokować. Ale tylko na jakiś czas, by wszystko wyglądało na nieszczęśliwy wypadek. Ot, ktoś nie potrafił się obchodzić z łatwopalnym płynem... Herszt bandy, który trzymał już w dłoni marynarską zapalniczkę, pchnął z impetem Oskara. Nie zamierzano zwolnić chłopca od odpowiedzialności za czyny, których dopuścił się jego chlebobawca. Przerażony wyładował na Mesucie, ten zaś zasłonił go własnym ciałem, mamrocząc coś pod nosem. Słowa modlitwy?

- Jeszcze się spotkamy - wycedził przez ściśnięte zęby Stanisław Berg.

- Wątpię - zaśmiał się oprawca. - Ja mimo wszystko wybieram się do...

Nie dokończył, bo nagle zgasło światło. W tej samej sekundzie rozległ się trzask pękających kości i odgłos upadających na ziemię ciała. Człowiek z zapalniczką krzyknął w dialekcie, w którym wydawał wcześniej polecenia, a potem tylko zarządził rozpaczliwie. Wreszcie w ciemności rozległ się krzyk po polsku:

- Niech pan otworzy okno!

Stanisław Berg w kilku susach dopadł rzonego okna, przekręcił klamkę i otworzył je na oścież. Chwilę potem przez otwór z furkotem przeleciał czarny kształt.

- Nie zdążył powiedzieć dokąd się wybiera, ale tuszę, że obrał właściwy kierunek... - wysapał nieoczekiwany wybawca i mściciel w jednym. - Dobra, teraz reszta.

- Nie - zaprotestował Stach. - Wystarczy.

Wtedy w gabinecie detektywa na powrót zabłysło górne światło. Na środku stał Roch Ciupa, wodząc dookoła groźnym wzrokiem; w drzwiach leżeli pozbawieni przytomności napastnicy. Oskar dwoma ruchami zdarł im maski z twarzy.

- Znam ich - ogłosił. - To bracia. Za kilka marek można ich wynająć do takiej roboty.

- A najważniejszy podejrzany płynie teraz rzeką - rzekł z przyganą Stach.

- Przepraszam. Poniosło mnie - kajał się Ciupa. Stach wiedział jednak bardzo dobrze, że tamten jest dumny ze swego niemal sportowego wyczynu. jeśli ktoś kiedyś wymyśli taką dyscyplinę, Roch będzie w niej niekwestionowanym mistrzem!

- Dobra, nie mamy czasu. Trzeba się pozbyć tych dwóch, a potem nafty - zaordynował detektyw.

Pół godziny później Stanisław Berg i Mesut Çetin siedzieli przy tym samym biurku, zza którego się zerwali, by pomóc zaatakowanemu Oskarowi. Ten zaś podawał w kuchni posiłek Rochowi. Stach wiedział, że czeka go jeszcze długa rozmowa ze swoim pomocnikiem, który znów się cudownie odnalazł. Ale odłożył ją na potem.

Wszystko zostało posprzątane po wizycie nieproszonych gości. Jedynie zapach nafty wciąż świadczył o tym, co się wydarzyło. O tym, jak mogło się to zakończyć, żaden z przyjaciół wolał nie mówić głośno. Stach w duchu dziękował losowi, że w tym momencie nie było na miejscu Agnes Lauder.

- Wygląda na to, że narobił pan sobie wrogów, panie Berg. - Turek zamienił w słowa myśli, które kotłowały się w głowie detektywa.

- Przy moim zajęciu to nietrudne - skwitował z powagą Polak.

- Kto to mógł być?

- Nie mam pojęcia. Jak powiedział Oskar, byli to ludzie, których można wynająć w jednej z portowych mordowni, żeby za kilka marek załatwili kłopotliwą sprawę. Albo wyrównali rachunki. W moim przypadku chyba to drugie.

- Jak on powiedział? Że to pana nauczy nie wtrącać się w nieswoje sprawy?

- Czy jakoś tak. - Stach wzruszył obojętnie ramionami. - Pozostaje tylko pytanie, o którą sprawę może chodzić. Odkąd tu

przyjechałem, trochę ich było. I żadnej nie mam powodów się wstydzić. Ani żałować.

- Ale ktoś najwyraźniej myśli inaczej - uśmiechnął się blado Mesut.

Po chwili sięgnął po gazetę, z której Stach dowiedział się o nieszczęściu, jakie tego dnia spotkało kupca. Przeleciał wzrokiem po artykule i rzekł:

- W swojej opowieści zupełnie pominąłeś pan jeden szczegół.

- Mianowicie? - zapytał Berg.

- Tutaj jest napisane, że w liście pożegnalnym Vladas Smetona przyznał się do zamordowania Evy Peters. - Turek spojrzał pytająco na detektywa.

- Owszem, tak jest napisane - zgodził się Stach. - Ale napisać można wszystko. Szczególnie kiedy jest się do tego zmuszonym groźbą i przemocą fizyczną. Torturami, w porównaniu z którymi moje przesłuchanie, którego się wstydzę, to tylko dziecięca igraszka.

- O czym pan mówi?

- Kiedyś panu opowiem, przyjacielu. Wracając do rzeczy, wiem, że Smetona tego nie zrobił. I postaram się to udowodnić. Nawet jeśli będą chcieli nas jeszcze raz spalić.

12

Plan był prosty, a w dodatku stary jak świat. Młode kobiety, którym marzył się ślubny welon, kobierzec, wzruszająca do łez przysięga przed ołtarzem, następnie złote obrączki, a w rezultacie dostatnie życie u boku mężczyzny (niechby i był dwa razy starszy!), bez większego namysłu porzuciły swe dotychczasowe zajęcia. Opuszczały rodzinne wioski i małe miasteczka i wyjeżdżały do stolicy. Co prawda tylko stolicy rejencji, ale to i tak było coś w porównaniu z tym, co dane im było oglądać wcześniej na co dzień.

Tak czy owak, nieświadome tego, co je czekało, wsiadały do pociągu albo powozu z jedną walizką. Ważne było jednak, że robiły to w towarzystwie człowieka, który je oczarował, choć miał tylko sprzedać im swój towar. W przypadku Vladasa Smetony były to tkaniny. Część kobiet docierała może nawet na miejsce. Może i machała ręką na to, że dom oblubieńca to rudera, istny chlew. Jedna czy druga zabierały się pewnie zaraz do sprzątania i przygotowywania posiłku, aby pokazać, jak jej na ukochanym, przyszłym narzeczonym i mężu, bardzo zależy.

Jedne mieszkały tam tydzień, inne dwa, ale były też takie, które, otumanione jeszcze podczas podróży, jechały od razu do portu i lądowały w ciemnych ładowniach statków. Kilka z nich prawdopodobnie skuto kajdanami niczym niewolnice z Afryki, choć żaden z podejrzanych się do tego nie przyznał, twierdząc, że to pozostałość z czasów, gdy jednostka należała do innego armatora.

Kiedy kobiety odzyskiwały świadomość, nie od razu orientowały się, gdzie były i co się z nimi działo. Gdy któraś odkrywała prawdę, a w dodatku okazywała nieposłuszeństwo, wszystkie pytania i błagania zbywano bowiem milczeniem albo śmiechem, była karana.

Starano się jednak bić je tak, aby nie zostawiać żadnych śladów, a przynajmniej nie na długo. Należało przecież myśleć o kliencie! Kto wie, może niektóre wierzyły, że płyną w nieznane, by zacząć nowe życie jako bona, gosposia, pokojówka, a może nawet żona. Następnie, przekazywane z rąk do rąk, przez Hamburg, Marsylię albo Lizbonę wypływały na Atlantyk, by następnie dotrzeć do Ameryki Południowej. Podejrzewano, że najwięcej kobiet dopłynęło do Brazylii, gdzie w lupanarach Rio de Janeiro miał dopełnić się ich los.

O tym wszystkim Stanisław Berg czytał następnego dnia w „Königer Zeitung”. Cały nakład rozszedł się na pniu, o czym detektyw przekonał się osobiście, gdyż udało mu się nabyć egzemplarz dopiero przy trzeciej próbie, w kiosku przy niedalekim Dworcu Piławskim. Artykuł zajmował niemal dwie strony, a ilustrowały go fotografie przedstawiające momenty zatrzymań podejrzanych. Niestety, w żadnym z aresztowanych Stach nie rozpoznał mężczyzny z fotografii wykonanej na pogrzebie Evy Peters.

Czytając gorące doniesienia i dzieje rozbitego gangu, którego ofiarami mogło być jeszcze więcej nieszczęsnych kobiet, Stanisław Berg sprawiał zrazu wrażenie zafrapowanego. Oburzyła go opieszałość władz, bo dlaczego dopiero teraz, na Boga, położono kres działalności szajki?! Tak naprawdę nic go to jednak nie obchodziło. Wciąż był tu tylko gościem.

- Zrobiłem swoje - stwierdził, składając powoli gazetę.

Siedzący naprzeciwko w przedziale pociągu Roch Ciupa spojrzał na niego pytająco. Stach wyjaśnił ze swadą:

- Wszyscy winni siedzą, a ten, który się do tego przyczynił, nie musi się obawiać z ich strony zemsty, bo już nie żyje. Wykonano na nim wyrok, na długo przez procesem. Co do tego jestem pewien. I nie pochwalam tego, jeśli jesteś ciekaw mojego zdania.

- Znamy się nie od dzisiaj - skwitował wierny pomagier.

- I pięknie. A wracając do siedzenia...

- Chciałby pan zapewne wiedzieć, jakim to dziwnym sposobem znalazłem się na wolności - dokończył Ciupa, uśmiechając się wąsko.

Stanisław Berg skinął głową.

- Znamy się nie od dzisiaj.

Jakoś do tej pory nie znaleźli odpowiedniej chwili, żeby tę sprawę wyjaśnić. Po wczorajszym ataku i cudownej odsieczy Roch zasnął jak dziecko, wcześniej pojadłszy zdrowo. Następnego dnia udali się w podróż. Celem była położona na północnym brzegu Półwyspu Sambijskiego miejscowość Rauschen, będąca, obok znanego już Bergowi miasteczka Cranz u nasady mierzei, najpopularniejszym kurortem wśród mieszkańców Königsberga. To tutaj przed kilkunastoma tygodniami wypoczywała Monika Krautter, Eva Peters i kilka innych osób.

- Tak. Bardzo chciałbym wiedzieć, jak się to stało - potwierdził detektyw. - Tym bardziej że kilka razy o ciebie pytałem, ale wszyscy robili wielkie oczy.

Ciupa zamiast odpowiedzieć, spojrzął za okno. Stukot kół działał na niego kojąco. Nikogo oprócz nich szczęśliwie w przedziale nie było. Detektyw już miał ponowić swą prośbę, gdy do środka wszedł konduktor.

- Dwa razy Rauschen, bardzo proszę - mruczał pod nosem, dziurkując bilety, które podał mu Stanisław Berg. - Będziemy zgodnie z rozkładem.

- Dziękuję. - Stach odebrał bure kartoniki.

Kiedy zostali sami, Ciupa sapnął głośno. Detektyw przez chwilę zastanawiał się jeszcze, czy kolejarz powtarzał tę samą śpiewkę w każdym przedziale, do którego wchodził. Myśl ta jednak szybko umknęła, ustępując miejsca innej. Stach był gotowy, by wysłuchać spowiedzi przyjaciela.

Jednak w tym samym momencie drzwi otworzyły się ponownie i na progu stanął jakiś mężczyzna wojskowym płaszczu.

- Czy można? - zapytał.

Stanisław Berg niechętnie skinął głową, a wtedy do przedziału zaczęła się pakować trzyosobowa rodzina. Prócz żołnierza, którego szarży ani formacji Stach nie rozpoznawał, była jeszcze kobieta,

najpewniej żona, a także synek, na oko sześćoletni. Pojawienie się nowych gości spowodowało, że z Rocha jakby kto korek wyciągnął. Powietrze uchodzące z wielkoluda zmieniło nie tylko jego posturę, ale także rysy twarzy. Po chwili pojawił się na niej spokój, jeśli nie błogość.

- Państwo do Rauschen? - zagadnął i nie czekając odpowiedzi, dodał z uśmiechem, zacierając dłonie jak dwa bochenki chleba: - Konduktor powiedział, że będziemy o czasie.

13

Nie ma nic smutniejszego nad widok kurortu po sezonie – pomyślał Stach, kiedy niespełna godzinę później wyszli z budynku dworca. Było szaro, wietrznie, w dodatku zaczął siąpić deszcz.

– Do widzenia panom. – Sympatyczny hauptmann, jak się okazało, artylerzysta, zasalutował.

– Miło było poznać – powiedział Berg, po czym zadarł znacząco głowę. – Oby nie była to jedyna miła rzecz, która nas tu czeka.

– Jakoś sobie poradzimy – uśmiechnął się żołnierz, by zaraz zniknąć w krytej dorożce, gdzie już siedziała jego żona i synek.

Zaraz podjechała następna, na oko równie przytulna, a przynajmniej zdolna ochronić pasażerów przed chłodem i wilgocią. Stach nie wsiadł do środka.

– Przejdziemy się – zaproponował, widząc pytające spojrzenie towarzysza. – Dobrze nam zrobi, gdy rozruszamy kości po tak długim czasie siedzenia bez ruchu.

– Jak pan sobie życzy – mruknął Ciupa z nieco obrażoną miną, poprawiając uchwyt na rączce walizki pryncypała.

Sam swoje rzeczy niósł w wojskowym plecaku, który bardzo mu pasował. Był to najpewniej model jeszcze z wojny prusko-francuskiej i Stach nawet zaczął się zastanawiać, czy ludzie będą z tego powodu jakoś specjalnie inaczej traktować Rocha. Swoją walizkę chciał nieść sam, jednak Ciupa uparł się, że to należy do jego obowiązków. Gdyby rzecz działa się latem, na pewno z miejsca znalazłoby się jakieś miejscowe dziecko, które zaoferowałoby się jako tragarz za kilka fenigów.

Szli niemal pustą ulicą. Tu i ówdzie przemykały jakieś kobiety. Kilka razy słyszeli krzyk i śmiech. Stach usiłował sobie wyobrazić, jak

miejsce to wyglądało latem. W ogródku której kawiarni, pijąc zimne wino albo lemoniadę, siedziały Eva Peters i Monika Krautter? I kto im towarzyszył?

- Idziemy do pensjonatu czy chciałbyś najpierw zobaczyć morze?
- zapytał w pewnej chwili Stach, przypomniawszy sobie, że Roch coś o tym wspominał.

- Później.

- Może jednak oddasz mi moją walizkę? - Detektyw wyciągnął rękę, ale Roch pokręcił zdecydowanie głową.

Pensjonat nazywał się Pod Srebrną Stynką i znajdował się niedaleko głównej promenady w Rauschen. Informację tę Stach wyciągnął od pana Krauttera mimochodem. Podobnie jak i dokładną datę, kiedy ich córka wyjechała z domu.

Była to solidna willa z dwiema wieżyczkami. Każdą z nich wieńczył gotycki hełm. W przeciwieństwie do większości lokali, które minęli po drodze, żadne z okien budynku nie było zabite deskami ani nawet zasłonięte przez okiennice. W dodatku z komina unosiła się smużka dymu. Ta ostatnia oznaka życia spowodowała, że Berg i Roch momentalnie poczuli się głodni.

- Ciekawe, co można tu dostać o tej porze - zastanawiał się głośno ten drugi, pociągając nosem.

- Pewnie srebrną stynkę - zaśmiał się Stach. - Ze smażoną cebulką i ziemniakami.

Ciupa spojrzał koso na pryncypała.

- A Pod Krokodylem krokodyla?

- Chodźmy do środka, bo już czuję wilgoć w pewnych miejscach.

Wiele razy zastanawiał się, jak ma wyglądać ta chwila. Wiedział, że będzie musiał wykorzystać całą swoją wiedzę i spryt. Może nawet użyć jednego z wielu przebrań, peruk, sztucznych bród, wąsów i faworytów różnego koloru. Kilka z nich rzeczywiście spoczywało w walizce niesionej przez Ciupę.

Mimo to Stanisław Berg wciąż pozostawał Stanisławem Bergiem. Pierwsze słowa, które wypowiedział, zbliżywszy się do kontuaru

niewielkiej portierni, również zabrzmiały zgoła inaczej niżli w kilkunastu scenach, które dotąd rozegrały się w głowie detektywa:

- Dzień dobry, chciałem wynająć dwa pokoje - oświadczył mocnym i zdecydowanym głosem, by dodać: - Dzwoniłem wczoraj, późnym popołudniem.

Stała przed nimi nieduża, niemłoda i niezbyt ładna pani, której ramiona okrywała wykonana na drutach, trójkątna chusta, składająca się z czerwonych i czarnych rombów.

- Pan Berg? - zapytała przytomnie i, nie czekając odpowiedzi, sięgnęła po pióro, a dopiero gdy trzymała je w palcach, odpowiedziała na pozdrowienie: - Dzień dobry panom.

- Dzień dobry.

- I Roch Ciupa - dorzucił wielkolud z dziecięcą gorliwością, a pierś wypiął do przodu z taką dumą, jakby to naprawdę on ćwierć wieku temu dźwigał ten wojskowy plecak w drodze na Paryż.

Stach potwierdził niemo.

Tak, to Ciupa. Osobnik, który radził sobie z najagresywniejszymi pensjonariuszami łódzkiej psychuszki. Wątpię tylko, czy macie u siebie łóżko, w którym by się zmieścił, ale to już jego problem - pomyślał nie bez złośliwości. Zaraz jednak uświadomił sobie, że skoro Ciupa przedstawił się grzecznie i wyraźnie imieniem i nazwiskiem, to musi to oznaczać ni mniej, ni więcej, że nie jest w tej chwili ścigany przez prawo. Opowieść o tym, jak wydostał się z policyjnych kazamatów, wciąż była przed nimi.

Kobieta, być może nawet właścicielka pensjonatu Pod Srebrną Stynką - co też powinno się wkrótce wyjaśnić - wpisała personalia nowych gości do księgi meldunkowej. Nie prosiła, aby je powtórzyć, nie żądała też okazania paszportów. Swoją drogą Stach nawet nie wiedział, czy jego towarzysz jest w posiadaniu książeczki z dwugłowym ptaszyskiem, czy może granicę rosyjsko-pruską przekroczył w jakiś inny sposób. Może latem, kiedy gości było wielu, wyglądało to inaczej. Teraz jednak liczyła się każda dusza, skoro już napaliło się w piecu.

- Pokój numer siedem na piętrze i dwanaście na poddaszu. - Dwa wielkie, drewniane breloki w kształcie walca stuknęły o blat kontuaru.

- A czy z poddasza przypadkiem widać morze? - wyrwało się znów Rochowi.

Stach, mimo że przewrócił oczami, zaraz spojrzał na kobietę pytająco, jakby od odpowiedzi zależało co najmniej dobro czyjejs fortuny.

- Oczywiście, przypadkiem widać - odparła sucho, zaznaczając coś jeszcze w otwartej księdze meldunkowej.

W tym samym momencie panowie mimowolnie rozstrzygnęli, kto będzie gdzie spał.

- Proszę nam jeszcze łaskawie powiedzieć, czy można tu będzie coś zjeść? - zapytał, schowawszy oba klucze do dwóch różnych kieszeni wilgotnego od mżawki paltota.

Gospodyni nieco się ożywiła.

- Jeśli nie pogardzą panowie dorszem z nocnego połowu, to za kwadrans zapraszam do sali jadalnej. - Spojrzała na oszklone, zamknięte w tym momencie drzwi na prawo od siebie.

- Oczywiście, nie pogardzimy - uśmiechnął się Stach, dał znak Rochowi, po czym wspięli się po schodach.

Rychło każdy z nich znalazł się w swoim pokoju. Jako że obiad miał być za kwadrans, umówili się za dziesięć minut pod drzwiami pokoju Stacha na pierwszym piętrze. Roch, jak to Roch, pojawił się już po pięciu minutach, co Stanisław Berg, który odświeżał się jeszcze po podróży, wywnioskował ze skrzywienia. Westchnął ciężko.

- Już idę, idę! - zawołał, sięgając po surdut.

Zeszli do sali jadalnej, skąd dochodziła woń smażonej ryby. Jeśli jeszcze przed chwilą zastanawiali się, którą noc miała na myśli kobieta, mówiąc o złowieniu dorsza, to teraz obaj myśleli już tylko o tym, żeby jak najszybciej przebić się przez zarumienioną skórę i dostać do gorącego, białego mięsa. Do posiłku wypili po dwa kieliszki chłodnego wina. Na deser podano im tort czekoladowy.

- Aż boję się zapytać, ile to wszystko kosztuje... - powiedziała szeptem Roch.

- W takim razie nie pytaj - odparł półgębkiem Berg, podnosząc do ust widelczyk z ostatnim kawałkiem tortu. - Ciesz się chwilą, przyjacielu.

A kiedy skończyli, detektyw zapytał, czy Ciupa może mu pokazać swój pokój.

- Po prostu jestem ciekaw, czy naprawdę z okna widać morze - wyjaśnił lekkim tonem.

Słowa te padły, kiedy mężczyźni przechodzili obok portierni. Usłyszawszy je, niezbyt ładna pani, która siedziała za kontuarem i robiła na drutach, pokręciła głową z dezaprobatą. A potem mruknęła pod nosem:

- Jak dzieci.

Nie wiadomo, ile oczek udało jej się zrobić od chwili, kiedy goście zniknęli na piętrze, do momentu, gdy usłyszała krzyk. Jako że w tym momencie prócz dwóch Polaków nie było w pensjonacie innych gości, od razu wiedziała, kto hałasuje. Nie wiedziała tylko dlaczego, póki nie zobaczyła jednego z nich. Wtedy ostatecznie zdecydowała się odłożyć robótkę.

- Nieszczęście! Nieszczęście! - wołał Roch Ciupa.

- Co się stało? - zapytała, podnosząc się z krzeselka.

- Mój... mój pan... - Mężczyzna starał się zapanować nad sapaniem, ale też nad nerwami. - On... on zaraz wypadnie przez okno! Chciał... on chciał zobaczyć morze. I za bardzo się wychylił...

Na te słowa kobieta wyskoczyła zza kontuaru z zadziwiającą jak na swój wiek energią. Po chwili obcasy jej butów stukały na schodach. Roch sadził za nią po dwa stopnie naraz, chwytając się poręczy, aż ta drżała i skrzypiała.

- Pokój numer siedem - zawołał jeszcze za właścicielką.

Potrząsnęła tylko głową, pewnie na znak, że dobrze o tym wie. Nawet w pełni sezonu nie miała nigdy problemu z zapamiętaniem, gdzie który z gości pomieszkuje. Przecież prowadziła ten pensjonat

od lat niemal dwudziestu! I przez cały ten czas nie wydarzyło się nic takiego...

- Proszę pana! - Zapukała do uchylonych drzwi, jakby jeszcze miała nadzieję, że człowiek, który ją zaalarmował, upił się po prostu albo chciał jej zrobić psikusa. Może się założyli, czy uda mu się ją przekonać, że coś się stało?

Ale gdy nikt jej nie odpowiedział, pchnęła drzwi i przekroczyła próg. Pokój był pusty, a okno otwarte na oścież. Roch pierwszy dopadł parapetu i wychylił się.

- O Boże! O Boże! - zawołał łamiącym się głosem. - Trzeba biec. Trzeba go ratować...

Właścicielka pensjonatu, której najwyraźniej wciąż udawało się zachować zimną krew, już była z powrotem na schodach. Ciupa podążył jej śladem, co raz wzywając wszystkich świętych, na przemian czyniąc znak krzyża i łapiąc się za głowę. Tym razem poręcz szczęśliwie pozostawała nietknięta. Na parterze minęli jakąś kobietę. Sądząc z ubioru, była to kucharka, nieświadoma zupełnie, że właśnie przygotowała komuś ostatni posiłek. Chciała czegoś od swojej chlebodawczyni, ale ta odgoniła ją jak natrętną muchę. Rzuciła tylko kilka słów w języku niezrozumiałym dla Rocha, który również był już na dole.

- Mein Gott! - krzyknęła kucharka i chwyciła się za serce.

Wybiegli z pensjonatu. Okno pokoju Rocha wychodziło na podwórko, trzeba było więc pokonać jeszcze kawałek. Na krok przed węglem budynku kobieta jakby się zawahała.

- Trzeba go ratować! - Podmuch powietrza, spowodowany przez biegnącego gościa, musnął ją w ramię i kark, przywracając przytomność.

Na sztywnych nogach ruszyła przed siebie. Po chwili ujrzała Ciupę pochylającego się nad leżącym na ziemi ciałem. Stanisław Berg (zapamiętała personalia, które kilka chwil wcześniej wpisała do księgi meldunkowej) nie dawał oznak życia...

14

Ocknęła się w ciemnej izbie. Poczła mieszaną stęchlizny ze spalenizną i wonią gotowanych jarzyn. Nie zdążyła się skrzywić, gdy usłyszała dzwonięcie naczyń. Prawdziwe. Dźwiękom przygotowywania stawy towarzyszyło pogwizdywanie. Melodia wydała jej się bardzo sympatyczna. Człowiek, od którego uciekła, nigdy nie gwizdał.

Ale czy tak naprawdę uciekłam? – zapytała samą siebie.

W tej samej chwili przez jej pamięć z zawrotną szybkością przetoczyły się wydarzenia ostatnich dni, a potem godzin, minut i wreszcie sekund!

Szła nocą ulicami miasta, a potem skoczyła z mostu do rzeki. W jednej chwili pochłonęły ją chłodne, ciemne odmęty. To dziwne, ale poczuła się błogo. Jakby znów była w rodzinnym domu, we własnej wannie z ciepłą wodą. Kiedyś zamykała oczy i zanurzała się w niej cała, włącznie z głową. Wtedy odgłosy, które dochodziły z zewnątrz, choćby rozmowa rodziców czy stukot podków i kół na ulicznym bruku brzmiały jak nie z tego życia.

Wtem poczuła, że coś łaskocze ją pod powiekami. Znała to uczucie aż za dobrze. Zamknęła oczy. Sposób był niezawodny. Udało się i tym razem, ale ktoś najwyraźniej nie zamierzał odpuścić. Zamiast tego zaczęła boleć ją głowa. Poruszyła nią, myśląc, że w ten sposób pozbędzie się bólu. Bez skutku.

– Boże... – jęknęła.

Stukanie naczyń i gwizd ucichły, rozbrzmiały kroki.

– Słyszysz mnie pani? – odezwał się męski nieznajomy głos.

– Tak – odpowiedziała.

– Chwała Bogu! Baliśmy się, że już się panienka nigdy nie obudzi.

Chora podniosła głowę, która przez cały czas spoczywała na poduszce. Dostrzegła stojącego u nóg łóżka starszego człowieka. Przypominał jej dostawcę płodów rolnych, który regularnie pojawiał się w jej domu. Uśmiechał się dobrotliwie, może trochę z zakłopotaniem. No bo co by zrobił, gdyby się nie obudziła? Wrzucił z powrotem do rzeki?

- Co się stało? - zapytała słabym głosem.

- Wpadła panienka do rzeki. W nocy.

- Ubiegłej?

- Nie. Już dwa dni będą, jak panienka jest tutaj.

- Spałam tak długo?

- Chwała Bogu, że był to tylko sen. - Mężczyzna przeżegnał się ukradkiem.

- Mówiłam coś przez sen? - chciała wiedzieć.

Starzec już otwierał usta, by odpowiedzieć, ale wtedy coś zaczęło bulgotać. Krzyknął i odwrócił się na pięcie. Chodaki zadudniły z impetem na deskach podłogi. Z podobną siłą, ale zupełnie bezgłośnie głowa leżącej opadła na poduszkę. Czaszka, w której mózg szczęśliwie się nie ugotował z braku powietrza, teraz była ciężka niczym ołów.

Co dalej, skoro żyje?

15

Roch Ciupa siedział w przedziale porannego pociągu do Königsberga i do bólu zaciskał dłonie w pięści. Był sam. I dobrze, bowiem z pewnością nie zniósłby niczyjego towarzystwa. Ręce wciąż mu się trzęsły. Ech, gdzież się podział ten stary, dobry Roch, z pensjonariuszami zakładu dla obłąkanych, którzy doznawali ataku, radzący sobie jak, nie przymierzając, bona z dziećmi.

- Kontrola biletów - usłyszał naraz.

Pochłonięty przez własne myśli, nawet nie zauważył, że do środka wszedł konduktor. Chyba nawet ten sam, z którym wczoraj jechali w przeciwnym kierunku, czyli z Königsberga do Rauschen. Jeśli powie, że jadą zgodnie z planem, to pewnie ten sam.

- Dziękuję. - Kolejarz oddał pasażerowi przedziurkowany bilet.

I co? To wszystko? - pomyślał z żalem Roch. Ani słowa o tym, czy skład przybędzie punktualnie? A może to jednak inny konduktor. Mundur czynił jednak wszystkich podobnymi do siebie...

- Czy nie mamy aby opóźnienia? - zapytał głosem, którego sam nie rozpoznał.

- Nie - odparł konduktor.

- A jaka będzie następna stacja?

- Następna? Cranz.

- Już? Tak szybko?! - Roch zaśmiał się głupkowato.

- O czasie, proszę szanownego pana. - Mężczyzna spojrział na pasażera spod daszka służbowej czapki; być może nawet zaczął się w tej chwili zastanawiać, czy nie powinien jeszcze raz sprawdzić biletu, tym razem pod światło. - Czy czegoś jeszcze pan sobie życzy?

Roch gorliwie pokręcił głową. Nie mógł przecież powiedzieć temu człowiekowi o tym, co nie dawało mu spokoju, odkąd wsiadł do

pociągu. A właściwie to nawet wcześniej, odkąd się obudził. Żądać, by pociąg stał na stacyjce w Cranz, póki on, Roch Ciupa, nie powie, że już można gwizdać i ruszać w dalszą drogę. Może uszłoby to na Dzikim Zachodzie, kiedy to on byłby rabusiem, a pociąg przewoził złoto.

- Tak, tak - rzekł z atencją Ciupa. - Chciałbym wiedzieć, ile będzie trwał postój w Cranz.

- Całe dwie minuty.

- Dziękuję.

Konduktor zamknął drzwi. Jeszcze przez chwilę spoglądał na dziwnego, podróżującego samotnie pasażera, którego rysy wykrzywiało szkło w drzwiach.

Niecały kwadrans później pociąg zatrzymał się na stacji i zaczęły się chyba najdłuższe dwie minuty w życiu Rocha Ciupy. Stał w otwartych drzwiach wagonu, ze wzrokiem wbitym w jeden punkt - wyjście na peron. Od czasu do czasu spoglądał też na konduktora, a potem na zawiadowcę stacji, który wyszedł z niewielkiego budyneczku i przechadzał się wzdłuż pociągu. Niewiele osób wysiadło, trochę więcej wsiadło. Wciąż jednak nie było tej najważniejszej. Roch z coraz większym przerażeniem spoglądał na wielki zegar. Ile by dał, by móc zatrzymać wskazówki.

- Proszę wsiadać! - krzyknął konduktor.

Serce Ciupy stanęło. W tej samej chwili na peron wpadł jeszcze jeden pasażer. W lewej ręce trzymał białą kopertę, w prawej laseczkę, nie miał więc jak przytrzymać kapelusza. Pęd powietrza zdarł mu nakrycie głowy. Mężczyzna zatrzymał się i zawrócił po zgubę. Zafurkotały tłoki lokomotywy.

- Szybciej - jęknął Roch.

- Drzwi zamykać! - zabrzmiała kolejna komenda.

Skład ruszył z jękiem z miejsca. Ciupa wyciągnął rękę ku biegnącemu, ten zaś odbił się od platformy.

- Kiedyś ludzie oskarżą pana o powodowanie zawałów serca - rzekł z powagą Roch, kiedy po chwili obaj szczęśliwie siedzieli już

w przedziale. – Złożą przeciwko panu pozew zbiorowy, daję słowo, panie Stachu. Jakiś cwany prawnik tylko czeka na taką okazję.

– Nie będzie chyba tak źle – uśmiechnął się detektyw, zdejmując powoli paltot, który odwiesił na metalowy haczyk. Pieszczotliwie wygładził wilgotny od dżdżu materiał. – Tuszę, że właściciele pensjonatu Pod Srebrną Stynką tylko poprawiłem krążenie.

– Mało powiedziane.

– I nie sam, tylko z twoim udziałem.

– Nie da się ukryć – sapnął Roch, wreszcie już spokojny.

Zaraz jednak uśmiechnął się na wspomnienie tego, co się wczoraj wydarzyło.

Niejedna osoba na widok leżącego na ziemi człowieka, który tylko wypadł z okna, z pewnością dostałaby ataku hysterii. Stach nie chciał więc przesadzić, tym bardziej że to, co miał załatwić, już załatwił.

Chwilę po tym, jak kobiecina dołączyła do pochyłającego się nad nim Rocha, zaczął więc dawać oznaki życia, a nawet całkiem znośnego samopoczucia. Otworzył oczy i powtarzając w kółko „nic mi nie jest, nic mi nie jest”, jął się podnosić. Kobieta upierała się jednak, że pośle po lekarza. Nawet gdy Berg stał już na równych nogach i zapewniał ją solennie, że naprawdę wszystko jest w porządku, bo upadł na miękką trawę i nawet nie kręci mu się w głowie. No, może trochę, trzeba wszak było do końca zachować pozory, pojęcie przynajmniej jeszcze przez chwilę. Kuleć.

Roch odprowadził go do pokoju. Dopiero tam Stach ucichł i przestał się krzywić. Przekręcił cicho klucz w zamku i wydobyl wetkniętą za spodnie i przykrytą koszulą księgę meldunkową. Ukradł ją, a właściwie to tylko pożyczył, kiedy Roch i zaalarmowana przez niego kobieta byli na poddaszu. Ryzykował co prawda spotkanie z kucharką, ale był to jedyny plan, jaki miał. Nie chciał czekać do nocy. Skoczył więc wcześniej z okna, nie poddasza, bo to rzeczywiście mogło źle się skończyć, ale swojego pokoju na pierwszym piętrze.

Zaczął się, capnął księgę, ukrył ją, by na koniec położyć się w miejscu rzekomego upadku.

Bez trudu znalazł potrzebną datę, a następnie, nie spiesząc się, spisał nazwiska wszystkich, którzy gościli wówczas w pensjonacie. Zrobił to bardzo starannie, według pokoi, zupełnie tak jak stało w dokumentach. Nieco ponad godzinę później wezwany przez niego Roch, wykorzystując chwilową nieobecność gospodyni, która wyszła akurat po coś do kuchni, sprytnie podrzucił księgę meldunkową z powrotem na portiernię.

Resztę dnia, czyli popołudnie i wieczór, Stanisław Berg i Roch Ciupa spędzili osobno. Detektyw znów zamknął się w swoim pokoju, jego wierny druh wyszedł zaś na długi spacer brzegiem morza. Dobrze na niego wpłynął, bo zaraz po powrocie Roch zasnął jak dziecko. Następnego dnia na śniadaniu nie zastał już Berga, jedynie list i pieniądze za pobyt, którymi miał zapłacić. Mieli się ponownie spotkać na stacji w Cranz. I tak też się stało.

- Załatwił pan to, co chciał? - zapytał Roch, kiedy pociąg do Königsberga już się rozpędzał.

- Owszem - odparł Berg, nie kryjąc zadowolenia.

- To coś znajduje się w tej kopercie?

- W tej.

Przez chwilę milczeli, jakby bawili się w zgadywanki, mające umilić im podróż. Roch Ciupa zastanawiał się, o co powinien zapytać, by dotrzeć do prawdy. A detektyw, czy aby nie powinien, z dobroci serca, w jakiś sposób ułatwić temu drugiemu zadania.

- Dobra! - rzucili jednocześnie, mimo że każdy miał na myśli coś innego.

Stanisław Berg ujął kopertę za przeciwległe rogi, zakręcił nią. Potem znów ją odłożył, jakby nie chciał jej otwierać. Ściągnął brwi w zamyśleniu. Tak, mówił prawdę, w kopercie miał coś, co rzucało

światło na sprawę. Jednak siedzącemu naprzeciwko przyjacielowi był winien całą opowieść.

- W księdze meldunkowej pensjonatu Pod Srebrną Stynką w Rauschen znalazłem nazwiska Ewy Peters i Moniki Krautter - zaczął. - Były tam dokładnie w tych dniach, o których mówili rodzice tej drugiej. Jednak jeśli tylko bym to potwierdził, w żaden sposób nie popchnąłbym naszego śledztwa do przodu, prawda?

- Święta - potwierdził Roch.

- Na szczęście były też inne. Eva Peters i Monika Krautter dostały pokój trzyosobowy, ale nie zamieszkały tam tylko we dwie. Trzecia lokatorka nazywała się i, mam nadzieję, dalej nazywa, Anna Schmitz.

- To ją będziemy chcieli teraz znaleźć?

- Też. Ale nie wydaje mi się możliwe, żeby te trzy kobiety przyjechały nad morze same. W powozie, który czekał przed kamienicą Krautterów przy Königsbergerstrasse w Insterburgu, był ktoś jeszcze. Mężczyzna. Najprawdopodobniej właściciel powozu. Zapamiętał go pracownik cukierni, która znajduje się obok domu Moniki. Kupił ciastka na drogę. Cukiernik widział go po raz pierwszy. Zaciekawiony, wyszedł zza lady i wyjrzał na ulicę.

- Tuszę, że jego nazwisko również znalazł pan w księdze meldunkowej pensjonatu! - rzekł Roch Ciupa.

Stach się zasepił.

- Niestety, tutaj jest mały problem - odpowiedział po dłuższym milczeniu. - Tamtego dnia do pensjonatu przyjechało aż siedmiu mężczyzn. Od razu wykluczyłem tych, którzy przybyli do kurortu z rodzinami. Ale i tak zostało trzech. Dwóch zajęło pokoje jednoosobowe, trzeci zaś największy, jakim dysponowali właściciele.

- Kogo stać na taki, pewnie stać i na karete - spekulował Ciupa, drapiąc się po nieogolonym policzku.

- Prawdopodobnie masz rację. Człowiek ten nazywa się Gabriel von Voss.

- Hrabia?

- Jak widać. Po ichniemu: graf. Tak przynajmniej zostało zapisane. Jest jeszcze jedna ciekawa rzecz, która pozwala nam sądzić, że to właśnie on przyjechał do słonecznego Rauschen z trzema młodymi, atrakcyjnymi kobietami. Pokoje, które zajmowali, mają...

- Wspólny balkon! - Roch aż klasnął z zadowolenia w wielkie dłonie, co podróżujący za ścianą pasażerowie niechybnie musieli wziąć za odgłos usterki wagonu, względnie wystrzał z rewolweru. Jednak obawa ta zajmowała umysł Stacha jedynie przez krótką chwilę. Ciupa zaraz zapytał, czego właściwie detektyw szukał tego przedpołudnia w Cranz.

- Lubię to miasto. - Berg niewinnie wzruszył ramionami. - Spędziłem tam kilka miłych chwil we wrześniu i poznałem piękną kobietę, Ursulę Dietrich... Ale do rzeczy. Będąc tam latem, korzystałem z usług pewnego fachowca, który dysponuje cudownym drewnianym pudełkiem z okrągłym otworem na jednej ze ścianek. Dzieciom mówi się, że za chwilę wyleci z niego ptaszek. Urządzenie nazywa się eastman, a jego właściciel pracuje latem zarówno w Cranz, jak i Rauschen.

- Niech pan nie mówi, że pana pamiętał!

- Nie. Ale poprawiłem mu pamięć kilkoma markami. Okazało się, że to niezwykle skrupulatny człowiek, zapisuje wszystko tak samo jak właścicielka pensjonatu Pod Srebrną Stynką. Wyobraź sobie, że zachowuje wszystkie zdjęcia, które zrobił, w specjalnych szufladach. W dodatku uporządkowane chronologicznie...

- Jeśli kiedyś ożeni się pan z panną Dietrich, a potem ona będzie chciała od pana odejść, będzie miał pan dowód, że byliście szczęśliwi! - wypalił Ciupa.

Stach nic nie powiedział. W szybie drzwi przedziału na krótką chwilę pojawiła się czyjaś twarz. Było to ciekawskie, kręcące się po wagonie dziecko. Rozległ się śmiech i tupot małych nóżek.

- A zatem, mój drogi Rochu - podjął detektyw - właściciel eastmana po raz kolejny okazał się bardzo pomocny. Okazało się, że Eva Peters, Monika Krautter i Anna Schmitz nie oparły się pokusie

i zrobiły sobie kilka pamiątkowych fotografii na promenadzie w Rauschen. Nasz specjalista znalazł je bez problemu i na oczekaniu zrobił dla mnie odbitki.

To powiedziawszy, Berg sięgnął po kopertę, która wciąż zajmowała sąsiednie miejsce, otworzył ją i wyjął trzy zdjęcia pocztówkowego formatu. Przez chwilę je wertował, przyglądając się uwiecznionym na nich osobom. Dzięki Krautterom bez trudu rozpoznał Monikę. Trochę trudniej było z Evą Peters, Stach dysponował wszak tylko zdjęciem wykonanym przez policyjnego fotografa, przedstawiającym nieboszczkę po kilku godzinach w wodzie. Anna Schmitz na jednym zdjęciu wtulała czoło w ramię Ewy, na pozostałych musiała się poruszyć, gdyż jej twarz była zamazana.

Podał fotografie Rochowi. Ten ją przyglądać się im w takim napięciu, jakby przedstawiały kobiety w zupełnym neglizżu i w wyuzdanych pozach. Podekscytowanie to minęło jednak równie szybko, jak się pojawiło.

- Są same - rzekł, podniósłszy wzrok.

- Nie da się ukryć - mruknął Berg.

- I co teraz?

- Nic. Wracamy do miasta. Trzeba dokończyć urządzenie biura. - Detektyw wyciągnął rękę po fotografie.

Nie umieścił ich jednak na powrót w kopercie, ale znów zaczął przeglądać. Nie uwieczniono na nich tajemniczego towarzysza pań, grafa Gabriela von Vossa. Ale on tam był. Z całą pewnością. Stał obok mężczyzny, który robił zdjęcia. Zdradzał go podłużny cień w kapeluszu, wsparty o laseczkę, który rysował się wyraźnie na zalanym słonecznym światłem chodniku promenady. Spojrzenie Moniki Krautter skierowane było nie tam, skąd miał wylecieć ptaszek, ale obok. W kierunku stojącego mężczyzny.

Czy to on dał się sfotografować na pogrzebie Ewy?

16

W samo południe wysiedli z pociągu na Dworcu Piławskim. Tramwajem, przez Most Kramarzy, szybko i bez problemów, jeśli nie liczyć awantury, w którą motorowy wdał się z wozakiem, dotarli do kamienicy przy nabrzeżu Kai.

Dobry humor Berga zwarzył się w chwili, kiedy drzwi biura otworzyła Agnes Lauder. Nie zamierzał ukrywać niezadowolenia.

- To nie jest bezpieczne miejsce - warknął, zdejmując powoli kapelusz.

- Też się cieszę, że pana widzę - odpowiedziała rezolutnie dziewczyna.

- Oskar pewnie nie zdążył ci opowiedzieć, co tu się wczoraj wydarzyło.

- Opowiedział, a jakże! Nawet kilka razy. Najbardziej lubię ten fragment, kiedy złoczyńca leci przez okno...

Stach chwycił się za głowę.

- Zatłukę smarkacza!

- A wtedy będę jeszcze bardziej potrzebna - dokończyła z uśmiechem panna Lauder.

Detektyw spojrzał w górę i pokręcił głową, a potem mruknął po polsku:

- Skaranie boskie z tymi dziećmi.

Stach dał się jednak szybko udobruchać, Agnes przygotowała bowiem pyszny obiad. Cielęce kotlety siekane z ziemniakami i surówką z buraczków, wszystko zaś podane wykwintnie na porcelanowych talerzach z granatowo-złotym, meandrycznym wzorem biegnącym.

- Właściwie skąd mamy taką zastawę? - nie mógł nie zainteresować się Berg.

- Przyniosłam z domu - odrzekła panna Lauder, ująwszy się z zadowoleniem pod boki.

- Mama o tym wie?

- Nie wie, ale na pewno nie miałyby nic przeciwko.

Berg tylko westchnął. Nie pochwalał tego, co tu się działo. Posiłek okazał się jednak pyszny, szczególnie że w porę. Przyszły mąż ten młodej dziewczyny będzie miał z nią naprawdę dobrze. Nie bez znaczenia był też sposób, w jaki został podany obiad; Stach cenił sobie ładne rzeczy, ale zadbać o nie w swoim nowym otoczeniu nie miał jakoś ani czasu, ani serca.

- Smakowało panom? - zapytała Agnes, kiedy wraz z Ciupą skończyli jeść.

- Wybornie - odrzekł Roch, a zrobił to tak hałaśliwie, że Berg wolał się już nie odzywać.

- W takim razie możemy przystąpić do kolejnego punktu dnia - ogłosiła dziewczyna.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, wyraźnie zakłopotani. Pierwszy kontenans odzyskał Roch.

- Jakiego kolejnego punktu? - zapytał najdelikatniej, jak potrafił. - Co panienka ma właściwie na myśli?

- Panienka ma na myśli to, że nie myśli być tu tylko kucharką - odpowiedziała ze swadą Agnes. - Moją najważniejszą rolą jest prowadzenie biura prywatnego detektywa Stanisława Berga, czyli między innymi przyjmowanie i wysyłanie korespondencji. Dziś rano nadeszła pierwsza wiadomość. Jako że została dostarczona przez posłańca, od razu zajął się nim Oskar.

- Co znaczy, że się zajął? - zapytał ostrożnie detektyw.

- Poszedł za nim, by zobaczyć, gdzie mieszkuje. Tak na wszelki wypadek, w razie gdyby trzeba było reklamować usługę. Ale to już pan musi ocenić. - Wyjęła zza białego fartuszka kopertę i sprężystym gestem podała Bergowi.

Kiedy ją rozrywał i wyjmował list, a potem przebiegał wzrokiem po linijskich tekstach, Agnes nie spuszczała z niego spojrzenia. Przygryzła wargi, tak była ciekawa, o czym donoszono w pierwszej wiadomości, jaką dane jej było odebrać. Stanisław Berg schował pismo z powrotem do koperty, którą rzucił obojętnie na stół. Trudno było ocenić po jego wyrazie twarzy, czy wiadomość była dobra, czy zła. W końcu, po niemal minucie milczenia, detektyw spojrzał na dziewczynę, a następnie do Rocha.

- Ktoś jakiś czas temu dał anons w „Königer Zeitung”, że zgubił coś na moście na Schloss-Teichu. Ten samej nocy, kiedy zmarła Eva Peters.

- A pan to znalazł! - wypalił Roch.

Stach postanowił, że nie skomentuje słów pomagiera, który najwyraźniej był jeszcze zmęczony po podróży.

- Trudno się nie zorientować - podjął po chwili - że to zaproszenie. Nie wiem tylko, do czego i kto je wystosował. Tak czy owak, odpowiedziałem na ogłoszenie.

- Ale jak? Że znalazł pan to coś, co zostało zgubione? - Ciupa z zakłopotaniem drapał się po głowie.

- Dokładnie. I że uprzejmie oddam do rąk własnych. Nie pytaj mnie jednak, co to jest, bo to tajemnica. Odpowiedź długo nie nadchodziła i już zacząłem tracić nadzieję, czy kiedykolwiek ktoś się odezwie. Ale oto jest! - Stuknął palcem wskazującym w leżącą na stole kopertę.

- I co pan zrobi? - chciała wiedzieć Agnes.

- O czwartej mam się spotkać z tym człowiekiem.

17

Godzinę później Stanisław Berg opuścił biuro. Panna Lauder dostała od niego zadanie odnalezienia Anny Schmitz. Zająrzeć należało do rektoratu Albertyny, było wszak wielce możliwe, że Anna, podobnie jak Monika Krautter, uczęszczała na uniwersyteckie wykłady.

Stach złapał dorożkę na Kneiphofsche Langgasse i kazał się zawieźć na Sackheim. To właśnie tam zostało wyznaczone spotkanie. Nie znał jeszcze miasta na tyle, by adres, który mu podano, przyporządkować w myślach konkretnemu obrazowi. Podał go więc fiakrowi i zdał się na jego solidność, sam zaś pogrążył się w rozmyślaniach.

Usiłował przede wszystkim podsumować wszystko, co do tej pory udało mu się ustalić. Łatwe to nie było, bo działania dotyczyły dwóch kobiet. Jedna z nich nie żyła, druga nie wiadomo. O Evę, prócz Ludwiga Schatzkiego, w którego imieniu działał Stach, nikt się nie dopominał. W odróżnieniu od drugiej kobiety, Moniki Krautter, za której odnalezienie zapłacili rodzice. Całe szczęście, że Berg zażądał połowy pieniędzy z góry, bo ładnie by teraz wyglądał. Z drugiej strony, choć Krautterowie zniknęli, nie zwalniało go to od dalszych działań. Mimo że mógł już nie zobaczyć złamanego grosza.

Czy spotkanie, na które zmierzał, miało coś wspólnego z tymi sprawami? Na szczęście nikt nie wymagał od niego odpowiedzi w tej chwili.

- Sedanstrasse. - Z zamyślenia wyrwał go głos dorożkarza. - Jesteśmy na miejscu, proszę pana.

Berg wyprostował się na kanapie dorożki, zamrugął, wreszcie rozejrzał się dookoła. Stali przed jakimiś magazynami, wokół nie widział żywego ducha.

- Jest pan pewien, że to tutaj?

- To chyba ja powinienem o to zapytać - sarknął wozak, szybko jednak spokorniał, a nawet na chwilę zdjął czapę z siwej głowy. - Taki pan raczył podać adres. Sedanstrasse osiem. O, tam, niech pan będzie łaskaw popatrzeć, tabliczka przecie wisi. - Mężczyzna wskazał bacikiem.

Stach spojrział w to samo miejsce. Owszem, choć zardzewiała, ósemka była wcale wyraźna, nawet z tej odległości.

- Ja, proszę pana, jeżdżę dorożką dwadzieścia lat i znam to miasto jak własną kieszeń - przechwalał się dorożkarz.

- Dobra, dobra - mruknął Berg, gramoląc się z kanapy.

Wcześniej sprawdził czas. Do godziny spotkania zostało jeszcze dziesięć minut.

- Poczekać na pana? - zapytał fiakier, odebrawszy zapłatę za kurs.

- To nie będzie konieczne.

Detektyw jeszcze raz ogarnął spojrzeniem dziwną posesję.

Czyżbyś spodziewał się pałacu? - zadał sobie pytanie.

Pukanie nie miało sensu, od razu pchnął uchylone drzwi. Otworzyły się z głośnym skrzypnięciem. Zanim wszedł do środka, jeszcze raz się obejrzał. Dorożka właśnie zawracała w stronę centrum miasta. Tak naprawdę Stach miał nadzieję zobaczyć nadjeżdżający Sedanstrasse inny pojazd, z którego po chwili wysiadłby umówiony z nim człowiek. Wówczas nie musiałyby być dłużej w tym dziwnym miejscu, a jeśli już, to nie sam...

Stał na wąskim, ciemnym podwórku. Kolejne drzwi znajdowały się w odległości kilkunastu kroków, a każdemu, jak przypuszczał, miał towarzyszyć chrzęst tłuczonego szkła, drobnego gruzu i śmieci.

- Coraz mniej mi się tu podoba... - mruknął pod nosem, zaciskając mocniej palce na lasce.

Nagle coś zafurkotało po prawej stronie. Detektyw zatrzymał się w pół kroku. Na widok wrony albo kawki, która zerwała się z ziemi, odetchnął z ulgą. Lot był krótki, zaraz bowiem znudzony ptak usiadł na murku okalającym podwórko.

W kilku krokach dotarł Berg do drzwi. Tym razem jednak zapukał. Nikt nie odpowiedział, więc nacisnął klamkę.

- Halo! Jest tam kto?

Pomieszczenie miało wielkość połowy głównej hali Dworca Piławskiego (z powodu zakończonej niedawno podróży skojarzenie nasuwało się samoistnie) i prawdopodobnie było jakimś opuszczonym magazynem. Konia z rzędem temu, kto zdołałby odgadnąć, co w nim kiedyś przechowywano - i dlaczego.

Pod jedną ścianą stały drewniane regały, na nich zaś tylko kilka zakurzonych, pękatych słoików, tudzież parę beczek. W jednym kącie złożono jakieś na pół zardzewiałe rury różnej grubości. Czuć było stęchlizną, odchodami i gorącą smołą, ściany domagały się farby, a podłoga, usiana tysiącnie ziarnami jakichś zbóż - pozamiatania, a następnie długiego i starannego mycia.

Nikogo nie zdziwiłaby w tym miejscu obecność szczurów, ale jak na razie - i na szczęście, bowiem Stach nie cierpiał tych stworzeń - nie dostrzegł ani jednego. Resztki światła dnia wpadały do środka przez rząd niskich, ale szerokich okienek, które znajdowały się niemal pod sufitem. Jedne szyby były bardziej pokryte kurzem, drugie mniej, a dobrej połowy nie było w ogóle.

Stach nie przybył tu jednak, by podziwiać industrialną architekturę. Jeszcze raz wyjął zegarek i sprawdził czas. Dwie minuty po czwartej. Tajemniczy nadawca ogłoszenia spóźniał się, choć tyle można było jeszcze wybaczyć, zważywszy na odległość od centrum miasta. Pomyślawszy o tym, Berg po raz pierwszy pożałował, że odprawił fiakra mądrą.

Pomieszczenie miało jeszcze inne drzwi, lecz zamiast skierować się tam, zawołał znów:

- Jest tu kto? - Jego własny głos wydał mu się dziwny, jakby naiwnie chłopy; za to tym razem odpowiedziało mu echo.

Stanisław Berg postanowił, że zaczeka na tajemniczego ogłoszeniodawcę na zewnątrz. Odwrócił się na pięcie, miażdżąc na proch kawałek szkła z rozbitej butelki. W tym samym momencie

kątem oka ujrzał, jak w jednym z okienek przemyka jakiś cień. Pewnie pomyślałby, że to znów wrona napędziła mu stracha, gdyby chwilę później coś nie huknęło. Kula roztrzaskała jednak tylko jeden z wielkich słoików na półkach pod ścianą. W ciągu sekundy Berg połączył wszystko w całość, w następnej uskoczył gwałtownie w bok. Kolejny pocisk raził ścianę w tym samym miejscu, gdzie wcześniej znajdowała się jego głowa.

- Głupiec! - zbeształ sam siebie, przypadłszy plecami do ściany.

Ten, który usiłował go ubić, wcale nie ogłosił końca prób. Powietrze rozdarł huk trzeciego wystrzału. Wróg wciąż był na swojej pozycji na zewnątrz budynku. Stach myślał szybko. Strzelec miałby przewagę tylko wówczas, gdyby na zewnątrz panował mrok, zaś pomieszczenie, w którym znajdowałby się cel, było oświetlone. Za dnia szansa na trafienie kogoś w środku jest tylko jednorazowa. Potem bowiem to ten w pomieszczeniu widzi strzelca. Tamten chybił, a mimo to ponawiał próby. Poza tym hałasem ściągał na siebie uwagę sąsiadów albo przechodniów.

Kiepski fachowiec - ocenił Berg.

Wyjął rewolwer. Postanowił poczekać, aż tamten odda czwarty strzał. Ten jednak nie padał, więc napastnik albo zrozumiał, że popełnił błąd, albo czekał na lepszy moment.

- Pokaż się, ptaszku - mruknął detektyw, wpatrując się w refleksy świetlne na murach magazynu.

Gdy przez jeden z nich przemknął cień, Stach wychylił się z kryjówki i wystrzelił tam, gdzie, jak sądził, powinien znajdować się wróg. Nie miał jednak zamiaru czekać na efekty kontrataku. Wypalił raz jeszcze, po czym runął w kierunku drzwi prowadzących na zewnątrz. Otworzył je i... zderzył się z górą mięśni ubraną w samodzielną marynarkę.

- Nic panu nie jest? - zapytał Roch Ciupa, wyraźnie przejęty. - Słyszałem strzały...

- Co tu robisz?

- Pomyślałem, że przecie nie może pan sam...

Nie dokończył. Detektyw odepchnął go gwałtownie i skoczył ku drzwiom. Otworzył je kopniakiem i wybiegł na ulicę. Ujrzał jednak tylko szary cień tylnej ściany powozu pędzącego Sedanstrasse w stronę Lipnika.

- Widziałeś go? - rzucił przez ramię i nie czekając na odpowiedź Rocha, który rzeczywiście wyszedł za nim, puścił się pędem za odjeżdżającym powozem.

Równie szybko się jednak zatrzymał. Nie za nim gonić ani tym bardziej do niego strzelać, bowiem ulica nie była już zupełnie pusta jak wówczas, kiedy tu przyjechał.

- Powie mi pan, co się tu wydarzyło? - zapytał go Ciupa, kiedy na powrót znalazł się przed drzwiami magazynu pułapki.

- Tak, ale w domu - odrzekł Berg. - A teraz chodźmy stąd, zanim zleci się więcej wron.

18

Udało im się złapać dorożkę dopiero na Sackheimer Mittelstrasse, niedaleko szkoły. Robiło się coraz ciemniej i nieprzyjemniej, jednak na ulicach wciąż jeszcze nie zapalono latarni. Jedynym źródłem światła były okna kamienic dzielnicy Sackheim. Zarówno do tego momentu, jak i podczas podróży na Knipawę Stanisław Berg i Roch Ciupa właściwie się do siebie nie odzywali. A pytań cisnęło im się na usta bez liku.

- Dziękuję. - Berg wręczył zapłatę dorożkarzowi, kiedy wreszcie zatrzymali się na nabrzeżu Kai. Roch przyglądał się, jak kilkunastu portowych robotników rozładowuje statek, pokrzykując przy tym i klnąc.

Minutę później nasi przyjaciele znaleźli się w mieszkaniu. Agnes nie było, za to w kuchni hałaśliwie krzątał się Oskar. Wyglądało na to, że tych dwoje dzieliło się dyżurami w biurze detektywa, choć żadne nie rozmawiało jeszcze z gospodarzem o kwestii wynagrodzenia. Stach, owszem, miał świadomość, że będzie musiał problem ten kiedyś poruszyć, a następnie rozwiązać, jednak na razie był zbyt zajęty. Tym, żeby nie dać się zabić.

A przecież w krótkim czasie próbowano to zrobić już dwa razy!

- Jasna cholera! - krzyknął, rzucając ze złością paltot na krzesło.

Roch i Oskar popatrzyli po sobie. Chłopak już nabierał powietrza do płuc, aby zapytać, jaka jest przyczyna tego gniewu, ale Ciupa powstrzymał go znaczącym ruchem głowy. Radtke tylko przełknął ślinę.

- Dowiedziałeś się, kto przyniósł tę wiadomość? - zapytał go Stach.

- Nie... Urwał mi się - jęknął chłopak. - Wiem, krewa.

- Zgadza się.
- Ale udało mi się usłyszeć coś ciekawego...

Ale Stanisław Berg zareagował na to inaczej, niż można się było spodziewać, bo tylko fuknął nieprzyjaźnie:

- Przygotuj lepiej coś do picia!
- Tak jest - mruknął z rezygnacją chłopak.
- Migiem! - rzucił za nim detektyw, chociaż spoglądał w tym momencie na Rocha. Właściwie to nie spoglądał, tylko spojrzeniem wypalał w nim dwie dziury. - A ty siadaj.

Ciupa wykonał polecenie. Krzeselko rozpaczliwie pod nim zatrzeszczało.

- Po co za mną pojechałeś? - zapytał Berg.
- Już mówiłem. Pomyślałem, że może pan sam sobie nie poradzi.

Nie spuszczając wzroku z przepytywanego, Stach usiadł na blacie i splótł ręce na piersiach. Wyglądał w tej chwili jak rasowy śledczy.

- Jak tam dotarłeś? - zadał kolejne pytanie.
- Tramwajem.
- Numer?
- Nie pamiętam.

- A skąd, u diabła, wiedziałeś, że jedzie akurat tam? Już tak dobrze zdążyłeś poznać miasto? Powinszować, bo ja, uważasz, wciąż się tutaj gubię! - Berg parsknął krótko.

Wielki mężczyzna siedział bez ruchu, oddychał ciężko, coraz głośniejsze było też spojrzenie pochylającego się nad nim Stacha.

- Czy chciałbyś mi może coś powiedzieć, drogi Rochu? - zapytał detektyw, starannie ważąc każde słowo, po czym pochylił się w jego kierunku.

W tej sekundzie Oskar Radtke jeszcze bardziej przybliżył prawe ucho do drzwi gabinetu pryncypała, zatkawszy sobie palcem ucho lewe.

Mimo tego zabiegu wciąż słyszał tylko niewyraźne pomruki, jakieś westchnienia i skrzypienie starych mebli.

- Co się dzieje? - Od drzwi wejściowych dobiegł go wesoły głos Agnes.

- Pssst! - Chłopak przyłożył palec od brudnego ucha do ust, a potem się skrzywił, bardziej chyba jednak z powodu tego, że mu przeszkadzano, niżli nieprzyjemnego zapachu zalegającej w jego uszach woskowiny.

Ponieważ byli w dobrej komitywie, Agnes podjęła grę. Sprawunki odłożyła na bok, zzuła bučki i na palcach zbliżyła się do drzwi, przy których ślęczał niegdysiejszy ulicznik.

- Co się dzieje? - zapytała konfidencyjnym szeptem.

- Znów ktoś dybał na szefa.

Zakryła usta dłonią, a jej źrenice powiększyły się niemal dwukrotnie. Chłopak zrobił minę trochę bolesną, a trochę dumną, zupełnie jakby to on był tym, któremu udało się uchronić detektywa przez zgubą. Ponownie przyłożył odstające, wiecznie zaczerwienione ucho do drewna. Agnes nie chciała być gorsza i zbliżyła oko do dziurki od klucza. Ponieważ panowie nie znajdowali się w wąskim polu widzenia, chcąc nie chcąc, ucho przystawiła do dziurki. Wzdrygnęła się zaraz, bo metal był zimny.

- Słyszę... - szepnęła trochę do swego towarzysza, trochę do siebie, nie mogąc się powstrzymać. W jednej chwili wróciły wspomnienia dzieciństwa, kiedy takie zabawy były na porządku dziennym.

Trudno było nie usłyszeć podniesionego w tym momencie głosu Stanisława Berga, którym zakończył on swoją tyradę. Ostatnim akcentem miało być wyjście z gabinetu. I było. Tylko że żadne z podsłuchujących dzieci nie zdążyło należycie na to zareagować.

- Aaaa! - krzyknął Oskar, chwytając się za uderzoną drzwiami skroń; jego starsza współpracownica cierpiała w milczeniu, tak jak winni cierpieć ci z nieczystym sumieniem.

Stanisław Berg spojrzał na pomocników siedzących na podłodze, pokręcił głową w politowaniu i westchnął ciężko.

- Skaranie boskie... - usłyszeli Agnes i Oskar, a jako że detektyw swoim zwyczajem wypowiedział te słowa w ojczystym języku, tylko wzruszyli ramionami. - Co z tą herbatą, Oskarze? - zapytał Berg już po niemiecku.

- Już się robi, szefie! - Chłopak w mgnieniu oka zerwał się z podłogi i popędził w kierunku kuchni, jakby chciał się zrehabilitować.

Agnes również była już na nogach, ale nie ruszała się z miejsca. Stach spojrzał na nią srogo. Nie struchlała jednak, przeciwnie - odplącała detektywowi najpiękniejszym uśmiechem, na jaki było ją stać u schyłku tego ponurego, październikowego dnia. Berg zmienił wyraz twarzy.

- Dowiedziałaś się czegoś? - zapytał.

- Owszem - odrzekła rezolutnie.

- Słucham.

- Pozwoli pan, że najpierw zrobię porządek z wiktuałami, które przyniosłam. Mama przesyła panu pyszne powidła śliwkowe.

- O, dziękuję - bąknął zaskoczony tym zupełnie Stach.

- Na pewno będą panu smakować.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłem takie powidła...

Obok już przepychał się Roch. Po rozmowie z detektywem twarz miał czerwoną niczym pomidor, a wzrok rozbiegany.

- To może ja pomogę panience! - powiedział, chyba głośniejszym niż zamierzał.

- Dziękuję, panie Rochu - uśmiechnęła się dziewczyna, która zbierała sprawunki wcześniej rzucone na podłogę w przedpokoju.

Po chwili Stanisław Berg został sam. Nie uśmiechało mu się to, przynajmniej nie tego dnia, kiedy znów otarł się o śmierć. Przesząpił z nogi na nogę, westchnął i skierował kroki do kuchni, w której rozlegał się już gwar rozmów. W połowie drogi jednak zatrzymał się i zawrócił do gabinetu.

- Rzeczywiście przepyszne te konfitury - zachwycił się niecały kwadrans później. - Nie mogę się doczekać, kiedy będę mógł osobiście podziękować pani Lauder.

- Będzie okazja przy płaceniu komornego - zauważyła przytomnie Agnes.

- Bez wątpienia. - Stach odłożył łyżeczkę na brzeg talerzyka.

Uwaga dziewczyny skutecznie naprowadziła detektywa na właściwe tory.

Tak, tak. Trzeba się wziąć mocno do roboty, jeśli wynajem lokalu w jednym z najlepszych punktów Königsberga miał potrwać dłużej niż miesiąc - pomyślał.

- Czego się dowiedziałas? - zapytał ponownie.

W odpowiedzi uśmiechnęła się tajemniczo, po czym wyjęła z rękawa złożoną kartkę, jak z sekretnymi zapiskami miały w zwyczaju czynić kobiety. Rozprostowała papier zapisany starannym pismem i zaczęła referować ze swadą.

- Tak jak pan polecił, miałam sprawdzić w ratuszu i rektoracie. Niestety, w tym pierwszym niczego nie znalazłam, więc udałam się na Albertynę. Czułam się tam o wiele lepiej, mam bowiem wielu przyjaciół wśród tamtejszych studentów. Nasze podejrzenia, że Eva Peters i Anna Schmitz chodziły razem na wykłady, nie potwierdziły się. Schmitz nie figuruje w żadnych oficjalnych uniwersyteckich dokumentach.

Stach pogładził się po szorstkim policzku.

- W takim razie co? Co je łączyło? - zastanawiał się głośno. - Były emancypantkami czy razem czytały Pismo Święte po niedzielnej mszy? Bo gdyby bawiły się w amatorski teatr, pewnie byśmy o tym usłyszeli, nawet amatorzy potrzebują widzów, prawda? A może wesołą kompanią zwiedzały okolice? To by się nawet zgadzało, były razem nad morzem...

Dziewczyna nic nie odpowiedziała. Po chwili zajrzała do notatek.

- W drodze powrotnej z rektoratu postanowiłam zajrzeć do biura, w którym studenci mogą znaleźć stancję, a mieszkańcy Königsberga, którzy dysponują wolnym kątem, studentów - perorowała Agnes. - Bywałam tam nieraz, wysyłana przez mamę, choć ostatnio wynajmujemy pokoje tylko chłopakom z polecenia. Pomyślałam, że zapytam.

Zabębniła na karteluszkę, robiąc znów tę samą tajemniczą minę.

- I co? - Stach z trudem panował nad sobą, żeby nie chwycić za ten papiererek.

- I mamy ją! - ogłosiła triumfalnie Agnes, podniósłszy karteczkę oburącz, na wysokość twarzy, niczym dowód rzeczowy w sądzie. - Anna Schmitz od pierwszego września odnajmowała pokój w willi przy Schützenstrasse w dzielnicy Tragheim. Teraz musimy tylko sprawdzić, czy nic się nie zmieniło.

Wbrew temu, czego można było się spodziewać, Stanisław Berg nie zarządził natychmiastowego wymarszu. Wielu na jego miejscu nie wahałoby się przed takim posunięciem. Wszak człowiek - który już dokonał wieczornych ablucyj, wdział nocną koszulę i wypił ziółka, przekonany, że nic złego dzień już nie przyniesie - wzięty w krzyżowy ogień pytań, mógł być bardziej skory do współpracy i szczery. Detektyw przyjrzał się za to w spokoju notatkom sporządzonym przez domorosłą asystentkę, następnie sprawdził adres na planie miasta. Wreszcie, jak gdyby nigdy nic, ogłosił koniec pracy.

Agnes i Oskar udali się do swych domów, Roch, który podziac się nie miał gdzie, umościł sobie leże w kuchni, Stach zaś wdrapał się na górę do pomieszczenia, które tak zachwyciło go pierwszego dnia. Nie bez powodu nazwał je latarnią - mógł podziwiać stamtąd panoramę sporej części miasta. Wieżyczkę od prawdziwej latarni morskiej odróżniało jedynie to, że nie emitowała światła, które sprowadzało na ląd wszystkich zagubionych. Człowiek, który tego wieczora siedział przez długie godziny w jednym z okien i spoglądał na zasypiający

Königsberg, mimo mrocznej przeszłości, za takie światło mógł na upartego uchodzić. Jutro miało się okazać, jak silny jest jego blask...

19

Obudziły go podniesione głosy dochodzące z dołu. W pierwszej chwili był przekonany, że przypuszczono kolejny atak na ich siedzibę. Wyciągnął rewolwer spod poduszki i już miał biec z odsieczą obleżonym, gdy rozpoznał głosy Rocha i Oskara.

- Jajecznicą powinna być mocno ścięta! - grzmiał były pielęgniarz. - A to, co ty zrobiłeś, to jakieś pomyje! Świniom bym tego nie dał...

- Co za głupoty pan opowiada - odgryzał się hardo Radtke. - Po pierwsze świnie nie jedzą jajek. Może rosyjskie, bo na pewno nie nasze. A po drugie pan Berg lubi jajecznicę ledwo co ściętą. Tak jak jaja na miękko...

- Sam masz miękkie jaja.

- A pan twardy łeb, bo nic do pana nie dociera.

Walka o gusta Stacha pewnie by jeszcze trwała, ale detektyw postanowił rozsądzić spór między swoimi współpracownikami.

- Poproszę średnio ściętą - powiedział, gdy znalazł się w kuchni, zapinając koszulę na piersiach. - I to migiem.

Rychło uczyniono zadość jego poleceniu. Po chwili wszyscy trzej siedzieli przy kuchennym stole i zagryzali jajecznicę świeżym chlebem z masłem.

Kwadrans później Stach i Ciupa jechali już tramwajem na północ. W miarę jak oddalali się od centrum, domy ciągnące się wzdłuż ulic malały. Tu i ówdzie czerwieniły się mury budynków koszarowych. W pewnej chwili stali na skrzyżowaniu dobre dwie minuty, aby przepuścić wojskowego tabory, najpewniej udające się na ćwiczenia. Drogę od końcowego przystanku, a mogło być to nawet ćwierć pruskiej mili, detektywi musieli pokonać piechotą. Na szczęście

pogoda sprzyjała spacerom: było słonecznie i, jak na październik, niezbyt chłodno. Ot, jeszcze jedno tchnienie minionego lata, może już ostatnie.

- To chyba tutaj. - Stach wycelował laseczką w całkiem ładny, piętrowy domek ze spadzistym dachem i ścianami porośniętymi bluszczem. Sięgnął do kieszeni, w której schował notatki sporządzone przez Agnes, rzucił na nie okiem. - Pani Klein.

- Mam wejść z panem czy poczekać na zewnątrz? - zapytał Roch.

- Lepiej będzie, jak poczekaasz. Tuszę, że to starsza osoba, która mogłaby się ciebie przestraszyć. No, chyba że jej nazwisko jest mylące.

Nie było. Drzwi otworzyła drobna kobieta lat około sześćdziesięciu. Przez pince-nez umieszczone na długiej szylkretowej rączce z zaciekawieniem przyglądała się gościowi.

- Moje nazwisko Berg - przedstawił się przybysz, zdejmując z galanterią kapelusz. Z jego twarzy ani na chwilę nie zniknął uśmiech.

- Słucham.

- Podano mi pani adres.

- Proszę, niech pan wejdzie. - Otworzyła szerzej drzwi.

Stach był rad, że to wystarczyło. Przekroczywszy próg, poczuł zapach pieczonego ciasta. Szybkim spojrzeniem ogarnął wnętrze. Gdyby jako student rzeczywiście szukał dla siebie kąta, byłby na najlepszej drodze do tego, aby się zdecydować. Mimo sporej odległości od uniwersytetu. Myśli pani Klein też chyba krążyły bardzo blisko tematu, ledwo bowiem zamknęła drzwi za gościem, zapytała:

- Pan w sprawie pokoju?

- Zgadza się.

Oddaliła pince-nez od oczu, by zaraz ponownie je przybliżyć i jeszcze raz otaksować go od stóp do głów. Stach podejrzewał, że po prostu nie wyglądał na studenta. Nie miał na sobie munduru i dekielka korporanta, nie mówiąc już o wieku. Postanowił nie lawirować.

- Szukam Anny Schmitz. Wiem, że wynajmuje u pani - wyrzucił z siebie jednym tchem, wciąż jednak z tym samym uśmiechem, który jednych mógł ujmować, innych zaś prowokować do starcia go z twarzy detektywa jednym uderzeniem.

Właścicielki willi przy Schützenstrasse ani nie ujął, ani nie zdenerwował. Przeraził ją tym uśmiechem chyba jeszcze bardziej niż samymi słowami. Skoro ktoś powiedział to, co powiedział, szczerząc przy tym kły, to musiał być pewny swego. I kombinowanie, zasłanianie się słabą pamięcią nic by nie dało.

- Jasna cholera - zakłęła cicho pani Klein.

A że zrobiła to po polsku, Berg uśmiechnął się jeszcze szerzej. Po czym odpowiedział najczystsza polszczyzną:

- Na szczęście jesteśmy na nią odporni.

Oczy kobiety zrobiły się tak wielkie jak szkła, przez które spoglądała na świat.

- Jest pan Polakiem? - zapytała.

- Z dziada pradziada - odparł, by zaraz dodać z dumą: - Synem powstańca styczniowego.

W następnej chwili pani Klein zaciągnęła rodaka do salonu, obiecała herbatę i świeżo upieczoną babkę. Stach krygował się jednak, tłumacząc, że najpierw wolałby porozmawiać o pannie Schmitz.

- A mieszkała taka, mieszkała. - Kobiecina pomachała w powietrzu rękami.

- Czyli już nie mieszka? - zapytał przytomnie.

- Nie widziałam jej od miesiąca. Po prostu któregoś dnia nie przyszła...

- I nie powiadomiła pani policji?

Przez twarz gospodyni przebiegł cień. Stach nie chciał jej denerwować ani tracić cennego źródła informacji.

- Wiele ich już było. - Machnęła ręką. - Czasami wracały po tygodniu, czasami i później, a kiedy jedna z drugą złapała dobrego chłopca, to i dopiero przed ślubem. By zabrać swoje manele.

- A ma pani jeszcze rzeczy Anny Schmitz? - Stach sprytnie chwycił się tematu.

- Oczywiście, że tak. Pokój musiałam opróżnić, bo nie stać mnie, aby go nie wynajmować. Ale cudzą własność szanuję. Niech pan poczeka, zaraz przyniosę.

To powiedziawszy, wstała z krzeselka i żwawo wyszła z salonu. Stach znów rozejrzał się po ścianach. Nic w wystroju salonu nie zdradzało, że w domu mieszkała Polka. Żadnych świętych obrazów ani krzyży. Ze ślubnego portretu, który wisiał nad kominkiem, spoglądali młodzi ludzie. Stach bez trudu rozpoznał w pannie młodej gospodynię tego domu. Gdzie był mąż? O to lepiej było nie pytać, choć skoro Kleinowa odnajmowała pokoje obcym ludziom, musiała być wdową albo rozwódką. Prędzej to pierwsze.

Rozległo się człapanie. Kobieta dźwigała okrągłe pudełko, w jakich elegantki przynosiły do domu dopiero kupione kapelusze. Położyła pudełko na stoliczku, który miał cal może dłuższą średnicę, zdjęła wieko i usiadła ze stęknieniem.

- Proszę. Niech pan obejrzy skarby Anny Schmitz - rzuciła lekko zgryźliwie.

- Dziękuję. Bardzo mi pani pomaga.

Zaraz jednak doszło do niego, że jejmość jakoś jeszcze nie zapytała, kim właściwie jest i dlaczego interesuje się jej niegdysiejszą sublokatorką. Grzebie w jej rzeczach! No, ale może wobec rodaka była bardziej pobłażliwa.

Ciekawe, czy wypuściłaby z domu złodzieja, gdyby zaczął recytować Redutę Ordona - pomyślał.

Pochylił się nad pudełkiem. Na wierzchu leżała mała poduszczyca, w powłoczce z białego płótna, obszyta koronką. Berg, którego coś chwyciło za gardło, odłożył ją delikatnie na stół i zaczął się przyglądać pozostałym fantom, które zostały po Annie Schmitz. Wstążki, kościany grzebyk, kilka książek oprawnych w półskórek ze złoceniami. Kiedy je wyjął, ujrzał damską bieliznę, jednak nie dał po sobie poznać zakłopotania.

Trochę mało rzeczy jak na kogoś, kto tu mieszkał i któregoś dnia po prostu nie wrócił – pomyślał Stach, przeniósłszy na chwilę spojrzenie na Kleinową. Widać pojęła, o co mu chodzi, bo zaraz zaczęła się tłumaczyć:

– Tu nic było ruszane, Bóg mi świadkiem, panie...

– Berg – przypomniał jej Stach.

– Berg – powtórzyła jak echo. – A panna Schmitz wyjechała na niedzielę do rodziny, z dość sporą walizką. Ledwie ją do dorożki wtachała.

– To wiele wyjaśnia – zgodził się detektyw. – A dokąd wyjechała?

– Mieszkała w miasteczku Bartenstein. Mam dokładny adres, jestem zobowiązana zapisywać takie rzeczy. Podam go panu.

Stach ponownie zajrzał do okrągłego pudła, a potem przez chwilę przewracał znajdujące się w nim szpargały. Flakonik z perfumami, nożyce krawieckie, kilka szpulek kolorowych nici...

– Wie pani, czym się zajmowała na co dzień Anna Schmitz? – zapytał Berg.

– Oczywiście. Moja lokatorka studiowała – odpowiedziała kobieta bez zająknięcia.

Stach postanowił tego nie komentować. Zresztą kobieta wcale nie musiała kłamać, nieprawdziwe informacje mogła podać jej sama Anna. Pewnie tak właśnie było.

Wyjął z pudełka kolejny przedmiot. Niewielka wizytówka leżała do tej pory na samym dnie. Berg z trudem zachował spokój. Powąchał kartonik.

– Woda różana i jaśmin – powtórzył słowa, które wypowiedział nie tak dawno. Treść biletu mógł wyrecytować z zamkniętymi oczami. Co zresztą uczynił: – Salon piękności Venus. Fleischbanken strasse 8.

20

Z daleka widział już znajomy budynek. Szyld wabił kobiety, które wierzyły, że kąpiel w ciepłej, pachnącej różami i jaśminem wodzie albo błocie, seans Mezgera czy nacieranie skóry tłustymi wonnościami sprawią, iż poczują się szczęśliwsze, piękniejsze, a może też bardziej kochane... Prawdę mówiąc, Stanisław Berg nie spodziewał się, że po tym, jak z pomocą przyjaciół udało mu się wyciągnąć z kłopotów żonę konsula Steinhoffa, jeszcze kiedyś trafi pod ten adres. Nie mógł jednak zlekceważyć tego tropu. Z poduszeczki, na której trzymała głowę Anna Schmitz we śnie, nie potrafił przecież niczego wyczytać. Jeśli istnieli na świecie detektywi, którzy posiadli taką umiejętność, on do nich nie należał.

- Płacić! - rzucił do fiakra, a gdy ten obrócił się na koźle, wcisnął mu w brudną dłoń kilka monet i nie zważając na to, że obok siedzi Roch, wyskoczył w biegu.

Gdy Ciupa dołączył do stojącego przed drzwiami salonu Berga, ujrzał tylko jego zaciętą minę.

- Co się stało? - zapytał detektywa.

- Nie widzisz?

Drzwi były opieczętowane przez policję. Mimo że od afery minęło już sporo czasu, salon albo wciąż był uważany za miejsce, w którym popełniono przestępstwo, albo też pozostawał pod jurysdykcją władz. Najwidoczniej wszyscy, którzy mogli się nim zająć, trafili pod klucz. Stach w kilku prostych zdaniach streścił pomocnikowi wypadki z udziałem Schatzkiego.

- Wszystko pięknie, tylko co właściwie chciał pan tutaj znaleźć? - zapytał Roch.

Stanisław Berg chrząknął gniewnie i jeszcze raz spojrzął na drzwi i pieczęcie, które dalece komplikowały mu śledztwo.

- Lepiej idź sprawdzić, czy wejście od zaplecza jest równie pięknie ozdobione - polecił.

Roch zniknął w najbliższej bramie, detektyw zaś oddalił się od drzwi, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Stał na chodniku i jakby nigdy nic przyglądał się ludziom i pojazdom przemierzającym Fleischbankenstrasse. Punkt był niezwykle atrakcyjny i pewnie niejeden sklepikarz chciałby otworzyć tu swój skład.

- Katastrofa kolejowa na Dworcu Montparnasse w Paryżu! Jedna ofiara śmiertelna! - wykrzykiwał uliczny sprzedawca gazet, wymachując z zapalem jedną z nich.

Stach przyzwał go ruchem ręki, sięgnął po pieniądze. Otworzył gazetę. Przez kilka chwil udawał, że czyta. Wertował egzemplarz, aż dotarł do ogłoszeń. Pomyślał o tamtym, na które odpowiedział, naraziwszy się na niebezpieczeństwo. Nie było wątpliwości - człowiek, który strzelał do Stacha, chciał pozbyć się świadka. Kogoś, kto widział, co wydarzyło się w pobliżu Schloss-Teichu. Morderstwo Evy Peters. Tylko czy Berg był jedynym, który odpowiedział na anons?

W pewnej chwili poczuł, że ktoś mu się przypatruje. Po drugiej stronie ulicy, tuż nad rynsztokiem, stała starsza, zabiedzona, zgarbiona kobieta.

Pewnie żebraczka - pomyślał w pierwszej chwili. Widziała, jak kupował gazetę, więc zaraz spróbuje szczęścia.

Jego przypuszczenia potwierdziły się chwilę później: kobieta przecięła jezdnię i już po chwili stała przed Bergiem. Mówiła coś, czego nie mógł zrozumieć, w tle stukały bowiem o bruk końskie kopyta i koła powozu. Nie był zresztą ciekaw, co powie, by przekonać go do dania jałmużny. Odwrócił się bokiem, jednocześnie sprawdzając, czy z bramy nie wychodzi aby Roch. To załatwiłoby wszystko...

- Zniszczyłeś mi życie! - dobiegł jego uszu zduszony, przypominający syk węża głos kobiety. - Niech cię piekło pochłonie.

Niech ci wszystkie członki odpadną...

Na takie słowa nie mógł nie zareagować. Wiedział już, że baba nie przyszła na żebry. Teraz musiał zobaczyć, kto życzył mu tych wszystkich przyjemności.

- Też się cieszę, że panią widzę. - Uchylił kapelusza, jednocześnie przyglądając się parze oczu, które przewiercały go na wylot.

Widział je już gdzieś, całkiem niedawno - tylko gdzie? Dopiero gdy baba poruszyła głowę i mruknęła coś niezrozumiale, pojął, kogo ma przed sobą. Była to pracownica salonu piękności Venus, jedna z szajki, która oskarżyła Leni Kastner o kradzież biżuterii, a za milczenie zażądała pięciu tysięcy marek. Pewnie by je dostała, gdyby obok stał prawdziwy pan Zao, chiński masażysta, nie zaś przebrany za niego Stanisław Berg.

Uśmiechnął się, choć zdawał sobie doskonale sprawę, że jeszcze bardziej rozsierdzi kobietę.

- Czy aby nie powinna być pani w tej chwili w więzieniu?

- Wypuścili.

- Doprawdy?

- Dwa dni temu.

- A dziś postanowiła pani odwiedzić stare miejsce pracy. Choć tak nazwać tego niepodobna, bo to uwłaczałoby wszystkim uczciwym pracującym. A tu, niestety, plomby i pieczęcie na drzwiach - dywagował niestrudzenie detektyw.

- Codziennie tu jestem - warknęła kobieta.

Dopiero teraz zauważył, jak bardzo była odrażająca. Miast zębów miała brązowe pieńki, skórę twarzy pokrywały czerwone plamy i kępy włosów, oczy były podkrążone i przekrwione. Czy to więzienie spowodowało to wszystko, czy może wcześniej szantażystka sprawnie maskowała wszystkie niedoskonałości?

- A gdzie pani wierny pomagier, detektyw Saviscas? - Berg przypomniał sobie dziobatego chudeusza, który pełnił niepoślednią rolę w niecnym procederze.

- Nie żyje.

- Niech zgadnę: do nieszczęśliwego wypadku doszło w więziennej celi?

Potwierdziła niemo. Detektyw chciał jeszcze, mimo nienawiści, jaką kobieta do niego czuła, zapytać o szczegóły, kiedy w bramie pojawił się Roch Ciupa. Ruchem głowy dał Stachowi do zrozumienia, że znalazł wyjście z sytuacji, a w zasadzie to wejście do salonu Venus. Berg bez słowa zostawił szantażystkę i podążył w ślad za pomagierem. Znaleźli się na ciemnym podwórku. Roch wskazał na uchylone drzwi.

- Poczekaj tu - rzucił Stach do Ciupy.

To, co wydarzyło się później, obaj wiele razy i z najdrobniejszymi szczegółami odtwarzali w pamięci. Nie minęło pięć minut od chwili, gdy Stanisław Berg zniknął na zapleczu lokalu, kiedy do środka, przez główne drzwi, wpadło kilku policjantów w mundurach i kilku w cywilu. Stach ujrzał ich, o ironio!, dokładnie w tym samym miejscu, w którym tamtego dnia spotkał się z Ludwigiem Schatzkim. A właściwie został przez niego aresztowany.

Niestety, dzisiaj zaprzyjaźnionego polizeirata próżno było tam szukać. Znalazł się za to inny stary znajomy. Schulz. Stach ledwo poznał go bez munduru. Schulz wycelował palcem wskazującym w jego pierś i wyrecytował ochryple:

- Włamał się do tego lokalu, a poza tym posługuje się nieważną licencją prywatnego detektywa. Aresztować go!

Stanisław Berg bez słowa protestu dał sobie nałożyć kajdanki. Był spokojny. Aż do chwili, kiedy ujrzał Rocha, którego wielką niczym bochen chleba dłoń ścisnął inspektor Franz Winckler.

- Dziękuję panu za obywatelską postawę - powiedział głośno, by dodać nieco już ciszej, ale i te słowa dotarły do uszu zatrzymanego: - Teraz jesteśmy kwita...



KSIĘGA CZWARTA

KU ŚWIATŁU

1

Gabriel von Voss obudził się później niż zwykle. Kiedy zmrużywszy oczy, spojrzął na stary stojący zegar, stwierdził, że dochodzi dziewiąta. Nie pierwszy raz zdarzyło mu się coś takiego – najpierw długo nie mógł zasnąć, liczył wszystkie uderzenia i wpadał w czarną rozpacz, kiedy było ich dwanaście. Dopiero nad ranem nie słyszał już nic. Gdyby nie parcie na pęczek, pewnie spałby dłużej. Tak, ono potrafiło zgonić z łóżka największych nawet śpiochów. Najsroższy szef kompanii nie potrafił tego, co zwyczajne siuśki. Skutecznie budziły go też zapachy. Wystarczyło, że służący wniósł do sypialni dzbanek ze świeżo zaparzoną kawą. Nie musiał nawet podtykać mu pod nos dzióbka, jak to czasami się robiło!

Niestety, teraz nie było już nawet służących. Został jedynie stary, wierny Klaus. Ale co z tego, skoro nie było dnia, żeby czegoś nie potłukł.

O, chyba idzie – pomyślał von Voss, bo zza drzwi dobiegło ciężkie człapanie i wcale nie lżejsze sapanie.

Wstał z łóżka, włożył szlafrok i wzuł nocne pantofle. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi, tak delikatne, że wydawało się, iż ktoś przytargał tu na rękach małe dziecko i to ono domagało się, aby je wpuścić do środka.

– Proszę – powiedział Gabriel schrypniętym głosem. Do nikogo się jeszcze dzisiaj nie odezwał, w dodatku zawsze ciężko znosił jesienne chłody, tym bardziej w niezbyt dobrze ogrzewanych pomieszczeniach.

– Dzień dobry jaśnie wielmożnemu panu – przywitał się służący.

Był to starzec czerstwy jeszcze, lekko przegięty w krzyżu, wygolony starannie, o łagodnym spojrzeniu. Miał na sobie niezapiętą liberię w kolorze karminu, w rękach niósł tacę, na niej zaś śniadanie.

Nie trzeba było się specjalnie przypatrywać, by stwierdzić, że każde z naczyń pochodzi z innego serwisu. W Europie uznano by to za dekadencją ekstrawagancją. Prawda była jednak taka, że niepodobna było w tym domu zgromadzić całość w jednym kolorze, za co odpowiadał, jak już wspominaliśmy, stary wierny Klaus.

- Znów jajka? - krzywił się Gabriel, przypatrzawszy się dokładnie temu, co przyniósł służący i kucharz w jednym.

- Kury, proszę pana, mają głęboko pod ogonem wszystko to, co trapi nas, ludzi - stwierdził filozoficznie starzec. - Niewiele sobie robią z wierzyteli i wszystkich, którzy znajdują przyjemność w zatrucaniu nam życia. Póki jest ręka, która sypie im ziarno, póty z nami będą.

Gabriel von Voss przewrócił oczami.

- Na twardo? - skrzywił się.

- Jutro postaram się przygotować suflet - burknął służący.

Już to widzę - pomyślał gorzko mężczyzna, otłukując apatycznie skorupkę.

Podczas gdy on jadł w milczeniu, Klaus krzątał się po komnacie. Nie pytając, rozsunał story, wpuszczając do środka światło dzienne. Von Voss nie protestował. Następnie służący zaczął zbierać z podłogi porozrzucone wczoraj wieczorem ubrania swego pana. Zrobiłby to wcześniej, ale prawda była taka, że się bał. Gabriel, którego znał od dziecka, od dłuższego czasu miewał napady melancholii. Zamykał się w swoim pokoju, krążył po nim niczym zamknięte w klatce dzikie zwierzę, a jego kroki było słychać do późna. Tymczasem majątek, przez stulecia gromadzony przez von Vossów, topniał.

- Wyjeżdżam - ogłosił Gabriel, przełknąwszy ostatni kęs śniadania. - Dzisiaj osiodłaj... osiodłaj... - zastanawiał się przez chwilę, spoglądając przez okno na park.

- Tak?

- Niech będzie Fortuna.

- Ośmielę się zauważyć, że pod wierzch ma pan już tylko Fortunę - mruknął stary sługa i jął zbierać ze stolika zużytą zastawę.

W pewnej chwili tak niezgrabnie chwycił kieliszek do jajek, że ten wyśliznął mu się z palców i spadł na palisandrową podłogę, roztrzaskując się na kawałki. Tradycji stało się więc zadość.

- Przepraszam, bardzo jaśnie grafa przepraszam - wymamrotał stary, schyliwszy się, by pozbierać skorupy.

Gabriel von Voss tylko westchnął.

Niespełna godzinę później jechał stępa szpalerem kasztanowców i lip, które zgubiły już połowę liści, przez co aleja prowadząca od pałacu do głównej drogi wyglądała jak oblana gorącą miedzią. Fortuna zastrzygła uszami. Od dawna stała beczynnienie i samotnie w stajni, więc gdy tylko stary Klaus zbliżał się do niej z siodłem w rękach, rżała z zadowoleniem. Kilka minut później młody mężczyzna zatrzymał klacz na rozstaju. Przez chwilę zastanawiał się, w którą stronę pojechać. Nie było to jednak łatwe dla kogoś, kto nie spieszył się do żadnego zajęcia i kogo nikt nie oczekiwał. Choć jeszcze niedawno, ledwo kilka tygodni temu...

- A może ty zdecydujesz? - zapytał Fortunę.

Klacz poruszyła łbem, chwilę kręciła się miejscu. Gdy wybrała drogę w prawo, Gabriela chwyciła za gardło jakaś wielka ckliwość.

- No tak, wiesz lepiej - rzekł do zwierzęcia, które zaraz przeszło w kłus, a następnie w galop.

Główna droga była dobrze utrzymana i twarda, bo nie padało od kilku dni, toteż dotarcie na miejsce zajęło Gabrielowi niecały kwadrans. Już z daleka widział bladożółte mury, wysokie okna i czerwony spadzisty dach pałacu. To tutaj przyszedł na świat, stawiał pierwsze kroki, potem uczył się czytać i pisać. To tutaj pierwszy raz zakochał się nieszczęśliwie i tutaj wypił pierwszą wódkę z lokajem, choć nie pamiętał już, jak tamten miał na imię.

Teraz jednak to miejsce nie należało do niego.

- Prr! - zawołał na konia.

Zatrzymali się przed wielkim dębem. W samą porę. Przed wejściem do pałacu stał bowiem duży powóz, obok zaś – chłopska fura. Wokół nich kręcili się jacyś ludzie. W drzwiach pojawili się zaraz kolejni. Dźwigali coś dużego, przykrytego białym pokrowcem. Prawdopodobnie była to sofa. Na ten widok Gabriel von Voss omal nie krzyknął.

- Ty złodzieju! - wycedził przez zęby, zaciskając do bólu palce na uździe Fortuny, której udzieliło się chyba zdenerwowanie pana, bo nerwowo drobiła w miejscu. - Spokojnie, spokojnie. - Przez chwilę gładził ją po kłębie.

Tymczasem ledwo sofę załadowano na furę, z pałacu wyszli jeszcze inni tragarze. Tym razem to, co nieśli, nie było niczym okryte, dzięki czemu Gabriel od razu rozpoznał dębowy, inkrustowany sekretarzyk. Należał do jego starszej siostry. Od niepamiętnych czasów przechowywała w nim wszystkie swoje skarby, bardzo go lubiła. Teraz podzielił jej los: wynosili go z pałacu ludzie bez twarzy, z tą tylko różnicą, że w tym przypadku wystarczyło tylko dwóch. I nikt przy tym nie płakał. Nawet on, Gabriel von Voss. A jeśli już łzy cisnęły mu się do oczu, to tylko na wspomnienie minionych dni, z złości i z bezsilności. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to kląć po cichu i obserwować haniebną procedurę z bezpiecznej odległości.

- Zapłacisz mi za to... - wyszeptał znów ze złością, choć odbiorca tych słów nie mógł ich w żadnym razie usłyszeć.

Fortuna znów zaczęła niespokojnie chodzić w miejscu. Gabriel znał klacz bardzo dobrze i wiedział, że potrafi wyczuwać zagrożenie. Jakimś cudem w końcu tylko ona mu została, choć w najlepszych latach miał przecie ponad tuzin koni, pod wierzch i pociągowych. Nie mógł nie posłuchać jej i tym razem.

- No, idź, Fortuna. Prowadź. - Pochylił się nad końskim uchem.

Zaraz ruszyła z miejsca, by po kilku chwilach zatrzymać się w niewielkim zagajniku. Gabriel zeskoczył na ziemię. Nie minęło pół minuty, kiedy rozległ się tętent kopyt. Drogą prowadzącą do pałacu przejechały kolejne trzy wozy, puste jeszcze. Widząc to, von Voss

zaczynał mocno powieki i zatkał rękami uszy, ale to drugie niewiele pomagało. Dlatego zaczął szybko recytować pierwszy wiersz, który przyszedł mu do głowy. Był to Heinrich Heine.

Jeden z ulubionych poetów jego siostry. Dzięki temu udało mu się zagłuszyć ten nieznośny hałas. Uczuł, jakby każde uderzenie kopyta o ziemię i kamienia o koła mówiło mu: precz, precz, precz! W pierwszej chwili miał zamiar wrócić w poprzednie miejsce, by, mimo wszystko, znów obserwować to, co dzieje się na pałacowym podjeździe. Z jednej strony ciekaw był, co jeszcze ci ludzie wyniosą z pałacu. Z drugiej miał pewność, że oglądanie tego będzie go kosztowało wiele nerwów. Postanowił więc znów zdać się na to, co myśli klacz. Ta zaś poniosła go prosto do domu.

2

Śniło jej się, że siedzą naprzeciwko siebie przy jednym stole. Przed nimi leżały karty do gry. Dziwne, bo nawet nie umiała grać. No, może tylko w wojnę, bo to potrafią nawet małe dzieci. Karta silniejsza wygrywa i zabiera słabszą w niewolę, bo zazwyczaj pożytek z niej żaden. Tak czy inaczej, nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy i czy w ogóle siedziała przy karcianym stoliku.

Rozdanie okazało się jednak pechowe, bo co raz traciła. Nie miała króli ani asów, przez co część talii, którą trzymała w ręku, stawała się coraz cieńsza. Na twarzy jej przeciwniczki nie było jednak widać żadnych oznak satysfakcji. Wzrok miała wbity w jeden punkt, który znajdował się gdzieś pośrodku drogi między miejscem, gdzie kładły karty, a dalszą krawędzią stołu. Ruchy jej były niepokojące, podobne do ruchów marionetki. Taki samym gestem zabrała pierwszą kartę w grze, jak i ostatnią.

- Wygrałaś. Gratuluję - powiedziała, pokazując puste ręce.

- Nie, nie. To ty wygrałaś - odpowiedziała siedząca naprzeciwko, wciąż z tą samą kamienną twarzą.

Dopiero teraz zauważyła, że jej długie włosy dziwnie falują. Zupełnie jakby znajdowała się... Tak, jakby była w tym momencie... w wodzie. Tylko tam ludzkie włosy tak się zachowują. Ale przecież siedziały przy stole, normalnie rozmawiały. Nie wspominając już o oddychaniu!

- Wygrałaś - powtórzyła, po raz pierwszy od początku gry podnosząc wzrok.

Każde z jej oczu przypominało dno studni. Jej sine wargi rozwarły się i coś zaczęło się przez nie przeciskać. Rybia głowa. Wyraźnie

widziała wielkie, osadzone po bokach oczy, łuskę srebrną z domieszką zielonego.

Krzyknęła przerażona, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Obrzydliwa ryba wciąż wychodziła z ust tamtej, pojawiła się już nawet płetwa na grzbiecie. Sprawiała wrażenie ostrej niczym brzytwa. W pewnej chwili ryba otworzyła pysk.

- Już czas - odezwała się ludzkim głosem, w dodatku, co jeszcze bardziej przerażało, głosem znajomym. - Pójdź ze mną!

I zaczęła powiększać się w zatrważającym tempie. Rozległo się kilka trzasków, pękły kości rozrywanej szczęki. Po chwili głowy kobiety w ogóle nie było już widać. Była tylko ogromna niczym sum ryba. Już nie pyszczek, a paszcza z potwornym sykiem otworzyła się nad wciąż siedzącą bez ruchu przy stole kobietą...

Obudził ją jej własny krzyk. Usiadła na łóżku i przez kilka chwil oddychała ciężko. Potwornej ryby nie było. Kobiety, z którą grała w karty, też nie. Nie była zresztą pewna, co przeraziło ją bardziej w tym koszmarze. Dziękowała w duchu, że był to tylko sen. Drżała od zimnego potu. Podniosła wzrok. Otaczające ją przedmioty, meble i szare ściany z zaciekami przez kilka chwil wirowały wściekle. Mimo to nie miała wątpliwości, że wciąż znajduje się w niewielkiej, ciemnej izbie wypełnionej wonią stęchlizny i gotowanych jarzyn. Na szczęście nie było już czuć spalenizną. Poza tym nic się nie zmieniło. Spodziewała się usłyszeć postukiwanie naczyń, gwizd gospodarza i tupot jego chodaków na deskach podłogi. Ale było cicho.

Przed oczami, po raz nie wiadomo już który, w zawrotnym tempie przeleciały jej wydarzenia ostatnich dni - od wyjścia z domu i skoku do rzeki po moment, kiedy obudziła się w tym miejscu. Starszy człowiek, który się nią opiekował, wspominał o dwóch dniach, ale czy mówił prawdę? Tego nie mogła być pewna. Gdy zapytała go, co dalej z nią będzie, nie odpowiedział. Może nie dosłyszał, miał już przecież

swoje lata, a może tylko udał, że nie słyszy. Obawa, że chodziło o to drugie, wciąż jej nie opuszczała.

Poczuła potrzebę skorzystania z wychodka. Była to jedyna droga, jaką pokonywała przez ten czas. Na szczęście przybytek znajdował się blisko i był czysty. Opuściła nogi i wzięła nocne pantofle, stare i podarte. W innej sytuacji za nic nie odważyłaby się wsunąć w nie bosych stóp. Teraz jednak było jej to obojętne.

W połowie drogi powrotnej usłyszała jakieś głosy. Dochodziły zza drzwi. W pierwszym odruchu, jakby znów była małą dziewczynką, chciała jak najprędzej pobiec do łóżka i schować się pod kołdrą. Została jednak tam, gdzie stała. Po chwili rozpoznała głos swojego gospodarza. Zapraszam na stronę exsites.pl

- Zapraszam, zapraszam do środka - mówił starzec, pokaszując nerwowo. - Mieszkam bardzo skromnie, przepraszam...

Bez trudu zorientowała się, że prowadzi ze sobą więcej niż jedną osobę. Schody prowadzące do mieszkanek dudniły bowiem wyjątkowo głośno, jak nic w ciągu minionych dwóch dni. Zachrobotał klucz w zamku (była zamknięta!) i znajomo skrzypnęły stare zawiasy.

- Być może jeszcze śpi... - Zdążył powiedzieć starzec, zanim ujrzał ją stojącą na środku.

Ona zaś zobaczyła gości, a goście ją.

- Monika! - krzyknęli jednocześnie państwo Krautterowie, rzucając się ze łzami w oczach na oszołomioną córkę.

3

Dźwięk sygnaturki na wieży klasztoru benedyktynek na Lipniku z trudem przedarł się przez hałas, jaki spowodowały dwa powozy wjeżdżające na dziedziniec szpitala. Pierwszym z nich był ambulans służący do przewozu ofiar wypadków ulicznych, postrzelonych w pojedynkach czy podczas ćwiczeń, rodzących kobiet, czyli wszystkich tych, którzy potrzebowali nagłej pomocy. Drugim zaś – zwyczajna dorożka. Ludzie, którzy nią podróżowali, bardzo szybko jak na swój słuszny wiek opuścili pojazd i zameldowali się przy ambulansie. Byli to państwo Krautterowie, którzy kilkadziesiąt minut wcześniej odnaleźli poszukiwaną od tygodni córkę.

Radość ze spotkania nie była jednak długa, bowiem Monika straciła przytomność i trzeba było wezwać pomoc. Przybyły na miejsce lekarz orzekł, że niezwłocznie zabiera dziewczynę do szpitala. Przerażeni Krautterowie, którym na szczęście udało się prawie natychmiast złapać fiakra, ruszyli śladem ambulansu.

– Co z Moniką? Co z naszą córeczką? – dopytywali jedno przez drugie, zanim jeszcze ktokolwiek zdążył otworzyć drzwi powozu.

Lekarz pojawił się przy nich jak duch.

– Proszę się odsunąć – zaordynował sucho, przekładając skórzaną walizeczkę z przyrządami z jednej ręki do drugiej.

Karnie wykonali polecenie. Prawda była taka, że gdyby nagle stanął przed nimi kapral piechoty i jemu kazałby się czołgać, jej zaś wypucować mu rękawami żołnierskie buty na glanc, najpewniej zrobiliby to z ochotą. Byleby ten sen wspaniałały nigdy się nie skończył. Znaleźli przecież jedyne dziecko! Znaleźli, choć niewiele brakowało, a kilkanaście dni wcześniej, w tym samym miejscu, przeżywaliby katusze przed drzwiami kostnicy. Bo czy nie mogła leżeć tam ich

Monika? Oczywiście, że mogła! Na szczęście dobry Bóg Ojciec i wszyscy święci zlitowali się nad maluczkimi.

- Ostrożnie, ostrożnie - instruował lekarz dwóch tragarzy, którzy wyjmowali z ambulansu nosze z chorą.

Monika Krautter była przytomna, ale wyglądała na bardzo osłabioną. Ujrzawszy rodziców stojących obok powozu, uśmiechnęła się blado i podniosła rękę. Chciała pewnie pomachać najbliższym, ale dłoń zaraz opadła na prześcieradło. Hałasy na dziedzińcu spowodowały, że w kilku oknach szpitala lipnickiego pojawiły się głowy ciekawskich. Tu i ówdzie zajaśniały też wielkie czepce sióstr. Korowód przekroczył próg szpitala.

- Proszę poczekać przy izbie przyjęć - polecił lekarz Krautterom.

Na szczęście niespełna godzinę później cała rodzina ponownie była razem. Monika została położona w kilkusobowej sali, w świeżej pościeli. Była blada, usta miała sine, oczy podkrążone. Mimo wszystko starała się uśmiechać. I słuchać, głównie bowiem mówili jej rodzice. Czas, który mogli spędzić przy córce, był ograniczony. Lekarz, a był to zupełnie inny medyk niż wcześniej, dał im tylko dziesięć minut. Dziewczyna wciąż była bardzo słaba i nie należało jej męczyć. Omdlenie, do którego doszło zaraz po tym, jak Krautterowie zobaczyli córkę w biednej izdebce i które stało się bezpośrednią przyczyną wezwania pomocy, mogło się powtórzyć. To, a także bliska obecność osób postronnych - w sali leżały bowiem jeszcze trzy inne kobiety w różnym wieku, a każda z ciekawością spozierała na nową chorą i jej gości - oznaczało, że musieli bardzo starannie dobierać słowa.

- Wszystko będzie dobrze, córuniu. Wszystko będzie dobrze. - Pani Krautter czule głaskała leżącą na kołdrze dłoń córki.

- Dziękuję - powiedziała Monika ledwo słyszalnym głosem.

- Byliśmy na uniwersytecie - ciągnęła kobieta, spojrzawszy na męża. - Wszyscy już tam na ciebie czekają.

- To miłe.
- Bez trudu nadrobisz wszystkie zaległości - wtrącił ojciec.
- Oczywiście, tato.

Zapanował cisza, jeśli nie liczyć miarowego pokasywania jednej z pacjentek i sprężyn łóżka, które skrzypiały pod inną. Chwilę później do sali wkroczył lekarz. Krautterowie jak na komendę podnieśli się z zydelków. Matka zdążyła się jeszcze pochylić i pocałować Monikę w czoło.

- Do widzenia - powiedziała łamiącym się głosem, mnąc w palcach mokrą od łez chusteczkę.

- Do widzenia państwu - rzucił za odchodzącymi lekarz.

Zrobił to z taką werwą i zadowoleniem, iż mogło się wydawać, że za chwilę kłaśnie w dłonie, krzyknie coś po francusku, a pacjentki wyskoczą z łóżek i zaczną robić piruety. Ale on tylko pochylił się nad jedną z chorych. Potem zapisał coś w historii choroby innej, wreszcie podszedł do trzeciej. Najpierw spojrzał na leżące na nocnej szafce pudełko czekoladek Sprüngli & Sohn. Pokiwał głową ze znawstwem, by przenieść wzrok na twarz pacjentki.

- Jak ręka? - zapytał.

- Dobrze, doktorze - odpowiedziała szybko, ale nie mógł się oprzeć wrażeniu, że nie do końca przytomnie. Twarz młodej kobiety była czerwona, a oczy rozbiegane.

- Źle się pani czuje? - Przyłożył dłoń do jej czoła, aby sprawdzić, czy nie trawi jej wysoka gorączka.

- Nie.

Mówiła prawdę. Czoło miała zimne, jakby przed chwilą stała w otwartym oknie. Chwycił ją więc za nadgarstek, drugą zaś ręką wyjął zegarek z dewizką i sprawdził puls. Ale i tutaj nie doszukał się żadnych nieprawidłowości. Po krótkiej chwili domyślił się, co mogło spowodować niepokojące zmiany w wyglądzie i zachowaniu chorej - nowa pacjentka i jej bliscy. Odkąd pamiętał, tej nikt nigdy nie odwiedził, nie licząc tego eleganckiego faceta od pomarańczy i czekoladek. Puste pudełko wciąż leżało na jej szafce.

- Dam pani coś na uspokojenie - powiedział.

Z kieszeni fartucha wy dobył niewielki słoiczek. Zanim go otworzył, chwilę poruszał nim niczym grzechotką nad niemowlęciem. Dziewczyna nastawiła posłusznie dłoń. Lekarz wysypał na nią dwie pastylki. Potem przyglądał się, jak pacjentka zażywa lek i popija wodą.

- Powinno pomóc - rzekł z zadowoleniem, co było czymś w rodzaju lekarskiego „amen”, jeszcze jednym spojrzeniem ogarnął salę i wyszedł.

Ledwo za lekarzem zamknęły się drzwi, uratowana przez Stacha na dworcu Anne-Marie Fuchs wypluła z ust tabletki, wrzuciła je do kosza i wstała z łóżka. Po chwili pochylała się nad próbującą zasnąć Moniką. Twarz miała czerwoną, a oczy coraz bardziej niespokojne.

W tym samym czasie Krautterowie opuścili budynek szpitala. Niespiesznym, nieco niezdarnym krokiem, wciąż podtrzymując się nawzajem, przecięli dziedziniec i dotarli na ulicę. Tam mężczyzna rozejrzał się, najpewniej w poszukiwaniu dorożki, która mogłaby ich stąd zabrać.

- Chodź, może dalej coś się trafi. - Żona pociągnęła go za łokieć.

I miała rację, zaraz bowiem usłyszeli hałas jadącego prostopadłą Langgasse powozu. Przyspieszyli, aby jak najszybciej znaleźć się we właściwym miejscu. Niestety, za rogiem czekało ich rozczarowanie - zamiast dorożki ulicą jechał prywatny powóz, elegancki ekwipaż. Jakież było jednak zdziwienie Krautterów, kiedy chwilę po tym stangret ściągnął lejce.

- Prrr!

Ucichło. Otworzyły się drzwiczki i starsi ludzie ujrzeli znajomą twarz.

- O, państwo Krautterowie. Co za miłe spotkanie! - zawołał wesoło pasażer, uchylając z galanterią kapelusza. - Zapraszam do środka. Mamy chyba jeszcze do omówienia parę spraw...

Żadne z rodziców Moniki nie ruszyło się jednak z miejsca.

4

Odkąd Gabriel von Voss wrócił z przejażdżki, chodził po swoim pokoju z rękami splecionymi za plecami. Wciąż miał na nogach buty do konnej jazdy, więc kroki niosły się echem po pustych korytarzach i komnatach. Co chwilę hrabia chrząkał gniewnie, mruczał coś pod nosem. Tego już nikt nie słyszał poza nim samym. No i oczywiście starym Klausem, który nie ruszał się spod drzwi.

Ostatni służący już kilka razy usiłował położyć temu kres. Oczywiście na tyle, na ile pozwalała mu jego pozycja. Ogłosił, że w pokoju jadalnym czeka obiad. Potem, że danie stygnie. Wreszcie, że jest już zimne, ale on odgrzeje. Gdy i to nie przyniosło rezultatu, z obrażoną miną oświadczył, a stało się to niemal godzinę później, że odgrzewać posiłku nie zamierza. Kiedyś za takie słowa sługa zostałby niechybnie wybatożony.

- Tak. Już idę - mruknął tylko graf w roztargnieniu i dalej krążył po pokoju.

Przesilenie nastąpiło na krótko przed zapadnięciem zmroku. Gabriel von Voss usiadł wreszcie w swoim ulubionym fotelu. Zaraz też znalazł się przy nim stary Klaus.

- Podać panu coś do jedzenia? - zapytał z nadzieją.

W odpowiedzi hrabia podniósł się z miejsca tak gwałtownie, że omal nie zderzyli się głowami.

- Jak wrócę - rzucił Gabriel. - Teraz podaj mi płaszcz, zapalki i kilka świec...

- Dokąd pan się wybiera? - zapytał z trwogą wierny sługa.

- ...i osiodłaj Fortunę.

Pięć minut później Klaus uczynił zadość wszystkim jego poleceniom. Staremu ręce drżały, kiedy przekazywał panu kolejne

rzeczy. Na końcu podał uzdę ostatniej klaczy. Widoczna w świetle ręcznej latarni twarz siedzącego w siodle von Vossa wyrażała spokój. Sługa nie mógł też nie dostrzec dwóch wypukłości na wysokości żeber w surducie grafa.

- Może pojedę z panem? - zaproponował.

- Nie.

Von Voss wiedział, że taką właśnie odpowiedź chciał usłyszeć stary, który zaraz potwierdził to nieznacznym ruchem głowy i ni to stęknieniem, ni to chrząknięciem.

- Ale wieczerza jest aktualna. Tudzież śniadanie - dodał jeszcze hrabia z krótkim uśmiechem, który dziewięciu na dziesięciu ludziom wydałby się szatański. Spiął konia i ruszył w mrok.

Sprzyjał mu księżyc, którego większa część oświetlała drogę. Fortuna pokonała dokładnie tę samą trasę co kilka godzin wcześniej. W żadnym z pałacowych okien nie paliło się światło, jednak na wszelki wypadek jeździec zatoczył spory łuk, a do budynku zbliżył się od tyłu. Przywiązał klacz do belki ogrodzenia i ostatnich kilkadziesiąt kroków pokonał piechotą. Mimo że księżyc przykryła chmura i zrobiło się zupełnie ciemno, nie miał trudności ze znalezieniem drzwi. Korzystał z nich przez lata, wracając z nocnych wycieczek, już to z lasu, już to z karczmy. Bywało też, a jakże, że od panien.

Sięgnął do bocznej kieszeni surduta i wyjął z niej klucze. Wybrał jeden z nich, największy. Po chwili niepewności rozległ się miły dla ucha chrobot.

Przynajmniej pod tym względem nie zmieniło się nic - pomyślał Gabriel.

Wszedł do środka. Moment jeszcze stał w mroku korytarza i nasłuchiwał, nim zapalił przyniesioną ze sobą świecę i podążył przed siebie. Przede wszystkim chciał oszacować, jak wielkie są straty. Czy ten pasożyt, bo nie potrafił nazwać inaczej człowieka odpowiedzialnego za to wszystko, zdążył już wywieźć cały majątek. Gabriel wyrzucał sobie, że tak późno dostrzegł, co się dzieje...

Na szczęście drzwi większości komnat zastał na oścież otwarte, więc po prostu wchodził do środka i porównywał to, co widział, z tym, co tkwiło w jego pamięci, tę zaś miał dobrą. Ktoś nawet kiedyś w rozmowie, w towarzystwie (kiedy jeszcze w takowym bywał) przyrównał ją do dagerotypu. Gabriel nijak tego wówczas nie skomentował, ale słowa te zapamiętał.

Niestrudzenie krążył po pałacu. Odwiedzał znajome pokoje, zakamarki, piął się po schodach, a wszystko to czynił bezszelestnie jak duch. Gdy pierwsza świeca wypaliła się do cna, wyjął drugą. Nie czuł zmęczenia ani złości, nie wspominając już o wyrzutach sumienia.

- I tak byś nie spał, po pokoju tylko łaził albo chlał - mruknął do siebie.

W pewnej chwili złapał się na tym, że wciąż omijał jedno z pomieszczeń. Salę balową, choć nie potrafił sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek odbył się tam jakiś bal. Von Vossowie raczej nie przepadali za tego rodzaju rozrywkami, przedkładając nad to choćby polowania. Albo koncerty. Najczęściej grano na fortepianie, w czym prym wiodła zmarła siostra von Vossa, ale czasami sprowadzano kwartet smyczkowy. Wtedy to było prawdziwe święto! Można było usłyszeć Beethovena, Chopina czy Mozarta...

Uśmiech zniknął z twarzy Gabriela wraz z kilkoma krótkimi trzaskami, które dobiegły spod jego stóp. Podniósł nogę, pochylił się i zbliżył świecę. Tym, co rozgniółł podeszwą buta, były skorupy jakiegoś naczynia. Rozpoznał sewrską porcelanę i aż wzdrygnął się na ten widok.

Tyle zostało z dawnego życia von Vossów - pomyślał ze smutkiem, podnosząc z podłogi fragment lśniącej różyczki.

Mocno ścisnął go w dłoni, nie bacząc na ból. Po chwili wyprostował się i zdecydowanym krokiem podszedł do drzwi. Naparł na klamkę, czyniąc przy tym hałas. Nie dbał o to. Zbyt wyraźnie grał w nim gniew. Niechby i teraz, w tej chwili, ktoś zobaczył błyski w oknach albo usłyszał rumor i spróbował sprawdzić, co się dzieje. Nie, on, Gabriel von Voss, tanio by skóry nie sprzedał!

Zamiast z uzbrojonymi w dębowe lagi zbirami nowego właściciela pałacu, nocny gość stanął oko w oko z zupełnie kimś innym. W pomieszczeniu, w którym kiedyś rozbrzmiewała muzyka, zgromadzono portrety. Niektóre wisiały, inne stały oparte o ściany. Z płócien spoglądali surowo mężczyźni w białych perukach, kobiety i dzieci. Lśniły dumnie zbroje, które przed wiekami chroniły ich ciała przed wraźmi ostrzami. Każdego z uwiecznionych Gabriel von Voss potrafiłby zidentyfikować – nie można wszak nie znać przodków, niechby i sprzed lat stu, a nawet dwustu! Odkąd pamiętał, dbali o to szczególnie jego rodzice, on zaś miał zadbać kiedyś, gdy sam będzie miał dzieci. Ale już tego nie robi. Potomstwa może się jeszcze doczeka, pewnie znajdzie taką głupią. Tylko majątek poszedł na zatracenie, a on, Gabriel, czterdziestoletni i żyjący na odludziu dekadent, bon vivant i morfinista, nie zdołał temu zapobiec...

Ledwo uświadomił sobie tę bolesną prawdę, zdało mu się, że słyszy śmiech. Nie, nie taki, jaki nieraz słyszało się w tych murach, kiedy ciut za wiele uszczknięto z piwniczki. Albo gdy w zaufanym towarzystwie ktoś powiedział jakiś gruby szmonces, choćby ten o Negrze i sodomitach. Nie, bardziej był to chichot. Zduszony, złośliwy. Gabriel nie mógł oprzeć się wrażeniu, że to nie kto inny jak jego przodkowie śmieją się teraz z niego.

Macie, coście chciały, niewdzięczne szczeniaki! – zdawały się mówić usta malowane olejną farbą, drżące w świetle świecy. Nie był w stanie zagłuszyć ich ani spękany, ale jeszcze twardy werniks, ani gruba warstwa kurzu z ostatnich lat.

Gabriel wodził roziskrzonym wzrokiem po portretach dawno zmarłych przodków. Czuł, jakby z każdą chwilą uchodziła z niego jakaś część życia. W pewnej chwili zatrząsł się cały. Ostatkiem sił powstrzymał się od tego, by wyciągnąć rewolwery i zacząć strzelać do portretów.

Zamknął za sobą drzwi sali, dysząc ciężko. Przez chwilę zastanawiał się, jaki los spotka wszystkie te portrety. Może nie pójdą

na śmietnik, skoro ktoś zadał sobie trud, by zgromadzić wszystkie w jednym miejscu; ostatecznie nie leżały w bezładnym stosie.

A może powinienem zabrać kilka do siebie? – przeszło mu przez myśl.

Pałac był pusty, tego był już pewien, więc nikt by mu nie przeszkodził. Człowiek, który za to wszystko odpowiadał, pewnie nawet nie zorientowałby się, że kilku portretów brakuje. I kto wie, może Gabriel wcieliłby swój pomysł w życie, gdyby nie inny koncept, który pojawił się w jego głowie.

- Skrytka! – Myśl bezwiednie zamieniła się w słowo.

Sięgnął do kieszeni po klucze. Szybko znalazł ten właściwy. Zaraz jednak zdjęła go niepewność: czy po tylu latach miał tam jeszcze czego szukać? Przypomniawszy sobie, jaki los spotkał dębowy, inkrustowany sekretarzyk siostry nieboszczki. Może zostały tam, w którejś z licznych szuflad, jakieś ważne dokumenty czy drobiazgi? Nikt się nie spodziewał takiego obrotu spraw, choroba przyszła nagle, podobnie jak śmierć. Ale jego skrytki nikt nie mógł wynieść i sprzedać Żydowi! Ciekawość Gabriela podgrzewała jeszcze fakt, że nie miał pojęcia, co może w niej znaleźć. Kiedy jeszcze mieszkał w pałacu, ukrywał tam pornograficzne zdjęcia, potem narkotyki, broń i amunicję. Zdarzyło się, że i kilka weksli – słowem wszystko to, co nie powinno nigdy dostać się w niepowołane ręce. W tym wypadku były to ręce najbliższych.

Zszedł piętro niżej, po chwili znalazł się w zaułku korytarza. Odruchowo rozejrzał się dookoła. Świeca w jego ręku zaczynała się już dopalać, więc musiał się spieszyć. Ukląkł przed brudną ścianą, jakby w jednym z zacieków ujrzał świętą postać. Jednak zamiast słów żarliwej modlitwy rozległ się chrobot zamka.

Gabriel von Voss uniósł kawałek podłogi, który służył za wieko tajemnej skrytki. Oświetlił wnętrze ogarkiem skwierczącym coraz głośniej i coraz bardziej rozpaczliwie, wreszcie sięgnął w głąb. Po chwili trzymał w rękach niewielką buteleczkę.

- Co za cholera? - bąknął, by zaraz krzyknąć niemal, stało się bowiem jasne, że ktoś odkrył jego tajemnicę. - To przecież nie moje!

Kiedy przetarł buteleczkę z kurzu, kiedy przeczytał napis umieszczony na jej brązowym szkłe, z trudem utrzymał ją w dłoni. Z ustach utracjusza wydobyło się słowo niemalże już obce.

- Boże...

5

Stanisław Berg leżał na więziennej pryczy z dłońmi splecionymi pod głową i spoglądał na sufit. Dzięki niechęci ludzi, którzy zarządzali tym miejscem i od dziesięcioleci nie zdecydowali się na odnowienie celi, więzień odnajdywał na powierzchni sufitu wciąż nowe rzeczy. Raz widział tam morze i okręty, kiedy indziej zaś – przeciwnie – górskie szczyty.

Teraz zdawało mu się, że zacieki, pęknięcia i zabrudzenia układają się w rysy twarzy. Były to twarze ludzi, z którymi los zetknął go w ciągu ostatnich kilku tygodni, czyli odkąd zszedł na ląd w porcie Königsberg. Mimo wielu prób nie potrafił stąd wyjechać. Korowodowi postaci, przyjaznych, obojętnych, jak i wrogich (tych największych, i tych, którzy już nakryli się nogami), towarzyszyły wspomnienia konkretnych wydarzeń, sytuacji i słów. Jedne pamiętał Berg bardzo dobrze, inne gorzej, jak przez mgłę. Niczego nie żałował.

– Sagen! – Dobiegł go krzyk zza ściany, a po nim kilka głuchych uderzeń.

I do takich odgłosów się przyzwyczaił. Sam nie został jeszcze z jakichś powodów przesłuchany. Ani na górze, w którymś z licznych pokoi Prezydium policji, do którego przewieziono go po aresztowaniu, ani jak tego nieszczęśnika, w celi. Nie przedstawiono mu żadnych zarzutów, o nic nie pytano. Po prostu trzymano go pod kluczem. Stach miał nadzieję, że uda mu się porozmawiać z samym inspektorem Wincklerem, skoro ten był obecny na miejscu aresztowania. Ułożył już w głowie dictum, które miało mu posłużyć za wstęp do obrony. W okolicy nie było jednak nikogo, kto mógłby go wysłuchać.

Pewnie czekają, aż skruszeję – spekulował.

Był jeszcze jeden powód, dla którego Berg gapił się w sufit – był to dobry sposób, aby skutecznie odciągnąć myśli od tego, co wydarzyło się kilka dni temu w salonie piękności Venus przy Fleischbankenstrasse. Chyba jeden na stu, których spotkałaby taka historia, nie rozważałby wszystkiego w najdrobniejszych szczegółach.

Kto? Jak? Dlaczego?! – pytania te Stach to przyciągał do siebie, to znów odpędzał niczym natrętne muchy.

– Gówno – mruknął, zanim przewrócił się na bok, co miało być zaklęciem przeciw niepożądanym rozmyślaniom. I zwykle działało.

Zmiana pozycji spowodowała, że wzrok Berga trafił na talerz z jedzeniem. Sznytka suchego chleba, teraz już pewnie czerstwa, kawałek kiełbasy wielkości kciuka dorosłego człowieka. W blaszanym kubku, sądząc po zapachu i kolorze, zbożowa kawa. Nie ruszył niczego. Strażnik, ujrawszy, że więzień nie skorzystał z poczęstunku, nie zabrał jedzenia ani nie przyniósł nowego. Podczas swego pierwszego pobytu w tym miejscu, kiedy też aresztował go Schulz, Berg nie był tak podejrzliwy. Nie czując obrzydzenia, zjadł wszystko, co mu dali. Teraz, ku udręce swych kiszek, wiedział jednak więcej niż wtedy...

Zza ściany znów dobiegł krzyk nieszczęsnego więźnia. Tym razem jednak nie poprzedzał go głos oprawcy. Chwilę później zazgrzytała zasuwą w drzwiach celi Berga. Podniósł głowę. Ujrzał znajomy mundur. Mina człowieka, który go nosił, zwykle znudzona, teraz wyrażała gniew. Strażnik z impetem wpadł do celi, w rękę trzymał drewnianą pałkę. Kto wie, może przed chwilą to właśnie nią okładał tego zza ściany, zmuszając go do mówienia.

– Znów nie zjadłeś?! – ryknął, wskazując na talerz i kubek.

Pytanie było dziwne, mieli wszak do czynienia wciąż z tym samym chlebem, kiełbasą i kawą. Skąd więc to „znów”? Stanisław Berg wiedział jednak, że wdawanie się w dyskusje może go słono kosztować.

– Już ja ci zaostrzę apetyt! – ryknął strażnik, podnosząc rękę z pałką.

Cios spadł, ale na talerz i kubek. Kawa chlusnęła na podłogę, sznytką chleba poleciała aż pod drzwi, a kiełbasa – nie wiadomo gdzie.

– Za chwilę zjesz własne zęby, skurwysynu! – Ręka z pałką ponownie znalazła się nad głową więźnia.

Stach przymknął oczy.

Za długo był spokój – pomyślał jeszcze w oczekiwaniu na cios.

– Dość! – krzyknął ktoś naraz.

Na progu stał mężczyzna w cywilnym ubraniu, z teczką pod pachą, za nim zaś inny strażnik. Ten, który bał się, że więzień umrze z głodu, zmełł w ustach ciężkie przekleństwo, odstąpił. Po chwili wyszedł z celi.

– Dzień dobry – przywitał się uprzejmie cywil, wszedłszy do środka.

– Kim pan jest? – zapytał Stach, nie podnosząc się z pryczy.

– Moje nazwisko Kosinski.

– W innych okolicznościach byłby to zaszczyt – odrzekł półgębkiem detektyw.

Przybysz nie tracił rezonu.

– Mogę przyjść kiedy indziej, jeśli w czymś przeszkodziłem.

– Nie, proszę zostać – sapnął Stach. – Już właściwie skończyliśmy.

– Jestem pracownikiem kancelarii adwokackiej należącej do doktora Johanna C. Webera – dokończył prezentację.

– Wspaniale!

– Pan Stanisław Berg, jak miemam – ni to zapytał, ni to stwierdził.

– Nie wiem. A nuż strażnicy zrobili panu kawał i wpuścili do celi jakiegoś miejscowego rzezimieszka. – Stach wzruszył ramionami.

Przybysz uśmiechnął się krótko, by rzec:

– Też lubię sobie czasami pożartować. Ale nie po tu przyszedłem, panie Berg. Jestem pańskim adwokatem.

– A myślałem, że lekarzem – prychnął Stach.

Kosinski puścił tę uwagę mimo uszu. Widać był przyzwyczajony do tego, że nie zawsze witają go z otwartymi ramionami. Otworzył teczkę i z wprawą wyciągnął jakieś dokumenty. Stach z coraz większym zaciekawieniem przyglądał się poczynaniom gościa.

- Może pan usiądzie? - zaproponował więzień.

Pracownik kancelarii, jednocześnie posiadacz starannie uprasowanych, nankinowych pantalonów, wcale ładnych, z kiepsko skrywaną niechęcią przyjrzał się pryczy.

- Dziękuję, jednak postoję - chrząknięciem zamaskował zakłopotanie. - Zresztą to nie potrwa długo.

- Tyle co odczytanie wyroku?

- Nie jestem sędzią ani prokuratorem, panie Berg. Powtarzam, jestem pańskim obrońcą - sprostował z uśmiechem Kosinski.

- Nie zapyta pan wcześniej, czy stać mnie na pańskie usługi?

Stach podniósł się z pryczy i podszedł do mężczyzny. Byli podobnego wzrostu i budowy ciała. Półmrok, który panował w celi, nie pozwalał jednak dostrzec więcej. Mimo to detektyw przypomniał sobie powieść Opowieść o dwóch miastach Charlesa Dickensa, a dokładnie sposób, w jaki jednemu z bohaterów udało się wydostać z więzienia.

- To nie ma znaczenia, albowiem to obrona z urzędu - poinformował prawnik.

Detektyw gwizdnął przeciągle, wsunął obie ręce do kieszeni spodni. Dźwięk i gest, oba niezbyt przystojne, świadczyły najlepiej o tym, co myśli o adwokatach z urzędu. Jednocześnie cieszył się, że wreszcie coś ruszyło się w jego sprawie. Jeśli stanie przed sądem, będzie mógł powiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło. A ten bubek? Właściwie nie zaszkodzi.

Kosinski wciąż walczył z dokumentami. Wyglądało to trochę zabawnie, a trochę żałośnie. Ale skoro nie chciał usiąść albo przynajmniej położyć aktówki na pryczy, jego sprawa.

Nie daj Boże trafić na takiego kauzyperdę - pomyślał Stach, by zaraz uświadomić sobie, że właśnie trafił.

- Chyba... chyba mam - rzekł wreszcie z ulgą Kosinski.

Stach obrócił się bardzo powoli. Adwokat uniósł prawą rękę w geście triumfu. A że był to triumf myśli, a nie siły, w dłoni trzymał jakiś zapisany gęsto i pokryty rozmaitymi pieczęciami dokument.

Detektyw nie miał zamiaru zdradzać się ze swym entuzjazmem.

- Co to jest? - zapytał chłodno.

- Pańskie zwolnienie. Nieco ponad kwadrans temu podpisane przez prokuratora Augusta Krankendorffa.

Stach przestraszył się, że słuch płata mu figle. Takie rzeczy zdarzały się ludziom, których trzymano pod kluczem dłuższy czas. Nie miał jednak odwagi poprosić, aby człowiek ten powtórzył, co powiedział. Na szczęście Kosinski, który widać nie pierwszy raz był w takiej sytuacji i w takim miejscu (niechęć do bezpośredniego kontaktu z więzienną pryczą nie miała z tym nic wspólnego), ciągnął ze swadą:

- W pańskiej sprawie dopatryliśmy się wielu uchybień. Przede wszystkim drzwi od zaplecza salonu piękności Venus, w którym został pan zatrzymany, były otwarte już wcześniej.

No pewnie. Przecież to Roch je otworzył - zaśmiał się w myślach Berg.

- Jak się okazało, sąsiedzi zauważyli ten fakt kilka godzin wcześniej i wezwali policję, ta jednak nie dotarła na miejsce.

- Dotarła za to później - zauważył gorzko Stach.

- W rzeczy samej, panie Berg. Miał pan tam prawo wejść, jak każdy porządny obywatel, choćby dla sprawdzenia, czy nic się nikomu nie stało. Tak też pan uczynił. Druga sprawa to pańska licencja prywatnego detektywa wystawiona w Londynie. Jak się okazuje, może się pan nią posługiwać na terenie Cesarstwa, a to na mocy nowego porozumienia między rządami naszych państw. Nie wszędzie te przepisy są znane, bo i nieczęsto w największym najdalej położonym na wschód niemieckim mieście pojawia się ktoś taki jak pan.

- Może to dlatego nikt mnie nie przesłuchiwał.

- Kto wie, może było właśnie tak, jak pan mówi - skwitował z uśmiechem Kosinski, umieściwszy dokument na powrót w skórzanej aktówce. - To jak? Idziemy? Z tego, co zdążyłem zauważyć, należy się panu porządny obiad.

- Nie da się ukryć.

Odruchowo zaczął ścielić pryczę, podczas gdy jego wybawca kilka razy otwartą dłoń uderzył w drzwi. Na widok poczynań Berga uśmiechnął się pobłaźliwie.

6

Choć kieszki Stacha grały marsza coraz głośniej, nie dane mu było zaspokoić głodu i dotrzeć na obiecany obiad. Ledwo bowiem wyszli z Kosinskim na ulicę, zaraz podbiegł do nich umyślny z liścikiem. Pracownik kancelarii adwokackiej doktora Johanna C. Webera szybko przebiegł wzrokiem po linijkach listu, po czym schował go starannie w wewnętrznej kieszeni twiny w dziwnym kolorze, który skojarzył się głodnemu detektywowi z buraczkami.

- Niestety, będziemy musieli przełożyć nasze miłe spotkanie na inny termin - powiedział do Stacha. - Muszę jak najszybciej wracać do biura, przykro mi.

- Nie ma problemu. Kiedyś nadrobimy.

- Z pewnością. To, wbrew pozorom, małe miasto. Do widzenia.

- Do widzenia i dziękuję.

Uścisnęli sobie dłonie, ale Kosinski jeszcze nie odchodził.

- Jeszcze jedna rzecz, panie Berg - rzekł wreszcie ściszone głosem. - Jeśli byłby pan łaskaw posłuchać dobrej rady.

Stach nie lubił takiego tonu, teraz jednak byłby w stanie wysłuchać nawet śpiewaczki fałszującej którąś z jego ulubionych arii.

- Tak?

- Na pana miejscu - ciągnął Kosinski - jak najszybciej opuściłbym miasto. Tak będzie lepiej, przede wszystkim dla pana. Do widzenia.

Zawołał na przejeżdżającą akurat Junkerstrasse dorożkę, a gdy ta nieco zwolniła, wskoczył do niej w biegu. Wozak widać usłyszał od razu adres, bo strzelił batem nad końskim łbem i drynda pomknęła ulicą.

Stach odprowadził ją wzrokiem. Cisnęły mu się na usta różne słowa, ale nie było już do kogo się odezwać. Jeszcze raz pomacał się

po kieszeniach, by sprawdzić, czy niczego w nich nie brakowało. Na szczęście oddali mu nawet jego ulubionego colta. Rozejrzał się na boki.

Nagle zapragnął, a pragnienie okazało się dużo silniejsze od głodu, znaleźć się w swoim mieszkaniu i biurze na najwyższych piętrach kamienicy przy nabrzeżu Kai. Choćby miał zjeść tylko kawałek suchego chleba, bo niczego innego się nie spodziewał, tam właśnie chciał teraz być. Usiąść w swej samotni, zebrać myśli i spojrzeć na miasto, które znów mu dopiekło.

Pół godziny później piął się po schodach na górę. Klucze miał w kieszeni, nie skorzystał z nich jednak, bowiem drzwi otworzyły się, ledwo stanął przed progiem, a jego serce zaczynało się uspokajać po wspinaczce.

- Pan Berg! - zawołała radośnie Agnes i rzuciła mu się na szyję jak kochanemu, dawno niewidzianemu krewnemu.

Stach, nienawykły do takich czułości, w dodatku ze strony dziecka, pogładził dłonią czarne włosy dziewczyny i pocałował ją w skroń.

- Już, już. Bo mnie udusisz. - Usiłował wyrwać się z jej objęć, ale trzymała go naprawdę mocno; było to całkiem miłe, choć zdawał sobie sprawę, że po takim czasie spędzonym w celi nie pachnie zbyt pięknie.

Gdy go puściła, mógł wejść do środka. Od razu poczuł, że coś się smaży. Ryba.

- Na pewno jest pan głodny. Zaraz podam coś jedzenia. Mama kupiła rano od rybaka kilka dorszy z nocnego połowu, a Oskar przyniósł świeży chleb.

- Cudownie! - rzekł z zadowoleniem Stach, zdejmując surdut, na co mógł sobie pozwolić, był przecież u siebie, otoczony domownikami.

Panna Lauder zostawiła go i pobiegła do kuchenki, ryba zaczęła bowiem niepokojąco skwierczeć. Stach poszedł do swojego gabinetu.

Na biurku zastał sporą kupkę przesyłek.

- To wszystko do mnie? - zdziwił się.

- A do kogo? - usłyszał głos Oskara, a po chwili jego płowa czupryna wychynęła zza framugi. - Wszystko odbieramy, biuro działa, jak powinno.

- Skąd wiesz, jak powinno działać biuro?

Niegdyś ulicznik wzruszył ramionami i rzekł:

- Nie wiem, ale odebrać list jeszcze potrafię.

- Bombę też byś odebrał i położył mi na biurku?

Na szczęście do gabinetu wkroczyła Agnes z tacą, na której znajdował się talerz ze smacowicie wyglądającą rybą i przyrumienionymi ziemniakami. Zapach uderzył Stacha w nozdrza ze zdwojoną siłą.

- Smacznego - powiedzieli chórem panna Lauder i Oskar Radtke.

- Dziękuję - odpowiedział machinalnie Berg, zaraz jednak zapytał: - A wy?

- My już po - odrzekł szybko chłopak.

Stach jadł z zapalem, jednocześnie przeglądając korespondencję. Niezbyt dobry był to przykład dla młodzieży, ale nie dbał o to. Jako niedawny więzień miał prawo do wielu rzeczy, także do niedbania o konwenanse. Oczywiście, pewne granice zachował, Stach nie miał zamiaru bekać ani rzucać ości na podłogę, co nieraz widział w wykonaniu współbiesiadników.

Kilka listów zawierało oferty od firm ubezpieczeniowych na wypadek zalania, podpalenia (trochę poniewczasie) albo włamania. Polisy od napadów w rodzaju tego niedawnego żadna z ofert nie dotyczyła. W innej kopercie Stach znalazł propozycję pożyczki na rozkręcenie interesu. Bez czytania zmiął ją ze złością, tak mocno tkwiła w nim jeszcze sprawa lichwiarskiej bandy niejakiego Amber-Golda, którą zajmował się niedawno.

Co jeszcze? Deutsche Bank oferował otwarcie konta w jednej ze swoich placówek w Königsbergu. Ten list Berg odłożył na oddzielną kupkę. Było też kilka najzwyklejszych w świecie donosów na bliźnich

- sąsiadów, że hałasują po nocach i sprowadzają dziwki pod nieobecność żon, i pracodawców, że nie płacą pracownikom, choć stać ich na kupno nowego powozu. Nadawcy musieli być bardzo zdesperowani, ale najwyraźniej nie wiedzieli do końca, czym na co dzień zajmuje się prywatny detektyw. Część korespondencji zawierała prośbę o radę, na przykład jak udowodnić zdradę współmałżonka. Niestety, te miały pozostać bez odpowiedzi, bo choć Stach wiedział, nie miał zamiaru się tą wiedzą dzielić. A przynajmniej nie za darmo.

Dokończył jedzenie, choć została jeszcze połowa listów. Wstał i odniósł pusty talerz do kuchni.

- Smakowało panu? - chciała wiedzieć Agnes Lauder.

- Wybornie - odrzekł. - Już dawno miałem ci powiedzieć...

- Że panu smakowało? - niecierpliwie, a może tylko dla żartu weszła mu w słowo.

- Nie. Że twój przyszły mąż będzie miał z tobą raj, młoda panno.

Wydeła policzki.

- Nie wiem, czy chcę wyjść z mąż. Jest tyle ciekawych rzeczy na świecie.

Jeśli za chwilę powie, że praca dla mnie, zacznę się bać - pomyślał Stach.

Na szczęście nic więcej nie mówiła. Odebrała z jego rąk brudny talerz, nie zważając na jego skrępowanie.

- On jest tam. - Oskar ruchem głowy wskazał za okno.

Stanisław Berg nie musiał dociekać, kim jest „on”, wolał się jednak upewnić, że nie chodziło o dno rzeki Pregel, bo różnie mogło być. Podszedł do okna, a wtedy chłopak wskazał mu kamienicę po drugiej stronie rzeki, tuż przy torach kolejowych, którymi dowożono towary do samego portu.

- Nie rusza się z miejsca, jak zakochany. - Młodociany pomagier pozwolił sobie na uszczypliwą uwagę, ale Stach puścił ją mimo uszu.

Chciał się przebrać i odświeżyć, jednak odłożył to na później. Po kilku chwilach był już w drodze. Wydostał się z wyspy najbliższym Mostem Kramarzy, by kwadrans później móc podziwiać swoją

kamienicę z zupełnie innej perspektywy. Odszukał miejsce, które wskazał mu Oskar. Zbliżając się do budynku, widział człowieka, którego chciał spotkać. Roch Ciupa siedział na jakiejś beczce ze wzrokiem wbitym w ziemię i palił papierosa.

- To mój ostatni - rzekł, nie podnosząc wzroku, by dodać: - Ostatni papieros skazańca.

- Skazańca?

- Tak. Niech pan robi ze mną, co chce.

Berg rozejrzał się na boki, jakby rzeczywiście chciał sprawdzić, czy nikt na nich nie patrzył. Ale nie zamierzał robić nic złego i to nie z powodu tłumu przygodnych obserwatorów: robotników portowych, marynarzy, kolejarzy czy dzieci.

- Przyszedłem, żeby cię stąd zabrać - rzekł Stach.

- Zabrać? - Ciupa zdusił niedogarek o krawędź beczki i pstryknął palcami.

- Co w tym dziwnego?

- Obawiam się, że wszystko.

- Nic się nie zmieniło, Rochu. Pracujemy dalej, a ja potrzebuję pomocnika. Nie ukrywam, że pewnie byłoby inaczej, gdybyś mi wtedy opowiedział o propozycji nie do odrzucenia, którą dostałeś od tutejszej policji. Miałeś mnie wystawić.

- Ale nie wystawiłem. To nie byłem ja...

- Wiem. Po prostu miałeś filera albo nawet kilku, którzy tylko czekali, aż zrobię coś, co byłoby niezgodne z prawem. Nie znam niemieckich, znam tylko rosyjskich, ale ci pierwsi muszą być równie dobrzy i skuteczni. A przede wszystkim cierpliwi. W końcu się doczekali, a my byliśmy po prostu nieostrożni. W dodatku inspektor pogratulował ci tego, czego nie zrobiłeś, by nas rozdzielić.

- Nie da się ukryć - westchnął ciężko Roch.

- Tak czy inaczej, to wszystko już przeszłość. A teraz chodźmy stąd, bo marzę tylko o tym, żeby się wreszcie wykąpać. Tobie też nie zaszkodzi, więc chyba w najbliższym czasie powinniśmy odwiedzić łaźnię.

7

Najwyraźniej jednak limit szczęścia Stanisław Berg wyczerpał tego dnia, kiedy opuszczał areszt. Nie dane mu było bowiem dokonać ablucyj, które planował. Ledwo bowiem wrócili z Rochem do biura, Oskar wręczył mu z uroczystą miną kolejną przesyłkę.

- Musi ważna, bo przyniósł ją posłaniec - dodał chłopak.

Detektyw otworzył kopertę bez siadania. Po chwili zatrzymał się na progu swego gabinetu. Pięścią uderzył w futrynę.

- Złe wieści? - Pierwsza zareagowała Agnes, co jednak nie przeszkodziło jej w dalszym wycieraniu talerza ściereczką.

Berg odwrócił się powoli.

- Trochę tak, trochę nie - odpowiedział, wciąż przebiegając wzrokiem po liście. - Właśnie zakończyła się jedna z naszych kluczowych spraw. Napisali do mnie państwo Krautterowie z Insterburga. Ich córka, Monika, której szukałem od pewnego czasu, szczęśliwie się odnalazła. Jak piszą, jest cała i zdrowa.

- To chyba dobrze?

- Poniekąd tak. Połowę honorarium na szczęście wziąłem z góry i bynajmniej nie próżnowałem. Wciąż jednak nurtuje mnie kilka pytań, z tym jednym na czele, dlaczego ci ludzie tak nagle wtedy zniknęli ze swojego mieszkania? No i nie pogniewałbym się, gdybym dowiedział się więcej o okolicznościach odnalezienia Moniki Krautter.

- Czyli nie zamykamy jeszcze śledztwa? - zapytał Roch Ciupa.

- Nie - odparł Berg, chowając starannie list z powrotem do koperty, by przenieść wzrok na Oskara. - Znasz tego ancymona, który to przyniósł?

- Proszę mi dać godzinę, czegoś się dowiem - odparł chłopak.

- Tak jak ostatnio?

- Ile jeszcze będzie mi pan to wypominał? - mruknął chłopak. -
A właśnie, bo ja wtedy usłyszałem ciekawą rzecz i...

Nie dokończył, bo ktoś zapukał do drzwi. Nauczoni doświadczeniem, wszyscy bez słowa oddalili się na z góry ustalone pozycje, przed drzwiami zaś stanął, jako wzbudzający największy respekt, Roch.

- Kto tam? - zapytał.

- Ja do pana Stanisława Berga - usłyszeli męski głos.

Stach skinął głową, więc Ciupa otworzył drzwi. Po chwili do środka wszedł niewysoki, szczupły mężczyzna. Miętolił w palcach krawędź ronda kapelusza, sprawiał wrażenie skrepowanego. Ale na zabójcę nie wyglądał.

- Dzień dobry, moje nazwisko Ptak. Johann Ptak. Jestem lekarzem ze szpitala lipnickiego - przedstawił się przybysz. - Szukam pana Stanisława Berga.

- Słucham pana - odezwał się detektyw, który rozpoznał w mężczyźnie medyka opiekującego się Anne-Marie Fuchs. - Coś się stało z tą dziewczyną? - zapytał.

- Niestety tak - odparł lekarz, rad chyba, że nie musi szerzej tłumaczyć, w czyjej sprawie przyszedł. - Przepraszam, że niepokoję, ale był pan jedynym człowiekiem, który ją odwiedzał, więc uznaliśmy za właściwe...

- Czy ona umarła? - Detektyw postanowił poznać prawdę szybciej, niż przybysz zdolny był ją ujawnić.

- Nie. Skąd! - Lekarz nazwiskiem Ptak zaśmiał się nerwowo, a Stach poczuł, jak jego serce nagle traci pud na wadze. - Wprost przeciwnie: miała się coraz lepiej. Problem w tym, że Anna Schmitz zniknęła.

Zapadła cisza. Stanisław Berg przeciągnął dłonią po twarzy, parsknął.

Chyba jeszcze się nie obudziłem. Wciąż jestem w celi, nikt po mnie nie przyszedł, nie zajął się moją sprawą - pomyślał z żalem.

- Źle się pan czuje? - zaniepokoił się Johann Ptak.

- Nie. Chociaż chyba trochę...

- Może pan usiądzie? - Przybysz na chwilę wszedł w rolę gospodarza.

- Nie. Miałem ostatnio dość ciężki czas - tłumaczył się Stach z nieco wymuszonym uśmiechem, by zaraz zapytać: - Czy mógłby pan w całej swojej łaskawości powtórzyć nazwisko tej dziewczyny?

- Tej pańskiej znajomej?

- Owszem.

- Która zniknęła ze szpitala?

- Zgadza się.

- Oczywiście. Anna Schmitz.

- Co pan, u diaska, opowiada, doktorze?! - wrzasnął Stanisław Berg na całe gardło. Nie panował nad sobą; chciał obudzić się za wszelką cenę, nie miał już bowiem najmniejszych wątpliwości, że śnił.

Krzyk spowodował, że we wszystkich drzwiach, panowie wciąż bowiem stali w przedpokoju, pojawiły się głowy zaniepokojonych domowników. Medyk ze szpitala lipnickiego pobladł.

- Nie... nie rozumiem - wyjąkał.

- Przecież dziewczyna, którą przywiozłem z Dworca Wschodniego, potłuczoną i połamaną po nagłym hamowaniu pociągu, a potem odwiedzałem w szpitalu, choć może powinienem częściej, nazywała się zupełnie inaczej.

- Niby jak?

- Anne-Marie Fuchs!

Lekarz odzyskał kontenans. Powoli pokręcił głową, spojrzał na rozmówcę spod oka i zapytał dziwnie lekko:

- Tak panu powiedziała?

- Właśnie tak.

- Z całym szacunkiem, panie Berg, muszę powiedzieć, że to my mieliśmy jej dokumenty. A z tych niezbiec wynika, że nazywała się... to znaczy nazywa Anna Schmitz...

- ...z miasta Bartenstein - dokończył bezwiednie detektyw.

- Przynajmniej to się zgadza - uśmiechnął się lekarz.

8

Łóżko, które zajmowała zaginiona, obstawiono ze wszystkich stron parawanami. Na dużych płachtach szarego perkalu, którymi obciążnięto prostokątne stojaki pomalowane odłóżając już tu i ówdzie emalią, wprawne oko mogło zauważyć wyblakłe plamy krwi.

- Czy nie tak samo się robi, kiedy ktoś umrze? - zapytał Stach doktora chwilę po tym, jak weszli do szpitalnej sali.

- Owszem - zgodził się Ptak, przebrany już w lekarski kitel. - Ale w tym akurat przypadku zrobiliśmy to przede wszystkim po to, aby uszanować spokój pozostałych pacjentek.

- Rozumiem.

- Po prostu nie mamy możliwości ich przeniesć. U jednej doszło już do rozstroju nerwowego. Musieliśmy dać jej zastrzyk uspokajający.

Wszystko to powiedział półgłosem, więc Stanisław Berg dostosował się do sytuacji i również ściszył głos.

- Mogę się rozejrzeć?

Medyk potwierdził niemo i splótł ręce na piersiach, najpewniej z zamiarem przyglądania się jego poczynaniom. Chwilę później jednak zawołała go siostra, której wielki biały czepiec wychynął zza parawanu niczym żagiel zza klifu.

- Przepraszam - mruknął lekarz.

Stanisław Berg został sam, jeśli nie liczyć sporego tłumu postaci, który kłębił się w jego głowie, choć na pierwszym planie pozostawała jedna.

Czy Anne-Marie Fuchs i Anna Schmitz to naprawdę jedna i ta sama osoba? - zastanawiał się usilnie. To by wyjaśniało, dlaczego przestała pojawiać się w willi pani Klein przy Schützenstrasse. Tylko

dlaczego przedstawiła się Stachowi nieprawdziwym, pewnie na poczekaniu wymyślonym nazwiskiem? Przecież nie mogła wiedzieć, że będzie jej szukał. On zresztą sam jeszcze o tym nie wiedział. Czyżby chciała coś ukryć? Tak czy owak, miał kolejny trop, koniec sznurka, za który niepodobna było nie chwycić. Choć czuł zew, jednej rzeczy nie mógł jednak nie zrobić wcześniej – umyć się i przebrać.

Na szczęście doktor Ptak (swoją drogą już drugi Polak albo człowiek mający polskie korzenie tego dnia) nie spieszył się z powrotem do szpitala i zgodził się poczekać, aż Stach będzie gotowy. Agnes i Oskar poczęstowali lekarza kawą, Roch zaś, który jakby nie patrzeć, również miał medyczne doświadczenie, zabawiał gościa rozmową. Pół godziny później Johann Ptak i Stanisław Berg byli już w drodze do szpitala.

Detektyw znów pochylił się nad łóżkiem, na którym jeszcze niedawno leżała jego znajoma. Na poduszce wyraźnie było widać miejsce odcisnięte przez głowę. Pościel sprawiała wrażenie dawno niewymienianej, jednak mimo to dotknął jej, aby przesunąć kołdrę i przyjrzeć się prześcieradłu. To, jak można się było spodziewać, przedstawiało się w jeszcze gorszym stanie...

Sam bym uciekł, gdybym miał spać w czymś takim – pomyślał, wodząc wzrokiem po górach i dolinach, które powinny być białe, były zaś szare, z licznymi plamami w innych kolorach. Sprawa byłaby łatwiejsza, gdyby na środku znajdowała się jedna porządna plama krwi. Stach, nauczony doświadczeniem, jeszcze podczas drogi na Lipnik zapytał Ptaka o dalsze posunięcia szpitala w tej zagadkowej sprawie. Lekarz zapewnił, że policja będzie powiadomiona.

Berg nie dopytywał, kiedy to nastąpi. Spekulował, że kolejna afera po niedawnej kradzieży zwłok z kostnicy bynajmniej nie przysporzy placówce renomy. Spoglądając na barłóg, usiłował przywołać w pamięci tamtą rozmowę, kiedy przyniósł czekoladki i pomarańcze. O czym wtedy mówili? Nie potrafił sobie przypomnieć. Być może o wypadku? Gdyby nie on, z pewnością by się nie spotkali.

Czyżby powinien cofnąć się aż do tamtego momentu, kiedy to chcąc opuścić miasto, tak naprawdę związał się z nim na dobre?

- Znalazł pan coś? - zapytał lekarz.

- Jeszcze szukam - odpowiedział szybko Berg, by zapytać: - Czy mogę zajrzeć do szafki?

Zdało mu się, że Ptak się waha.

- Podejrzewam, że sami już to zrobiliście - dodał detektyw z udawaną obojętnością.

Kiedy doktor przytaknął, choć wcześniej dwa razy rozejrzał się na boki, Stach pochylił się nad szafką stojącą po prawej stronie łóżka. Otworzył drzwiczki i wzdrygnął się, że środka wybiegł bowiem sporych rozmiarów francuz. Lekarz udał, że go nie widzi. Berg odprowadził wzrokiem robaka, który zaraz zniknął w szparze między ścianą a podłogą, i zajrzał do szafki. Po chwili Stach rzucił na wygładzoną kołdrę następujące rzeczy: pół szarego mydła, kościany grzebyk, ołówek, okrągłe lustro srebrzyście spękane. Obok wylądowała reklamówka sklepów z damską konfekcją, na końcu zaś położył znane mu pudełko, w którym znalazł jedynie wyschnięty kawałek pomarańczowej skórki.

Po raz drugi Stanisław Berg miał do czynienia z rzeczami, które zostawiła po sobie Anne-Marie Fuchs vel Anna Schmitz. Wtedy, w mieszkaniu Kleinowej, znalazł wizytówkę salonu piękności Venus. Wpadł przez to w kłopoty. Czy któryś z tych przedmiotów, właściwie śmieci, również przyniesie mu pecha?

- Niewiele tego - westchnął, podniósłszy wzrok na lekarza.

Nie dane mu było jednak usłyszeć, co sądzi o tym rozmówca, bowiem w tej samej chwili pojawiła się siostra i znów zabrała ze sobą doktora Ptaka. Berg po raz kolejny przyjrzał się schedzie po młodej kobiecie, o której losie chciałby się czegoś dowiedzieć. Wytrząsnął nawet na kołdrę skórę pomarańczy, choć więcej powiedziałyby mu jej kapelusze, wstążki, buty, szpilki do włosów. Może powinien jednak udać się do Bartenstein, rodzinnego miasta Anny? Może to właśnie tam uciekła? Siedziałyby w tej chwili w jednym z pociągów

zmierzających na południe albo jeszcze w dworcowej poczekalni, a może w ogóle u Kleinowej przy Schützenstrasse...

W pewnej chwili Stach poczuł czyjaś bliską obecność. Odwrócił się. Zza parawanu wyglądała kobieta o podkrążonych oczach. Miała około trzydziestu lat, na sobie szpitalny szlafrok, mocno przewiązany w talii.

- A ja wiem, co się stało, proszę jaśnie pana. Ja wiem - powiedziała szeptem, dziwnie przewracając oczami,

Berg zbliżył się do kobiety. Z ust pacjentki czuć było nieprzyjemną woń medykamentów.

- Niech pani mówi - zachęcił łagodnie.

- Wczoraj przywieziono do nas nową. Też taka młoda jak Anna, ładna. Może nawet jeszcze ładniejsza. Od początku przy niej skakali, jak przy jakiejś grafini. Ludzie różni przychodzili, a gdy tylko wychodzili, pojawiał się nowy lekarz i mówił: podać to, podać tamto, na siostry pokrzykiwał jak nigdy wcześniej. A przecie nietrudno zgadnąć, że się truła. Ja takie młode znam.

- Co to wszystko ma wspólnego z zaginioną?

- A ma, proszę pana, ma! - zachnęła się kobiecina. - Bo one się znały! Ledwo doktor i siostry wyszli z sali, Anna zaraz wstała z łóżka i na bosaka pobiegła do tej nowej. Coś szeptały długo, nawet się śmiały i płakały, póki nie przyszli kolejni goście. A potem tę nową zabrali.

- Do innej sali? - zapytał Berg z nadzieją.

- Nie wiem. Ale widzi mi się, że w ogóle do inszego szpitala...

Nie powiedziała już nic więcej, ponieważ do sali ponownie wszedł doktor Johann Ptak. Chrząknął groźnie, co wystarczyło, by chora w ciągu sekundy znalazła się z powrotem w swoim łóżku pod oknem. Nawet kołdrą się nakryła.

- Biedna kobieta - mruknął lekarz. - Nie wiem właściwie, po co ją tu jeszcze trzymam. Właściwy byłby inny zakład, jeśli pan wie, co mam na myśli.

Stacha nie interesowało to jednak zupełnie. Postanowił się przekonać, ile prawdy było w tym, co usłyszał od chorej.

- Mówiła coś o jakiejś pacjentce, którą tutaj wczoraj przywieziono. Podobno Anna Schmitz ją знаła - wyrzucił z siebie jednym tchem, choć wciąż tak samo cicho jak wcześniej.

Lekarz słuchał go, a minę miał przy tym taką, jakby Stach mówił w jakimś języku, którym posługują się dzikie ludy z dorzecza Amazonki. Pewne było, że zaskoczyło go pytanie detektywa. A może było niewygodne?

- Owszem, przywieziono do nas młodą kobietę w stanie poważnego wyczerpania. - Doktor Ptak potarł czoło krawędzią dłoni.

- Jak się nazywała?

- O, przepraszam, ale tego to ja już nie mogę panu powiedzieć - odparł lekarz, splatając swoim zwyczajem ręce na piersiach. - Mam swoje przepisy...

- A ja mam podstawy sądzić, że pojawienie się tej pacjentki, a może raczej jej zastanawiająco szybkie zniknięcie, było związane z ucieczką Anny Schmitz.

- Tamta pacjentka wypisała się na własną prośbę.

- I wypuściliście ją?!

- A czemuż mielibyśmy tego nie zrobić?

- Przecież powiedział pan przed chwilą, że była w stanie poważnego wyczerpania.

- No i?

- To nieodpowiedzialne!

Czy Johann Ptak po takich słowach i pod takim spojrzeniem stracił kontenans? A skąd! Nieraz mu bruździli, nawet sądami próbowali grozić. A potem, gdy przyszło co do czego, a kostucha zaczęła ostrzyć swoje narzędzie... Nie, z lekarzem się nie zadziera. Wiedział o tym każdy, kto znał Johanna Ptaka. Z drugiej strony detektyw wciąż był mu potrzebny. Postanowił więc zdusić konflikt z zarodku.

- Nie wiem, czy te panie się znały - westchnął. - Pan wybaczy, ale byłem wczoraj bardzo zajęty. Miałem trzy operacje. Ale skoro ma to panu pomóc w wyjaśnieniu sprawy zaginięcia Anny Schmitz, to, oczywiście, zaraz się wszystkiego dowiem.

Wyszedł. Stach oddychał ciężko, usiłując zebrać myśli. Bezwiednie wziął do ręki pudełko po czekoladkach Sprüngli & Sohn, po raz kolejny otworzył wieczko. Wtedy jego wzrok przykuł pewien szczegół. Nie, wcześniej go nie widział...

- Już wiem. Dowiedziałem się wszystkiego! - Zza parawanu zadziwiająco szybko wychynęła głowa lekarza.

W tej samej chwili Berg rzucił ołówek, którym zapisał coś na marginesie reklamówki sklepów z damską konfekcją, z powrotem na pościel. Właściwie to chyba wciąż powinien trzymać w pogotowiu przybory do pisania, choćby po to, by zanotować nazwisko tajemniczej pacjentki. Czuł jednak, że może znać je aż za dobrze.

9

Kobieta, której imię i nazwisko niemal niesłyszalnym szeptem, zupełnie jakby ujawniał tajemnicę państwową, wypowiedział doktor Johann Ptak, najspokojniej w świecie stała teraz w jednym ze sklepów galanteryjnych przy Kottelstrasse na niedalekiej Knipawie. Niepodobna było rozpoznać w niej tej, która jeszcze kilkadziesiąt godzin temu leżała bliska śmierci - ze zgrzyoty - w biednej izdebce, a potem w szpitalnej sali.

Monika Krautter miała na sobie suknię z lekkiej organdy. Jej kolor błędził gdzieś między morską zielenią a grynszpanem, nie można było jednak mieć wątpliwości, że była zupełnie nowa. Leżała na młodej kobiecie wręcz idealnie. Z kolorem sukni panny Krautter doskonale komponowały się rękawiczki z czarnego jedwabiu, wyszywane tysiącnymi koralikami. Na głowie zaś okazał się kapelusz w malachitowym kolorze, z rondkiem szerokim na dwa cale i obszytym różyczkami oraz białą woalką z przodu.

- Wspaniale! - Subiekt, który jeszcze przed chwilą manewrował przy trzech lustrach, aby klientka mogła obejrzeć się w pełnej krasie, z zachwyty aż klasnął w dłonie.

- Tak pan myśli? - zapytała, przekrzywiwszy głowę.

- Jestem pewien, czcigodna pani! - niemal krzyknął, niezbyt męskim gestem ujmując się lewą ręką pod bok. - Jestem tego pewien. Proszę jeszcze poruszyć głowę.

Uczyniła zadość prośbie.

- Kapelusz się trzyma - Ni to stwierdził, ni to zapytał subiekt.

- Trzyma - potwierdziła głucho.

- To wspaniale!

Naprawdę mógł być z siebie zadowolony. Kiedy bowiem niespełna godzinę wcześniej weszła do sklepu, kiedy odbierał od niej parasolkę, a potem pomagał zdjąć salopkę ciężką od dżdżu, nie wierzył, że ta klientka, a tak naprawdę towarzyszący jej mężczyzna, który pojawił się w środku kilka chwil później, będą zdolni zostawić w kasie choćby pół marki. Wyglądali bowiem na takich, którym kazano tu przyjść pod groźbą śmierci bądź trwałego okaleczenia. Nieraz już widział podobne indywidua, którym ciężko było dogodzić. Część z nich traktowała zakupy jako zabawę, a sprzedawców jak łajno, część zaś jak przykry obowiązek wynikający z zajmowanego na drabinie społecznej miejsca bądź też kalendarza.

- Rozumiem, że wszystko pasuje i za chwilę będę mógł kazać pakować. - Subiekt pytająco spojrział na kobietę, zaraz jednak przeniósł wzrok na towarzyszącego jej mężczyznę.

Człowiek ten siedział pod ścianą na dwuosobowej kanapce, obszytej adamaszkiem w żółte i zielone pasy. Dłonie w skórzanych rękawiczkach splótł przed sobą na główce laski. Ze swoją towarzyszką porozumiewał się najczęściej przeczącymi i przytakującymi ruchami głowy, rzadziej mruknięciami i półsłówkami. Nie zdjął kapelusza, którego szerokie rondo ocieniało oczy, co czyniło go trudnym do rozpoznania. Fakt ten od razu zrodził w głowie subiekta podejrzenie, że oto ma do czynienia nie z kim innym jak parą kochanków.

- Tak, proszę kazać pakować - odpowiedziała kobieta, podczas gdy jej ukochany leniwym ruchem sięgał już po pugilares.

10

Zauważył go, kiedy kilka chwil wcześniej rozmawiał z chorą, która opowiedziała mu o Monice Krautter i jej dziwnej, bo błyskawicznej terapii. W drzwiach sali błysnął biały fartuch i takiego samego koloru włosy, od których odróżniała się znacznie ciemna twarz. Dopiero później Berg mógł stwierdzić, że jej kolor to wypadkowa działania promieni słonecznych i alkoholu spożywanego w nadmiarze.

- Słucham szanownego pana? - zapytał pedel schrypniętym głosem.

Stanisław Berg uprzejmie skinął głową i wszedł do środka. Niewielka kanciapa miała ledwie dwa kroki długości, półtora szerokości i znajdowała się na tym samym piętrze co sale chorych, na końcu korytarza. Przy otwartych drzwiach widać było wszystkich, którzy docierali na oddział schodami i którzy go upuszczali. W powietrzu unosiła się kwaśna woń potu zmieszanego z alkoholowymi wyziewami.

- To raczej ja chciałbym posłuchać pana. - Detektyw starannie, choć nie bez wstrętu zamknął za sobą drzwi.

Starzec zadziwiająco szparko poderwał się z krzeselka, co pewnie czynił nie raz i nie dwa, kiedy trzeba było zatrzymać niepożądanego gościa. Stach równie szybko dotknął jego ramienia i osadził z powrotem.

- Co pan?! - krzyknął tamten starczym dyszkantem. - Tu nie wolno wchodzić!

- Ciszej, bo wszystkich chorych wybudzisz z narkozy - rzekł ze spokojem Berg, zaciskając mocniej palce na ramieniu pedla.

Podziałało. Mężczyzna zwiotczał, chociaż nie wszędzie, bo język wciąż działał.

- Czego pan chcesz? - fuknął po chwili.
- Pogadać. Ale, powtarzam, niezbyt głośno.
- Ale ja pana nie znam!

- Już znasz. Obejrzałeś mnie sobie dokładnie. Zajmuję się pewną zgubą i tuszę, że jako człowiek, który czuwa tu nad wszystkim lepiej niż sam ordynator, a może nawet dyrektor, i zajmuje się wydawaniem ubrań pacjentom, coś o niej wiesz.

- Nie wiem, o czym pan mówi.
- Wiesz, wiesz.
- Ale ja pana nie znam...

Stach westchnął ciężko. Cóż, spodziewał się, że nie będzie łatwo. Znał dobrze ten typ wychudzonego indora gulgoczącego głośno, kiedy tylko ktoś wszedł mu w drogę. Jak było trzeba, na przykład gdy trafiał się krewki pacjent albo nadopiekuńczy mąż pacjentki (nie wiadomo, co gorsze!), człowiek ów potrafił się wykazać zadziwiającą siłą i zręcznością.

Nie puszczać ramienia mężczyzny, Stach drugą ręką sięgnął do kieszeni surduta, skąd wydobył kilka monet.

- Masz.

Pedel nie wziął zapłaty. Wciąż milczał dumnie. Wtedy Stach sięgnął znów w stronę stolika, nie po to jednak, by zabrać pieniądze. W okamgnieniu wyszarpnął spod blatu szufladkę i wysypał jej zawartość. Po stole z cichym grzechotem potoczyło się kilka szklanych flakoników.

- O, widzę, że mamy tu niezłą aptekę!
- To moje - burknął tamten.

Detektyw chwycił jeden z flakoników. Podrzucił go, potrząsnął przy uchu.

- Twoje? A to ciekawe, bo nazwa tego brzmi zupełnie jak środka na uśmierzanie bólów menstruacyjnych.

- To moje...

- Może więc zapytamy któregoś z lekarzy o tę anatomiczną ciekawostkę, co?

Pedel zacisnął wargi w wąską kreskę, a detektyw już wiedział, że mimo iż strzelał w ciemno, trafił celnie. Trzeba było iść za ciosem.

- Sprzedajesz je pacjentom? - zapytał.

- A skąd.

Berg wydał z siebie dziwny krótki charkot, przybliżył twarz do twarzy starca.

- Na pewno?

- Czasami. - Spuścił białą głowę jak uczeń i zapłakał krótko. - W domu bieda...

Stach głośno odstawił lekarstwo na stół i rzekł:

- Moja babcia tu nie leży, więc mam to w dupie, a ciebie zgubiła ciekawość. Ale to już nieważne. Chciałbym się tylko dowiedzieć jednej rzeczy, mianowicie: czy wydałaś ubranie chorej z sali numer sześć?

- Tak - potwierdził pedel zadziwiająco szybko, podniósłszy głowę.

- Nie mogłem odmówić, choć nie dawała mi nigdy żadnych pieniędzy, pewnikiem nie miała...

- Zaraz, zaraz - przerwał mu Berg. - Jakie „nigdy”? O czym pan mówisz?

Starzec szeroko rozłożył ręce. Najwyraźniej czuł się już nieco swobodniej.

- Mówię, jak było - bąknął.

- Wcześniej też wychodziła potajemnie ze szpitala?

- Tak.

- I również działo się to w nocy?

- Tak ładnie prosiła, że nie miałem siły odmówić.

- A dokąd wychodziła?

Pedel wzruszył ramionami.

- A bo ja wiem? Może na randkę z jakim kawalerem?

Dziwny to trochę kawaler, który nie odwiedził jej w szpitalu, tylko wyznaczał spotkanie poza nim, w dodatku w środku nocy - rozważał w duchu. Chyba że z jakichś powodów nie mógł się tutaj pokazać. Czyżby był to ten sam, z którym Anna Schmitz, Monika Krautter i Eva

Peters wycoczywały w pensjonacie Pod Srebrną Stynką w Rauschen?
Tajemniczy Gabriel von Voss?

- Dlaczego teraz nie wróciła? - zapytał Stach, bardziej dla podtrzymania rozmowy niżli dlatego, iż ciekaw był, co pedel o tym myśli; choć bywało różnie i czasem zdanie drugiej osoby okazywało się bezcenne.

- Na moje, to poszła z nim na dobre - odparł starzec.

Stach dorzucił jeszcze dwie monety, gestem nakazał mu milczenie i opuścił cuchnącą pakamerę, a po kilku chwilach także gmach szpital.

Kiedy wyszedł na ulicę, było już ciemno. Na szczęście nie padało, choć miał wrażenie, że czuje zapach śniegu. Idąc uliczką w stronę centrum, z nadzieją wypatrywał świateł dorożki. Na szczęście po dwóch, może trzech minutach, usłyszał charakterystyczne stukanie i zza rogu wyjechała drynda. Mężczyzna siedzący na koźle zdawał się drzemać. Ożywił się jednak i to bardzo, kiedy nowy pasażer podał mu adres. Trafiała się okazja zarobienia niezłego grosza, i to w chwili, kiedy zamierzał wracać do domu.

Najpierw detektyw kazał się zawieźć do willi Kleinowej przy Schützenstrasse. Już z daleka widział światła palące się w oknach budynku. Tak bardzo uwierzył, że to właśnie tam, pod ostatnim adresem spotka zaginioną, że w myślach układał już pytania, które jej zada. Oczywiście pierwsze dotyczyło jej fałszywego imienia i nazwiska, którymi przedstawiła się tamtego dnia.

- To pan? - zdziwiła się starsza pani, otworzywszy mu drzwi. - Czyżby udało się panu odnaleźć Annę?

Tych kilka słów wystarczyło, aby zrozumiał, że tłuł się na Tragheim na próżno. Nie wypadało jednak tak po prostu odwrócić się na pięcie i sobie pójść.

- I tak, i nie - odrzekł.

11

Po kilku minutach, pozostawiwszy panią Klein w stanie lekkiego, ale jednak wzburzenia, Stach jechał z powrotem na południe. Mijali chłopskie wozy wyjeżdżające z miasta, na których gospodarze drzemali po sznapsie.

- Dokąd teraz? - dopytywał fiakier, za chwilę bowiem znaleźć się mieli na skrzyżowaniu niepoślednich ulic.

- Na Dworzec Wschodni - zaordynował szybko Stach.

- Wedle życzenia. - Bacik trzasnął nad głową chabety.

Dotarli na miejsce niecałe pół godziny później. Dorożkarz przejął się bardzo zadaniem, podejrzewał bowiem, że klientowi, który załatwił w biegu kilka spraw, a może i pochędożył przy tym, spieszy się na wieczorny schnellzug do Allenstein albo Gumbinnen.

Tutaj Stach zdecydował się odprawić fiakra. Kiedy usłyszał cenę za zygzakowaty kurs po wieczornym Königsbergu, nawet nie mrugnął.

- Do usług. - Wozak zdjął z szacunkiem czapkę.

Na dworcu grało zwyczajowe Eine kleine Nachtmusik - zapowiadano odjazd kolejnego pociągu, sapały lokomotywy, toromistrz ostukiwał żelazne koła młotkiem na długim trzonku, a bagażowi nawoływali się wrzaskliwie. Wchodząc do hali, Stach czuł się jak kochanek, który wraca w miejsce, gdzie poprzedniego dnia został porzucony przez kobietę, bo naiwnie wierzy, że ta jednak przejrzała na oczy i cudownym zrzędzeniem losu spotkają się na peronie. Jak Anna Karenina i hrabia Wroński. Kilka minut snuł się po hali dworcowej, zaglądał do poczekalni wszystkich klas, a także do bufetu. Ale nigdzie nie było Anny Schmitz. Zastanawiał się, czy gdyby jednak ją tutaj spotkał i udał, iż to przypadek, a potem skłamałby, że

nie pamięta jej nazwiska, czy nadal udawałaby, że nazywa się Anne-Marie Fuchs?

Nogi same poniosły go w stronę stoiska z artykułami tytoniowymi i gazetami, jak tamtego dnia, kiedy wyjeżdżał do Zinten, by zdobyć informacje na temat Evy Peters. Wtedy jeszcze nie wiedział, że biedna dziewczyna była tylko jedną z wielu, które chciano sprzedać do zagranicznych domów rozpusty. I jedną z trzech, które bawiły się w nadmorskim kurorcie wraz z tajemniczym hrabią. Minęło sporo czasu, on zaś do wielu drzwi pukał, wiele pytań zadał, ale wciąż nie udało mu się otrzymać odpowiedzi na to najważniejsze. Dlaczego zginęła?

Przez dłuższą chwilę wodził spojrzeniem po tytułach wyłożonych na stoisku gazet. Zupełnie jakby w którymś z tytułów artykułów, może nawet tych drukowanych największą czcionką i wprost tłustym od farby fontem, spodziewał się znaleźć wskazówki. Przypomniawszy sobie też tytuł artykułu w „Königer Zeitung”, który szkalował Ludwiga Schatzkiego. Upadek legendy. Tak napisali! Zacisnął zęby.

- Czym mogę służyć? - zapytał go sprzedawca; był to inny mężczyzna niż tamten, który usiłował wcisnąć mu cygara.

W chwili gdy Stach pomyślał o paleniu, jego wzrok padł na pudełko z rysunkami czarnoskórych, uśmiechniętych kobiet i panów w cylindrach. Sprzedawca odgadł myśli potencjalnego klienta, więc nie mógł nie spróbować szczęścia.

- Może cygara do tego? Mam Ramon Allones.

Stach omal nie wybuchnął śmiechem.

- Nie schodzą wam, co?

Sprzedawca wzruszył ramionami.

- Nic na to nie poradzę - mruknął. - Rzadko kiedy ktoś się trafia. Ludzie zazwyczaj kupują papierosy, gazetę. I dalej w drogę.

Berg nie zamierzał poprawiać wyników sprzedaży stoiska na Dworcu Wschodnim. Owszem, potrzebował cygar, ale nie mógł dokonać zakupu gdzie indziej niż w trafice Samuela Cohena. Już miał się pożegnać i odejść, kiedy jego wzrok padł na dziwną drewnianą

zabawkę. Składała się z prostokątnej podstawy, w której znajdowały się trzy otwory. Z środkowego wystawała głowa małpki.

- Mogę to zobaczyć? - Pokazał na zabawkę.

Sprzedawca położył ją na kontuarze, zerkając mimowolnie na jeden z dworcowych zegarów.

- Jak to działa? - chciał wiedzieć Berg.

Mężczyzna bez słowa wcisnął palcem wskazującym wystającą główkę zwierzątka, która zaraz się schowała. W tej samej sekundzie z lewej strony wyskoczyła taka sama główka. Sprzedawca powtórzył ruch i wtedy wyłoniła się ta po stronie przeciwnej.

- Proste - uśmiechnął się Stach.

- Jak pan sądzi, która będzie następna? - zapytał z powagą sprzedawca.

- Jak to która? - prychnął Berg, bo nie lubił, gdy obrażano jego inteligencję. - Oczywiście, że środkowa.

- To proszę nacisnąć.

Detektyw wahał się chwilę, ale nadusił główkę małpki. Wtedy, ku jego zdziwieniu, wyskoczyła nie środkowa, a druga skrajna.

- Wygrałem - rzekł z satysfakcją sprzedawca.

- Nie zakładaliśmy się o nic - zauważył Berg.

- Ale mogliśmy. To zabawka dla dzieci, głupia, bo wymaga tylko naciskania na te małpie łby. Mechanizm jest jednak tak skonstruowany, że nigdy nie wiadomo, która z dwóch wyskoczy. Dlatego można robić zakłady. Zabawa w sam raz do pociągu, gdzie nie zawsze da się rozłożyć karty.

- To przecież hazard. - Stach spojrzał groźnie na mężczyznę.

- Raczej hazardzik.

- Ile kosztuje ten hazardzik?

Niecały kwadrans później Stanisław Berg z papierową torbą w ręku pukał do drzwi trafiki. Mimo że było już późno, właściciel jeszcze nie wyszedł do mieszkania.

- Pan Berg, co za niespodzianka! - ucieszył się Cohen i uściskał niespodziewanego, ale jakże miłego sercu gościa. - Co słysząc? Jak zdrowie? Dużo pracy?

- Powoli. A u pana, drogi panie Samuelu? - zapytał Stach.

- A nie narzekam, interes się kręci. Powoli, ale do przodu. Jak pan widzi, jeszcze robię kasę. - Spojrzał na kontuar, na którym leżały jakieś otwarte księgi, sterta papierków i przybory do pisania.

- Czy będę mógł coś kupić?

- Pan może przyjść do mnie o każdej porze dnia i nocy - rzekł uroczyście Cohen.

- Czyli nic się nie zmieniło!

Sklepikarz położył na ladzie kilka paczek ulubionych cygar Stacha, ten zaś wyjętą z papierowej torby zabawkę.

- Co jest, panie Stachu? - zapytał Cohen, by zaraz dodać z przepaszającym uśmiechem: - Moje dzieci już chyba za duże...

- Kupiłem to dla siebie - wyjaśnił detektyw.

Właściciel trafiki zrobił wielkie oczy, wymamrotał pod nosem coś niezrozumiałego, jak często czynią ludzie w pewnym wieku.

- Pytał pan - ciągnął tymczasem niezrażony Berg - co słysząc. Ze zdrowiem jako tako, choć muszę się panu przyznać, że znów spędziłem kilkadziesiąt godzin pod kluczem...

Samuel Cohen zakrył usta, ale Stach ruchem ręki uspokoił kupca. Po czym mówił dalej:

- Jeśli zaś chodzi o pracę, to ilustruje to najlepiej ta właśnie niewinna zabawka. Zrozumiałem to kilkanaście minut temu i nie mogłem się oprzeć, by jej nie kupić.

- Nie rozumiem.

Stach w kilkunastu zdaniach opowiedział przyjacielowi o losach trzech młodych kobiet - nieżyjącej Evy, odnalezionej przez rodziców Moniki i jeszcze do niedawna leżącej w szpitalu Anny - najprawdopodobniej przyjaciółek, którymi zajmował się przez ostatni czas. Nie zapomniał też, oczywiście, o mężczyźnie, z którym wiązała je tajemnicza więź.

- Kiedy ujrzałem, jak działa ta zabawka, od razu pomyślałem o swoim śledztwie - zaśmiał się cicho Berg. - Kiedy znajduję jedną, gubi się druga. Gdybym znalazł się w szpitalu lipnickim kilka godzin wcześniej, być może odnalazłbym obie kobiety i dowiedział się czegoś, co zakończyłoby sprawę.

- Ale Monika Krautter już została odnaleziona - zauważył Cohen.
- Dostał pan przecież wiadomość od jej rodziców.

- Owszem. Ale wciąż nie dowiedziałem się, dlaczego nie żyje Eva Peters. Przyznaję, że jeszcze niedawno chciałem rozwikłać tę zagadkę tylko dlatego, że prosił mnie o to Schatzki, którego spotkała wielka niesprawiedliwość. Ale po tym, jak ktoś - i to ktoś najpewniej związany z tym zabójstwem - zwabił mnie w pułapkę i strzelał do mnie, ta sprawa stała się moją w stu procentach!

- Rozumiem - rzekł Cohen. - Jak w takim razie mogę panu pomóc? Oczywiście prócz zaopatrzenia pana w cygara.

- Wystarczy, że mnie pan wysłuchał.

W tej samej chwili na schodach, które prowadziły do mieszkania Cohenów, zatarabaniły dwie pary nówek. Były to dzieci sklepikarza, które, ujrzawszy dawno niewidzianego przyjaciela domu, rzuciły się Stachowi na szyję. Ich ojciec miał rację: trzy małpki, które nadal stały na kontuarze, w ogóle ich nie zainteresowały. Chłopczyk tylko jeden raz, jakby od niechcenia, nacisnął łąpek jednej z nich. Kiedy w efekcie wyskoczył drugi, wzruszył ramionami.

- Dlaczego jeszcze nie śpicie? - Sklepikarz kiepsko markował zagniewanie.

- Ona chciała zadzwonić do Kristen, a ja jestem jej strażnikiem - wytłumaczył rezolutnie chłopiec.

- Chyba trochę za późno, aby dzwonić do Kristen albo do cesarza, albo cadyka - tym razem Cohen postanowił być twardy. - Poza tym po co dzwonić, skoro jutro rano zobaczycie się w szkole?

- Z cesarzem? - zdziwiła się dziewczynka.

- Kto wie, kto wie. - Cohen na modłę tysiąca starozakonnych sklepikarzy zamachał w powietrzu rękami, by po chwili prawą

wskazać na schody. – A teraz spać. Ale już!

Dzieci jeszcze przez chwilę stękały i kwękały, w końcu jednak dały za wygraną. Rozległy się dwa głośne cmoknięcia na dobranoc, a następnie kolejne ponowne na schodach, tym razem jednak już nie takie głośne jak wcześniej. Kiedy Samuel Cohen ponownie spojrzął na gościa, ujrzał, jak ten rozprostowuje na blacie kontuaru zadrukowany papier. Była to chyba jakaś reklama.

– Miałbym prośbę, ale nie wiem, czy mogę – rzekł Stach, nie odrywając wzroku od papieru; przypomniał sobie o nim kilka chwil wcześniej, kiedy dzieci chciały użyć systemu Bella.

– Nie rozumiem, dlaczego się pan kryguje, panie Stachu. Znamy się przecie nie od dzisiaj.

– Wiem. Problem w tym, że ja również chciałbym gdzieś zadzwonić.

– Ależ proszę! Doprawdy, dziwię się, że się w ogóle pan pyta. Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy? Drogi panie Stanisławie...

Berg uśmiechnął się w podziękowaniu. Drżącymi rękami odchylił tubę. Gdy po chwili usłyszał w słuchawce kobiecy, nieco zaspany głos, poczuł wyrzuty sumienia. Mimo to przeczytał mocnym wyraźnym głosem cyfry, które przepisał w szpitalu lipnickim z pudełka czekoladek Sprüngli & Sohn zjedzonych przez Annę Schmitz. Gdy czekał na połączenie, sklepikarz przewracał papierki, udając, że robi kasę. Może nawet próbował, ale ciekawość nie pozwalała mu oddać się tej ważnej czynności z należytą uwagą.

W słuchawce coś zatrzeszczało, a potem odezwał się męski, szorstki i władczy głos. Gdy Stach usłyszał nazwę miejsca, do którego się dodzwonił, nie zapanował nad sobą. Nacisnął widełki i przerwał połączenie...

12

Bardzo często ludzie, którzy właśnie opuścili więzienie, robią wszystko, by dzień, w którym to się stało, trwał w nieskończoność. Bywa nawet, że podczas powitalnej biesiady oszczędzają się, by zbyt szybko nie stracić kontaktu z rzeczywistością. Albo wynajdują sobie dodatkowe zajęcia. Jakby bali się, że kiedy zasną, a potem się obudzą, wszystko okaże się tylko cudownym snem. I dalej będą siedzieli pod kluczem, bez nadziei na odmianę losu...

W przypadku Stanisława Berga było trochę inaczej. Owszem, ledwo wyszedł na wolność, nie narzekał na brak zajęć. Ale to nie on o nie zabiegał. Po tym, co usłyszał w słuchawce, jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Na domiar złego, gdy przekroczył próg swego biura, zastał w nim interesanta. Nie miał najmniejszego zamiaru silić się na delikatność – sięgnął po zegarek i sprawdził godzinę. Zbliżała się dziesiąta wieczorem.

- Wspaniale – burknął pod nosem.

Gość, który siedział na jedynym krześle w zorganizowanej ad hoc poczekalni, skurczył się pod ciężkim spojrzeniem przybyłego gospodarza. Berg szybko się zmytygował. Skoro bowiem ktoś czekał na niego o tak późnej porze – i nie był to policjant przy szabli! – oznaczało to ni mniej, ni więcej, że detektyw cieszy się w tym mieście coraz większą renomą. Zaraz więc zmusił się do uśmiechu, by zmasać pierwsze, najpewniej niekorzystne wrażenie.

- Stanisław Berg – przestawił się. – W czym panu mogę służyć?

Był to mężczyzna lat około dwudziestu pięciu, który wyglądał na kantorowicza.

- Moje nazwisko Lange, Adalbert Lange – zrewanżował się skwapliwie. – Proszę wybaczyć, że nachodzę pana o tak późnej porze.

- Nie ma problemu.
- Jestem pracownikiem redakcji „Königer Zeitung”.
- Znam i czytuję - skłamał gładko. - Co sprowadza prasę w moje skromne progi?

Lange wstał z miejsca. Miętosił w rękach rondko melonika i wodził wzrokiem po ścianach, a dokładnie ich dolnej części. Wreszcie westchnął ciężko i rzekł:

- Wyrzuty sumienia, panie Berg.
- Nie rozumiem.
- To długa historia. Byłbym naprawdę wdzięczny, gdyby zechciał mnie pan wysłuchać.

Było już późno, więc sam zaparzył herbatę. Tak naprawdę Stach nie miał ochoty na nic gorącego, ale raczej na coś dużego, zimnego i z goryczką. Czuł jednak, że nie byłoby to zbyt właściwe przy człowieku, którego nie zna. Tym bardziej że sprowadził go tu jakiś ambaras, a po alkoholu detektyw miałby pewnie problem z oceną powagi sytuacji.

- Proszę. - Przesunął filiżankę w stronę Adalberta Langego, który siedział z opuszczoną smętnie głową. - Niestety, o tej porze nie jestem w stanie zaoferować nic innego. Była jakaś drożdżowa babka, ale pracownicy zjedli.

- Dziękuję - mruknął mężczyzna. - Nie jestem głodny. A pracowników ma pan bardzo miłych.

- Dziękuję w ich imieniu.

Stach podał również cukiernicę, z której gość zaraz skorzystał. Przez chwilę obserwował Langego w milczeniu. Czy już się gdzieś spotkali? Jedna łyżeczka cukru, druga, trzecia... Chyba rzeczywiście coś go gryzło.

- Jak już mówiłem - zaczął mężczyzna - pracuję w redakcji „Königer Zeitung”. Na co dzień zdobywam informacje w mieście, które następnie przekazuję redaktorom. Czasami sam coś napiszę. Wciąż zdobywam szlify, może by rzec, choć trzydziestka na karku.

Przerwał, siorbnął z filiżanki.

- Jakiś czas temu - ciągnął - wezwał mnie zastępcą redaktora naczelnego. Wiele razy rozmawialiśmy, ale tym razem zamknął za mną drzwi pakamery, a nawet poprosił, żebym usiadł.

- Wcześniej się to nie zdarzało?

- Właściwie nie. Wpadałem zawsze jak po ogień. Czapki ani palta nie opłacało się zdejmować. Redaktor rzucał tylko adres i nazwisko osoby, którą trzeba było wziąć na spytki, a po wszystkim odbierał notatki. W tym jednak wypadku zanosilo się na dłuższą rozmowę. Przestraszyłem się w pierwszej chwili. Pomyślałem, że chcą mnie wylać z roboty. Tacy jak ja, ustawieni w redakcyjnej hierarchii piętro tylko wyżej niż gońcy, nie znają dnia ani godziny. Zawsze można wymienić nas na lepszego, sprytniejszego, mającego więcej znajomości w mieście.

- Ale nie o to chodziło, jak mniemam.

- Nie. Wręcz przeciwnie: dostałem nowe, specjalne zadanie. I obietnicę, że jeśli się z niego szybko wywiążę, zostanę awansowany. Nie będę już biegał po Königsbergu w poszukiwaniu gorących tematów. Wszystko miało się jednak odbyć w absolutnej tajemnicy...

Adalbert zamilkł.

- Czy właśnie o tym chciałby mi pan opowiedzieć? Zdradzić tajemnicę? - Stanisław Berg zmarszczył brwi.

Lange, ku zadowoleniu detektywa, wytrzymał jego wzrok.

- Tak. Jestem pewien, że właśnie tak należy zrobić, żeby móc spojrzeć w lustro. Zagrano ze mną nieczysto. Kazano szukać haków na porządnego człowieka, a wszystko to tylko po to, by ktoś inny mógł się wykazać, a w efekcie zająć nową ciepłą posadkę. I to nie byle gdzie, bo w samym Berlinie.

- Chyba domyślam się, co chce mi pan powiedzieć. - Przez twarz detektywa przebiegł krótki uśmiech, a może był to tylko nerwowy skurcz.

- Najgorsze jest to, że wszystko się udało - westchnął pan Adalbert.

Lange znów sięgnął po filiżankę i wypił kilka łyków herbaty. Stach wstał z krzesła, zrobił kilka kroków po pokoju i zatrzymał się przy oknie, przez które kilka dni temu wyleciał niczym armatnia kula najemny zbir. Wciąż nie było wiadomo, kto kogo nasłał, mimo że lista podejrzanych w ciągu ostatniej godziny znacznie się wydłużyła!

Adalbert Lange również powoli wstał zza stołu.

- Jeśli mógłbym być w czymś pomocny...

- Owszem, może pan pomóc - rzekł z mocą Stach, oderwawszy wzrok od świateł miasta pełgających w lustrze rzeki. - Przede wszystkim sobie, czyli załatwić to, z czym pan przyszedł. Obawiam się jednak, że to wszystko, co opowiedział pan mnie, będzie pan musiał powtórzyć raz jeszcze.

Dziennikarz przełknął niewidoczną śliwkę.

- Komu?

- Niech pan łaskawie zapisze sobie adres. Można niepokoić o każdej porze dnia i nocy, ten człowiek do tego nawykł.

Minutę później Adalbert Lange stał w otwartych drzwiach biura detektywa.

- Czy to wszystko? - zapytał.

- Tak. Chyba że załatwi mi pan zniżkę w biurze ogłoszeń! - zaśmiał się Berg.

- Da się zrobić.

13

Zegar na wieży kościoła w Gerdauen kończył wybijać ósmą rano, kiedy Gabriel von Voss wyszedł z komisariatu policji. Gdyby ktoś widział go w tej chwili, pewnie zwróciłby uwagę na jego czerwoną twarz. Z wysiłku, ze wstydu albo od wypitego alkoholu? Wątpliwym było, że hrabia został zaprzęgnięty do przestawiania mebli albo z którymś z policjantów skończył właśnie oglądać nieprzyzwoite zdjęcia. A może chlapanął sobie kieliszek sznapsa? To wyjaśniłoby wiele, ale jednak nie.

Twarz hrabiego była czerwona z czystej wściekłości. Wyprowadzono go bowiem z równowagi, ktoś ewidentnie załazł mu za skórę.

- Wariat? Mnie nazwać wariatem!? - gardłował, stojąc w cieniu portalu budynku, powstrzymując się z trudem od wygrażania pięściami. - Jeszcze zobaczymy, kto tutaj zwariował...

Zimny, nieprzyjemny wiatr hulał po rynku miasta, toteż drogę do miejsca, gdzie czekał na niego powóz z wiernym sługą, pokonał hrabia z rękami głęboko wsuniętymi w kieszenie płaszcza.

- O, to pan? - Siedzący na koźle stary wierny Klaus ocknął się z drzemki.

- Nie, baron Münchhausen, kurwa - warknął von Voss.

- Widzę, że coś poszło nie tak.

Gabriel wszedł do środka i huknął drzwiczkami.

- Chyba będzie mróz - powiedział jeszcze Klaus, pociągając nosem. - Trzeba będzie napalić we wszystkich piecach. Wszystkich dwóch...

Rozważania przerwało mu pojedyncze, ale mocne stuknięcie laski o sufit powozu. Cmoknął na konie. Koła powozu zaturkotały na bruku.

Gabriel von Voss głowę miał ciężką od myśli, czoło gorące, a skronie pulsowały mu nieznośnie. Na szczęście złość trochę już przeszła, choć był pewien, że tak łatwo i szybko nie wyrzuci z siebie tego, co usłyszał. Niechcący, ale jednak doszło to jego uszu. Tak, zła sława utracjusza, pijaka, dekadenta i morfinisty, który teraz, miast w pałacu, pomieszkuje w dawnym myśliwskim domku, zrobiła swoje. Przez całe lata na to pracował, więc co się dziwić.

Policjant, który z nim rozmawiał, patrzył na niego jak na przybysza z innej planety. Gabrielowi zdawało się wręcz, że tłumiał śmiech. Gdyby tamten nie miał na sobie munduru, von Voss pewnie by w końcu nie zdzierzył i dał mu w ten jego pryszczaty pysk. Ale na tydzień aresztu nie mógł sobie pozwolić. No, może trzy dni, zważywszy na to, że Gabriel był szlachcicem. Zubożałym, ale wciąż szlachcicem. Przede wszystkim był jednak obywatelem, który, dowiedziawszy się o popełnionej niegodziwości, domagał się sprawiedliwości. Niestety, nie został zrozumiany.

- Wariat! Mnie nazwać wariatem! Mnie!? - Do bólu zacisnął na lasce palce obu rąk.

Trochę pomogło. Ukojenie niosło też kołysanie powozu, który opuścił już brukowane uliczki miasteczka i jechał po drodze rozmięklej po ostatnich deszczach. Myśli Gabriela von Vossa wymknęły się przez szparę w okienku, wyprzedziły konie i uleciały w kierunku domu, gdzie czekał na niego pokój, fotel, ciepły pled i karafka dobrego alkoholu. Ledwo jednak wzbiły się wyżej, porwał je wiatr, zakręcił nimi młynka, a potem rzucił o ziemię, by na koniec zabrać w zupełnie innym kierunku. Do pałacu, niegdyś dumnej rodowej siedziby rodu von Vossów, po którym teraz obcy roznosili błoto i gnój...

Uderzył w sufit główką laski z taką siłą, że omal nie zrobił w nim dziury. Zaniepokojony Klaus ściągnął lejce, a gdy pojazd zwolnił, zajrzał do środka przed wąskie okienko i zapytał:

- Co się stało, panie hrabio?

- Zawracaj do miasta, ale żywo! - zaordynował Gabriel.

- Po co, jeśli można spytać?
- Nie można, ale musisz wiedzieć, dokąd jechać, więc powiem.
- Znow na posterunek?
- Nie. Tym razem do składu żelaznego.

Stangret i ostatni służący w jednym nie odpowiedział. Musiał bezpiecznie nawrócić po wąskiej, wyboistej drodze. Powozem kołysało teraz na wszystkie strony, a resory śpiewały niczym żałobny chór w Requiem Mozarta. Zamysł, dopiero co powzięty szalony zamysł, trzymał się jednak mocno w głowie siedzącego w środku pasażera.

Po kilku minutach koła powozu zaterkotały znow na miejskim bruku.

14

Poranki w redakcji „Königer Zeitung” różniły się od godzin popołudniowych przede wszystkim tym, że panował tam dużo większy spokój. Zdarzały się momenty, bardzo krótkie co prawda, ale jedna, kiedy w miejscu tym panowała niemal zupełna cisza. Ci, którzy siedzieli wtedy przy redakcyjnych biurkach i głowili się nad artykułami, przyzwyczajeni do pracy w hałasie i napięciu, opadali plecami na oparcie krzesła, splatali palce rąk za głową i przymykali oczy. Tych, którzy spędzili tu noc, już nie było.

Momentem tym trzeba było się delektować, w każdej chwili wszak do głównej hali redakcji mógł wpaść zadyszany goniec z najnowszymi doniesieniami. Było to nieuniknione, bo to przecież poranki, powtórzmy raz jeszcze, zawsze odkrywały wszystkie ciemne sprawy portowego miasta. A jeśli nawet nic nie wydarzyło się nad rzeką, na przykład podczas rozładunku towarów czy w którejś z portowych tawern, zło dawało o sobie znać tam, gdzie nikt by się go nie spodziewał. Tu pracownik banku sprzeniewierzył cudze oszczędności, tam zazdrosny mąż bez mrugnięcia okiem zastrzelił żonę, którą zastał w łóżku z kochankiem.

Coraz więcej ludzi wierzyło, że jest na wszystko rada. To nowy, dwudziesty wiek, który zbliżał się wielkimi krokami, miał przynieść kres wszelkiemu zepsuciu. Obyśmy tylko doczekali, a ścieżki naszego żywota nie przecięły się z tramwajowymi torami.

Starszy mężczyzna w wypłowiałych, płóciennych zarękawkach, który siedział przy stoliku blisko okna, odłożył na bok przyjęte przed kilkoma chwilami ogłoszenie. Człowiek, który je przyniósł, zdążył już zapłacić i wyjść z redakcji, ale pracownik biura ogłoszeń „Königer

Zeitung” dopiero po dłuższej chwili wykonał prosty gest kończący pewien etap pracy.

Herb Belenky lubił mieć przesadny wręcz porządek na biurku. Był z tego znany. Próbowano to tłumaczyć na różne sposoby: jedni twierdzili, że to przyzwyczajenie, które zostało mu z wojska. Ponoć podczas wojny prusko-francuskiej Belenky zajmował się zaopatrzeniem w żywność i to między innymi dzięki jego zapobiegliwości idące na Paryż jednostki generała Helmuta von Moltke nie padły z głodu. Że miasta nie zdobyły, to już oddzielna historia. Inni skrupulatność Herba kojarzyli z jego stanem cywilnym – od dziesięciu lat człowiek był wdowcem i musiał sam dbać o siebie.

Wielki szafowy zegar Beckera zaczął obwieszczać godzinę ósmą rano, kiedy do idealnie posprzątanego biurka przy oknie zbliżył się nowy klient.

- Słucham, w czym mogę pomóc? - odezwał się Herb Belenky, swoim zwyczajem nie podnosząc jeszcze wzroku na przybysza.

- Dzień dobry - Powitanie zostało wypowiedziane starczym dyszkantem, z tego też powodu Herb Belenky nie mógł już dłużej ignorować przybysza i uraczył go spojrzeniem znad szkieł okularów zsuniętych do połowy nosa.

Stał przed nim staruszek z długą siwą brodą, lekko przechylony w krzyżu, a także ku lewej stronie. Postawę korygował laską. Ubrany był w jesionkę w rudą jodełkę z wyliniałym kołnierzem z nutrii, w ręce zaś trzymał dziwną futrzaną czapę.

Kmiotek - ocenił go w myślach Belenky, na głos zaś rzekł:

- Dzień dobry szanownemu panu.

Potem było już prościej, czyli tak jak zawsze.

- Chciałem zamieścić ogłoszenie - rzekł przybysz.

Pracownik biura poprawił lewy zarękawek, wziął do rąk podany mu karteluszek. Potem przez kilka chwil chrobotąło pióro na papierze druczka, który wypełniał. Wreszcie, jak setki razy wcześniej, podał cenę. I tak jak wcześniej zainkasował opłatę.

- Kiedy moje ogłoszenie się ukaże? - chciał wiedzieć starszy pan, złożony dłońmi, jakby za chwilę miał zacząć mówić Pater noster.

- W najbliższym numerze, czyli jutro rano - odpowiedział sucho Belenky.

- To wspaniale, wspaniale! Mam nadzieję, że uda mi się wreszcie pozbyć tych starych mebli. Niech mi pan wierzy, już nie mogę na nie patrzeć!

- Też mam taką nadzieję.

Ogłoszeniodawca skłonił się i wykonał półobrót, by ku zadowoleniu pracownika gazety wreszcie sobie pójść. Belenky nigdy nie spoufalał się z klientami i ograniczał do minimum czas potrzebny do załatwienia sprawy. Udawało mu się to między innymi właśnie dzięki porządkowi na biurku. Nigdy nie miał problemu z szybkim znalezieniem odpowiedniej pieczętki czy sprawnym wydaniem reszty, gdy płacono wysokimi nominałami. Już miał odetchnąć z ulgą i przenieść zapisany papierek na właściwe miejsce, gdy nagle stało się coś dziwnego. Petent zamachał rękami w powietrzu i nim Herb Belenky zdążył pomyśleć, ujrzał zbliżające się ku niemu plecy w rudej jesionce. Zdążył unieść się z siedzenia na dwa cale. Hałas spadających z biurka przyborów biurowych stopił się w jedno z krzykami upadającego i przygniatanego. Jak potem mówiono, wszystko wyglądało naprawdę przerażająco. W jednej chwili starzec wymachiwał w powietrzu już nie tylko rękami, ale też nogami. Wypuszczona laska zabębniła o drewnianą podłogę, podczas gdy dziwna futrzana czapa upadła rozpaczliwie jak strącona z głowy poległego w bitwie...

- Na pomoc! - krzyknął jeszcze Belenky, zupełnie jakby nieszczęsny staruszek wszystko to robił specjalnie, z zamiarem pozbawienia go jeśli nie życia, to przytomności.

Ruszyli w kilku ci, którzy pracowali najbliżej, ale jedyne, co mogli zrobić, to podnieść obu mężczyzn z ziemi. Belenky, stojąc już na nogach, z przerażeniem spoglądał na swoje miejsce pracy, królestwo,

w którym brud i nieporządek były od razu skracane o głowę. Teraz był to krajobraz po bitwie.

- Boże mój, Boże - mamrotał pracownik działu ogłoszeń, trzymając się za głowę. Co z tego, że była cała?!

Cały nie był natomiast starzec, który krwawił i oddychał ciężko, przewracając oczami. Próbowali i jego postawić na nogach, ale zrezygnowali i tylko oparli o biurko jak przedmiot.

- Przepraszam, przepraszam - powtarzał płaczliwym głosem. - Nie wiem, jak to się mogło stać. Po prostu nagle pociemniało mi w oczach.

Herb Belenky nie mógł już patrzeć na wielką kałużę atramentu, która zajmowała lwią część biurka. Przez chwilę spoglądał na siedzącego na podłodze starca wzrokiem kogoś, kto ma za chwilę zdecydować o czymś życiu. Wyroku nietrudno było się domyślić.

Przez ciżbę przedarł się młody człowiek.

- Studiowałem medycynę, mogę go opatrzeć - odpowiadał na pytające, a czasem nawet gniewne spojrzenia.

W tej samej chwili od drzwi pokoju redaktora naczelnego dobiegł gniewny głos:

- Do pracy panowie, nie opiszemy tego na pierwszej stronie! A na nekrolog chyba się nie zanosi. Zapraszam na stanowiska!

Reprimenda sprawiła, że pracownicy szybko zaczęli wracać na swoje stanowiska. Tym bardziej że do redakcji właśnie wpadł jakiś chłopak z rozwianym włosami i obłędem w oczach.

- Wypadek na budowie przy Friedrichstrasse - zawołał.

- Trup? - chciał wiedzieć ktoś.

- Nie wiem. Przygniotło robotnika.

Od razu przywołano go gestem, by zdał relację z wydarzenia. Nikt już nie zwracał uwagi na biurko, przy którym Herb Belenky przyjmował ogłoszenia drobne. On sam zresztą też wyglądał na kogoś, kto najchętniej rzuciłby to wszystko w diabły i poszedł do domu. Na razie mógł jednak udać się tylko do ustępu, co zresztą po chwili, nie wiedząc czemu, ogłosił.

- Tylko niczego mi nie ruszać! - Pogroził palcem na odchodne.

Dopiero gdy Belenky się oddalił, młody człowiek, który deklarował, że studiował medycynę, pochylił się nad wciąż siedzącym na podłodze starcem.

- Nic się panu nie stało? - zapytał z przejęciem.

- Nie, nie. Już mi lepiej... - mamrotał i jęczał poszkodowany. - Naprawdę nie wiem, jak to się mogło stać. Pociemniało mi w oczach, zakręciło się w głowie...

- Proszę nic nie mówić.

W tej samej chwili oczy ostatniego ciekawskiego zwróciły się ku robocie. Nie, nekrologu nie będzie. Za to pedant Belenky będzie miał sprzątaną, że hej!

- Czy to ta szuflada? - z ust starca zamiast dyszkantu wydobył się zwyczajny szept.

- Tak - potwierdził młody redaktor, zmieniając pozycję tak, by go sobą zasłonić.

Ręką, która jeszcze przed chwilę ledwo trzymała laskę, a potem już jej nie trzymała, szybko wyjął drewnianą, długą szufladę i położył ją na podłodze. Przegródka była wypełniona niewielkimi zapisanymi kartonikami. Starzec wyjął jeden z nich i przeczytał.

- To z sierpnia - mruknął.

- Trzeba szukać bardziej w lewo, panie Berg.

Następna próba była bardziej udana - przebranemu za starca detektywowi udało się wyciągnąć los z początku września. Wzrokiem szybko przebiegał po kolejnych fiszkach.

- Cholera... - spod siwej brody dobiegło przekleństwo, o wiele gorsze było jednak to, co wyszeptał Adalbert Lange:

- Musimy kończyć. Belenky wraca.

15

Stanisław Berg stał oparty o metalową balustradę i gapił się w nurt rzeki. W rękę trzymał chustkę. Po chwili podniósł ją do nosa, a następnie sprawdził efekt. Tym razem nie przybyło żadnej nowej czerwonej plamy.

- Z pełnym poświęceniem pan to zrobił, nie powiem - rzekł Roch Ciupa, który z boku i z zaciekawieniem przyglądał się poczynaniom pryncypała.

- Efekt uboczny - burknął Stach. - Nie miałem zamiaru puszczać juchy. Wierz mi, że i bez tego wszystko wyglądało bardzo dramatycznie.

- Wierzę.

- Poza tym uderzyłem się w kość ogonową.

- I broda chyba będzie do wyrzucenia - zauważył po chwili Ciupa.

Stach jednym ruchem zdjął kamuflaż. Na siwych włosach w istocie widać było zaschnięte ciemne plamy. Obaj wiedzieli jednak, że nie było innego wyjścia, choć była to raczej tragedia niż komedia. Adalbert Lange opisał pana Belenky'ego bardzo trafnie. Safandula, który niemal nie opuszczał swego stanowiska pracy, a jeśli już, to zawsze zamykał wszystkie szuflady na klucz. Nawet wówczas, gdy wybierał się tylko do wychodka. Należało więc w jakiś sposób wprowadzić zamęt do jego świata, zrobić coś, co sprawiłoby, że zapomnieliby o przyzwyczajeniach. Wtedy Stach sięgnął do walizki z przedmiotami, dzięki którym stawał się kimś innym. Lange przeraził się początkowo, szybko jednak dał się przekonać. Miał wszak oczyścić sumienie z części grzechów.

- Jakoś dopierzesz. - Stach podał Rochowi sztuczną brodę. - Ważne, że zdobyliśmy to, co chcieliśmy.

- Okaże się, jak tam pójdziemy.

Detektyw przez chwilę wyginał ręce w łokciach, jakby wykonywał leniwe pompki, po czym oderwał się od balustrady, strzepnął dłonie, do których przylepiły się skrawki złuszczonej farby i rdzy, i rzekł z werwą:

- W takim razie naprzód. Szkoda dnia!

Roch miał rację. Nie mieli pewności, że adres i nazwisko, które Stach psim swędem znalazł między fiskami, w istocie należą do osobnika, który tamtego dnia przyniósł do redakcji „Königer Zeitung” dziwne ogłoszenie. Owszem, Herb Belenky miał w zwyczaju wszystko i zawsze dokładnie notować. Nie wiadomo, czy to przepisy, czy tylko fanaberia starego wdowca. Grunt, że za każdym anonsem stał konkretny człowiek, a jak człowiek, to i jego adres zamieszkania. Oczywiście, zleceniodawca ogłoszenia, który zgubił coś na moście na Schloss-Teich, mógł podać zmyślane dane. Belenky raczej nie posuwał się do tego, by zaglądać ludziom do paszportów.

Stanisław Berg i Roch Ciupa złapali na Knipawie tramwaj jadący na północ. Siadając na wolnej ławce, detektyw stęknął i skrzywił się z bólu.

- Może jednak to przełożymy? - zaproponował Ciupa, który stał obok, a głową sięgał niemal sufitu wagonu.

- Nic mi nie jest. Bywało gorzej - mruknął Stach.

Ledwo to powiedział, tramwaj przejechał przez Most Kramarzy, podskoczył, a wraz z nim na drewnianej ławce podskoczył i Stach. Syknął z bólu, przewrócił oczami. Pojazd znalazł się na Starym Mieście. Na przystanku przy zamku do wagonu weszła spora grupa uczniów. Detektyw z przerażeniem przyglądał się rozwrzeszczanej hałastrze, nad którą nikt nie próbował zapanować. Rola nauczycielek, które trzymały pieczę nad dziećmi, ograniczyła się tylko do pilnowania, aby wszystkie weszły do pojazdu. Podczas jazdy obie gapiły się w okna.

Na szczęście niecałe dziesięć minut później klasa opuściła tramwaj.

- Jeszcze dwa przystanki - poinformował detektywa Ciupa.

- Widzę, że już jako tako zapoznałeś się z topografią miasta - rzekł z uznaniem detektyw, by zaraz zapytać: - Myślisz, mój Rochu, że nieprędko wrócimy do Łodzi?

Tamten wzruszył ramionami. Pojazd zaczął zwalniać przed przystankiem, więc Berg podniósł się z ławki, tym razem udało się bez jednego stęknięcia ani grymasu. Dopiero kiedy stanęli na przystanku i odprowadzili wzrokiem tramwaj, Stach podjął:

- Bo ja tak właśnie myślę - rzekł.

- Że co?

- Że Łódź to już przeszłość. I w interesie nas obu będzie, jeśli Königsberg szybko przestanie mieć przed nami jakiegokolwiek tajemnice.

- Może i tak.

Chwilę jeszcze postali, rozglądając się po okolicy. Domy były tu o wiele niższe i mniej okazałe niż te w ścisłym centrum miasta. Mimo to ich elewacjom nie można było niczego zarzucić. Wiele posesji otaczały zadbane ogródki, co można było stwierdzić nawet teraz, w środku jesieni.

- Walschestrasse dwa - przeczytał Stach z kartki, która była niczym innym jak niezapisaną jeszcze przez Herba Belenky'ego fiszką. - Nazwisko Beyl.

Ciupa stał w tym momencie odwrócony do niego plecami, przyglądając się ścianie kamienicy. Stach już miał przywołać współnika do porządku, kiedy ten chrząknął znacząco, a potem zapytał:

- Julius Beyl?

- Tak, Julius. A co?

Stach podążył za spojrzeniem pomagiera i o mało nie krzyknął.

- To niemożliwe! - Przypadł do ściany, na której wisiała klepsydra... Juliusa Beyla.

- Lat czterdzieści dwa, zmarł trzy dni temu. Nabożeństwo żałobne odbędzie się w kościele... - przerwał, podniósł na chwilę kapelusz,

bynajmniej nie po to, aby oddać cześć zmarłemu. Rękawem płaszcza starł pot, który w jednej chwili wystąpił mu na czoło.

- Może to jakiś inny Julius Beyl - bąknął Ciupa.

- Gdyby to był Hans Schmidt, byłaby nadzieja - warknął Berg, chowając kartkę z adresem do kieszeni. Inaczej mogłaby nie przetrwać następnych sekund.

- Nie będziemy wiedzieli, jeśli nie sprawdzimy.

Stach kiwnął głową, założył kapelusz i już szli Walschestrasse w kierunku wejścia do kamienicy z numerem drugim. Kilka chwil później obaj stanęli jak wryci. Każdy zrobiłby to samo, gdyby omal nie zderzył się z trumną, wynoszoną z kamienicy przez czterech mężczyzn w czarnych bikornach z żółtym paskiem na głowach. Na ich widok Stach odwrócił zaraz głowę, aby spokojnie zakląć, Ciupa wykonał zaś dyskretny znak krzyża.

Po chwili weszli do środka. Detektyw szybkim gestem jeszcze raz wyciągnął fiszkę.

- Mieszkanie numer siedem - rzekł półgłosem.

- Pewnie ostatnie piętro - mruknął na to Roch. - Nie chciałbym pracować w zakładzie pogrzebowym.

- Pracowałeś w jeszcze gorszym - skwitował bez uśmiechu Stach, stawiając stopę na schodach.

W odpowiedzi Ciupa wydał z siebie dźwięk rozdrażnionego odyńca, częściowo ustami, a częściowo nosem, po czym ruszył śladem pryncypała. Rychło stanęli na drugim piętrze. Drzwi z przekrzywioną, miedzianą siódemką były uchylone. Być może zostawili je niedomknięte żałobnicy, a być może ktoś znajdował się w mieszkaniu. Stanisław Berg nie był pewien, co by w tym momencie wolał. Nie miał wątpliwości, że w owych okolicznościach będzie musiał zapukać albo zawołać, nie sposób bowiem...

- Słucham panów.

W progu lokalu po przeciwnej stronie korytarza stała kobieta słusznej postury. Przybrawszy groźną minę, czekała na odpowiedź. Pierwszy był, niestety, Roch.

- Ale my do tego mieszkania - rzekł z głupia frant, wskazując nieporadnie na drzwi z siódemką.

Stach jęknął tylko, jakby znów zaboląła go zbita przed paroma godzinami kość ogonowa. Jejmość zaś z impetem i przy akompaniamencie szumu sukni i halek ruszyła na intruzów. Minęła ich, by za chwilę zatrzymać się w drzwiach, przez które parę chwil wcześniej wyniesiono ciało.

- Teraz lepiej? - Ujęła się pod boki.

- My do pana Juliusa Beyla - sprecyzował Stach, uchyliwszy z galanterią kapelusza.

Kobieta wykonała zapraszający gest.

- Proszę bardzo, niech wchodzą. Mam tylko nadzieję, że potrafią rozmawiać z duchami.

Kiedy już znaleźli się w przedpokoju, Stach z odpowiednią miną wysłuchał tragicznych wieści. Julius Beyl, co już wiedział z klepsydry, zmarł przed trzema dniami. Zmarł, a nie zginął tragicznie. Stach użył wszystkich znanych sobie sposobów, by wiedzieć to na pewno.

- Cierpiał od dawna, biedaczek. - Jejmość, w której nic już nie zostało z wcześniejszej, budzącej respekt postawy, otarła łzę z zaczerwienionego policzka. - Przez tę chorobę nie mógł już pracować. Pomagałam mu, jak sąsiadka powinna, ale nie na wszystko mogłam poradzić.

- Chodzi pani pewnie o komorne? - wtrącił Stach.

- W rzeczy samej. Nasz gospodarz dobry człowiek, ale gdy ktoś nie płaci... - Skrzywiła usta w podkówkę. - Na szczęście znalazł się taki, co wyciągnął pomocną dłoń do pana Juliusa.

- Kto taki?

- A tego to ja nie wiem. Widziałam tylko, jak przyjeżdżał ładną, dużą karetą. Pewnie na pogrzebie będzie, choć to bardzo zajęty człowiek, więc nie zdziwiłabym się, gdyby się jednak nie pojawił...

Przez cały czas rozmowy detektyw rozglądał się po niewielkim, zaledwie jednopokojowym lokum. Na ścianach zostały tylko jasne plamy po obrazach, półki były puste, szuflady w komódce i szafki

zapewne też. Ktoś, członek rodziny, ów tajemniczy dobroczyńca, a może kamienicznik, na zawsze usunął wszelkie ślady bytności Juliusa Beyla w tym miejscu. Stanisław Berg musiał się spieszyć – i to z co najmniej dwóch powodów: za chwilę miał się rozpocząć pogrzeb nieszczęśnika, a sąsiadka wciąż nie wpadła na to, by zapytać, kim właściwie są i czego tu, do cholery, szukają.

– Proszę mamy! – dobiegł ich dziecięcy głos.

Sąsiadka puściła się pędem w stronę drzwi, widząc coś w głosie dziecka bardzo ją zaniepokoiło. Stach i Ciupa również nie zamierzali dłużej zabawić w tym miejscu.

– Chodu! – zaordynował detektyw.

Roch wziął sobie do serca polecenie, jednak Berg nagle stanął jak wryty. Po chwili złowił pytające spojrzenie pomocnika.

– Zasłona – rzekł, wskazując ruchem głowy na okno.

– I co?

– Gdzieś już ją widziałem.

– Mało to sklepów z takimi rzeczami, panie Berg?!

– Masz rację, przyjacielu. Story można kupić wszędzie, a potem umiejętnie je zawiesić. Jednak człowiek, który wybrał akurat tę, być może sam Julius Beyl, albo nie przywiązywał wagi do tego, co wisi w oknie jego mieszkania, albo wziął to, co mógł.

Zbliżył się do okna, pomacał materiał i mruknął do siebie:

– I pomyśleć, że byłem tak blisko...

16

Po kilku chwilach, ponaglani przez Rocha, który najwidoczniej bał się bardzo ponownego spotkania z sąsiadką, znaleźli się ponownie na ulicy. Dopiero teraz dostrzegli, że przy drzwiach, przyklejona do czarnej, klinkierowej powierzchni, również wisiała klepsydra.

- Stary cmentarz na Tragheimie - upewnił się szybko Stach. - Jedziemy tam.

Niedaleko znajdował się postój dorożek. Udało im się wskoczyć do tej, która właśnie podjeżdżała na zwolnione przed chwilą pierwsze miejsce. Rzuciwszy do fiakra nazwę miejsca, w które mieli się dostać, Berg opadł ciężko na oparcie kanapy.

- Beyl był tylko chłopcem na posyłki, to jasne - rzekł cicho, ale jednocześnie tak, by słyszał go siedzący po prawicy Roch. - Pytanie tylko: czyim. Gdy spojrzymy wstecz, na całą tę dziwną sprawę, jedynym kandydatem wydaje się ów tajemniczy towarzysz trzech młodych kobiet...

- Hrabia Gabriel von Voss? - zapytał Roch, jednocześnie zdając egzamin tak z pamięci, jak i z uważnego słuchania.

- Zgadza się.

Po kilku chwilach ujrzeli większe skupisko bezlistnych już niemal drzew, otoczone murem z czerwonej cegły. Dorożkarz potwierdził, że są już prawie na miejscu. Berg kazał mu się zatrzymać. Zapłacił, wysiedli i resztę drogi do cmentarnej bramy pokonali na piechotę.

Nie czekali długo na rozpoczęcie uroczystości, bo karawan podjechał przed bramę cmentarza na Tragheimie parę chwil wcześniej. Wyglądało na to, że wielebny szybko uwinął się z nabożeństwem; może nawet nie było go wcale. Za czterema żałobnikami w czarnych bikornach, którzy dźwigali trumnę, szły

bowiem łącznie cztery osoby: kobieta, mężczyzna i dwoje nastoletnich dzieci. Nie było wśród nich sąsiadki z naprzeciwka, z którą Stanisław Berg i Ciupa rozmawiali.

Śledzili bardzo skromny kondukt, przemieszczając się między grobami, po obu stronach cmentarnej alei. Dopiero przy świeżo wykopanym dole zjawił się duchowny i zaczął swoją robotę. Między drzewami ponióśł się mocny, melodyjny głos. Kilka osób odwiedzających groby bliskich, na chwilę odrywało się od zamiatania czy układania kwiatów i zwracało twarze w stronę miejsca, gdzie odprawiano celebrę.

Czy jednak wszyscy byli tam z przypadku, czy może ktoś, tak jak Berg, uczestniczył w pożegnaniu zmarłego z ukrycia? Roch pierwszy dostrzegł, że nie byli jedyni. Jako że dzieliła ich odległość kilkunastu kroków, mógł liczyć tylko na to, że detektyw spojrzy w jego kierunku. Kiedy tak się stało, skinął głową w lewo.

- Mam cię - mruknął Stach, ruszając w stronę dobrze ubranego, niestarego mężczyzny, który schowany za wielkim krzyżem, obserwował pochówek.

Człowiek, którego w tej chwili nie spuszczał z oka Stanisław Berg i Roch Ciupa, był pewien, że solidny, kamienny nagrobek i stare drzewo będą w stanie zapewnić mu bezpieczeństwo, anonimowe uczestnictwo w pogrzebie. Obserwując innych z ukrycia, nie zdawał sobie jednak sprawy, że sam jest obserwowany!

No, jeszcze chwila, zajączku - zaśmiał się w duchu Stach, skradając się w stronę mężczyzny; w tej samej chwili ksiądz nad grobem zaintonował jakąś żałobną pieśń.

Berg cieszył się, że z Rochem znów rozumieli się bez słów. Nie to, że nie zaboląły go ostatnie historie. Nigdy jednak nie chował długo urazy, a tym bardziej nie wtedy, gdy miał robotę do wykonania.

Ledwo o tym pomyślał, rozległ się trzask rozbijanego szkła.

- Cholera! - zaklął Ciupa, bo to on strącił z grobowca wazon.

Wystarczyło, by spłoszyć zwierzynę. Mężczyzna w mgnieniu oka odwrócił się i skierował kroki w stronę wyjścia, podobnie jak oni

kluczając między grobami.

- Stój! - zawołał Ciupa.

Jak łatwo było się domyśleć, ktoś, kto z jakichś powodów nie chciał podejść do grobu, by pożegnać znajomego człowieka, teraz nie miał najmniejszego zamiaru uczynić zadość żądaniu nie wiadomo kogo. Mężczyzna raz tylko obejrzał się przez ramię, wyskoczył spomiędzy grobów na ścieżkę i zaczął nią biec ile sił w nogach.

Berg, starając się nie zgubić tamtego ani nie dokonać szkód jak Roch, wpadł w alejkę pomiędzy dwoma rzędami jednakowych, niskich, prawdopodobnie żołnierskich krzyży. Żwir zachrząścił pod podeszwami. Było już widać bramę cmentarza. Uciekinier miał nad nimi kilka sekund przewagi, więc jeśli na ulicy błyskawicznie złapałby fiakra, udałoby mu się umknąć. Nagle rozległ się pojedynczy krzyk, a potem głucho uderzenie.

- Mam cię! - wydyszał Roch.

- Nie bijcie! - Leżący na środku alejki mężczyzna podciągnął kolana pod brodę i ukrył głowę w rękach, jakby rzeczywiście spodziewał się ciosu albo, co gorsza, kopniaka.

- Spokojnie - rzekł Stach, zbliżywszy się. - Nikt nie będzie pana bił. I proszę wstać.

Jednak leżący nie ruszał się.

- Słyszałeś, co pan powiedział? - fuknął gniewnie Ciupa, któremu udało się już co prawda zapanować nad sapką, ale z nerwami było gorzej. Pobrano z exsites.pl

Stał nad mężczyzną na szeroko rozstawionych nogach, jakby rzeczywiście za chwilę miał mu przydeptać głowę butem. Nic więc dziwnego, że uciekinier skulił się jeszcze bardziej. Spomiędzy palców, które zakrywały twarz, błysnęły białka przerażonych oczu. Stach odsunął pomagiera, wsparty na lasce kucnął obok i powiedział najłagodniejszym tonem, na jaki było go w tym momencie stać:

- Powtarzam: nie chcemy zrobić panu krzywdy.

- Proszę...

- Chcemy tylko wiedzieć, dlaczego pan uciekał. A także obserwował pan pogrzeb Juliusa Beyla z ukrycia, panie von Voss...

Nad ostatnimi słowami, które padły z jego ust, nie zapanował. Myśl bezwiednie zamieniła się w słowo. Ale stało się. Sekundę później leżący na środku alejki, dobrze ubrany mężczyzna drgnął. Uniósł głowę i spojrzał na rozmówcę.

- Ale ja nie jestem von Voss - powiedział, a w jego głosie wyraźną nutę zagrała ulga. - To jakaś pomyłka, proszę pana.

Roch Ciupa zagulgotał gniewnie, ale zaraz zmiarkował się pod spojrzeniem detektywa.

- Kim pan w takim razie jest i dlaczego się pan ukrywał? - zapytał cierpliwie Berg.

Mężczyzna, najwyraźniej pewny, że w istocie zaszło jakieś nieporozumienie i nic mu już ze strony tych ludzi nie grozi, jął gramolić się z ziemi. Starannie otrzepał dłonie z ziarenek piasku.

- Moje nazwisko nic panu nie powie - wciąż używał liczby pojedynczej, z rozmysłem ignorując olbrzymiego gburą. - I, proszę mi wierzyć, wolałbym być w tym momencie przy Juliusie. Wiem jednak, że moja obecność na pogrzebie nie spodobałaby się jego bliskim. Tuszę, że wie pan, co mam na myśli...

Stach chrząknął i rzekł niegłośnie:

- Chyba wiem. I mam nadzieję, że dalej będzie pan ze mną tak szczery.

- To znaczy?

- Oczekuję, że powie pan, dla kogo pracował Julius Beyl.

17

Ceremonia pogrzebowa zakończyła się przed drugą po południu. Wracając cmentarną aleją w stronę wyjścia, myślał o tym, którego właśnie, choć z pewnej odległości, ukryty za pniem grubego dębu, pożegnał był na zawsze. O Juliusie Beylu. Nie znali się zbyt dobrze, ot, kilka rozmów, które odbyli, by współpraca między nimi należycie się układała. Nie lubił dewiantów. Beyl najprawdopodobniej zdawał sobie sprawę z tego, co pryncypał myślał o nim i jego wieloletnim przyjacielu. Nigdy wszak nie doprowadził do sytuacji, by ci dwaj się spotkali, a pytany o stan kawalerski, zawsze tłumaczył się niemożnością znalezienia odpowiedniej kobiety.

- Tego kwiatu jest pół świata! - mruknął pod nosem słowa, które Beyl zawsze wtedy z uśmiechem powtarzał.

Zatrzymał się przed bramą starego cmentarza na Tragheimie w oczekiwaniu, aż nadjedzie jego powóz. Kiedy minutę później zatrzasnął za sobą drzwiczki, jego myśli znów pofrunęły w kierunku minionych dni. Julius Beyl, którego wyciągnął z kabały, potrafił pracować szybko i skutecznie. Kiedy było trzeba, umiał być twardy, wręcz odpychający. Nawet głos wówczas zmieniał. No i nic go już nie rozpraszało, bo kochaś zniknął, gdy tylko dowiedział się, że Beyl miał poważne kłopoty finansowe. Wpadł w nie, kiedy zaciągnął lichwiarski kredyt w firmie Timo Amber-Gold. Co prawda kiedy Julius szczęśliwie z nich wyszedł, wrócił z podwiniętym ogonem, tylko po to, by jakiś czas później ponownie dać drapaka. Okazało się bowiem, że Beyl jest śmiertelnie chory i zostało mu zaledwie kilka tygodni życia.

Zanim umarł, odpracował swój dług. Był na każde skinienie. To on zanosił osobiście ogłoszenia do redakcji „Königer Zeitung”, a potem sprawdzał, kto odpowie na to jedno, najważniejsze, aż zrobił to ten

wścibski Polak. To także dzięki Juliusowi udało się wcześniej wyciągnąć Evę Peters z rąk Vladasa Smetony, który oficjalnie handlował tkaninami, a tak naprawę wraz z całą szajką sprzedawał młode kobiety do domów publicznych w Ameryce Południowej. To wreszcie szemranym znajomościom Beyla można było zawdzięczać odnalezienie Moniki Krautter, która uciekła w nocy z mansardy, a potem próbowała się zabić, skacząc z mostu do rzeki. Była to zresztą jego ostatnia sprawa, bo umarł ledwo kilka godzin po tym, jak panna Krautter ponownie znalazła się po opiekuńczych skrzydłami jego pryncypała.

Ech, dobry Julius. Co ja bez ciebie teraz zrobię, stary pedale? – pomyślał i jakaś rzewność chwyciła go za gardło.

Kurwa, i co ja bez ciebie zrobię? – powtórzył już w zupełnie innym tonie, gdy nieco ponad kwadrans później wszedł do wspomnianego mieszkania. Był pewien, że zastanie w nim Monikę śpiącą na otomanie, niechby i w nowo zakupionej sukni, otumanioną silnymi lekami, które osobiście jej podał. Ale nie. Nie miał jednak czasu ani na to, by dać upust złości, ani tym bardziej na to, by znów szukać dziewczyny. Spojrzał na zegar wiszący na ścianie największego pokoju mansardy. Otworzył szafę i sięgnął po wiszące w niej jedyne męskie ubranie. Elegancki frak.

18

Kiedy Stanisław Berg chwilę po przekroczeniu progu swego biura zastał w nim państwa Krautterów, tylko prychnął. Nie było to zbyt profesjonalne, ale przecież ludzi tych mógł traktować już niemal jak bliską rodzinę, a przy takowej człowiek ma prawo sobie pofolgować, prawda?

- To kogo tym razem szukamy, mili państwo? - Zdjął paljowe rękawiczki od Sandelowsky'ego i zatarł znacząco dłonie.

- Dzień dobry - przywitała się kobieta.

- Syna kuzyna? A może psa? - Stach bez litości sypał sól w otwartą ranę. - Niestety, jeśli chodzi o ten ostatni przypadek, radziłbym się udać do hycla. Ja, niestety, nie mam w tym względzie praktyki.

Kobieta podniosła chustkę do oczu. Stach czuł, że ludzi tych nie sprowadziła tu bynajmniej potrzeba uregulowania rachunku za wcześniejszą usługę, tylko jakiś nowy ambaras. Nie mógł się jednak powstrzymać od złośliwości.

- A może zgubiliście państwo klucze i nie możecie się dostać do swojego mieszkania w Insterburgu, co? Głupie to uczucie, tak stać przed zamkniętymi drzwiami. Coś o tym wiem. Ale nie pomogę. Nie jestem ślusarzem. - Nie wspomniał o komplecie wytrychów Rocha, który pozwalał im wejść do większości zamkniętych na głucho pomieszczeń.

Pan Krautter spoglądał na detektywa bez słowa. Ciężko było cokolwiek wyczytać z jego spojrzenia. Nie było w nim ani złości, ani smutku.

- Proszę, niech państwo wejdą do gabinetu - rzekł wreszcie, mimo że był zmęczony po wydarzeniach, do których doszło na

pogrzebie Beyla, i nie miał zamiaru przyjmować już tego dnia gości. Do czekającego na znak Oskara zaś rzucił: - Trzy.

- Cztery - sprostował Ciupa, który siedział już na zydlu w kuchni i bezceremonialnie zzuwał trzewiki.

Kilka chwil później goście opowiedzieli o człowieku, który wyciągnął Krauttera, urzędnika ratusza w mieście Insterburg, z kłopotów. Chodziło o sprawę zamówień na drewno, a dokładnie to, dlaczego kupiono je akurat tam, gdzie kupiono.

- Przyznaję, wziąłem łapówkę. - Starszy pan stał z czoła kropelki potu. - Ale przecież nie dla siebie, tylko z myślą o jedynej córce. To wszystko dla niej. Chcieliśmy, żeby miała jak najlepszy posag, jak najlepsze życie.

- Nawet za taką cenę? - zapytał Berg.

- Ma pan dzieci? - Krautter odbił piłeczkę.

- Nie.

- To jak pan będzie miał, to pan zobaczy.

- Pewnie tak. Ale na razie to pan ma kłopoty, a nie ja.

Inicjatywę przejęła milcząca dotąd pani Krautter. Łamiącym się głosem opowiedziała o tym, jak człowiek, którego mieli za zbawcę, zniszczył im życie. Całej rodzinie. To wtedy aptekarz Dieter Hahn zerwał zaręczyny, a ten, który naprawdę kochał Monikę, czyli Andreas Beck, pracownik poczty, zniknął.

- Nie chcieliście go, więc zniknął - skwitował bezlitośnie Stach. - Sam bym nie chciał mieć do czynienia z ludźmi, którzy najpierw szcują mnie psami, a potem gdy dobra partia odwraca się plecami, przychodzą po prośbie.

- On również został zastraszony przez tego człowieka - wyjaśnił Krautter. - Niech pan nam uwierzy, to naprawdę niebezpieczny typ, zdolny do wszystkiego. Przez wiele tygodni więził naszą Monikę. Wcześniej też długo ją szantażował. Kilka dni temu uciekła od niego, ale znów ją znalazł i zabrał ze szpitala. Spotkaliśmy go wtedy. Groził, że zabije nasze dziecko, jeśli nie przestaniemy się wtrącać w ich życie...

Stanisław Berg wypił kilka łyków herbaty, pochwalił w duchu Oskara, któremu napar z dnia na dzień wychodził coraz lepiej. Wreszcie, spoglądając w okno, za którym ujrzał pierwsze płatki śniegu, rzekł dziwnie lekkim tonem:

- Rozumiem, że chcielibyście państwo, żebym ja się teraz wtrącił? Dobrze. Proszę mi tylko łaskawie powiedzieć, jak się nazywa ten człowiek.

19

W auli wydziału filozoficznego Albertyny powoli zbierali się goście. Nie byli to jednak studenci ani nawet profesorowie uczelni. Owszem, kilku zaproszono, ale nie miejsce pracy, tytuły czy osiągnięcia były tego przyczyną, ale fakt, że ten i ów znał osobiście bohatera wieczoru. Ten bowiem żegnał się z miastem, w którym mieszkał i pracował przez niemal dwie dekady. Świat pędził do przodu i ludzie, którzy całe życie spędzili w jednym mieście – a kimś takim był przecież sam Immanuel Kant, którego duch z pewnością jeszcze unosił się w tych murach – byli coraz większą rzadkością.

Ktoś, kto mieszkał w niewielkiej wsi, a nie wiązała go z nią jakoś specjalnie ojcowizna, marzył, by przenieść się do pobliskiego miasteczka w rodzaju Gumbinnen czy Braunsberg. Ale już taki, który się tam urodził i któremu było za ciasno w szachownicy ośmiu ulic, chciał uciekać do stolicy rejencji. A co miał począć ktoś, kto poznał już każdy zaułek Königsberga?

- Za Berlin! - wzniósł szampański toast jeden z gości.

Inspektor Franz Winckler, który stał na samym środku pomieszczenia, mimo że jeszcze nie przyszedł czas na toasty, skłonił się uprzejmie. Ogarnął spojrzeniem stoły, przy których mieli zasiąść zaproszeni przez niego goście, uginające się wprost pod ciężarem jedzenia i trunków. Uwagę zwracały potrawy z barwnych bażantów, faszerowane szczupaki czy sprowadzony wprost z Astrachania kawior w srebrnych misach. Wykosztował się inspektor Winckler na przyjęcie, oj, wykosztował. Ale przecież nie co dzień człowiek mógł świętować wymarzony awans i przeprowadzkę do stolicy! Jak to się mówi, chodził, chodził i wychodził.

- Grajcie już! Cisza jak na stypie - fuknął w stronę kwintetu smyczkowego, który miał umilać wieczór gościom.

- Oczywiście, proszę pana. - Mimo że dopiero skończył stroić instrument, pierwszy skrzypek uniósł się z krzesła i uklonił. Winkler nie zwracał już na niego uwagi, zajęty ściskaniem dłoni człowiekowi, który kilka chwil wcześniej wznosił toast za miasto nad Sprewą.

Pod sufit auli popłynął walc An der schönen blauen Donau Johanna Straussa. Gości było coraz więcej, coraz szybciej strzeliste kieliszki z szampańskim znikają z tac trzymany przez markerów stojących przy wejściu.

- W samą porę, bo już mi w gardle zaschło. - Konsul Georg Hoffmann zdjął z okrągłej, srebrnej tacy dwa kieliszki, jeden opróżnił duszkiem i jął rozglądać się po sali w poszukiwaniu znajomych twarzy. W pewnej chwili uśmiechnął się i podniósł wyżej drugi pełny kieliszek. Uśmiech pojawił się również na twarzy stojącego kilkanaście kroków dalej kolegi konsula, Joachima Steinhoffa. Ten z kolei upił łyczek niewielki, by zaraz łokciem tej samej ręki, w której trzymał szkło, trącić stojącego obok Mesuta Çetina i mruknąć:

- Widziałeś go? Ledwo żonę pogonił z pomocą naszego przyjaciela Berga, a już rozgląda się za nową.

- Szkoda, że twoja nie mogła przyjść... - rzekł na to turecki kupiec

- Cóż, grypa nie wybiera. Z drugiej strony nie jestem pewien, czy czułaby się dobrze w tym towarzystwie. Sami nudziarze.

- Nie da się ukryć - westchnął Mesut. - Sam nie wiem, czy długo tu zabawię.

- Mam nadzieję, że nie zostawisz mnie samego.

- A co? Czyżbyś bał się o swoją skórę? Jestem pewien, że nie ma w tej chwili bezpieczniejszego miejsca w Königsbergu. Większość zaproszonych to przecież policjanci...

- Po prostu chciałbym się w spokoju napić, skoro już udało mi się wyjść z domu.

Mesut Çetin uśmiechnął się i rzekł kilka słów po turecku. Zdawał sobie doskonale sprawę, że jako osoba, której religia zabrania spożywania alkoholu, jest odpowiedzialny za to, żeby ten człowiek wrócił swym broughamem do domu, najlepiej w jednym kawałku. Byli ze Steinhoffem partnerami w interesach, a Mesuta w domu konsula traktowano, mimo wielu różnic kulturowych czy religijnych, jak członka rodziny.

- A co sądzisz, drogi Joachimie, o nowej miłości bohatera wieczoru? - zapytał po dłuższej chwili milczenia Turek, wskazując dyskretnym ruchem głowy na Franza Wincklera.

W istocie, u boku inspektora, który właśnie zajmował należne mu miejsce przy stole, pojawiła się młoda, blondwłosa osóbka. Ponieważ w towarzystwie nie było osób przypadkowych, wiedziano więc bardzo dobrze, kim była. Jakiś czas temu Franz Winckler rozwiódł się dyskretnie. Żona wyjechała z miasta, jak plotkowano, do rodzinnej Bawarii. Długo nie pozostał sam, choć był to chyba pierwszy przypadek, kiedy z nową narzeczoną występował oficjalnie.

- Nie ma co, chwyciła Pana Boga za nogi - ocenił Steinhoff. - Zaraz wyjedzie ze starym do Berlina, to wreszcie pożyje.

- A co sądzisz o tej parze, drogi Joachimie? - Turek przeniósł wzrok nieco w lewo.

- Masz na myśli doktora Johanna C. Webera?

- Nie miałem jeszcze przyjemności poznać, ale skoro tak mówisz.

- Tak, to on. Nieszczęśliwy człowiek. Niedawno zmarła mu żona.

Przerwali, bowiem pojawił się przy nich młodzieńki marker i wskazał miejsca za stołem. Niemal wszystkie były już zajęte. Ktoś dyszkantem wznosił toast za zdrowie i pomyślność gospodarza, jakaś pani śmiała się perliście. Kwintet zaczynał kolejny utwór. Tym razem znawcy rozpoznali bez trudu Opowieści Lasku Wiedeńskiego.

Zająwszy miejsca, Mesut Çetin i Joachim Steinhoff przyciszonymi głosami powrócili do przerwanej rozmowy.

- Czyli pan Weber przyszedł z matką - mruknął Çetin.

Niestety, nawet i to stwierdzenie okazało się zbyt głośne – nie odpowiedział bowiem na nie Steinhoff, ale siedzący po drugiej stronie obcy mężczyzna w średnim wieku.

– Matką?! – parsknął. – To przecież jego nowa narzeczona.

– Taka stara? – bąknął Steinhoff.

– Co z tego, że stara? Ale za to jaka bogata! Szybko się pocieszył pan Johann, nie ma co. Ale przynajmniej swoim gustom pozostał wierny.

Wszyscy trzej zaśmiali się gromko, a po chwili dołączyli do nich goście siedzący po sąsiedzku, najwyraźniej przekonani, że przyszedł czas na opowiadanie zabawnych dykteryjek, a może nawet, zważywszy na męską większość, koszarowe dowcipy, które zawsze były najlepsze. Ale oto bowiem za biesiadnikami pojawili się kelnerzy w czarnych, dwurzędowych kurtach, a każdy z tacą, na której ustawiono talerze z parującymi daniami.

Rozpoczęły się też przemowy na cześć inspektora. Jedni przekonywali, że człowiek ten zostawiał Königsberg najbezpieczniejszym, jaki kiedykolwiek był, a drudzy w to wątpili, zastanawiając się, czy hydra nie da o sobie znać, skoro zabraknie jedyne go człowieka, który trzymał ją w ryzach. Jeszcze inni, podejmując ten tok rozumowania, nawoływali do wspólnej walki przeciwko bezprawiu. Każdego z mówców nagradzano jednakowo mocnymi brawami, Winckler kłaniał się na prawo i lewo, jego nowa towarzyszka życia pęczniała wprost z dumy, a kwintet, wierny jednemu kompozytorowi, niezmordowanie grał utwory z Barona cygańskiego.

– Zdrowie! – zakrzyknął sąsiad Mesuta i Joachima, ten sam, który wcześniej opowiadał im o gustach doktora Webera.

20

Mesut Çetin, jak już wspominaliśmy, był muzułmaninem i nie brał do ust alkoholu również na przyjęciu pożegnalnym inspektora Franza Wincklera. Może właśnie dzięki temu o wypadkach, do których doszło około jedenastej w nocy, opowiadał logicznie, językiem jasnym i zrozumiałym. Nie każdy by to chyba potrafił, zarówno z uwagi na późną porę, zbliżała się już bowiem pierwsza w nocy, jak i stan umysłu, a przede wszystkim wagę wydarzeń.

Siedzieli we trzech w gabinecie Stanisława Berga. Pod drzwiami podsłuchiwali Roch Ciupa i Oskar Radtke.

- To się stało - relacjonował Turek - kiedy goście zaczęli podchodzić do Wincklera, żeby osobiście do niego przepić, pogratulować awansu, i upewnić się, że nie zapomni o nich, gdy dotrze do Berlina.

- Hołota! - czknął Joachim Steinhoff, który leżał w głębokim fotelu z przymkniętymi powiekami.

Patrząc na konsula, można było odnieść wrażenie, że nic ważnego na wspomnianym przyjęciu nie zaszło.

- W pewnej chwili jak nie huknie! - opowiadał ze swadą Mesut. - Najpierw pomyśleliśmy, że ktoś otworzył kolejne wino. Zaraz jednak rozległ się krzyk kobiet, trzasnęło krzesło. Wstałem od stołu i pobiegłem w stronę zbiegowiska. Ludzie pochylali się nad jakimś mężczyzną, który trzymał się za krwawiące ramię. Jeszcze przez sekundę wierzyłem, że przez nieostrożność zrobił sobie krzywdę ostrym sztucem.

- Hołota...

- Póki znów nie rozległ się huk. Wtedy na własne oczy ujrzałem rozpryskujący się talerz z sałatką ziemniaczaną - dokończył ze

spokojem Mesut Çetin.

- S-sałatki szkoda... - powiedział Joachim, by po chwili dodać głosem zadziwiająco trzeźwym, choć oczy wciąż miał zamknięte. - Ktoś strzelał z góry, przez jedno z małych okienek pod sufitem...

- Z góry? - powtórzył Berg i zmarszczył czoło.

- Tak. Ale towarzystwo uświadomiło to sobie dopiero wtedy, gdy trzecia kula rozbiła butelkę i czerwone wino trysnęło jak... najprawdziwsza krew.

Stanisław Berg spojrział na biurko. Leżały tam notatki, których przeglądanie przerwało mu wtargnięcie przyjaciół. W pierwszej chwili był pewien, że będą próbowali go ze sobą wyciągnąć; konsul był wstawiony i hałaśliwy. Ale potem Berg zobaczył twarz Mesuta i już wiedział, że coś się wydarzyło.

- Hołota - podsumował Joachim.

Heroldowie złych wieści zakończyli swoją opowieść. Berg wyprostował się na swoim miejscu.

- Rozumiem, że sprawca został schwytany - Stach spojrział najpierw na konsula, a potem na jego tureckiego współnika.

- Oczywiście, że nie! - parsknął Mesut. - Owszem, od razu kilku ludzi wybiegło z auli, aby dostać się na dach, skąd strzelano, ale wrócili z niczym. Zdawałoby się, że piliśmy w najbezpieczniejszym miejscu w tym mieście, a tutaj takie rzeczy...

- Winckler co prawda uspokajał, że nic się nie stało, a rana tego człowieka jest powierzchowna, ale towarzystwo od razu zaczęło topnieć - uzupełnił konsul.

Stach wstał zza biurka i zrobił kilka kroków w stronę drzwi gabinetu. Usłyszał jakieś szepty i dźwięk dwóch par nóg, większych i mniejszych, oddalających się w pośpiechu. Uśmiechnął się mimowolnie, ale szybko spoważniał. Nie podobna było przecież nie połączyć opowieści Steinhoffa i Çetina, z tym, co spotkało go w miejscu, w które zwabił go nadawca ogłoszenia w „Königer Zeitung”.

Kto tym razem był celem? Do kogo strzelano? – zastanawiał się Berg.

Odwrócił się, a wtedy napotkał pytające spojrzenia gości.

– Czego właściwie ode mnie oczekujecie? – zapytał.

Turek tylko wzruszył ramionami, podczas gdy Joachim Steinhoff ponownie zamknął oczy i dotknął potylicą miękkiego oparcia fotela. Stanisław Berg potarł czoło dłonią, choć nie był to wyraz zakłopotania. Nie, nie tracił rezonu. Splótł ręce na piersiach.

– Zadam w takim razie inne pytanie, moi panowie. Jak myślicie, o kogo mogło chodzić człowiekowi, który tego wieczora na dachu auli wydziału filozoficznego pociągał za spust? O mężczyznę czy kobietę? A może mężczyznę, któremu towarzyszyła kobieta?

W tej samej chwili za plecami Stacha skrzypnęły drzwi. Zanim zdążył się odwrócić, usłyszał męski, znajomy głos:

– Chodziło prawdopodobnie o mojego chlebodawcę, panie Berg.

21

Tej nocy inspektor Franz Winckler niemal nie zmrużył oka. Stało się tak co najmniej z dwóch powodów. Przede wszystkim myślał o czekającej go podróży. Schnellzug do Berlina odchodził co prawda dopiero o dziewiątej z minutami, a policjant, zapobiegliwy do granic, był od dawna spakowany. W westybulu mieszkania czekały dwa sakwojaże, dwa solidne kufry i kilka podłużnych futerałów. Pomieściły się w nich wszystkie rzeczy Franza i jego narzeczonej Ingrid, niezbędne do przeżycia w stolicy przez pierwszy miesiąc, może nawet pięć tygodni (potem zamierzano przewieźć resztę, aby urządzić mieszkanie). Wystarczyło więc wszystko zapakować do powozu i jechać, by następnie na stacji nadać bagaż.

Radość z wyjazdu i rozpoczęcia nowego etapu w życiu, wymarzonego awansu i zmiany otoczenia mąciły jednak – i to był ten drugi powód – wydarzenia, do których doszło w auli. Mimo że skończyło się tylko na lekkiej ranie jednego z zaproszonych i potłuczonej zastawie stołowej (którą zresztą natychmiast uprzątnięto), gospodarz wieczoru nie zdołał zapanować nad gośćmi. Dwoił się i troił, tłumacząc, że to najprawdopodobniej głupi kawał pijanych studentów, złorzecząc im przy okazji i obiecując ciężkie więzienie dla każdego, kto choćby tylko wiedział o tych planach. Ale ludzie i tak zaczęli opuszczać salę. Pozostała tylko garstka najwierniejszych, głównie kolegów z policji. Ale i ci wkrótce zaczęli popatrywać na zegarki. Tylko kwintet smyczkowy niezmordowanie grał dalej, a markerzy obsługiwali najwytrwalszych, bo nie mieli nic do gadania. Poza tym Winckler obiecał zapłacić im dopiero po wykonaniu pracy...

Przyjęcie ostatecznie zakończyło się o pierwszej w nocy. Inspektor wraz z Ingrid wrócili do domu. Dopiero wtedy, siedząc w piżamie w głębokim fotelu, otoczony ciemnością, Winckler zaczął się zastanawiać nad tym, co się wydarzyło. Nie musiał już kłamać o pijanych żakach. To oczywiste, że miała miejsce próba zamachu. I to on, jeden z najważniejszych policjantów w tym mieście, był celem ataku.

Mało to razy naraziłem się innym – zastanawiał się. Mało przestępców wsadziłem? Przecież i z za krat można dokonać zemsty. Do tego tak przemyślane okoliczności i czas. Tylko kto to zrobił? Kto?! Pytania te nie pozwoliły zasnąć Wincklerowi. Mimo że czuł piasek w oczach i bolała go głowa, z ulgą powitał światło poranka.

– Herbata, szybko! Przygotujcie ubranie. Gdzie są moje buty? – strofował służących.

Zaraz gdy wstał, kazał wezwać dwóch najbardziej zaufanych podwładnych, czyli Schulza i Tyla, by towarzyszyli jemu i Ingrid w drodze na dworzec. Zamachowiec mógł przecież zaatakować ponownie. Policjanci, mimo że nie uczestniczyli w przyjęciu, już o sprawie słyszeli. Nie mogło być inaczej. Zameldowali się na progu mieszkania punktualnie o siódmej.

– Dobrze, że jesteście – ucieszył się Winckler. – Zaraz podadzą coś do picia.

Po chwili obaj policjanci siedzieli w milczeniu w salonie byłego już właściwie szefa i grzali dłonie filizankami z gorącą herbatą. Ktoś ze służby zameldował, że powóz jest na miejscu. Zaczęto wnosić bagaże.

– Siedź! – syknął Schulz, widząc, jak nowy wyrywa się, by pomóc w dźwiganiu.

– Ale że co?

– To, że nie twoja dola.

Od tamtej sprawy z ciałem Weberowej policjanci byli w coraz lepszej komitywie, a przeniesienie z miasta Elbing policjanta nazwiskiem Platzek też nie znalazło szczęśliwego zakończenia. Tyl

posłuchał więc starszego kolegi. Usiadł znów w fotelu i dalej sączył herbatkę. Potem pojawił się Winckler. Przez chwilę w napięciu rozglądał się po salonie.

- Wszystko gotowe. Możemy jechać, panowie - zaordynował wreszcie, zacierając z zadowoleniem dłonie.

Ledwo Tyl i Schulz wstali w foteli, służąca narzuciła na nie płócienne pokrowce. Na policjantów spoglądała niezbyt przyjaźnie, może nawet nienawistnie. Zresztą na wszystkich trzech.

- Pracowała u mnie prawie dwadzieścia lat, a teraz ma za złe, że nie zabieram jej ze sobą do Berlina - wytłumaczył inspektor, kiedy znaleźli się na klatce schodowej.

- Nie pasowałyby tam - skwitował Klaus Tyl.

- W rzeczy samej - zgodził się Winckler i odchrząknął. - A teraz, panowie, niech Bóg będzie dla nas łaskawy. Wiecie, co się wydarzyło tej nocy. Obawiam się, że sprawcom chodziło o mnie i że mogą spróbować jeszcze raz. Dlatego miejcie broń w pogotowiu, a oczy i uszy otwarte...

Tak jak ty kieszeń, stary kapciu - pomyślał Schulz, któremu coraz mniej podobała się ta sytuacja.

Wyszli na ulicę. Wincklera zdziwił, a jednocześnie ucieszył ten widok: bruk ulic, chodniki, gazony i dachy przybudówek - wszystko było pokryte grubą na cal warstwą białego puchu. Śnieg musiał zacząć padać po tym, jak inspektor i jego narzeczona wrócili do domu.

- Ciekawe, czy w Berlinie też już leży śnieg - zastanawiał się głośno.

- Chyba nie - odpowiedział Schulz. - Wyjeżdża pan w samą porę.

- Dobrze, że popadało, bo mróz ścisnął już dwa dni temu - dodał Tyl. - Staw Zamkowy zamarznął prawie cały...

Ani Schulz, ani tym bardziej Winckler nijak nie skomentowali tych rewelacji. Powóz z bagażami, a także Ingrid (na pomysł, by się dla bezpieczeństwa rozdzielić, Franz Winckler wpadł jeszcze w nocy),

właśnie odjeżdżał w kierunku dworca. Na szczęście berlina inspektora już wyłaniała się zza rogu.

22

Śniło mu się, że ma żonę. Była nią poznana przed paroma tygodniami nad morzem Ursula Dietrich. Siedzieli w jakimś pokoju i pili herbatę. W pewnym momencie wstał z fotela i udał się do kuchni, gdzie spotkał... Leni Kastner, córkę konsula. Krzątała się przy kuchennym stole. Nic nie mówiła, ale skądś wiedział, że ona też jest jego żoną! Ale najgorsze miało dopiero nadejść. Kiedy bowiem z kuchni przeszedł do sypialni, ujrzał leżącą w łóżku... Agnes! Choć dziewczynka była przykryta kołdrą po szyję, był pewny, że jest naga! Wtedy obudził się z krzykiem...

Nic dziwnego, że rano Stanisław Berg czuł się podobnie jak Franz Winckler – niewyspany i zły. Na domiar złego rozboleła go dawna rana od noża, ta pod żebrami. Rola, którą detektyw miał tego dnia do odegrania, była bliźniaczo podobna do tej, którą odgrywali Tyl i Schulz. Inny człowiek, który obawiał się o swoje życie, tego mroźnego ranka również wyjeżdżał z Königsberga pociągiem. Również z kobietą. Mało tego! Podobnie jak Winckler był przekonany, że to do niego strzelano tej nocy!

Człowiek ów przysłał po Berga w środku nocy swojego najbliższego współpracownika. Był to ten sam Kosinski, który kilka dni temu wyciągnął Stacha z więzienia, a potem radził, by detektyw dla własnego dobra wyjechał z miasta. Ciekawe, czy pamiętał to, co wtedy powiedział, kiedy wynajmował detektywa na życzenie swojego zwierzchnika, doktora Johanna C. Webera.

- Nie ma nic za darmo – mruknął pod nosem Stach, zgarniając śnieg z poręczy balustrady ogradzającej rzekę od nabrzeża Kai.

On również przywitał tę zmianę z radością. Pierwszy śnieg zawsze przywodził mu na myśl lata dzieciństwa. Cóż to była za radość

rzucać śnieżkami, lepić z rówieśnikami bałwana czy ślizgać się po zamrożonym stawie. Berg wychylił się bardziej, aby sprawdzić, czy Pregel ściał lód przynajmniej przy brzegu. Nie zdążył jednak niczego dostrzec, gdyż zaraz jego uszu dobiegł stukot kopyt. Odwrócił się i ujrzał zbliżający się od strony południowej duży powóz. Zdążył już trochę poznać tę część Königsberga, wiedział więc, że w niedzielę o tej porze ruch w tym miejscu był znikomy, jeśli nie żaden. Gdy powóz zaczął zwalniać, zrozumiał, że za chwilę rozpocznie się jego misja. Bardzo dziwna misja.

- Dzień dobry! - Uchylił kapelusza, ujrawszy w otwartych drzwiach Kosinskiego.

Pojazd jeszcze się toczył, gdy prawnik wyskoczył na ulicę. Trzymając w rękach myśliwską flintę, rozglądał się na boki. Wreszcie rzucił do Stacha:

- Proszę wsiadać!

Johann C. Weber siedział wtulony w kąt kanapy. Nogi otulał mu kraciasty pled. Prawnika chyba drzemał, bo nijak nie zareagował na pojawienie się nowego pasażera. Dopiero gdy Kosinski zatrzasnął drzwiczki i stuknął kolbą flinty o podłogę, a stangret zawołał na konie, odezwał się, chociaż oczu nie otworzył:

- Dziękuję, że zgodził się pan mi towarzyszyć, panie Berg.

- To moja praca - odrzekł sucho Stach.

- Rozumiem, że ma pan broń.

- Oczywiście.

- To dobrze. Proszę jej użyć bez wahania. Zaręczam panu, że człowiek, który chce mnie zabić, zrobi to bez chwili namysłu, gdy tylko będzie miał do tego sposobność. Po tym, co wydarzyło się w nocy, spodziewam się, że atak może nastąpić w każdej chwili. Powtarzam więc: proszę nacisnąć spust, jeśli tylko uzna pan, że coś jest nie tak. O konsekwencje proszę się nie martwić, wszak już się pan przekonał, że moja kancelaria jest bardzo skuteczna.

- Zgadza się. Pański pracownik rzeczywiście wybawił mnie wtedy z kłopotu. Niech mi będzie wolno jeszcze raz podziękować panu za

pomoc. – Berg skłonił się oszczędnie, nie był to przecież właściwy moment na wylewność.

– To nasza praca.

– Chciałem to zrobić już wcześniej, telefonicznie, ale połączenie zostało przerwane... Wciąż nie mogę się przekonać do tego wynalazku. Tak czy owak, jestem wdzięczny.

– Najlepiej będzie, jeśli podziękujemy sobie na stacji końcowej – skwitował Weber, najwyraźniej uważając sprawę za zamkniętą.

Detektyw był innego zdania. Przeniósł pytające spojrzenie na Kosinskiego, ten zaś tylko uśmiechnął się niewinnie.

– Nie mówiłem panu, że jedziemy do Wöterkeim?

Stach spojrział za okno. Powóz opuścił już Kneiphöfische Langgasse i wjeżdżał na Zielony Most. Sekundę później minął się z niemal pustym tramwajem jadącym z Dworca Wschodniego.

– Mam nadzieję, że nie będę zbyt wścibski, jeśli zapytam o pańską żonę – odezwał się po chwili. – Pan Kosinski mówił, że...

– Moja żona nie żyje – przerwał mu Weber. – Zmarła przed paroma tygodniami. A kobieta, o której pan myśli i o której wspomniał mój pracownik, to moja narzeczona, Angela von Brill. Będzie oczekiwała nas w przedziale. Udajemy się do jej rodzinnego majątku w Wöterkeim. Tam z pewnością będziemy bezpieczni.

– Rozumiem.

Po kilku minutach Kosinski otworzył drzwiczki powozu.

– Jesteśmy na miejscu – rzucił przez ramię, po czym tak samo jak przed kamienicą Berga wyskoczył na ulicę z podniesioną bronią.

– Pan niech się rozejrzy z drugiej strony – komenderował Weber.

Stach upewnił się, że colt był na swoim miejscu i wykonał polecenie. Rozejrzył się dookoła. Plac przed Dworcem Wschodnim wyglądał jak zawsze, gdy Stach wyjeżdżał z miasta, podążając za tropami. I tamtego dnia, kiedy próbował opuścić Königsberg na zawsze. Wszystko wydawało się Bergowi jaśniejsze. I to nie tylko dzięki temu, że wszędzie leżał śnieg.

W pewnej chwili wzrok detektywa zatrzymał się na mężczyźnie, który energicznym krokiem szedł w kierunku głównego wejścia dworca.

- To przecież niemożliwe...

Nie odrywał jednak wzroku od postaci, która wydała mu się znajoma. Aż oczy zaczęły mu łzawić.

Przytomność wróciła mu wraz z głosem Kosinskiego.

- Może pan wyjść, panie Weber.

Powóz zakołysał się i po chwili prawnik również stanął na chodniku. Dopiero teraz Stach mógł obejrzeć tego człowieka w pełnej krasie. Był wysoki i przystojny, ubrany w wytworne długie futro, na głowie miał podobną czapkę. W rękach trzymał laskę i sakwojaż.

- Idziemy - rzucił do obstawy.

- Pan pierwszy. - Kosinski spojrział na Stacha.

Szybko dotarli do hali dworca. Zapowiadano już odjazdy pociągów do Berlina i Allenstein. Stach pomyślał w tym momencie o Wincklerze, którego czekała podróż do stolicy. Czy to dzisiaj? Było mało prawdopodobne, by inspektor zdołał się pozbierać po takiej nocy. A może przeciwnie, tak jak Weber, będzie próbował jak najszybciej opuścić miasto, uciec przed plotkami, domysłami, a może nawet śledztwem? Odpowiedź poznał po chwili: były szef wydziału zabójstw kroczył dumnie przez halę, obok niego zaś, sprawiający wrażenie zawstydzonych, Klaus Tyl i stary znajomy Schulz.

- Dlaczego pan się zatrzymał? - Detektyw usłyszał za plecami szept prawnika, ale po chwili Weber sam sobie udzielił odpowiedzi. - A, to Winckler. Dobrze, dobrze, nie chcemy kłopotów.

Rychło znaleźli się na peronie. Skład już czekał, lokomotywa sapała przed podróżą, słychać było nawoływania bagażowych. Co jakiś czas odzywał się podniesiony głos podróżnego, któremu zazwyczaj odpowiadał spokojny głos konduktora. Skrzypiały kółka wózka, na którym wieziono bagaże. Tłoku nie było, co uniemożliwiało atak z zaskoczenia i strzał z bliskiej odległości. Ułatwiało natomiast atak z daleka. Chociaż sądząc po opowieściach z ubiegłej nocy, można

było domniemywać, że zabójca albo nie był najlepszym strzelcem, albo strzelał tylko na postrach.

- To ten wagon - ogłosił Kosinski i wszyscy trzej weszli do środka, wciąż w tej samej kolejności.

Zaraz usłyszeli podniesione kobiece głosy i śmiech. Stachowi przyszło do głowy, że czeka ich wcale miła podróż, szybko jednak odgonił tę myśl. Weber nie wyglądał na człowieka, który pragnął zabawy. Zresztą czekała na niego narzeczona.

Z jednego z przedziałów wychyliła się uśmiechnięta od ucha do ucha pani mocno po czterdziestce.

- Tutaj, Johann! - zawołała i wesoło pomachała ręką.

Okazało się, że kobieta postanowiła skrócić sobie czas oczekiwania i wdała się w rozmowę z przypadkowymi pasażerkami. Pozostawało pytanie, czy to ona dosiadła się do nich, czy one do niej, a jeśli to drugie, to czy Weber zaraz każe im się stamtąd wynosić.

O tym właśnie myślał Stanisław Berg, przemierzając się niezbyt szybko wąskim korytarzem w stronę przedziału, z którego kilka chwil wcześniej wyglądała Angela von Brill. Kiedy stanął przed drzwiami, ujrzał znów twarz narzeczonej Webera. Jej dwie młode towarzyszki, stały w tej chwili plecami do wyjścia i wyglądały przez otwarte okno.

- Dzień dobry - przywitał się Berg, wszedłszy do środka.

Wtedy jedna odwróciła się i nie odpowiedziawszy na pozdrowienia, przesunęła się obok niego. Zdążył ujrzeć jedynie jej profil, a właściwie jego fragment, miała bowiem na głowie staromodny czepek obszyty koronką. Ale że intuicja go nie myliła i była to osoba młoda, tego był pewny. Kobieta sięgnęła na półkę przy drzwiach, gdzie leżał bagaż. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien jej pomóc, ale wtedy do środka wszedł Weber. To wystarczyło, żeby w przedziale zrobiło się ciasno.

- Dobrze, że już jesteś, kochanie - powiedziała von Brill do narzeczonego. - Panie były tak miłe, że dotrzymały mi towarzystwa. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko...

W tej samej chwili Stach ujrzał, jak drzwi przedziału zamykają się gwałtownie, przed samym nosem Kosinskiego, a szczupła dłoń przekręca niewielki motylek na drzwiach, tym samym uniemożliwiając ich otwarcie. Twarz Kosinskiego, zniekształcona przez nierówności szyby, wyrażała zaskoczenie. Ale już twarz kobiety, która zablokowała drzwi – jedynie złość.

- Dobrze, że już jesteś, kochanie! – wycodziła przez zęby.

- Stęskniłyśmy się za tobą, kochanie – dobiegło z przeciwnej strony.

Stach odwrócił się gwałtownie i mało nie krzyknął. Stała przed nim Anna Schmitz we własnej osobie, dziewczyna, którą tamtego dnia spotkał w pociągu. Poczł, jak domyka się niewidzialna kłamra, łącząca te dwa momenty.

- Znów się spotykamy, panie Berg – powiedziała z lekkim półuśmiechem.

- Co pani tutaj robi? – zapytał Stach dziwnie obojętnym tonem.

- To raczej my powinniśmy zapytać, co robi pan w towarzystwie tego człowieka. – Panna Schmitz spojrzła z pogardą na Webera, który zdążył już opaść na kanapę, dokładnie naprzeciwko Angeli von Brill, by następnie przenieść spojrzenie na młodą kobietę stojącą przy drzwiach. – A, przepraszam, zapomniałam przedstawić przyjaciółkę. Proszę poznać Monikę Krautter...

- Miło mi. Rodzice się o panią martwią – rzekł do dziewczyny.

- Czego te panie od ciebie chcą? – zapytała Webera Angela von Brill. Ale trudniejsze pytanie miało dopiero paść. – I dlaczego powiedziały do ciebie „kochanie”?

W tej chwili stojący wciąż za drzwiami Kosinski zaczął szarpać się z drzwiami, a gdy te nie ustąpiły, załomotał w nie pięściami. Monika Krautter, wsunęła prawą dłoń pomiędzy nadgarstek lewej i koronkę rękawa, by po chwili wyciągnąć stamtąd... mały rewolwer.

- Won! – powiedziała, kierując wylot lufy w czoło mężczyzny.

Pracownik Webera ciężko przełknął ślinę; szkło, którym oddzielono go od reszty, nagle przestało być przeszkodą. Kosinski

zniknął.

- O czym to mówiliśmy? - zapytała z uśmiechem, ogarniając wzrokiem siedzących.

- Pani chce wiedzieć, czego chcemy od jej narzeczonego - odpowiedziała jej Anna Schmitz, powolnym ruchem sięgając do torebki, z której wydobyla taki sam rewolwer.

Stach wykonał kilka ruchów głową, jakby śledził lot piłki na tenisowym korcie. Przypomnił sobie, z jakich powodów się tutaj znalazł. Nocna strzelanina w auli Albertyny, broń w rękach kobiet. Napotkał ciężkie spojrzenie Webera, które zadawało się mówić: nie, nie tak miała wyglądać nasza współpraca. Stach był na to przygotowany, ale nie spodziewał się, że rozwiązanie nastąpi tak szybko. I że to nie on wyznaczy czas.

- Pani chce wiedzieć, czego chcemy od jej narzeczonego? - Anna Schmitz spojrzała na sztywną ze strachu arystokratkę i zaśmiała się krótko. - Otóż chcemy od Webera dokładnie tego samego, co pani.

- To znaczy? - jęknęła von Brill.

- Aby dotrzymał danego słowa!

23

Inspektor Franz Winckler zajął miejsce w przedziale obok swojej Ingrid i odetchnął z ulgą. Zarówno podczas drogi na dworzec, jak i na samym dworcu, nic się nie wydarzyło. Zamachowiec albo więc odpuścił, albo nie znalazł dogodnego momentu do ataku.

- Będziemy jeszcze potrzebni, szefie? - W drzwiach przedziału pojawiła się głowa Tyla.

- Nie. To wszystko - odpowiedział inspektor.

Klaus uchylił melonika.

- W takim razie życzę panu spokojnej podróży i wszystkiego dobrego w Berlinie.

- Dziękuję.

Drzwi zamknięto. Winckler, nie wstając, chwycił za rąbek zasłonki i pociągnął ją do siebie. Chyba dopiero teraz poczuł się naprawdę bezpieczny. Już miał otoczyć ramieniem ukochaną, gdy rozległo się pukanie.

Pewnie Tyl chce prosić o rozkaz, by się wysikać - pomyślał Franz Winckler.

Wstał i gwałtownym ruchem odsunął drzwi. Na korytarzu stał konduktor. Był młodziutki i wyglądał na przejętego. Zasalutował sztywno i odezwał się słabym głosem:

- Przepraszam, że panu przeszkadzam, ale coś jest nie tak z pańskim bagażem.

- Co niby? - fuknął stary.

- Nie wiem. Przekazuję tylko wiadomość z wagonu bagażowego. To niedaleko...

- Chwili spokoju! - warknął Winckler, po czym wstał z kanapy i sięgnął po płaszcz.

- Co się stało? - zapytała półprzytomnie Ingrid.
- Przepraszam, kochanie. To nie potrwa długo.

Przeszli przez pół wagonu. Winckler cały czas trzymał rękę za pazuchą, gotów w każdej chwili wyszarpnąć broń. Zaraz za łącznikiem znajdował się wagon trzeciej klasy, z dwoma rzędami ławek i korytarzem pośrodku. Inspektor z niechęcią ogarnął spojrzeniem pasażerów, pociągnął nosem. Wolałby drogę do wagonu bagażowego pokonać peronem. Młody konduktor szedł jednak dalej, więc policjant, chcąc nie chcąc, podążył za nim.

Nie uszedł jednak czterech kroków, gdy nagle z boku usłyszał swoje nazwisko. Zatrzymał się. Był to błąd, bowiem nie mógł już udać, że nie słyszy kolejnych słów.

- Wyjeżdża pan? Tak bez pożegnania? - Siedzący na jednej z ławek mężczyzna złożył na pół płachtę „Königer Zeitung” i uśmiechnął się, wskazując wolne miejsce naprzeciwko. - Niechże pan na chwilę usiądzie, panie Winckler.

- Przepraszam, ale spieszę się, panie Kluge. - Inspektor spojrział w stronę przejścia, ale konduktora, który wywołał go z przedziału, już nie było.

- Wszyscy się spieszymy. Bez ustanku. Człowiek nie ma chwili na zwykłą rozmowę. A przecież tylu złych emocji, ba! nawet konfliktów dałoby się uniknąć, gdyby ludzie zaczęli ze sobą rozmawiać. A wtedy nie musiałbym opisywać tych wszystkich okropieństw w swojej gazecie. - Uderzył wierzchem otwartej dłoni w kilka warstw papieru.

Winckler wyciągnął rękę zza pazuchy, jednak zamiast broni trzymał w niej wielką kraciatą chustkę. Starł pot z czoła. Usiadł na wskazanym miejscu i cicho zapytał:

- Czego pan jeszcze chce?
- Kolejnej raty.
- Co takiego?!
- Uważam, że przysługa, którą panu wyświadczyłem, jest tego warta.

Winckler nerwowo rozejrzał się dokoła. Na sąsiednich ławach drzemali licho ubrani ludzie, wieśniacy, którzy najpewniej opuszczą wagon jeszcze przed granicą prowincji. Tylko on i jego Ingrid, tylko oni we dwoje, przespacerują się jeszcze tego wieczora po dokładnie omiecionej ze śniegu Unter den Linden.

- Skąd ten pomysł, żeby nagabywać mnie w pociągu? W dodatku na chwilę przed wyjazdem...

- A co to za problem? - Kluge rozłożył szeroko ręce, z których jedna wciąż trzymała „Königer Zeitung”. - A może ja też wybieram się w podróż tym pociągiem? Nie pomyślał pan o tym, panie Winckler?

- Ciszej, panie...

- Dlaczego? Jest pan przecież powszechnie znanym i szanowanym obywatelem. Zostawia pan miasto w doskonałym stanie. Tuszę, że jeszcze nigdy nie było tak bezpieczne jak teraz! I powiedziałbym to wszystko wczoraj, na przyjęciu, ale, niestety, nie zostałem na nie zaproszony. Choć może i dobrze, bo doktor zabronił mi pić.

Winckler uśmiechnął się wymuszenie i rzekł:

- Przepraszam pana, redaktorze, ale nie nad wszystkim udało mi się w ostatnim czasie zapanować. A jeśli chodzi o kolejną ratę, to, oczywiście, zostanie niezwłocznie uiszczona. Nawet pan nie wie, jak wielką oddał mi pan przysługę. Ten gówniarz Schatzki, bezczelny karierowicz. Należało ukreścić mu łeb. Należało, bez dwóch zdań! - Zacisnął dłonie w pięści.

Dziennikarz rozprostował gazetę na kolanach, ale nie do końca. Przez chwilę wodził wzrokiem po peticie, jakby nagle stracił zainteresowanie rozmową z siedzącym naprzeciwko człowiekiem. Gazety i książki były w podróży jednak świetnym wybawieniem od głupich i nudnych rozmówców.

- Tak, Schatzki, pamiętam. - Podrapał się po wystającej grdyce. - To rzeczywiście dziwna sprawa, żeby taki zdolny policjant... Nieważne. A wracając do naszej sprawy...

Winckler poczuł, jak nieznośne i lepkie gorąco otacza mu głowę i szyję. Miał wrażenie, że pociąg nagle ruszył i pędzi z oszałamiającą

prędkością, ale nie w kierunku Berlina, jak powinien, ale w kółko, jak dziecięcy karuzel.

- Jak pan pewnie pamięta - ciągnął redaktor Kluge - umawialiśmy się, że opublikujemy kilka artykułów, dzięki którym... z dużym zyskiem sprzeda pan mieszkanie. Co prawda początkowo miałem pewne opory, czy powinniśmy napisać, że mieszkali w nim Immanuel Kant i Napoleon Bonaparte, ale jak to mówią, papier wszystko zniesie. Szczególnie ten, na którym drukowane są gazety...

Inspektor Franz Winckler wstał z miejsca i na sztywnych nogach jął przemieszczać się w kierunku swojego wagonu i przedziału, w którym czekała Ingrid. Człowieka, który sekundę później zastąpił mu drogę, gotów był uderzyć w twarz. Wieśniak pewnie tylko by się oblizal i podziękował.

Ale to nie był wieśniak. Stał przed nim dokładnie ten, którego nazwisko Franz Winckler nieopatrznie wypowiedział głośno kilka chwil wcześniej.

- Co ty tutaj robisz, Schatzki?! - prychnął inspektor.

- Też się cieszę, że pana widzę, szefie - uśmiechnął się Ludwig i lekko się uklonił. - Właściwie powinienem powiedzieć: były szefie. Mieszkam w tej chwili w Tylży, tam gdzie kiedyś służył Klaus Tyl. A że teraz w naszym starym ukochanym Königsbergu strasznie piździ, mój przyjaciel poprosił mnie, abym przywiózł mu trochę ciepłej bielizny...

- Niczego mi nie udowodnisz! - wysyczał Winckler, którego twarz podobna była teraz do indyczego łba.

- Pewnie nie - zgodził się Schatzki. - Ale oni słyszeli, co mieli usłyszeć...

Z ławy stojącej tyłem do tej, którą przed chwilą zajmował inspektor, podniósł się Schulz. Ciężkim wzrokiem, pod którym dotąd kruszeli tylko podejrzani, winni lub nie, spojrzal na przełożonego. Po chwili Winckler poczuł za sobą czyjąś obecność. Nie musiał się odwracać. Wystarczyła woń cebuli, by utwierdził się w przekonaniu, że to Klaus Tyl, któremu opowieść Adalberta Langego usłyszana

późną nocą poprawiła krążenie na tyle, że przestał marznąć w nieprzyjaznej stolicy rejencji.

Winckler dałby teraz każde pieniądze, zapłacił drugą, trzecią i nawet dziesiątą ratę, byle tylko wydarzyło się coś, co wyciągnęłoby z tej kabały. I wtem ktoś jeszcze raz, być może ostatni, wysłuchał grzesznika. Czterej policjanci usłyszeli bowiem strzał, a zaraz potem kobiecy krzyk. Po chwili w drzwiach wagonu zamajaczył mundur młodego konduktora.

- Coś się stało w osobowym do Lötzen! - zawołał.

Jak jeden runęli w stronę wyjścia. Na peronie Ludwig Schatzki niemal zderzył się ze Stanisławem Bergiem.

Nie było jednak czasu na przyjacielskie gesty.

- Groźny zabójca. Zranił kobietę. Tam ucieka! - wysapał detektyw, wskazując na wyjście z peronów i ludzi rozstępujących się niczym woda rozorana kadłubem statku.

24

Stanisław Berg gnał ile sił w nogach, bo tak kazało mu polskie serce do spółki z instynktem detektywa. Za nim parł niczym cień wierny Roch Ciupa, bo i on znalazł się w ten zimny poranek na dworcu i miał jechać pociągiem do Wöterkeim, aby plan cały wcielić w życie.

- Znów skrewiłem, szefie... - Uszu Stacha doszedł głos wiernego pomagiera.

- Nie mogłeś wiedzieć, że tak się stanie! - odkrzyknął Berg.

Oni dwaj, do tego Schatzki. Takie polowanie nie mogło się nie udać! A jednak sekundę później Berg zatrzymał się na samym środku głównej hali Dworca Wschodniego w Königsbergu. Złość rozsadzała mu żyły, jakby w miejsce krwi pojawił się nagle wrzący ołów.

Stojący przed nim Weber trzymał w żelaznym uścisku zakładniczkę, a przy jej głowie lufę rewolweru, z którego kilka chwil wcześniej wystrzelił. Nie mogło być inaczej, skoro tą zakładniczką była... Agnes Lauder.

Skąd się tu wzięła, do diaska!?! Pewnie znów pognęła ją za mną głupia ciekawość... - myślał gorączkowo Stach.

- Połóż rewolwer na podłodze, tylko spokojnie - wydawał kolejne komendy Weber.

Berg wykonał polecenie. Kiedy prostował tułów, usłyszał za plecami kroki nadbiegających. Był to Schatzki i jego ludzie, gdyż zaraz po tym, jak na siebie wpadli, rozdzielili się, by zwiększyć szansę na sukces w polowaniu.

- Stój! Policja! - zawołał ktoś.

Stachowi zdało się, że to Schulz. Potem usłyszał szepty, wśród których kilka razy pojawiło się nazwisko prawnika. Prawdopodobnie

policjanci byli zaskoczeni, że ścigają powszechnie znanego i szanowanego obywatela. Aż do teraz.

Twarz Webera wykrzywił grymas. Mężczyzna poprawił uścisk i odkrzyknął:

- Zastrzelę ją, nie żartuję! Broń na posadzkę, ale już!

Jeszcze jeden szept, może rozkaz. Wykonali polecenie. Wtedy Weber zaczął cofać się w kierunku głównego wejścia do hali dworca, ciągnąc za sobą pannę Lauder. Na jej twarzy malowało się przerażenie, a po policzkach ściekały łzy. Stach zacisnął dłonie w pięści, spojrzął w bok, gdzie spodziewał się ujrzeć Ludwiga. Był tam. Marna to jednak była pociecha, bowiem tak jak pozostali musiał stać nieruchomo niczym posąg i odprowadzał wzrokiem złoczyncę wraz z zakładniczką.

Rzeźby ożyły.

- Za nim! - rzucił policjant, kiedy Weber i Agnes zniknęli.

Stach schylił się po broń i runął ku wyjściu, nie zważając na to, że w każdej chwili zza futryny głównych drzwi może paść strzał, a jasność dnia może okazać się światłem na końcu tunelu. Dostrzegł obok Schatzkiego, znów działali razem, jak kiedyś. Przez drzwi, za którymi zniknął Weber z nieszczęsną Agnes, jak gdyby nigdy nic wchodzili do środka ludzie, kolejni podróżni. Czyżby nie zauważyli człowieka z rewolwerem wycelowanym w głowę dziewczyny? A może po prostu ich tam nie było...

- Stój! - ryknął Ludwig za rozpędzającym się powozem.

- Kosinski - warknął Stach.

Ale kareta Webera już skręcała w Kaiserstrasse, tuż przed dzwoniącym przeraźliwie tramwajem. Stanisław Berg bezradnie rozejrzał się po placu.

- Zaraz przyjedzie berlina - zameldował Schatzkiemu Tyl.

- Nie mamy czasu - odpowiedział Ludwig i spojrzął na nadjeżdżającą od strony Haberbergu elegancką karete, a następnie na Stacha; ten nieznacznie skinął głową.

Rzucili się w stronę pojazdu, jakby manewr ćwiczyli ten od miesiący. Policjant sprytnie wskoczył na kozioł, Berg natomiast bezbłędnie trafił butem na schodek i otworzył drzwiczki. Nie musiał nic mówić, bo wyręczył go Schatzki:

- Policja. Ścigamy niebezpiecznego przestępcę! - zawołał do stangreta i zrobił to na tyle głośno, by mógł usłyszeć go także pasażer.

- Nie żałuj koni - dobiegł ze środka męski głos.

- Pojechał Kaiserstrasse - sprecyzował Ludwig.

Berg zamknął za sobą drzwiczki i zajął miejsce na kanapie. Powozem podróżował samotny mężczyzna. Jego twarz skryta była w półmroku. Stach czuł się nieswojo, zastanawiał się nawet, czy nie przesiąść się, oczywiście w biegu, na kozioł. Byłby wtedy bardziej przydatny.

- A co to za bandyta? - zapytał w pewnej chwili nieznajomy.

Jego ton zdał się Stachowi najzupełniej obojętnym. Ot, znudzony arystokrata, któremu los właśnie podsunął ekscytującą przygodę. W powozie czuć było wyraźną woń alkoholu. Gdyby Berg był policjantem, pewnie zasłoniłby się tajemnicą służbową. Gadać jednak też mu się nie chciało, martwił się przecież o Agnes, która wciąż była w rękach szaleńca. I już miał odpowiedzieć, że to zwykły szaleniiec, gdy usłyszał krzyk Schatzkiego.

- Jest, jest! Szybciej!

Stangret strzelił z bata i krzyknął na konie. Mknęli teraz ulicami Königsberga z oszałamiającą prędkością. Biada temu, kto zszedłby teraz z chodnika. Stach wyjrzał przez okienko i stwierdził, że za chwilę dotrą do Knipawy. Po lewej stronie było już widać gmach giełdy. Wtedy, ku zdziwieniu detektywa, właściciel karety tym samym lekkim tonem wypowiedział na głos myśl, która pojawiła się w głowie Berga:

- Oby tylko nikt nie podniósł teraz mostu.

Nie była to bezpodstawna obawa, bo już raz Stach i Schatzki zostali w ten sposób zatrzymani. Mimo że do przeprawy zbliżał się

statek, Zielony Most wciąż był przejezdny. Koła powozu tylko stuknęły na jego spojeniach.

Co ten Weber może kombinować? – zastanawiał się Stach, co raz wyglądając przez okienko. Usiłował wejść w skórę złoczyńcy, który w jednej chwili z szanowanego powszechnie obywatela stał się przestępcą. Co robić? Dokąd uciekać?!

Minęli zamek i katedrę. Powóz wciąż pędził; na szczęście była niedziela i dość wczesna pora, więc na ulicach nie było wielkiego ruchu.

Nagle powóz skręcił gwałtownie w prawo. Stach musiał wykazać się refleksem i nie lada siłą, żeby nie wybić głową szyby w okienku. Przecięli Junkrestrasse, przy której znajdowała się siedziba Prezydium policji. Stach myślał wtedy przez chwilę, że Weber zamierza dobrowolnie oddać się w ręce sprawiedliwości. Ale uciekinierzy gnali dalej Teatherstrasse. Zaraz po lewej stronie pojawiły się budynki Albertyny. Wtedy Ludwig Schatzki zaczął strzelać. Raz, drugi. Po chwili jeszcze dwa razy. Mimo że Berg ufał przyjacielowi, wierzył w jego umiejętności i mądrość, siedział jak na szpilkach. Każda kula mogła przecież trafić w Agnes, winną tylko zbyt wielkiej ciekawości...

Powóz zahamował nagle i gwałtownie. Tym razem Stanisław Berg dał się zaskoczyć i poleciał prosto na przednią ścianę. Z oczu popłynęły mu łzy. Nie było jednak czasu roztkliwiać się nad sobą. Tym bardziej że właściciel karety już relacjonował, co dzieje się na zewnątrz.

- Ktoś biegnie w stronę Schloss-Teichu. Mężczyzna i kobieta. Zaraz będą na brzegu...

Detektyw otworzył drzwiczki i wyskoczył z karety, prosto w wysoką na trzy stopy zaspę. Po chwili widział wszystko: doktor Weber ciągnął Agnes w stronę zamarzniętego stawu, pokrytego warstewką śniegu. Dziewczyna opierała się i szarpała, ale był od niej silniejszy.

- Stój, Weber! – krzyknął Schatzki.

Już przymierzał się do kolejnego strzału, ale tym razem powstrzymał go Berg.

- Jest za blisko niej, za duże ryzyko... - wydyszał.

Tymczasem nadjechała berlina, a w niej inspektor Winckler, Tyl i Schulz, za nią zaś jeszcze jeden furgon, z którego zaraz wysypali się policjanci. Kilka mundurów zamajaczyło także na drugim brzegu Zamkowego Stawu. Dwóch szarpało się z Kosinskim. Los Webera też wydawał się przesądzony, ale nie o nim w tej chwili myślał Stach.

Weber i panna Lauder byli już na lodzie i szamotali się wściekle na śliskiej powierzchni. Śnieg, który spadł tej nocy, nie przywarł do lodu, a jedynie lekko go przyprószył. Gdy w pewnej chwili dziewczyna upadła, Weber zaczął ciągnąć ją za rękę. Agnes krzyknęła rozpaczliwie, chyba po raz pierwszy od chwili, gdy stała się zakładniczką szaleńca. Stanisław Berg już zbiegał w dół. Żaden z policjantów, którzy mieli odciąć drogę Weberowi na drugim brzegu, nie wchodził jednak na lód. Było jasne, że wszystko mogło skończyć się w każdej chwili. Weber mógł wyciągnąć rewolwer i zastrzelić zakładniczkę albo też...

Stach nie skończył myśli. Rozległ się znajomy, złowróżbny trzask.

- Odsunąć się od stawu! Odsunąć się! - gardłował Schulz.

Stach spojrzał pytająco na Ludwiga. Ten ledwo dostrzegalnie pokręcił głową. W tej samej chwili znów coś chrupnęło. Usłyszeli rozpaczliwy krzyk dziewczyny i plusk wody. Pod Agnes Lauder i Weberem załamał się lód.

- Drabina. Potrzebna jest drabina. - Ludwig złapał się za głowę.

Ale Berg już go nie słyszał. Wszedł na lód. Topiąca się panna Lauder krzyczała coraz głośniejsze. Nie zważając na to, że każdy krok może okazać się ostatnim, po którym zapadnie się w zimną i ciemną czeluść, Stach parł uparcie do przodu na szeroko rozstawionych nogach, tak jak podpowiadał mu instynkt. Z brzegu coś do niego wołało, być może nawet sam Ludwig, ale nie zrozumiał ani słowa.

- Już po ciebie idę! - krzyknął do Agnes, a może tylko zdało mu się, że krzyczy.

Jeszcze kawałek. Wtedy przypomniał sobie opowieści ojca z pamiętnej zimy sprzed ponad trzydziestu lat i najważniejszą radę, jaką ten mu dał. Nie, nie chodziło o to, jak strzelać do carskich żołnierzy, żeby jedna kula starczyła na jednego. Chodziło o lód na Narwi i Wiśle!

Mimo że liczyły się sekundy, detektyw kładł się powoli, jakby strudzony po całym dniu dotarł wreszcie do wymarzonego łóżka. Gdy zmienił pozycję, zaczął pełznąć. Śnieg sypał mu się na twarz i wpadał za kołnierz. Z tej perspektywy prawie nie widział tonących. Wciąż jednak słyszał nawoływania Agnes. Były rozpaczliwe i gdyby była tu w tej chwili jej matka, pewnie już dawno pękłoby jej serce. Dla Stacha oznaczały jednak, że miał po co brnąć dalej. I, do cholery, powinien robić to szybciej!

- Już jestem, Agnes, spokojnie - wydyszał po kilku chwilach.

- Niech mnie pan ratuje, błagam! - Krzyk Agnes nie wiadomo czemu zamienił się w szept.

- Nic ci nie będzie. Chwyć mnie za rękę.

Po chwili trzymał zziębniętą i mokrą dłoń. Dziewczyna miała na sobie kożuszek, który błyskawicznie nasiąknął wodą, utrudniając jej wydostanie się z przerębla. Ledwo Stach zaczął uginać swoją rękę w łokciu, wysliznęła się. Ponowił próbę, tym razem chwytając za przegub. Przekręcił się na bok i pociągnął ze wszystkich sił. Bez skutku. Mało tego poczuł, że Agnes ciągnie go w swoją stronę.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział, przesuwając się nieco.

Wtedy ujrzał twarz Johanna C. Webera. Nie był to już ten sam człowiek, który kilkadziesiąt minut temu wyrwał rewolwer z ręki Anny Schmitz, a potem do niej wystrzelił. Oczy miał półprzymknięte, mamrotał coś siniejącymi ustami. Palcami lewej ręki wodził po krawędzi przerębla, jakby dziwił się, że jest tak gładka i równa. Stach przeniósł spojrzenie na Agnes i zmusił się do uśmiechu.

- Jeszcze raz. Wiem, że dasz radę - sapnął i pociągnął ze wszystkich sił.

Woda w przeręblu zachlupotała, znów rozległ się trzask pękającego lodu. Jeszcze jedno pociągnięcie, jeszcze jedna chwila nadludzkiego wysiłku i tułów dziewczyny znalazł się nad krawędzią przerębla. Jeszcze kilka ruchów i panna Lauder leżała na lodzie, dygocząc z zimna. Było jasne, że czeka ją kilka tygodni w łóżku. Ale żyła!

- Należy ci się solidne lanie! - sarknął Berg.

- Chciałam tylko dać panu kanapki na drogę. Zapomniał pan... - wydyszała Agnes.

Sekundę później Stach znów zaczął pełznąć w stronę wyrwy. Weber jeszcze tam był, choć głowa prawnika zaczęła już znikać pod powierzchnią wody. Parskał i pluł, słychać było bulgotanie, a jego oczy ogromniały z przerażenia.

- Proszę mocno chwycić. - Berg wyciągnął rękę.

Wtedy coś chrupnęło. Na czole Webera wykwitł niewielki krwawy znak. Na chwilę tułów mężczyzny jakby nieco wysunął się z czeluści, jakby stopy nagle znalazły oparcie, by po sekundzie zniknąć pod wodą. W tej samej chwili znad Schloss-Teichu odjechał powóz, którym Stanisław Berg i Ludwig Schatzki wyjechali spod Dworca Wschodniego. Mimo że na brzegu roiło się od policjantów, żaden z nich jakoś nie zorientował się, skąd padł strzał.

- Za moją siostrę, którą otrułeś, skurwysynu - mruknął Gabriel von Voss, odkładając karabin na siedzenie tuż obok fiolki, którą znalazł w pałacowej skrytce. Drugą ręką domknął powoli okienko karety.

- A nie mówiłem, że zdążymy, panie hrabio? - skwitował siedzący na koźle stary Klaus.

25

Sprawę doktora Johanna C. Webera opisał redaktor Adalbert Lange w poniedziałkowym wydaniu „Königer Zeitung”. Jako przyczynę śmierci adwokata podano utonięcie, zaś jako prawdopodobny powód zachowania, które doprowadziło do serii zdarzeń, od postrzelenia Anny Schmitz po porwanie Agnes Lauder – wzburzenie spowodowane sprawami osobistymi. Tak zakończyła się jedna z najbardziej spektakularnych karier w historii tutejszej palestry. Weber miał spocząć obok pierwszej i jedynej żony Gertrudy, a jego majątek przejąć jedyny krewny, szwagier Gabriel von Voss, chociaż nie wykluczano prób obalenia testamentu przez narzeczoną, panią Angelę von Brill. Herb Belenky zadbał o to, by w gazecie ukazał się nekrolog Johanna C. Webera.

Prasa donosiła także o innych ważnych wydarzeniach. Jednym z nich była nieoczekiwana rezygnacja szefa wydziału zabójstw Prezydium policji w Königsbergu, inspektora Franza Wincklera, z nowego stanowiska, które miał zająć w stolicy. Nominację scedował na innego policjanta, Ludwiga Schatzkiego. Winckler nie skomentował sprawy, dziennikarze podejrzewali jednak, że chodziło o incydent, do którego doszło podczas jego uroczystego pożegnania.

- Znów się rozstajemy, Schatzki – mruknął Stach, składając gazetę, którą zaraz wsunął do bocznej kieszeni twiny.

Biel papieru ściągnęła wzrok człowieka leżącego na pryczy w więziennej celi, której próg Stach przekroczył około ósmej rano. O ironio, była to ta sama cela, w której niedawno sam był więziony. Na stoliku dostrzegł nawet podobny posiłek. Obecny lokator również nim pogardził.

- Dzisiejsza? – zapytał Kosinski, podnosząc głowę.

- Tak. - Detektyw wyjął egzemplarz z kieszeni i wręczył prawnikowi.

Ten podszedł do okna, aby mieć więcej światła, i przez dłuższą chwilę łąpczywie wertował strony. Na żadnej nie zatrzymał się jednak na dłużej.

- Zawsze, uważa pan, zaczynam dzień od czarnej kawy i lektury miejscowego dziennika. Gdziekolwiek jestem. Od dziesięciu lat - wyjaśnił z półuśmiechem Kosinski.

- Zgaduję, że teraz ani jednego, ani drugiego nie chcieli panu przynieść?

- Niestety. Ale jeszcze sobie z nimi pogadam. - Złożył na powrót gazetę i kilka razy uderzył rulonem w stalowe kraty.

Mimo niezbyt komfortowej sytuacji i tego, że przyszło mu teraz grać zupełnie nową rolę, nadal czuł się pewnie. Kto wie, może miał w tej chwili głowę pełną paragrafów, ustępów i casusów, na które powinien powołać się podczas czekającego go postępowania.

- Co pana do mnie sprowadza? - zapytał wreszcie Kosinski, usiadłszy ciężko na pryczy.

- Parę pytań, na które nie znalazłem odpowiedzi w gazecie.

Prawnik spojrzął spod oka na przybysza i po chwili rzekł, kręcąc głową:

- Nie ten adres, panie Berg. Wszystkie pytania należy kierować do Johanna C. Webera. Znajdzie go pan w kostnicy szpitala lipnickiego. A ja, cóż, tylko ślepo wykonywałem jego polecenia. - Rozłożył szeroko ręce.

- Tuszę, że był pan nawet szantażowany.

- Dokładnie tak! - Na twarzy jurysty nie drgnął ani jeden mięsień.

- Zatem jesteśmy po tej samej stronie, bo i mnie Weber źle życzył - rzekł Stach i na dowód, że tak właśnie jest, zrobił to, na co nie odważył się tamtego dnia Kosinski. Usiadł obok niego na cuchnącej pryczy. - Przekonałem się o tym, udając się na spotkanie do opuszczonego magazynu przy Sedanstrasse pod ósmym. Omal nie straciłem wtedy życia. Czy może coś pan słyszał o tym incydencie,

panie Kosinski? Weber szukał świadków tego, co wydarzyło się tamtej nocy...

- A skąd pewność, że to on szukał świadków? - Kosinski grał ostrożnie i rzeczywiście po mistrzowsku.

- Treść ogłoszenia brzmiała: „Zgubiłem cenną rzecz na moście na Schloss-Teichu”...

Prawnik tylko wzruszył ramionami i rzekł półgębkiem:

- Może rzeczywiście ktoś coś zgubił. Ale, owszem, prawdą jest, że mój były pryncypał chciał się czegoś dowiedzieć na ten temat. Choćby dlatego, że tamtej feralnej nocy, kiedy zginęła Eva Peters, nie było go w Königsbergu...

- Znał pan Evę Peters? - Stach zareagował błyskawicznie.

- Nie interesowało mnie osobiste życie mojego pryncypała.

- Rozumiem. A gdzie był w tym czasie Weber?

- Tam, gdzie ja. Przez trzy dni przebywaliśmy w Allenstein, stolicy sąsiedniej rejencji, w sprawach zawodowych. Planowaliśmy dłuższy pobyt, ale Weber otrzymał z Gerdauen depezę o śmierci Gertrudy.

Stanisław Berg pokręcił głową, podniósł się z miejsca.

- Chyba rzeczywiście będę musiał pofatygować się do szpitala lipnickiego. A dosłownie przed chwilą tam byłem...

Przez twarz Kosinskiego przebiegł krótki skurcz.

- Czy odwiedził pan może Annę Schmitz? - zapytał zmienionym głosem.

- Myślałem, że nie interesuje pana osobiste życie jego pryncypała...

Kosinski tylko parsknął.

- Jak ona się czuje?! - Utkwił spojrzenie w detektywie.

- Coraz lepiej, chociaż wesoło nie było...

Stach zauważył, że prawnik zacisnął pięści.

- Ten sukinsyn oszukiwał wszystkich! Evę, Monikę. Annę też...

Kochałeś ją - pomyślał Stach.

- Mówili o nim: gwiazda palestry! - zachnął się Kosinski. - A tak naprawdę to była zwykła gnida, która dla pieniędzy robiła wszystko.

Albo kazała robić to innym. Tak, Weber miał na mnie kilka papierów, wśród nich weksle. Zresztą było nas wielu.

- Na przykład Julius Beyl?

- Na przykład.

- Zapytam jeszcze raz: dlaczego kazał do mnie strzelać przy Sedanstrasse? - Stach bardzo powoli wypowiedział każde słowo.

- Musiał mieć pewność, że nie ma żadnych świadków śmierci Ewy...

- Czyli to jednak on ją zabił?! Bo nie chciała spędzić płodu? Do tego szantażowała, że opowie o wszystkim Getrudzie von Voss?! - Kolejne pytania same wystrzeliły z ust Berga wraz z kropelkami śliny.

- Już panu mówiłem. Nie było nas wtedy w mieście... - odrzekł cicho Kosinski i zwiotczał, jakby kto wypuścił z niego powietrze.

Ale detektyw nie zamierzał przerywać.

- Dlaczego to właśnie mnie wybrał, żebym był jego argusem podczas podróży na dworzec? - zapytał.

- Nie wiem. Może chciał, aby spłacił pan dług za uwolnienie z więzienia...

- Przecież miałem wynosić się z miasta!

- ...a może w myśl zasady, że przyjaciół trzyma się blisko, ale wrogów jeszcze bliżej?

- Całkiem ciekawa teoria - mruknął Stach. - Rozumiem, że nasłanie na moje biuro zbirów, którzy próbowali je spalić, to też miało być ostrzeżenie.

- Nikogo nie wysyłaliśmy z wizytą do pańskiego biura, panie Berg.

- Nie spodziewałem się usłyszeć niczego innego.

- Weber też tego nie zrobił - poprawił się Kosinski, by dodać: - A przynajmniej ja o tym nic nie wiem. Ale najwyraźniej narobił pan sobie wrogów w tym mieście. A może ktoś uważał, że pańskie działania dowiodą, że Königsberg jednak nie jest bezpiecznym miastem?

- Winckler?!

- Ja niczego nie sugeruję. - Kosinski uniósł obie ręce do góry. - Ale przecież wiedział, że się przyjaźniliście z Schatzkim. Poza tym to chyba pan osobiście podsunął im na widelcu handlarza kobietami. Jak mu było? Smetona?

- A jego kto kazał uciszyć? Weber czy Winckler?

Kosinski nie odpowiedział. Stanisław Berg westchnął ciężko. Po chwili wstał z więziennej pryczy, strząsnął pantalon. Zbliżywszy się do drzwi celi, kilka razy uderzył w nie otwartą dłonią, aby przywołać strażnika.

- Mam nadzieję, że uda się panu z tego wszystkiego jakoś wykaraskać, panie Kosinski - rzekł, stojąc w progu, podczas gdy więzień zmieniał pozycję na leżącą, zupełnie jakby było mu już wszystko jedno. - Do widzenia.

Kiedy znalazł się na korytarzu, a strażnik zaczął pchać ciężkie drzwi, aby je zamknąć, dogonił go głos Kosinskiego:

- Od kiedy wiedziałeś?

- Na tyle długo, aby wszystko dokładnie przygotować - odparł Berg, odwracając się powoli. - Gdybyś nie przyszedł do mnie tego niedzielnego poranka, to pewnie ja pofatygowałbym się do Webera. Jedyne, co mogłem zrobić, to wziąć rewolwer i patrony, poprosić mojego pomocnika, żeby jechał za mną i był w gotowości. Sprawa miała się rozstrzygnąć w jadącym pociągu. Nawiasem mówiąc, ostatnio trochę się najeździłem, aby rozwiązać tę sprawę, i wypilem więcej herbaty niż piwa...

- Nie odpowiedziałeś mi na pytanie - rzekł bez złości uwięziony jurysta. - Od kiedy wiedziałeś, że to sprawka doktora Webera?

- Rodzice Moniki Krautter w końcu nie wytrzymali i podali mi nazwisko mężczyzny, który wpędził ich w kłopoty, chociaż niby pomógł w trudnej sprawie, bo w grę wchodziła przecież płatna protekcja. Poza tym Anna Schmitz miała numer telefonu do waszej kancelarii. Ale to wszystko było później. Pierwsze podejrzenia pojawiły się w momencie, gdy dokładniej przyjrzałem się pewnej fotografii. Wykonano ją na pogrzebie Ewy Peters, z ukrycia. No i może

z tego powodu kiepsko. Następca Niépce'a musi się jeszcze sporo nauczyć.

- Kto był na tym zdjęciu?

- Ty.

- Tak...

- I dalej nie wiesz, co się stało z Evą?

- Nie, Berg - rzekł lekko prawnik, utkwivszy spojrzenie w suficie celi. - Mam za to jeszcze jedno pytanie do ciebie.

- Słucham.

- Planujesz posłuchać mojej dobre rady i wyjechać z Königsberga czy jednak jeszcze zostaniesz?

- A co?

- A nic. Bo jeśli to drugie, to ostrzegam cię, że nie zawsze będziesz miał do rozwiązania sprawy w rodzaju cwaniaka Timo Amber-Golda, który wciskał ludziom nieuczciwe kredyty, czy konsulów, którzy podejrzewają swoje młode żony o zdradę. To miasto jest wyjątkowe. Fascynujące siedlisko zbrodni. Każdego dnia do portu zawijają setki statków, każdego dnia schodzi na ląd różnego rodzaju szumowina, która nie słyszała o Kancie, o jego niebie gwiaździstym i prawie moralnym. Która w każdej chwili może zastąpić ci drogę w ciemnym zaułku. Pamiętaj o tym.

- Dziękuję.

- Myślę, że to początek wspaniałej przyjaźni.

26

Godzinę później Stanisław Berg po raz kolejny w ciągu krótkiego czasu stanął na progu sali w szpitalu lipnickim. Nie wyglądał już jednak tak elegancko jak tamtego dnia, kiedy przyszedł tu z pudełkiem czekoladek Sprüngli & Sohn i pomarańczami dla Anny Schmitz.

Doktor Johann Ptak dał mu kwadrans. Czy to wystarczy, by przeprowadzić kolejną operację na otwartej duszy?

Mimo że w sali była tylko Anna, łóżko obstawione było ze wszystkich stron parawanami.

- Jak się poznaliśmy? - Dziewczyna zawiesiła głos, a jej twarz na bardzo krótką chwilę rozjaśnił blady, ale jednak uśmiech. - W salonie piękności Venus.

Teraz to Stach się uśmiechnął do swoich myśli. Tak, był blisko. Zrozumiał to po raz pierwszy, kiedy w mieszkaniu zmarłego Juliusa Beyla ujrzał zasłony - takie same jak te, które otaczały wanny w salonie. A może nawet te same? Tylko kto wtedy, chwilę po aresztowaniu Saviscasa i jego pomagierów, mógł wiedzieć, że do szajki szantażującej kobiety należał także doktor Johann C. Weber? Nie brał udziału w procederze, tylko pojawiał się później. Niby przypadkiem dowiadywał się o problemach ofiary i oferował pomoc prawną. Dyskretną i niedrogą. A czasami nawet non profit.

- Właśnie tak trafiłyśmy na niego z Moniką - westchnęła panna Schmitz. - Pewnie nigdy byśmy się nie spotkały, bo ona była... to znaczy wciąż jest studentką. Johann szybko rozprawił się z tamtymi i sprawa była załatwiona. Mogłyśmy iść każda w swoją stronę.

- Ale nie poszłyście - wtrącił Stach.

- Nie.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

- A Eva Peters? Czy również odwiedziła salon piękności Venus? - zapytał detektyw.

- Nie. Poznałyśmy ją dopiero podczas wyjazdu do Rauschen.

- Czy i wtedy nie domyślałyście się, że wszystkie kochacie jednego mężczyznę?

- Nie. Każda z nas uważała pozostałe tylko za przyzwoitki. Zresztą szybko się polubiłyśmy. Monika namawiała mnie i Evę na studia. A nad morzem traktował nas równo, żadnej nie faworyzował. Może gdyby... no, wie pan...

- Gdyby wziął do pokoju Pod Srebrną Stynką którąś z was, iluzja prysłaby jak bańka mydlana - dokończył Stach.

- A to był, proszę mi wierzyć, naprawdę miły wyjazd. - Panna Schmitz uciekła wzrokiem w bok i uśmiechnęła się. - Mimo niepewności, dlaczego zachowywał dystans...

- Nie wątpię. Widziałem wasze wspólne zdjęcie zrobione na promenadzie w Kranz. Weber jednak nie chciał pozować.

- Wtedy jeszcze żadna z nas nie wiedziała dlaczego. A on po prostu robił wszystko, żeby nie pozostał jakikolwiek, najmniejszy nawet ślad.

- Dlatego podał fałszywe nazwisko, które zapisano w księdze meldunkowej. Nazwisko przyszłego szwagra, grafa Gabriela von Vossa. Jednym słowem Weberowi udawało się to, o czym marzy wielu mężczyzn: podwójne życie. Ba! Poczwórne!

- To prawda... - Anna przygryzła wargę.

- Każdą z was miał na zawołanie. Nie miał żony, bo dopiero miał się ożenić! Ze starszą, ale za to bardzo bogatą szlachcianką. Czy może wie pani, jak się poznali?

- Oczywiście. Gertruda miała dość życia z bratem-utrącjuszem, bała się o rodowy majątek. Postanowiła zasięgnąć porady prawnika i dalej potoczyło się aż do ołtarza. Jestem pewna, że to małżeństwo nawet nie zostało skonsumowane!

- Tego nie wiemy. - Stach chrząknął znacząco. - Pewien mój znajomy, miejscowy konsul, mniejsza o nazwisko, zaryzykował niedawno twierdzenie, że monogamia jest czymś sprzecznym z naturą. I że wiele racji mieli pradawni Prusowie, poganie, którzy chodzili po tej ziemi przed nami, praktykujący wielożeństwo...

- Co pan opowiada? - Twarz Anny pokraśniała w ciągu sekundy.

- To nie ja, tylko znajomy konsul - rzekł niewinnie Stach, by wrócić z rozmową na wcześniejsze i bezpieczniejsze tory. - Tak czy owak, Weber kochał kobiety, ale dużo bardziej kochał pieniądze. Poza tym wypadało, żeby człowiek na jego stanowisku był żonaty. Stateczny, nobliwy mecenas, doktor Johann C. Weber. Brzmi wspaniale! Nie widziałem Gertrudy z domu von Voss, ale zakładam, że musieli do siebie pasować.

- Gówno prawda! - sarknęła Anna.

- I tym mnie pani przekonała, że tak właśnie było.

Przesunęła po kołdrze obandażowaną rękę. Ani na chwilę nie spuszczała wzroku z mężczyzny.

- Wtedy, w pociągu, kiedy się poznaliśmy - podjął po chwili Stach - to był on. Weber. Nie żaden złodziej, prawda?

- Tak. Wyjeżdżał do żony, do jej majątku pod Gerdauen. Dowiedziałam się o tym przypadkiem, od służby. Pobiełam na dworzec. Prosiłam, błagałam, choć właściwie nie wiem o co. Żeby się rozwiódł? Przecież dopiero się ożenił! Potem zaczęłam grozić, że o wszystkim opowiem jego żonie. Wywiązała się szamotanina, pociąg ruszył, a resztę już pan widział.

- Tak. Wówczas po raz pierwszy otarłem się o tę sprawę, nawet o tym nie wiedząc.

- A ja nie wiem, dlaczego podałam panu inne nazwisko. Może już zaczynałam myśleć tak jak Johann...

- A potem się pani zemściła. Na zwłokach tej biednej kobiety. - Stach wstrzymał oddech, nie był bowiem pewny, jak Anna zareaguje na takie oskarżenie.

Dziewczyna uniosła się na łokciu zdrowej ręki.

- Kiedy już tu leżałam, dowiedziałam się, co spotkało Evę. Była tak blisko, ledwo kilka pięter w dół, choć już martwa...

Anna zaczęła płakać. Szybko się jednak uspokoiła i wytarła nos.

- Tak naprawdę to chciałam się z nią tylko pożegnać. Poprosiłam pedla, żeby mnie tam zaprowadził, kiedy wszyscy pójda spać. Zapobiegliwie zaproponował jakiś środek, żebym tam nie zemdląła. Zgodziłam się. Na miejscu coś we mnie wstąpiło. Zaczęłam się mocować z wiekiem trumny zmarłej żony Webera. Pedel chyba poczuł się w obowiązku mi w tym pomóc. Oczywiście po tym, jak udało mu się unieszkodliwić tego zbrojca...

- Katschmarka.

- Chyba tak. Wie pan, ja tak naprawdę nie za bardzo pamiętam, co się działo.

- Wrzuciliście ciało do starego silosu, który kiedyś służył do pozbywania się... - Stach na moment się zawahał. - Do pozbywania się wszystkiego, czego trzeba było się szybko pozbyć. W ten sposób ciało Gertrudy Weber dostało się do rzeki, a ona poniosła je dalej. Naprawdę nie trzeba było wielkiego wysiłku, żeby tego dokonać.

- Nie chciałam tego - jęknęła Anna.

- Wierzę.

- Kiedy się ocknęłam, było już jasno, a ja leżałam w łóżku.

Cisza. Zza ściany dobiegł stłumiony jęk, może cierpiącego pacjenta.

- A czy domyśla się pani, dlaczego Eva zginęła? - zapytał po chwili Berg.

- Pewnie dowiedziała się wszystkiego tak jak ja. Może gdybym nie rozmawiała z Weberem w pociągu i w środku dnia, już bym nie żyła... Potem, gdy Monika trafiła na tę samą salę, usłyszałam, co ją spotkało. Więził ją i szantażował jej rodziców!

- A gdy okazało się, że historia ma się powtórzyć i Weber znów zamierzał się ożenić, postanowiliśmy do tego nie dopuścić.

- Zgadza się. Uciekłam ze szpitala, a resztę mógł pan sobie obejrzeć. Jak w najlepszym teatrze.

Drzwi uchyliły się i do szpitalnej sali zajrzał doktor Johann Ptak. Wskazał na zegarek.

- Już kończę - rzekł Stach i spojrzał na Annę. - Mam jeszcze tylko jedno pytanie...

- Tak?

- Wiedziała pani, że Eva Peters była w ciąży?

Panna Schmitz nie odpowiedziała. Stach westchnął i rzekł:

- Gdyby nie to, pewnie nic by się zmieniło. Weber, odwiedzając każdą z was, po prostu zdradzałby żonę. Ale wtedy pojawiło się dziecko. W nas w Polsce mówiło się dawniej: gość nie w porę gorszy od Tatarzyna. I ono było takim właśnie gościem, nieprawdaż?

Anna wciąż milczała.

- Eva nie chciała spędzić ciąży, choć ją do tego namawialiście. Po dawnej sympatii, wręcz przyjaźni, nie został najmniejszy ślad. Pewnego ciepłego, choć już jesiennego wieczora, kiedy wracała do garsoniery Johanna, ktoś zastąpił jej drogę. Nad Zamkowym Stawem było ciemno, studenci Albertyny jeszcze nie wrócili do miasta. Wystarczyła chwila, by rozmowa przekształciła się w kłótnię...

- Ja... - Anna zacisnęła palce na szarym materiale szpitalnej poszwy.

- ...a kłótnia w bójkę. Wiedziała pani, że Eva nie umiała pływać, a nawet bała się wody? Przecież byliście latem nad morzem!

- Ale ja...!

Do sali wkroczył doktor Johann Ptak. Jego mina nie wróżyła nic dobrego. Ale Stach nie przerywał.

- Prawdopodobnie uderzyła głową o coś ciężkiego, zanim wpadła do wody! - mówił teraz podniesionym głosem, za nic mając medyka wraz z jego pretensjami i szpitalnymi przepisami. - Na przykład w balustradę mostku. Obejrzałem ją sobie dokładnie, inaczej nie mógłbym odpowiedzieć na gazetowy anons, w którym ktoś pisał, że zgubił tam cenną rzecz. Owszem, ta cenna rzecz to był ślad krwi i włos, który zaczepił się o drewniany zadziór - policja przeoczyła te

ślady. Kto wie, może to był wypadek. Ale pani jej nie pomogła. Prawda, panno... Krautter?

To powiedziawszy, Stach wbił spojrzenie w jeden z parawanów, którymi otoczono łóżko pacjentki. Za płachtą szarego perkalu z wyblakłymi plamami krwi przesunął się cień. Po chwili Stanisław Berg ujrzał twarz niedoszłej żony aptekarza z miasta Insterburg. Przypominała gipsowy odlew...



EPILOG



Zbliżało się południe, gdy Stach wysiadł z tramwaju i pomaszerował dziarsko w kierunku domu pani Lauder, aby zapytać o zdrowie Agnes.

Usiłował jeszcze raz, na pewno nie ostatni, poukładać w głowie wszystkie fakty, wydarzenia, uszeregować twarze, które zmieniały się jak w cudownym fotoplastikonie. Pochłonięty własnymi myślami nie zauważył, że ktoś podąża jego śladem, krok w krok, odkąd opuścił areszt, nie spuszczając go z oka ani na chwilę. Zupełnie jak Roch Ciupa w pierwszych dniach pobytu w mieście. A potem cierpliwie czekał pod szpitalem, czym bardzo przypominał amatora zabaw z nieboszczykami, niejakiego Franza Katschmarka...

Berg bez problemu znalazł właściwe mieszkanie. Nie zdążył jednak zapukać, bowiem drzwi otworzyły się i stanął twarzą w twarz z trzema młodymi mężczyznami w studenckich mundurach.

- Ja do panny Lauder - powiedział, zdejmując kapelusz.

- Niech pan wejdzie. - Lothar Koschiniak otworzył szerzej drzwi.

Chwilę później studenci Albertyny zniknęli, a detektyw zatrzymał się na progu kuchni. Pani Lauder poznała go od razu.

- Cieszę się, że pan wpadł, panie Berg - powiedziała. - Agnes wciąż o pana wypytuje.

Bał się tego spotkania, ale jak się okazało, niepotrzebnie. Kobieta nie miała do niego żalu.

- Dostała nauczkę na całe życie - skwitowała. - A teraz niech pan do niej idzie.

Zapukał do drzwi pokoju. Mimo że nie usłyszał „proszę”, nacisnął klamkę. Agnes Lauder leżała na spiętrzonych poduszkach i tak jak Berg wcześniej wertowała „Königer Zeitung”.

- Też się pan zastanawia, dlaczego napisali, że Weber utonął? - przywitała go pytaniem.

- Pewnie tak było wygodniej - odpowiedział, wzruszając ramionami. - Po co ciągać po sądach policjanta, który po prostu okazał się zbyt nerwowy i pociągnął za spust?

- A pan wie - Agnes odłożyła gazetę na kołdrę i spojrzała na Berga - że Weber mi wtedy pomógł? Gdyby mnie nie popchnął, nie udałoby się panu wyciągnąć mnie z tego przerębla...

- W każdym złoczyńcy tkwi odrobina dobroci - westchnął Stach, siadając na krześle. - Teraz już wiemy, że to nie on odpowiadał za śmierć Ewy Peters, co oczywiście nie oznacza, że był niewinny. I pomyśleć, że pewnie nigdy bym się tego nie dowiedział, gdyby nie nasz Oskar.

- A nie chciał go pan słuchać! - Lauder zrobiła obrażoną minę.

Stach uniósł wysoko obie ręce, by następnie prawą kilka razy uderzyć się w piersi.

- *Mea culpa* - rzekł. - Po prostu nie miałem czasu. Na szczęście on miał i nie przeszedł obojętnie wobec opowieści starego człowieka, który na nabrzeżu rzeki opowiadał drugiemu, jak to wyłowił z rzeki samobójczynię, zaprowadził ją do domu i otoczył opieką. Najważniejsze jednak było to, co ona opowiadała w malignie, przez sen... I że nie wyczytała tego w żadnej z książek...

- Powiadomi pan policję o tym, co zrobiła Monika Krautter? - zapytała po chwili Agnes.

- Jeszcze nie wiem.

Zapadła cisza. Berg poczuł, że trzeba szybko zmienić temat.

- Kiedy wracasz do pracy? - zapytał.

- Nawet jutro!

- Aż takiego poświęcenia od ciebie nie wymagam. Wystarczy, że zaczniesz od poniedziałku. Oskar i Roch zupełnie sobie bez ciebie nie radzą!

- Miło mi to słyszeć. Przyjdę w poniedziałek i zrobię wszystko, co pan rozkaże. Wiem już też, czego nie zrobię nigdy w życiu.

- Umieram z ciekawości!
- Nie wejść na lód...



Powoli podniosła powieki. Leżała na boku, głowę oparła na łokciu. Zupełnie jakby ułożyła się do snu. Ale przecież udawanie się na spoczynek po całym dniu traktowała zawsze niemal jak liturgię. Siedząc przed toaletką, długo i starannie rozczesywała włosy, przypatrując się coraz liczniejszym nitkom siwizny. Kiedyś jeszcze zmywała makijaż, ostatnio już go nie potrzebowała. Żaden tusz do rzęs, żadna szminka nie pokona przecież starości. Potem zdejmowała kapę, składała ją starannie, formowała poduszki, by głowa wygodnie leżała. Wreszcie kładła się i przykrywała starannie. Gdy to wszystko było zrobione, wyciągała rękę spod kołdry i gasiła nocną lampkę.

Teraz nie było łóżka. Nie było niczego. Agnes Köhler leżała na skutym lodem Bałtyku, kilkadziesiąt metrów od brzegu. Nie, nie zabili ich, resztki ocalałych Żydów z Königsberga i okolic. W ostatniej chwili w kopalni Palmnicken pojawił się jakiś cywil. Chyba ważny, bo esesman go słuchał. Przez kilka chwil o czymś rozmawiali. Cywil żywo gestykulował.

„On mówi, że nie mogą tego zrobić tutaj” – ktoś miał świetny słuch, ale powiedział to z taką obojętnością, jakby komentował oglądany w kinie film. Jakby to z kimś innym miano za chwilę skończyć nad przepaścią kopalnianych szybów.

Chyba tak było w istocie, bo po kilku chwilach znów sformowali kolumnę i popędzili ich dalej. Wszystko było jak wcześniej: marsz, pokrzykiwania konwojujących, co jakiś czas upadek i strzał. Tak doszli na brzeg morza. Kazali wszystkim wejść na lód. Tak, to była ta ewakuacja, którą im od początku, odkąd skończyli kopać rowy przeciwczołgowe wokół miasta, obiecywano. Gdzieś tam w stronę

Rostocku, Lubeki i Hamburga płynęły statki z uchodźcami z Ostpreussen.

Wtedy Agnes Köhler znów przypomniała sobie o wydarzeniach sprzed lat. I obietnicy, którą złożyła sama sobie, kiedy była jeszcze Agnes Lauder.

„Nie wejdę. Nie wejdę na lód...” – powtarzała.

Kiedy inni już szli, ona jeszcze stała. Młody esesman, widząc to, podszedł do niej.

„Raus!” – Pchnął ją kolbą w plecy.

Posłuchała. Ruszyła przed siebie, modląc się o szybki koniec. Niech strzela od razu. W chwili gdy zrównała się w marszu z panną Bronstein, zaczęli. Przyjaciółka zdążyła chwycić ją za rękę, zanim trafił ją pocisk. Upadając, pociągnęła Agnes za sobą.

Kanonada trwała jeszcze przez kilka chwil. Agnes Köhler bała się otworzyć oczy, bała się nawet oddychać. Tylko słuchać mogła. Ktoś z rozstrzelanych jeszcze dychał, słysząc było cichy jęk. Czy tamtym będzie się chciało wejść na lód, by dobić rannych?

Nie wiedziała, jak długo leżała. Chyba zasnęła. Otworzyła oczy, wyjęła łokieć spod głowy. Metr od niej leżała panna Bronstein. Nie było widać rany. Agnes wyciągnęła rękę i zamknęła jej oczy.

- Dobranoc.

Zaczęła się powoli podnosić. Gdy jej się to udało, rozejrzała się dookoła. Było ciemno, ale po jednej stronie jaśniał wąski pasek. Łą. Wstała i zaczęła iść przed siebie. Na tle jasności ujrzała poruszające się ciemne punkty, nie zatrzymała się jednak.

- Niech się dzieje, co chce.

Po chwili usłyszała wyraźną, śpiewną mowę...

Dalsze przygody detektywa Stanisława Berga w powieści *Szpiedzy i sufrażystki*

OFICYNKA ZAPRASZA WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW DOBREJ LITERATURY!

Znajdziecie Państwo u nas książki interesujące, wciągające, służące wybornej zabawie intelektualnej, poszerzające wiedzę i zaspokajające ciekawość świata, książki, których lektura stanie się dla Państwa przyjemnością i które sprawią, że zawsze będziecie chcieli do nas wracać, by w dobrej atmosferze z jednej strony delectować się warsztatem znakomitych pisarzy, poznawać siłę ich wyobraźni i pasję twórczą, a z drugiej korzystać z wiedzy autorów literatury humanistycznej.

POLECAMY



Księgarnia Oficynki www.oficynka.pl

e-mail: oficynka@oficynka.pl

tel. 510 043 387



OFICYNKA
WYDAWNICTWO

